PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK ÓSMY. — TOM XXXI.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1891.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1891.

Errata.

Na str. 292 przez pomyłkę dostały się dwa pierwsze wiersze z góry, które jako nie mające związku z poprzednim zdaniem, należy opuścić.

O PRZEDŚWICIE

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

W r. 1839 dnia 10 stycznia pisał Krasiński z Neapolu do Konstantego Gaszyńskiego: „Pytałeś się zeszłą razą, czy co się dzieje w mózgu moim podobnego do słowa „stań się"? Dzieje się, ale druga połowa „Stało się" djable leniwo się dopełnia. Szelma Dant mnie wwiercił się do duszy, chodzę z nim w ciąży od lat kilku: póki w głębi ducha, póty płód, a gdy wychodzi, poronienie!" [1]

Z końcem zaś tego roku, we Fryburgu będąc, tak znowu donosił 19 października 1839 r.: „Oddawna tylko szpargałami, ułamkami wiją się natchnienia po mózgu podpisanego. Czasu niema, a kiedy czas jest, chęci nie znaleść. Jednak w przyszłości może coś z tego będzie" [2].

Niezawodnie z tych „szpargałów i ułamków" w dwa lata mniej więcej począł się „Przedświt" wyłaniać, niema bowiem śladu, ażeby pomiędzy tym przełomowym rokiem, 1839 a 1843, poeta pracował nad czem innem [3]. W życiu poety zamknęła się

[1] Koresp. I. 144.

[2] Tamże, str. 149.

[3] Między rokiem 1839—43 wyszły wprawdzie „Trzy myśli Ligenzy" (Paryż 1840) i „Noc letnia" (tamże 1841), żadne jednak z tych dzieł w tym okresie nie powstało. Co do „Nocy letniej", najpierw, ponieważ to rzecz więcej znana, pisana ona była prawdopodobnie z końcem r. 1835 we Florencyi, a z pewnością gotowa już była z końcem r. 1836: dnia bowiem

już nietylko epoka „Nieboskiej“ (1835) i „Irydiona“ (1836), ale nawet ta krótka, sama dla siebie odrębną całość stanowiąca epoka „Trzech myśli Ligenzy“, na których jest ślad i odbicie zaprzeczeń i wątpliwości pewnych, a w której poeta w ten sposób wynagrodził chwilową walką swoją pewność i siłę, z jaką poprzednio odrazu wystąpił w „Nieboskiej“ i „Irydionie“. Zaczęła się po niej epoka, wobec „Trzech myśli“, nowa, rozpoczynająca się mniej więcej od r. 1840, datująca się od „Przedświtu“, w r. 1843 wyszłego, która już bez zmian i przerw trwa do śmierci, a która ponad „Trzema myślami“ wiąże się organicznymi węzłami z „Nieboską“ i „Irydionem“.

Należy Przedświt do tych nielicznych dzieł Krasińskiego, o których z większą dokładnością powiedzieć można, kiedy i w jakim przeciągu czasu odbywała się nad nim praca, już ta ostateczna, mechaniczna prawie, praca pisania na papierze tego, co w duszy opracowane już dawniej zostało.

Poeta bawi w Monachium, w towarzystwie zawsze drogiego i ukochanego Konstantego Danielewicza. Jestto początek roku 1842. Dnie spędza w domu, ponieważ nogi mu się poraniły — pisze Przedświt. Wspominając później o tych czasach, wspomina w sposób taki, który wierzyć każe, że pisanie tego arcydzieła przychodziło mu z daleko większą łatwością, niż bywało dotychczas: „Przez cały styczeń, ogarniony nadzwyczajnem natchnieniem, żyłem tak, że mi jedną godziną, snem całym był ten mie-

---

5 grudnia t. r. prosi Krasiński Sołtana, aby od A. Potockiego odebrał książkę tę samą, którą czytał we Florencyi (Koresp. II. 55—56), a z przypisku wydawcy, jak się później okazuje, całkiem słusznego, dowiadujemy się, że to o „Noc letnią“ chodzi. Co do „Trzech myśli“, wprawdzie tak pewnego nic o nich niema, wszakże z treści poglądów filozoficznych i formy, przeważnie prozą będącej, wnosić można, że powstały przed r. 1839, w tym roku bowiem ustał już zupełnie wpływ Lamennais'go, tak na nich widoczny. „Co się zaś tyczy jej (pani G. Sand), entuzyazmu do Lamennais'go — pisze do Gaszyńskiego dnia 19 paźdz. 1839 (Koresp. I. 149) — w twierdzeniu upartem, *que le catholicisme s'en va*, to tylko na to odpowiem, że Lamennais zgłupiał, a jeszcze przeszłego roku w mojej obecności papież w krużganku św. Piotra błogosławił stu tysiącom ludzi“. Niepodobna, by po takiem potępieniu Lamennais'go, poeta zapalił się myślą odrodzenia się kościoła św. Piotra, a raczej jego upadku.

siąc cały... Dzień cały nad stolikiem, a wieczorem u Konstantego...“ [1]

Wieczorem bawił u Konstantego, czytali razem wyjątki z rozprawy, którą Danielewicz właśnie pisał; a jeżeli niema śladów, ażeby z myśli przyjaciela przeniosło się co do Przedświtu, to pewnem jest, że atmosfera rozkoszy umysłowej, którą znajdował na tych posiedzeniach, starczyła mu za dzień cały i utrzymywała w wielkiem natężeniu [2]. Skarży się, że drogo za to losom musiał zapłacić. Z początkiem lutego Danielewicz uczuł się źle, a także poecie wróciły dawne uderzenia krwi do głowy. Wkrótce Konstanty musiał położyć się do łóżka; wezwany lekarz oświadczył, że ma już wrzody tyfusowe na wnętrznościach, poeta zaś dostał dnia 19 lutego, w sam dzień i godzinę swych urodzin, ataku apoplektycznego, dwukrotnego. Zaczęły się dnie ciężkie, w których o pracy nie można było myśleć. Sam chory i wyczerpany, Krasiński czuwał dniami i nocami u łoża przyjaciela, a kiedy śmierć jego dnia 27 marca zakończyła nareszcie te podwójne cierpienia, poeta znalazł się w stanie tak rozbitego zdrowia, że się z niego nie podniósł aż po kilku leciech [3]. Przez kilka miesięcy przedewszystkiem nie mógł się ukoić po stracie, nie mógł sobie znaleść miejsca spoczynku. Gdziekolwiek przyszedł, zaraz mu się chciało iść dalej [4]. Powtarzały się także ataki; w Szaffhuzie przeleżał w kwietniu 1842 r. ośm dni, a bóle głowy i krzyżów, rozigranie nerwów, nie dawały chwili spokojnej. Praca twórcza szła żółwim krokiem, nie dlatego jednak, by zapomniał o niej na chwilę, lub by się zniechęcił: owszem, żywiej i jeszcze więcej wiarogodne niż kiedy, szły idee za nim krok w krok — ale dla tej prostej przyczyny, że pióra w ręku utrzymać nie zdołał. „Dał Bóg chleb, zębów nie dał; dał potęgę, ale cóż, kiedy palca

[1] Bazylea 9 kwietnia 1842. (Koresp. I. 192).

[2] Krasiński miał zamiar te niedokończone ułamki dokończyć lub tak wydać. (Koresp. I. 196). Były to więc zapewne rozprawy: „O odbiciu się historyi w poezyi. Ułamek z pośmiertnych rękopisów“, „O woli“, drukowane w *Bibliotece Warszawskiej* — pierwsza w r. 1842 (t. II.), druga w r. 1843 (t. IV.).

[3] Koresp. I. 193—4.

[4] Tamże, II. 283.

ściągnąć do pióra niesposób“ — powiedział z gorzką skargą [1] — a raz z pesymizmem największym zawołał: „Całe życie moje było niezgodą, walką ducha z ciałem! duszą ciałom niszczył, a ciało buntowało się przeciwko duszy! Wypadek zaś tych zapasów = 0“! [2] Podniósł się jednak wkrótce z tego stanu, mimo że zdrowie ani na włos się nie poprawiło. Zaczął jego kosztem pracować z całem przeświadczeniem, że dzieło warte tego: „Zasługą jest walczyć choćby przeciw ciału swemu — odpisał komuś, co mu to wymawiał. — Jeśli ascetycy chrześcijańskiej epoki przeszłości zabijali ciało, by wewnętrzną duszę swą ukształcić i zbawić, czyż teraz my, nowych wieków chrześcijanie, nie mamy prawa ciało nasze nękać, by z ducha naszego wyszło coś dobrego lub jawnego, dla polepszenia losu lub oświecenia braci naszych? Wkońcu skończy się wszystko na przegranej ciała! Lepiej zatem, by duch z tej przegranej cokolwiek skorzystał, niż żeby pilnując tylko ciała swego, sam zmarniał, zaginął. A potem wiesz, co to żądza nieskończona, ogień, który pierś pali, bodziec, który serce rozrywa...“ [3]

Śmiało poszedł w tych myślach dalej: ale ile w nich widać śmiałości, tyle domyślać się można cierpień fizycznych i moralnych, które napadały twórcę, ilekroć wziął pióro do ręki, skoro aż takich refleksyj trzeba było, aby je brał. Przychodziło mu dalej na myśl, że pisać to, co wyczuł i wyrozumował, jest poprostu obowiązkiem, nietylko wobec ludzi, ale i wobec Boga samego, który „nie rzekł nikomu: Ty nie pójdziesz dalej, ale rzekł: Znajdź drogę światłu, a wzbijesz się w nieskończoność — i to szukanie przed znalezieniem się stanowi zasługę człowieka, pracę osobników i trud wieków wszystkich. Lecz Bóg czuwa i nad każdym osobnikiem i nad wiekami wszystkimi. O! Bóg nie da ni nam, ni Matce naszej marnie zginąć. Czuję melancholię w duszy i zanękanie w ciele, wierzę jednak, wierzę, że jeszcze czegoś będę narzędziem, że z ducha mego jeszcze błysną iskry“ [4].

---

[1] Do Słowackiego. Münich 28 lutego 1842. (Koresp. III. 36).
[2] Do Soltana. Kissingen 14 lipca 1842, str. 282.
[3] Myśli. Dzieła III. 162.
[4] Tamże.

Uspokoił się potem i już nie narzekał, ale z pokorą i dumą zarazem wypowiadał podobne przekonania przy rozmaitej sposobności, i co najważniejsza z tego wszystkiego, w jesieni tegoż roku zaczął pracować nanowo, mimo cierpień i osłabienia i mimo, że z tęsknoty i dla zdrowia przenosił się co parę tygodni, czasem co dni parę z miejsca na miejsce. Dnia 28 września 1842 r. Przedświt musiał być w głównych przynajmniej zarysach na ukończeniu, wtedy bowiem z Chiavari udaje się z prośbą do Gaszyńskiego o schadzkę w Nicei na połowę października, aby poemat poprawić pod względem formy i ułożyć sprawę drukowania[1]. Pojechał istotnie do Nicei, znowu jednak z powodu zdrowia później niż zamyślał, gdyż dopiero w połowie października; w Genui bowiem musiał odpoczywać[2]. Gaszyński zjawił się w Nicei, zbiegłszy ze swego stałego miejsca pobytu w Aix en Provence, i kilka tygodni przepędził z poetą, które dla pracy nad Przedświtem były nader korzystne. „W jesieni — mówi St. hr. Tarnowski — w Nizzy pisze się Przedświt..., z wielkim zapałem i rozmiłowaniem. Na konnych przejażdżkach lubi poeta powtarzać napisane ustępy, poprawia je i wykończa“ [3].

Samo towarzystwo Gaszyńskiego, chociaż na chwilę rozerwało i rozweseliło poetę, nie na długo jednak wpływ swój wywarło: „Po twoim wyjeździe znów mnie porwała melancholia i niemoc do wszelkiej pracy“[4]. Nawet i tych poprawek czy uzupełnień, które postanowiono, dokonać nie mógł, gdy na zimę udał się do Rzymu. Krew uderzała ustawicznie do głowy, przytem opanowały poetę smutne myśli, które łatwo pojąć, skoro miała to być ostatnia zima swobodna. Dopiero na wiosnę następnego roku 1843 plan cały przyszedł do skutku, chociaż w warunkach nader niepomyślnych. Mógł przyjść dlatego, że lekarze rzymscy wysłali poetę do fakultetu medycznego w Montpelier,

---

[1] Koresp. I. 197. Prosi tu Krasiński przyjaciela „o oddanie ważnej przysługi“, a z przypisku i z dalszego ciągu korespondencyi wynika, że o Przedświt właśnie chodziło.

[2] Do Gaszyńskiego. Genua 6 paźdz. 1842. (Koresp. I. 192).

[3] Przedmowa do lwow. wyd. Pism Z. K. I., str. XXXV.

[4] Do Gaszyńskiego. Nicea 6 listop. 1842. (Koresp. I. 199).

niedaleko Aix, aby uzyskać potwierdzenie swojej dyagnozy, że Krasiński cierpi na rozszerzenie serca [1]. Dyagnoza okazała się później słuszną [2]; ale poeta nie o niej myślał, lecz korzystając z bliskości położenia, dnia 2 marca uwiadamia Gaszyńskiego, że za dni kilka stanie w Aix, i jeżeli będzie można, to go zabierze z sobą do Marsylii i do Montpelier na jakie dziesięć dni. „Przez ten czas ukończymy razem owo malowidło, któremu już tylko dwóch sztychów brak, ale do nich koniecznie mi ciebie potrzeba“ [3]. Między 2 a 21 marca był istotnie w Aix i wziął z sobą Gaszyńskiego. Nie zostało jednak wszystko naraz załatwione, ponieważ Gaszyńskiemu obowiązki nie pozwoliły na dłużej wyjeżdżać z Aix, poeta zaś pospieszać musiał do Rzymu. Po drodze jednak rzecz załatwia się w Nicei, gdzie zatrzymał się do 3 kwietnia dla pani Delfiny Potockiej. Gaszyński przepisywał poszczególne ustępy i przesyłał autorowi raz jeszcze do przejrzenia, który też co chwila dorzucał poprawki. Znowu na spacerach i przejażdżkach w towarzystwie Delfiny układały się wiersze, a także atmosfera cała sprzyjała tej pracy, gdy, jak pisał poeta: „śliczne było niebo i w duszy błogo, spokojnie, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie przyszłości, o świecie ducha“ [4]. Dnia 25 marca przesyła Krasiński przerobiony ustęp od słów:

W znak królewski wśród ludzkości...

do

Pierwsze tylko dane życie,

sądząc, że tak lepiej, „tem bardziej, że coś metampsychicznego tu w tem pierwszem życiu i wtórej mądrości“. Troszczy się przytem o drobniejsze szczegóły, o wyrażenia, każe zmienić „duchowych wszechmocarzy“, a Grób i Śmierć dużemi pisać literami [5]. Tegoż dnia, przypomniawszy sobie, że podobno pomylił się, pisząc zrana:

---

[1] Do Gaszyńskiego. Nicea 2 marca 1843. (Koresp. I. 201).
[2] Do Sołtana. Aix en Provence 27 marca 1843. (Koresp. II. 291).
[3] Do Gaszyńskiego l. c.
[4] Gnatowski, „Moja Beatrice“. Warszawa 1880, str. 25.
[5] Koresp. I. 202—3.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem,
I nadzieje i zwycięstwa...

każe poprawić, jak było poprzednio:

I potęgi i zwycięstwa.

Dalej: „zdaje mi się, żem czytał u ciebie, a zapomniał poprawić:

Męki Polski w snach mogiły,

a powinno być:

Mękę Polski..." [1].

W dwa dni, 23 marca, posyła „rozmaite dawne myśli, które wydały mi się przypadającemi doskonale do Wstępu; położysz je na początku, tak jak ci wskazuję. Wstęp się takim sposobem na trzy części rozdzieli. Cały ranek przepisywałem i zmęczonym jak pies" [2].

W następnym liście, z dnia 24 marca, wspomina bliżej, co to były za ustępy; każe w nich mianowicie poprawić wyrażenie: „Ojca, który jest w niebie", na: „niebiesiech". To wyrażenie znajduje się we Wstępie prozą [3], i z tego wyrażenia, jakoteż z nakazu, aby to położyć na początku, jako pierwszą część z trzech części Wstępu [4], widać, że to był ustęp od początku, aż do słów: „Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości", gdzie zaczyna Krasiński rozprowadzać drugą myśl zasadniczą [5].

Głównie jednak samemu poecie zależało na przerobieniu ustępu: „Do strun siostro" [6]. Z początku kilkakrotnie obiecuje go przesłać poprawionym; wkrótce zaczyna się skarżyć: „Ach, te

[1] Koresp. I. 204. [2] Tamże, 205.

[3] Pisma II. 235 (wyd. lwow.). [4] Koresp. I. 206.

[5] Pan dr. J. B. Antoniewicz w rozprawce swojej o „Ostatnim" (*Kwartalnik histor.* 1889), mówiąc o „Ostatnim", dotyka mnóstwa innych kwestyj, a pomiędzy innemi i czasu napisania Przedświtu. Na str. 423 opowiada nam, że Wstęp „o wiele dawniejszych czasów sięga": na str. 427 — gdzie, nawiasowo mówiąc, datuje Przedświt z r. 1844 — wyjaśnia bliżej, że pod Wstępem rozumie pierwszy ustęp wierszowany, pisany „cztery lata wcześniej, którego odmienna od reszty poematu prozodya i intonacya zadziwia i prawie razi". Ponieważ na potwierdzenie tego nie cytuje autor nic innego tylko ów list pierwszy, przeto pomyłka jest widoczna, albowiem z listu drugiego wynika, że tu szło o Wstęp prozą, przyczem o czterech latach niema wzmianki najmniejszej.

[6] Koresp. I. 203—5, 207—8, 210.

struny mnie męczą! Muszę coś koniecznie wynaleść innego". (Nicea 24 marca 1843). Ostatecznie też pozostał ten ustęp niezmieniony, gdyż najpierw, jak sam poeta wyznaje, odepchnęło go od poematu ukończonego, a powtóre, za przeniesieniem w kwietniu do Rzymu, stosunki towarzyskie czas zabierały zupełnie. „Już odpadła mnie ochota, już mi się wydaje, że skończona całość, więc nad szczegółami duch już pracować nie chce. Już mi się roją inne pomysły, inne rzeczy, inny dramat" [1]... „Do strun nic nie przyszło, atmosfera co mię owiała, zarazą morową na struny" [2].

Z początkiem maja 1843, Przedświt ukazał się w druku [3], jako dzieło Konstantego Gaszyńskiego, z drukarni paryskiej Bourgogne et Martinet przy ulicy Jacob 30, poświęcony cieniom Henryka Ligenzy, zmarłego w Morreale 1840 r. Poświęcony był jemu dlatego, że poeta sam nie dostrzegał wybitnej różnicy pomiędzy „Trzema myślami H. Ligenzy", a Przedświtem. Owszem, kiedy w listach do Sołtana streszczał te poglądy, które weszły w skład ostatniego utworu, to na uzupełnienie ich posłał jeszcze przyjacielowi „Trzy myśli", gdyż, jak twierdził, „tam już przeczucie jakiejś wielkiej przemiany opanowało było umysł mój" [4].

W kilkunastu pierwszych dniach po wyjściu jego pisał poeta o Przedświcie: „Bądźcobądź, przekonanym teraz, że Przedświt nie głupstwem jest..." [5]; ...„jeśli w Przedświcie jest prawda, wyjdzie ona jak olej na wierzch, jeśli nie, to nie..." [6]. Traktował go też spokojnie i nie obawiał się zbytecznie o niego, mimo, że na samym wstępie w świat spotkała go jakaś nieprzyjazna recenzya [7]. Gniewało go tylko parę błędów drukarskich, które zło-

---

[1] Nicea 28 marca 1843. (Koresp. I. 208).
[2] Roma 17 kwietnia 1843. (Koresp. I. 211).
[3] Koresp. I. 214.
[4] München 17 grudnia 1841. (Koresp. II. 258).
[5] Do Gaszyńskiego. Grenoble 21 maja. (Koresp. I. 217).
[6] Do Gaszyńskiego. Grenoble 26 maja. (Koresp. I. 219).
[7] Pióra Platera. Wspomina o niej sam poeta w liście do Gaszyńskiego (Grenoble 26 maja 1843. Koresp. I. 219), ale jej odszukać nie mogłem. Domyślam się, że nie była drukowana, lecz prywatnie dowiedział się o niej poeta przez Gaszyńskiego.

żył na djablika zecerskiego [1]; zresztą wydał mu się dobrym w tej nowej szacie. „Kiedyś mi czytał ten poemat, zdawało mi się, że czasem wiersz przynaglony; teraz owszem, wydał mi się płynny, łatwy, pełen prostoty, bez szumu, i tak powinno być. A tobie?— zapytuje Gaszyńskiego, nawet w cztery oczy zupełnie w ten sposób, jak się umówili, że Przedświt będą traktować jako dzieło Konstantego — a tobie? choć to twoje własne, jakże się w tej nowej sukience wydało? Pytam się o to, bo wiem, że dla autora nawet forma materyalna Guttenbergowa, pewne odmiany przynosi, różne od rękopismowego wywiera wrażenie“ [2].

* * *

Zaczęty więc na papierze w styczniu roku 1842, Przedświt już naówczas zupełnie musiał być gotowym w duszy poety. Kiedy tam się począł, jak dojrzewał i pod jakimi wpływami — są to pytania wynikające nie z samej chęci, aby być historycznie dokładnym, ale z innej, ważniejszej jeszcze, aby osiągnąć właściwy punkt widzenia.

Dwa ma pierwiastki w swej treści, chociaż cały jak jest, może uchodzić za owoc czysto podmiotowych przekonań, jak to sam poeta przy końcu uczynił wzmiankę, że:

Tak wśród przedświtów lepszego poranka,
Marzył wygnaniec, marzyła wygnanka.

Jeden pierwiastek, to niezawodnie owo marzenie samo, które stanowi treść wszystkich ustępów, a we Wstępie prozą staje się ściśle naukowem dochodzeniem prawdy, które też jest ideą poematu i dlatego stanowi jego pierwiastek przedmiotowy; drugi, mniej widoczny i nieuchwytny, mimo to, że nim przejęte są pierwsze i ostatnie słowa poematu, wijący się przez całość, a z początku skombinowany nawet cudownie z pierwszym, ten drugi pierwiastek jest już istotnie czysto subjektywnym, gdyż dał go człowiek, nie poeta: pierwiastek erotyczny.

Zacząć od tego drugiego należy, ponieważ wiemy zaraz

[1] Do Gaszyńskiego. Turyn 15 maja 1843. (Koresp. I. 214).
[2] Tamże, 214, 215.

z pierwszych słów, że marzył tak poeta wspólnie ze swoją Beatrice. Kto ona była, wiadomo aż nadto dobrze, aby módz powiedzieć, że ostatecznie mało się wie o niej; chodzi tu bowiem nie tyle o stanowisko jej w społeczeństwie i rodzinie, ile o stosunek jej do umysłu poety. Sam poeta stosunek ten określić się starał w nazwie Beatricy; ale dziś zdala patrząc, widzi się, że ta nazwa najmniej jej odpowiadała, że jeżeli której z kobiet w życiu Krasińskiego, to już chyba prędzej należała się żonie jego, pani Elizie z hr. Branickich, do której przy końcu życia poeta napisał dwa owe wiersze wspaniałe, tchnące obok uczucia i miłości, także szczerością i prawdą. O Delfinie powiedziano aż nadto słusznie, że nie była nawet w przybliżeniu taką, jak ją poeta widział i przedstawił, aż nadto słusznie i teraz do psychologii należy wyjaśnić, dlaczego ją taką widział. Od chwili jednak, kiedy z początkiem 1842 r. weszło jej imię i pamięć raz nazawsze do poematu, zależy już mniej na tem, czy słusznie, czy nie, a cała kwestya w tem, dlaczego weszła; zależy mało na tem, czy każdemu wydałaby się Beatricą i w jakim stopniu, a chodzić musi o to, jak się wydała poecie, a jak ją w poemacie wysławił. Czy takie osądzenie i mierzenie poetyckich pomysłów skalą własnej duszy poety nie jest, jeżeli nie głównym celem, to logicznym wynikiem i jedną z ważnych korzyści historycznej krytyki, która bada dokładnie genezę każdego dzieła? Jest z pewnością i wyzyskać ją należy.

Wstecz, przed r. 1842, znajomość z Delfiną Potocką istnieje od początku r. 1839, od zimy spędzonej w Neapolu. Byłoby miejsce w biografii poety mówić o tem, zkąd się wzięła miłość, jak od lekkiej, salonowej antypatyi przeszła całą skalę aż do gwałtownego uczucia; tu wymienić tylko należy główne jej cechy. Opartą była na podobieństwie sytuacyi społecznej, a w części moralnej; oboje młodzi — chociaż Delfina miała naówczas lat 31 — oboje w chwili spotkania obeznani o tyle z ubitymi torami życia i tak nieszczęśliwie, jednostronnie, iż mogli myśleć, że na nich szczęścia im nie znaleść; zawiedziona w małżeństwie kobieta i mężczyzna, który nie wierzył, aby małżeństwo było najwyższą formą miłości, który za inną gonił już oddawna i przegonił się

w stosunku z panią B., niedawno (koniec r. 1838) zerwanym, mieli niezawodnie dość podobieństwa, aby obudzić nawzajem zajęcie. To też — o Krasińskiego nam chodzi — ta kobieta, której życie stargane było właśnie przez tę formę znienawidzoną, gdy pierwsze chwile poznawania się minęły i poza paryskim akcentem okazały przecież duszę zbolałą, stała się odrazu symbolem niezasłużonego nieszczęścia, ofiarą konieczności wyższej, nieubłaganej, narzuconej przez świat i jego wymagania. Stała się tem jeszcze bardziej, jeszcze żywszą aureolą otoczyła się bezwiednie, kiedy poeta popadł w położenie całkiem podobne, jak ona, kiedy na naleganie ojca, wbrew tylekroć objawianym zapatrywaniom, nie mówiąc już o tem, że wbrew skłonności serca, uczynił w czerwcu 1841 r. jakiś krok stanowczy, który miał go już wiązać i o małżeństwie na seryo myśleć kazał [1]. Mógł się teraz Krasiński spodziewać — chociaż, jak wiadomo, tak się nie stało — że znajdzie tyle goryczy w tem małżeństwie, ile ona znieść musiała upokorzeń wskutek dwuznacznego położenia swego, jako oddzielona od męża, wszakże jeszcze nie wolna. I przez to samo podobieństwo stać się mogła jeszcze droższą dla niego,

[1] Czy się zaręczył? Sprzeciwił się ostro temu przypuszczeniu St. hr. Tarnowski (ob. *Przegląd Polski* 1890, recenzya dra Antoniego J.: „Moja Beatrice"); w każdym razie, krok jakiś stanowczy uczynić musiał. Tyle wnosić można z listu do Sołtana (Münich 24 września 1841. Koresp. II. 247—8), gdzie prosząc przyjaciela o zachowywanie listów w tajemnicy, tak tę prośbę popiera: „bo pełno uszów czyha teraz na każde słowo moje: lada jakie może zaszkodzić, wprawdzie nie moim celom, ale tym, które podzielić, których uczestnikiem być się podjąłem, a więc jak gdyby i moim. Rozpacz ojca, zwątlone jego zdrowie, zmusiły mnie! Nie miałem czem i sił i życia mu poddać; jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc? cóż było robić! Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go zabijało! Czyż i z mojej dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie, miało paść mu na serce? Nie, Nie! Gdym ujrzał, że doprawdy tem tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie co zabić zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć! Takie dzieje moje, nic innego w nich nie szukaj".

Że ten krok stanowczy zaszedł w czerwcu, domyślać się można raz, że w tym czasie widział się Zygmunt z ojcem (Koresp. II. 236), powtóre z wiersza, noszącego datę 24 czerwca 1841 (Pisma III. 60, 61), nie mogącego za nic w świecie odnosić się do Delfiny Potockiej, znanej i kochanej już od lat trzech.

ale dodać potrzeba, że i z innych pobudek poszła wysoko w opinii jego: nie porzuciła go mimo to, że wzamian nie mógł jej dać nazwiska, nietylko dlatego, że ona nie mogła go przyjąć, ale co ważniejsza, dlatego, że on komu innemu je składał. Taką była, gdy w r. 1842 poeta zaczął pisać Przedświt i tak też przemawiał do niej:

Tam, gdzie ból rośnie, tam, gdzie łza się plemi,
Tyś z bratem twoim została na ziemi!
W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni, krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja,
My pili razem, o Beatrix moja!

W tych samych dwóch ustępach, pierwszym i ostatnim, gdzie Beatrice kilkakrotnie siostrą jest nazwana, zawarty jest i drugi rys jej charakterystyczny, według którego powinnaby stać umysłowo narówni zupełnie z poetą, a raczej o tyle jeszcze wyżej, że pierwsza miała poddawać wspaniałe myśli na temat przyszłości, które on dopiero przerabiał i włożył w poemat. Wspomniawszy mianowicie o ciężkich przejściach i zwątpieniach, które przebył duch jego, zajmując się najwyższemi zagadnieniami ludzkości i narodu, a których ślad pozostał niewątpliwie w „Trzech myślach", Krasiński nazywa te chwile piekłem, zkąd uratować go miała Beatrice, pani,

Której się wzroku czarne duchy boją...

Ani mowy niema, żeby Delfina Potocka podobną rolę odegrała w życiu poety, lub odegrać mogła; ale tu właśnie odnosi się to, co myślimy o poetyckich pomysłach, że je mierzyć należy skalą własną poety. Ile w tem powiedzeniu reminiscencyi z „Boskiej Komedyi", łatwo poznać, możnaby to nawet wprost uważać za fikcyę poetycką, przejętą z Dantego, który wielki wpływ wywierał na Krasińskiego, i nie liczyć się z tem na seryo, jakoby istotnie pani Delfina miała go powstrzymywać na drodze negacyi i zwątpienia, i zwrócić na drogę dociekań; wolimy jednak i przytem uszanować i zrozumieć złudzenie poety. Zrozumieć zaś można je zupełnie, chociaż się w nie nie wierzy, a o to nam właśnie idzie.

W czasach bowiem, kiedy na podstawie listów umieścić należy ostateczne dojrzewanie Przedświtu, a przedewszystkiem w drugiej połowie 1841 r., bezpośrednio przed wzięciem się do pióra, kobieta ukochana, Polka, była świadkiem, towarzyszką i sprawczynią po części chwil bardzo szczęśliwych i uroczych dla poety, tem bardziej szczęśliwych i uroczych, że kradzionych życiu rzeczywistemu, w które wszedł poeta, kiedy w r. 1841 zrobił ów jakiś krok stanowczy. Kiedy rozdrażniony i zbolały tak dalece, że Stanisławowi Małachowskiemu, jako jedyne słowo warte powtarzania, zalecał *memento mori* — wyrwał się nareszcie na kilka tygodni od świata i z końcem października pojechał do Szwajcaryi, „ku nizinie lombardzkiej, ku słońcu swojemu" — widział się tam i czas przepędzał z panią Delfiną Potocką. „Potrzebowałem wytchnąć, potrzebowałem być sam, zupełnie sam, odświeżyć się wśród skał i borów i kaskad, które o zabiegach świata tego nic nie wiedzą, jedno żyją w przyrodzonej piękności, tak jak Bóg je stworzył" — pisze, wspominając o tej wycieczce [1]. W innym liście dowód widoczny, że w istocie powrócił orzeźwiony i pełen otuchy na przyszłość: „Ja przebyłem półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że świat stworzony, świat skał i wód, pięknym jest, pocieszając się jego widokiem; przeszłość, za którą tęsknię, i przyszłość, której się lękam, odsuwając zprzed ócz ducha, moment starając się uwiecznić, stawiając go sobie przed duszą, jak posąg greckiego boga, doskonale piękny, choć ściśle skończony! i modląc się przed tą znikomą teraźniejszością i czując, że jeszcze mogę być szczęsnym, natchnionym, żem jeszcze nie umarł wieczną śmiercią ducha" [2].

Uczuł, że może być natchnionym, porywały go zapewne pierwsze uczucia i dreszcze budzącego się do życia poematu — a gdy to wszystko przypadło na chwile szczęścia, doznawanego w towarzystwie kochanki, nic dziwnego, że później, kiedy już pisać zaczął, myśl, której raz wodze puszczono, dotknęła i tego,

[1] Do Sołtana. Münich 10 listop. 1841. (Koresp. II. 249).
[2] Do Gaszyńskiego. Münich 18 listop. 1841. (Koresp. I. 190).

co współcześnie z nią zachwycało i unosiło poetę: uczucia dla Delfiny. Tem bardziej, że ona niezawodnie wtajemniczona była w pomysł poematu, zajmującego się przyszłością ojczyzny, tematem dla żadnej Polki nie zamało zrozumiałym. Zkądinąd zresztą wiemy, że rozmawiał z nią poeta o najwyższych zagadnieniach, już kiedy Przedświt był gotów w Nicei 1843 roku. Że z towarzyszki rozmów na temat już przygotowany przez poetę, z kochanki, która zresztą miała tysiąc słów pociechy dla cierpiącego geniuszu, wyszła aż na Beatrice, która sama wszystko poddawała — to był tylko skutek kojarzenia się uczuć i pojęć bezwiednie zupełnie, a tak zgodny ze zwykłym tokiem rzeczy, że tylko skonstatować go należy. Wprowadzając panią Delfinę Potocką jako Beatrice swoją, wiążąc w ten sposób myśli swoje z osobą, która rozwoju ich była świadkiem i uczestnikiem, a jako kobieta ukochana przez samą obecność swoją tyle sprawiała, że się one pogodniej i jaśniej rozwijać mogły — Krasiński miał słuszność, psychologicznie rzecz biorąc; według istotnego stanu rzeczy, mylił się jednak mocno. Te „marzenia", ten drugi pierwiastek Przedświtu, poszły zkądinąd.

O ile dotyczyły wogóle kwestyi całej ludzkości, a w niej narodu, o tyle poszły z położenia, w jakiem się naówczas cała Europa znajdowała, a przedewszystkiem z losu, który w niej najgorszy dostał się nieszczęśliwemu narodowi. W tem też pojmowaniu rzeczy Przedświt, chociaż tak odległy i w szczegółach różny od dzieł naszej poezyi porozbiorowej, a dokładniej poezyi po roku 1831, należy jednak do niej, i to do rzędu tych dzieł, które ze względu na ogólny charakter, mistycznemi nazwano. Zkąd się wziął mistycyzm u nas i ten charakter całego szeregu utworów poetycznych właśnie? Mistycyzm naszą, specyalnie polską własnością nie jest: powstał on i do nas przyszedł — rzecz dziwna — z krajów szczęśliwszych, i to dużo pod każdym względem szczęśliwszych niż my: z Niemiec i Francyi; więcej nawet z Francyi, gdzie emigracya nasza przesiąkała nawskróś temi politycznemi i społecznemi myślami, które w konkluzyach swoich przechodziły w marzenia, w mistycyzm. Nie nasi pisarze stworzyli pierwsi ten np. historyozoficzny pogląd, że w dziejach ludz-

kości dana została jakiemuś narodowi misya szczególna, i to w tej właśnie rozpacznej chwili, kiedy systemy filozoficzne upadały jeden po drugim, Kościół nie mieszał się do niczego, a wszystkie społeczeństwa podminowane były tajnymi, społecznymi spiskami. Kto powie pierwszy wielkie słowo programowe, od którego narodu ma się rozpocząć odrodzenie, który ma dać wzór do niego — to były pytania, pochodzące ztąd, że we wszystkich wyższych umysłach panowała poprostu panika z powodu stanu i stosunków wszystkich społeczeństw. Cóż mówić, kiedy wśród najbardziej wykształconego narodu, ale zarazem pośród najbardziej zagrożonego społeczeństwa, znalazł się w samym środku kwiat inteligencyi obcego narodu, i to już nie zagrożonego, ale wprost po roku 1831 zdawało się, że na zagładę powolną skazanego. We Francyi znalazła się emigracya nasza. Zbytecznem byłoby mówić, o ile ten stan umysłów za granicą oddziałał na kierunek naszych wyobrażeń; dość wspomnieć, że wszyscy nasi poeci łączyli kwestyę odbudowania ojczyzny z odrodzeniem ludzkości całej, że jeżeli naród swój za nieszczęśliwy uważali, to się spodziewali, że ten nieszczęśliwy do szczęścia powróci, gdy inne szczęśliwe ale złe, poprawiać się zaczną i na nowe tory wejdą. „Księgi Pielgrzymstwa“ pewnie, że są własnością Mickiewicza bezsprzeczną, tych idej on znikąd nie przyjął — ale pobudką do nich nie były tylko stosunki nasze, i dlatego takie głośne echo znalazły wszędzie i pośród Francuzów samych. Wszyscy rozumieli je dobrze.

O tyle też i Przedświt jest owocem swego czasu; ale żeby kilku słowy przypomnieć, jest on owocem stosunków specyalnie polskich. Wyszedł w druku r. 1843, ale poprzedziły go utwory Mickiewicza, a przed Mickiewiczem jeszcze pisma polityczne Brodzińskiego, potem szereg cały poematów, które w wykonaniu i w skutkach mniej lub więcej szczęśliwe, dziś może i zapomniane po części lub nierozumiane, znaczą jednak wybitnymi śladami rozwijanie się myśli polskiej. Wszędzie w nich jedna i ta sama myśl, wszędzie pesymizm nad stanem społeczeństw, usilne dążenie do rozwiązania zagadki ich bytu i mocna wiara w opatrznościową przyszłość narodu własnego.

Pośród tego, umysł Krasińskiego dziwną przebywał drogę. W 17-tym roku życia wyjechawszy z kraju, do końca życia pozostał, z małymi wyjątkami, zdala od niego i zdala od emigracyi. W powstaniu udziału nie brał, rozpaczy tych i tych scen okropnych po niem zbliska nie widział, ale we wszystkiem brał serdeczny udział. Ustępy z listów, a w nich alegorya p. t. „Wygnaniec", świadczą najpierw, że rwał się do broni, że go od niej wola wyższa powstrzymała, że go to powstanie razem z nieszczęśliwym swym końcem o pierwszą chorobę i ciężkie cierpienia przyprawiło, bo obok najgorszych moralnych, i fizyczne do niej się przyłączyły. Potem długo ukoić się nie mogąc, jeździł z miejsca na miejsce, ciągle i od emigracyi i od kraju zdaleka. Jedno i drugie nie pozostało bez wpływu na rozwój uczuć i przekonań. Ile emigracya na Mickiewicza np. wprost szkodliwie działała, mimo, że z niej wyszły najpierw „Księgi" i III. część „Dziadów" — tyle oddalenie od niej Krasińskiego było po części korzystnem wyzwoleniem się zpod tego, co było w niej chorobliwem i na czem w przeciągu dziesięciu lat wyrosła później Towiańszczyzna. Do Krasińskiego dochodziło wszystko oczyszczone i uszlachetnione: wziął w siebie rozpacze i bóle, ale lekarstwu się nie poddał, w rzędzie naśladowców Mickiewicza nie stanął, a choć jak on i tam gdzie on szukał pociechy, chociaż o „Księgach" i o „Improwizacyi Konrada" z uwielbieniem się wyrażał, to nie uległ im tyle, żeby się nie zdobyć na sąd, że „będzie ono raczej szkodliwe niż użyteczne; bo mało kto zrozumie cele autora, cele najczystsze, najświętsze"[1].

Poszedł Krasiński sam w drogę i nanowo zaczął ją, nie od tego, gdzie inni skończyli. Zjawia się w roku 1835 „Nieboska Komedya", napisana rok przedtem, zrodzona pewnie jeszcze w latach 1832—33. Myliłby się, ktoby sądził, że przez treść swoją społeczną nie należy ona do tej emigracyjnej poezyi naszej, będącej polityczną przedewszystkiem. Jej końcowe słowa: *Galilaee vicisti*, są najpierw tem, co ją stawia wyżej ponad czysto społeczny poemat, a obok tego, jest ona znowu objawem ogólnego stanu umysłów. *Galilaee vicisti* zaś, nie zmieniło się już do końca za-

[1] Do Gaszyńskiego. Rzym 16 grudnia 1833. (Koresp. I. 44).

wodu poetycznego Krasińskiego, przeniosło się potem do jego historyozofii, do Przedświtu przedewszystkiem. W r. 1836 „Irydion“, będący kto wie czy nie odpowiedzią na „Konrada Wallenroda“, należy jeszcze napół do „Nieboskiej“, napół wysuwa się już naprzód ku Przedświtowi. Końcowe słowa o pracy z miłością w sercu i na ustach, przeznaczenie „Irydionowi“ jako pola do tej pracy, ziemi mogił i krzyżów na północy, jest już wyraźną zapowiedzią, gdzie będzie widział poeta dla narodu swego odrodzenie, kiedy nareszcie nim samym, niepodzielnie się zajmie. Ponad „Trzema myślami Ligenzy“, dostaje się wykrzyk Pankracego, przepowiadający Chrystusowi zwycięstwo i myśl „Irydiona“ — do Przedświtu. Tu ona z innej strony już rozwinięta. Były to też inne czasy; poeta miał za sobą takie błędy mistycyzmu, jak Towianizm, a przedewszystkiem nie zapominajmy, że Przedświt w zawodzie jego miał być dokładnem ujęciem w nowe karby i rekonstrukcyą tego gmachu, który się budował od „Nieboskiej“ począwszy, a zachwiał nieco wskutek „Trzech myśli“, a obok tego, co dzisiaj widzimy, zawiera on już zarodki „Psalmów“.

W ten sposób tworząc w tym zawodzie punkt kulminacyjny, jak go nazwał St. hr. Tarnowski, Przedświt z drugiej strony rozpoczyna szereg tych utworów, w których Krasiński przemawiał już nietylko do ludzkości całej w jej kwestyach ogólnych, ale do narodu bezpośrednio w sprawie jego odrodzenia. Przez to, że Przedświt różni się o tyle od dzieł poprzednich, łatwiej również odszukać i początek jego, tem więcej bowiem w duszy zjawić się musiało nowych pierwiastków.

Z wielu względów, przedewszystkiem dlatego, że w poemacie naszym wielką rolę odgrywają pojęcia chrześcijańskie, na których opiera się cała budowa przyszłości, zacząć należy od stanowiska, jakie Krasiński zajął wobec religii. Wiadomo, że pojęcia jego katolickie zachwiały się w poprzednim zaraz poemacie, w „Trzech myślach“; wiadomo, że dawniej, choć poeta nigdy nie był niedowiarkiem, było jednak więcej genialnej poezyi w religii jego, niż szczerej religii w poezyi. Do dna katolicyzmu, gdzie spoczywa prostota obok wzniosłości najwyższej, nie sięgał przedtem nigdy. Teraz dopiero zaczyna czuć i pojmować jednę i drugą.

Zaczęło się to wszystko w r. 1839, kiedy poeta bawił we Fryburgu i mieszkał niedaleko kościoła katedralnego, zbudowanego w stylu gotyckim, jednego z najpiękniejszych pomników sztuki średniowiecznej. Składało się wszystko na to, żeby poeta stał się romantykiem w religii, jak dawniej. Ile razy potrzebował samotności, szukał jej zawsze w tych murach — a jakie myśli budzić się mogły na widok gotyckich sklepień, za któremi tęsknił od młodości, które były dla niego ostatnim wyrazem cywilizacyi średniowiecznej, widzianej w świetle tradycyi, domyślalibyśmy się sami, gdyby tego zresztą sam poeta nie opowiedział: „Nie wyobrazisz sobie, jaka tu pyszna jest katedra; chodzę do niej codzień po kilka razy i za jej progiem zapadam w przeszłość średnich wieków. Zdaje mi się nieraz w tym pustym kościele, żem otoczony duchami tych, którzy za wiarę polegli; farby mistyczne tych szyb przecudownych leją się w duszę moją, jak tęczy jakiejś smętnej, świecącej nad grobem męczenników, promienie, i nieraz podnosząc głowę ku krzyżom, pytam się: azaż zmartwychwstaną, Panie? Lecz zawsze pusto, lecz wiecznie milcząco — nie zejdą zpośród ram obrazów Matki Boskiej, nie ruszą się Święci z podstaw posągów, postać Chrystusa niewzruszenie przybita do krucyfiksu. I głos mój, odbiwszy się o sklepienie gotyckie, kona“ ![1]

Przypomina się wprawdzie odrazu scena w grobowcach z Przedświtu; nie o to jednak nam chodzi, i genezy tej sceny nie można szukać w katedrze fryburskiej, gdyż jedna i druga ma swoje źródło w tej miłości, charakteryzującej zawsze poetę, „która nęci wiecznie duszę w kraj pamięci“, a która właśnie i teraz, w tych uczuciach religijnych, które katedra wzbudziła, stanowi jeszcze dawniejszy pierwiastek nieszczery, romantyczny. Na tem jednak nie stanął rozwój tych uczuć, byłoby to zamało; Krasiński podziwiał bardzo katedrę, prawda, ale był za głęboki na to, żeby wrażenia zewnętrzne, choćby najsilniej poetyczne, mogły były nadać konsystencyę jego przekonaniom i ustalić jego wiarę. One były tylko środkiem, przez który zaczęła się dosta-

[1] Do Sołtana. Fryburg 20 września 1839. (Koresp. I. 174).

wać i odżywiać wiara, bez wątpienia nieco przytłumiona w czasach ostatnich. W tym samym czasie pobytu poety we Fryburgu, doszła go wieść, że z początkiem września żeni się jeden z jego serdecznych przyjaciół, któremu wiele zawdzięczał, Edward Jaroszyński. Małżeństwo, jako forma miłości, nie cieszyło się wielkiem uznaniem ze strony poety; miał do tego osobiste przyczyny. Pierwsza ta, że sam w niem nie mógł szukać szczęścia, ponieważ kochał kobietę nie wolną; druga, że świeżo, w marcu 1839 r., zawiódł się inny przyjaciel jego, Danielewicz, którego oszukała kobieta, z którą miał się żenić. Pisząc o tem, Krasiński dodaje, że była to jedna z dwóch rzeczy, które mu rozum odjęły [1]. Teraz zaś, na wieść o małżeństwie Jaroszyńskiego, poruszył się podobnie, trwoga go ogarnęła za przyjaciela, czy związek na całe życie okaże się takim, żeby mógł dać szczęście. Ze swojej strony zaś dał wtedy na mszę św. w tej samej katedrze, „a na tej mszy — donosił Jaroszyńskiemu dnia 25 września 1839 r. — będzie się modlił gorąco człowiek, który już oddawna nie klęczał podczas mszy w kościele: będzie prosił Boga o wieczność miłości dla tego, którego kocha, i dla tej, którą ten, którego on kocha, ukochał“ [2].

Zapewne, że i to nie było wolne od dawniejszego poetyzowania w uczuciach religijnych, było jednak w każdym razie znacznym postępem na drodze od „Trzech myśli“. Ztąd niezawodnie wszystko się zaczęło, a skończyło bezpośrednio przed samym Przedświtem, kiedy poeta sięgnął już do najczystszych źródeł tych uczuć, do Pisma św., czego dowód w licznych cytatach w ustępie prozą, i do pism św. Augustyna, czego znowu dowód w listach. Równocześnie z tym pierwiastkiem zjawia się inny, w części nowy, a połączony, podobnie jak u wszystkich innych poetów naszych, nader silnym węzłem z pierwszym, pierwiastek narodowy. Zwrócono dawno uwagę na odrębny sposób drogi, jaką szedł umysł Krasińskiego, od zagadnień ogólno-ludzkich w „Nieboskiej“ i „Irydionie“, do czysto polskich w Przedświcie i „Psalmach“. Przedświt też, będąc na tej drodze punktem

[1] Koresp. II. 153. [2] Tamże, III. 77.

kulminacyjnym, jest — jak zwracaliśmy uwagę — pierwszem dokładnem rozwinięciem myśli patryotycznych, a ostatniem odbiciem dawniejszych.

Jeszcze w tym samym roku 1839, po raz pierwszy to się pojawiło, a po części odżyło, połączone znowu — oczywiście przypadkiem — z imieniem Delfiny Potockiej. Poeta bawił wówczas u jej boku w Neapolu, szczęśliwy i kochający już, kiedy w zatoce neapolitańskiej improwizował ową modlitwę, w której prosi Boga o wyrwanie „nas z cieniów, które spadły na nas", o obudzenie „ze snu, w którym marzym, że zbrodnie i podłość przechadzają się po przestrzeniach, jak blade widma, jak dzieci nicości, jak ponure kłamstwa".

Nie było tak jednak, żeby ten zwrot stanowczy miał przyjść jako konieczny towarzysz zwrotu religijnego. Miał on głębszą, inną jeszcze przyczynę. Z końcem 1839 r. odnowił poeta znajomość i zawarł przyjaźń z Augustem Cieszkowskim, o którym w pierwszej chwili z Medyolanu dnia 13 listop. dość lakonicznie donosił: „Spotkałem się z Augustem Cieszkowskim, autorem polemiki przeciwko systematowi Hegla w jego ostatecznych wnioskach. Dawniej znałem się z nim w dzieciństwie. Ta sama bona nas wychowała. Dzieło jego wiele w Berlinie hałasu narobiło. Dobry i rozumny wysoko chłopiec; kilka rozmów z nim miałem, bardzo ciekawych" [1].

Wiadomo, że tem dziełem „dobrego i wysoko rozumnego chłopca", były *Prolegomena zur Historiosophie*, wydane w Berlinie 1838 r., których Krasiński jednak wówczas bez wątpienia jeszcze nie znał. Wiadomo jednak napewne, że niedługo potem, jeszcze przed lutym 1840 r., już je przeczytał i nawskróś się niemi przejął; już bowiem dnia 21 lutego w liście z Rzymu streszczał je Jaroszyńskiemu, dodając, że zawierają „myśli takie, że duch nasz kornie się im ukłonić powinien" [2], a dnia 27 lutego przed Sołtanem mówi z entuzyazmem o Cieszkowskim, że ma go „za geniusz, który nie umrze cały" [3].

---

[1] Koresp. II. 185. [2] Tamże, III. 93.
[3] Tamże, II. 187.

W Prolegomenach uderzyło go i zajęło to przedewszystkiem, do czego one od początku do końca zmierzają, i co wobec Hegla było nowym i znacznym postępem. Krasiński, choćby nawet nie znał tak, jak znał system Hegla, mógł odrazu się dowiedzieć, na czem polegała nowość Prolegomenów; Cieszkowski bowiem rozpoczął od ostatniego słowa Hegla i sam zaznaczył różnicę w pojmowaniu rzeczy. O dwa mianowicie punkta głównie chodziło: najpierw o ogólny systemat zjawisk, a następnie o zastosowanie go do historyi rodu ludzkiego. Ogólny systemat mówił o sławnej w swoim czasie na świat cały teoryi, która dziś jeszcze pokutuje po mnóstwie umysłów, nawet samorodnych — o teoryi tezy, antytezy i syntezy, a którą Krasiński jeden z pierwszych w Polsce przejął i powtórzył, kiedy w „Nieboskiej Komedyi“ rozwiązał zagadkę społeczną w ten sposób, że jako syntezę arystokratycznej tezy hr. Henryka i demokratycznej antytezy Pankracego, postawił swoje chrześcijańskie *Galilaee vicisti.* To więc już znał, i głównie o to teraz chodziło, aby tę zasadę trychotomii konsekwentnie wszędzie przeprowadzić. Tymczasem w historyi przyjął Hegel system tetrachotomii, i uważając ją za zupełnie skończoną, podzielił na cztery epoki: oryentalną, grecką, rzymską i chrześcijańsko-germańską. Cieszkowski wystąpił przeciwko temu, na tej zasadzie głównie się opierając, że podział ten gwałci pochód historyi, dotychczas nieskończony, i przesądza o przyszłości. *Also ist est bei dieser Periode mit der Geschichte aus, also hat die Menschheit ihr letztes Stadium erreicht?* [1] — pyta, doprowadziwszy rozumowanie do tego punktu. Ponieważ nie, więc podział jest najpierw zbyt mechaniczny, a powtóre sprzeciwia się właśnie zasadzie trychotomii. Hegel więc postąpił sobie niekonsekwentnie, a ztąd Cieszkowski uważa sobie za obowiązek błąd jego naprawić i z systematu wycisnąć wszelkie najdalej idące konsekwencye, gdyż — jak sądzi — będzie to najlepszym dowodem prawdziwości pomysłu Hegla, a potem będzie największym hołdem dla tego olbrzyma najnowszej filozofii. Myśl Cieszkowskiego jest całkiem prosta i jasna: ponieważ historya nie

[1] Prolegomena, str. 5.

jest skończona, nie można więc podziału jej opierać i kończyć na dniach dzisiejszych, lecz należy ogarnąć jej całość. Całość zaś jej składa się z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, i to też jest podstawą podziału, to jest system tezy, antytezy i syntezy w historyi. W ten sposób wyzyskuje się praktycznie pomysł samego Hegla o trychotomii, a dalej wlicza się w ten sposób przyszłość do nauki historyi, nadaje się jej równouprawnienie, i zestawiając z historyą przeszłości i teraźniejszości, pozwala się mówić o niej w podobny sposób, jak o tamtych. O przyszłości jednak dwojako może być mowa: albo przez odgadywanie jej *(praesagium)*, co wcale nie należy do umiejętności historyi, albo też przez przewidywanie jej *(praescientia)*, co jest właściwą dla niej rolą. W tem jej przewidywaniu jednak nie chodzi o szczegóły, nie chodzi o to, aby przewidzieć czyn jakiś albo bohatera: *sondern darauf (es kommt uns), dass die eigentliche Natur der Menschheit erforscht, die Gesetze ihres Fortschrittes bestimmt, dessen Manifestation in der Geschichte vernünftig erkannt, der zurückgelegte Weg in sich und in seinem Verhältniss zum künftigen abgeschätzt, endlich, die Perioden dieses fortwährenden Sichgestaltens mit ihren bestimmten inhaltigen Typen, welche die gesetzte Realisation der der Menschheit virtualiter eingeprägten Elemente sind, festgesetzt werden; und dieses ist gerade das eigentliche Geschäft der Philosophie* [1].

Jeżeli dla Krasińskiego myśl zajmowania się przyszłością nie była wogóle nową — wszystkie prawie dotychczasowe jego poemata o niej mówiły — to w każdym razie sposób przedstawienia tej myśli u Cieszkowskiego ze strony naukowej, mianowicie nazwanie jej *praescientia*, podniesienie do godności nauki, było czemś zupełnie nowem, co jednak doskonale odpowiadało jego wyobrażeniom. Wiadomo z przytoczonych wyjątków z listów, że od pierwszej chwili, gdy przeczytał Prolegomena, Cieszkowski mocno go zajął. I nie mogło być inaczej: nic piękniejszego, nic bardziej pożądanego dla poety polskiego być nie mogło, jak gdy mu naukowo dowiedziono, że przewidywania przyszłości domaga się od niego nietylko wewnętrzny, wrodzony popęd, ale

[1] Prolegomena. str. 12.

sama logika i konsekwencya faktów; pchnęło to też Krasińskiego wprost na drogę zajmowania się przyszłością narodu swego własnego. W jednym z listów z tych czasów, kiedy idea Przedświtu górowała ponad wszystkiem, dnia 26 stycznia 1842 r., tłumaczy Sołtanowi swoje zajmowanie się przyszłością w ten sam prawie sposób, jak Cieszkowski, zwracając zarazem, jak on, uwagę, że tu o ideę, nie o szczegóły chodzi: „Jako przeszłość cała, tak i przyszłość wszystka już zawarta w tobie: pierwsza już się rozbudziła i wiesz o niej, druga się przebudza i dowiadujesz się o niej. Nic dziwnego, że możesz ją przeczuwać i przewidywać czasem! Logika jest jej koniecznością, idea jest jej niechybną, tylko sposoby, środki, anekdota rzeczy nieodgadniona...“ [1]

W rok mniej więcej później od tego czasu, kiedy poeta poznał Prolegomena, zjawiła się Towiańszczyzna. Dowiedział się Krasiński o niej i o jej treści, dokładnej zapewne, z listów Słowackiego i Gaszyńskiego, a jak ani na chwilę nie uwierzył w nowego proroka, tak też zaraz na pierwszą wieść o niej wyraził się w ciekawy sposób: „Dużo o tem myślałem i myślę. Jużem ci wyznał z głębi serca, że wierzę głęboko w ideę tego, a przypadkowości i akcydensa, anekdotki i ceremonie, że tak powiem, rzeczy, mam albo za oszukiwanie siebie samego przez siłę nieznaną dotąd, albo za oszołomianie drugich szalbierstwem. Jednakowoż pierwsze przypuszczenie wiarogodniejszem. Dotąd jednak i to powiem, żem nie słyszał jednego zdania ztamtąd wyszłego, któregobym zaraz nie mógł był sobie wywieść logicznie, dowieść sobie samemu najfilozoficzniej i najserdeczniej uczuć w sobie zarazem“ [2].

Odtąd walka z Towiańszczyzną, prowadzona bronią w znacznej części, jak z powyższego już widać, na Prolegomenach wyostrzoną, była drugim impulsem do napisania Przedświtu. Pytanie tylko, co Krasiński w nauce mistrza uważał za „przypadkowe i akcydensa, anekdotki i ceremonie rzeczy“? Trudno odpowiedzieć, dlatego, że nie mamy tych listów, w których mu

---

[1] Koresp. II. 268.

[2] Do Sołtana. Münich 26 stycznia 1842. (Koresp. II. 266—7).

o Towiańskim donoszono. Domyślać się jednak można. Kiedy Przedświt był już gotów i w świat puszczony, Krasiński w ten sposób mówił o nim przed Gaszyńskim: „Zdaje się, że szkoła nierada, iż jej myśl odtajemniczoną została, odmistycyzowaną, wolałaby dłużej pozostać w misteryum, czy mistyfikacyi stanie; ale co prawdą, to musi być na jaśnią wyrwane i promienie słońca wytrzymać“ [1]. Z tego właśnie domyślać się można, że akcydensami i anekdotami były dla niego ciemna i zawiła organizacya, którą stworzył Towiański w kołach braci, a dalej, że bezpośrednim powodem do historyozofowania na tle polskiej przyszłości była dla niego nauka Towiańskiego, z którą pogodzić się nie mógł. Gdzieindziej występuje to jeszcze wyraźniej: „Jakaż to teorya o przechodzeniu dusz, czyli inaczej o strzeżeniu ludzi przez dusze zmarłych, zaczyna się tam znowu rozgadywać?“ — pyta w jednym z listów z niedowierzaniem, oczywiście o Towiańszczyźnie myśląc; ale zaraz dalej przyznaje jej w głównych zarysach racyę: „To pewna, że dziwny powietrzokrąg mistycznych wpływów nas okrąża — fala objawień bije nam w serce i jeszcze się rozbija, ale coraz silniej bije i wraca, i kusi w wieczność duszę nieśmiertelną. Kto jak Polska nie miał przeszłości, bo o nią nie dbał, kto nie ma teraźniejszości żadnej, a jednak mimo to i tamto żyje, jest duchem żywym — czemże być może, jeśli nie wybranym przyszłości? Loika to niezbita, jeśli Bóg opatrzny prowadzi dole ludzkie — a któż wątpiłby śmiał o tem? Więc jak Bóg na niebie, tak com rzekł, prawdą jest i w tej prawdzie leży sens cały, rozumnych, bałamutnych może zkądinąd marzeń“ [2].

Co naprzeciw tym „bałamutnym może zkądinąd marzeniom“ postawił Krasiński? — jakie są główne idee Przedświtu?

Pierwsza, najważniejsza, jest ta, że zbliża się nowa epoka w dziejach ludzkości, idea, która jedynie we Wstępie prozą jest poruszona na to, aby ją módz poprzeć argumentami, a później już za pewnik uważać.

---

[1] Do Gaszyńskiego. Grenoble 16 czerwca 1843. (Koresp. I. 224).

[2] Jestto urywek z nieznanego listu Zygmunta Krasińskiego, datowanego z Palermo, który też w całości umieszczamy i omawiamy w dodatku.

Nic bliższem nie było Towiańszczyźnie, jak ta myśl właśnie, lecz nie ztamtąd wzięła swój początek, ale z Prolegomenów Cieszkowskiego, który myśl tę tylko naznaczył dla łatwiejszego oryentowania się, co jak sam mówi, było głównym celem Prolegomenów. Świat, według nich, znajduje się obecnie „u wejścia do trzeciego, syntetycznego peryodu, którego tezą była starożytność, antytezą zaś, wprost tamtej przeciwną, świat chrześcijańsko-germański“ [1].

Dowody, jakie Krasiński na to przytacza, były również dobrane na wzór teoretyczny, podane przez Cieszkowskiego, któremu, jak z przytoczonych wyżej ustępów widać, także wogóle o teoryę chodziło. Głównie opiera się to wszystko u Krasińskiego na analogii, na doświadczeniu, powziętem z dziejów poprzednich. *Discite historiam, exemplo moniti!* Przed Chrystusem zjawił się Cezar, a starożytność była już przeżytą, w naszych czasach zjawił się Cezar chrześcijański, a w świecie myśli i czynu rozstrój podobny, jak ongi za Cezara pogańskiego, więc i teraz zbliża się epoka nowa. Pomijając stopień siły tego dowodu, był on jednak ze wszystkich, jakie nasi poeci na poparcie przewidywań swoich podawali, najwięcej pozytywny, i zbudowany w myśl Prolegomenów, które z całą odwagą zdzierały zasłonę z przeszłości, opierając się na logice faktów, i z *praesagium* dotychczasowego, robiły ściśle naukową *praescientiam. Die vergangenen Thaten, das sind unsere Fossilien* — powiedział Cieszkowski, że pominę obszerne jego rozumowanie [2] — *aus welchen wir das Allgemeine des Lebens der Menschheit aufbauen müssen* [3].

Główną charakterystyką tej nowej epoki, jej celem, zadaniem i ostatniem słowem, ma być według Krasińskiego to, że narody powrócą do swej godności przez upaństwowienie się, że każdy naród na własną, wolną rękę zostanie powołany do życia politycznego.

Była to jedna z tych myśli, które razem z mistycyzmem

---

[1] Prolegomena, str. 24.

[2] Prolegomena, str. 12—23, gdzie rozbiera możebność, prawdziwość i konieczność *praescientii.*

[3] Prolegomena, str. 13.

bujały w powietrzu współczesnem i rozwijały się z prądami politycznymi, przenosząc się z miejsca na miejsce. Zdaje się, że do Krasińskiego dostała się ona nietylko przez Cieszkowskiego, choć w Prolegomenach dobitnie została naznaczoną: *Der Staat verlässt gleichfalls seine abstracte Abgesondertheit und wird selbst zum Gliede der Menschheit und der concreten Völkerfamilie. Der Naturzustand der Völker tritt in einen Socialzustand derselben über, und das bisherige noch sehr junge Völkerrecht entwickelt sich immer reicher zur Völkermoral und Völkersittlichkeit* [1].

(Dok. nast.).

Tadeusz Sternal.

---

[1] Prolegomena, str. 153.

PIERWSZA ROCZNICA OGŁOSZENIA
KONSTYTUCYI TRZECIEGO MAJA
W ROKU 1792.

Skromne notaty kronikarskie gazet współczesnych, a więc: *Gazety Warszawskiej* i *Korespondenta, Gazety narodowej i obcej* — obok tego cenne wspomnienia naocznego świadka-anonima, osoby u dworu wpływowej, zamieszczone w *Tygodniku Poznańskim* z r. 1862, piśmie do rzadkości bibliograficznych dziś należącem — wreszcie, zapiski Kitowicza w jego Pamiętnikach, i listy Bułhakowa, — oto źródła, które mi służyć będą za przewodnika w przechadzce po Warszawie w dniu 3 maja 1792 r., w którym to dniu król i stolica, przy bardzo licznym współudziale zewsząd napływających gości i niezmiernych tłumów narodu, obchodzili pierwszą rocznicę ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja.

Przedewszystkiem, uroczystość samą poprzedziły wystawne przygotowania, a obok przygotowań różnorodne domysły, pogłoski i plotki. Niestworzone rzeczy rozgłaszano po Warszawie, z ust do ust podawano sobie tysiączne, nieraz sprzeczne, wieści, z których każda łatwowiernych napełniała oburzeniem albo trwogą. Mówiono np. z okazyi nadciągającego do stolicy liczniejszego wojska, które dla bezpieczeństwa i porządku do 8000 pomnożone zostało, że ten dzień będzie grobem wolności; inni znowu, wskutek przyjazdu do Warszawy wielu osób z kraju i zza kor-

donu cesarskiego (okazało się bowiem z raportów, że do 40 tysięcy na ten dzień przybyło), głosili, iż głód nastąpi, a przynajmniej drożyzna niezmierna — co więcej, ważono się mówić, że miny pod kościół św. Krzyża podłożono, aby cała reprezentacya Rzeczypospolitej w powietrze z prochem wyleciała. Rozprawiano też pocichu o spisku jakimś tajemnym, utrzymywano napewno, że ten spisek istniał, że może trwa jeszcze, a miał to być, jak mówiono, spisek na życie króla. Król sam opowiadał, iż po 3 maja otrzymał sześć bezimiennych listów o tem. Zbrodnia ta miała być dokonaną w dniu uroczystości. „Dlatego myślano już — pisze Bułhakow — o odłożeniu obchodu, lecz król nie chciał ściągać na siebie zarzutu słabości. W ciągu obrzędu był on bezustannie otoczony tłumem wiernych, na których obliczach można było dostrzedz niepokój i ostrożność. Przed wyjazdem z zamku do kościoła, król spowiadał się, komunikował i podpisał testament. Przyznawał się on, iż przy wejściu do kościoła bał się, bo musiał przechodzić przez tłum ludu, i rzeczywiście dostrzeżono, iż wstępując na tron, był nadzwyczajnie blady i strwożony. Przez cały ciąg nabożeństwa zaufani bezustannie około króla chodzili i śledzili ruchy każdego".

Powody tej obawy były, iż dwór wiedeński, względnie książę Kaunitz, zawiadomił króla, że życie jego jest w niebezpieczeństwie, i że powinien się mieć na baczności. Radził mu nie lekceważyć tego ostrzeżenia, dodając, iż dowody na to posiada w swych rękach, i że już są przedsięwzięte środki wszystkie do wykonania zamiaru. Tak samo pisała i księżna marszałkowa Lubomirska do króla z Wiednia, iż dzień 3 maja wyznaczony na targnięcie się na jego życie.

Po zniknięciu straszydeł, po rozproszeniu cienia i mary, których się w onym dniu lękano, nastąpiła spokojność pozorna, bezpieczeństwo i radość nieco zasępiona. Byli tacy, co w dniu tym upatrywali dopełnienie narodowego szczęścia, drudzy szukali trwogi i nieufności. Wszystkie stany ścigał przytem niezmierny jakiś entuzyazm wojennego zapału. Zdawało się, iż najsłabszy nawet, z orężem w ręku, chciałby życie nieść na ofiarę. Nowe prawa świeżo postanowione, ordynanse od komisyi do

wszystkich stron Królestwa codziennie wychodzące, poruszenia wojsk ku granicom, i ztamtąd różne codzień przychodzące pogłoski, sprowadzenie nowych generałów i pieniędzy, powszechny odgłos, iż sam nawet król w przypadku odpornej wojny oświadczył się do ratunku ojczyzny — wszystko to rozgrzewało serca kawalerskiej zwłaszcza młodzi, tchnącej dawnych Polaków duchem, aby *pro aris et focis* krwi swej nie żałowali. Jakoż nie było miejsca ani zebrania, aby na temat wojny nie rozprawiano; czasem żwawe powstawały sprzeczki, częściej błyski ochoczego zapału nie bez łez przebiegały po twarzach. Słyszałem — pisze współczesny kronikarz — jak jedna młoda dama z arystokracyi w liczniejszem zebraniu mówiła: „Boże! czemuż ja nie chłopiec? A długoż tej cierpliwości? Obaczyłby świat, co może męstwo złączone razem z miłością ojczyzny i miłość słabych stworzeń, co ją tak silnie kochają".

Wszyscy wojskowi i młodzi ludzie pragnęli wojny, lecz król deliberował, chciał się wprzód zapewnić o przyzwoleniu na nią większości narodu, a znając naród swój dobrze, dla przyciągnięcia ludzi rozdawał wstęgi, i z niepojętą szczodrobliwością rozrzucał obietnice. W ciągu pierwszych dni maja 1792 r. rozdał on, jak mówią zapiski ówczesne, około 100 orderów; orła białego otrzymywali ludzie, nie zajmujący żadnego w służbie publicznej stopnia.

Ci, co patrzyli na bieg rzeczy nie przez szkła entuzyazmu, przewidywali niestety niechybną katastrofę, tem niechybniejszą, że Rosya i Prusy, przestraszone postępem wszystko obalającej francuskiej rewolucyi i wiążące się przeciw niej, nie uważały za stosowne protegować pod bokiem swoim polskiej konstytucyjnej ustawy. Ale rzadko kto rozumował w ten sposób; czyste polskie dusze — są słowa świadka tej chwili — uniesione miłością dobra, nie rachowały się z polityką sąsiadów i szły na przebój. Byliśmy wtedy zupełnie jak ten misyonarz, co dostawszy się między dzikich, prawi im w zapale kazanie o miłości bliźniego, a oni słuchając, oblizują się i nakładają ogień, przy którym mają go upiec. Łudzenie się i odurzanie wzajemne było u nas na porządku dziennym. Z owej uroczystości pierwszej rocznicy

3 maja wielu rachowało sobie ogromne następstwa; każdy z nich wierzył, że rozentuzyazmowany naród jako jeden mąż stanie pod bronią. Nikomu wszakże nie przyszło zapytać: a zkądże weźmie tej broni, kiedy już i ta 60-tysięczna armia, jaka jest, nie ma jej podostatkiem?...

Tymczasem, napływ gości do stolicy niezmiernie wzrastał. Wojska dla bezpieczeństwa pościągane; armat mnóstwo nowo odlanych i sześć wielkiego kalibru od księżnej Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej, darowanych, przed cekauzem stojących; poruszenia wszędy ludzi, przy ratuszach i wszystkich domach, dla iluminacyi pracujących; innych, przez ciekawość pieszo, konno i w pojazdach, zwłaszcza nowo przybyłych, biegających i mijających się — czyniły w Warszawie zbiegowisko, jakie podobno nie było widziane. Z obcych, najwięcej przybyłych zza kordonu. Między nieznajomym ludem błąkają się po ulicach, a najwięcej ich widzieć można przy moście i w oberżach, których tu za Francuzów mają, a oni są tylko z pogranicza francuskiego, z kraju Montbeillard, do księcia Würtemberg-Studgard należącego. Powiadają, że ich ma być wszystkich z żonami i dziećmi do 2000. Wyszli z kraju jedni przez Bazyleę, drudzy przez Strasburg; w Ulmie złączyli się i przez Wiedeń pieszo lub pojazdami do Krakowa, a ztamtąd na statkach tu do Warszawy. Mają paszporty, dozwalające im wyjścia, a żywność od Ogińskiego, miecznika, który do Sokołowa ich sprowadza, lubo nie broni nikomu, gdzie się podoba zostać i osiąść. — Stancye na Krakowskiem zwłaszcza Przedmieściu, a nawet i okna wszystkie, kędy pochód miał przechodzić, bardzo drogo wynajęte. Starała się jedna arystokratka usilnie nająć okno, aby mogła widzieć całą paradę w dniu 3 maja, a gdy się dowiedziała, że wszystkie już są albo pozamawiane od przyjaciół, albo najęte, posłała więc, jeśliby nie można było jeszcze choć pół okna gdzie nająć, a przynajmniej choć szybkę. Powrócił, któremu było zlecone szukanie. Pyta: A cóż, dostałeś? — Podobno za te dwa czerw. złote, które jejmość dała — odpowiedział — nietylko okna, ale nawet i miejsca takiego, z któregoby to okno widziane być mogło w czasie parady, nająć nie dostanie.

Dlatego i ja — pisze świadek — z powodu nadzwyczajnego zjazdu obywateli, z żonami i dziećmi, z najodleglejszych okolic, nie mogłem znaleść żadnego kącika; dopiero ks. Krajewski wziął mię do siebie, z czego byłem nader uradowany; miał on bowiem mnóstwo relacyj z najznakomitszymi patryotami. Pogadanki nasze codzienne przeciągały się do późna, a o czem rozmawialiśmy, łatwo dorozumieć się. Lecz te kwestye, jakie agitowały się między nami, były raczej dytyrambem politycznym, a nie polityką; chociaż nie można powiedzieć, żeby ten i ów z wytrawniejszych nie rozumiał właściwego stanu rzeczy, ale nie było w nikim odwagi przyznać się, że nie najlepiej stoimy...

Jakim był zapał i ciekawość w przededniu uroczystości, najwymowniej ilustruje szlachcic pewien, miernego majątku, przybyły o 30 mil drogi do Warszawy. Zastanawiał się, rozglądał dokoła, i zdawało się, że szukał, aby mógł, choć nieznajomy, słowo do kogo przemówić. Zbliżył się jeden z mieszkańców Warszawy do szlachcica, a dowiedziawszy się, że 30 mil przybył, zapytał:

— I jak to, bez żadnego interesu przybyć tu do nas 30 mil drogi, dla obaczenia tylko uroczystości?

— Co tylko raz w życiu widziane być może, a jeszcze z takiemi osobliwościami — odpowie szlachcic — nie już mil 30, ale warte jest trzydzieści razy trzydziestu mil jechania.

Obawy spodziewanej drożyzny w onym dniu stały się faktem dość dla wszystkich dokuczliwym; nietylko bowiem artykuły, do życia potrzebne, podniosły się podwójnie w cenie, ale i potrzeby toaletowe opłacać musiano po magnacku. A i małe rzeczy — pisze korespondent — wiele znaczą. Sukna nawet dla municypalności i mundurów wojewódzkich, dziwnie podrożały. Kto się obszedł, dawniej kupując, 14 czerwonymi złotymi, teraz 20 mało. Wstęgi nawet, że podług przepisu w obrządku na dzień 3 maja, damy miały być w sukniach białych z szarfami i wstęgami pąsowemi — w tym kolorze tak podrożały, iż których łokieć bywał po 24 groszy, teraz za 5 czerw. złot. dostać trudno.

W przeddzień uroczystości, ogłoszono publicznie plakatami następujący uniwersał na dzień 3 maja: Podług rozporządzenia od JW. Ignacego Wissogoty Zakrzewskiego, chorążego i posła

województwa poznańskiego, prezydenta miasta Warszawy, cechy tym porządkiem w mundurach municypalnych po bokach ulic, a którzy nie będą mieli mundurów, obok pierwszych iść mają: konfraternia starsza i młodziańska (tu wymienione są cechy imiennie w liczbie 33). Które konfraternie, cechy, bądź czeladź, muzykę mieć będą, tę przy swojej chorągwi umieszczą, gdy zaś król do kościoła przyjeżdżać będzie, muzyce grać zalecą, oraz wszyscy magistrowie i czeladź: Wiwat król i naród! ogłoszą, i to jak najżywiej powtarzać będą.

Magistrat, wzywając do chwalebnej usługi zgromadzenie cyruliczne, mieć chce, aby przy chorągwiach cechów znajdowali się, i uczyniwszy między sobą rozkład, opatrzeni materyałami i narzędziami do nagłego ratunku zdrowia ludzkiego potrzebnemi, w przypadkach słabości asystujących osób, zaradzeniem ratowali. W procesyi z kościoła św. Krzyża porządek ten będzie zachowany: Po duchowieństwie, urzędy cyrkułowe, burmistrze, wójci, sąd apelacyjny wydziału warszawskiego, magistrat przed komisyą cywilno-wojskową, z których za biletami, rozdać się mianymi, w miejscu oznaczonem znajdować się mają o godzinie wpół do dziewiątej rannej, wszyscy w mundurach municypalnych.

Król, mający upodobanie w widowiskach uroczystych, wyrobił wraz ze stanami u Ojca św.: 1^0 że święto św. Stanisława biskupa, dawniej z innemi świętami zniesione, było przywrócone jako uroczyste; 2^0 żeby to święto z dnia 8 maja, przeniesionem było na dzień 3 tegoż miesiąca, aby obchodowi pierwszej rocznicy konstytucyi nadać tem większą wspaniałość. Aprobacyę Ojca św. bez trudności w Rzymie otrzymano. Uroczystość więc była potrójna: rocznica konstytucyi, uroczystość św. Stanisława i imieniny króla.

Na tę uroczystość wybrano kościół XX. Misyonarzy na Krakowskiem Przedmieściu, ze wszystkich najwspanialszy i najobszerniejszy. Kratę żelazną w tym kościele, osobliwszej roboty, między prezbiteryum i chórem wielkim, czyli, jak nazywają, łodzią kościoła, rozebrano, a w tem miejscu, gdzie była krata, wystawiono tron królewski z zawieszonym nad nim pawilonem karmazynowym aksamitnym, złotymi galonami suto szamerowanym, a we cztery skrzydła, cztery fronty tronu czyniące, rozpię-

tym, misternie w pukle powiązanym. Naokoło kościelnej nawy i samego prezbiteryum porobili rozmaite loże, a pod niemi amfiteatr, czerwonem suknem okryty. Na chórze porobiono ławy, sięgające pod samo sklepienie, gdzie się mieściła wyborna kapela, na trzy chóry rozłożona, z 222 osób, dyrygowana przez Włocha, ks. Paesiello, którego kompozycyę *Te Deum laudamus* egzekwowano w sposób nie dający się opisać. Jeszcze jak żyłem — pisze świadek — podobnie cudnej muzyki nie zdarzyło mi się słyszeć, czegoś tak podniosłego, przenikającego do głębi duszy, a tak zgodnego z wielką uroczystością narodową, nie domyślałem się nawet. Można też powiedzieć, że dzieło to, po mistrzowsku wykonane, najsilniejsze sprawiło wrażenie na publiczności. Widziałem starców i kobiety, płaczących z rozrzewnienia, i ja sam, wstydząc się tkliwych nerwów, ukryłem twarz w dłoniach, aby nie dać poznać po sobie, że nie umiem być panem wewnętrznych wzruszeń. — Kitowicz w swym Pamiętniku dodaje, iż ksiądz ów dyrygujący, sam na żadnym nie grał instrumencie, tylko dużym papierem, w trąbkę zwinionym, grającej cudnie i śpiewającej kapeli, takt dawał.

O godz. siódmej rano korpusy wojskowe miejsca swe zajęły: najprzód od zamku kawalerya narodowa, dalej Przedmieściem Krakowskiem stał regiment gwardyi pieszej koronnej, w nowych mundurach, oficerowie w szyszakach, z szarfami przepasanemi przez ramię: po nim dwa bataliony szefostwa Działyńskiego, po tych gwardya piesza litewska, za nią trzy szwadrony pułku księcia Würtemberskiego. Tuż pod glejtami żołnierskimi, z obu stron stanęły cechy z chorągwiami i kapelami, tudzież konfraternie kupieckie i magistrat Warszawy, mający prezydentem Zakrzewskiego, kawalera orderu św. Stanisława. Drzwi kościelne św. Krzyża i inne wnijścia obstawione były 80 ludźmi z batalionu skarbowego. Wpuszczano za biletami, których około 7000 rozdano. Przedniejsze poczty w kościele trzymała kawalerya narodowa, wokoło zaś tronu stał korpus kadetów, w paradnych mundurach i szyszakach, prowadzony przez komendanta swego, księcia Czartoryskiego.

Król ruszył z zamku o godz. dziewiątej rano w karecie

paradnej, w tafle, kryształowej, przeźroczystej, sam jeden siedzący, nad którą dwa geniusze trzymały koronę. Wszystko z bronzu, suto wyzłacane.

Przed królewską karetą szła najprzód kareta jedna i druga prymasowska: z jego prałatami i z nim samym, z liberyą, pieszo karetę poprzedzającą, z krucyferami i marszałkiem łaskowym prymasowskim i kilku dworzanami, na koniach między liberyą i karetą prymasowską paradującymi. Za karetą prymasowską szła kareta nuncyuszowska, mająca liberyę paradną przed sobą, srebrem szamerowaną, bez asystencyi konnej; po której w małej przerwie szła liberya królewska, a za nią sadziła na koniach dzielnych kalwakata królewska, w rzędach sutych i od złota lśniących czaprakach, między którymi dystyngował się staropolskiem siedzeniem i dywdykiem tureckim na koniu generał Byszewski. Za karetą królewską maszerował cały regiment gwardyi konnej, w paradnych koletach, a za nim kilka karet poszóstnych, podwójnych i jedna poczwórna, z rozmaitemi paniami i panami.

We drzwiach kościoła ks. biskup poznański i warszawski podał królowi wodę święconą, poczem duchowieństwo, senat i marszałkowie odprowadzili króla do tronu. Senat w sukniach orderu św. Stanisława, posłowie i delegowani w mundurach wojewódzkich, plenipotenci miast wolnych, komisarze magistratur rządowych, komisya cywilno-wojskowa, sąd ziemiański, magistrat, sąd apelacyjny, urzędy cyrkułowe, zasiadły przeznaczone swe miejsca. Król, przyklęknąwszy przed wielkim ołtarzem, zasiadł na majestacie, obróciwszy się twarzą na kościół, a przed nim na ławach ministrowie, senatorowie i posłowie. W loży po prawej stronie tronu siedziała księżna kurlandzka z dworem swoim, po lewej ciało dyplomatyczne, między nimi: Msgr. Saluzzi, nuncyusz papieski, Francuz Descorches, Hiszpan Normandes, Austryak Decachè, Anglik Hailes, Prusak Lucchezini i mój — dodaje świadek — poczciwy Szwed Engström. Był także duński i holenderski rezydent, lecz gdym upatrywał najgłówniejszej figury, tj. posła rosyjskiego Bułhakowa, nie znalazłem go: dopiero ktoś mię objaśnił, że nie chcąc się znajdować na tym nieprzyjemnym dla swojej carycy obchodzie, wyjechał na wieś.

czy do Unruha, czy też do księżnej Ogińskiej, hetmanowej, do Siedlec.

Najprzód Małachowski, marszałek, zagaił ceremonię w obszernej mowie, potem Mniszech, marszałek wielki koronny, mówił, po którym ks. Sapieha, marszałek konf. litew.: „Żeśmy się nie innym celem, jak złożyć Boskiej Opatrzności dzięki, na to miejsce zebrali, za odmianę rządu i dźwignienie narodu polskiego, i że to nie tak ludzkiem, jak raczej Boskiem jest dziełem, którego się nawet i spodziewać nam było trudno. Z tego — rzekł — najbardziej się cieszę, iż wszystkie województwa konstytucyę zaprzysięgły, i delegowanych wysłały nawet i nowo postanowione". Przy końcu twierdził, że na imieniny J. król. Mości nie można lepszego węzła ofiarować, jako serca życzliwych i wdzięcznych obywatelów.

Odpowiadał król, siedząc na tronie, obrócony do narodu. Między innemi wspomniał, że 60-letnim będąc królem, nie szukał prywaty: toż z okoliczności przypadającego w tenże dzień Krzyża św., że jako stroskanemu niegdyś Konstantynowi okazał się znak Krzyża św. z napisem: *in hoc signo vinces*, tak i on ma nadzieję zwyciężyć nieprzyjaciół konstytucyi nie orężem, ale tymże znakiem świętym Krzyża.

Przystąpili potem do ucałowania ręki króla: senatorowie, ministrowie i posłowie. Przemawiali jeszcze: Dobiecki, podkomorzy z Małopolski, Stadnicki z Wielkopolski, książę Sapieha, marszałek lit., powtórnie, nakoniec Buchowiecki, podwojewodzic wileński, imieniem prowincyi, oświadczając królowi i zgromadzonym stanom za konstytucyę winne podziękowanie. Odpowiadali: kanclerz Małachowski i podkanclerzy Chreptowicz.

Marszałek Mniszech oznajmił o poczynać się mającem nabożeństwie. Król zeszedł z tronu, uklęknął na wezgłowiu aksamitnem przy taburecie, bliżej ołtarza. Nastąpiła msza św., czytana przez ks. Okęckiego, biskupa poznańskiego, podczas której muzyka grała kompozycyę Paesiellego. Poczem kazanie, mówione przez ks. biskupa Malinowskiego, proboszcza warszawskiego. Temat był: „Będzie jedna owczarnia i jeden pasterz... A ten dzień będziecie mieli na pamiątkę i będziecie go obchodzili za święto

uroczyste w rodzajach waszych czcią wieczną". Na zakończenie, zwracając się do króla, rzekł: „Przeto teraz o! synowie bądźcie miłośnikami prawa, a dajcie dusze wasze za przymierze, wzmocnijcie się, a czyńcie mężnie, bo w niem sławni będziecie"!

Po kazaniu Siarczyński, sekretarz sejmowy, czytał porządek, jakim mają wychodzić z kościoła. Zaczęło się wszystko ruszać i szykować w przepisany programem porządek.

Najprzód szły cechy; po cechach, zakony z krzyżami, wyszedłszy z Franciszkańskiego obserwantskiego kościoła, w którym kazano im czekać na procesyą. Za zakonami wysypali się księża misyonarscy i od św. Jędrzeja. Poczem duchowieństwa zakonne znowu i świeckie. Następowała konfraternia kupców i magistrat warszawski parami uszykowany, mając Zakrzewskiego prezydenta w mundurze i orderze św. Stanisława, paradującego garbatego — jak złośliwie dodaje Kitowicz — za magistratem pełnomocni od miast i delegowani. Za plenipotentami następował trzeci orszak duchowieństwa świeckiego kolegiaty warszawskiej, kanoników, prałatów i biskupów, których poprzedzał metropolita ruski Teodozy Rostocki, tego sejmu do senatu przypuszczony, w czamarze czarnej, na której długich rękawach od ramienia aż do dołu błyszczały się haftowane złotem i srebrem okręgi wielkości talerzów z herbami jego rodowitymi, obyczajem Kościoła ruskiego. Tę procesyę prowadził książę prymas, postępując sam naostatku w kapie litej, w infule na głowie i z pastorałem szczerosrebrnym. W oddaleniu na trzy kroki za księciem prymasem szedł król w sukniach niemieckich jasnego koloru, z zakrytą kapeluszem głową, przed którym po bokach nieśli laski dwaj marszałkowie wielcy, koronny i litewski. Za królem, bez szyku, gmin senatorów, ministrów, posłów i rozmaitych obojej płci osób. Gwardya konna koronna pieszo szła z bronią na ramionach, począwszy od municypalności, czyli szyków miejskich, do księcia prymasa, a kadeci od księcia prymasa aż do posłów i gmin.

Za długim ogonem tej procesyi nieśli hajducy lektykę królewską. Blisko ćwierćmilowa droga, prowadząca od Misyonarzy aż do placu, na którym miano zakładać fundament kościoła Opatrzności, wyłożona była pomostem z tarcic. Dawniej takie po-

mosty pokrywano suknem, jak to kroniki podają o Bolesławie Chrobrym; lecz dzisiaj nie było na to funduszu.

Kiedy procesya wolnym krokiem postępowała, duchowieństwo śpiewało pieśń ułożoną umyślnie na uroczystość obchodu. Wiersz ten: „Na dzień 3 maja 1792 r.“, wydany bezimiennie, dziś prawie nieznany, uchodził za utwór Naruszewicza. Anonim-świadek ówczesnych wypadków w notatach swych, również Kitowicz w Pamiętnikach, twierdzą apodyktycznie, iż jest pióra Krasickiego. Wiersz pełen patryotycznego uczucia i siły:

O dniu! w którym wziął naród chlubę, że szczęśliwy,
Nie mniejsze od wesela, zjawiasz Polszcze dziwy!
Ty z oliwną gałązką przyniosłeś nadzieje,
Za nami groźna burza łatwo nie zachwieje...
. . . . . .
Przyjm Boże! z rąk kapłanów ofiary gorące,
Które w hymnach składają zbawionych tysiące!...
Ale na czyste serce niech nie pada wina,
Gdy Cię wielbiąc, niechętnych ojczyznie przeklina;
Przydaj nam w dobrym królu, dobrodziejstw mnóstwa,
Długość dni ojca ojców, sierot i ubóstwa!
. . . . . .

Gdy na miejsce wyznaczone przyszli na zakładanie kamienia, stanął książę prymas w środku, król po prawej stronie, senatorowie, ministrowie i konfederacyi marszałkowie tuż nad wykopanym dołem. Książę prymas z asystencyą stanął blisko kamienia, poświęcił go kropiąc wodą, poczem podał złotą kielnię i młotek królowi; położono pod kamień medal i pieniądze współczesne; po królu zaś biskupi, ministrowie i senatorowie kolejno biorąc kielnię, do roboty przykładali się. Przez cały ten czas armaty i regiment gwardyi pieszej dawały salwy. Przy dokończeniu ceremonii miał Kołłątaj, podkanclerzy koronny, mieć mowę, ale że był chory, zastąpił go ks. Naruszewicz, biskup łucki. Życzył, aby wszystkie przeszłe tak ciągłe Najjaśn. Pana troski, razem pod tym kamieniem zagrzebane były. Przywodził Józefa patryarchy snopek, któremu się inne kłaniały. Stosował do króla to, że bracia królowie, którzy go dawniej w małem poważaniu mieli, po teraźniejszej ustawie rządowej i wielkich dziełach, widząc owoce tak obfite pracy, wielbić i poważać go będą. Jak ów strumyk,

który pomiędzy różne przedzierając się kamyki, wpada nakoniec do morza, tak i ty królu wiele ostrych przeciwności użyłeś, morze ci prawdziwych uciech i wolności luby sprawi odpoczynek.

Podczas tego aktu stała się rzecz godna uwagi. Wśród najpiękniejszej pogody nagle zaćmiło się niebo chmurami, zerwał się szalony wicher miecący piaskiem i deszcz puścił się rzęsisty, co natychmiast między pospólstwem dało powód do złowróżbnych przepowiedni... Mogło to być przypadkowe, jednakowoż — są słowa świadka tego zdarzenia — te przypadki noszą cechę przepowiedni i dlatego do nieznaczących przypadków policzone być nie mogą.

Po skończonej ceremonii o wpół do piątej król udał się na obiad do Łazienek, senat, ministeryum i posłowie zagraniczni proszeni na obiad do marszałka koronnego, litewscy do marszałka litewskiego, posłowie ziemscy i plenipotenci do marszałka sejmowego, delegowani od województw do księcia prymasa, a municypalność do Zakrzewskiego, prezydenta miasta Warszawy.

Około 6 wieczorem w teatrze przedstawiono dramat historyczny Niemcewicza: „Kazimierz Wielki". Szczęście, że miałem bilet od Engströma — pisze anonim — inaczej nie byłbym się łatwo dostał. Przedstawienie wyborne, lubo nie wiem, czemu więcej przypatrywałem się, czy aktorom na scenie, czy mnóstwu najpiękniejszych kobiet, postrojonych z gustem i przepychem, co białością płci, żywością ócz i grą brylantów ćmiły oświetlenie sali teatralnej, chociaż takowe było *al giorno*. Sztuka miała wiele miejsc bardzo słabych i wydawała mi się raczej zarysem do dramatu, niż obrobionym dramatem: mimo to utrzymała się i wzbudziła entuzyazm aluzyami do obecnych okoliczności, między innemi, gdy Owsiński w roli Kazimierza zawołał: „potrafię stanąć na czele mego narodu": król, obecny na przedstawieniu, powstał w loży i wychylając się do publiczności, rzekł donośnym głosem: „Stanę i wystawię się". Na tę scenę — bo ta żywa scena zgasiła cały dramat — nieopisany zapał ogarnął widzów, kobiety w lożach powstały powiewając husteczkami, parter zaszumiał hucznym oklaskiem i przeciągłym okrzykiem: Niech żyje król! inni wołali: wiwat! tora! — i tak aktorowie znowu rozpoczęli dramę.

Wśród aktorek, wytwornie wystrojonych, zwracała uwagę powszechną w teatrze, najwspanialej i według gustu ubiegłego stulecia, w czarnej sukni z łamami złotem i drogimi kamieńmi ubrana Jadwiga księżniczka z Głogowy, żona Kazimierza Wielkiego.

O godzinie wpół do ósmej całe miasto jaśniało morzem światła, a smolne beczki na wzgórzach i pochodnie buchały ognistym słupem. Cały pałac saski ze wszystkiemi budowlami, dom marszałka sejmowego. pałac biskupa kijowskiego, ratusz, pałac Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej, łączyły wspaniałość światła i ognia z okazałością i gustem ozdób i transparentów.

Niektóre transparenty były ułożone szczęśliwym pomysłem, i przy takich zatrzymywały się niezliczone tłumy. Na jednym niewiasta w hełmie i zbroi trzymała w jednej ręce rozwiniętą chorągiew z herbami Polski i Litwy, a drugą targa więzy, u spodu jaśniał dwuwiersz brylantowem okolony światłem:

Polaku! patrzaj na mnie. a nie bądź odrodny,
Bądź bitny, będziesz sławny i będziesz swobodny.

Wmieszawszy się w tłum — pisze świadek — słyszałem różne do tych wierszy komentarze. Jakiś z wygoloną czupryną Sarmata, patrzył, wzdychał i kiwał głową:

— Masz Aspanna racyę — rzekł do otaczających, wskazując na onę niewiastę — konstytucya to papier, a papierem nie pobijemy Moskala.

— Ani takiemi procesyami — wtrącił jakiś ubrany zfrancuska — ale nasz Pan lubi parady i rad, gdy mu się przypatrują, kiedy się wystroi i gdy mu klaszczą. kiedy mówi.

Wtem przysunął się jakiś oficer od piechoty z pułku Działyńskiego i wmieszał się do rozmowy:

— Słusznie mówisz W. Pan Dobrodziej; nasz pułk był już w Lubelskiem, myśleliśmy, że idziemy ku moskiewskiej granicy, żeby nie wpuszczać szkodnika do ogrodu, a tu z tego ni z owego przychodzi ordynans nakazujący ciągnąć do Warszawy; na jakie licho? czy żeby asystować procesyi? Alboż to gwardyi konnej i pieszej mało do takich parad?

— Może się król obawiał jakiego nieporządku? — wtrącił czwarty, wyglądający na dworskiego sługę.

— Nieporządku? — zawołali inni chórem — alboż to Warszawianie takie zbytniki, żeby robili burdę, kiedy król z narodem trzyma?

— Król radzi się swojej polityki i wie co robi — rzekł tajemniczo dworak.

— Nie o tem tu mowa Mospanie, — podchwycił kontuszowy z niejakim ferworem — nikt tu nie myśli radzić królowi Jegomości co ma robić, bo ma od tego ministrów; ale dalipan, możeby się lepiej przydało — tu chwycił się za kord... — niż te kosztowne ostentacye, które drażnią i... — niedokończywszy, nacisnął konfederatkę i odszedł.

Nazajutrz rano pobiegłem do mieszkania Engströma. Przyjął mnie, lubo zastałem go zajętego rozmową z jakimś zfrancuska ubranym jegomością, wyglądającym niby na księdza. Prosił mię abym usiadł, a sam tymczasem rozmawiał z nim we framudze u okna, poczem odprowadził go do przedpokoju i pożegnał.

— Nie znasz go Waćpan? to ks. Ghigioti — mówił wracając — nagadał mi wiele ciekawych szczegółów. Jestto faktotum królewskie, ale człowiek dość uczciwy i w prowadzeniu interesów zręczny, jak każdy Włoch. Dziwni ludzie! gwałtem szukają złudzeń w pomocy mocarstw, kiedy dziś Rosya, mając rozwiązane ręce, lada chwila zacznie działać.

— Jakto? — przerwałem — przypuszczasz baronie, że Rosya wkroczy?...

— Daj Boże, żebym się mylił.

— Ależ król pruski po tylu solennych przyrzeczeniach nie odstąpi nas? Anglia toż samo i Szwecya, spodziewam się, wspierać go będą. Sama zdrowa polityka nie powinnaby dopuścić tego rozszerzenia się Rosyi.

— Zapewne, zapewne — tylko na to trzeba nam pamiętać, że dwory, zaniepokojone rewolucyą francuską, chcąc przeciw niej wytężyć wszystkie siły, nie radeby mieć wtyle narodu, którego dzisiejsze rozbudzenie się ma tyle analogii z tem, co oni nazywają Jakobinizmem.

— Więc to Jakobinizm! — zawołałem z oburzeniem — kiedy naród pragnie wyjść z upodlenia? kiedy nadaje sobie ustawę,

robiąc tron dziedzicznym? kiedy wzmacnia władzę monarszą? kiedy...

— Nie unoś się Wpan — przerwał z uśmiechem dyplomata — dzielę ten sposób widzenia; argumenta twe są moimi — ale tu mowa o tem, co gabinety myślą, a nie o tem, co my czujemy i myślimy...

— W takim razie naród wystąpi do walki...

— Życzyłbym mu z całego serca i nie wątpię, że gdyby wszyscy tak jak Wpan myśleli, Rosya nie pochłonęłaby was... ale umysły są tak podzielone...

— Cóż znaczy tych kilku magnatów nadskakujących carycy? — rzekłem z wyrazem pogardliwego lekceważenia. — Na głos króla i sejmu naród powstanie od morza do morza...

— Daruj, zacny młodzieńcze! lecz ci się do głębi wynurzę. Mówisz o narodzie, a zapominasz, że ten nie jest samym sobą, choć ma tak piękną konstytucyę. Gdzież ten naród? — Ja widzę tak po jednej, jak po drugiej stronie, właśnie tych kilku magnatów rej wodzących. Tu Ignacy i Stanisław Potoccy, tu Małachowski — tam pan Szczęsny Potocki, Rzewuski i Branicki. Pierwsi szukają siły oparcia w oświeconych patryotach i w mieszczaństwie, drudzy w ciemnej zgrai swoich służalców i w pomocy Moskwy; tamci mają za sobą nowość, ci tradycyę. Siły więc są podzielone; przyjdzie do starcia i wtenczas zwycięży...

— Dobra sprawa! — zawołałem powstając z krzesła.

— Carowa — odpowiedział z zimną krwią dyplomata.

— Przecież z nami król i wojsko!

— Król słaby przechyli się ku stronie mocniejszej.

— Nie przypuszczam, nie wierzę — wołałem chwytając się za głowę — po tylu przyrzeczeniach, zobowiązaniach się, byłaby to zdrada. Wczoraj jeszcze w teatrze nikt go przecież za język nie ciągnął, a powiedział: Stanę i wystawię się!

— Król lubi teatralne rodomantady; ale gdyby przyszło naprawdę stanąć i wystawić się, zwinie chorągiewkę, zobaczysz Waćpan.

— Mniejsza o to, i bez niego bić się potrafim. Naród poczuł się już...

— Proszę Waćpana, nie nadużywaj tego słowa, co nam mieszа pojęcia — rzekł dyplomata, biorąc mię za ramię.

Zasmucony, oparłem czoło na ręku i zamilkłem. Widząc moje pomieszanie, poczciwy Szwed zbliżył się do mnie i ściskając za dłoń, pocieszał w tych słowach:

— Kocham Polskę, jakbym był jej rodzonym synem; wy jedni macie święty ogień rycerskiego zapału, który może sprawić cuda, o jakich nawet nie marzą rachunkowi dyplomaci — ale samym zapałem żyć trudno; wam trzeba energii na codzień, trzeba otrząsnąć się z duchowego i materyalnego lenistwa, a nadewszystko trzeba wytrwania, co nigdy nie powie sobie: dosyć na teraz, odpocznijmy i ucieszmy się tem, cośmy zrobili. Przyznasz mi Waćpan, że macie tę słabostkę, iż po dokonaniu jakiego dzieła lubicie aż do zgnuśnienia odpoczywać na laurach. Daliście sobie ustawę konstytucyjną — wyborną! przynosi zaszczyt waszemu patryotyzmowi — ale cóż, kiedy zadługo bawicie się nią i cieszycie, zapominając, że wróg nie śpi... Wczorajsze święto, dobre w innych okolicznościach — w obecnych nie ma sensu. Daruj, że tak otwarcie mówię, ale patrz na ten pierścień.

Spojrzałem mu na rękę i zobaczyłem złoty pierścień, rozdawany przyjaciołom konstytucyi 3 maja, z napisem: *Fidis manibus*.

— Nosić go, mam sobie za największą chlubę — mówił dalej — świadczy on, żem z całej duszy popierał odrodzenie się waszej ojczyzny. Nikogo też z cudzoziemców zaszczyt ten nie spotkał, jak mię jednego. Dla tych powodów chciej widzieć nie zagranicznego dyplomatę, ale człowieka miłującego prawdę.

Oddałem mu serdeczne uściśnienie i rozmawialiśmy jeszcze długo; między innemi zapytywałem, jak króla ocenia i czy w razie stanowczym można na niego liczyć?

— O ile mogłem i osobiście i z relacyi osób, dobrze go znających, zbadać Stanisława Augusta, o tyle wiem, że ani na jego charakter, ani na energię niepodobna liczyć. Nie jestto człowiek zły, ale w nienawiściach swoich drobiazgowy; nie jest dobry, ale tak słaby, że słabość u niego wydaje się dobrocią. Nie wiem, czy osobistą odwagą wyrównywa swoim braciom, ale to wiem, że nie ma odwagi umysłowej, dlatego daje się wodzić za

nos otaczającym go bliżej, a mianowicie kobietom; chociaż wszystko tam zniewieściale, z wyjątkiem księcia prymasa. Żądza posiadania najładniejszych kobiet — to górująca w nim namiętność. Gdzież kto, coby mu wyrównał grzecznością, wytwornym smakiem, znajomością literatury i sztuk nadobnych? któż odeń gustowniej nosi się, gładziej mówi, przyjemniej afektuje bohaterstwo i wzniosłe sentymenta? Świat mu to bierze za cnotę i powiada, że król oświecił, ogładził i ucywilizował dzikich Sarmatów. Podzielam to zdanie; ale te jego cnoty nie mają innej pobudki, tylko podobanie się płci pięknej. Czyż dla przypodobania się kobiecie nie dał sobie włożyć korony Chrobrych, której ciężar tak go ugniata, że gdyby się nie ślizgał, dawnoby upadł pod nią? Taki człowiek jestże w stanie dźwignąć ten kraj znękany, potrzebujący u steru wielkiego serca i żelaznej ręki? Patrząc na niego, zawsze sobie wyobrażam, że wasz prawdziwy król siedzi gdzieś niewidzialny w komnatach Wawelu, lub w Wilanowie lipy sadzi, a w stolicy wielki marszałek nadworny, Poniatowski, robi honory jego dworu... Prawda, że robi je po mistrzowsku — ale to nie król, to zawsze tylko Poniatowski, grzeczny i gładki kawaler, a wam potrzeba silnej władzy, mającej ducha inicyatywy, któraby was w ciągłem utrzymując zajęciu, nie dawała zależeć pola.

Kiedym wyrzekał — pisze anonim-świadek — na brak człowieka w narodzie, Engström przebiegał jedne po drugich znamienitości nasze i wybornie charakteryzował każdą. Na wzmiankę o Kołłątaju, rzekł: „Przyznaję, podkanclerzy ma w sobie materyał na niepospolitego męża stanu i gdyby sejm, co się ciągnie już półczwarta roku, potrwał jeszcze drugie tyle, podkanclerzy trząsłby całą Polską — jestto wasz Mirabeau, ale bez ulicy i przedmieść...“

Tak odprawiło się wszystko spokojnie w pierwszą rocznicę 3 maja, bez wielkiego nieszczęścia wróżonego — cóż po tem, kiedy ten jasny, świetlany festyn, przy pochodniach wesołości odprawiony, właśnie jak słońce gdy zbytnie dogrzewa, przyspieszył i sprowadził na Polskę straszną gradową chmurę.

Rudolf Ottmann.

HINDOWIE I ICH RELIGIA.

II. Stare piśmiennictwo hinduskie.

Zpomiędzy ras, zamieszkujących Indye, rasa aryjska posiada jedynie piśmiennictwo, sięgające głębokiej starożytności, i o tem tylko piśmiennictwie mówić tu będziemy.

Stare piśmiennictwo hinduskie jest ogromne; obejmuje ono wielką liczbę działów specyalnych, pomiędzy którymi pierwszorzędne miejsce zajmuje dział filozoficzno-teologiczny; w niniejszej pracy ograniczymy się tylko do tego działu. Jednakże i w tych ściślejszych ramach nie będziemy mogli wyczerpująco zapoznać się z ogromem tych prac — na to potrzeba osobnego dzieła; musimy być bardzo zwięźli, tem bardziej, iż będziemy zmuszeni wkroczyć w dział epiczny i prawny, które, w swym obecnym encyklopedycznym składzie, zawierają treść, a często całe księgi, odnoszące się do naszego przedmiotu. W niniejszym zarysie poprzestaniemy na ogólnym przeglądzie religijnego piśmiennictwa Hindów, zajmiemy się krytycznem zbadaniem wiarogodności ksiąg, ścisłem rozróżnieniem epok piśmiennictwa i, o ile jest możebnem, najdokładniejszem oznaczeniem chronologicznem ich następstwa; w innych częściach naszej pracy pomieścimy szersze i bardziej szczegółowe badania samej istoty tego piśmiennictwa, a wreszcie syntetyczny ustrój całości.

Pomimo swej starożytności, piśmiennictwo hinduskie jest dla Europy całkiem nowym nabytkiem; wiek jeden zaledwie upły-

nął od czasu, w którym Europa dowiedziała się o niesłychanem bogactwie i pierwszorzędnej wartości tegoż piśmiennictwa.

Pierwsze wiadomości o piśmiennictwie hinduskiem doszły do Europy od misyonarzy, mianowicie od Jezuitów, którzy w swych „Listach ciekawych i pouczających“ ogłosili światu to odkrycie. Niebawem wytworzył się w Europie cały zastęp uczonych, zwanych Indologami, którzy wydawali teksty, tłumaczenia i objaśnienia dzieł hinduskich. Obecnie posiadamy w przekładzie na języki europejskie całe niemal dawne piśmiennictwo Hindów [1].

Język, używany w starem piśmiennictwie hinduskiem, nosi nazwę sanskryckiego; tym językiem mówiły ludy aryjskie w Indyach przed trzydziestu, czterdziestu, a może więcej wiekami. Język sanskrycki jest obecnie umarłym, jak u nas łaciński, a potomkowie dawnych Aryów mówią i piszą obecnie językami prakryckimi, urobionymi z sanskrytu, podobnie jak ludy romańskie w Europie używają języków, urobionych z łaciny.

Filologowie rozróżniają w sanskrycie dwa narzecza: archaiczne, zbliżone do języka Awesty, które nazywają językiem wedyjskim, i nowsze, czyli właściwy sanskryt.

Najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa hinduskiego są *Wedy*. Wyraz „Weda“, tak co do brzmienia jak i co do znaczenia, odpowiada naszemu wyrazowi „Wiedza“.

Wedy zawierają pieśni i modlitwy liturgiczne, a względnie do swej treści, dzieliły się na: właściwe hymny czyli *rik*, modlitwy ofiarne czyli *jadżus*, i pieśni liturgiczne czyli *saman;* ztąd

---

[1] Polski język nie przyswoił sobie dotąd żadnego dzieła Hindów. P. Krasnosielski w *Biliotece Warszawskiej*, rok 1866, t. III., i w *Dziejach literatury powszechnej*, t. I., przedstawił treściwy pogląd na literacki dział piśmiennictwa hinduskiego. P. A. Narkiewicz Jodko w *Dziejach Malarstwa* ograniczył się do głównych rysów tegoż piśmiennictwa. Wreszcie p. M. Straszewski w wychodzącem obecnie dziele: *Dzieje Filozofii w zarysie*, w szczupłych ramach zajmuje się odnośnym działem. Nie wymieniamy tu ani Lelewela ani Kremera, gdyż prace ich o Indyach nie są krytyczne. Właściwy dział filozoficzno-teologiczny był albo zupełnie pominięty przez polskich pisarzy, albo też pobieżnie i nieoględnie traktowany. P. Straszewski, w wyż wspomnianej książce. t. I., str. 90 i nast., podaje szczegółowe zapiski bibliograficzne prac uczonych indologów.

odpowiednie zbiory czyli *Samhity* nosiły nazwy: *Rig-Weda, Jadżur-Weda* i *Sama-Weda*. Znajomość tych trzech Wed albo „potrójnej umiejętności", była obowiązkową dla każdego brahmana. Nieco później przybyła jeszcze czwarta Samhita, mianowicie *Atharwa-Weda*, która prócz wielu hymnów wspólnych z trzema poprzedniemi Wedami, zawiera nadto hymny i modlitwy liturgiczne, które były nieznane w dawnych obrzędach.

Hymny, modlitwy i pieśni liturgiczne, zawarte w Wedach, zowią się *Mantra*, dla odróżnienia od pewnego rodzaju komentarza, który każda Weda posiada, a który nazywa się *Brahmana*.

Brahmany były oczywiście późniejsze od Mantry, jednakże wszyscy indolodzy zgadzają się na to, że sięgają one nader odległych czasów, już to ze względu na archaiczność języka, już to dlatego, że zawierają podania z odległej starożytności.

Cała ta część piśmiennictwa hinduskiego nosi nazwę *Śruty*, tj. tego, „co było zasłyszanem" czyli o b j a w i o n e m, i przez długi czas stanowiła jedyną podstawę dogmatyki i liturgiki Hindów. Z czasem, kiedy język Wedów stawał się coraz mniej zrozumiałym, potrzeba było obszerniejszych komentarzy; umysł Hindów, skłonny do badania przyczyn, począł się zastanawiać nad wzniosłemi zadaniami człowieka, o których dorywcze wzmianki znajdowano w „świętej" księdze; ztąd wytworzyły się traktaty filozoficzne, zwane *Upaniszadami*. Najdawniejsze Upaniszady pozyskały wielką wziętość wśród Hindów i zaliczone zostały pomiędzy Śruty, tak iż dzisiaj każda Weda składa się z trzech części: *Mantra, Brahmana* i *Upaniszad*.

Wedy są dla Hindów księgą świętą, objawioną. Po wsze czasy wszyscy uczeni Hindowie na te księgi się powoływali i powołują dotąd. W ciągu kilkudziesięciu wieków w religii Hindów powstały ogromne zmiany, wytworzyły się niezliczone sekty i odrębne obrzędy, jednakże każdy reformator nawiązywał swą naukę do tekstu Wedów.

Potomkowie dawnych Aryów, otrzymawszy te księgi w spuściźnie po przodkach. przechowywali je zazdrośnie przed okiem innych. Wybrani tylko mogli je posiadać i zaznajamiać się z ich treścią. Jakkolwiek język, którym były pisane, stał się niezrozu-

miałym dla ogółu, Wedy nie były nigdy tłumaczone na języki prakryckie, a tem bardziej na języki zhindusowanych Drawidów. Wiele trudu kosztowało uczonych europejskich, zanim wymogli na Brahmanach, iż ich wtajemniczyli w naukę języka Wedów i księgi swe im powierzyli.

Całe to najdawniejsze piśmiennictwo hinduskie tak dowodne ma znamiona wewnętrzne i zewnętrzne swego pochodzenia, iż przez wszystkich indologów bez wyjątku uznane jest za wiarogodne [1].

Drugi wielki dział piśmiennictwa hinduskiego stanowią tak zwane *Smryti*, czyli to, „co było zapamiętane". To piśmiennictwo, o wiele późniejsze od pierwszego, niema dla Hindów znaczenia dogmatycznego, jednak również wysoko jest cenionem. Dla nas, oprócz innych względów, jest ono ważnem dlatego, że umożebnia rozpatrzenie się w przebiegu zmian, jakie nastąpiły w religii Hindów. Do tego działu przedewszystkiem należą: Kodeks *Mana*, *Mahabharata*, *Ramajana*, *Purany* i *Tantry*.

Najpierwszą i najważniejszą księgą piśmiennictwa hinduskiego jest *Rig-Weda*.

Rig-Weda jestto zbiór hymnów, które, ułożone na cześć rozmaitych bóstw, śpiewane były przy obrzędach religijnych. Księga składa się z 1017 pieśni, które razem wzięte zawierają 10.417 *rik* czyli „wierszy". W dzisiejszych wydaniach Rig-Weda podzielona jest na 10 części, zwanych *Mandala*, które oznaczają się zwykle liczbami rzymskiemi; każda Mandala zawiera pewną ilość hymnów, które rozróżniają się między sobą liczbą porządkową arabską, tytułem hymnu i nazwiskiem *Riszi*, tj. domniemanego autora [2]. Hymny poświęcone są różnym bogom, bóstwom, geniuszom, najczęściej Indrze, Warunie, Agni.

---

[1] „Si l'on excepte un certain nombre d'appendices que la critique n'a pas de peine à distinguer, nous avons dans l'ensemble de ces écrits une littérature authentique, qui se donne pour ce qu'elle est, qui n'essaie nullement de s'attribuer une origine surnaturelle ni de déguiser son âge en ayant recours aux procédés du pastiche". Barth, *Les religions de l'Inde*, p. 5.

[2] I tak, Rig-Weda X., 129, znaczy: Mandala dziesiąta, pieśń sto dwudziesta dziewiąta.

Wartość poetyczna hymnów Rig-Wedy jest nader niską; pierwszorzędni znawcy piśmiennictwa hinduskiego pod tym względem zgodni są w sądach. „W poezyi Rig-Wedy — mówi Cowell — brak prostoty i tego naturalnego patosu albo wzniosłości, jaki zwyczajnie odnajdujemy w pierwotnych porywach cywilizacyi. Język i styl największej części hymnów jest naciągany... wyjątkowo tylko spotykamy piękne ustępy poetyczne, mianowicie w hymnach do Jutrzenki, lecz nastrój poetyczny prędko mija; ogólnie, w całej Rig-Wedzie znajduje się zaledwie kilka wielkich porównań i przenośni". Prof. Williams mówi również, że w Rig-Wedzie „wiele jest dziecinnych idej, mało zaś uderzających myśli i wzniosłych poglądów".

Mimo to jednak mają te hymny swą wartość i zaciekawić mogą czytelnika; chociaż bowiem poezya liryczna Hindów pod względem technicznym nie dorównała utworom innych ludów, jednakże biorąc na uwagę czas, w którym powstała, i pierwszorzędne zadania, które porusza, nabiera ona niemało znaczenia i słuszny nieraz wywołuje podziw uczonych. Jako przykład, przytoczymy tu kilka hymnów, które dadzą niejakie wyobrażenie o tem starem piśmiennictwie.

Hymn do Stworzyciela [1].

Jakiemu Bogu mamy składać ofiary?
Tego niech nam będzie wolno błagać, który powstał jako złoty zarodek
Na początku, który urodził się jako pan —
Jedyny pan wszystkiego, co jest — który uczynił
Ziemię, utworzył niebo, który dał życie,
Który dał siłę, któremu bogowie pokłon składają,
Którego ukrytą siedzibą nieśmiertelność,
Którego cieniem śmierć; który swą potęgą jest królem
Wszystkiego co oddycha, śpi lub czuwa.
Skoro przeszły wielkie wody, zostało nasienie,
Zrodził się ogień, wówczas powstał ten,

[1] Tłumaczenie według M. Müllera i Williamsa. Hymn zamieszczony jest w Mandali X., pieśni 121. Każda strofka tego hymnu kończy się pytaniem: Jakiemu Bogu mamy składać ofiary?

Który jest tchnieniem i życiem wszystkich bogów,
Którego potężny wzrok rozpatruje się w wielkich przestworach
Par eterycznych — źródłach siły,
Przyczynie ofiar — Jedyny Bóg
Ponad wszystkie bogi.

Jedna z pieśni następnych tejże samej Mandali zawiera tak głębokie myśli, iż zdaje się być niejako wyrwaną z Genezy Mojżeszowej. Barth mówi o tym hymnie, że „w głębokości myśli i wzniosłości języka żadna szkoła go nie przewyższyła“ [1].

Hymn do Paramatma [2].

Nie było wówczas ani niebytu, ani bytu;
Nie było wówczas ani nieba, ani powietrza.
Gdzież wówczas ukrywał się cały ten świat?
Jaka to tajemnicza głębia go przechowywała?
Jakie łożysko obejmowało wody?
Nie było wówczas ani śmierci, ani nieśmiertelności,
Nie było dnia i nocy, światła i ciemności:
Jedyny był tylko *Samoistny*, brzemienny wszystkiem,
Ale nicość otaczała zewsząd.
Wtenczas przyszła ciemność ukryta w ciemności,
Potem wszystko było wodą, wszystko w bezładzie,
W którym spoczywał Jedyny, ukryty w nicości.
Wówczas wejrzawszy w siebie, samoistną siłą
Wnętrznej woli, wytężonem wyobrażeniem, począł róść.
Najprzód w jego duszy powstała Chęć (Kama) pierwotny zaród,
Który przeistoczył niebyt w byt.
Któż zna te rzeczy! Kto je może wypowiedzieć!
Zkąd powstały istoty? Bogowie również byli przez niego stworzeni.
Lecz któż może wiedzieć, jakim sposobem On sam istnieje?
Ten, który jest pierwszym sprawcą tego stworzenia,
On je podtrzymuje. Któż inny jak nie On mógł był to uczynić!
Ten, który z wysokości niebios oczy ma zwrócone na ten świat,
On tylko to wie. Któż inny o tem mógłby wiedzieć!

---

[1] *Les religions de l'Inde*, p. 22.
[2] X., 129. Tłumaczenie według Ludwiga i Williamsa.

Najdawniejsze i jedyne wspomnienie w Wedach o podziale na kasty, znajduje się w hymnie 90, Mand. X, z którego podajemy niektóre ustępy.

Hymn do Puruszy [1].

Tysiąco-głowy jest Purusza, tysiąco-oczny, tysiąco-nożny.
Całą ziemię on utworzył dziesięciu palcami i poza nią istnieje.
Purusza jest wszystkiem co jest i co będzie,
Rozkazuje nieśmiertelności.....
Taką jest jego wielkość — a większy jest nadto Purusza.
Czwartą częścią jego są wszystkie światy, trzy części jego nieśmiertelne [w niebiosach;
Z trzema częściami wzniósł się Purusza w górę, a czwarta część została [na ziemi.
Od Puruszy pochodzi wszystko co ma jaką rozciągłość, żywotne i nie[żywotne,
Z niego został zrodzony Wiradż a z Wiradża Adhipurusza.
. . . . . .
Brahman powstał z jego ust, *Radżania* z jego dwu ramion,
Z jego goleni powstali *Wajsiowie*, a *Sudrowie* z jego nóg.

Przeważna większość hymnów Rig-Wedy nosi wybitną cechę liturgiczną; są to pieśni pochwalne i błagalne modlitwy. Poniżej umieszczona pieśń da pojęcie ogólnego nastroju tych hymnów.

Hymn do Waruny [2].

Mój hołd odnosi się do mądrego i potężnego Aditya, który swym ogromem wznosi się ponad wszystkie jestestwa, do tego Boga, który napawa pociechą swego czciciela. Chcę głosić sławę świetnego Waruny.

Waruno! obyśmy byli szczęśliwymi tobie służyć, ciebie błagać, ciebie chwalić! Każdego dnia w zaranie płodnych Jutrzenek, wznosimy śpiewy ku tobie, zapalając na twą cześć płomienne ofiary Agni.

Waruno! przewodniku nasz, oddajemy się pod opiekę tego, który odziany jest mocą, otoczony hołdami. Synowie Adityi, bogowie niezwyciężeni, miejcie litość nad nami!

---

[1] Tłumaczenie według Ludwiga.
[2] Według Langlois, Sec. II., lec. VII., h. V.

Ze wszech stron Aditya, podtrzymujący (świat), wzniecił ognie ofiarne, na cześć Waruny spełniają się libacye. Bez przeszkody, bez ustanku płyną one szybko, niby pokarm w łonie tego, który się obraca.

Waruno! wybaw mnie ode złego, obyśmy odnieśli skutek naszej ofiary! Tkanina uwita z naszych modłów niech nie będzie rozerwaną. Nasze przeszłe zasługi niech nie będą zniszczone!

Waruno! Królu sprawiedliwy, oddal ode mnie trwogę, okaż mi swą łaskę. Wyłoń ze mnie bojaźń, która jest mojem brzemieniem. Nikt cię zawstydzić nie może.

Waruno! który dajesz życie, nie przeszywaj mnie strzałami przeznaczonemi dla występnego. Nie wysyłaj nas na krańce światła. Zachowaj nam życie, a ukorz naszych wrogów!

Waruno! który tak często okazujesz swą moc, my tobie niegdyś składali hołdy; oto i teraz składamy je ponownie. Niezwyciężony, czynności nasze opierają się na tobie jako na opoce.

Uczyń zadość obietnicom swoim. Królu! nie żądam zapłaty za czynności cudze. Waruno! błagam cię, aby jeszcze wiele Jutrzenek mogło dla mnie przeminąć!

Królewski Waruno! choćby krewny lub przyjaciel chciał mnie zaniepokoić, choćby łotr i rozbójnik chcieli mi zaszkodzić, ochroń mnie od nich!

Królewski Waruno! niech nie będę narażony na utratę przyjaciela i krewnego, na utratę majętności. Obyśmy, szczęśliwi ojcowie licznego potomstwa, mogli wygłaszać twą chwałę przy składaniu ofiar!

Ogólny pogląd na całość hymnów przedstawia się panteistycznie, cała przyroda zdaje się być ubóstwioną. Wszystko co uderza oczy na zewnątrz, ciała niebieskie, objawy atmosferyczne, zwierzęta, ptaki i rośliny, są uosobione, a przynajmniej wzywane, otrzymują jakiś hołd — jednakże, jak trafnie zauważył Barth, „ani cześć bezpośrednia przedmiotów, ani też hołdy zbyt przejrzystych uosobień przyrody, nie są wybitną cechą tych hymnów“ [1]. Hymny Rig-Wedy, mówi tenże autor, zawierają zasadnicze pojęcia religijne Hindów, „cała myśl religijna Indyj znajduje się już w zarodku w tych starych księgach“ [2]; lecz prawdy te przybrane

[1] Barth, *Op. cit.*, p. 7.

[2] „Nous nous proposons d'être plus complet en ce qui concerne les Vêdas, à cause de leur importance exceptionnelle, toute la pensée religieuse de l'Inde se trouvant déja en germe dans ces vieux livres“. Barth, *Op. cit.*, p. 2.

są w kształty i barwy fantastycznej poezyi. Przesianie tego bogatego materyału przez ścisłe sito krytyki, dozwoli nam na stosownem miejscu wydobyć i uwydatnić rzeczywiste perły religijnych pojęć Aryów.

Inne trzy Wedy zawierają hymny ułożone wierszem, i traktaty pisane prozą. Hymny po większej części są te same co i w Rig-Wedzie, z niejakiemi jednak odmianami; traktaty pisane prozą odnoszą się do obrzędów liturgicznych, zajmują się przytem kwestyami teologicznemi i filozoficznemi.

Trzy pierwsze Wedy są najdawniejsze, ostatnia, Atharwa-Weda, powstała później; w „prawach Manu“ jest tylko mowa o trzech pierwszych.

Max Müller wydał nakładem rządu indyjskiego tekst Rig-Wedy; jestto najwspanialsze i najkrytyczniejsze wydanie, jakie posiadamy. Aufrecht ogłosił tekst Rig-Wedy czcionkami łacińskiemi; inni uczeni drukowali niektóre tylko części. Pierwsze tłumaczenie częściowe tekstu wyszło w Europie w r. 1838; odtąd Niemcy, Francuzi, a szczególnie Anglicy, wydali poprawne tłumaczenia w swych językach. Inne trzy Wedy ogłaszane były częściowo przez europejskich uczonych przeważnie w *Bibliotheca Indica* [1].

---

[1] Podajemy tu niektóre szczegółowe zapiski bibliograficzne, odnoszące się do wydań Wedów:

1. *Rig-Weda.* Max Müller, *The Rig-Veda-Sanhita, together with the Commentary of Sayana-charya,* 6 vol. in 4°, 1849—74. Toż samo dzieło bez komentarza wydał tenże sam uczony pod tytułem: *The Hymns of the Rig-Veda in the Sanhita and Pada texts,* 4 vol. in 8°, 1873. — Th. Aufrecht, *Die Hymnen des Rigveda,* 2 vol. in 8°. 1861—63; drugie wydanie w r. 1877. — A. Langlois, *Rig-Véda;* drugie wyd. w r. 1872. — Tłumaczenia są: angielskie Wilsona i Cowella z r. 1868, Müllera z r. 1869; niemieckie Ludwiga 1876—79 i Grassmanna 1876—77.

2. *Atharwa-Weda.* Roth i Whitney, *Atharva Veda Sanhita,* 1855—56.

3. *Sama-Weda.* Th. Benfey, *Die Hymnen des Sâma-Veda* (tłum.), 1848. — Satyawrata Samaśrami, *Sáma Veda Sanhita with the commentary of Sayana acharya.* Calcutta 1874.

4. *Jadżur-Weda.* Składa się z dwóch części; pierwsza, zwana *Jadżus biała,* wydana była przez Webera pod tyt.: *The white Yajur-Veda,* 3 vol. in 4°, 1849—59; druga część zowie się *Jadżus czarna,* znajduje się również w dziełach Webera, mianowicie w XI. i XII. tomie *Indische Studien,* pod tyt.:

Jednem z pytań nader ważnych, a zarazem nader trudnych, jest oznaczenie czasu, w którym powstało najdawniejsze piśmiennictwo wedyjskie. Jakkolwiek Hindowie uprawiali wiele gałęzi wiedzy ludzkiej i doprowadzili niektóre z nich do wysokiej doskonałości, nie mieli jednak historyi, a nawet pozbawieni byli całkiem zmysłu historycznego, ztąd dane ich chronologiczne są szeregiem bajecznych liczb bez żadnej podstawy; w innych tedy kierunkach należy szukać źródeł, któreby nas doprowadziły do zamierzonego celu.

Piśmiennictwo wedyjskie powstało już po osiedleniu się Hindów w Pendżabie, a więc po rozłączeniu się szczepów aryjskich.

Lecz w jakiej epoce nastąpiło to rozłączenie?

Wobec danych, jakie dotychczas posiadamy, ścisłe rozwiązanie tego pytania jest niemożebne; jest jednakże jeden lub drugi punkt stały, który może posłużyć za drogoskaz.

O przybyciu ludów aryjskich do Europy, mało mamy wiadomości. Wiemy prawie pewnie, że ludy celtyckie zajęły Galię i Hiszpanię w wieku XVI.: zapiski pisarzy klasycznych stwierdzone są pod tym względem przez badaczy archeologii przedhistorycznej [1]. Wiemy dalej, że ludy jawańskie zajęły Grecyę w wieku XIX. Wreszcie Egipcyanie w wieku XXI. albo w XXII. znali ludy *Ha-nebu*, które, według Brugscha i Lepsius'a, były właśnie Jawanami [2]. O Aryach Wschodnich nie mamy żadnych wiadomości. Wprawdzie wielu uczonych, jak: Rhode, Lassen, Bunsen, dostrzegali w Fargardzie I. Wendidadu opis pochodu szczepu

---

The Sanhita of the Black Yajur-Veda. Calcutta 1860. — Uczony Hindu Radżendralala Mitra wydał w „Bibliotheca Indica“ tłumaczenia: *The Taittiriya Brâhmana of the Black Yajur-Veda,* 3 vol. in 8°. Calcutta 1859—70; i *The Taittiriya Aranyaka of the Black Yajur-Veda.* Calcutta 1872.

Wreszcie, a raczej przedewszystkiem, klasycznem dziełem służącem do zapoznania się z piśmiennictwem hinduskiem, jest pomnikowe wydanie Muir'a: *Original sanscrit Texts,* 5 vol. London 1872.

[1] Troyon, badając mieszkania nadwodne (na palach) w Chambon, wpobliżu jeziora Neufchatel, przyszedł do wniosku, iż one datują z XVI. w. przed Chr.

[2] Chwolson, *Über die Überreste der altbabylonischen Litteratur,* S. 85.

erańskiego, a nawet hinduskiego, po odłączeniu się od wspólnej gromady — Kiepert jednak dowodnie wykazał błahość tego mniemania[1]. Zresztą niema w tym opisie żadnej danej chronologicznej. Jedyny tedy wniosek, jaki możemy wysnuć z poprzednich danych, jest ten, że rozłączenie się Aryów nastąpiło przed XXII. w.

Napróżno szukalibyśmy w hymnach wedyjskich jakiegokolwiek synchronizmu, sama ich istota nie nadawała się do tego przedmiotu; na szczęście jednak posiadają Hindowie księgę, która ściśle złączona z epoką wedyjską, ratuje jakotako sprawę chronologiczną.

Księga, zwana *Wedanga*, zawiera przedwstępne wiadomości, potrzebne do zrozumienia Wedów i sprawowania obrzędów wedyjskich. Jeden z działów Wedangi nosi tytuł *Dżjotysza;* jestto kalendarz obejmujący spis uroczystości wedyjskich i wskazujący czas, dzień i godzinę, w którym ma się odbywać obrzęd wskazany; czas wyznaczony jest według wskazówek astronomicznych. Otóż znakomity indolog, który był również dobrym astronomem, opierając się na Dżjotyszy, mianowicie zaś biorąc w rachubę wskazane tam położenie punktów równonocnych, a również tuż przedsłoneczny, heliaczny wschód, świetlnej gwiazdy Kanopus (α Argo), dochodzi do wniosku, że kalendarz ten pochodził z XIV. wieku przed Chr.[2]. A ponieważ Wedanga była tylko podręcznikiem, służącym do Wedów, ztąd hymny wedyjskie w tymże wieku istnieć już musiały.

Wnioski Colebrooke'a przyjmują tacy indolodzy, jak Lassen[3] i Wilson, a jakkolwiek Weber i Max Müller nie godzą się

---

[1] *Sitzungsberichte d. Berl. Akad. der Wissensch.* Grudz., str. 621 i nast.

[2] *Misc. Essays.* I. 129, 20; II. 353. — „Diese Beobachtungen gehören in das vierzehnte Jahrhundert vor Chr. G. und es folgt aus ihnen, dass die Inder zu jener Zeit im nördlichen Indien wohnten". Lassen, *Op. cit.*, I. B., S. 747.

[3] „Mit der von uns vorgezogenen Angabe über den Anfang der nachheroischen Zeit verträgt sich endlich das einzige astronomische Datum, welches unabhängig von dem chronologischen System der Brahmanen und ohne ihr Wissen sich aus ihrer Vorzeit erhalten hat. Es ist dieses die Angabe über die Stellung der Koluren im Kalender der Vêda: wie diese hier angegeben wird, waren sie im vierzehnten Jahrhundert vor Chr. G. ge-

na jego dowody, ostatecznie na innej drodze dochodzą do tych samych wyników [1].

Jednakże hymny wedyjskie mogły były istnieć przed XIV. wiekiem, a niejeden wzgląd przemawia za tem, że tak było istotnie. Najprzód, język Wedów nosi na sobie wybitne cechy archaizmu; dalej, w wieku XIV. obrzędy, nader skomplikowane, ściśle już były ustalone; co więcej, wszystkie podania Hindów zdają się odnosić do dawniejszej epoki; wreszcie, istnieją pewne dane pozytywne, które bodaj czy nie są jednym z dowodów najbardziej przekonywujących, że epoka wedyjska sięga głębszej starożytności. O tych właśnie danych pozytywnych musimy w kilku słowach napomknąć.

Hindowie posiadają formuły i tablice astronomiczne, które, według ich podań, odnoszą się do nader zamierzchłych czasów [2]. Nie ufano tym zapewnieniom. Astronomowie europejscy wzięli je pod ścisły rozbiór. Okazało się, że tą razą Hindowie mają słuszność.

---

stellt. Eben dieselbe Stellung der Koluren setzen die Lunar-Monathe der Vêda voraus. Wir brauchen nicht anzunehmen, dass der Kalender der Vêda in jener Zeit aufgezeichnet worden sei, wie wir ihn jetzt besitzen; aber es darf allerdings gefolgert werden, dass zu jener Zeit eine feste Einrichtung des Kalenders erfolgt war, die wiederum auf schon vorhandenen Kenntnissen und Einrichtungen beruhete". *Ind. Alterth.*, I. B., S. 505, 506.

[1] Goldstücker w dziele: *Panini, His place in sanskr. lit.* czyni słuszny zarzut tak Weberowi jak i Müllerowi, iż pomijają matematyczne dowody Colebrooke'a, a natomiast dają swoje, których siła jest całkiem mierna. — Indolodzy, a między nimi Lassen, w *Ind. Alterth.*, I. B., S. 741 i nast., wspominają, że Chińczycy, według niektórych kronik, za panowania cesarza Jao z r. 2357 przed Chr., a według innych pewniejszych, za cesarza Wouwang'a z r. 1122 przed Chr., dzielili równik na 28 *sieu:* a że w kalendarzu Wedy istnieje podobny podział ekliptyki na 28 *naxatra*, ztąd wnoszą, że Hindowie zapożyczyli swój kalendarz od Chińczyków. Ten wniosek nie jest jednak konieczny, Chińczycy bowiem mogli przejąć tak podział jak i kalendarz od Hindów.

[2] Nie ulega wątpliwości, że Hindowie w czasach nader odległych, mianowicie na 2000 lat przed narodzeniem Kopernika, mieli już niejakie pojęcie o nieporuszalności słońca. I tak czytamy w *Aitareya-brahmana* (Edition by Dr. Haug. III. 44): „Słońce nigdy nie zachodzi ani nie wschodzi. Kiedy lud sądzi, że słońce zachodzi, ono się jedynie zmienia względem nas przy końcu dnia, sprawia noc poniżej a dzień po drugiej stronie. Kiedy lud sądzi, że słońce wschodzi rano, ono się jedynie wykręca przy końcu nocy, i sprawia dzień poniżej, a noc po drugiej stronie".

Bailly, porównywając tablice z Tirvalour z wynikiem własnych obliczeń, przyszedł do przekonania, że dane astronomiczne, w nich zawarte, a mające się odnosić do początku ery, zwanej *Kalijuga* [1], są zupełnie dokładne. Playfair, astronom angielski, przerobił ze swej strony wszystkie te rachunki; wykazuje on mianowicie, że położenie gwiazdy Aldebaran, z gromady Byka, położenie słońca, długość roku zwrotnikowego, pochyłość ekliptyki, tak są dokładnie podane w tablicach hinduskich, iż należy mniemać, że spostrzeżenia astronomiczne dokonane były rzeczywiście we wskazanej epoce [2]. La Place wydaje również świadectwo tablicom hinduskim: „Według mojej teoryi dochodzę — pisze on [3] — że w epoce hinduskiej, 3102 lat przed Chr., ruch roczny i pozorny Saturna był: 12° 13′ 14″, tablice zaś hinduskie podają: 12° 13′ 13″. Różnią się tylko o sekundę. Znajduję również, że ruch roczny i pozorny Jowisza był w tej epoce: 30° 20′ 42″, zupełnie tak samo, jak je podają tablice hinduskie".

---

[1] Kalijuga jest era, od której historycy hinduscy rozpoczynają swą chronologię. Era ta miała przypaść z końcem wielkiej wojny, która wiele lat trwała w północnych Indyach. Wielka wojna była zdarzeniem rzeczywistem, na to godzą się historycy; chodzi jedynie o oznaczenie czasu. Hindowie naznaczają początek tej ery na rok 3102 przed Chr., na dzień 18 lutego, o północy, według południka przechodzącego przez Udżain. Tej ery używają dotychczas w Dekhanie. Por. Lassen, *Op. cit.*, I. B., S. 507, 508.

[2] *Remarks on the astronomy of the Brahmins.* Edinburg 1789.

[3] Tak przynajmniej zapewnia Pictet w swem dziele; zkąd zaczerpnął tę wiadomość, nie podaje. — P. Karliński, dyrektor krakowskiego Obserwatoryum astronomicznego, proszony o wypowiedzenie swego zdania w tym przedmiocie, przesłał łaskawie odpowiedź, którą tu w całości zamieszczamy:

„1) Hindowie nie mają żadnych formuł astronomicznych w naszem znaczeniu tego wyrazu: mają tylko tablice i obszerne przepisy, jak ich używać.

2) Pierwsze takie tablice przysłał do Europy P. de la Loubère, ambasador Ludwika XIV., w r. 1687, posłany do *Siamu*, i te służą tylko do obliczania zaćmień.

Drugie przywiózł w r. 1772 astronom Le Gentil z brzegów Koromandelu, a w szczególności z *Tircalour*, ze wszystkiemi objaśnieniami co do ich użycia. (*Tircalour*, miejscowość nieznana, prawdopodobnie dzisiejsze *Tricellur* w prezydenturze Madras, niedaleko na zachód od tego miasta).

Trzecie i czwarte znalazł Bailly w r. 1786 w archiwum kart i planów żeglarskich w Paryżu, gdzie je złożył p. de Lisle. Jedne otrzymał był de Lisle od Ojca Patouillet, który korespondował z Misyonarzami:

Otóż ta zgodność tablic, odnoszących się do tej epoki, z wyrachowaniem, opartem na najświeższych zdobyczach wiedzy astronomicznej, o których astronomowie hinduscy nie mają żadnego

---

drugie przysłał z Indyj Ojciec du Champ, sławnemu Ojcu Gaubil'owi, a od tego ostatniego dostał je p. de Lisle. Według Bailly'go (*Traité de l'Astronomie indienne et orientale.* Paris 1787, p. XI), te trzecie tablice pochodzą z *Narsapur,* wpobliżu Masulipatam, i są bardzo podobne do tablic siamskich. Czwarte, przysłane przez Ojca du Champ, mają pochodzić z *Chrisnaburam,* i te są prawie tego samego kształtu co i nasze zeszłowieczne europejskie. (*Chrisnaburam,* którego już Bailly odszukać nie mógł, mimo że jego długość i szerokość geograficzną miał z karty d'Anville'a, leży najprawdopodobniej gdzieś nad rzeką *Krischna,* w części, którą w zeszłym wieku zwano Karnat).

3) Co do epoki, to tylko tablice drugie z *Tircalour* odnoszą się do *roku 3102* przed Chr.; natomiast tablice czwarte z *Chrisnaburam* mają za epokę *rok 1491* po Chr. Zaś tablice z *Narsapur* mają epoki jeszcze późniejsze, bo *rok 1569* i *1656* po Chr. Tablice siamskie mają za epokę rok 638 po Chr.

4) Pierwiastki biegu słońca, księżyca i planet: Marsa, Merkurego, Jowisza, Wenus i Saturna, są tego rodzaju, że obliczając niemi, z epoki 1491 po Chr. dochodzi się do miejsc planet podanych na rok 3102 przed Chr. i naodwrót. Tym sposobem pozostaje wątpliwem, która z tych dwóch epok jest oryginalną.

5) Otóż Bailly stara się wszelkimi sposobami udowodnić, że oryginalną epoką jest r. 3102 przed Chr. Dowodów jego atoli ani La Place, ani Delambre, ani żaden z późniejszych astronomów aż do naszych czasów, nie przyjął za dostateczne; i owszem, utrzymują, że epoka 3102 przed Chr. jest tylko owocem rachunku. Warto pod tym względem czytać:

a) La Place'a *Précis de l'histoire de l'Astronomie.* Paris 1821, p. 18—21, gdzie stoi: „Les tables indiennes supposent une astronomie assez avancée, mais tout porte à croire qu'elles ne sont pas d'une haute antiquité. Ici je m'éloigne avec peine, de l'opinion d'un illustre et malheureux ami (Bailly) dont la mort, éternel sujet de regrets, est une preuve affreuse de l'inconstance de la faveur populaire..." etc. etc.

b) Delambre: *Histoire d'Astronomie ancienne.*

c) Schaubach's *Untersuchungen über die indische Astronomie* w *Astronomisches Jahrbuch für das Jahr 1812,* von Bode (p. 112), gdzie Schaubach daje streszczenie swej pracy p. t.: *Commentatio de studii astronomici apud Indos origine et antiquitate ex commentariis Calcuttensibus delineata.*

d) Encke's *Vorlesungen über Geschichte der Astronomie im Alterthum.* Te odczyty miewał Encke w Berlinie w latach 1846 i 47; pozostałą z nich część wydano w r. 1869 w *Zeitschrift für populäre Mittheilungen aus dem Gebiete der Astronomie und verwandter Wissenschaften.* Herausgegeben von Prof. Peters in Altona. (III. B., p. 186).

Jako główny zarzut przeciw prawdziwości epoki 3102 przed Chr., służy okoliczność, że według twierdzeń indyjskich, w tym roku miała być ogólna

pojęcia, wyklucza wszelką możebność podrobienia i świadczy o ich autentyczności. Nie możemy wprawdzie dowieść, że Hindowie nie zapożyczyli swych tablic od Chaldejów, to prawda,

---

konjunkcya słońca, księżyca i wszystkich planet, która się wprawdzie z tablic chrisnaburamskich (r. 1491 po Chr.) wstecz wyrachować daje, ale której nasze dzisiejsze tablice astronomiczne nie dają.

Encke kończy słowy: „Es scheint Alles darauf hinzudeuten, dass die Indier keine alten Beobachtungen aufzuweisen haben und ihre Theorien und Rechnungsarten erst von dem Occident durch die Araber und Eroberer von Indien erhalten haben".

6) Słów La Place'a, przywiedzionych przez Picteta, nie znalazłem nigdzie. Cyfry tam podane są przepisane z Bailly'go: *Traité de l'Astronomie indienne* (p. 173). Rzecz się tak ma: słoneczny rok Braminów liczy równe 52 tygodnie czyli 364 dni. Tablice ich dają:

	Ruch Saturna:	Ruch Jowisza:
w 364 dniach	12° 10′ 18.″ 52‴	30° 14′ 49′ 26‴
w 1 dniu	2 0 23	4 59 9
w 365 dniach	12° 12′ 19″	30° 19′ 48″

do tego dodał Bailly, idąc za Le Gentil'em, precesyę roczną:

+ 54″	+ 54″ i otrzymał
12° 13′ 13″	30° 20′ 42″

Ten średni ruch roczny jest pierwiastkiem stałym. — Tablice oparte na rachunkach: a) La Place'a, b) Leverrier'a, dają w 365 dniach:

a) 12° 13′ 36.″0804	a) 30° 20′ 31.″9992
b) 12 13 36. 1551	b) 30 20 32. 0557

Dają więc tablice indyjskie, choćbyśmy nawet powyższą precesyę przyjęli,

dla Saturna:	dla Jowisza:
23″ zamało	10″ zawiele.

Pierwsza z tych różnic 23″ uderzyła już samego Bailly'go (bo w 4593 latach [od —3102 do +1491] zmienia miejsce Saturna o przeszło 29° na niebie), i jak podaje na str. 176. pytał się La Place'a, czy odkryta właśnie przezeń „la grande inégalité" w biegu Saturna i Jowisza (pochodząca z ich wzajemnego działania na siebie) nie zmieniła rocznego ruchu tych planet? — ale sam przyznaje: „Mais il n'en (tj. z owej grande inégalité) résulte pas des effets progressifs, ni une accélération et une retardation constante: ces effets sont périodiques et ont lieu dans une période de 877 ans" — a dalej pisze: „Mr. de La Place m'a dit qu'il y avoit des tems où le mouvement de Saturne pouvoit paroitre plus lent ou plus rapide de 21″. Il ne faut donc pas s'etonner qu'il y ait tant de difference et 23″ environ, entre le mouvement indien de Saturne et le nostre".

Z tego wszystkiego wynika, że przywiedzione słowa La Place'a od tego ostatniego nie pochodzą, i są taką fikcyą jak to, co pisze Mädler (w swej *Geschichte der Himmelskunde*. Braunschweig 1873. B. I. p. 17): „La

lecz skoro niema dowodu, że tak było, przypuszczenie, że Hindowie około XXX. wieku przed Chr. przebywali już na półwyspie, nie jest pozbawione podstawy, a ztąd rzeczą jest prawdo-

---

Place hält dafür, dass sich... das Alter der indischen Astronomie bis zu 3000 Jahren vor unserer Zeitrechnung verbürgen lasse".

7) Z jakich źródeł czerpał Biot w swych *Études sur l'Astronomie indienne* (Paris 1862), powiedzieć nie umiem. Z tego co z nich przytacza Mädler, widać, że Biot przechyla się na stronę tych, co astronomię indyjską wywodzą z chińskiej, ale — rzecz dziwna! — daty liczebne indyjskie porównywa tak jak Bailly z Hipparchowskiemi, tj. z greckiemi.

8) Otóż, jak się pokazuje, cała trudność oznaczenia czasu, w którym Hindowie astronomią trudnić się poczęli, ztąd pochodzi, że nam nie pozostawili żadnych spostrzeżeń. (Podobnie jak nasi ś. p. księża-astronomowie krakowscy z wieku XIV. i XV.).

Jeżeli atoli daty pierwszych spostrzeżeń sięgają

u Chińczyków roku 2159 przed Chr.
u Chaldejczyków „ 2230 „ „
u Egipcyan „ 2782 „ „

to niema powodu, czemuby ich w Indyach o 320 lat wcześniej, tj. w r. 3102 przed Chr., być nie mogło. — Tradycya zaś o jakiejś ogólnej konjunkcyi słońca, księżyca i planet plącze się i po Egipcie, zkąd przychodzi do Grecyi i Rzymu. Kiedy ona była, nikt dokładnie powiedzieć nie umie, a o peryodzie jej czyli okresie, owym *magnus annus*, mamy najrozmaitsze podania i domysły.

9) *Cali* = impureté, corruption, infortune, *ugam* = age, ztąd Caliugam, wiek nieszczęścia, czwarty w chronologii indyjskiej, poczynający się od r. 3102 przed Chr.

Wreszcie, jedna jeszcze uwaga. Jak wiadomo, liczą Hindowie cztery wieki, z których trzy zupełnie upłynęło, a czwarty płynie.

Pierwszy trwał 1,728.000 lat
drugi „ 1,296.000 „
trzeci „ 864.000 „
czwarty potrwa 432.000 „

Ależ te cyfry, to prosta igraszka, gdyż napisać się dadzą kolejno:

$60^3.8.$ $60^3.6,$ $60^3.4,$ $60^3.2.$

Tego Bailly nie dostrzega, uważa te cyfry za dni, których 360 ma stanowić rok, i sądzi, że pierwszy wiek trwał 4800 lat
drugi „ „ 3600 „
trzeci „ „ 2400 „
czwarty trwać będzie 1200 „

Gdyby tak było i ten czwarty zaczął się w r. 3102 przed Chr., toby się był skończył w r. 1962 przed Chr., a nie ciągnął podziśdzień. Suma czterech wieków 12.000 lat, zgadza się jednak Bailly'mu dobrze, bo „les Perses disent que le Dieu suprême a fixé à 12.000 ans *la durée du monde*... Nous n'avons pas un seul témoin, nous en avons deux"".

podobną, że hymny wedyjskie powstały między XXX. a XIV. wiekiem przed Chr.

Indolodzy, którzy zajmowali się chronologią hinduską, różnią się między sobą liczbami, jakie podają, na dziesiątki wieków.

Max Müller uważał rok 1200 przed Chr. jako początek piśmiennictwa wedyjskiego; tę epokę naznaczył warunkowo [1], a w późniejszych pracach [2] uznał ją za zbyt bliską i nie wahał się odnieść ją do r. 1500. A. Weber uważa również wiek XVI. jako epokę osiedlenia Aryów nad Indusem [3]. Haug sądzi, iż dane, jakie zebrać można, tak są niepewne, że epokę powstania hymnów wedyjskich należy umieścić między r. 1400 a 2400 przed Chr.; Whitney wreszcie, Benfey, F. Müller, Whitney-Leskien, godzą się na epokę 1500—2000 lat przed Chr. [4].

Zresztą nie wszystkie Wedy powstały w jednym i tym samym czasie: Rig-Weda odnosi się do najdawniejszej epoki, Atharwa-Weda do najpóźniejszej, chociaż, według znawców, w tej ostatniej znajdują się ustępy, sięgające niewątpliwie zamierzchłej starożytności. Każda Samhita nadto urabiała się w ciągu wieków i niezależnie do pewnego stopnia, jedna od drugiej; co więcej, Samhita Rig-Wedy nietylko nie jest dziełem jednej epoki, lecz prawdopodobnie jest zbiorem różnych części, z których każda należała do innej rodziny, czy plemienia [5]. Nakoniec, jedna je-

---

[1] „We can do so only under the supposition that during the early periods of the history the growth of the human mind was more luxuriant than in later times, and that the layers of thought were formed less slowly in the primary than in the tertiary ages of the world". *A History of Anc. Sanskr. Liter.* 1859, p. 572.

[2] *Essays.*

[3] *Ind. Skizzen* i *Ind. Streifen.*

[4] Ob. *Orient. and Ling. Studies; Ally. Ethnogr.: Gesch. der Sprachwissensch.: Leben und Wachstum der Sprache.*

[5] „Une exception devra être faite cependant pour la très grande majorité des hymnes du Rig-Véda. Cette Samhitâ se compose, en effet, de plusieurs collections distinctes provenant parfois de familles rivales et ayant appartenu à des clans souvent hostiles les un aux autres". Barth, *Op. cit.*, p. 6.

„Dann ist noch zu erwägen, dass in dem über tausend Hymnen ent-

szcze uwaga. W dzisiejszym zbiorze Wedów dadzą się rozróżnić dwie odrębne warstwy, mianowicie: p i e r w o t n a, która obejmowała hymny, pomieszczone dzisiaj w Rig-Wedzie, i p ó ź n i e j s z a, w której skład weszły dawne hymny z pewnemi przeróbkami, a nadto różne dodatki. Barth, gruntowny znawca piśmiennictwa hinduskiego, wyraźnie stwierdza, że pojęcia religijne, oparte na obecnym składzie Wedów, różnią się od pojęć hymnów dawniejszych; na podstawie cech zewnętrznych stanowczo utrzymuje, że dawniejsza „liturgia hymnów nie była taką, jak się obecnie przedstawia“, że z biegiem czasu „wytworzyły się nowe pojęcia“ [1]. Ten wynik badań jest nader cennym i stanowi klucz do rozwiązania trudnego a doniosłego zagadnienia, odnoszącego się do pierwotnych pojęć religijnych Hindów.

Ks. W. Zaborski.

---

haltenden Rigvêda sich Gedichte aus mehr als einer Periode vorfinden, die in Ansichten und der Ausdrucksweise verschieden sind und verschiedenen Zeiten angehören“. Lassen, *Ind. Alterth.*, I. B., S. 740.

[1] „Dans la liturgie qui nous est présentée dans les parties les plus anciennes des autres livres, non seulement on y puise indistinctement dans la masse des Hymnes, mais on le fait sans égard pour l'intégrité des anciennes prières, prenant un vers de ci, un tercet de là, et formant ainsi de toutes pièces *des invocations d'un caractère nouveau. La liturgie de ces livres n'est donc plus la même que celle qui est représentée par les Hymnes,* et le passage de l'une à l'autre a dû exiger un intervalle de temps assez long“. Barth, *Op. cit.*, p. 6.

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY
I NA STEPY KIPCZAKU.

(UŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

V.

Zamknięci na klucz w pudle, na którem królował żandarm rozparty, z pałaszem i paru pistoletami u pasa, lecieliśmy z niezwyczajną szybkością dzień i noc.

Przeszło nam tak dni kilkanaście.

Świat zewnętrzny dla nas nie istniał. Promienie dziennego światła, jakby ukradkiem, wciskały się do wnętrza pudła przez okienka malutkie. Znaczną część doby latarenka, umieszczona w pudle, nie była gaszoną. Przy słabem światełku, wieczorem i w ciągu nocy prawie niepodobnem było czytanie: czytaliśmy jednak, o ile się dało. W dzień rzecz ta szła lepiej; okienka, chociaż wcale nieodmarzające, dostarczały na tyle światła, iż czytanie odbywało się dość znośnie.

Wieczorem, myśl znużona, przy oświetleniu słabem do książki z trudnością wracała; niepodobna było przykuwać jej na czas dłuższy do kart druku. Zamykała się więc książka, składała gazeta, myśl odtwarzała obrazy niedawno pożegnanej Wiatki, lub siliła się odgadnąć owo niepewne jutro, które czekało na nowem miejscu wygnania.

Cykl jeden, maluczki, wędrówek wygnańczych zamykał już wyjazd z Wiatki. Stawało się teraz przed przyszłością nową a niewiadomą, może groźniejszą, w każdym zaś razie inną, więc bardzo ciężką dla każdego tułacza, który w swej duszy tak wielki balast smutku dźwiga, iż wszelka zewnętrzna zmiana warunków niepokoi go, przeraża, budzi obawy, często przesadne.

I my nie byliśmy wolni od obaw o najbliższe jutro. Warunki nawet społeczne prowincyi, do której dążyliśmy, nic dobrego nie rokowały. Tambowska gubernia posiada szlachtę, nie jest pustynią, jak wiacka prowincya, która zna i ma jedynie gmin wiejski. Wśród pustyń życie wygnańcze znośniejsze, wolniejszy tam tułacz od drobnych szykan i łatwiej mu ustrzedz się różnych pokus, które na każdym kroku spotykają się w prowincyi, stojącej nieco wyżej pod względem społecznym. A właśnie Tambow, acz na stepach dawnego Kipczaku położony, chociaż to od wieków siedziba wygnańcza, miejsce zesłania, zalicza się do prowincyj, mających też same stosunki społeczne, jak i najcelniejsze prowincye państwa. W takich okolicach pospolicie los wygnańca cięższy znacznie. Wiedzieliśmy o tem, i dlatego obawy nasze, o niewiadomą a bliską przyszłość, urastały z pobudek rzeczywistych. Wspomnienie zaś Wiatki budziło żal pewien, żal wcale uzasadniony.

Wśród ludzi, stojących poza kołem wygnańczem, wyróżniali się tam dwaj: znany już nam radca Alojzy Rodziewicz, i lekarz Władysław Zaleski; pierwszy, jak już wspomnieliśmy, Litwin, drugi rodem z Polesia ukraińnego, czy też wołyńskiego. Zachowanie się obu w stosunku do wygnańców zawsze odznaczało się szczerą życzliwością. Obaj zajmowali stanowiska wybitne w różnych gałęziach administracyi i ze swych stanowisk czynili wielekroć dobrze [1].

---

[1] Alojzy Rodziewicz, po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie, był profesorem matematyki w gimnazyum w Mińsku litewskim, wpływowym i cenionym przez młodzież. W gronie jego ówczesnych uczniów widzimy Józefata Ohryzkę i Włodz. Spasowicza — postacie znane w naszem społeczeństwie. W r. 1848 Rodziewicz, zmuszony, opuścił Litwę i zawód pedagogiczny, osiada jako urzędnik administracyjny w Wiatce, szybko dochodzi do wyższych sta-

Jeśli po wyjeździe z Wiatki myśl[1] często zwracała się do tych, co sympatyą szczerą nas otaczali, a z żalem żegnali: ci dwaj zawsze w pamięci naszej naczelne miejsce posiadali. Biedacy! marzyli skończyć z czasem swe dni na własnej ziemi, a znaleźli grób wśród obcych. Zaleskiego mogiła w Kazaniu, na Wołgi porzeczach, Rodziewicza nad Newą. Im bardziej przebrzmiało echo ich działalności poczciwej, tem skrzętniej je zapisujemy...

. . . . . .

Wedle przepisów prawa powinni byli nas wieźć dwaj żandarmi; wiózł tylko jeden — przysporzyło to dochodu zwierzchności żandarmskiej — a ów jeden, acz uprzejmością, usłużnością nawet, odznaczał się, wszakże nie zapominał ani na chwilę o swych obowiązkach. Klucz w zamku drzwiczek naszego pudła niemałą mu niósł pomoc w wykonywaniu obowiązków: pilnie przestrzegał nasz strażnik, aby drzwiczki wciąż były zamknięte.

Gościniec miał on wytknięty w instrukcyi: przez Niższy Nowogród, ztamtąd jakiemiś drugorzędnemi, pocztowemi drogami dążyć nakazywano do północnych granic Tambowskiej gubernii, od których już w kierunku prostym biegł nasz trakt na południe do Tambowa.

W ten więc sposób nowa podróż — w teoryi przynajmniej — dawała możność poznania całej prawie wschodniej połaci Rosyi europejskiej, gdyby się składały warunki inne. W rzeczywistości inaczej się stało. Zamknięci w pudle, mało, bardzo mało widzieliśmy; wyjątek tylko tworzyły dłuższe popasy i noclegi, które nie codziennie nawet odbywaliśmy; i jedne i drugie urządzaliśmy w większych miastach, lub większych wioskach. Ale i to dopiero na prawych porzeczach Wołgi miało miejsce. Do Niż-

---

nowisk, korzysta z możności być pomocnym ziomkom-wygnańcom. Gdy od r. 1863 Wiatka zapełniać się zaczyna tłumami wygnańców, na R. władze patrzą podejrzliwie, wreszcie z wysoką rangą usuwają go z posady, motywując dymisyę częstem bywaniem u biskupa-wygnańca, ś. p. ks. Ad. St. Krasińskiego. R. w ostatnich latach swego życia zdobywa chleb dla swej rodziny dorywczemi pracami w biurach Petersburga, gdzie umiera około 1882 r., zawsze gorąco kraj miłujący, zawsze poświęcający się dla innych.

szego Nowogrodu pędziliśmy bez wytchnienia, z woli nie własnej lecz strażnika, pędziliśmy, jak gdyby nam spiesznie było.

W „Niższym“ odpoczynek trwał godzin kilkanaście, nastręczała się przeto sposobność poznania chociaż ogólnej fizyognomii miasta, które od bardzo dawna słynie ze swych jarmarków. Rozrzucone na wyniosłych wzgórzach, nad dwiema rzekami, Wołgą i Oką, zdala, mile wpada w oko wędrowca, ale jedynie na wiosnę i latem, gdy zazielenią się niezabudowane stoki gór i ogrody, rozrzucone na dużych przestworzach, na których miasto się rozsiadło, gdy wreszcie ożywią się wody dwóch rzek mnóstwem statków, parowców, tłumnie u wybrzeża skupionych; lecz zimą powitała nas cisza i dziwna martwota, która jest właściwością wszystkich prawie miast w dalszych prowincyach Rosyi.

Patrząc na duże przestrzenie, ogromnemi zaspami śniegu zasypane, puste zaś zupełnie, ani jedną twarzą ludzką nieożywione, z trudnością wyobraźnia odtwarza na tych pustkowiach obrazy zgiełku jarmarcznego, jaki tam panuje w miesiącach letnich; z trudnością zaludnia je tysiącami twarzy o typach azyatyckich, które ściągają się tu na owo wielkie targowisko wschodnich kończyn Europy z Azyą. Jarmark ten znakomity, głośny w świecie od XVI. w., nosi nazwę ogólnie znaną, „Makaryewskiego“, gdyż przed kilkudziesięciu laty (do 1816 r.) odbywał się o jedenaście mil od „Niższego“, około monasteru Makaryewskiego. Wielki pożar, który zniszczył wszystkie zabudowania, składy i sklepy jarmarczne, zniewolił rząd do przeniesienia owego olbrzymiego targowiska do Niższego Nowogrodu. Tam, na wielkim cyplu lądu, między Oką i Wołgą, rozsiadły się gmachy jarmarczne, zawierające składy i sklepy. Liczba tych ostatnich, większych i małych, dobiega do olbrzymiej cyfry półsiodma tysiąca. Odbywa się ten jarmark w drugiej połowie lata, od końca lipca do pierwszych dni września. Mieszkańcy Chiwy, Buchary, Persyi, Mongolii, kupcy chińscy, syberyjscy, tłumnie spieszą na owo targowisko wielkiego znaczenia dla całej Syberyi i kilku ościennych krajów azyatyckich. Obroty tłumnego kupczenia dochodzą do sum nader wysokich. Dajemy tu parę cyfr z owych lat, gdy przesuwałem się w mem pudle przez Niższy Nowogród. Przy-

wożono wówczas na jarmark towarów europejskich za sumę półczwarta miliona rubli; herbaty drogą lądową, syberyjską, przychodziło za 7 milionów rub.; ogół zaś przywozu krajowego i zagranicznego wynosił przeszło 60 milionów rub., wśród którego towary rosyjskie zajmują stanowisko pierwszorzędne i dochodzą do sum bardzo znacznych. Futra i skóry syberyjskie, wyroby tkackie z okolic Moskwy, perkaliki, tkaniny bawełniane, konopne, lniane, wełniane — to najcelniejsze i najliczniejsze artykuły przywozu krajowego. Zagraniczny przywóz składa się wyłącznie prawie z towarów kolonialnych, wśród których wino wynosi $^1/_3$ całego przywozu zagranicznego, a reszta tego importu składa się z tkanin jedwabnych, bawełnianych, wełnianych. Persya przysyła na rynek jarmarku bawełnę, dywany, jedwab, nieco futer, które również idą i z Chiwy i z Buchary, dostarczających znaczną ilość bawełny w stanie surowym i w tkaninach.

Liczby te zprzed laty trzydziestu, dają obraz ogromu obrotów owego głośnego targowiska Rosyi. Wzrost i rozwój znaczny kolejowych komunikacyj, jaki miał miejsce podczas ubiegłych dwudziestu kilku lat, mniej niż przypuszczać można, wpłynął na zmiany stosunków i dróg handlowych. Koleje żelazne bardzo mało sięgnęły poza Wołgę, do owych bezbrzeżnych przestworzy Wschodu, dla którego Niższy Nowogród był, jest i długo jeszcze pozostanie znakomitem, pierwszorzędnem emporyum.

Zimą, niepodobna wytworzyć sobie nawet przypuszczalnego obrazu owego zgiełku, gwaru różnojęzycznej ciżby kupczącej wśród ramion Oki i Wołgi. Podczas zimowych miesięcy, „Niższy“ usypia, znaczną część roku wegetuje, aby za dni letnich tym większym gwarem rozbrzmiewać na tym rozległym, a tak dziwnym dla oka Europejczyka, „bazarze“ Wschodu. Dla Syberyi bliższej, dalszej i najdalszej, „Niższy“ jest głównem ogniskiem interesów, spraw, zabiegów handlowych: jestto okno, przez które Syberya na świat spogląda. Z najodleglejszych kończyn Syberyi każdy większy kupiec corocznie odbywa pielgrzymkę do owej miedzy dwóch światów kupczących: europejskiego i azyatyckiego; tam załatwia swe sprawy handlowe i ztamtąd czerpie niektóre wskazówki mody, pewne objawy zewnętrznego poloru; ztamtąd wreszcie,

z owego okna dla ziem syberyjskich, a właściwie zpoza tej olbrzymiej „lady sklepowej“, płynie głębokiem a szerokiem łożyskiem zepsucie na obszary północnej Azyi.

Niższy Nowogród, chociaż gości corocznie w swych murach tysiące przybyszów, lubo miasto rozległe, liczące wówczas około 40.000 mieszkańców, nie obfituje ani w wielką ilość hotelów, ani w zbyt wielką liczbę domów. Cały ten jarmark ma wygląd zupełnie wschodni, koczowniczy. Podobnie jak konie, woły, zwierzęta pociągowe lub juczne, podobnie jak wielbłądy, czasem aż nad ową środkową Wołgę nadciągające, które nie potrzebują ani stajni, ani dachu — tak i człowiek, setki mil idący u wozu z towarami, na owem targowisku poprzestaje na małem, na niczem, rzec można. Ziemia mu za posłanie, wasąg wozu lub „arby“, z którą przybył, a w najlepszym razie kawał wojłoku, dach mu zastępują: istne to koczowisko ludów pierwotnej kultury.

Jeśli jednak na targowiskach, na bazarach, lud kupczący na bardzo małem poprzestaje, wyższe regiony handlowego świata, właściciele karawan kupieckich, szefowie firm, a zwłaszcza ich synowie i bracia, w hotelach, zajazdach, toną w zbytkach, dopuszczają się ekscesów, świadczących o ich instynktach poziomych, o niskiej kulturze tych warstw wpływowych, a nawet w wielu prowincyach obszernego imperyum górujących wśród narodu kupczącego, jakim są Rosyanie.

. . . . . .

Stare to są dziedziny panów na Kremlinie, owe wybrzeża środkowego biegu Wołgi, owe ziemie i prowincye, które były naszym gościńcem aż do Tambowa, a jednak wciąż, na każdym niemal kroku, wyłania się zpod warstw zrusyfikowanych pokład dawnych zaludnień, z których wytworzył się dzisiejszy Rosyanin. Już tam, w wodozbiorze Wołgi, a jeszcze bardziej ku Uralowi i wszędzie poza Uralem, ku granicom Mandżuryi, spotykamy ślady tego procesu wytwarzania się Rosyan z ludów i ludków fińskiego, tatarskiego lub mongolskiego pochodzenia. Laboratoryum do dziś nie zamknięte: praca tam się wciąż posuwa i posuwać się jeszcze będzie długie lata, praca wytwarzania nowych zastępów zwiększających ilość owej rzekomej słowiańszczyzny.

Przeszłość nie rządziła się w Rosyi fałszywym wstydem; nie domyślano się nawet, że może być wstydem, że jest choćby małem ubliżeniem, iż rodowód narodowy od fińskich ludków początek swój wyprowadza, a przynajmniej znacznie o takowy zahacza. W przeszłości, w epoce przed Katarzyną II., mówiono i pisano o tem jawnie, snać nie przypuszczano, iż nadejdzie czas, gdy naród odbiegnie od swego genealogicznego drzewa, wstydzić się go zacznie, a przynajmniej ten urojony wstyd wmawiać weń będą. Moda słowianizmu rozpoczyna się dopiero od Katarzyny II.[1].

Od Wiatki do Tambowa, na wielkich przestrzeniach, nieustannie spotyka się prastarą ludność tych ziem. Jak się ona nazywa w obrębie wiackiej gubernii, wyżej mówiliśmy. Dalej idą z kolei: Mordwa, Czeremisy, Czuwasze, Mer, Weś i znowu Mordwa. Cała ciżba ludków, nic ze słowiańszczyzną nie mająca wspólnego, większemi bądź mniejszemi gniazdami rozsiadła się na prawych porzeczach wodozbioru Wołgi, i na wschodnich miedzach wodozbioru Donu. Niknie ona potrosze, wsiąka w pokład tych, co dawniej asymilowali się; jednak trwa dotąd, acz

[1] Ciekawymi są Pamiętniki Rosyanina, z pierwszej połowy XVIII. w., który, mówiąc o rodowodzie własnej, szlacheckiej rodziny, wcale nie ukrywa się z faktem dziejowym, iż większość szlacheckich rodów rosyjskich posiada swą kolebkę pod oponą jurt mongolskich. O żadnym słowianizmie ów pamiętnikarz — człowiek ukształcony, ziemianin i wojskowy, który brał udział w wojnie siedmioletniej — wcale nie mówi.

Podobną relacyę słyszymy również z innych ust. Jestto świadectwo głośnego później Roztopczyna. Podczas zwiedzania Kazania przez Pawła I., w którego świcie był Roztopczyn, prezentowano monarsze miejscowych obywateli. Mnóstwo było ziemian, posiadających tytuły książęce, dziwnie brzmiące przy nazwiskach nieznanych (są tam książęta Engałyczewy, Kołokolnikowy i inni). Paweł, nieco zniecierpliwiony, zapytał obecnego przy tem Roztopczyna: „A ty księciem nie jesteś?“ — „Nie, N. Panie — odparł zagadnięty — moi przodkowie na dwór w. książąt moskiewskich przybyli z hordy zimą“. — „Jak to?“ — ze zdziwieniem rzekł monarcha. — „Gdy hanaty padały — objaśniał dalej — a przyszłość w Złotej hordzie nie miała widoków, rozmaita starszyzna tłumnie z hordy wynosiła się na dwór w. książąt, do Moskwy. Kto uciekł z hordy latem, a był „murzą“, otrzymywał tytuł księcia, kto przybył do Moskwy zimą, dostawał kożuch. Moi przodkowie snać zimą przybyli, poprzestali więc na bardziej praktycznym darze, na kożuchu...“

w liczbie uszczuplona, i bytowaniem swem świadczy o pierwiastkach, z których wytworzył się olbrzym Wschodu.

Poza Niższym Nowogrodem, jadąc, stosownie do danej instrukcyi, drugorzędnymi traktami pocztowymi, byliśmy w tych zakątkach narażeni kilka razy na natrętną ciekawość miejscowej ludności. Chciano wiedzieć, kto w tem czarnem pudle podróżuje pod osłoną żandarma, i dobijano się bezskutecznie, by zobaczyć co się w pudle dzieje.

Ciekawości nie chciał nasz strażnik zadość uczynić; lecz wreszcie, wpadł na pomysł, któryby mu przynosił pewną korzyść. Kazał ciekawym opłacać się, a w takim razie słyszeliśmy zgrzyt klucza w drzwiczkach naszego pudła i ukazywały się jakieś postacie ciekawie nas oglądające. Po paru takich niespodzianych wizytach, oświadczyliśmy żandarmowi, iż po przybyciu na miejsce zaskarżymy go, jeżeli spektakle ponawiać się będą.

Admonicya skutkowała: widowisk nie wznawiano.

Zanim przybyliśmy do granic gubernii Tambowskiej, przejeżdżaliśmy przez Murom, który ongi otoczony był puszczą olbrzymią, znaną z klechd ludowych. Z odwiecznych lasów, które wyobraźnia ludowa zaludniała olbrzymami i zbójcami, obecnie nic nie pozostało, prócz legend. Murom był niegdyś stolicą księstwa, które stanęło przed wiekami wśród szczepów fińskich; mówi o nich Nestor w kronice, i dziś jeszcze pozostały szczątki dawnego, fińskiego zaludnienia: resztki Meri i Wesi.

Tambowska gubernia zalicza się do obszerniejszych guberuij w prowincyach środkowych Rosyi europejskiej; przejeżdżaliśmy jej część znaczną, północną, bardziej leśną i dawniej zaludnioną. Południowa część gubernii, są to stepy Kipczaku, do końca XVII. wieku puste, niezaludnione, dzikie przestworza. Na ich granicy stanęło, w drugiej połowie XVII. w., miasto Tambow. Z tych pól, które dopiero ubiegłe stulecie zdołało chociaż w pewnej części zorać i oddać kulturze rolniczej, wylatywały dzikie hordy ludków, koczujących jeszcze za dni ojca Piotra I. (więc ku końcowi nawet XVII. w.), niosące ciągłe spustoszenia w kierunku środkowej i dolnej rzeki Oki.

Założyciel dynastyi Romanowów drewnianemi gródkami,

tak zwanemi „zasiekami", otoczyć chciał południowe węgły państwa swego, i jednę z takich obronnych, stepowych warowni wzniósł w tem miejscu, gdzie później urósł Tambow, nad rzeczką Cną i jej dopływem Jerykiem. Pierwotna nazwa Tambowa była mongolska: Tambuj.

To pograniczne, na krawędziach Kipczaku wzniesienie się Tambowa, zrobiło zeń wcześnie bardzo miejsce wygnania dla wielu w ciągu wieków. Różni polscy, szwedzcy i innych ludów jeńcy, wygnańcy, bądź porwani bez zarzutu i sądu ludzie miejscowi, którzy w niełaskę wpadli u swych władców, t. zw. niegdyś w Rosyi „ludzie w opale" *(opalnyje ludi)*, długie dni i lata smutne spędzali w niewoli na stepach Kipczaku, i stawali się podścieliskiem zaludnienia pierwotnego Tambowa. Łzy wielorakiej niedoli spływały długo do wód Cny i Jeryku, zanim te posępne obszary zdołały się zaludnić i jakaś, chociaż nędzna, uprawa rolnicza ustaliła się na tych pustkowiach.

Do dziś Tambow trąci pustkowiem, do dziś jakaś groza rozlana w atmosferze tamecznej, a jakaś bezbrzeżna tęsknota ciąży nad głową mieszkańców. Coś dziwnie smutnego przenika atmosferę tych krajów o trudnych do przebycia przestrzeniach, bez względu czy to okolice przeznaczone na wygnanie, czy nie. Chociaż, która tam okolica dla tych lub owych nie była wygnaniem? której zaludnienie nie urosło z pokoleń wygnańczych, ze skazańców i ludzi porwanych i w jasyr zagnanych? Kto wie, czy owe smutku mgły, wznoszące się na monotonnych równinach tych ziem, nie powstały z łez jasyru, którym wciąż je przepełniano. Sybiru przestworza, zwłaszcza nietknięte dłonią rosyjskiej kultury (a takie zakątki są tam jeszcze) weselej nieraz witają wędrowca, niż głębie Rosyi.

Snać gospodarka człowieka odbija się wielekroć i na obliczu przyrody. Ziemia piękną wyszła z dłoni Stwórcy, człowiek tylko zmienił a spaczył nieraz jej rysy...

. . . . . .

Po dwutygodniowej, czy też nieco dłuższej wędrówce w pudle, stanęliśmy wreszcie w Tambowie. Zima z wyborną sanną, z ciągłymi, trwałymi mrozami, wiernie nam towarzyszyła podczas podróży.

Niezbyt utrudzającą była ta wędrówka, ale zbyt monotonną, za długą; bo wyczerpały się wreszcie szczupłe zasoby książek i dzienników, któremi nudy wielodniowej podróży rozpraszaliśmy. A co najbardziej dziwnem było w tej wędrówce, to iż wsie, miasta, okolice, całe kraje niemal, przesunęły się przed zamarzniętem okienkiem naszych sani, przesunęły się i zniknęły, dla nas niewidzialne.

W podobnem, ale znacznie większem pudle, jechała przed wiekami, z Moskwy do Wilna, narzeczona Aleksandra Jagiellończyka, Helena, zapewne jednak więcej od nas widziała co działo się zewnątrz, i około czego przejeżdżała, bo miała wewnątrz swych sani piec; było więc jej tam ciepło, zacisznie, okna nie zamarzały, przypatrzeć się mogła krajom, ludziom, obyczajom.

Nasza pozycya inną była. Widziało się tylko to, na co padło oko podczas dłuższych przystanków, popasów lub noclegów. Tak więc przesunęły się przed nami, ale niewidzialne dla nas, miasta: Szack, Jelatma, Morszańsk, z których ostatnie handlowe, zamożne, o połowę mniejsze od Tambowa (który posiadał 37.000 mieszkańców), przewyższało swą gubernialną metropolię handlową ruchliwością, znaczną zamożnością swych licznych kupców. Ta niemożność przypatrzenia się pewnej ilości miast, nie na wielką stratę naraziła. Jeżeli się widziało jedno miasto powiatowe w Rosyi, można być pewnym, iż się o wszystkich ma pojęcie zupełne, bo wszystkie są do siebie podobne; miasteczek zaś, tak u nas licznych, z których każde ma cechę odrębną, przyczyniającą się do ożywienia kraju, do nadania mu znamion kultury wyższej, sięgającej w głąb warstw społecznych — wcale tam niema.

Tambow zrobił na nas smutne wrażenie, a czas późniejszy pierwszego wrażenia nie zatarł.

O żadnych udogodnieniach, ulgach, jakie dawały ówczesne władze wiackie dla wygnańców, nie mogło być mowy w Tambowie. Wygnańcy nie tworzyli jednej korporacyi, a władze dalekiemi były od wszelkich starań o osłodzenie ich doli. Owszem, stano w Tambowie na biegunie wręcz przeciwnym; wszelka chęć i gotowość skierowaną była do terroryzowania wygnańców, dla błahych powodów, lub bez żadnych powodów. Wkrótce, my sami

mieliśmy tego doznać na sobie. Źródeł wytwarzania się warunków przykrych dla wygnańców, szukać należało nietylko w osobistem usposobieniu ówczesnych władz tambowskich, ale w tem nawet, iż to gubernia nie syberyjska, ani też nie sąsiadująca nawet z Syberyą (jak to było w Wiatce). W guberniach, gdzie istnieje stan szlachecki, gdzie zaludnienie nie składa się wyłącznie z chłopów, zawsze los wygnańca w Rosyi gorszy. Chronią go pilnie od stosunku ze stanem górującym, ztąd też wytwarzają się liczne przykrości, mnożą się różnorodne szykany: pozycya niekiedy staje się nie do zniesienia.

Gubernatorem ówczesnym tambowskim był p. Danzas, Hiszpan z pochodzenia, oddawna zrusyfikowany, posiadający pewną towarzyską ogładę — widocznie młodość spędził na petersburskich salonach — ale życie uważał jako zabawkę, i zdaje się, nie uważał się za skrępowanego żadnymi życia obowiązkami. Nie on rządził, rządzili inni: on tylko się bawił. Po nocy, pospolicie bardzo wesołej, o nader późnej godzinie, południowej, odmykały się podwoje sali audyencyonalnej, w której ukazywał się p. Danzas, człowiek niemłody, ale udający młodego, znużony zabawą, wyelegantowany, w peruce starannie ułożonej, z uśmiechem i francuskim frazesem na ustach. Przebiegał szybko szeregi interesantów, starał się być uprzejmym, zlekka dotykał wszystkich interesów, udawał że je rozumie, pamięta, zna, załatwia. Kończyło się na mniej lub więcej udatnym frazesie francuskim, a interesa szły zwykłą koleją: załatwiali je ci, co rządzili gubernią i gubernatorem. Sprawy najważniejsze, interesa wymagające wyższego wykształcenia, doświadczenia, szerszego na rzeczy poglądu, zdane były na ręce mało biegłe, zostawione umysłom ciasnym, uprzedzonym, słowem, kilku urzędnikom wyższym i niższym; w sprawach administracyi panował chaos, a p. gubernator bardzo wesoło się bawił.

Tego rodzaju okoliczności, otaczające władzę najwyższą, prowincyonalną, nie rokowały spokojnego pobytu wygnańców w Tambowie: byli oni zdani na łaskę i niełaskę drobnej biurokracyi. Los zaiste nie do zazdrości.

Podczas jednej z tych eleganckich audyencyj prezentowali-

śmy się p. gubernatorowi, który krótkiem, francuskiem przemówieniem powitał nas, kończąc zapewnieniem: *Vous resterez à Tamboff.* To zapewnienie uspokoiło nas, że nie będziemy w konieczności podróżowania gdzieś dalej, w głąb stepów Kipczaku, że jeżeli nie do końca, to przynajmniej znaczną część tej niespodziewanej niewoli przebędziemy w jednem miejscu. Później przekonaliśmy się, że tym zapewnieniom wiele ufać nie można. P. gubernator był tylko świetną reprezentacyą rządu, lecz poza nim rząd rzeczywisty, przynajmniej w sprawach, tyczących się wygnańców, spoczywał w dłoni p. policmajstra (tj. dyrektora policyi miejskiej), który przy formach dość wytwornych był człowiekiem pełnym uprzedzeń. Nie lubił Polaków, jak to pospolicie bywało u Rosyan ukształceńszych, lub nawpół ukształconych.

Zastęp wygnańców w Tambowie zastaliśmy nieliczny. Prócz lekarza, Fortunata Nowickiego, przywiezionego na wiosnę 1862 r. z Żytomierza, do którego później żona przybyła, by dzielić z nim wygnanie, wszyscy inni, a było ich zaledwie kilku, po nas wyjechali z kraju, lub dopiero przy nas do Tambowa przybyli. Niewielka liczbą ta gromadka, w rozproszeniu dnie pędziła. O wspólnem życiu, mieszkaniu, o jakiemś ognisku braterskiej miłości, wspólnej pracy i modlitwy, jakie w Wiatce istniało, nikt nie myślał i nikt go utworzyć nie usiłował.

Rozproszenie zupełne, które cechowało ówczesnych mieszkańców tambowskich, zasmuciło nas głęboko. Zdaje się, iż brak tradycyj naszych, wygnańczych, na owych stepach Kipczaku, przyczyną był, a przynajmniej jedną z przyczyn, owego braku skupienia. Wiatka miała swe stare wygnańcze tradycye, jak to już wyżej wskazaliśmy; one tkwiły niejako w owej klasycznej ziemi wygnania i z nich niejedno dobre powstało i urosło. Tradycye wybitniejszych, lepszych znamion wygnańczego obyczaju, unosiły się niejako w atmosferze owej dalekiej pustyni; mówili o nich obcy, gdy swoich ust zabrakło, by je przekazały późniejszym, idącym na życie tułacze. A gdy milczenie wśród obcych zapanowało, mówiły groby tych, co nie wrócili, by ledz na ojczystych cmentarzach... mówiły owoce czynów dobrych, pragnień szlachetnych, kroków zacnych... Tego wszystkiego Tam-

bow nie posiadał. Przesuwały się nad ovemi wodami Cny i Jeryku, leniwie płynącemi przez step kipczacki, przesuwały się w ciągu wielu lat różne wygnańcze postacie, samotne, chwilowo goszczące, a może jeszcze przesiąknięte starą butą, nie rozumiejące, czem jest wygnanie...

Nie wiemy, o ile słusznem jest nasze przypuszczenie, iż źródłem złego był brak tradycyi, bądźcobądź rozproszenie tam spotkaliśmy wielkie. Zapobiedz temu narazie trudno było. Robiły się małe usiłowania, lecz prawie bezowocnie one przeszły. Zresztą w życiu wygnańca, jak zaznaczyło się już poprzednio, o stałość stosunków trudno nadzwyczaj. Losami wygnańców wciąż miotają burze i wichry wielorakie w postaci bądź łask, bądź kar niespodzianych za winy niepopełnione.

W latach bardzo dawnych spotykano tam na wygnaniu generała Fiszera, bojownika zpod Kościuszkowskiego sztandaru; w kilka lat po wypadkach listopadowych przybył do Tambowa żołnierz pułku jazdy wołyńskiej (Karola Różyckiego) z r. 1831, ziemianin z Ukrainy, Adolf Pilchowski, i piętnaście lat strawił tam internowany; wrócił on do kraju około 1851 r. To są wspomnienia, nie jedyne wszakże, o wygnańcach naszych, w Tambowie przebywających dawnemi laty. Zapisując te dwa nazwiska, wiemy dobrze, iż nie wyczerpaliśmy całej listy imion ludzi, którzy tam w ciszy, nieznani, zapomniani — cierpieli, ginęli, a pamięć o nich szła na zatracenie... Już i teraz trzecie imię ciśnie mi się pod pióro, lecz o niem później opowiem. Imię to uwieńczone zasługą, a nieznane, jak wiele innych.

Podobnie jak pierwsze szeregi wygnańców, którzy torowali drogę późniejszym jasyrom, giną w pomroce przeszłości — pamięć o wielu, bardzo wielu późniejszych, o ich liczbie, losach cierpieniach, zgonie, zasługach lub błędach — zatarta na zawsze.

Tak działo się na Syberyi, tak i w innych licznych miejscach wygnania. A ileż to owych miejsc?... Któż je policzy na tych przestworzach zdumiewających rozmiarami?...

* * *

Zastaliśmy w Tambowie, oprócz wspomnianego już lekarza Fortunata Nowickiego z żoną, przywiezionego od dni kilkunastu z Wołynia — lekarza Henryka Boguckiego, tudzież Lipskiego, ziemianina z Wołynia, i Adolfa Pilchowskiego, o którym przed chwilą mówiliśmy. Pilchowski, już wówczas starzec, wieziony był gdzieś dalej, ale zachorował w drodze pod Tambowem i czasowo go tam zostawiono; ujrzał się więc znowu na dobrze sobie znanych śmieciskach, gdzie strawił poprzednio lat kilkanaście. Lipski również uważany był jako czasowo zostawiony, bo miejscem jego wygnania miały być ujścia Wołgi.

Spotkanie z Boguckim i Nowickim było rzeczą nader przyjemną, lecz nie zacierało to w mej pamięci wrażeń, z Wiatki wywiezionych. Chcąc skupić, chociaż chwilowo, rozproszonych tambowskich wygnańców, urządzaliśmy kolejno zebrania wieczorne, bądź u Nowickiego, bądź u nas. Rozmowa, lub czytanie, zapełniały owe wieczory, które były nieludne, bo Lipski w nich nie uczestniczył, a Pilchowskiemu rzadko zdrowie pozwalało brać stały udział.

Stary ten żołnierz listopadowego powstania, odznaczający się wielką niegdyś galanteryą, podobno podczas pierwszego swego tambowskiego wygnania był wielce poszukiwany w towarzystwach miejscowych. Nie dziwimy się temu; przewyższał on tameczne towarzystwo o wiele ukształceniem i obyciem się z salonami. To życie salonowe unosiło go podobno ongi zadaleko; ale wówczas, gdyśmy go spotkali na stepach Kipczaku, dalekim już był od wszelkiego szukania rozrywek poza ścianami swego domu i poza stosunkami w kole wygnańczem. Byliśmy z nim nieco bliżej niż inni; przyczyniały się do tego dawne nasze rodzinne tradycye, z epoki poprzedzającej me przyjście na świat, z epoki wybuchu listopadowego. Pilchowski sztyftował się do walki powstańczej w domu naszych rodziców, zpod ich dachu wyruszył do szeregów pułkownika Karola Różyckiego, pod sztandarem dzielnego pułku jazdy wołyńskiej, i wkrótce bił się już pod Mołoczkami [1].

[1] Adolf Pilchowski był bratem rodzonym Seweryna Pilchowskiego, znanego zwolennika Towianizmu wśród dawnej emigracyi. Losy wypadków

Te wspomnienia przyczyniły się, żeśmy z nim w Tambowie mieszkali czas pewien pod jednym dachem. Miałem możność wtedy korzystać z opowiadań starca, barwnych nadzwyczaj i nader ciekawych. Gdy silne artrytyczne cierpienia nie zamykały mu ust, chętnie myślą przenosił się do dni minionych i umiał nadawać świetny koloryt swym opowieściom.

Przytoczymy tu jedną z nich.

...„Wiecie zapewne — mówił raz w chwilach wolniejszych od cierpień — wiecie, iż podczas pierwszego mego wygnania, za panowania cesarza Mikołaja I., byłem tu mocno zestosunkowany z całą szlachtą tambowską. Cała śmietanka towarzyska gubernii mieszkała w mieście, jak to pospolicie dzieje się w Rosyi, gdzie wiejskie dwory stały zwykle pustką, a obywatele mieszkali w mieście: bardzo zamożni bawili w Moskwie; dalsi przestrzenią, lub mniej zamożni, w miastach gubernialnych. Do wiosek zaglądano tylko w lecie, lub wówczas, gdy zaległych *obroków* (czynszów) niepodobna było ściągnąć. Tambow wówczas roił się mnóstwem szlachty zamożnej. Do Moskwy zadaleko było, szczególnie dla złych dróg, pełnych błota i wybojów nie do przebycia. Tak jest dziś, tak i jeszcze gorzej bywało dawniej. Bawiliśmy się tedy wybornie. Każda zima była jednym wielkim piknikiem. Rozrywano mię, wszędzie być musiałem: zabierało to wiele czasu, ale mnożyło stosunki, i bezwiednie stałem się wpływowym w sferach urzędowych. Raz, gdy po nocy bezsennej, za dni karnawałowych, ubierałem się o dość późnej, porannej godzinie, na jakiś obiad proszony, czy też szlichtadę: stanęło dziwne zjawisko przede mną, a raczej za mną, bo ja je tylko w lustrze, przed którem ubierałem się. zobaczyłem. Zjawisko odbiło się w lustrze niespodzianie. Byłem zdumiony. Do pokoju, w którym się ubierałem, nikt zwykle nie wchodził oprócz służącego. Wpatrzyłem się w zwierciadło pilnie — zjawisko nie znikało.

W zwierciedle ukazał się najwyraźniej człowiek, prawie zupełnie nagi, dość silnie zbudowany, o twarzy wynędzniałej, lecz

---

walki listopadowej rozdzieliły braci: Seweryn oparł się na Zachodzie, Adolf wrócił do kraju, i w Tambowie pokutował za udział w walce 1831 r.

wyrazistej, wzrok miał spokojny, głęboki, i długą brodę. Na jego ramionach wisiała stara popowska *rjasa*[1]. Suknia ta lekka, podziurawiona, nie okrywała nagiego ciała, lecz w licznych strzępach spadała z pleców ku kolanom i niżej. Wpatrywałem się zdumiony chwilę jednę, drugą, zjawisko nie znikało. Patrzyło na mnie ustrojonego w jasny frak i białą chustkę, której końce właśnie wówczas misternie związywałem przy pomocy zwierciadła — patrzyło okiem poważnem, spokojnem, rozumnem. Wzrok ten przenikać zdawał się do głębi, mijał mię obojętnie i biegł w przestworza, sięgał daleko, w nieskończoność.

Odwróciłem się.

Rzeczywiście, nagi człowiek stał przede mną; nie było to zjawisko. Stał mniej okryty niż św. Onufry, królewicz perski, w swej pustelni pod niebem południa. Tu, jak wiecie, nie była południowa kraina, ale stepy Kipczaku, podczas srogich dni lutowych.

— Kto jesteś, co tu robisz — zawołałem wielkim głosem po rosyjsku, ująwszy jednocześnie dzwonek, by zawołać służącego.

Postać zagadkowa podniosła głowę i doniosłym, uroczystym głosem rzekła po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem kapłan katolicki, kapucyn ze Starego Konstantynowa.

— Bracie! ojcze! — wołałem, wyciągając ręce ku przybyłemu, pragnąc go uścisnąć, ująć w ramiona.

— Nie zbliżaj się do mnie, robactwo mnie toczy, brud mię okrywa.

W tej chwili, poza tem dziwnem zjawiskiem, ukazał się we drzwiach żandarm i mój służący, niosący na tacy papier urzędowy. Papier był do mnie adresowany od pułkownika żandarmeryi miejscowej. Dowiedziałem się z urzędowej odezwy, że pułkownik, zwiedzając dziś właśnie więzienie, spotkał tam człowieka, który się mieni katolickim kapłanem, a był bez odzienia, okryty jak Job robactwem. Wina tego człowieka jest tego ro-

[1] *Rjasa* (paca), jestto suknia niekościelna prawosławnych popów.

dzaju, że pewien czas może być na wolnej stopie; jeżeli więc wezmę go na porękę i zaopiekuję się nim, może u mnie pozostać.

Odpowiedziałem kilka słów wdzięczności poczciwemu pułkownikowi, odesłałem żandarma, a zająłem się mym niespodzianym, zagadkowym gościem.

Już tego dnia nie pojechałem na szlichtadę i na obiad czy też wieczerzę tańcującą, ale zrzuciwszy strój galowy, myłem, kąpałem mego kapucyna. Wymyty, wykąpany, przeodziany w bieliznę i szlafrok, biedny więzień położył się i nie wstał w ciągu kilku tygodni. Znużenie, cierpienia, o których dopiero później dowiedziałem się, nędza i głód, obaliły tego człowieka, choć silnie zbudowanego. Chorował ciężko, wywiązała się gorączka; parę tygodni walczył ze śmiercią; czuwałem nad nim, nie wychylałem się z domu prawie nigdzie. Karnawał już był na schyłku, a mnie nie widziano tam, gdzie bywałem codziennym niemal gościem i duszą zabawy. Moja nieobecność w towarzystwach zaczęła budzić ciekawość, a zwłaszcza wśród dam: komentarzom i różnym wieściom nie było końca. Bajeczki na tem tle osnute stawały się coraz dziwniejsze, zwłaszcza gdy tej i owej pani powiedziano o ukazaniu się u mnie zagadkowej postaci więźnia. Zaciekawienie bardziej wzmagać się zaczęło, gdy post nadszedł, dający mniej pokarmu do nowych wrażeń i roztargnień, niż czas karnawałowy.

Po trzech czy czterech tygodniach, mój chory powstał z choroby: znękany, zmizerowany, zdawał się bardziej wynędzniałym, niż wówczas gdy się kładł; ale siły szybko wracały, i wreszcie, po ich powrocie, dowiedziałem się, kto jest moim gościem i nad kim czuwam.

Historya tego człowieka była zdumiewającą; słuchając jego prostej opowieści o losach dziwnych, postać ta w mych oczach olbrzymiała. Czułem, że nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u obuwia jego... Był to apostoł wiary, misyonarz pełen poświęcenia.

Losy, które go rzuciły do barłogu nędzy, i z owej nędzy, nagiego, jak z morskiej toni na brzeg, wyrzuciły pod mój dach, streścić się dają w następujących niewielu słowach.

...Około r. 1838, czy też o parę lat wcześniej, w kapucyńskim klasztorku, w Starym Konstantynowie, na pograniczu Wołynia i Podola, był zakonnik, O. Marcin, nazwiskiem Podgórski. Miał on wówczas lat ze 30 i coś, był rodem z okolic tegoż miasteczka i w klasztorze od lat kilku przebywał; wyróżniał się w konwencie większem cokolwiek wykształceniem, a zapewne i żarliwością religijną. Przymioty te prawdopodobnie stały się powodem, że gdy władza świecka udała się do władzy dyecezyalnej, by z grona zakonników dano jakiego kapelana dla czarnomorskiej marynarki, los padł na O. Marcina. Wysłano go na dwa lata. Poszedł, ale nie wrócił.

W Mikołajowie, u ujścia Bohu do morza Czarnego, gdzie przebywał zarząd floty, O. Marcin pełnił obowiązki kapelana lat parę, lecz na tem nie poprzestawał. Otaczała go społeczność pozornie chrześcijańska, w rzeczywistości pogańska: obyczaje gorszące, niesumienność we wszystkiem; postanowił złe wykorzenić, rozszerzając katolicyzm. Zróbmy ludność tę prawdziwie chrześcijańską, a wróci ona do pierwotnej niewinności, w jaką Bóg ją na chrzcie św. przyodział — mówił O. Marcin, i działał w tym kierunku; praca nie poszła na marne. Stopniowo, powoli, lecz wciąż wzrastał zastęp katolików. Praca wśród dymisyonowanych marynarzy, wśród ich rodzin, wśród siermiężnego mieszczaństwa Mikołajowa, szła szybko, przynosząc dobre owoce. Ziarno wiary, rzucone przez gorliwego siewcę, znalazło grunt odpowiedny: był nim szczep rusiński, bo do niego należała tameczna ludność. Praca apostolska O. Marcina nie poprzestawała na prostym ludzie, sięgnął on do warstw górujących; w łonie rodziny naczelnego admirała znalazł pole do sprostowania wielu niewłaściwości, do poprawienia tego, co było spaczone w stosunkach, a co było naturalnym wynikiem ogólnego zepsucia, właściwego, jak to widzicie, całemu tutejszemu społeczeństwu.

Sięgnąwszy do głębi sumień i poruszywszy je, O. Marcin, ubogi, cichy zakonnik, stał się znanym, cenionym. Z gorliwością apostolską łączyła się w nim niezmierna dobroczynność, co powiększało popularność, zbliżało serca tłumów: cała ciżba nędzarzy, których wszędzie takie mnóstwo, czciła go jak świętego.

Duchowieństwo prawosławne z oburzeniem dowiedziało się o tem; sypnęły się denuncyacye, niby z rogu obfitości; władze cywilne i duchowne, prawosławne, z wściekłością rzuciły się na apostoła wiary. Żandarmi porwali O. Marcina w ciemną noc jesienną i wywieźli niespodzianie w kierunku dla nikogo nieznanym.

W Mikołajowie pozostał smutek i łzy wśród tłumów, wśród biedy wielorakiej, dla której O. Marcin był jedynym dobroczyńcą.

W północnych okolicach gubernii Tambowskiej jest klasztor prawosławnych mnichów, zwany Temnikowski (leży bowiem w puszczy tego nazwiska). Tam osadzono O. Marcina. Pobyt u Temnikowskich mnichów był cięższy nad wszelkie uciski galernicze. Dzika tłuszcza pastwiła się nad nim; prywacye fizyczne i moralne stały się jego strawą codzienną. Udręczeniom końca nie było: biedny zakonnik nie upadał na duchu; a co dziwniejsza, wśród udręczeń nie zapominał o swej misyi apostolskiej. Z grona nowicyuszów (t. zw. *posłuszników*) wybrał kilku, bardziej trzeźwych, roztropnych, uczciwych, i zaczął ich nawracać. Praca misyjna nawet w Temnikowskiej mniszej pustelni okazała się płodną. Więzień, galernik, pilnie strzeżony, do najniższych posług używany, rozmaitemi udręczeniami nękany, stał się krzewicielem światła wiary. Kilku nowicyuszów przyjęło katolicyzm. W godzinach ogólnego spoczynku, wśród nocnej ciszy, zgromadzał O. Marcin nowonawróconych i modlitwy wspólne z nimi odmawiał. Zachodziły trudności językowe, po łacinie niepodobna ich było nauczyć w krótkim przeciągu czasu, odmawiał więc z nimi polskie litanie i godzinki, których się wkrótce nauczyli. Pewien czas szło to, nie zwracając niczyjej uwagi; długo jednak utrzymać się nie mogło. Ktoś przypadkiem zeszedł to grono chrześcijan na wspólnej modlitwie. Rozległ się okrzyk zgrozy między popami, a tak był wielki, że zdawało się, iż bory temnikowskie zadrżały w swych posadach.

Posypały się liczne razy kijów na apostoła i nawróconych; kapucyna, odartego z odzienia, zbitego, odesłano do więzienia, do Tambowa, gdzie miało się prowadzić śledztwo, a tymczasem sprawę przedstawiono do Synodu petersburskiego.

O. Marcin pół roku przesiedział w więzieniu tambowskiem,

niebadany, zapomniany, rzucony na pastwę nędzy i robactwa. Resztki odzienia i bielizny rozpadły się. Ciasnota jedynie w tłumie różnych zbrodniarzy chroniła go od zimna; mimo to wszakże byłby zginął niechybnie, gdyby nie wizytacya więzienia, którą odbywał człowiek ludzki, szef gubernialnej żandarmeryi. Zobaczywszy więźnia nago w barłogu, wśród zgnilizny i robactwa, i dowiedziawszy się od dozorcy więzienia o co oskarżony, owinąć go kazał w kożuch rządowy i zawieźć do mnie, sądząc, i słusznie, że zajmę się nieszczęsnym, jako więźniem i ziomkiem.

Rozkazano i wnet spełniono. Mówiłem już wam, jak O. Marcin stanął przede mną, tj. w stroju praojca naszego, Adama; żandarm bowiem, który go do mnie przywiózł, ściśle rozkaz spełnił, kożuch rządowy zdjął zeń w przedpokoju, a jego wpuścił do mej sypialni bez odzienia, oprócz łachmanów, które na nim wisiały i zeń spadały. Oto macie losy człowieka, którym dano mi było opiekować się.

Skoro powstał z choroby O. Marcin, poczyniłem pewne kroki, by go ochronić od dalszego więzienia i prześladowań. Za pośrednictwem mych stosunków, dotarłem do wszystkich znakomitości gubernialnych, i wszystkie, a nawet archirej, dość przychylnie dla więźnia zostały usposobione. Falanga dam, którą zaprzągnąłem do owych starań o protekcyę, zdołała taki obrót nadać sprawie, iż O. Marcin mógłby był spokojnie pozostać w Tambowie pod dozorem policyi, nie wychylając się za rogatki miasta, gdyby nie Synod petersburski, którego decyzyi oczekiwano: o stolicę bowiem rzecz cała oparła się. Czekaliśmy na tę decyzyę coś około roku i już zdawało się, że wszystko umorzone i poszło w zapomnienie. W tym kraju jednak, gdy chodzi o karę, o ucisk — o niczem nie zapominają.

W ciągu tego czasu, O. Marcin mieszkał u mnie, odziałem go w habit kapucyński i dałem mu oddzielny pokoik, gdzie na modlitwie czas trawił. Co czynił i jak, nic nie wiedziałem. Życie światowe unosiło mię na swej fali... Raz tylko, pamiętam, spotkałem u mych drzwi lokaja w liberyi, który pytał o O. Marcina, a niósł kosz z bielizną, ubraniem i jakiś pakiet miał przytem. Gdy kapucyna pytałem, co to znaczy, odparł mi: to Bóg

zsyła dla mych biednych... Domyśliłem się, że i tu w pracy misyjnej nie ustaje, że i tu jest aniołem opiekuńczym biednych. Tak było w istocie. Niedługo czekaliśmy, by się o tem przekonać. Wyrok w jego sprawie nadszedł wreszcie, a był nieubłagany, jak fatum starożytnych: spełnić go wnet należało i — spełniono.

Porwano go niespodzianie i wywieziono nad Białe morze, do Archangielska.

Gdy nadeszła nagle ta chwila rozstania, o której zdawało się, iż nikt nie wiedział, tłumy biedactwa zapełniły ulicę, wstrzymywano konie, całowano suknie, stopy kapucyna. Wołano, iż on ich ojcem, dobroczyńcą. Patrząc na to, oczom własnym nie wierzyłem; nie sądziłem, by lud ten tak głęboko czuć umiał.

Porwano go, pojechał — i już nie widzieliśmy go odtąd. Wieści jednak z Archangielska nadbiegły w lat parę potem, że posądzany o prace misyjne, ponownie był zesłany do Koły, 153 mil za Archangielsk, na krańce północnego lądu... I znowu po latach wieści nadbiegły, iż Bóg powołał go do siebie.

Nad wodami mórz północnych wznosi się krzyż katolicki, jedyny w tej ziemi podbiegunowej, pod którym spoczywają zwłoki niezmordowanego siewcy słowa bożego, ubożuchnego, nieznanego kapucyna, O. Marcina Podgórskiego. Tułacze pokolenia naszego narodu od pół wieku prawie czerpią z mogiły tej siłę i pokrzepienie na dalszą wygnańczą pielgrzymkę"...

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

V.

Terroryzm czarny przeciw terroryzmowi białemu 1878—80. — Skrytobójstwa szpiegów. — Uwolnienie sądowe Wiery Zazulicz inauguruje epokę czarnego terroru. — Nowa organizacya i zlanie się w jedno Narodników z partyą *Zemli i woli*. — Aleksander Michajłow i Waleryan Osiński organizują grupę terrorystów. — Nowe skrytobójstwa. — Zbrojny opór przy aresztowaniach. — „Głodówki“ w więzieniach. — Śmierć jenerała Mezencowa i księcia Krapotkina. — Zamach na jenerała Drentelna.

„Lata 1876 i 1877 — powiada nihilista Stepniak — były najczarniejsze i najsmutniejsze dla rosyjskich socyalistów. Ruch propagandy pochłonął niesłychanie wiele ofiar. Despotyzm, w napadzie wściekłej bojaźni, zdusił całą jednę generacyę. Więzienia były przepełnione propagandzistami; budowano nowe. I jakież owoce tylu ofiar? Jakże nędzne w porównaniu z niesłychanem wysileniem! Czegoż było w stanie dokazać tych kilku robotników i chłopów, których się socyalnemi zasadami napoiło, albo co mogły zrobić rozrzucone tu i owdzie kolonie? Przeszłość była straszna, przyszłość ciemna i zasłonięta. Ruchu jednak niepodobna było zatrzymać na miejscu. Rozdrażnione do najwyższego

stopnia, żądne czynów umysły, szukały całą siłą innej drogi, wiodącej jednak do tego samego celu. Znaleść ją w rosyjskich stosunkach, było rzeczą trudną. Długa to i mozolna praca, wielu padło ofiarą, bo to było szukaniem wyjścia w podziemiu ciemnem, pełnem dołów i przepaści, gdzie każdy krok życiem wielu przepłacić trzeba, a jedynym drogoskazem dla żywych, to krzyk ginących braci.

„Ruch propagandzistów, to była znakomita próba potęgi słowa; poczem naturalną reakcyą spróbowano doświadczeń na przeciwnej drodze — na drodze czynów. „Nie mieliśmy szczęścia, bośmy gadułami byli, niezdolni do dzielnego czynu". Był to gorzki zarzut, jaki sobie niedobitki wielkiego ruchu propagandy wobec nowej rewolucyjnej generacyi uczynić musieli, i odrazu hasło: „do czynu, do czynu!" stało się tak powszechnem, jak było niem przed kilku laty hasło: pójść w lud.

„Ale od jakiego rodzaju czynów rozpocząć? Gnani szlachetną gorączką: wszystko robić dla ludu i tylko dla ludu, próbowali rewolucyoniści przedewszystkiem uorganizować rozruchy ludowe. Od r. 1875 datują się pierwsze związki „Buntarów" w Kijowie, Odessie, Charkowie, z zamiarem wywołania doraźnych powstań. Ale jak rewolucye, tak powstania ludowe przychodzą dobrowolnie same z siebie i nie dadzą się upiec jak pasztet, naprędce. Jedynie próba Stefanowicza zbliżyła się choć na kilka kroków do celu, bo była zręcznie na lokalnych agitacyach i usiłowaniach opartą. Wszystkie inne nie miały i tego powodzenia. Odkryto je i zniszczono, zanim jeszcze krwawe ich zamiary wykonane być mogły.

„W miastach objawiła się ta sama dążność pod inną formą: rewolucyoniści próbowali swą działalność przenieść na ulicę. Lata 1876—78, to okres mniej lub więcej energicznych „demonstracyj", jak: pogrzeby Czerniszewa i Padlewskiego, rozruch na kazańskim placu tak tragicznie zakończony, i ostatnia demonstracya w Odessie w dzień stracenia Kowalskiego, która zamieniła się w prawdziwą bitwę, z zabitymi, rannymi i kilku set uwięzionymi. Stało się jawnem, że na tej drodze nie można iść dalej. Nieproporcyonalność materyalnych sił rewolucyjnej partyi do

rządowej była zanadto wielką, i dlatego demonstracye te do niczego nie prowadziły, tylko do dobrowolnej ofiary kwiatu młodzieży, złożonej molochowi caratu.

„Rewolucya, albo nawet rozruch większy nakształt paryskiej komuny, jest u nas (w Rosyi) wprost niepodobieństwem. Miasta stanowią tylko $^1/_{10}$ ludności całej; są to przeważnie wsie wielkie, o całe setki kilometrów od siebie odległe. Właściwe miasta z 5—10.000 mieszkańców stanowią ledwo 4 lub 5 procent całej ludności, wszystkiego razem 3—4 milionów. Rząd, rozporządzający armią całej ludności, tj. 1,200.000 żołnierzy, może tych 5 lub 6 głównych miast zamienić w obwarowany obóz — i uczynił to.

„Uwagi te należy mieć zawsze na oku, aby dalsze wypadki zrozumieć. Wszelkie demonstracye ustają zupełnie od r. 1878. Ale w tym okresie typ rewolucyonisty przechodzi dziwną przemianę. Jest on już inny niż przed pięciu laty; nie odznaczył się jeszcze żadnym śmiałym czynem; ale ponieważ zawsze o tem myślał i to sobie powtarzał, że kulka więcej znaczy jak słowo, a w sercu żywił srogie zamiary, przeto zostało coś z tego w jego naturze — on wyrósł na męża. Rząd zaś ze swej strony czynił co mógł, aby te jego usposobienia rozwinąć i zmusić go do przejścia od słów do czynów. Najlżejsze podejrzenie wystarczyło do aresztowania; adres przyjaciela, znaleziony przy tym, co „chodził w lud“, albo list, albo słowo, wyszłe z ust wystraszonego 12-letniego chłopca, wystarczyło, aby podejrzanego rzucić do więzienia, gdzie gnił latami, wystawiony na tortury rosyjskiego celkowego systemu. Aby dać pojęcie o tem, dosyć nadmienić, że w ciągu czteroletniego śledztwa w procesie 193-ech, cyfra samobójców, obłąkanych i umarłych doszła do 75.

„Niesłychanej surowości były wyroki wyjątkowych sądów, będących narzędziem rządu. Karę 10, 12, 15 lat katorgi wymierzano za dwie lub trzy mowy, prywatnie do robotników miane, albo za przeczytanie im lub pożyczenie jednej książki. To, co we wszystkich europejskich krajach dozwolone, karano narówni ze zbrodnią morderstwa. Niedosyć tego sądowego okrucieństwa; rząd ohydnemi, tajnemi poleceniami potęgował jeszcze cierpienia politycznych więźniów, tak że w domu zgrozy, w centralnem

charkowskiem więzieniu politycznem, zadawane katusze równały ich ze zbrodniarzami pospolitymi. Taka była ich dola. Od czasu do czasu, drogami tylko więźniom znanemi, dostawał się list, na świstku okładki z tytoniu lub świec nakreślony, skarżący tę ohydną niesprawiedliwość, te bezecne, na nic nieprzydatne okrucieństwa, jakich nad więźniami dopuszczali się dozorcy więzienni, jedynie dla przypodobania się rządowi. I listy obiegały z rąk do rąk, a wieści te z ust do ust, pobudzając do łez boleści i rozgoryczenia, wywołując, w najdelikatniejszych nawet sercach, żądzę krwi, nienawiść i zemstę“ [1].

Tym usposobieniom partyi rewolucyjnej przyszła w pomoc opinja znacznej słowianofilskiej i liberalnej części społeczeństwa. Jak niegdyś 1855 r. wojna krymska, tak teraz 1877 i 1878 wojna turecka odkryła haniebną gospodarkę administracyi rządowej, kradzieże, oszustwa olbrzymie w intendanturze, braki w organizacyi armii, które stały się powodem niepowodzeń pod Plewną, a lipcowy traktat berliński, odsuwający Rosyę od brzegów Czarnego morza i tamujący wpływ jej na Bałkanie, dokonał reszty. Jawnie, publicznie, nie oglądając się na szpiegów i żandarmów, mówiono o potrzebie kontroli nad finansami państwa, domagano się konstytucyi przynajmniej takiej, jaką z rąk Aleksandra II. otrzymała Bułgarya. Zmiany systemu politycznego wisiały w atmosferze, wszystkie liberalniejsze żywioły zwróciły się tem samem nieco życzliwiej do partyi rewolucyjnej, dążącej już dawno do obalenia znienawidzonego despotyzmu. Tymczasem, cesarz Aleksander o nadaniu konstytucyi nie myślał na seryo, zmienił tylko pierwszego ministra: przeciw nihilistom wystąpił surowiej jeszcze jak sądy same, których prośbę o zniżenie kary na osądzonych w procesie 193-ech odrzucił i karę zaostrzył. Tą samą srogością ścigał ich liberalny zresztą Loris Melikow, znęcając się nawet nad osadnikami-więźniami w Kara, których wypędzić kazał z ich chat i zamykać we wspólnem więzieniu [2]. „Cóż to za rząd — rozumowali ze Stepniakiem nihiliści — który z taką zu-

[1] *Das unterirdische Russland*, str. 22—25.
[2] Kennan. *Siberien* II.

chwałością urąga wszelkiemu prawu własnego kraju, który się nie opiera i nie chce oprzeć ani na narodzie, ani na pewnej klasie, ani na prawie? Cóż on innego przedstawia, jeżeli nie przemoc brutalną? Przeciw takiemu rządowi wszystko jest dozwolonem. Taki rząd, nie uwzględniający życzeń ludu lub jego większości jako powierzonego sobie skarbu, to tylko uorganizowany rozbój. Obywatel nie ma obowiązku więcej go szanować niż bandę rozbójników, napadających i rabujących przemocą podróżnego. Ale jakże się uwolnić od tej kamaryli oszańcowanej lasem bagnetów? jak uwolnić od niej ojczyznę? Ponieważ wprost niemożliwą rzeczą jest szaniec ten siłą przełamać, jak to w innych szczęśliwszych krajach się stało, to potrzeba obejść z boku, rzucić się na tyły kamaryli, iżby użyć sił swoich nie mogła, a one bezpożyteczne w swych niezdobytych stanowiskach pozostać musiały. Tak powstał terroryzm“ [1] — terror czarny przeciw terrorowi białego cara, oto klucz do zrozumienia wypadków od 1878—80 r.

Nie wchodząc w ocenę logiczności tego argumentowania, moralny jego niedostatek bije w oczy; ale ze stanowiska nihilistów, którzy odrzucili już dawno wszelką powagę moralnych zasad, argumentacya ta na sposób Stepniaka była loiczną; dławiący ich postrach rządowy postanowili złamać postrachem rewolucyjnym, i była chwila, krótka wprawdzie, gdzie dokazali tego.

Już 1876 r. okazały się symptomy tego czarnego terroru, nakazane raczej instynktem zachowawczym, obroną przed ukrytym wrogiem, jakim byli szpiegowie rządowi, brani z grona studentów i młodych ludzi inteligentnych. Ci podstępne nawiązywali stosunki z nihilistami, dostawali się do ich komun, gmin, kółek i zarządów, i co gorsza, do ich tajemnic — i gdy już całą sieć rewolucyjnej roboty przejrzeli, donosili rządowi. Jedna taka zdrada kosztowała wolność i życie kilkudziesięciu, czasem kilku set ludzi. Niedość tego; ci sami szpiegowie i donosiciele występowali w śledztwie i w rozprawie sądowej jako świadkowie, co było tak wstrętne i oburzające, że nareszcie w roku 1876 sam

[1] *Das unterirdische Russland*, str. 28.

minister, hr. Pahlen, poufnym reskryptem tego nadużycia zabronił. Śmierć szpiegom! — oto pierwszy okrzyk czarnego terroru. Ukrywał się taki szpieg jako członek grupy kijowskiej w Odessie, imieniem Gorynowicz. Był on 1874 r. propagandzistą, dostał się do więzienia i zdradzał towarzyszy. Udarowany za to wolnością, przyjął służbę rządowego szpiega i jako taki zapisał się nanowo w szeregi rewolucyjne. Poznano go i skazano na śmierć. Przyjaciel znanego nam Stefanowicza, Lejbe Deutsch, podjął się wykonania wyroku dnia 6 września 1876 r. Gorynowicz ciężko ranny, oszpecony nazawsze na twarzy kwasem siarczanym, gdy oprzytomniał, znalazł przypiętą do surduta kartę z napisem: „tak będzie wszystkim szpiegom“. W kilka dni potem, w tejże samej Odessie zginął skrytobójczo szpieg Tawlejew; w lipcu 1877 r. taki sam los spotkał w Petersburgu szpiegów Szaraszkinowa i Fisogenowa; w następnych dwóch latach jeszcze sześciu innych szpiegów przypłaciło swe rzemiosło życiem.

Była to wszelako dopiero przegrywka; właściwe hasło do czarnego terroru, dał wystrzał Wiery Zazulicz do petersburskiego gubernatora i oberpolicmajstra Trepowa, 24 stycznia 1878 r., a więc zaraz na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku w procesie 193-ch. Tu już nie instynkt zachowawczy ani potrzeba obrony, ale zemsta, „zemsta na wroga, z Bogiem czy mimo Boga“, była motorem zamachu.

Leży przede mną obszerny memoryał jenerała Trepowa, wygotowany w kilka dni po uwolnieniu Wiery Zazulicz od winy przez sąd przysięgłych, w 22 egzemplarzach rozdany cesarzowi, członkom cesarskiej rodziny i ministrom, umieszczony w *Russische Wandlungen* (str. 250—91); czytałem go na trzy zawody i przyszedłem do przekonania, że: 1) zamach Wiery nie był wynikiem rozrzewnionego serca kobiecego niesprawiedliwą a srogą chłostą politycznego więźnia, Bogoljubowa, ale dobrze obmyślaną, wyrachowaną na efekt, zemstą za znęcanie się bezlitośne nad więźniami, uplanowaną w męskiej głowie Aleksandra Michajłowa i koryfeuszów nihilizmu; próba udała się wybornie i stała się zachętą do prób śmielszych jeszcze; 2) że w procesach nihilistycznych sądy były tylko farsą, ulegać musiały dowolności władz

policyjnych. Sądowi peterburskiemu sprzykrzyła się ta hańbiąca zależność od samowoli policyi, i ztąd pomiędzy prokuratoryą i sędziami śledczymi z jednej strony, a jen. Trepowem i zarządem więziennym z drugiej, przychodziło do starć częstych, z których jen. Trepow wychodził zawsze zwycięsko. Rozjątrzyło to do reszty ludzi sądowych, i dlatego u ministra hr. Pahlena dołożyli wszelkich starań, aby sprawa Wiery sądzona była jako zwyczajna zbrodnia, jawnie przed sądem przysięgłych, gdyż uważana za sprawę polityczną, oddanąby została w myśl ukazu z r. 1871 sądom nadzwyczajnym senatu, które powodowały się zawsze wskazówkami trzeciego oddziału policyi. Jakoż hr. Pahlen nie bez trudności uzyskał u cesarza oddanie tej sprawy sądom zwyczajnym, zaręczając swem słowem, że wyrok wypadnie w myśl rządu. Omylił się; sędziom[1] chodziło o danie nauczki administracyjno-policyjnym władzom, w szczególności zaś o upokorzenie jen. Trepowa; prowadzili więc śledztwo pobieżnie, ograniczając się jedynie na gołym fakcie zamachu. Akt oskarżenia zredagowany był pobłażliwie; z toku rozprawy wynikało, że przed kratkami stanąć powinien jen. Trepow i jego podwładni, dozorcy więźniów. Samowola i brutalność władz policyjnych w traktowaniu więźniów stanęła w swej jaskrawości; obrońca Aleksandrow uderzył w strunę uczuciową, przedstawił Wierę jako jednę z tysięcy ofiar samowoli rządu i mścicielkę tejże — resztę zostawiono dobremu sercu przysięgłych. Wiera się nie broniła, nie zapierała, wyznała otwarcie, że strzeliła do Trepowa i zraniła go niekoniecznie na to, żeby go zabić, ale aby pomścić krzywdę Bogoljubowa i zwrócić uwagę opinii publicznej na tę okrutną a uchodzącą bezkarnie samowolę, jakiej wbrew wszelkiemu prawu i ludzkości więźniowie polityczni na pastwę są rzuceni. Prezes trybunału, tajny radca Koni, przedłożył przysięgłym trzy

[1] Trybunałowi przewodniczył tajny radca Koni, z udziałem sędziów: Serbinowicza i Döppa; delegatem prokuratoryi był Kessel, obrońcą adwokat przysięgły, Aleksandrow. Sąd przysięgłych składał się z dziewięciu urzędników rządowych, jednego szlachcica, kupca i artysty-mieszczanina; przewodniczył mu radca dworu, Łochow. (*Czas*, 1878 r., nr. 90, gdzie cała rozprawa według dzienników rosyjskich streszczona).

pytania; pierwsze brzmiało: azali Wiera Zazulicz jest winną, że zraniła Trepowa, drugie i trzecie: jeżeli tak, czy w zamiarze zabicia Trepowa, i z jakich motywów?

Po półgodzinnej naradzie, odpowiedzieli przysięgli na pierwsze pytanie: niewinna; przez to upadły dwa inne pytania. Liczna publiczność przyjęła przeciągłemi, hucznemi oklaskami ten werdykt. Wierę wolną wyprowadzono z sali; oczekiwały ją tłumy, witały radośnie, obnosiły na rękach aż do rogu ulicy, gdzie stała kareta otoczona także tłumami ludu. Wmieszała się policya, żandarmi; z tłumu padły trzy strzały: jeden ranił jakąś kursistkę w kolano, drugi rozbił hełm żandarmowi, trzecim odebrał sam sobie życie niejaki Sidoracki, brat szwagra Wiery, rozumiejąc, że zabił żandarma. Wśród tego zamieszania wsadzono Wierę do powozu, ukryto przed okiem policyi, a następnie wywieziono do Szwajcaryi, gdzie dotąd żyje. Cała prasa nierządowa rosyjska i zagraniczna, z wyjątkiem paryskiej *Liberté*, stanęła po stronie Wiery, domagała się reform usuwających raz nazawsze samowolę władz administracyjnych. Rząd wobec kraju i Europy otrzymał policzek straszny, popadł do reszty w lekceważenie i pogardę powszechną. Na nic się nie przydało, że sam cesarz złożył wizytę kondolencyjną jen. Trepowowi, że uczynili to samo książęta krwi, ministrowie i dygnitarze państwa; nic nie pomogła dymisya hr. Pahlena i puryfikacya personalu sądownictwa, przez nowego ministra sprawiedliwości Nabokowa — skompromitowana powaga rządu werdyktem sądu przysięgłych uwalniającym Wierę, nie podźwignęła się. Zrozumiał to wreszcie cesarz i usunął jen. Trepowa z posady gubernatora i policmajstra stolicy. Wkońcu, berliński traktat 1878 r. i coraz to nowe odkrycia defraudacyj czynowników i oficerów wyższych podczas wojny tureckiej, pognębiły do reszty powagę rządu.

Najciekawszym w memoryale Trepowa jest ustęp, w którym ten pierwszy dygnitarz i urzędnik carskiej stolicy przyznaje się do nadużyć władz administracyjnych w politycznych procesach, takowe usprawiedliwia i dziwi się, że prokuratorya i sądy czuły się niemi urażone. Oto jego słowa:

„Główną przyczyną (przekazania sprawy Wiery sądom zwy-

czajnym) był wieloletni antagonizm prokuratoryi z zarządem (politycznego śledczego więzienia świeżo wybudowanego w Petersburgu), a w szczególności z gubernatorem miasta (Trepowem). Antagonizm ten spoczywa na podstawie sprzecznych pryncypiów, a z biegiem czasu, wskutek wielu zajść i starć prywatnej natury, zaostrzył się bardzo. Niemałą rolę grały tu liczne wypadki, gdzie osoby uwolnione wyrokiem sądowym, uwięzione zostały nanowo drogą administracyjną, internowane lub wywiezione; a to dlatego, że administracya spodziewała się nie uwolnienia, ale owszem surowego zasądzenia i zapobiedz chciała niebezpiecznym wpływom takich uwolnień... Zarządzone w tych wypadkach aresztowania i wydalania, uważali urzędnicy prokuratoryi za bezprawne, a czasem je kasowali... Te ich nieuzasadnione pretensye odrzucano, z tego jednak wyrodziła się wzrastająca z dniem każdym niechęć prokuratoryi do zarządu, która wreszcie do otwartego starcia doprowadzić musiała... Zostawszy raz członkiem komitetu (śledczego, więziennego), musiał gubernator miasta (Trepow) odegrać w nim pierwszą rolę, co prowadziło do nowych starć z urzędnikami prokuratoryi, niechcącymi go słuchać. Samowolę swą i separatyzm okazywali oni ustawicznem mieszaniem się do rozporządzeń administracyi i wydawaniem poleceń przechodzących zakres ich władzy, co znów prowadziło do częstych nieporządków. Wnet też więźniowie, zwłaszcza polityczni, więcej wykształceni, dostrzegli tego, że prokuratorya przeciw zarządowi agituje, w duchu zamiarom zarządu przeciwnym, i powoduje się humanitarnością bez granic i prawu przeciwną. Wynik był ten, że więźniowie zanosili skargi na zarząd; na podstawie tych skarg prokuratorya robiła dochodzenia, nie zapytawszy się pierwej, jak tego domagają się przepisy, tej władzy, przeciw której zanoszono skargę. Przyszło więc do mniejszych a potem do większych nieporządków, które przybrały wnet takie rozmiary, że doniesiono o tem przez biuro III. oddziału cesarzowi. Musiał więc gubernator miasta zwiedzić osobiście więzienie śledcze, i dla powyższych nieporządków skazać więźnia Bogoljubowa na karę cielesną, gdyż zachowanie się jego pobudzało

innych więźniów do rozruchów[1]... Kara ta była prawnie dozwoloną, ponieważ, według raportu pomocnika prokuratora przy sądzie kasacyjnym senatu, Bogoljubow już nie podlegał sądom, ale jako zbrodniarz skazany do katorgi (za rozruchy na placu kazańskim 6 grudnia 1876 r.), oddany został władzom administracyjnym. Chłosta Bogoljubowa nie była więc aktem samowoli administracyjnej; nie był on też — co dla uzupełnienia prawdy dodać należy — szlachcicem, jeno synem djaka cerkiewnego".

Cóż to za spaczone i dzikie pojęcia o prawie, sprawiedliwości i powadze sądów, których wyroki annuluje władza administracyjna i za szkodliwe państwu ogłasza, zwłaszcza wobec ogłoszonej ukazem z r. 1864 niezawisłości sądownictwa i osobistej wolności obywateli! Nie dziwmy się jednak Trepowowi: tak czuł, myślał, rozumował rząd cały; te pojęcia i zapatrywania tkwią jeszcze dzisiaj w administracyi rosyjskiego państwa; jeśli tu o tem wspominam, to dlatego, aby uwydatnić lepiej ten ferment nienawiści, jaki rozsadzał serca nihilistów i gnał ich do zemsty, do terroru czarnego; nie usprawiedliwia ich to, ale umniejsza ich winę. Ta samowola administracyi, ten brak osobistego bezpieczeństwa, tak że nikt nie jest pewny jutra, był przecież i jest dzisiaj jeszcze głównym powodem niezadowolenia wszystkich stronnictw w Rosyi, krom czynownictwa; chociaż i wśród niego niezadowolonych wielu. Powiem więcej: jeżeli tylko połowę prawdy mieszczą w sobie zarzuty Trepowa przeciw prokuratoryi i urzędnikom sądowym, przedstawiające ich jako zwolenników partyi rewolucyjnej, niechętnych administracyi, obo-

[1] Według zeznań świadków współwięźniów, jen. Trepow wpadł 12 lipca 1877 r. na dziedziniec więzienny, i łajał politycznych więźniów, że wbrew zakazowi przechadzają się razem i rozmawiają. Gdy mu na to Bogoljubow coś chciał odpowiedzieć, Trepow nie dopuściwszy go do słowa, kazał zamknąć do karceresu, ciasnej, brudnej izdebki, pod maszyną pralni, gdzie upał prawie tropikalny. To oburzyło kolegów, poczęli szemrać i odgrażać się. Nazajutrz Trepow przesłaną kartką skazał Bogoljubowa na 25 rózg. Wywleczono go z karceresu, rozciągnięto na środku dziedzińca i śmiejąc się i drwiąc bito ogromnemi rózgami tak silnie, że krew strumieniami tryskała: bity, jęczał i wił się od bólu i wstydu — więźniowie z okien na tę katuszę patrzyli: zbitego, zamknięto znów do karceresu.

tnych na przepisy i ustawy państwowe; przypisujące uwolnienie Wiery intrydze „panów sądowych“, a frenetyczne oklaski po ogłoszeniu uwalniającego werdyktu „przyjaciołom“ tychże — to rewolucyjny rozkład państwowego organizmu Rosyi rozpostarł się bardzo szeroko i głęboko, i nie dziwić się nihilistom, że go zburzyć pragną do reszty, ani inteligentnemu społeczeństwu rosyjskiemu, że z nihilistami sympatyzuje — jak się użalał na to w swym memoryale hr. Pahlen — bo pozostanie nazawsze prawdą: *justitia fundamentum regnorum.*

Bądźcobądź, uwolnienie Wiery było tryumfem nihilizmu. Kroczył on teraz śmiało naprzód, szerząc blady postrach przed sobą. W „monstrualnym“ procesie 193-ech sąd uwolnił 94, między nimi Zofię Perowską i kilkunastu dzielnych szermierzy nihilizmu. Ci, połączywszy się z zostającymi podczas procesu na wolności Narodnikami, uorganizowali się nanowo w duchu centralizacyi. Duszą tej grupy Narodników ze wskrzeszoną nazwą *Zemlá i wola,* był Aleksander Michajłow. W maju 1878 r. odbyło się ich doroczne walne zgromadzenie w Petersburgu, liczniejsze nierównie jak w trzech ubiegłych latach. Za radą Michajłowa zorganizowano silniej grupę centralną, do której wchodziło 50 członków z siedzibą w stolicy państwa, i ścieśniono węzły, łączące ją z lokalnemi grupami. Członkowie centralnej grupy zobowiązali się wykonać ściśle uchwały, większością głosów zapadłe, nawet gdyby się one ich zapatrywaniom sprzeciwiały. *Zemlá i wola* miała swą tajną drukarnię w Petersburgu, założoną 1877 r. przez wileńskiego żyda, Arona Sundelewicza. Żydek ten, otrzymawszy od centralnego komitetu Narodników 10,000 fr., wyjechał za granicę, wyuczył się znakomicie sztuki drukarskiej, zakupił wszystkie przybory drukarskie, przemycił je szczęśliwie do Petersburga, wyuczył czterech innych członków zecerstwa i urządził drukarnię na większą skalę, a tak zręcznie ukrytą, że policya przez 4 lata napróżno jej szukała. Tu się drukowały programy, odezwy, tu czasopismo *Zemlá i wola* z dodatkiem *Listòk,* które wychodziło od 1 listop. 1878 aż do lipca 1879 r. w 2—3000 egzemplarzy; tu drukowano *Narodnaja wola,* organ komitetu wykonawczego, od 1 paźdz. 1879 do 5 lutego 1882 r.; dalej *Czornyj*

peredjół, organ federalistów socyalnych, od 15 kwietnia 1880 do lutego 1882 r.; dalej jeszcze *Rabòczaja gazeta,* miesięcznik dla robotników grupy terrorystów, pod redakcyą Żeljabowa, od 15 grudnia 1880 do końca 1881 r. Równocześnie nadsyłano z Genewy pisma: *Obszczyna,* organ grupy anarchistów, pod redakcyą Żukowskiego, Dragomanowa, Axelroda i Stefanowicza; *Hromada* Dragomanowa w małoruskiem narzeczu, której od r. 1877 wyszło 5 tomów.

Zadaniem grupy *Zemlá i wola* była propaganda i agitacya, czyli podburzanie robotników i chłopów, aby wywalczyli sobie posiadanie fabryk i wszystkich gruntów. W Petersburgu zwłaszcza utworzył się związek 200 robotników, zależny od centralnego komitetu *Zemli i woli,* przez niego kierowany, opatrywany w pieniądze i paszporty. Celem tego związku było: wywoływać niezadowolnienie i tworzyć strejki w fabrykach stolicy. W fabryce wyrobów bawełnianych przyszło do znacznych zaburzeń. Na danos szpiega Reinsteina, policya aresztowała 50 związkowych, zabrała tajną drukarnię, zaostrzyła nadzór nad całą klasą robotniczą. Reinstein przypłacił swą gorliwość życiem — zasztyletowano go. — W południowej Rosyi agitacya ta przerodziła się w terroryzm. Było to dziełem Waleryana Osińskiego, „Apollina rewolucyi“, syna jenerała i obywatela znad Donu, który dziwnie pięknej postaci, wielkich zdolności, po ukończeniu politechniki, osiadł w Rostowie jako sekretarz magistratu; wnet jednak przeniósł się do Petersburga i w 27 roku życia wstąpił do związku Narodników. Oceniając jego zdolności, komitet centralny wysłał go w zimie 1877/8 do Kijowa, dla reorganizacyi rozbitych aresztowaniami kółek narodniczych. Sympatycznością swoją zgromadził liczną młodzież koło siebie, wskrzesił w innych także miastach rewolucyjne grupy, a wszystkim nadał kierunek terrorystyczny; żaden większy ruch, żaden zamach nie obszedł się bez niego. On to przygotował i uskutecznił ucieczkę Stefanowicza z więzienia charkowskiego, po nieudanym rozruchu chłopów koło Kaniowa. Południowcy uważali terror czarny nietylko za akt zemsty, ale za środek walki z rządem. Zapaleniec Iwiczewicz wołał: „dlaczego terrorem nie zmusić rządu do nadania

praw i wolności!“ Zabrano się więc najprzód do „uprzątnięcia“ szpiegów. W latach 1878 i 1879 ginie szpieg Nikanow w Rostowie nad Donem, szpieg Fetissow w Odessie; Rosenzweig i Reinstein giną w Moskwie; Sembradzki w Kijowie jedynie swej pancernej koszuli, od której odbiła się kula, zawdzięcza swe życie; zabójca jego Polikarpow, widząc to, sam się zastrzelił. Baranowski ginie w Kijowie 31 marca 1879 r.; Żarkow i Prim 5 lutego 1880 i 29 czerwca 1881 giną w Petersburgu; Hejman w Warszawie 1881 r.

Po szpiegach, przyszła kolej na prokuratorów i żandarmów, znęcających się nad więźniami politycznymi; z biedą ocalał pomocnik prokuratora Kotlarewski w Kijowie, na którego życie targnął się znany nam Osiński; zginął od sztyletu pułkownik żandarmski baron Heyking na ulicach Kijowa. Każdy nihilista nosił broń przy sobie, na schadzkach zwłaszcza i w kryjówkach swoich wszyscy byli uzbrojeni; osaczeni policyą i żandarmami, nie dozwalali się brać jak barany, bronili się, strzelali, prawie każde aresztowanie okupione było kalectwem i śmiercią sług policyi. Tak było przy aresztowaniu Kowalskiego, Wiluszewskiego i towarzyszy w Odessie; bronili się tak długo, dopokąd nie spalili wszystkich papierów i nie wyrzucili czcionek drukarskich za okno. Dwaj bracia, Ignacy i Iwan Iwiczewicze, śmiertelnie ranni w walce z żandarmami podczas aresztowania swego w Kijowie 11 lutego 1879. Lubków, widząc, że nie może obronić siebie i tajnej drukarni, gdy już miał być aresztowany, sam się zastrzelił 17 stycznia 1880.

Cóż na to wszystko rząd? Po procesie Wiery, postanowił zaniechać z nihilistami procedury sądowej, ale załatwić się z nimi żandarmeryą i nadzwyczajnemi komisyami i sądami; w razie zaś zbrojnego oporu lub napadu nihilistów, ukaz z d. 9 sierpnia 1878 r. oddawał ich pod § 279 sądu wojennego [1]. Pomnożono liczbę szpiegów i policyi; dano szerokie instrukcye żandarmom; aresztowania, a raczej polowania na „podejrzanych“, odbywały

[1] Ukaz ten wydał car w wigilię swego wyjazdu do Liwadyi. W odpowiedzi na to, przygotowali nihiliści powracającemu z Liwadyi cztery zamachy, jak to opowiemy niżej.

się dniem i nocą, centralne więzienia w Petersburgu i Charkowie przepełniły się politycznymi więźniami. Obchodzono się z nimi jeszcze srożej, bito, znęcano się, zamykano do karceresu, ćwiczono rózgami za najmniejszy opór lub „zuchwalstwo“. Wywoływało to reakcyę u więźniów, skarżyli się na nieludzkie obchodzenie, burzyli i buntowali; „nieporządki“ te karano jeszcze srożej: policzkowaniem, szturchańcami, rózgami, pozbawieniem krótkiej przechadzki lub ciepłej strawy na tygodnie całe. Izolować więźnia, złamać jego butę, zrobić go potulnym, zdrajcą kolegów, oto był główny cel tego srogiego systemu więziennego. Wtenczas to najprzód więźniowie Petropawłowskiej kreposti, a następnie więźniowie centralnej kaźni charkowskiej, zmówili się, że nic jeść nie będą, dopokąd zarząd nie zapewni im bardziej ludzkiego obchodzenia się. „Głodówka“ w Petersburgu przeciągła się do dni 4; przez całe te długie dnie ci młodzi, wycieńczeni wielomiesięcznem, ciemnem, wilgotnem więzieniem, biciem i „gorszem od kijów śledztwem“, gorączką głodu trawieni, konali już prawie. Wystraszony zarząd wdał się z więźniami w kompromis, poczynił lekkie ustępstwa co do polepszenia wiktu i przedłużenia dziennej przechadzki, które wnet potem przy lada sposobności odbierał. Wieść o tych okropnościach przedarła się przez mury i straże więzienne do stolicy. Komitet centralny *Zemli i woli* zebrał się na naradę. Kto temu winien? — pytano — jużci ten, kto w aresztowaniach i śledztwie pierwszą jest osobą, a więc szef III. oddziału, jen. Mezencow. Śmierć jemu! Wyrok zapadł, egzekucyi podjął się Adryan Michajłow, i dnia 16 sierpnia 1878 r., w samo południe, na głównej ulicy Petersburga, zabija sztyletem Mezencowa, wsiada do przygotowanej dorożki, uchodzi za granicę szczęśliwie i czyn swój usprawiedliwia przed światem broszurą p. tyt.: „Śmierć za śmierć“.

„Głodówka“ w więzieniu charkowskiem przetrwała także dni kilka. Zniecierpliwiony jenerał-gubernator kniaź Krapotkin, zwołuje lekarzy i felczerów, każe przemocą otwierać więźniom usta i przez sondę wpuszczać pokarm. Wytrwalsi nie przyjęli żadnego pokarmu i umierali głodową śmiercią. Ustępstw nie poczynił Krapotkin żadnych, srożył się jeszcze potworniej, bo poli-

tycznych więźniów skazał na wieczną ciemność. Okna cel więziennych małe, osadzone wysoko w ścianie, już i tak skąpo do celi więźnia wpuszczają światła. Krapotkin kazał je opatrzyć koszami blaszanymi, aby i tej odrobiny światła pozbawić więźnia. Bezczynne siedzenie tygodniami całymi w ciemnicy, przyprawiało o rozdrażnienie nerwów, te zaś popychały do „zuchwalstwa"; spadały więc nowe kary na nieszczęsnych. Wiedziano o tem w mieście. Komitet terrorystów zawotował śmierć księciu, i na dniu 8 lutego 1879 r. gubernator Charkowa, książę Krapotkin, ginie od kuli rewolwerowej z ręki żyda Goldberga, gdy wraca w powozie z balu do domu. Przybył na jego miejsce jen. Drenteln; ma on 7-letnią wdzięczną córeczkę. Guwernantkę tej dziewczynki, Francuzkę rodem, odwiedzałem w lecie 1879 w głównym szpitalu we Lwowie, gdzie ciężko chora, leczyła się. Litowała się nieboga nad jenerałem i jego córką, bo ledwie objął urzędowanie, wnet, zasiadając do obiadu, znalazł list włożony w serwetę, opatrzony pieczęcią komitetu, z zapowiedzią, że jeżeli nie zmieni swego postępowania z więźniami, to zginie najprzód jego dziecię, a potem jego samego spotka los Krapotkina.

Drenteln nie uląkł się; po zabójstwie Krapotkina przyjął posadę szefa III. oddziału policyi. Powiesić kazał Bobochowa za to, że próbował uciec z więzienia w Archangielsku; z więźniami obchodził się srogo i wywołał drugą „głodówkę"; aresztowań masami nie zaniechał wcale: w samym Petersburgu w zimie 1878/9 aresztowano około 2000 osób! Za to spotkać go miała śmierć z ręki Mirskiego 12 marca 1879 r., ale zamach nie udał się [1].

[1] Do organizacyi zamachu na życie jen. Drentelna należeli: Leon Mirski, Tarchow, Lewenson, Gołowin, Beklemiszyn, Olchina, Wereszczagin i Siemieńska. Mirski podjął się wykonania zamachu. Dnia 13 (25) marca, w samo prawie południe, na tarasie Kanału Łabędziego, gdy jen. Drenteln jechał powozem na sesyę komitetu ministrów, Mirski dognał go na karym koniu, dał strzał do karety; widząc, że chybił, zwrócił spłoszonego konia, dał jeszcze dwa strzały, które znów chybiły; spiął konia i dojechawszy do rogu ulicy szpalerowej, przesiadł się na przygotowane sanki i umknął. Przerażenie w mieście niesłychane. Zuchwalstwo nihilistów, bezsilność rządu, okazała się w całej prawdzie. Terror czarny dawał się we znaki spokojnym obywatelom. Nikt nie był pewny jutra i życia swego. „Cała Rosya — piszą *St. P. Wiedomosti* — jest pod prawdziwą powodzią prokla-

Te doraźne egzekucye i zamachy na pierwszych urzędników państwa, przeraziły ludzi rządowych; z więźniami przez kilka miesięcy, dopokąd wrażenie się nie zatarło, obchodzono się, w śledztwie zwłaszcza, łagodniej i bardziej po ludzku.

Zdaje się jednak, że liberalne i słowianofilskie stronnictwo potępiało ten terror czarny, ale za to młodzież szkolna całą duszą przylgnęła do terrorystów; imponowało jej ich junactwo i bądźcobądź odwaga bez granic. Z sympatyami swemi nie taiła się wcale. Podczas zamachu Osińskiego na Kotlarewskiego w Kijowie, aresztowano jakiegoś akademika. Koledzy domagali się jego uwolnienia, poręczając gromadnie za niego. Relegowano za to zuchwalstwo 150 studentów, 30 wygnano do północnych gubernij. Gdy odjeżdżali, urządzili im koledzy wspaniałą owacyę; w Charkowie i Moskwie owacye te przybrały takie rozmiary, że w tem ostatniem mieście przyszło do krwawej bójki między studentami i „ubranymi po niemiecku“ ludźmi a kacapami; kilku studentów zabito. Przy wykonaniu wyroku śmierci na Kowalskim w Odessie 24 lipca 1878 r. przyszło do tumultu, w którym studenci znaczny udział brali; padały gęste razy i strzały. Kobiety przybrały się w żałobę i w różne ozdoby z monogramem A. K., otoczonym gałęziami palmowemi. To dało znów powód do licznych aresztowań.

(C. d. n.).

Ks. Stanisław Załęski.

---

macyj rewolucyjnych. Rewolucyoniści rozesłali znaczniejszym osobom i rozlepili po rogach ulic dekret śmierci na księcia Krapotkina i jen. Drentelna. Kto podejmie przeciw nam rękę, tego nie minie kara śmierci! — powtarzają w swych proklamacyach, i dotrzymują słowa. Pragną osiągnąć swe cele przez grozę — i udaje się im, a winnych niema! Nie policya chwyta zbrodniarzy, lecz zbrodniarze prześladują policyę... W całem carstwie, od Petersburga do Odessy, od Kijowa i Moskwy do Kazania, nihilizm szeroko rozpostarł swe sieci, a każda nowa zbrodnia wykrywa coraz liczniejsze koła spiskowców... i znowu winnych niema. Ale natomiast całe setki ludzi, o których nic nie wiadomo nad to, że się dali ująć, ujęto i zamknięto w kazamatach. Jaki tu ład, jaka loika w postępowaniu! Do czego to wszystko doprowadzi nas dalej“. — Oto wyraz usposobienia i strachu stolicy. Jeszcze ten strach nie minął, a już nowy zamach na samego cesarza.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

De Hominis elevatione per gratiam sanctificantem, Dissertatio. Scripsit *dr. Leo Wałęga*, Vice-Rector Seminarii clericorum rit. lat. Leopoli 1891. (Pag. 95).

Niema może wdzięczniejszej, piękniejszej kwestyi w całej dziedzinie teologicznej wiedzy nad kwestyę o łasce. Ale dlatego może żaden dogmat nie jest równie trudnym. Samo zbliżenie się Stwórcy do stworzenia, wydobywającego je z ciasnych ram życia naturalnego, a przeniesienie stworzenia w sfery najwyższe, czysto boże, rodzaj deifikacyi człowieka, już trudności w sobie zawiera nielada: ale ponieważ porządek łaski suponuje naturę, którą podnosi i ubóstwia, żąda od traktującego kwestyę łaski sporo wiadomości psychologicznych, jak np. o różnicy władz duszy od jej substancyi, o wzajemnem oddziaływaniu władz myślenia na władze woli i t. p. Dlatego też, ile razy pojawi się książka, traktująca o łasce, zwykł teolog z pewnym lękiem i niemałą ciekawością zabierać się do jej studyum, czy te dwie dane, w tej kwestyi niezbędne, posiada autor pracy.

Tymi dniami opuściła prasę książka ks. dra L. Wałęgi, wice-rektora Seminaryum lwowskiego, traktująca o łasce poświęcającej, czyli, jak ją autor nazwał, o wywyższeniu człowieka przez łaskę poświęcającą, *de elevatione hominis per gratiam sanctificantem*.

Już same przedwstępne kwestye, które przy tej sposobności autor porusza, świadczą o sumiennem i naukowem traktowaniu przedmiotu. Rozdział pierwszy zawiera pytania wstępne, torujące drogę do orzeczenia, na czem istota łaski poświęcającej polega. Pojęcie o nadnatural-

ności, o możliwości podniesienia człowieka do porządku nadprzyrodzonego, o konieczności względnej łaski, wynikającej z podniesienia natury ludzkiej do celu nadprzyrodzonego — mimowoli wprowadzają czytelnika w te głębie dobroci bożej, uwydatniające się w łasce poświęcającej.

Samo pojęcie daru nadprzyrodzonego odpowiednio przeprowadzone. Zestawienie różnych pojęć, przywiązanych do słowa „natura", wykluczenie tych, o których mowy być nie może w traktowaniu o łasce, i zaznaczenie pojęcia natury jako tego, *quod ex principiis naturae fluit et ab ea exigitur*, i przeciwstawienie nadnaturalności jako tego, co nie wynika z pierwiastków natury i przechodzi zakres jej wymagań — przedstawia autor ze szczególną jasnością. Cytaty autorów, których na poparcie swych twierdzeń używa, znakomicie dobrane. Brak tylko jednego myśliciela, którego głębokie a jasne pojmowanie istoty porządku nadprzyrodzonego należy do najlepszych w tej kwestyi — brak Palmieri'ego.

W artykule trzecim, traktującym o możliwości podniesienia do porządku nadprzyrodzonego, wystrzega się autor z dziwną swobodą tych sztuczek zdradliwych, w których nieraz niebaczni, omawiając tę kwestyę, traktują rzecz zupełnie *in abstracto*, stawiając sobie pytanie o możliwości, a przypuszczając zbyt wiele z rzeczywistego porządku łaski. Autor zaznacza tu, iż — jak sam się wyraża — co się tej kwestyi dotyczy, *natura altum servat silentium*, nie mogąc o bezwzględnej możliwości sama przez się nic wyrokować. Bierze więc dane, jakie nam nauka wiary o elewacyi człowieka podaje, i na tych danych oparty, zadaje sobie pytanie, czy tak pojęta łaska nie zawiera w sobie sprzeczności. Przy tej okazyi trzeba było poruszyć kwestyę *de potentia obedientiali*, kwestyę, której odpowiednie rozwinięcie — naszem przynajmniej zdaniem — jest probierzem jasnego pojęcia o łasce. Jeżeli w tem taki myśliciel, jak Suarez, błąkał się i gmatwał, nie wyświeciwszy ostatecznie jasno i dokładnie jej znaczenia, to i każdemu innemu możnaby przebaczyć niedostateczne traktowanie tej kwestyi. Autor w kilku słowach przedstawia znaczenie *potentiae obedientialis*, i idąc za Doktorem anielskim, stopniowo nam rozwija jej znaczenie, dochodząc do tego, jaką jest jej funkcya w stosunku do Boga, działacza najwyższego, któremu wszelkie stworzenie podlega, gdy je wyprowadza z jego granic przynależnych mu z natury, a podnosi do wyższego rzędu. Nie jest więc, zdaniem autora, *potentia obedientialis* niczem innem, jak *non repugnantia recipiendi aliquam formam supernaturalem ex virtute Divina, quae forma recepta principium est actionum supernaturalium*. Na takie określenie muszą się podpisać wszyscy.

Coraz więcej zbliżając się do głównego przedmiotu rozprawy, omawia autor pytanie, czy konieczną jest elewacya przez łaskę poświęcającą. Tu stawia nam ks. Wałęga nasamprzód jako tezę z objawienia podniesienie człowieka do porządku nadprzyrodzonego przez wytknięcie mu celu nadprzyrodzonego. Ztąd, ponieważ cel ze środkami zgadzać się musi, więc i środki muszą być nadprzyrodzone, a że środkiem do dopięcia celu jest życie z łaski, wyprowadza konieczność darów łaski. Zaznacza jednak autor, że absolutnie mówiąc, nie potrzeba do tego łaski poświęcającej jako *donum permanens*, bo i łaski uczynkowe mogą tę samą przysługę oddać człowiekowi: żąda tylko łaski poświęcającej, idąc za św. Tomaszem i całą szkołą *ad connaturaliter agendum in ordine supernaturali*.

Przystępując do samej łaski poświęcającej, stawia autor tezę, do której opracowania się zabrał. Określając łaskę poświęcającą jako stan elewacyi nadprzyrodzonej w obecnym rzeczy porządku, wspomina autor nawiasowo wprawdzie, ale jednak dosyć jasno, o ważnej kwestyi *de statibus possibilibus*, mianowicie *de statu naturae purae*. Z definicyi soboru trydenckiego, wyprowadza w następnym artykule właściwości łaski poświęcającej, że jest darem stałym, akcydentalnym, fizycznym (w przeciwstawieniu do imputacyi moralnej i aktów moralnych), habitualnym, przekształcającym istotę duszy. Przy tej sposobności krótką daje odprawę Piotrowi Lombardowi, streszczającemu całe znaczenie łaski w zamieszkiwaniu Ducha św. w duszy. Szkoda tylko, że autor kilku słowy nie zbił zapatrywań Lombarda, iż Duch św. nie może jako forma i część komunikować się duszy, co się sprzeciwia niezmiennej istocie Boga.

Na stronie 48, postawiwszy sobie pytania, jakie jest bezpośrednie podścielisko łaski poświęcającej: czy istota duszy, czy też jej władze — występuje autor z odpowiednią znajomością psychologii, dane psychologiczne stosując do pojęcia łaski. Co tu autor pobieżnie potrąca, rozwija obszerniej w dodatku pierwszym, przedstawiając nam łaskę wraz z nadprzyrodzonymi nałogami *(habitus)* jako źródło tego nowego życia, będącego partycypacyą życia bożego. Opierając się na teoryi, rozróżniającej realnie władze duszy od jej istoty, naturalnem następstwem przedstawia nam duszę jako bezpośrednie podścielisko łaski *(subjectum inhaesionis)*, władze zaś duszy jako *substratum* nadprzyrodzonych przymiotów.

Streszczenie tego wszystkiego, co się składa na istotę łaski, przedstawia nam ks. Wałęga, idąc za autorem księgi *De hierarchia ecclesiastica*, jako ubóstwienie człowieka, zawarte w upodobnieniu duszy z Bo-

giem i najściślejszem z Nim zjednoczeniu. Ztąd wyprowadza uczestnictwo w naturze bożej. Scientyficznie przedstawia odrodzenie człowieka z łaski jako nowe narodzenie, zmierzające do udzielenia człowiekowi (według określenia generacyi) podobieństwa w naturze, a tem samem postawienia go (jako urodzonego z Boga) w porządku bożym, i popiera ten pogląd licznymi cytatami z Pisma św. i z Ojców Kościoła.

Na stronie 60. w nocie dodanej do tekstu, pyta się autor, jaką doskonałość Bożą uwydatnia łaska poświęcająca. Że nie może wyrażać wszelkich doskonałości bożych, jasną jest rzeczą; że zaś może być tylko odblaskiem doskonałości odpowiadających naturze ludzkiej, którą suponuje, niemniej jest widocznem. Idąc za zdaniem Suareza, orzeka ks. Wałęga, że łaska poświęcająca upodabnia człowieka z intelektualnem życiem Boga, usposabiając go do najwyższej asymilacyi z Bogiem, do oglądania Boga i udziału w Jego szczęściu. Można się zgodzić na to przedstawienie całkiem: na jedno tylko zgodzić się nie mogę: na to zupełne pominięcie, czem jest łaska wśród naszego życia, i co wśród naszego pielgrzymstwa uwydatnia; możnaby bowiem wnioskować, że całe znaczenie łaski jest dopiero w przyszłem życiu. Lepiejby więc było tu uwydatnić, że łaska rozpoczyna to uczestnictwo w życiu Bożem intelektualnem, którego ostatecznem i najwyższem wykończeniem jest oglądanie oblicza Bożego, co autor w kilku słowach nadmienia dopiero na stronie 65.

Tyle wypowiada autor o upodobnieniu duszy z Bogiem. Zjednoczenie zaś duszy z Duchem św. przedstawia nam w następnym artykule.

Rozróżniając obecność Ducha św. w każdym w niełasce żyjącym człowieku od obecności Ducha św. w duszy sprawiedliwego, kładzie nacisk na to, że nie może Bóg być z nowego tytułu obecnym w duszy, który na mocy swej wszechobecności i jako Bóg, wszystko wypełnia — tylko przez nowy dar, zakładając w niej nowy rodzaj mieszkania dla siebie. Śliczne cytaty przytacza ks. Wałęga z Ojców Kościoła na wyrażenie tego zespolenia duszy z Duchem św. przez łaskę.

W dalszym artykule wylicza autor wyniki, bezpośrednio wypływające ztąd, że przez łaskę poświęcającą uczestniczy człowiek w naturze Bożej, tj. że tem samem staje się przybranym synem Bożym, dziedzicem Boga, współdziedzicem Chrystusa, jako ten, co przez łaskę poświęcającą stał się zdolnym swymi czynami zasługiwać na niebo; a ztąd niebo jest dlań zasługą, łaską zaś o tyle, o ile z nieskończonej dobroci Bożej samo źródło zasług darmo otrzymał, tj. łaskę poświęcającą.

Następują dwa dodatki, z których jeden przedstawia życie z łaski, drugi uwydatnia różnice między naturą i łaską. Szkoda tylko, że pierwszy z nich więcej obrobionym i wykończonym nie został.

Taką jest praca czcigodnego autora. Zaleca się autor prócz sumiennego traktowania przedmiotu, odpowiednią jasnością, stanowiącą niepoślednią wartość całej pracy. Szkoda tylko, że korekta bardzo pobieżnie robiona. szkoda daleko większa, że całej tej pracy nie dał autor szerszych rozmiarów, wnikając głębiej w prawdy wypowiadane, do czego — jak to ostatecznie okazał — przymioty odpowiednie posiada. Mamy nadzieję, że to początek dopiero prac, w których spotkamy się z naprawą tych małych błędów i usterek, jakie zawiera praca niniejsza.

Ks. Władysław Długołęcki.

Żytija Swiatych gr. kat. Cerkwoju poczytajemych na kożdyj deń w hodu, po najłuczszym istocznykam, sobrał *Iłarion Gmytryk*. professor bohoczestia w gymnazii w Sambori. Wypusk I., misiać Septemwrij. Sambor 1891. (W 8ce, str. IV i 132).

Najprzyjemniejszą i najbardziej pożądaną książką dla ludu ruskiego są Żywoty Świętych. Wiedzą o tem wszyscy, którzykolwiek bliżej z tym ludem się zetknęli, wiedzą najlepiej sami Rusini — mimo to jednak dotychczas nikt się nie znalazł, coby temu ludowi podał do rąk kompletny zbiór Żywotów Świętych na cały rok, chociażby w skróceniu. Oprócz kilku wcale nie klasycznych książeczek objętości nie więcej jak 10—30 kartek [1], jedna tylko w języku ruskim pojawiła się obszerniejsza książka w tym rodzaju. Był to zbiór Żywotów Świętych. wydany przez ks. Dobrjańskiego — lat temu 20 zgórą. Książka w swoim czasie dosyć dobra — dziś nadzwyczaj rzadka. A i ten zbiór nie był bynajmniej kompletny, mieścił bowiem nie więcej jak kilkadziesiąt żywotów: tak więc bez porównania większa część Świętych Pańskich, czczonych w Kościele wschodnim, czekała jeszcze, aby się kto zlitował i dał ich poznać ogółowi ludu ruskiego w ojczystym jego języku. I oto w przeszłym roku pierwszy ks. Huzar brakowi temu jakkolwiek zaradził, a obecnie ks. Gmytryk, z którego pracy właśnie zdajemy sprawę.

Zeszyt pierwszy, obejmujący żywoty Świętych na miesiąc wrzesień, jako rozpoczynający rok cerkiewny, już w styczniu opuścił prasę; drugi pojawił się niedawno.

---

[1] Żywoty: ŚŚ. Jerzego, Pantaleona, Mikołaja, Onufrego i t. d.

„Ponieważ u nas na Rusi — mówi autor w przedmowie — oddawna daje się czuć brak pełnego zbioru Żywotów Świętych, przeto podejmuję się takowego wydania..., pragnąc podać wiernym każdego stanu pożyteczną książkę do czytania, a w niej zdrowy pokarm dla duszy, i tem przyczynić się tak do pomnożenia chwały bożej, jak i do dobrych obyczajów w narodzie ruskim“ (str. III).

Cel poczciwy i szlachetny: zobaczmy, jak się autor z niego wywiązał.

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że dzieło tego rodzaju, jak zbiór Żywotów Świętych, obejmuje z natury swojej różne czasy i epoki, różne postacie i charaktery, przytem najróżnorodniejsze działania łaski w duszach wybranych — a na tem tle snuje się dopiero niezliczony szereg pojedynczych faktów, które trzeba zbadać krytycznie; ztąd dzieło takie wielkie przedstawia trudności, wiele wymaga pracy i wiele zmysłu krytycznego. Pierwszym warunkiem dobrych Żywotów jest sumienne opracowanie strony historyczno-krytycznej. Nie chodzi bowiem w takich Żywotach Świętych o samo zrejestrowanie pojedynczych faktów, jakie tu i owdzie o jakimś Świętym można wyczytać albo usłyszeć, ale o zestawienie ich krytyczne, o wybranie prawdziwych, z wyłączeniem niepewnych lub całkowicie zmyślonych, nieprawdopodobnych, jakie zbyt często napotyka się w dawnych pisarzach; to zaś jedynie da się osiągnąć długiem badaniem autentycznych źródeł, z uwzględnieniem najnowszych badań krytycznych.

Na jakich źródłach i na jakich badaniach oparł się ks. Gmytryk? We wstępie do pierwszego zeszytu cytuje on źródła następujące: Martyrologium, Metaphrastes, dzieła: ŚŚ. Atanazego, Augustyna, Ambrożego, Bazylego W., Grzegorza Naz., Jana Chryzostoma, Andrzeja Kreteńskiego, Grzegorza Nyss., Germana Konstantynopol., Euzebiusza, Epifaniusza, Jana Damasceńskiego, Hieronima, Cypryana, Klemensa, Leona W., Grzegorza W., Sofroniusza, i księgi zwane Menei. — Poważne to są źródła, ale, powiedzmy szczerze, same bez innych pomocy nie wystarczają.

Choćby Żywoty ks. Gmytryka przeznaczone były tylko dla ludu, to i w takim nawet razie ścisłym byłoby obowiązkiem uwzględnić nowsze badania krytyczne — boć przecież i tego ludu, który wszystko, co w pobożnej książce spotyka, przyjmuje w dobrej wierze i bez żadnego zastrzeżenia, niewolno karmić i do cnoty pobudzać tem, co niepewne, przesadzone lub wprost nieprawdziwe; — cóż dopiero, jeśli takie Żywoty przeznaczone są nietylko dla ludu, ale dla wykształceńszej pu-

bliczności, dla wiernych „każdego stanu“? A takimi właśnie mają być Żywoty ks. Gmytryka, jak się dowiadujemy ze wstępu (str. III).

Ścisła krytyka w badaniu faktów jest cechą i dobrą stroną dzisiejszych czasów; wszystko dziś chcemy widzieć wyjaśnione w świetle najnowszych badań, na źródłach i dowodach niezbitych oparte. Z tym duchem czasu, z temi wymaganiami liczyć się musi pisarz kościelny, Żywotów Świętych — inaczej wykształcony czytelnik dzieła jego zaliczy do pobożnych legend i nie da im wiary.

Otóż w dziele ks. Gmytryka ten właśnie brak silnie dostrzegać się daje; nie cytuje on ani jednego autora nowszego, a co już zupełnie dla nas niepojętem i czego żadną miarą wytłumaczyć sobie nie możemy, wcale zdaje się nie znać Bollandystów. To pomijanie wszystkiego co nowsze obudza pewne niedowierzanie i chęć sprawdzenia. Otóż, wskutek poszukiwań naszych okazało się, że liczne fakta, które autor na wiarę innych przytacza, w późniejszych pisarzach są opuszczone jako nieprawdziwe; owszem, okazało się nawet, że autor chyba i cytowanych przez siebie źródeł nie czytał w oryginale, ale gdzieś w późniejszych pisarzach, którzy podobnież nie starali się sprawdzić tego, co podają. Dla uzasadnienia tego zdania pozwalamy sobie przywieść parę przykładów:

Na str. 47 przytacza autor cud św. Michała Archanioła w Chonich (?), według Metafrasta. Przejrzeliśmy całego Metafrasta [1] i spis osobny jego Żywotów [2], i nigdzie tego cudu nie znaleźliśmy.

Na str. 24 w żywocie św. Mamanta cytuje autor znowu według Metafrasta cud o owym gołębiu, który św. Mamantowi i 40 więźniom miał przynosić pokarm, „jaśniejszy od perły, a słodszy od miodu“. Cudu tego w Metafraście również nie znaleźliśmy [3].

Na str. 33 w żywocie św. Babylasa pisze autor, że jakaś siła boska nie pozwalała cesarzowi Numeryanowi wejść do kościoła; Metafrastes, podany jako źródło, nic o tem nie mówi [4].

Na str. 65 w żywocie św. Teodory wspomina autor (według Metafrasta), że Świętej przeczytano tekst z Łukasza św.: „niemasz nic zakrytego...“ [5], gdy tymczasem Metafrastes przywodzi Ewangelię św. Jana: τό ὃ γέγραφα, γέγραφα [6].

---

[1] *Patrolog. graeca,* t. 114, 115, 116 (Edit. Migne).
[2] Tamże, t. 114, pag. 71—75.
[3] Tamże, t. 115, pag. 566.
[4] Tamże, t. 114, pag. 967.
[5] Roz. XII. w. 2. [6] XIX. 22.

Na str. 90 w życiu św. Eufemii (według Metafrasta) pisze autor, że przed śmiercią Święta poniosła małą ranę od niedźwiedzicy, z której „krwi też nieco wyciekło". Metafrastes zupełnie temu zaprzecza (num. 16 „πληγὴν ἐνέτεμεν οὐδαμῶς") i t. d. i t. d.

Ta próbka z jednym autorem wystarczy, jak sądzę, aby dowieść, jak niebezpieczną jest rzeczą brać źródła z drugiej ręki. Pomijam już ten wzgląd, że Metafrastes, choćby go autor nawet w oryginale przeczytał, nie może być powagą decydującą. Szczegółom i opisom jego już przecie stary Baroniusz wierzyć nie chciał.

Lepiej znacznie niż strona krytyczna wygląda w Żywotach ks. Gmytryka forma i przedstawienie rzeczy. Powziąć może czytelnik z jego Żywotów dość wierny a nieraz dość żywy obraz Świętego. Niektóre żywoty odznaczają się nawet pewnem bogactwem wyrażeń, pięknymi dyalogami, opisami, figurami i porównaniami. Takimi są przedewszystkiem opisy, w których autor mniej odstępował od oryginalnego tekstu; takim też jest żywot św. Józafata, spisany według biskupa Suszy. Nie rozumiemy tylko, dlaczego ks. Gmytryk powtarza fałszywy i tendencyjnie niegdyś wymyślony, a jak na owe czasy, ubliżający szczegół, jakoby św. Józafat był synem szewca. Rzecz to przecie powszechnie znana, że był pochodzenia szlacheckiego. Jeśli nie zkądinąd, to z żywotu Świętego, napisanego przez Guépin'a, mógł powziąć o tem ks. Gmytryk dokładną wiadomość [1].

Wielce zalecają też książkę uwagi autora dodane na końcu każdego żywotu, nawzór tych „obroków duchownych", które ks. Skarga w swoich Żywotach podaje.

Zauważyć na korzyść jeszcze wypada, że autor nierzadko na jeden dzień podaje kilka żywotów, w miarę tego, jak księgi liturgiczne Cerkwi wschodniej mniej lub więcej Świętych w jakimś dniu wspominają.

Wkońcu słów jeszcze kilka o języku i pisowni ks. Gmytryka: styl jest nadzwyczaj prosty, konstrukcye krótkie, zwroty łatwe. Nie brak mu także pewnego namaszczenia, bez którego Żywoty Świętych nie przemawiałyby do serca i nie pociągały do podziwiania i miłości Świętych bożych, i do refleksyj nad sobą samym. Z tem wszystkiem, co do języka wytknąć musimy jakieś niewytłumaczone niedbalstwo w doborze i czystości wyrazów. Miesza bowiem autor ustawicznie słowa czysto ruskie z słowami czysto cerkiewnemi, jakoteż słowa ro-

[1] *Saint Josaphat*... par Le R. P. Dom Alphonse Guépin. Poitiers et Paris 1874. tome I., pag. 4.

syjskiego i polskiego pochodzenia, przez co czytelnikowi, nie znającemu wszystkich tych języków, a przedewszystkiem ludowi, rzecz staje się bądźcobądź niezrozumiałą; czytelnik zaś, umiejący rozróżnić swoje od cudzego, nie znajduje w tem smaku i ma ochotę posądzać autora, że chyba nie zna dokładnie swojej mowy. Tak np. z języka cerkiewnego znajdujemy zaraz na wstępnej kartce słowo: po najłuczszym *istocznykam* (zamiast: żerełam); dalej: *otyczetworenije* (str. I); *otecz̆estwo* (str. I); *poosz̆erjaty sia* (str. I); *urazumijem* (str. I); *prezrinije* (str. III); *hod* (zamiast rik, roku); *dałecz̆ajszij* (duże dalekij, str. 6); *płotianyj* (tiłesnyj, str. 6); *obez̆obrażenyj* (str. 60); *neporuszdennoe* (str. 73); *izobrażenyje* i t. d. i t. d. Do polskich słów zaliczyć można: *dołchływosti, wostchnenie, pobudku* i t. d. i t. d. Toż samo co do deklinacyi, konjugacyi i całej składni; któż np. mówi: *czuwstwujesz sebe byty hrisznym? — my ne małyby znaty istorija?* (zamiast *istorii*, tj. 2 przyp. a nie 4 po przeczeniu) i t. d. — Co zresztą jest jeszcze do poprawienia przynajmniej w dalszych zeszytach.

Sądzimy też, że dobrzeby było, gdyby autor trudniejsze cytaty z Pisma św. tłumaczył na język czysto ruski.

Bądźcobądź pożytecznej i poważnej pracy podjął się ks. Gmytryk. Zasługiwała ona z tego właśnie względu, że jest tak potrzebną i pożyteczną, na dokładniejszą recenzyę; usunięcie zaś tych błędów, któreśmy wytknęli, niemałoby mogło powiększyć jej wartość.

Życzymy autorowi, aby jego Żywoty posłużyły wiernym jeśli nie zawsze do naśladowania Świętych, to przynajmniej do podziwiania tych dziwnych działań Ducha św. w sercach wybrańców nieba — jak mówi ks. Skarga w przedmowie do swoich Żywotów. Polecamy też najusilniej to piękne z wielu względów i pożyteczne dzieło ruskim czytelnikom *Przeglądu*.

Pl.

Chrystus w Kościele. Zarys historyi kościelnej z obrazkami. Z niemieckiego przełożył i uzupełnił *ks. A. Fridrich T. J.* Wydanie stereotypowe. Nakładem Benzigera i Spółki. (W 16ce, str. 292).

Jeśli historya wszelka jest mistrzynią życia, to historya kościelna jest mistrzynią wiary, tem potrzebniejszą dzisiaj, gdy wiara stygnie, bo ją wyziębia materyalizm, gdy powaga Kościoła upada, bo ją obala racyonalizm, gdy zagrożone są podstawy Ewangelii, bo je wywrócić pragnie humanizm. W takich czasach znajomość Kościoła, jego boskiej powagi, jego ducha, jego posłannictwa, nauki, obrzędów, walk, pracy

rozwoju, konieczną jest dla każdego chrześcijanina, by poznał Chrystusa Pana w owocach Jego męki, które rozdzielać wszystkim pokoleniom i wiekom wszystkim, zadaniem jest Kościoła. Kościół to bowiem ma wciąż rodzić Chrystusa Pana w sercach ludzkich, wciąż łamać narodom chleb Jego nauki. Dlatego też słusznie książeczka O. Fridricha nosi napis: „Chrystus w Kościele“, a tem słuszniej, że całą swą treścią wogóle, i każdym rozdziałem w szczególności, uwydatnia Chrystusa, Boga i Zbawiciela naszego. Przytem, co najważniejsza, daje ona poznać Kościół wszechstronnie i w sposób przystępny dla każdego: nie trzyma się bowiem trudnego porządku lat, jedno porządku idei i działania Kościoła.

Po krótkiej (str. 1—20) nauce dogmatycznej o Kościele i jego historyi, idą szeregiem rozdziały, skreślające historyę misyj chrześcijańskich czyli rozwoju Kościoła, historyę liturgii katolickiej, nauczycielstwa Kościoła, jego hierarchii, kar i praw, dzieje zakonów, dzieje Świętych i martyrologię kościelną, historyę herezyj i schyzmy, historyę prześladowań Kościoła, a wreszcie wspaniałe dzieje jego zwycięstw nad pogaństwem i jego filozofią, nad hordami barbarzyńców, nad przemocą monarchów, nad ciemnością błędów, zwycięstw w czynach miłości, w umiejętności i sztuce, zwycięstwa wreszcie przyszłego na sądzie ostatecznym.

Wkońcu dodany jest na 16 stronnicach bardzo umiejętny przegląd całej historyi Kościoła, wraz z wykazem wszystkich papieży i soborów. Co do tłumaczenia, jest ono wogóle dobre; germanizmów, w porównaniu do ogółu naszych tłumaczeń, bardzo mało; raczej daje się spostrzegać pewna nietrafność w używaniu polskich wyrażeń i wyrazów, np.: „św. Bonifacy, mąż... *cudownej działalności*..., otrzymał *przy* chrzcie św. imię Winfryda i wstąpił *wcześnie* do zakonu“ (str. 42), „koło, *na* które mieli ją wpleść siepacze“ (str. 195) i t. d.

Zaznaczyć też winniśmy niektóre drobne usterki historyczne w rycinach. Tak np. rycina na str. 73 przedstawia ofiarę mszy św. w katakumbach: otóż kapłan w pierwszych wiekach stał przy mszy św. z przeciwnej strony ołtarza, tak że był twarzą zwrócony do ludu. Na str. 239 Henryk IV. przedstawiony pod murami Kanossy sam, boso wśród śniegów, w szatach pokutnych; tymczasem stał wprawdzie cesarz przez 3 dni pod murami Kanossy, ale nie sam, jedno z licznym orszakiem i w wygodnym mieszkał namiocie; wreszcie na str. 253 Konstantyn W. na czele wojska siedząc na koniu, spostrzega na niebie krzyż świetlany z napisem: *In hoc signo vinces;* widzenie zaś to było

w nocy, żołnierz zbudził cesarza śpiącego w namiocie, a napis nie był w języku łacińskim, jedno greckim: Ἐν τούτῳ νικήσεις. Te jednak błędy nie są winą tłumacza, lecz autora niemieckiego oryginału. Owszem, szan. tłumacz dodał wiele i w rycinach i w tekscie, uzupełniając zbyt krótką wzmiankę oryginału o historyi Kościoła w Polsce. Praca ta oddaje niezawodnie wielką krajowi naszemu przysługę, bo znajomość takiej historyi Kościoła, dla wszystkich zrozumiałej, prawdziwym jest a koniecznym w naszym wieku „filarem prawdy“, prawdy częstokroć tak niegodziwie w imię rzekomej nauki spotwarzanej.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go, bo to zbójca, który broń kupuje —

powiedział Mickiewicz — my dodać możemy od siebie:

Lecz gdy nad naukami pracuje człek boży,
Ziomkom szczęścia, a Bogu chwały on przymnoży.

B. Jasieńczyk.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La question d'Alsace. Par *Jean Heimweh.*
Le régime des passeports. Par *le même.* Paris. Librairie Hachette. 1890.
La question d'Alsace dans une âme d'Alsacien. Par *Ernest Lavisse.* Paris. Armand Colin. 1891.

Z wiosną bieżącego roku, niby jaskółki wygnania, nadleciały ku nam gońce pokrewnych smutków. Wszystkie nasze redakcye, wszyscy wybitniejsi u nas ludzie, zasypani zostali książkami, których tytuły wypisujemy powyżej. Pod rzewnym pseudonimem Tęsknoty za rodzinnym krajem, nieznany autor przedstawił dobitnie stan rzeczy w przyłączonych do Niemiec francuskich prowincyach, zaniósł swą żałobę przed forum opinii świata, a wraz tę głośną protestacyę przeciw gwałtownie przeprowadzonej anneksyi rzucił na rynki świata, na stoły wszystkich ludzi piszących i myślących, w nadziei, iż głos jego nie przejdzie bez odgłosu, nie przebrzmi marnie i napróżno.

Dla nas te publikacye osobne mają znaczenie i osobne też wzruszenie w nas budzą. Drgają w nich wszystkie bóle, wszystkie urazy, do których od przeszło wieku nawyknąć nam przyszło, nurtuje cała trucizna i gorycz, któremi od lat stu nas poją. Wszystkie odcienia

zgryzot, upokorzeń, potargania przyrodzonych węzłów, sponiewierania mowy i tradycyi, wszystko to znajdujemy w pismach Jana Heimweh, oczywiście w stopniu złagodzonym cywilizacyą, porządkiem społecznym i rządem wewnętrznym zdobywcy i ciemięzcy nie używającego knuta, nie posiadającego w odwodzie Sybiru, nie gniotącego sumienia jarzmem prawosławia. Ale z innej strony, świeża krzywda głośniej z otwartej woła rany, wczorajszy gwałt boleśniej szarpie nie wzwyczajone do obroży karki — jest jakaś naiwność cierpienia, zdumienia, niedoli, jakieś z losem skłócenie, które u nas nie znikło bynajmniej, lecz zcichło powszedniością i koniecznością. Co więcej: występuje tu złudzenie, które już wśród nas przygasło po zbyt wielu rozczarowaniach. Rzecznik Alzacyi mniema, iż głos, domagający się sprawiedliwości, nie może być głosem wołającego na puszczy, że przypominanie zbrodni wkońcu obudzi sumienie jej sprawców, że znajdą się jeszcze w świecie błędni rycerze, gotowi na wydane hasła podnieść oręż słowa i czynu za krzywdę uciśnionych. My wiemy, azali się podobnych skutków głośnej skargi i słusznej sprawy doczekać można. A jednak, kto wie? może ta żałoba Alzacyi, tak maluczka wobec naszej żałoby, wymowniej przemówi do świata zobojętniałego dla przedawnionej polskiej niedoli; może to upominanie się o sprawiedliwość dla prowincyi bardziej wystawionej na powszechną uwagę, choćby geograficznem w środku Europy położeniem, ta skarga podniesiona w języku międzynarodowym, prędzej dosięgnie i trafi do uszu ludów i ludzi stanowiących o polityce świata; może to opatrznościowo wysunięty posterunek, dla przypominania narodom, iż nie godzi się rozrywać odwiecznych węzłów i nakładać nowych pęt geograficznych pomiarów, wedle kaprysu zwycięzcy i zaborcy.

Dlaczego jednak Alzacya, niegdyś z Niemcami spojona, dziś tak gwałtownie zatwierdza swą łączność z Francyą i na oderwanie się od niej nie godzi? — odpowiadają nam niniejsze publikacye. Prawda, iż po rozbiciu się Franków, którzy dzierżyli te kraje i podzielili się na germańską i francuską odnogę, Alzacya przypadła na rzecz pierwszej, aby przez siedm wieków żyć wspólnem z niemiecką rzeszą życiem. Ale to życie nie znało odrębności patryotycznej, nie wiedziało co to jedność narodowa. Kwiat ten uczucia i powinności nie mógł się rozwijać wśród chaosu rozerwanych a niezależnych państewek, biskupstw, opactw, miast wolnych, hrabstw i zamków samodzierżców. Wtem Francya, zaproszona do uporządkowania stosunków ościennych, naprostowała swą granicę, przydzielając Alzacyę do swych ściśle spojonych prowincyj. Odrazu wyższa oświata i kultura, jaśniejsze pojęcia rządu i sprawiedli-

wości, wyraźniejszy ustrój społeczny, pochłonęły Alzacyę, zbudziły w niej pierwszą świadomość ojczyzny, w przywiązaniu do Francyi, która odrazu nie macochą, lecz matką się okazała dla tej najmłodszej dzieciny. Nieznane wprzódy uczucie owładnęło krajem. Zamęt stosunków i wyobrażeń ustąpił, aby prostować drogę płynącemu z serc, tryskającemu z dusz patryotyzmowi, który wytworzył nierozerwalny węzeł między Francyą a Alzacyą. Jak ongi Litwa, teraz Alzacya poznawała po raz pierwszy, co to jest mieć wyraźną ojczyznę i jak słodko ją miłować. To poczucie jedności rosło z latami, wspólnością pracy, usiłowań, wylanej na jednych polach krwi, dostarczanych Francyi bohaterów. Dla pobratymców niemieckich została życzliwość sąsiedzka, łączność mowy, codzienność stosunków. Nie śniło się Alzacyi ani się z Francyą rozłączać, ani też Niemców nienawidzić. Powodzenie i dobrobyt, pracowite zachody i trudy uśpiły skrajne uczucia lub niepowszednie myśli. Wtem wybuchła wojna, rozpoczęło się bombardowanie Strasburga, nastała owa pamiętna noc, w której gruchnęła wieść złowroga, iż jeden pocisk nieprzyjacielski, jeden niemiecki celnie wymierzony granat, zapalił strasburski *Münster*, tę wieżycę katedralną, która w najprostszych duszach budzić zwykła wzruszenie religijne, czemu się dziwić niepodobna, boć to znak widomy rwania się ludzkości ku niebu, uplastycznienie modlitwy słanej w nieskończoność. Dwakroć sto tysięcy bomb wyrzuconych z dział niemieckich w obręb stolicy Alzacyi, zabiły w niej niepowrotnie dawniejsze pobratymstwo. Nowe Niemcy, całe z krwi i żelaza urobione, nagle się pojawiły jak groźne widmo w oczach przerażonej Alzacyi, wyrywając z korzeniem wszelką możliwość jedności i pojednania. Następstwa onej strasznej nocy, zmora owego krwawego widma, miała odtąd rozszerzyć międzynarodową przepaść, pogłębić otchłań plemienną i graniczne fosy. Militaryzm niemiecki zaciążył wnet na duszach wolnej Francyi synów. I Francuz zna powinność wojskową, i lubi wojenne rzemiosło, ale rodzi się wprzód człowiekiem, zanim zostaje żołnierzem. U Niemców dzieje się odwrotnie: człowiek rodzi się, żyje i oddycha na to tylko, aby nosić mundur i dźwigać karabin. Nie dziw, iż w czterech pierwszych zaraz latach 80.000 młodzieży męskiej opuściło strony rodzinne, że już w 1875 r. liczba kobiet przewyższała o 77.000 liczbę mężczyzn. Rozpoczęła się serya przeciwności i przykrości, które my pijemy oddawna jak wodę, a które drażnią wszystkie nerwy nowicyuszów niedoli. Oczywiście, materyalny ucisk niemało im się daje we znaki; wyrzekają na biurokracyę niemiecką, na zdwojenie administracyi, na zagładę wszystkich instytucyj, rozwiązanie wszelkich stowarzy-

szeń francuskich, na prześladowanie mowy umiłowanej metropolii, wyparcie jej ze szkoły, z urzędu, nawet z cmentarzy, na wnikanie w życie rodzinne i wdzieranie się do kościoła, aby nietylko ciała, lecz i dusze zagarnąć. Utrudnienia paszportowe są jednym z tych piekących raków, jątrzących wciąż serca podbitych przeciw ciemiężcom. Materyalny upadek rolnictwa i handlu, odkąd Alzacya przeszła pod panowanie pruskie, ogólnie się znaczy i ogólne też sprowadza niezadowolenie. Nie skończylibyśmy, chcąc wymieniać wszystkie żale Heimweha przeciw narzuconemu Alzacyi nowemu porządkowi rzeczy i wcieleniu jej w ramy nowej ojczyzny, którą nigdy za swoją uważać nie zdoła. Upadły prawa majowe, upadły ustawy przeciw socyalistom, dlaczegóżby i prawa wyjątkowe, ukute dla nowych poddanych, ostać się miały i trwać nieskończenie? Rzecz dziwna! Heimweh nie przypomina sobie ani czytelnikom identycznego położenia polskich poddanych Prus; nie zdaje sobie sprawy, iż państwo Fryderykowe ma na wschodnich granicach swoich inną Alzacyę, jeszcze srożej utrapioną, i to od lat dawniejszych, z rozdziałem językowym, potęgującym klęskę. Kończy wezwaniem przypominającem rady i pieśni bezimiennego wieszcza: „Bądź odważną! bądź dobrej myśli, Alzacyo kochana! Jakkolwiek się rozwiąże obecny przełom Europy, twoja droga jest ci jasno wytknięta. Przypadła ci w udziale rola świadka i ofiary, rola okupu, którym się opłaca każdy postęp ludzkości. Cierpliwą pracą i niezłomną nadzieją przyspieszysz dzień wyswobodzenia i zarobisz sobie na błogosławieństwo potomności i wdzięczność wszechświata".

Tu i ówdzie zaszumi frazes nie przekonywujący, zwłaszcza nieskorych do rozczulenia Prusaków. Ale treściwsze ustępy przemagają i nadają tym publikacyom osobną wartość i doniosłość, a siłą otuchy i wiary w lepszą przyszłość, bez oznaczenia jej terminu, choćby najdalszego, i dla polskich czytelników przynoszą kordyał nadziei.

M.

Katholische Apologetik für Gymnasial-Prima. Von *Dr. P. Hake*. Freiburg, Herder. 1890. (W 8ce, str. XII i 221).

Na polu wydawnictwa dobrych podręczników szkolnych, najwięcej pewno znaczy obok wiedzy doświadczenie długoletnie i praktyka autora. Ks. Hake, od lat wielu katecheta gimnazyalny w Arnsbergu, miał sposobność przekonać się naocznie o tem, jaki brak w naszem szkolnem piśmiennictwie podręcznika dla religii w wyższem gimnazyum, któryby odpowiadał potrzebom dzisiejszych czasów. Ztąd czując potrzebę

takiej książki, prawdziwą oddał przysługę wszystkim, sam się do jej napisania zabierając, bo umiejętnie połączył w niej wykład rzeczy i uwzględnił znakomicie potrzeby obecnej doby. Dość często dziś odzywają się głosy o przekształceniu całego planu nauczania tego najpotrzebniejszego przedmiotu i o sprowadzeniu go z pola zbyt może suchego dogmatyzowania, na więcej zajmujące i dziś potrzebniejsze pole apologetyki. Uczeń ma wyjść ze szkoły przygotowany na próby życia: nietylko wiedząc, w co wierzyć, ale nadto mogąc sobie odpowiedzieć, dlaczego wierzy, i dlaczego jest katolikiem; winien wyjść uzbrojony, by się mógł obronić łatwo choćby najpierwszym falom niewiary, sceptycyzmu, indyferentyzmu, by mógł i umiał zbić ich błahe dowody, dążące do ośmieszenia jego zasad. Że dzisiejsze warunki takiego przygotowania wymagają, dowodzić tego niema potrzeby, boć to wszyscy widzimy; ale dodać nie zawadzi, iż tę potrzebę uznał już w roku 1870 powszechny sobór watykański w III. sesyi, uznały listy biskupów ostatnich lat 20-tu, czują dziś sami katecheci, podnosząc gorąco tę sprawę w pismach publicznych i na zjazdach nauczycielskich [1].

Tej ogólnej potrzebie, jak już wspomniałem, odpowiada obecna książka. Zarys jej prosty, jasny, a dziwnie treściwy i logiczny, domyślać się każe umiejętnej ręki, która go nakreśliła.

Całą apologetykę dzieli autor na dwie części: w pierwszej traktuje o przyrodzonych, w drugiej o nadprzyrodzonych podwalinach religii. W części pierwszej mówi o Bogu, dowodach Jego istnienia, Jego do świata stosunku; rzecz przedstawia krótko, a przecież zrozumiale i wyczerpująco dla potrzeb młodzieży, zbija nowsze teorye materyalistyczne, panteistyczne i dawniejsze błędy filozoficzne. W części drugiej zajmuje się potrzebą objawienia nadprzyrodzonego, i stopniowo przechodzi do objawienia Chrystusowego, do boskości osoby Chrystusa Pana i Jego nauki, zamyka zaś całość treściwym wykładem o Kościele, jego potrzebie, hierarchii, znakach dostrzegalnych, po których poznać go można, i jego przywilejach.

W całej książce uderza miły porządek i łatwość poglądu na traktowany przedmiot. Myśli główne każdego rozdziału ujęte są w formy tez; po nich drukiem mniejszym następują objaśnienia i dowody. Główny cel książki wypisany jest w tytule; ale przydać się też ona może wiele i tym, którzy nauczaniem się zajmują, a może też posłuży do

[1] Por. *Muzeum*, zeszyt v. i vi., str. 373.

rozwiązania gordyjskiego węzła, jakim jest u nas wprowadzenie przystępniejszych podręczników dla wyższego gimnazyum.

Jedno chyba możnaby dodać życzenie: iżby autor zechciał na końcu rozdziałów umieścić odpowiedzi na zarzuty, jakie zwykle spotykają się w świecie przeciw niektórym prawdom wiary, podobnie jak to uczynił ks. Franco T. J. w cennej książce, której tytuł: *Risposte popolari alle obiezioni più communi contro la Religione*. Takie odpowiedzi są dziś konieczne; wiedzieć o nich powinni ci, których wychowujemy, którzy są obowiązani bronić prawdy, a w walce z niewiarą dzisiejszego wieku chcą wyjść zwycięsko. *A. B.*

Handbuch für den katholischen Religionsunterricht in den mittleren Classen der Gymnasien und Realschulen. Von *Dr. Arthur König*. V. Auflage. Freiburg, Herder. 1890 (in 12^0, str. 307).

Dzieło to ma w myśl autora stanowić ogniwo, łączące katechizmową naukę religii w klasach niższych, z nauką „systematyczno-umiejętną" w klasach wyższych, a w szczególności z podręcznikiem autora dla wyższego gimnazyum p. t.: *Lehrbuch für den katholischen Religionsunterricht in den oberen Classen der Gymnasien u. Realschulen*. Aby spełnić to zadanie, trzyma się autor zasadniczego układu naukowego, przeznaczonego dla klas wyższych, ale definicye czerpie ile możności z katechizmu, opuszcza wyjaśnienia trudniejsze, a rozwija obszerniej pojęcia podstawne.

Dzieło rozpada się na cztery księgi. Pierwsza traktuje we wstępie o źródłach wiary i o urzędzie nauczycielskim Kościoła, następnie opowiada, jak Pan Bóg przygotowywał ludzkość na przyjście Mesyasza (od str. 10 do 27), a nakoniec uwydatnia boskość objawienia Nowego Zakonu (30—35) i podaje naukę o Kościele i jego znamionach (38—50). Jednem słowem, ma ona przygotować grunt do t. zw. dogmatyki ogólnej, czyli do teologii fundamentalnej.

Księga druga podaje katolicką naukę wiary w układzie zastosowanym do dogmatyki szczegółowej. W dodatku wyjaśniony jest rok kościelny (183—199).

Księga trzecia zawiera katolicką etykę na tle dekalogu, poprzedzonego wyjaśnieniem pojęć podstawnych o prawie, obowiązku, sumieniu i moralnej wartości czynów.

Księga czwarta podaje krótki zarys historyi kościelnej (263—304).

Dzieło to cieszy się wielkiem wzięciem tam, gdzie uczą w wyższem gimnazyum według wymienionego już podręcznika tego samego

autora, zwłaszcza na Szląsku pruskim. W rzeczy samej, jest ono tak ścisłe i lakoniczne, mieści tak obfity i logicznie uporządkowany materyał, iż i w Austryi każdy katecheta chętnie i z pożytkiem zaglądnie do niego, przygotowując się na lekcyę. Możemy je przeto gorąco zalecić, lubo co do układu podręczników do nauki religii, poszlibyśmy raczej za praktyką Episkopatu bawarskiego, który każe w niższem gimnazyum uczyć na tle większego katechizmu Deharbe'a, a na wyższe gimnazyum przeznacza *Lehrbuch der katholischen Religion*, dzieło napisane z wypuszczeniem pytań, ale także na tle i w układzie katechizmu. Zdaje się bowiem, że (gdy się jeszcze uwzględni historyę kościelną) z takiego koncentrycznego pogłębiania i rozszerzania nauki trwalszy jest pożytek, niż z przedwczesnego bawienia się w systematyczność teologiczną, tem bardziej, że przy ścisłej systematyczności potrzebaby np. i przy dogmatyce i przy etyce uczyć (po dwakroć) o Sakramentach św., o modlitwie, o Sakramentaliach i t. p., a tego i König dla braku czasu nie czyni. Nie przesądzamy zresztą opinii tych, którym u nas, rychło zapewne, przypadnie w udziale poprawienie planu i podręczników do nauki religii w szkołach średnich. *Ks. W. G.*

Z pism czasowych.

Czasopisma słowackie: **Národní Hlásnik** 1891. **Katolicke Noviny** 1891, ze wzmianką o innych.

Charakterystyczną cechą drugiej połowy bieżącego stulecia jest, że stanowi ona jakby epokę duchowego odrodzenia się większej części słowiańskich ludów. Rzec można, że dopiero od połowy XIX. wieku ruch umysłowy i literacki zaczął się silniej i donioślej objawiać w społeczeństwie czeskiem, bułgarskiem, serbskiem i t. d. Temu ogólnemu prądowi, który jak iskra elektryczna przebiegł kilka mniej lub więcej licznych słowiańskich plemion, ulegli także i Słowacy. Chociaż tylko szczytami Tatrów od nas przedzieleni, najmniej oni może ze wszystkich pobratymców znani są naszemu społeczeństwu, i dlatego nie od rzeczy będzie naszkicować kilkoma pobieżnymi rysami dawne i obecne ich losy.

Słowakami nazywają się mieszkańcy północnych Węgier, słowiańskiego pochodzenia. Są to potomkowie Słowian, którzy w odległej już epoce zamieszkiwali krainę między Dunajem a Cisą, oraz południowe

stoki gór Karpackich. Mieli oni własnych, przez siebie wybieranych książąt, a połączywszy się z Czechami, walczyli pod dowództwem Samona przeciwko Awarom: od czasów zaś Karola Wielkiego stali się zależnymi od Franków i Germanów. W IX. wieku po Chr. sprzymierzyli się z Morawianami i za ich pomocą odzyskali niepodległość, a nawet stali się jądrem państwa Wielko-Morawskiego. Pod książętami: Rościsławem (Rosticem) i Świętopełkiem (Svatoplukiem), zdobyli w Panonii stanowczą przewagę nad innymi jej mieszkańcami. Wkrótce jednak po bitwie pod Preszburgiem (Brzetysławiem) państwo Wielko-Morawskie upadło, Słowacy zaś dostawali się stopniowo pod władzę Madziarów, która dla nich prawdziwem stała się jarzmem. Obecnie plemię to rozproszonem jest w całych niemal Węgrzech, a przedewszystkiem w północno-wschodnich i zachodnich komitatach: trenczyńskim, orawskim, liptowskim, zwoleńskim, turczańskim, nitrzańskim, szaryskim i gemerskim. Tworzą też oni przeważną część ludności ziemi Spiskiej, która z dziejami polskiemi niejednem łączy się wspomnieniem. Kraik ten między górami należał do Polski jeszcze za czasów Bolesława Chrobrego, Krzywousty zaś dał go jako wiano córce swej, Judycie, którą wydał za króla węgierskiego. Węgrzy mieli go w posiadaniu aż do 1412 r., w którym cesarz Zygmunt I. pożyczył znaczną sumę pieniędzy od Władysława Jagiełły: ponieważ zaś jej nie zwrócił, więc Spiż powtórnie dostał się Polsce i jako starostwo należał do prowincyi Małopolskiej aż do 1772 r., w którym został przyłączony do cesarstwa austryackiego, a mianowicie do krajów korony węgierskiej.

Obecnie ilość Słowaków w całych Węgrzech i Siedmiogrodzie, jak również w Morawii, Niższej Austryi i Bukowinie, dochodzi do trzech milionów, z których jedna trzecia jest ewangelicką, reszta zaś katolicką. Do przyjęcia protestantyzmu przygotowali Słowaków husyci czescy: zpomiędzy wszystkich bowiem Słowian, Czesi do niedawnego nawet czasu największy wpływ na nich wywierali. Różnica wyznania podzieliła Słowaków na dwa obozy, odrębne zupełnie pod względem zapatrywań, dążności i celów. Od pewnego jednak czasu protestanci widząc, że takie rozdwojenie przynosi tylko szkodę narodowej sprawie, przechodzą coraz liczniej do katolickiego stronnictwa i wiary. Każdy niemal numer *Katolickich Nowin* donosi o jakiemś nowem nawróceniu i powrocie zbłąkanej owieczki na łono prawdziwego Kościoła.

Co się tyczy stosunków ekonomicznych i społecznych, to los słowackiej ludności pod rządem węgierskim coraz bardziej pod tym względem staje się opłakanym. Madziarzy dążą wszystkiemi siłami do wyna-

rodowienia Słowian, pod swem berłem zostających, i nie cofają się przed żadnymi środkami dla dopięcia tego celu. W ostatnich np. czasach uchwalono na sejmie, aby w każdej słowackiej gminie była ochronka, do której by gromadzono przymusowo drobną dziatwę słowacką, wydzierając ją z łona rodzin, zpod macierzyńskiej pieczy, i oddając pod opiekę wychowawczyń madziarskiego pochodzenia. W gminach płacących znaczniejszy podatek, rząd postanowił własnym kosztem urządzić podobne ochronki, gminy zaś, które jako mniej zaludnione, mniejszy przynoszą mu dochód, muszą łożyć własne pieniądze na utworzenie tak zgubnych dla siebie zakładów. Mówimy zgubnych, bo jedną z zasad, jakiemi mają się rządzić kierowniczki tych ochronek, jest wychowywać powierzoną sobie dziatwę w duchu bezwyznaniowym i kosmopolitycznym. Słusznie więc twierdzą Słowacy, że wychowańcy takich zakładów będą najzupełniej straceni dla religii i kraju.

Nadto w roku ubiegłym Madziarzy zaczęli się bardzo czule troszczyć o los słowackich sierot, i pod pozorem, że wiele pań węgierskich zechce zaopiekować się niemi, wywieziono przemocą w głąb Węgier około 12.000 osieroconych dziewcząt. Wiele z tych nieszczęśliwych dostało się pod opiekę złośliwych i okrutnych kobiet, i niejednokrotnie zdarzały się wypadki, że z powodu nieludzkiego obchodzenia się z niemi, biedne sieroty uciekały od narzuconych sobie opiekunek i albo starały się dotrzeć do rodzinnej wioski, albo też u władz policyjnych szukały schronienia[1]. Napróżno słowackie pisma i dzienniki wyrażają oburzenie z powodu tych nadużyć ze strony władz węgierskich; odezwy ich zamiast wywoływać jakąkolwiek ulgę, bardziej jeszcze roz-

[1] O podobnych faktach donoszą nawet węgierskie dzienniki, których o sympatyzowanie ze Słowakami posądzić niepodobna. Oto np., co *Szegedi Hirado* podał niedawno temu do wiadomości swoich czytelników:

„Wczoraj do urzędu policyjnego prowadzono 15-letnie dziewczę, pokryte ranami i sińcami, oraz nędzną przyodziane szmatą. Biedne dziewczę łkało głośno, ci zaś, co je prowadzili, opowiadali smutne jego losy. Nazywa się Ewa Mikosz i pochodzi z trenczyńskiego komitatu, rodziców zaś straciła w niemowlęctwie. Niedawno temu zabrano w jej okolicy 150 sierot i przywieziono do Banatu, gdzie powierzono je rozmaitym węgierskim rodzinom. Tak Ewa Mikosz dostała się do Aradu, i żona Karola Moszonyi, dyrektora teatru, wzięła ją do siebie. Biedne dziewczę żyło w najokropniejszej nędzy, nagie, głodne i często bite, a wreszcie nie mogąc znieść dłużej tak okropnego położenia, schroniło się u komisarza policyi, ten zaś, wzruszony jego niedolą, odesłał je do szpitala i powierzył opiece zakonnic".

Takich przykładów znalazłoby się więcej.

jątrzają prześladowców i skłaniają ich do coraz energiczniejszych kroków w celu zmadziaryzowania nienawistnej sobie rasy słowackiej.

Nieszczęśliwi Słowacy, uciskani i wyzyskiwani przez wrogich sobie Madziarów, a opuszczeni niemal zupełnie przez pokrewne sobie plemiona, które, z wyjątkiem Czechów, wcale się o nich nie troszczą, mogliby zastosować do siebie całkowicie rozpaczliwy okrzyk dantejski: *Lasciate ogni speranza!* A jednak naród ten dławiony i gnębiony, nie upada pod przytłaczającem go jarzmem — owszem, pomimo najbardziej zgubnych dla siebie okoliczności nie umiera, owszem, w swem piśmiennictwie daje znaki wielkiej żywotności.

Rzućmy teraz okiem na jednę gałąź tego piśmiennictwa, tj. na dziennikarstwo.

Zacznijmy od miesięcznika wyłącznie dla ludu poświęconego, pod tytułem: *Národní Hlásnik*. Wyraz *hlásnik* po słowacku oznacza szyldwacha, stróża; pismo więc opatrzone tym tytułem, postawiło sobie za zadanie stać na straży narodowych tradycyj. Na treść jego składają się najprzód artykuły wstępne, w których najczęściej poruszane są kwestye społeczne i ekonomiczne, bliżej Słowaków obchodzące. Dalej, sporo miejsca poświęca to czasopismo korespondencyom, nadsyłanym z rozmaitych okolic kraju: w każdej zaś z nich dźwięczy rzewna skarga na ucisk, jakiego Słowacy są ofiarą, lub zachęta do rodaków, aby pomimo wszelkich prób i cierpień nie tracili męstwa, owszem, całemi siłami ducha opierali się madziaryzacyi, a Bóg dopomoże. Osobny dział stanowią wieści z kraju i ze świata, oraz kronika, zawierająca mnóstwo ciekawych szczegółów. Znajdujemy tam także krótkie popularne rozprawki, np.: o wychowaniu dziewcząt, o utrzymaniu porządku w gospodarstwie domowem, o rozmaitych zwierzętach i owadach użytecznych dla rolnika i t. p. Kilka ludowych powiastek maluje jaskrawo wady i nałogi, jakich lud wystrzegać się powinien, a przedewszystkiem pijaństwa. Szczupłe rozmiary tego pisemka, wychodzącego co miesiąc w arkuszowych zeszytach, nie pozwalają na obfitszy zasób treści, ale to co jest, jest dobre, pożyteczne i skreślone w sposób przystępny dla odpowiedniego grona czytelników. Hasłem, pod jakiem *Hlásnik* kroczy od lat dziesięciu, jest miłość Boga, bliźniego i ojczyzny. Pisemko to należy do najbardziej rozpowszechnionych w kraju, co świadczy korzystnie o słowackim ludzie.

Cokolwiek wyższe pod względem umysłowym stanowisko zajmuje dwutygodnik *Katolícke Noviny*, wydawany w Tyrnawie od lat 42. Na-

zwaliśmy jego stanowisko wyższem od ludowego, bo chociaż przeznaczony dla najszerszego koła czytelników, zawiera jednak wiele rzeczy, mogących zainteresować wykształceńszą nawet jednostkę. Najcelniejszym artykułem, ogłoszonym tam w roku bieżącym, jest bez wątpienia praca samego redaktora, ks. Marcina Kollara, pod tyt.: *Dá-li sa nebezpečenstvo sociálnej revolúcie odvrátit'?* (Czy da się usunąć niebezpieczeństwo socyalnej rewolucyi?). Autor porusza tu palącą kwestyę współczesną, za punkt zaś wyjścia służą mu słowa de Bonald'a: „Europa znajduje się w nienaturalnym stanie, w którym długo pozostać nie może, wyjdzie też z niego z pewnością, ale prawdopodobnie drogą nieszczęścia". Autor zastanawia się nad chorobą, szerzącą się w organizmie społecznym, a wynikłą z trucizny niewiary i niemoralności, która w nim ciągle nurtuje, oraz dochodzi do wniosku, że zaród tej choroby należy przypisać nie filozofom XVIII. wieku, ale reformacyi; filozofowie bowiem kroczyli tylko dalej tą drogą, jaką protestantyzm już utorował.

Po rewolucyi francuskiej, oszołomiona ludzkość zaczęła się trzeźwić i można było sądzić, że trucizna w organizmie społecznym przestała już działać. Ale nie było tak, niestety. Ciało społeczne dostało konwulsyjnych kurczów, lekarze zaś, którzy mieli pretensyę je uleczyć, mniemali, że osiągną to wówczas, gdy całkowicie wykorzenią wiarę. Czego się doczekali, to dziś widzimy przed sobą. Rozliczne katastrofy, jakie ludzkość przecierpiała, były zaledwie zapowiedziami daleko straszliwszej kryzys, przed którą dziś stoimy.

Następnie autor charakteryzuje wymownie, jak z osłabieniem wiary w sercach ludzkich wzmagały się teorye materyalistyczne, jak wziąwszy rozbrat z zasadami chrystyanizmu, kapitaliści zaczęli wyzyskiwać robotników, ci zaś nienawidzieć klasy zamożne. „Tu — dodaje autor — wystąpił żyd Ferdynand Lassalle, twórca socyalnej demokracyi, i rozbudził wszystkie złe instynkta, jakie dotychczas w głębi serc drzemały. Niewiara i niemoralność adeptów socyalnej demokracyi wzrastały coraz bardziej. Wydarto Głowie Kościoła prawną jej własność, wprowadzono bezwyznaniowe szkoły, a zamiast prawdziwej wiary i wiedzy, głoszono zasady ateizmu i materyalizmu. Tłumy ludu zostały ‚oświecone', zażądały więc tych samych zdobyczy, jakiemi się cieszyli ich nauczyciele, i zawołały: „„Wy, którzyście nas ‚uszczęśliwili' swoją nauką, nie uznajecie Boga, a więc i my nie! Ponieważ jednak, jak mówicie, niema Boga, który rządzi ludzkimi losami, więc nie Bóg rozmaicie dzieli dobra ziemskie, a więc domagamy się równego podziału wszystkich bogactw ziemi, nie uznajemy żadnej uległości, żadnego pod-

państwa i nie chcemy nic słyszeć o tak zwanej władzy!"" Z drugiej strony, przywódcy socyalnej demokracyi nie myślą wcale dzielić się z gminem swoimi łupami i chcą całą władzę zogniskować w swym ręku. Ci, co się cieszyli, gdy wiara gasła stopniowo w sercach, co biednemu Łazarzowi wydarli wszystko, a wzamian dali mu tylko nienawiść, zazdrość i chciwość, dziwią się teraz, że ten nieszczęśliwy Łazarz, pozbawiony wiary i jej pociech, pragnie wywalczyć sobie takież same prawa, jakie oni mają".

Tu następuje wstrząsający obraz nędzy, spotykanej w niektórych państwach europejskich. Między innemi znajdujemy następujące cyfry, które same przez się bardzo są wymowne. Dwanaście tysięcy robotników w Paryżu tylko w niedzielę jada ciepłą strawę, z trzydziestu zaś tysięcy robotników londyńskich 50% nie je nigdy mięsa, a 30% nigdy nawet mleka nie kosztuje, chociaż pracują oni po 16 godzin na dobę. W samym Londynie każdego roku umiera z głodu przeciętnie 7500 ludzi, w całej zaś Wielkiej Brytanii corocznie około 78.000. W Prusiech 82,7% całej ludności cierpi nędzę, 12,8% żyje znośnie, 3,1% zamożnie, 1,3% należy do klasy bogaczów. „Cóż musi wyniknąć z tak nienormalnych stosunków? — zapytuje autor. — Oto przewrot społeczny, zacięta walka między bogatymi a ubogimi — a jeden tylko środek może jej zapobiedz, tj. odrodzenie moralne w chrześcijańskim duchu. Niech politycy wymyślają jakiekolwiek wykręty, niech uchwalają jakiebądź prawa, mające zażegnać burzę, która wisi w powietrzu, nie osiągną niczego, jeżeli nad ludzkością nie zapanuje Chrystus. Zbawiciel musi być Mistrzem i Władcą! Duch Jego musi panować w szkole, rodzinie, państwie i przesiąknąć wszystkie warstwy społeczne, jeżeli z chmury, ukazującej się na socyalno-politycznym widnokręgu, nie mają wyłonić się pioruny, które roztrzaskają całe obecne społeczeństwo europejskie. *Lebo bude spoločnosť ľudská opäť krest'anská, alebo zahyne!*"[1] — dodaje ks. Kollar, i kończy odezwą do wszystkich wiernych, aby każdy w swem kółku szerzył jak najgorliwiej prawdy chrystyanizmu, a serca i umysły kierował ku Temu, który jest Łaską i Miłością!

Zastanowiliśmy się nieco dłużej nad powyższym artykułem, aby dać poznać ducha tego czasopisma i cel, do którego dąży.

Godną także zaznaczenia jest druga praca ks. Kollara w *Katolickich Novinach* pod tyt.: *Peklo so stanoviska mudrosloveckeho* (Piekło

[1] Albo społeczeństwo ludzkie stanie się znowu chrześcijańskiem, albo zginie!

ze stanowiska filozoficznego), gdzie autor na podstawie twierdzeń starożytnych filozofów wywodzi niezbędność zagrobowej kary. Do najciekawszych ustępów tego artykułu zaliczyć można wyjątki z egipskiej Księgi Umarłych *(Per em herim)*, dotyczące przyszłego życia.

Wśród prac lżejszej treści, naczelne miejsce zajmują listy Andrzeja Črchl'ana do słowackiego wieśniaka, pod tyt.: *Naša krest'ansko-katolicka rodinka* (Nasza chrześcijańsko-katolicka rodzina). Znany pisarz popularny, p. Črchl'an, wskazuje tam swemu czytelnikowi, jak powinien dzień każdy zaczynać i kończyć modlitwą, jakie ma obowiązki względem swego proboszcza i nauczyciela szkółki, oraz własnej rodziny i domowników, jak ma spędzać dzień świąteczny i t. p. Nadto wymienia książki i czasopisma z zacną i pożyteczną tendencyą, a każe strzedz się jak ognia liberalno-żydowskich wiedeńskich i budapeszteńskich wydawnictw; słowem, wgląda w każdy szczegół rodzinnego życia i wszędzie prostą drogę wskazuje. Czytając ten artykulik, tak pod każdym względem zacny, mimowoli przypominamy sobie niektóre nasze pisemka ludowe, gdzie niestety tak dużo mówi się o polityce, sejmie, wyborach, stronnictwach i t. p., a tak mało, tak bardzo mało o najbliższych obowiązkach czytelników tych pism, chociaż spełnianie ich stanowi właśnie najpewniejszą rękojmię szczęścia i w tem i w przyszłem życiu.

Jedynem czasopismem politycznem Słowaków są *Národnie Noviny*, wychodzące trzy razy w tygodniu w Turcz sw. Martinie, pod redakcyą Ambrożego Pietora. Duchowieństwo słowackie posiada dwa wyłącznie dla siebie przeznaczone miesięczniki, tj.: *Cirkevne Listy* (rok IV.), wydawane w Rużomberku, i *Kazatel'nie* (rok X.), w Skalicy. Kwestye w zakresie rzemiosł i rolnictwa porusza *Obzor*, jedno z najmłodszych pism; wychodzi w Rużomberku. Poczciwy, religijno-patryotyczny kierunek cechuje czasopismo wychowawcze pod tyt.: *Dom a Škola* (Rużomberk, rok VII.), oraz pisemko dla dzieci i młodzieży: *Priatel' Dietok* (tamże, rok IV.). Wreszcie Towarzystwo św. Wojciecha w Tyrnawie, którego celem jest rozpowszechnianie pomiędzy Słowakami religijno-moralnych książek za najprzystępniejszą cenę, wydaje tak zwany *Putnik sv. Vojteškŷ*.

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika w sprawie socyalnej. — Projekt prawa o rozwodach we Włoszech. — Objawy zwrotu ku Kościołowi we Francyi. — Nauka języka polskiego w szkołach pruskich. — Wiec katolików w Styryi. — Myśl konkordatu w Serbii. — Uroczystości na cześć św. Alojzego Gonzagi.

ENCYKLIKA W SPRAWIE SOCYALNEJ.

Najważniejszym wypadkiem kilku ostatnich tygodni w sprawach Kościoła jest niezaprzeczenie ukazanie się oddawna oczekiwanej encykliki *Novarum rerum* w sprawie socyalnej. Wszystkie niemal dzienniki podały ją czytelnikom bądź w całości, bądź w obszernem streszczeniu. Nie zamierzamy oczywiście w tej chwili rozwijać treści tego dokumentu papieskiego, w którym co zdanie jakaś nowa myśl błyska w piękną formę ujęta. *Przegląd* nasz niebawem obszerniej nad kwestyą socyalną zastanawiać się będzie — obecnie zwracamy tylko uwagę naszych czytelników, jak ta encyklika przez społeczeństwo przyjętą została. Katolicka prasa bez wyjątku nie może znaleść dość uwielbienia dla encykliki; w niekatolickiej dwa spostrzegać się dają obozy. Jedne — a tych jest największa liczba — nie mają żadnej trudności w oddaniu pochwał głębokim i wzniosłym myślom, które ją ożywiają. We Francyi, Szwajcaryi, Anglii, Hiszpanii, Austryi i Niemczech wiele dzienników liberalnych

wspomina o niej z uszanowaniem i podziwieniem. *Journal de Genève*, protestancki dziennik, uznaje w encyklice „pióro męża stanu, wykształconego w surowej szkole św. Tomasza, i wyrobionego doświadczeniem życia i znajomością ludzi". *Temps*, dziennik najbardziej wpływowy w republikańskiej Francyi i nieprzychylny katolicyzmowi, jednak wyznaje: „To, co jest najbardziej uderzającem w tym dokumencie, i co mu nadaje wielkie znaczenie polityczne i społeczne, jest duch, który go ożywia, to namiętnie gorliwe przestudyowanie kwestyi roboczej, miłość czuła dla robotników, jasne poznanie ich potrzeb i pragnień. Zapewne, miłość chrześcijańska względem pokornych i wydziedziczonych nie jest bynajmniej nowością, jestto odnowione tchnienie ducha socyalnego doktorów Kościoła z pierwszych wieków... Dziś, kiedy prawa świeckie dążą coraz bardziej do wyzwolenia się od praw Kościoła, i kiedy państwa nie są już wasalami Stolicy św. — ta dąży do zdobycia nowego punktu oparcia, i jest widocznem, że po jakimś czasie tam szukać go będzie, gdzie od pierwszych wieków najpotężniejszą znajdowała siłę ekspansywną. Uczone dzieła, konferencye, zebrania robotników, te manifestacye katolickie, które się mnożą z dniem każdym, okazują dobitnie, że Kościół chce stanąć na czele ruchu, który się objawia tak silnie w naszem społeczeństwie"... W ogólności, cała prasa katolicka francuska wita encyklikę jako jedno z najświetniejszych i najbrzemienniejszych w owoce dzieł Leona XIII.

Widocznie więc nie jest prawdą, co *N. Reforma* podała, jakoby encyklika była przeciwną szkole francuskiego socyalizmu czyli tak zwanej „szkole jezuickiej", skoro z takim zapałem nawet takie pismo jak *Temps*, o niej z pochwałami wspomina. W Niemczech zrobiła może jeszcze silniejsze wrażenie. *Kölnische Volkszeitung* twierdzi, że ze wszystkich encyklik ostatnia osiągnie odgłos najsilniejszy w kołach niekatolickich. Dziennik nadreński dodaje, że ten dokument papieski jest decydującego znaczenia dla kierunku politycznego i socyalnego w ruchu katolickim, i że „nie mówi tu tylko kapłan, ale zarazem mąż stanu". Podług *Münchener Fremdenblatt*, najwybitniejszego organu Bawaryi, ode-

zwanie się Papieża do katolików obudzi zapał u reformatorów politycznych i zachęci do nadania społeczeństwu lepszej organizacyi. Z inicyatywy papieskiej spostrzeże się świat nanowo, iż Kościół nie staje po stronie żadnej poszczególnej partyi, lecz że pragnie dobra całego społeczeństwa nietylko duchowego, lecz i dobra materyalnego. Angielskie protestanckie dzienniki niemniej przychylnie o encyklice się wyrażają. *Daily Chronicle* podnosi jako rzecz bardzo doniosłą, iż Kościół zajął tak wybitne stanowisko w kwestyi socyalnej. *Catholic Times* nazywa dzieło Leona XIII. *magnum opus* i twierdzi, „iż wywrze silny wpływ na odnowienie prawdziwych podstaw bezpieczeństwa publicznego w całym świecie“. Naczelny redaktor pisma *Revue des Revues*, p. Smith, protestant i Anglik, w artykule: *Le Pape et les problèmes sociaux d'aujourd'hui*, oddaje hołd bardzo charakterystyczny interwencyi papieskiej w kwestyi socyalnej: „Pytam sam siebie, czy dość zwracano uwagę na siłę słowa, którego 200 milionów ludzi słucha i szanuje jako słowo samego Boga, i czy zdano sobie sprawę z wpływu tych słów na społeczeństwo, które dąży do polepszenia własnego bytu? Człowiek, który może wypowiedzieć dziś takie słowo — jest naczelnikiem czcigodnym największej organizacyi, jaka kiedykolwiek istniała. Od chwili swego wyniesienia na Apostolską stolicę Leon XIII. zgóry wypowiedział swe stanowisko, jakie miał zająć na Stolicy św.. i o swoich obowiązkach. Leon XIII. dominuje ponad wszystkiemi europejskiemi władzami. Wysoki urząd, jaki zajmuje, jest zupełnie wyjątkowym... On jeden może tak pokierować całym ruchem socyalnym, iż się nie stanie szkodliwym dla społeczeństwa“.

Wobec tak powszechnych hołdów, oddawanych pomnikowej encyklice Papieża, śmieszną dysharmonię tworzą niektóre dzienniki, gdy starają się zaciemnić blask prawd w niej zawartych, posądzając Ojca św. o stronniczość, jak zwykły czynić, gdy Kościół jakąkolwiek bierze inicyatywę. W pierwszym rzędzie oczywiście występują tu antykatolickie pisma włoskie: *Capitale, Tribuna, Secolo*. Wtórują im niektóre organa radykałów, obawiające się, aby Kościół nie zapanował w przyszłości; semicko-liberalne lękają się nowego porządku rzeczy w kwestyi socyalnej,

utworzonego pod wpływem zasad chrześcijańskich: protestanckie drżą na myśl wpływu papiestwa i katolicyzmu na społeczeństwo. Lecz sama ta krytyka i obawy takich dzienników, czyż nie są uznaniem w tym akcie papieskim chwały Leona XIII. i Kościoła św.?

PROJEKT PRAWA O ROZWODACH WE WŁOSZECH.

We Włoszech stanowisko dzisiejszego ministeryum wobec Kościoła nie uległo znaczącej zmianie. Są jednak pewne objawy, iż rząd dzisiejszy pragnie hamować się i hamować sobie podwładne sfery w wycieczkach przeciw Kościołowi. Tak niedawno zaznaczył to prezes ministrów, margr. Rudini, w parlamencie włoskim; rządowego „exequatur“ żadnemu z nowo mianowanych biskupów nie odmówił i dawnym udzielił, którzy za czasów Crispiego otrzymać go nie mogli. Co więcej: gdy już wygotowane było prawo o rozwodach i Crispi miał je przedłożyć pod wspólne obrady parlamentarne, dziś. gdy deputowany Rossi zapytał, jak rząd zapatruje się na kwestyę rozwodów i jakie są jego pod tym względem intencye, odpowiedział w imieniu rządu minister Ferraris krótko i stanowczo. że jest przeciwny rozwodom, bo zupełnie nie trafiły mu do przekonania studya, w tym względzie przez uczonych (?) podjęte, i on dopokąd będzie ministrem królewskim, nigdy nie zezwoli na przedłożenie jakiegokolwiek projektu prawa przychylnego rozwodom.

OBJAWY ZWROTU KU KOŚCIOŁOWI WE FRANCYI.

Podobnie i Francya, chociaż jej rząd tak wielkiej tamy między sobą a Kościołem nie postawił, jak Włochy — dziś zaczyna się bardziej liczyć z katolikami. Wiadomo już z dzienników, że w Ziemi św., a mianowicie w Betleemie, przyszło do starcia między wyznawcami greckiego i katolickiego Kościoła. Jakkolwiek przy tem słuszność była po stronie katolików, to jednak władze tureckie — prawdopodobnie przekupione — stanęły po stronie Greków dys-unitów i wystąpiły ostro przeciwko katolikom. Na pierwszą wieść o tym wypadku ambasador francuski w Konstantynopolu, hr. Montebello, bardzo energicznie wystąpił i nadał mu polityczne znaczenie. Zażądał wyto-

czenia ścisłego śledztwa, ukarania winnych i wymierzenia sprawiedliwości katolikom. Gdy śledztwo nie wypadło po myśli katolików, a sułtan był niezdecydowany, co ma począć, hr. Montebello w porozumieniu z ministrem spraw zagranicznych, p. Ribotem, zagroził zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Turcyą. Przerażony sułtan drogą telegraficzną rozkazał gubernatorowi Jerozolimy dać zupełną satysfakcyę katolikom.

Energiczna obrona interesów katolickich na Wschodzie ze strony Francyi zasługuje na tem większe uznanie, iż przez to zrazić może swego alianta z północy. Niemniej energicznie ujęła się Francya w porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki i Anglią za misyami katolickiemi w Chinach. Pomimo nalegań konsulów europejskich, rząd chiński bardzo niechętnie i niedbale broni misyonarzy, przez co ośmiela tylko rozbójniczy motłoch do ciągłych napaści. Tak z listu, jakiśmy otrzymali świeżo od O. Tournade T. J., prokuratora misyj chińskich w Paryżu, dowiadujemy się, że wielka rezydencya OO. Tow. Jezusowego w U-hu, która miała służyć za punkt środkowy wschodniej części misyi, jest zupełnie przez pogan zniszczona, niemniej szkoła i ochronka — nawet kościoła nie zdołano uratować. Nankin napadnięto, stacyę misyjną w Ta-yang zburzono, wielki dom misyjny w U-si spalono, w gruzy zamieniono kościół, rezydencyę, ochronki i szkoły. Posłowie, francuski i amerykański, stanowczo zażądali natychmiastowego przytłumienia rozruchów, przywrócenia porządku, bezpieczeństwa, wynagrodzenia dla poszkodowanych misyj i oświadczyli, że w razie, jeżeli na to odmowną otrzymają odpowiedź lub niewystarczającą, nastąpi bezzwłoczna akcya wojenna floty francuskiej przeciwko wybrzeżom chińskim, bombardowanie Nankinu i innych miast nadbrzeżnych.

Jeżeli się nadto zważy, iż z okazyi wyniesienia nuncyusza paryskiego, msgra Rotelli, do godności kardynalskiej, rząd francuski postanowił udzielić mu najwyższy order, jakim rozporządza, legii honorowej — widać, że jakiś pomyślniejszy dla Kościoła wiatr wieje nad Sekwaną. W ślad za tymi objawami sympatyi odezwało się echo także ze strony Rzymu, które wywołało trwogę w kołach nieprzychylnych Stolicy św. W tych dniach

dziennik *Osservatore Romano* zamieścił artykuł pod tyt.: „Osamotnienie Francyi“, w którym czytamy: „Francya jest osamotniona, lecz osamotnienie to nie przynosi jej szkody. Dzieli ona w tem tylko los Kościoła, nad którego więzami czuwają zazdrośnie cesarze i królowie, aby nie ponowiły się owe *gesta Dei per Francos*, które tak często w dziejach świata okazywały mu wielkość Francyi i Kościoła. Francya i Kościół walczyć będą i zwyciężać i nadal obok siebie, mimo tego odosobnienia. Kościół podaje dziś z całą miłością dłoń pierworodnej swej córze, a przeciwko nienaturalnym związkom inaczej myślących państw podnosi się cudowną siłą przymierze Kościoła z chrześcijańską demokracyą“. W chwili, kiedy nastąpiło z jednej strony pewne oziębienie stosunków między rządem francuskim a rosyjskim, z drugiej niewyjaśniony dotychczas zastój układów między Rosyą a Watykanem, artykuł ten nie jest bez znaczenia dyplomatycznego. To też prasa włoska radykalna rzuciła się nań z zaciekłością, a *Popolo romano*, pełen trwogi, pisze, iż „Włochy nie pozwolą się sprowadzić z drogi, jaką kroczą już od lat dziesięciu, i wiernie stać będą przy trójprzymierzu“. Wolno jednak powątpiewać o szczerości tego wyznania, gdy prawie równocześnie, wbrew woli rządu, zorganizowała się bardzo silna akcya we Włoszech przeciwko trójprzymierzu. Dopokąd krzywda, wyrządzona Stolicy św. przez „Włochy zjednoczone“, naprawioną nie będzie, chwiejność podstaw dzisiejszego rządu włoskiego przez żadne alianse usuniętą nie będzie.

NAUKA JĘZ. POLSKIEGO W SZKOŁACH PRUSKICH.

Rozporządzenie pruskiego ministra wyznań z dnia 11 kwietnia b. r., o którem w zeszłym miesiącu wspomnieliśmy, choć w pierwszej chwili z zapałem przyjętem zostało w W. Ks. Poznańskiem, to jednak następnie wywołało utyskiwania, że jest niedostatecznem, gdyż miejscowe władze rządowe wiele trudności poczęły wynajdować. Tak np. w wielu miejscowościach nie dozwolono nauczycielom udzielać nauki języka polskiego, motywując zakaz tem, iż nie mają potrzebnych kwalifikacyj do takich wykładów; w innych miejscowościach wprost odmówiono takiego pozwolenia, zwłaszcza w pro-

wincyach, gdzie rząd uważa ludność za niemiecką, chociaż lud używa dotychczas języka polskiego, jak w Warmii i Prusach Zachodnich. Trudności jeszcze rosną z tego względu, iż wynagrodzenie za naukę języka polskiego nie z kasy państwa ma być wypłacane, ale ze składek pojedynczych parafij, które i tak obciążone podatkami, wyjątkowo nowy ciężar na siebie przyjąć muszą. Pomimo jednak tylu trudności, dzięki energii przeważnie duchowieństwa, zwołano w każdym prawie dekanacie i większych miastach wiece, dla zastanowienia się, jakich środków należy użyć, aby módz skorzystać z tej częściowej ulgi ministra kultu. W najrozmaitszych stronach dzielnic polskich w państwie pruskiem prawie równobrzmiące zapadły uchwały, mianowicie: aby domagano się od nauczycieli ludowych wykładów języka polskiego po kilka godzin tygodniowo, utworzono komitety, które mają czuwać nad tą nauką i nad zbieraniem potrzebnych funduszów w pojedynczych parafiach.

Rozporządzenie to nie jest wystarczające dla potrzeb duchowych polskich poddanych w państwie niemieckiem i nie licujące z obietnicami ongi danemi równouprawnienia Polaków z innymi poddanymi — w każdym razie jest zawsze pewną zdobyczą dla sprawy Kościoła w polskich prowincyach, skoro dzieci polskie będą mogły znowu uczyć się katechizmu w ojczystej swej mowie.

WIEC KATOLIKÓW W STYRYI. Ta sama walka o stanowisko Kościoła w szkole, chociaż w innej formie, uwydatnia się coraz silniej w Austryi. Już niejednokrotnie zaznaczyliśmy na tem miejscu pocieszające objawy pod tym względem; dziś wypada nam znowu zaznaczyć nowy krok naprzód. W dniach 3 i 4 czerwca odbył się wiec katolików styryjskich w Gracu pod przewodnictwem niezmordowanego szermierza szkoły wyznaniowej księcia Liechtensteina, przy licznym udziale publiczności ze wszystkich sfer społeczeństwa styryjskiego i wielu reprezentantów z innych prowincyj koronnych. Obrady rozdzielono na trzy sekcye: polityczną, socyalną i sztuki kościelnej. Znaczącym jest faktem, iż w sekcyi politycznej objęto szkołę, i prawa jej z punktu polity-

cznego przedstawiono — przez co tem samem zaznaczono stanowisko, jakiego katolicy styryjscy w słusznych swych żądaniach trzymać się pragną na szerszej arenie parlamentarnej. Wśród uchwał, jakie zapadły, czytamy między innemi:

1) Zebrani na drugim wiecu katolików styryjskich patryoci austryaccy, wyrażają zapatrywanie, że celem usunięcia niebezpieczeństw, na jakie państwo i narody naraża liberalizm, należy prawo publiczne zarówno w dziedzinie polityki jak narodowości, oprzeć na zasadach chrześcijańskich;

2) Wiec katolików styryjskich wyraża z największą radością najzupełniejszą zgodę swą z oświadczeniem austryackich biskupów, wypowiedzianem na posiedzeniu Izby panów d. 12 marca 1890 r. w sprawie przywrócenia wyznaniowej publicznej szkoły ludowej, poddanej nadzorowi Kościoła — a zarazem ubolewa, iż rząd do tej pory na to oświadczenie nie odpowiedział. Wiec, pomny swych praw i obowiązków, przyrzeka wytrwać w niezłomnej wierności i uległości dla ustanowionych przez Boga przewodników i pasterzy, i razem z nimi walczyć o szkołę katolicką dla katolickiego ludu;

3) Wiec katolików styryjskich uznaje za główne źródło ekonomicznego niedostatku i niezadowolenia wśród chrześcijańskiej ludności, odstąpienie od zasad wiary i moralności Kościoła Chrystusowego; a więc rozwiązania kwestyi socyalnej spodziewa się jedynie z określenia praw i obowiązków ludzkich na zasadach nauki Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła.

O wiecu styryjskim dzienniki nasze zaledwie wzmiankę uczyniły, ogłaszając powyższe uchwały. Jeden *Kurjer Polski* (nr. 152) we wstępnym artykule podniósł znaczenie tego wiecu w życiu katolickiem Austryi i śmiało swoje pod tym względem wypowiedział zdanie. „Na żądania wiecu styryjskiego zgodzi się każdy szczery katolik, a obowiązkiem prasy poprzeć je jak najenergiczniej. Prasa galicyjska niestety nie poczuwa się do tego obowiązku i niejednokrotnie wyraziła zdanie, że wogóle tak zwany ‚klerykalny' ruch jest w Galicyi szkodliwy. My jesteśmy zdania wręcz przeciwnego... Nie wątpimy, że wszyscy prawdziwi katolicy zgodzą się z nami, że i w naszem szkolnictwie niejedno

naprawić wypada, bo patrzymy na zdziczenie obyczajów wśród młodzieży...“

MYSŁ KONKORDATU W SERBII. O działalności Kościoła w Bałkańskich królestwach *Przegląd* nasz bardzo rzadkie daje wiadomości — bo też i bardzo słabe jest tam życie katolickie. Dziś wypada nam zanotować fakt pocieszający, iż między Stolicą św. a Serbią przychodzi do nawiązania stosunków dyplomatycznych. Okazyę do tego dał metropolita Michał, gdy się uskarżał przed ministrem kultu, iż misyonarze katoliccy zbyt często nawiedzają Serbię. Skarga przezeń w nieszczęśliwą godzinę wniesiona, przyczyniła się do tego, iż w ministeryum poruszono kwestyę stosunku katolików do rządu serbskiego, a następnie zadecydowano utworzenie konkordatu ze Stolicą św. Dotychczas katolicyzm w Serbii jest zaledwie tolerowany: — podczas gdy rabini, pastorzy protestanccy i hodżdżowie mahometańscy uważani są jako funkcyonaryusze państwowi i pozostają w ciągłych stosunkach z ministrem wyznań, to kapłani katoliccy nie mogą mieć żadnych urzędowych stosunków z władzami rządowymi, a konsekwentnie żadnej od nich spodziewać się opieki. To też bardzo skrępowaną była tam dotychczas działalność kapłanów katolickich, pozostających pod zwierzchnością duchowną ks. biskupa z Djakowaru, Strossmayera, i ograniczała się tylko do trzech małych misyj: przy legacyi austro-węgierskiej, w Kragujewacz i w Niszu, tj. tam gdzie liczba katolików jest znaczniejszą. Większa część katolików serbskich pozostaje bez żadnej duchownej opieki: w niektórych miejscowościach chrzcą dzieci w cerkwiach schyzmatyckich i zawierają przed niekatolickimi duchownymi związki małżeńskie: o przystępowaniu do innych Sakramentów św. mowy być nawet nie mogło. Katolicy już niejednokrotnie domagali się równouprawnienia pod względem wyznania z innowiercami: wszelkie jednak żądania były daremnemi. W ostatnich dopiero czasach czy to wskutek nielojalnego stanowiska metropolity Michała, czy też wskutek przyjaźni konsula serbskiego ze Skopii z tamtejszym arcybiskupem katolickim, ks. Logorezzi, dość że rząd serbski skłonił się do uznania tegoż arcybiskupa

jako zwierzchnika duchownego katolików w swem państwie i uznał go urzędownie arcybiskupem serbskim. Po tym kroku przyjaznym można mieć słuszną nadzieję, że konkordat między Stolicą św. a Serbią wkrótce zawartym zostanie z pożytkiem zarówno Kościoła jak państwa.

UROCZYSTOŚCI NA CZEŚĆ ŚW. ALOJZEGO GONZAGI.

Już dawniej na tem miejscu uczyniliśmy wzmiankę o ogólnym ruchu w sferach katolickich, a przedewszystkiem między młodzieżą, z okazyi 300-letniej rocznicy śmierci jej patrona św. Alojzego Gonzagi. Naturalnie, że najsilniej ruch ten objawił się we Włoszech, ojczyźnie św. Młodzieńca. Ztąd ciągłe pielgrzymki spieszyły do grobu Świętego i jeszcze odbywać się będą w tym roku; — niezliczoną liczbę artykułów większych i mniejszych ku czci Świętego po rozmaitych dziennikach można było czytać — co więcej, na uczczenie 300-letniej rocznicy wydawać poczęto w Medyolanie ilustrowany miesięcznik *L'Eco di S. Luigi*, a w Weronie tygodnik *L'amico dei giovanetti*, które obznajamiały społeczeństwo włoskie z tem wszystkiem, co się ku czci św. Alojzego na całym świecie robiło.

Społeczeństwo polskie, dzięki Bogu, wzięło także udział w tym ruchu. We Lwowie młodzież bardzo gorliwie uczęszczała na nauki przez dni kilka poprzedzające dzień 21 czerwca i około 800 z nich przystąpiło wspólnie do Stołu Pańskiego podczas jednej mszy św. ks. biskupa Puzyny. W tymże dniu ks. arcybiskup Morawski mszę św. solennie odprawił, a ks. arcybiskup Isakowicz głosił chwałę Świętego. Podobne uroczystości odbyły się w wielu innych miastach galicyjskich, zwłaszcza gdzie istnieją gimnazya, lub inne wyższe zakłady naukowe. W dyecezyi tarnowskiej ks. biskup Łobos nawet osobnym listem zachęcił duchowieństwo do obchodzenia dnia świętego Patrona młodzieży. W Krakowie z rozporządzenia J. Em. ks. Kardynała 3 trydua odbyły się uroczyście: pierwsze w uniwersyteckim i gimnazyalnym kościele św. Anny, drugie w kościołach OO. Tow. Jez.: św. Barbary i na Wesołej.

Na Szląsku nawet po wioskach uroczyście obchodzono dzień św. Alojzego. Tak np. w Lipinach, gdzie parafianie są Polakami i Niemcami, proboszcz tamtejszy osobne dwa trydua z osobnemi

naukami urządził. Do Sakramentów św. tak wielka liczba osób przystąpiła, iż samych dzieci szkolnych — nie licząc młodzieży płci obojga — przystąpiło w jednym tylko dniu aż 700.

Opowiadano nam o tysiącach obrazków św. Alojzego, jakie się z okazyi tej uroczystości z polskimi napisami rozeszły. Ruch literacki także się wzbogacił wielu cennemi dziełami. Tak ukazał się w Einsiedeln we wspaniałem, bogato ilustrowanem wydaniu żywot św. Alojzego, spisany kiedyś przez współczesnego Świętemu O. Wirgiliusza Cepari T. J. w pięciu naraz językach: francuskim, niemieckim, angielskim, włoskim i hiszpańskim; ojciec Schröder T. J. zajął się tem wydaniem i uzupełnił bardzo cennemi notatkami historycznemi. Dzieło to jest niemałej naukowej, ascetycznej i artystycznej wartości, pomnikiem, który przechowa pamięć tegorocznego jubileuszu. I u nas w Krakowie aż cztery większe i mniejsze pamiątki wyszły drukiem o życiu św. Alojzego z okazyi 300-letniej rocznicy śmierci, nakładem OO. Tow. Jezusowego, piąte w Poznaniu nakładem *Kuryera Poznańskiego*[1].

Wspaniałe uroczystości, nauki wygłoszone do młodzieży, wreszcie cała literatura o św. Alojzym, niezawodnie bez skutku nie pozostaną, i mamy nadzieję, że pewne podniesienie poziomu moralnego w młodzieży i pomnożenie cnót chrześcijańskich, jakie pozostaną po tym obchodzie, będą najpiękniejszym pomnikiem.

Ks. Marcin Czerwiński.

---

[1] „Żywot św. Alojzego Gonzagi T. J." według ks. Wirgiliusza Ceparego T. J. Trzecie wydanie polskie pomnożone. Kraków 1891 (str. 408).

„Krótki rys życia św. Alojzego". Wydanie ozdobne z obrazkami. Kraków 1891 (str. 32).

„Nabożeństwo do św. Alojzego". rozłożone na 6 niedziel albo 9 dni. Kraków 1891.

„Prawdziwy Syn Maryi, św. Alojzy Gonzaga". Na pamiątkę 300-letniej rocznicy śmierci Świętego. Kraków 1891. Nakładem Konwiktu chyrowskiego (str. 48).

„Św. Alojzy Gonzaga". Książeczka jubileuszowa etc. Z 2 rycinami. Poznań 1891 (str. 112 i XVI).

VIII. Walne Zgromadzenie

Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Od ośmiu lat istniejące krajowe Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, odbywa corocznie walne zjazdy, naprzemian we Lwowie i w Krakowie. Zjazd tegoroczny odbył się we Lwowie, w czasie Świąt Zielonych. Sprawozdanie z wyniku obrad walnego zgromadzenia poprzedzimy streszczeniem dotychczasowej działalności Towarzystwa, które postawiło sobie za cel podniesienie oświaty krajowej. Oświecenie publiczne zależy w pierwszym rzędzie od stanu i rozwoju szkół publicznych, na które wpływają: ustrój i materyalne warunki szkół, dzielność sił nauczycielskich, i samo społeczeństwo dzieci do szkoły oddające. W tych więc trzech kierunkach starało się Towarzystwo w ciągu swego istnienia wedle sił działać.

Dzielność sił nauczycielskich zależy nietylko od studyów, nietylko od wiedzy wyniesionej z uniwersytetu, lecz także od nieustannej pracy nauczycieli nad sobą. Do tego celu prowadzić mogą skutecznie rozprawy naukowe i dydaktyczne w Kołach Towarzystwa rozsianych po kraju, obrady nad ulepszeniem metod nauczania, wzbudzenie między nauczycielstwem żywego tętna naukowego i działalności na polu nauki i literatury. Im kto wyżej stanął w nauce, tem łatwiej zdoła jej udzielać, tem snadniej potrafi zachować właściwą miarę w podawaniu naukowego pokarmu. Nauczyciel, który ciągle podąża za postępem nauki, a jeżeli mu siły, środki i okoliczności pozwalają, także do tego postępu się przyczynia, ustrzeże się przed zardzewieniem i jednostronnością, zachowa rzeźkość umysłu, potrzebną do spełniania trudnych obowiązków. Jeżeli zważymy, jak łatwo w miastach prowincyonalnych, zdala od ruchu naukowego, czucie z nauką stracić, jak łatwo skostnieć wśród małomiejskich stosunków, musimy działalności Kół Towarzystwa w tym kierunku wielkie przyznać znaczenie. Z przykrością jednak musimy wyznać, że życie w Kołach prowincyonalnych było w ostatnim roku przeważnie mdłe. Niektóre zdobyły się ledwie na 3 lub 4 posiedzenia w ciągu całego roku. Jestto stanowczo zamało, jeżeli się zważy, że cała działalność Kół polegać może tylko na dobrze zorganizowanych posiedzeniach.

Członkiem Towarzystwa może być każdy wykształcony, o dobro szkoły dbały obywatel. Ojcowie jako członkowie Towarzystwa, mogą na posiedzeniach Kół zapoznać się z ustrojem szkół, poznać ich wady i zalety, ażeby współdziałać korzystnie ze szkołą w wychowaniu mło-

dego pokolenia. To też światli obywatele, którym oświata krajowa leży na sercu, powinni się do Towarzystwa nauczycieli garnąć i jego cele czynnie popierać. Dotychczas należy do Towarzystwa zpoza sfer szkolnych znikająco mała garstka obywateli. Łączność bezpośrednia nauczycieli ze szkołą daje im sposobność dostrzeżenia jej potrzeb i pożądanych ulepszeń, a tem samem wkłada na nauczycielstwo obowiązek dążenia do naprawy wychowania publicznego przez pilne stanu szkół roztrząsanie, przez podawanie do wiadomości władz swych spostrzeżeń.

Działalność Towarzystwa w tym kierunku była najwydatniejszą. Podniesienie nauki języka polskiego, reorganizacya szkół realnych, instrukcya ministeryalna do nauczania poszczególnych przedmiotów, podręczniki szkolne, wyjednanie subwencyi od sejmu na nagrody konkursowe za podręczniki szkolne, utworzenie komisyi naukowej w Radzie szkolnej krajowej, sprawy zastępców nauczycieli, fizyczne wychowanie młodzieży, umundurowanie uczniów, sprawa obarczenia młodzieży nauką, pragmatyka służbowa dla nauczycieli szkół średnich, zakładanie szkół przemysłowych, pedagogiczne i dydaktyczne przygotowanie kandydatów na nauczycieli rysunków w uzupełniających szkołach przemysłowych, przyłączenie krakowskiej szkoły dla przemysłu artystycznego do państwowej wyższej szkoły przemysłowej, podniesienie nauki języka niemieckiego, nauka historyi polskiej, uroczyste odprawy szkolne i nagrody, zaprowadzenie nadzoru lekarskiego nad szkołami, domowa lektura uczniów, zaprowadzenie obowiązkowej nauki rysunków w gimnazyach, higieniczne stosunki w szkołach galicyjskich, nadzór domowy młodzieży i przepisy karności, tworzenie posad nauczycielskich nadetatowych, potrzeba zakładania nowych gimnazyów w kraju, nauka śpiewu, tworzenie korpusów wakacyjnych, pensye wdów i sierot po profesorach szkół średnich i uniwersytetu, sprawa zapobieżenia ubytku sił nauczycielskich — oto poczet najważniejszych spraw, nad któremi toczyły się obrady w Kołach i na poprzednich walnych zgromadzeniach, co do których uchwalono rezolucye i wnoszono petycye i memoryały do Sejmu krajowego, Rady szkolnej, do Rady państwa i do Ministeryum. Liczne te poruszone sprawy świadczą wymownie, że nauczycielstwo sprawę wychowania gruntownie roztrząsa, a wady szkół z męską otwartością odkrywa. Każdy stan ma prawo niezaprzeczone do strzeżenia swych interesów. Są więc między rezolucyami walnych zgromadzeń i takie, które zmierzają do polepszenia bytu nauczycieli. Takich rezolucyj jest jednakże bardzo mało, co świadczy, że Towarzystwo spraw osobistych na pierwszy plan nie wysuwa, lecz głównie dba o dobro szkoły. Ra-

dzić i uchwalać rezolucye nietrudno, a od słów do czynu daleka często droga. Zaprowadzenie zmian jednakże nie zależy od nauczycielstwa, lecz od władz, których wolę paraliżują często stosunki i finansowe położenie państwa. Sejm krajowy i Rada szkolna krajowa, szczególnie za rządów obecnego Namiestnika, otaczają Towarzystwo życzliwą opieką i popierają jego dążenia u centralnej władzy oświecenia. Dzięki tej życzliwości Sejmu i Rady szkolnej, może się Towarzystwo poszczycić w kilku poruszonych sprawach pomyślnym skutkiem. Sejm przywrócił subwencyę w kwocie 1000 złr. na nagrody konkursowe za podręczniki szkolne: w Radzie szkolnej powstała komisya naukowa, mająca czuwać nad wydawnictwem podręczników: na uniwersytecie lwowskim zaprowadzono wykłady higieny: szkołę artystycznego przemysłu przyłączono do wyższej szkoły przemysłowej: polecono dyrekcyom szkół średnich wręczać abituryentom uroczyście świadectwa dojrzałości; niektóre zakłady wprowadziły uroczyste zamknięcie roku szkolnego: w miejsce niepoczesnych, żadnego poszanowania u uczniów nie wzbudzających blankietów na świadectwa, wprowadzono piękne, z trwałego papieru: polecono dyrekcyom ogłosić drukiem przepisy karności i rozdzielać je między uczniów na początku roku szkolnego; utworzono kilkanaście posad nauczycielskich nadetatowych: wydano przepisy względem czystości i porządku w budynkach szkolnych.

Ten, chociaż skromny, wynik musi być poczytanym Towarzystwu za zasługę, a gdyby nawet niejedna z uchwalonych rezolucyj nigdy spełnioną być nie miała, samą obywatelską inicyatywą zapisze się Towarzystwo dobrze na kartach historyi oświecenia, i zasłuży sobie za dbałość o dobro szkoły na wdzięczność społeczeństwa.

Obrady tegorocznego walnego zgromadzenia były dalszym ciągiem pracy w obranym kierunku.

Ze sprawozdania przedłożonego przez wydział dowiadujemy się, że Towarzystwo liczyło w ostatnim roku 705 członków, do których zaliczają się, prócz nauczycieli szkół średnich, wszyscy członkowie Rady szkolnej krajowej (nie wykluczając jej wice-prezydenta, który od czasu zawiązania Towarzystwa był jego czynnym członkiem i pierwszym prezesem krakowskiego Koła) — profesorowie uniwersytetu i nieliczne grono obywateli zpoza sfer nauczycielskich. Kół Towarzystwa istnieje obecnie 11: lwowskie, krakowskie (Kraków, Bochnia, Wadowice), brodzkie, jasielsko-sanockie, nowosądeckie, przemysko-jarosławskie, rzeszowskie, samborsko-stryjsko-drohobyckie, stanisławowsko-kołomyjskie, tarnopolsko-złoczowskie, i tarnowskie.

Z ważniejszych czynności wydziału podnieść należy utworzenie wieczystej zapomogowej fundacyi imienia Adama Mickiewicza dla sierot po profesorach szkół średnich i uniwersytetu, na uczczenie narodowej uroczystości sprowadzenia zwłok wieszcza na Wawel. Fundusz zakładowy w kwocie 100 złr., ofiarowany przez wydział, wzrósł drobnemi składkami członków w ciągu roku do sumy 1600 złr., a skoro tylko kwota do 2000 złr. dojdzie, wprowadzi wydział — nie zaprzestając zbierania dalszych składek — fundacyę w życie, co już w przyszłym roku prawdopodobnie się stanie.

Sprawa podniesienia nauki języka polskiego, którą od zawiązania się Towarzystwa wszystkie Koła gorliwie się zajmowały, zostanie ostatecznie złożoną w ręce Rady szkolnej. Wydział bowiem poruczył fachowemu znawcy języka i literatury wypracowanie memoryału na podstawie opinij i wniosków ze wszystkich Kół nadesłanych.

Ważną częścią działalności Towarzystwa są wydawnictwa. Prócz organu Towarzystwa *Muzeum*, którego obecnie wychodzi rocznik VII., wydało Towarzystwo swoim nakładem kilka podręczników szkolnych, a Koło krakowskie postanowiło nadto wydawać własnym nakładem *Bibliotekę pedagogiczną*, z której dwa tomiki już wyszły: Franciszka Bilińskiego Sposób edukacyi 1775 r., Księdza Piramowicza Mowy, miane w Towarzystwie do ksiąg elementarnych w r. 1776—88 [1].

W tym roku znajdują się pod prasą następujące książki: Tarnowski Stanisław i Próchnicki Franciszek: Wypisy polskie dla klas wyższych cz. II., Samolewicza Przykłady łacińskie i Gramatyka łacińska, Zakrzewskiego Historya powszechna na klasy wyższe, Dziewińskiego Algebra, Kozłowskiego Logika, i pierwsze tomiki Biblioteki arcydzieł literatury powszechnej dla młodzieży.

Z przedłożonych w ubiegłym roku petycyj zasługuje na uwagę petycya, domagająca się zaprowadzenia lekarzy szkolnych. Począwszy od roku 1869, na wszystkich zjazdach higienistów sprawę tę jako nadzwyczaj ważną podnoszono. Towarzystwo zajmowało się tą sprawą kilkakrotnie. Lekarze szkolni istnieją w Paryżu od roku 1879, na Węgrzech od roku 1885. Polska wyprzedziła o wiek cały dzisiejsze szkolnictwo w pieczołowitości o zdrowie młodzieży. Higiena szkolna, która obecnie długo jeszcze istnieć będzie na bibule, była na mocy

[1] Książki te leżą niestety na półkach księgarskich, chociaż Koło krakowskie sprzedaje je bez żadnego zysku. Wskutek tego wydawanie dalszych tomów jest narazie powstrzymane.

mądrych przepisów Komisyi edukacyjnej (Ustawy Komisyi, rozdz. XX. i XXV.) w szkołach polskich obowiązującą normą, a Czacki stara się, ażeby przy każdem gimnazyum utworzyć osobną szkołę chirurgii, której profesor byłby zarazem lekarzem szkolnym. Patent cesarza Aleksandra I. zatwierdzający urządzenie gimnazyum w Krzemieńcu, zatwierdza także projekt urządzenia wydziału cyrulicznego. Narazie jednakże do otworzenia tych kursów nie przyszło, więc Czacki mianuje w r. 1805 Jana Kantego Bartscha lekarzem szkolnym w liceum Krzemienieckiem, poruczając mu spełnianie obowiązków na podstawie szczegółowej instrukcyi [1].

W ścisłym związku z tą petycyą stoi najważniejszy punkt porządku dziennego tegorocznego walnego zgromadzenia: wnioski wydziału i krakowskiego Koła w sprawie fizycznego wychowania i polepszenia stosunków zdrowotnych naszej młodzieży szkół średnich.

Odwieczna ta zasada, że w rozwoju ciała i ducha harmonia zachowaną być winna, w czasach naszych poszła w zapomnienie. U Greków była gimnastyka jedną z najważniejszych części wychowania, bo siła fizyczna była cennym przymiotem obywatela jako obrońcy ojczyzny. Ćwiczenia fizyczne kwitnęły w stanie rycerskim, bo sposobiły do walki i do znoszenia trudów wojennych. U nas w Polsce młodzież szlachecka biła się na palcaty, grała w palanta, uczyła się robić bronią, harcowała na koniach, w kniei na łowach hartowała ciało i wyrabiała w sobie męstwo. Z takiej szkoły wychodziły silne pokolenia, dla których igraszką były obozowe trudy, wychodziły owe hufce, które puklerzem były dla wiary i cywilizacyi przed nawałą tatarską, przed potęgą osmańską. Z podziwem patrzymy, my skarłowaciałe wnuczęta dzielnych praojców, na ich ciężkie zbroje, olbrzymie miecze. Ćwiczenia cielesne poszły u ludów Europy w zapomnienie, gdy żołnierstwo, stawszy się rzemiosłem, przestało być szczytnem powołaniem obywatela, gdy potworzono stałe wojska. Pokolenia karłowaciały stopniowo, a równocześnie pomnażano w szkołach materyał naukowy. Umysł wysilał się nad miarę, a czasu wolnego na rozrywki coraz mniej zostawało. Szkoła nietylko, że nie troszczyła się wcale o rozwój fizyczny swych wychowanków, lecz nawet ile mogła, młodzieży w zabawach przeszkadzała. Wszak pamiętamy te czasy, kiedy to uważano ślizganie się za karygodną swawolę. W wychowaniu młodzieży żeńskiej popa-

[1] „Instrukcya Czackiego dla lekarza liceum Krzemienieckiego“. Napisał Józef Zagrodzki. (*Muzeum* 1888, p. 64).

dliśmy z jednego ekstremu w drugi. Dawniej wykształcenie kobiet leżało zupełnie odłogiem: dziś dziewczęta siedzą 5—6 godzin dziennie od 7—18 roku życia na ławach szkolnych, więc nie mogą być później zdrowemi matkami. Prócz szkoły, są i inne złego przyczyny: przepełnienie miast, ciężkie warunki życia, choroby, wskutek tak zwanych grzechów młodości przez ojców nabyte, a na dzieci przeszczepione. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że wysoki, barczysty mężczyzna, dobrze zbudowana kobieta, zwracają powszechną uwagę, a widok anemicznej młodzieży, zamkniętej w izbach szkolnych, litość obudza. Między 50 uczniami w klasie często niema ani jednego tęgiego chłopca.

Anglicy jedni, oddawna z zamiłowaniem liczne uprawiając sporty, nie zaniedbali wyrabiania siły fizycznej u młodych, a zachowania jej u dorosłych, u mężczyzn i kobiet, przez gry, zabawy, boksowanie, wiosłowanie i t. p. Na kontynencie pierwsi ocknęli się z letargu Niemcy. Hasłem do ćwiczeń fizycznych był patryotyzm, było poczucie, że ojczyźnie potrzeba dzielnych obrońców. Liczne towarzystwa gimnastyczne odrodziły fizycznie Niemcy. Na wzór niemieckich „Turnvereinów" powstały liczne czeskie i nieliczne polskie Sokoły. Przekonanie o potrzebie ćwiczeń cielesnych rozpowszechniło się, gdy zaprowadzono powszechny obowiązek służby wojskowej, a przy brankach coraz mniejszy procent popisowych odpowiadał przepisanym warunkom. Stopniowo zyskała gimnastyka i w szkołach pomoc obywatelstwa. U nas niestety gimnastyka była nauką nadobowiązkową, kopciuszkiem, któremu nie dostarczano środków do rozwoju. Gimnastyka zwyczajna, z dodatkiem gimnastyki szwedzkiej, uchodziła przez szereg lat za pewny, wystarczający środek do przywrócenia zwichniętej równowagi między wychowaniem fizycznem a umysłowem. W najnowszych dopiero czasach poczęło przeważać zdanie, że gimnastyka nie jest przyrodzonym środkiem kształcenia ciała, bo nerwy w ćwiczeniach gimnastycznych nie biorą udziału, że niezbędnem uzupełnieniem gimnastyki są zabawy na wolnem powietrzu, wycieczki, gry, pływanie, a więc wszystko to, do czego młodzież naturalny ma pociąg. „Zabawa — powiada Jean Paul — jest pierwszą poezyą człowieka: kształci ona wszystkie siły jego, nie dając jednej przewagi nad drugą". Ażeby dać młodzieży sposobność do zabawy, założono w Niemczech w wielu miastach boiska dla młodzieży, gdzie pod odpowiednym kierunkiem setki chłopców i dziewcząt znajdują w zabawach i grach po nauce szkolnej wytchnienie i pożytek dla zdrowia. W Krakowie, ofiarnością i silną wolą jednego człowieka, profesora dra Jordana, powstało zasłużonej sławy używające miejsce zabaw

dla młodzieży, a liczne rzesze dziewcząt i chłopców, które codziennie za wiedzą i wolą rodziców w Parku Jordana się bawią, są dowodem, że park ten był istotną dla mieszkańców Krakowa potrzebą.

Za ogólnym idąc prądem, wydało kilka miesięcy temu austryackie Ministerstwo oświecenia okólnik do szkół, polecający urządzanie wspólnych wycieczek i zabaw, ułatwianie młodzieży wstępu do pływalń i na tory łyżwiarskie.

W obecnym ustroju szkół naszych, przy tak wielkiej liczbie godzin szkolnych, przy nauce rannej i popołudniowej, niema na zabawy wspólne czasu. Profesorowie gimnazyalni, nie mogąc utrzymać rodzin swych ze szczupłej pensyi, muszą zarabiać udzielaniem lekcyj po pensyonatach i domach prywatnych, nie mówiąc już o suplentach, którzy nawet w bezżennym stanie z płacy 600 złr. wyżyć nie mogą. Więc mimo poczucia obywatelskiego, nie mogą nauczyciele szkół średnich ofiarować swego czasu na wycieczki i zabawy z młodzieżą. Całe tedy rozporządzenie pana Ministra musi pozostać na papierze, jak tyle innych pięknych rzeczy.

Otóż, ażeby sprawę na praktyczne pchnąć tory, uchwaliło walne zgromadzenie za inicyatywą wydziału i Koła krakowskiego następujące rezolucye:

a) w przyszłej organizacyi szkół średnich, walne zgromadzenie uznaje konieczną potrzebę ujęcia wykształcenia umysłowego i fizycznego w jednę organiczną, planem szkolnym objętą całość, i poruca wydziałowi Towarzystwa zajęcie się tą sprawą i przedstawienie memoryału odnośnym władzom szkolnym;

b) nim nastąpi ta nader pożądana organizacya szkół naszych, walne zgromadzenie uznaje potrzebę zajmowania młodzieży szkolnej przynajmniej dwa razy w tygodniu zabawami i grami gimnastycznemi na wolnem powietrzu w lecie, a ślizgawką i w stosownej porze marszami w zimie. Popołudnia w środy i soboty powinny pozostać i nadal wolne od wszelkich obowiązkowych zajęć w szkole;

c) ponieważ wśród takich gier, zabaw i wycieczek szkoła może snadnie prowadzić dalej pracę około rozwoju umysłowego i etycznego młodzieży; wobec braku czynników, którymi szkoła w tym kierunku skutecznie wyręczaćby się mogła — walne zgromadzenie uznaje nieodzowną potrzebę objęcia z urzędu nadzoru i kierownictwa temi zabawami przez grona nauczycielskie, za remuneracyą co najmniej taką, jaką przyznano za przedmioty nadobowiązkowe. (Wnioski wydziału).

Wnioski Koła krakowskiego w tej samej sprawie są w zasadzie z powyższymi zgodne, określają tylko bliżej szczegóły wykonania.

W związku z tymi wnioskami, są uchwalone wnioski krakowskiego Koła w sprawie porządku i czystości w budynkach szkolnych. Rada szkolna krajowa wydała okólnik, polecający według załączonej do tegoż instrukcyi, przestrzegania niezbędnej dla zdrowia młodzieży czystości. Ponieważ jednakże w nędznych przeważnie budynkach, w których mieszczą się nasze szkoły średnie, instrukcya ta w małej tylko części jest wykonalną, zwłaszcza, że kwota, przeznaczona na utrzymanie budynku, jest bardzo mała i służba niewystarczająca, więc Rada szkolna poleciła dyrekcyom zdać sprawę, o ile instrukcya w każdym zakładzie wykonaćby się dała.

Walne zgromadzenie uchwaliło następującą rezolucyę:

Uznając wielką doniosłość okólnika Wys. c. k. Rady szkolnej krajowej z dnia 3 listopada 1890 r., walne zgromadzenie oświadcza:

1) że normalna instrukcya, tym okólnikiem objęta, powinna być przez wzgląd na zdrowie uczniów i nauczycieli w całej swej rozciągłości przeprowadzona, i że szkoły wyposażone być powinny w odpowiednie środki;

2) że umieszczenie niektórych szkół średnich jest zupełnie nieodpowiednie, wpływa źle na zdrowie młodzieży i nauczycieli, wymaga przeto niezwłocznego zaradzenia złemu.

Optymistą byłby ten, ktoby się spodziewał rychłego wykonania uchwalonej rezolucyi o wycieczkach i zabawach, w całej rozciągłości. Chodzi tu głównie o zrobienie wyłomu w dotychczasowym systemie, o przyspieszenie zmiany planu naukowego, niezbędnej do przywrócenia równowagi między wychowaniem fizycznem a moralnem. Byleby rzecz raz weszła na właściwe tory, a rozwijać się będzie samą logiką faktów.

I znowu ze słuszną dumą możemy spoglądać w przeszłość naszą na polu szkolnictwa i podziwiać mądrość wiekopomnej Komisyi edukacyjnej, która wprowadzała w życie to, co dziś po upływie wieku za ideał przyszłości stawianem bywa, która dbała o rozwój fizyczny i zdrowie młodzieży, nie nagłona, jak my dziś, widokiem dorastających pokoleń ruiny.

Oto, jak określa Komisya cel wychowania fizycznego w XXV. rozdziale swych ustaw, zatytułowanym „Edukacya fizyczna“: „Nieprzerwana osnowa starań około dziecięcia od pierwszych jego życia początków, około zdrowia, czerstwości i sił jego, starań stosownych do pomnażającego się wieku, a zawsze za cel mających uczynić człowieka

szczęśliwym i do wykonania powinności zdolnym; takowa osnowa starań jest edukacyą fizyczną. Związek i zjednoczenie najściślejsze duszy z ciałem gruntuje istotną potrzebę i okazuje równie ścisły związek edukacyi fizycznej z edukacyą moralną. Nie można być szczęśliwym, nie można nabierać oświecenia umysłu, dzielności duszy, łatwości w używaniu jej władz, zdatności i zręczności w wykonywaniu obowiązków swego stanu, bez zdrowia, bez mocnego i trwałego złożenia ciała...“ Komisya edukacyjna poleca, „aby każdego dnia szkolnego czasy wyznaczone były na rozrywkę dla dzieci, aby codzień, ile możności, na wolnem powietrzu zabawiały się“.

Inne punkty porządku dziennego, jak wniosek w sprawie spieszniejszego obsadzania opróżnionych posad dyrektorów i nauczycieli szkół średnich, wniosek w sprawie organizacyi galicyjskich szkół realnych, zostały jednomyślnie uchwalone, i do uwag sposobności nie nastręczają.

Na skutek uchwalonych rezolucyj potrzeba czekać cierpliwie. A że cierpliwość jest niezbędną cnotą nauczyciela, więc jest rękojmia, że nauczycielstwo nasze nie zrażając się czekaniem, wytrwale pracować będzie nad reformą fizycznego i moralnego wychowania, aby szkoła w niedalekiej przyszłości stała się przybytkiem, w którym rozwija się ciało, kształci serce i rozum, wyrabia charakter; aby wychowanie publiczne spełniło cel przez Komisyę edukacyjną zakreślony:

Tak nierozdzielnym idąc związkiem edukacya moralna z edukacyą fizyczną, będą zdolne dać społeczeństwu cnotliwego człowieka, ojczyźnie dobrego obywatela.

Dr. F. T.

Z kresów Ameryki północnej.

List III.

W czasie mej czteroletniej blisko wędrówki na pobrzeżu Oceanu Spokojnego Ameryki, począwszy od Meksyku aż po granice angielskich posiadłości w British Columbii, spotykałem wszędzie prospektorów, bo zawód mój górniczy wiódł mnie zawsze w góry złoto- i srebrodajne, a kruszcorodne góry, to jedyny grunt, na którym prospektorzy wyrastają. Znachodziłem między nimi reprezentantów wszystkich prawie narodowości z charakterystycznemi ich cechami. Meksykanie lubią namiętnie grę, hazard i cygareta, ale są trzeźwi i milczący. Nikt im sprostać

nie może w podziemnych robotach poszukiwalnych za rudą kruszców szlachetnych: do roboty znów prostej górniczej, a więc do roboty młotowo-świdrowej i do kilofa, trudno znaleść lepszych nad górników irlandzkiego pochodzenia lub z Cornwalii.

Włosi, skoro tylko im okoliczności na to pozwalają, przechodzą do handlu, albo zostają majtkami lub rybakami. W ich to ręku i w ręku Dalmatyńców spoczywa dzisiaj handel rybami, drobiem, zwierzyną, jarzyną i owocem na całem pobrzeżu Oceanu Spokojnego.

Niemców łączą węzły „Vaterlandu“ i zamiłowanie do piwa i muzyki: knajpa (saloon), jatki i sklepy korzenne — to zawody, którym później z zamiłowaniem się oddają i prawie wyłącznie je monopolizują.

Francuzi są ruchliwi i niespokojni, wędrują chętnie z jednego obozu górniczego do drugiego, zawsze marzą o pięknej Francyi, którą pragnęliby zobaczyć choćby raz jeszcze w życiu, i do której chcą zawsze powrócić; najlepsi z nich towarzysze, doskonali do kilofa i łopaty, wyborni kucharze, a zawsze weseli, zawsze z piosnką swobodną i żartem na ustach. Handel winem i wódkami, restauracye i sztuka kucharska — to ich późniejsze rzemiosło.

„A naszych nie spotkałeś tam w swych wędrówkach?“ — spytasz może szanowny czytelniku.

Nie, nigdzie: spotykałem Serbów, Dalmatyńców, Czarnogórców, Moskali, ba, nawet żydków polskich w tych gromadach ludzi, goniących za piaskiem złotym lub poszukujących żył kwarcowych złoto- lub srebrodajnych, ale naszych nie spotkałem nigdzie. Chcesz ich znaleść, to pójdź do Pensylwanii, tej krainy nafty i węgla, a w ciasnych, czarnych otchłaniach znajdziesz polskich górników obok Słowaków, traktowanych jak niewolników i jak niewolników płatnych, znajdziesz ich tam setki i tysiące, ale nie szukaj ich tu po tych pięknych krainach Zachodu Ameryki, bo ich i na lekarstwo nie znajdziesz, tak jak nie znajdziesz osad polskich.

Jak ptaki wędrowne, opuszczają wychodźcy nasi ziemię rodzinną: jednym i drugim instynkt zachowawczy skrzydła do lotu otwiera: uchodzą przed zimą głodu, nędzy, niewoli, z nadzieją w sercu, że w krajach zamorskich znajdą to, czego ojczyzna dać im nie chciała lub nie mogła: ale ta między nimi różnica, że gdy ptasia skrzydlata emigracya ma wodzów doświadczonych na czele i po bokach, którzy ją prowadzą do ciepłych krajów i z wiosną znowu do powrotu zbierają — to nasze puki i korpusy emigracyjne, w których skład wchodzą niemowlęta przy piersi, matki obarczone drobiazgiem dzieci, młodzi chłopcy i dziewczęta,

kwiat ludności — idą bez opieki, bez wodza, bez organizacyi. Czyż dziwić się temu, że tyle z nich ginie marnie bez pożytku dla ojczyzny i dla tej nowej krainy, do której się udają, i dla siebie: czyż dziwić się, że zamiast przy pracy wolnych i swobodnych, znajdujemy ich tysiące w otchłaniach ziemi, narażonych na śmierć, czyhającą ze wszech stron, i na wyzysk nie znający litości? A kiedy patrzę na to, jak tysiące i dziesiątki tysięcy, zwodniczemi obietnicami zbrodniczych handlarzy ciałem ludzkiem uwiedzione, rzucają ziemię rodzinną, aby zaprzedać się w niewolę plantatorów brazylijskich, to mi się zdaje, że widzę okropny obraz prawdziwego piekła dantejskiego, któremu na ofiarę szajki łotrów prowadzą nasz lud. Ale ten obraz przesuwa się zarówno i przed oczami naszego społeczeństwa polskiego i katolickiego, a nikt i nikt w kraju i z kraju na ratunek temu biednemu ludowi nie spieszy i na żadną poważną akcyę ratunkową się nie zanosi, lecz wszystko na sprawozdaniach dziennikarskich się kończy. Na takie okropne widowisko patrząc, cóż dziwnego, że żal gorzki w sercu się budzi! Patrzcie na tę rzekę żywych ciał ludzkich: toć to nie kto inny, tylko żywe własne ciało nasze, krew nasza własna, polska, poczciwa: patrzcie, jak ta rzeka wzbiera, zabierając z sobą kwiat naszej ludności, płynie do portowych miast niemieckich, a ztamtąd, odarta z ostatniego grosza, idzie za morze, gdzie oczy poniosą, na zmiłowanie Boże, na niewolę, śmierć, a często na gorszą od niej hańbę.

Stoimy wobec ruchu, który z każdym dniem się wzmaga, rośnie, potężnieje, coraz szersze kręgi zatacza, stoimy wobec tłumnej emigracyi włościańskiej, która, jeśli jej kraj nie opanuje, nie zorganizuje, nie poprowadzi — w klęskę narodową zamienić się musi. Jeśli otoczymy emigracyę naszą włościańską czujną, serdeczną, szczerą opieką, to nie może być, aby czyn taki nie przyniósł błogosławieństwa sprawie naszej narodowej. „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią".

Ale wróćmy do naszych prospektorów.

Moralista, którego interesuje socyalne stanowisko górników, a mianowicie poszukiwaczy złota i srebra, prędko dopatrzy się w nich awangardy osadników naszego stulecia. Rodzaj tych ludzi jest pionierem, torującym ścieżki dla drugich; Bóg używa go do otwierania dziewiczych krain, które oddać pragnie w ręce cywilizowanego człowieka.

W Kalifornii, jak wogóle na całem pobrzeżu Oceanu Spokojnego Ameryki i w krainach, leżących po tej stronie Gór Skalistych, w Australii, a obecnie i w Afryce, społeczność poszukiwaczy złota, zebrana ze wszy-

stkich części świata, złożona z żywiołów po części złych, a nawet występnych, stopniowo rehabilitowała się i odradzała przez pracę, bez której niczego zbudować nie można. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, z ziem, na których nie postała dotąd noga białego człowieka, z wyjątkiem chyba misyonarzy lub posterunku wojskowego — powstają kwitnące i potężne państwa, nie mające potrzeby zazdrościć i najlepiej rządzonym i urządzonym krajom starej Europy. Tak się stało np. z Australią, ową wielką kolonią zbrodniarzy, deportowanych z Anglii.

Tą różdżką czarodziejską, to praca, przedewszystkiem zaś praca połączona z kopalnictwem, które pierwsze dało impuls do wydobycia tych odległych krain ze stanu dzikiego. Cześć tedy poszukiwaczowi kruszców, któremu tę szczęśliwą przemianę zawdzięczamy. Energiczny ten i nieustraszony pionier, jakoteż i górnik, kopiący węgiel, to skryte narzędzia, których Opatrzność Boża czasami używa dla rozwoju postępu i uszczęśliwienia ludzkości.

Ale nietylko w utworzeniu kolonij, na które obecnie wskutek tłumnej emigracyi ludu uwaga naszego społeczeństwa zwracać się zaczyna, górnik odgrywa najważniejszą rolę: jego wpływ sięga znacznie dalej, bo na wzrost i rozwój cywilizacyi. Żadna gałąź przemysłu nie jest możliwą bez kruszców, których górnik dostarcza. Bez złota i srebra część sztuk, połączonych ze sztuką złotniczą, zaginęłaby, a podstawa wartości, na której handel rzeczywiście powstał i wyrósł, zostałaby zniszczoną.

Z tego punktu widzenia górnik jest pierwszym i najbardziej zasłużonym z pracowników i jest też najstarszym co do czasu. Bez niego ani rolnictwo, ani też żeglarstwo nie byłoby zdolne się rozwinąć, bo czyż kilof nie uprzedził pługa i okrętu?

Prospektorzy mieszkają w tak zwanych kabinach, tj. małych chatach, wystawionych z okrąglaków. Wysokość ich bywa 8—9 stóp. Dach pobity jest łupanem drzewem, pokrytem warstwą ziemi, albo też gontami. Ognisko jest w kącie izby, a komin wyprowadzony; buduje się go zwykle z drzewa i gliną w środku wylepia, albo też z kamieni na glinie. Jedno okno i jedne drzwi, i oto dom prospektora gotowy. Szpary w ścianach mchem są zatkane, a wszystko nosi cechę tymczasowości. Pod dachem, na gwoździu zawieszony, kołysze się połeć słoniny, ubrany w żółte płótno: Packing Company; tak samo zabezpieczona szynka i nieco wędzonej zwierzyny lub ryby; w kącie stoi worek z mąką, inny z kartoflami lub fasolą, na stole kilka funtów kawy palonej, trochę cukru, paczka herbaty japońskiej, garść soli i pieprzu,

puszka z *backing powder*'em [1] — i ot macie obraz jego pożywienia. Czasem kuropatwa górska, ale częściej jeleń lub kozica, upolowana na skałach, lub pstrąg, złowiony w potoku, świeżego mu mięsa lub świeżej ryby dostarczają. Naczynie kuchenne składa się z patelni, garnka blaszanego do zaparzania kawy lub herbaty, łyżki, widelca, noża i kubka blaszanego. Łóżko proste, zbite z tarcic, a gdy tych dostać nie można, kąt w izbie, wyłożony mchem lub sianem, na tem kilka koców, to jego i jego towarzyszów łoże, bo prospektorzy zwykle w kilku razem się trzymają i żyją. Nad łóżkiem wiszą strzelby, rewolwery i pasy z nabojami.

Ubranie ich, jak wogóle wszystkich ludzi przebywających na kresach, stanowi wełna pod spodem, a niebieskie płócienne odzienie z wierzchu. Niektórzy od Indyan nabywają jelonkowe szarawary i takież koszule. Przed chatą zwykle leży kupa kruszcu, przyniesionego z kopalni czy to własnej, czy też sąsiadów, a opodal pasą się konie (kajusy), własnemu przemysłowi co do pożywienia zostawione. Prospektor nigdzie pieszo się nie rusza, tylko zawsze konno, a ostrogi jego z ogromnemi kolczastemi kołami przypominają ostrogi Korteza i pierwszych zdobywców Meksyku. Konie mają dziwnie dobrze ujeżdżone i ułożone. Nikt konia do drzewa, pala lub parkanu nie przywiązuje; koń stoi spokojnie na tem miejscu, na którem go prospektor lub Indyanin postawił, z uzdeczką opuszczoną na ziemię, i nieraz doprawdy myślałem sobie, że konie tu w Ameryce mądrzejsze od wielu ludzi w Europie. Ale nie widziałem też nigdy, aby się tu nad koniem znęcano, lub aby go drażniono. Podróże dalsze odbywają się zawsze stępo; jeden koń idzie pod jeźdźcem, który ma do siodła przytroczoną strzelbę, drugi objuczony przyborami do obozowania, spania, jedzenia i narzędziami górniczemi. Narzędzia górnicze stanowią: kilof, młoty, świdry, miech kowalski ręczny, składany, łopata i siekiera, dalej zapas dynamitu i panew — gdy złota w żwirze poszukiwać zamierzają.

Prospektorzy stanowią tu — jak to już wyżej wspomniałem — przeważną część ludności osiadłej, a miasteczka: Ruby, Conconully i Loop-Loop, mają zupełnie charakter nowo powstających osad górniczych.

Modest Maryański.

[1] Jestto proszek, powszechnie tu zamiast drożdży używany.

Odezwa a zarazem prośba

Rady wyższej Towarzystwa św. Wincentego à Paulo na całą Galicyę, do Przewielebnego i Wielebnego Duchowieństwa Królestwa Galicyi i Lodomeryi.

W samym początku zawiązku Towarzystwa św. Wincentego à Paulo w Galicyi, nieznani, długo pragnęliśmy nieznanymi pozostać, aby w cichości krzepiąc siły nasze, powoli je skutecznie rozwijać. Nie ogłaszaliśmy też przez długi czas raportów z czynności naszych; wszelako to, co w początkach zdawało się nam niestosownem, z biegiem czasu stało się słusznem i koniecznem. Na zgromadzeniach bowiem ogólnych, przypadających w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, zaczęliśmy się odzywać do współczucia publiczności względem ubogich; a ztąd wynikła konieczność składania raportów, w jaki sposób użyliśmy powierzonych nam funduszów; nastała też potrzeba ogłaszania szczegółowych sprawozdań, dla objaśnienia i obznajmienia z celem i zadaniem Towarzystwa tych, którzy powodowani litościwem sercem, a obowiązkom wiary zadosyć czyniąc, chcieli się z nami połączyć.

Pierwotna jednak zasada cichej i pokornej pracy, pomimo ogłaszanych sprawozdań, w niczem naruszoną nie została; ilekroć bowiem konieczność nas zmuszała, aby odzywać się do publiczności, nie mówiliśmy o sobie, ale o naszych ubogich: a jeżeli nam wypadło wspomnieć o działaniach Towarzystwa, to przecież imiona pojedynczych członków, jakoteż uczynki miłosierne przez nich spełniane, na jaw nigdy nie wyszły. Miłosierdzie bowiem, lubo tak skuteczne i tak wymowne, pokrytem być winno płaszczem pokory, co wszystko Bogu, twórcy wszelkiego dobra, przypisuje, i wszystko Jemu samemu zawdzięcza.

Miłość też, pokorę, zgodę, pokój, w których sami ćwiczyć się pragniemy, staramy się krzewić w sercach ubogich naszych. Nie z jałmużną tylko samą członkowie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo nawiedzają mieszkanie ubogiego, lecz wstępują tam z duszą pełną współczucia, z której za łaską Chrystusa Pana płyną słowa pociechy, wszczepiające w ubogim przekonanie, że prócz pomocy jaką mu przynoszą, mają dla niego uczucie bratniej miłości. Odwiedzając go, nie poprzestają na krótkiej pobieżnej wizycie: siadają obok niego, słuchają opowiadań niedoli, i braterskiem obejściem pełnem dobroci i pobłażania, zyskują jego zaufanie i rozbudzają z czasem odrętwiałe serce, co z początku nieczułe, odpowiada nareszcie uczuciem wdzięczności za okazaną mu serdeczność.

Niechże nam będzie też wolno wspomnieć, że usiłowania nasze, dając poznać zbawienny wpływ prac wspólnych, przyczyniły się do zawiązania w Galicyi dość licznych konferencyj, zachowując między niemi jedność ducha, ów typ rodzinny, polegający na jedności wiary, zasad i nadziei. A jeżeli ci, co do nas najpóźniej przyszli, w wykonywaniu chrześcijańskich obowiązków miłosierdzia u doświadczeńszych kolegów rady szukają; jeżeli głos wdrożonych w ducha Towarzystwa starszych członków ma pewną w konferencyach powagę; jeżeli Rada wyższa — prowincyi, a Rada główna — rozrzuconemu po wszystkich krańcach ziemi całemu Towarzystwu przewodniczy: to w tem widzieć należy konieczną potrzebę jedności kierunku i zasad, jak niemniej dowód życzliwości i miłości dla wszystkich konferencyj; gdyż nikt wśród nas nie chce rozkazywać, a wszystkie nasze czynności i sprawy polubownie rozbierane i zgodnie wykonywane bywają.

Żadne miłosierne przedsięwzięcie nie jest nam obce; lecz jeżeli Towarzystwo słucha głosu nakazującego miłosierdzie, to z drugiej strony umie także stosować się do przepisów chrześcijańskiej roztropności, czyli przestrzegać, aby wątłych sił nie obracać na podejmowanie zbyt wielu rozmaitych przedsięwzięć, dopóki nie rozwiniemy w sobie rozsądnego doświadczenia, obmyślającego przezornie i roztropnie wszystkie sposoby i środki do pożądanego trwałego dzieła zmierzające. W przeciągu też dopiero ostatnich lat piętnastu, od chwili założenia Towarzystwa w r. 1866, z inicyatywy jego wyszły na jaw w Galicyi niektóre miłosierne instytucye, jakoto: 1) internaty dla kształcącej się młodzieży na nauczycieli ludowych; 2) zakład ks. Siemaszki dla zaniedbanych chłopców; 3) kasy pożyczkowe; 4) opieka nad wychodzącymi z więzień przestępcami; 5) zupy rumforckie; 6) kojarzenie dzikich małżeństw; 7) stowarzyszenie rzemieślnicze pod opieką św. Józefa w Krakowie; 8) czytelnie i biblioteki dla ubogich i t. p. Dodać tu jednak wypada, że temi instytucyami rządzą specyalne, osobne komitety, które zdają z czynności swych sprawozdania Radzie wyższej. Wszystkie te przedsięwzięcia są dobre i wielce pożądane, ale istoty Towarzystwa św. Wincentego à Paulo nie stanowią; jego bowiem głównem zadaniem jest odwiedzanie ubogiego w jego własnem mieszkaniu; zachęta do pracy, bo to, co mu dać możemy, jest tylko do pracy pobudką, a nie zaspokojeniem wszystkich potrzeb jego rodziny; wreszcie dbałość o moralne i religijne wychowanie dzieci.

Ale do kogóż w tak ważnym celu ośmielamy się odzywać? Do tych, co z powołania swego i godności, jakie piastują, są światłem po-

wszechnego katolickiego Kościoła św. — do tych, od których czerpiemy wiarę naszą, a którzy wzorem cnót i przykładów zagrzewają nas samych do miłości Boga i bliźniego. Do ojców też naszych i ojców ubogich zanosimy tę najuniżeńszą prośbę, aby raczyli poprzeć słabe usiłowania nasze, zakładając po parafiach konferencye, utrzymujące miłość, jedność, zgodę, tak potrzebną między nami.

Ktoby zatem z Przewielebnego Duchowieństwa chciał się do naszej prośby przychylić, zgłosić się raczy do sekretarza Rady wyższej w Krakowie (ul. św. Tomasza l. 28), a ten nie omieszka posłać statutów Towarzystwa, przez Wys. Namiestnictwo potwierdzonych, w których rozpatrzeć się i zbadać je wypada przed założeniem konferencyi[1].

Dnia 29 maja 1891 r.

W zastępstwie Prezesa
Rady wyższej na całą Galicyę:
Wice-Prezes:
Stanisław Górski.

Sekretarz Rady wyższej:
Władysław Bartynowski.

Znowu kwestya szkoły wyznaniowej.

21 czerwca.

Każdemu wiadomo, że nasze pismo nie miesza się do polityki Koła polskiego w Wiedniu; kiedy się jednak zdarza, że poruszone są zasady katolicyzmu, i kiedy się pokazuje około tych zasad pewna niejasność pojęć, obowiązkiem naszym jest zasadę postawić jasno; — niech politycy patrzą, jak do niej swą politykę dopasować.

Z bólem serca czytamy w tej chwili w gazetach zarzuty, czynione w parlamencie Polakom, iż zajęli stanowisko wobec kwestyi szkoły wyznaniowej niezgodne z tradycyą katolicką swego narodu.

„Z całego rozwoju dziejowego Polski — mówi między innymi poseł baron di Pauli — widzimy, że katolicy a Polacy to samo zupełnie

[1] Protektorem Towarzystwa jest Jego Em. Kardynał Dunajewski, książę-biskup krakowski. Obecnie w Galicyi jest 19 konferencyj. Tam, gdzie jest kilka konferencyj, jak np. we Lwowie, łączy je Rada miejscowa, której honorowym prezesem jest JE. ks. arcybiskup Morawski, a aktualnym prezesem Najprz. ks. biskup Puzyna. Rada zaś wyższa, z siedzibą w Krakowie, składa się, prócz prezesa, ze wszystkich prezesów i wice-prezesów 5-ciu konferencyj wraz z Podgórską, i kilku poważnych członków, przez prezesa do Rady powołanych. — Dodać też tu wypada, że Towarzystwo św. Wincentego à Paulo obdarzone zostało bardzo licznymi odpustami przez papieża Grzegorza XVI., Piusa IX. i panującego nam Ojca św. Leona XIII.

znaczyło, a nawet język urzędowy używał wyrazów tych jako równoznacznych. Widzimy też, że od wieków Polska zawsze stawała w obronie Kościoła katolickiego i praw katolickich. Polska była i jest tego dobrze świadoma, że walka rozstrzygająca musi być prowadzona na gruncie katolickim. Zdaje mi się przeto rzeczą nie do uwierzenia, by rycerski naród polski właśnie w walce o chrześcijański charakter szkoły miał sprzymierzeńców swych opuścić; tem mniej, że w komisyi adresowej usłyszeliśmy zdanie jednego z członków delegacyi polskiej, iż Galicya posiada szkołę chrześcijańską, i dumną jest i szczęśliwą z tego, że ją posiada. Nie mogę przeto uwierzyć, by katolik tak wierny swym zasadom, który tak doskonale dobro to ocenił, współpoddanym swoim nie miał go życzyć i do osiągnięcia go nie miał im pomódz. Nie mogę temu dać wiary, by tam już nie pamiętano na wielką przyjaźń Piusa IX. dla Polski i na jego zdanie o naszej ustawie szkolnej. Nie mogę temu uwierzyć, by zmieniono zapatrywania, jakie przed dwoma jeszcze laty wypowiedział p. Bobrzyński podczas rozprawy szkolnej, a które przed 20 laty daleko silniej zaznaczył kilkakrotnie w tej wys. Izbie p. Grocholski. — Z jakiegoż powodu miałoby się to odmienić? Z przychylności dla partyi, której oznaki miłości chwilowo są wprawdzie głośne, lecz bynajmniej jeszcze niewypróbowane . . .“

Tu przypomina poseł di Pauli szczegółowo sławną mowę Bismarcka z r. 1886 przeciwko Polakom, łączącą szyderstwa i obelgi z żądaniem stu milionów dla wyrugowania ich z Poznańskiego — i przytacza adres, w którym klub niemiecki z Wiednia, jądro dzisiejszej lewicy, winszował Bismarckowi tej mowy i zupełną zgodność przekonań wyrażał. Tacy to są ludzie, na których przyjaźń zdaje się liczyć delegacya polska.

„I my — dodaje di Pauli — gdybyśmy mogli odstąpić od naszej petycyi szkolnej, gdybyśmy odwrót taki mogli pogodzić z naszemi religijnemi zapatrywaniami — to z pewnością polityczne i parlamentarne nasze stanowisko zupełnie stałoby się innem. Wiemy, że wtenczas z otwartemi rękoma wszędzieby nas przyjęto, że poszukiwanymi bylibyśmy sojusznikami“. — Ale dla chwilowej korzyści politycznej nie możemy poświęcić wyższych i prawdziwie żywotnych interesów ludności, gdyż „miliony katolików i wierzących chrześcijan Austryi stanowczo żądają zmiany ustawy szkolnej w duchu chrześcijańskim. Prawda, że ludności naszej w krajach alpejskich ciężko daje się uczuć upadek rolnictwa; że liczne są skargi na ucisk podatkowy i straszny ciężar służby wojskowej; dodajmy do tego klęskę jaką niespodziewaną, mrozy zbyt silne

czy gradobicie, lub powódź — a biedna nasza ludność znajdzie się nad brzegiem ruiny ekonomicznej czyli poprostu wobec głodu... A jednak ta ludność, której jesteśmy przedstawicielami, do małej względem nas poczuwałaby się wdzięczności, gdybyśmy tylko na takie materyalne kwestye uwagę zwracali, gdybyśmy zapomnieli o najserdeczniejszem życzeniu tysięcy ojców rodzin chrześcijańskich... Co więcej, w chwili niebezpieczeństwa socyalnego, w czasie reform społecznych, my, piastunowie władzy ustawodawczej tego państwa, nie możemy wziąć na siebie tej odpowiedzialności, byśmy w takiej chwili zamilczeć mieli o nadzwyczajnej ważności wychowania religijnego na chrześcijańskich podstawach..." Reszta mowy jest przeprowadzeniem tej myśli, że najwięcej socyalizmowi zależy na tem, aby szkoła ludowa pozostała niechrześcijańską jak jest, a jedynym skutecznym środkiem przeciwko postępom socyalizmu jest uchrześcijanienie szkoły — bo „czyja jest szkoła, tego przyszłość".

Odpowiada się na to wszystko u nas, że nasza szkoła ludowa ma charakter wyznaniowy — że nasi posłowie są wyłącznie przedstawicielami interesów naszego kraju — że ewentualne reformy szkoły powinny się wyłącznie na zasadzie autonomicznej przeprowadzać... Otóż powiem poprostu, że to wszystko wydaje mi się niezrozumieniem (dobrowolnem czy niedobrowolnem) jądra kwestyi, o którą chodzi. Wyznaniowość szkoły nie na tem zależy, żeby w nią wprowadzić kilka godzin więcej nauki religii — co można na drodze autonomicznej uskutecznić, i co u nas w pewnej mierze zrobiono — ale na tem, żeby cała szkoła miała w zasadzie i prawnie charakter wyznania, do którego dzieci należą: żeby więc rozgraniczała dzieci według wyznań, katolickim dzieciom zapewniała wyłącznie katolickich nauczycieli, poddawała tych ostatnich pod nadzór katolickiego Kościoła; żeby wykłady wszystkich przedmiotów musiały prawnie liczyć się z zasadami wyznania uczniów, a obrażać ich nie mogły. Otóż ustawa zasadnicza, dziś w całem państwie austryackiem, a więc i u nas, obowiązująca, stawia wręcz przeciwną zasadę: że szkoła wyłącznie do państwa należy, że abstrahuje od wyznań, dzieci różnych religij łączy na jednej ławce, pod jednym nauczycielem, który może być bezwyznaniowym i żydem; nie odbiera wprawdzie księdzu możności uczenia religii, ale stawia go w szkole w zależności prawnej od nauczyciela ludowego.

Każdy widzi, jak zgubne wpływy pod względem religijno-moralnym wywierać może na ludność wiejską szkoła na tych zasadach postawiona; a petycye brzemienne w fakta i łzami pisane, jakie od kilku

lat zanoszą do tronu ojcowie i matki rodzin z Górnej i Dolnej Austryi i wielu innych części monarchii, dowodzą, że te obawy nie są bynajmniej chimerycznemi. — W Galicyi dobra wola władz miejscowych uchyla narazie i faktycznie większą część owych złych skutków, otacza pewną czcią w szkole religię katolicką; ale ani dobra wola władz administracyjnych, ani żadna uchwała sejmu, nie może zmienić tej zasady bezwyznaniowości szkoły, która i u nas istnieje i u nas doprowadzić może do najgorszych następstw, a w sąsiednich prowincyach już do nich doprowadziła. Posłowie nasi w Wiedniu powinni oczywiście mieć na sercu w pierwszym rzędzie interesa swego kraju, ale nie mają prawa zapoznawać najżywotniejszych interesów innych prowincyj; owszem, powinni je według swoich zasad oceniać i bronić ich. Każdy poseł, będąc prawodawcą dla całej monarchii, jest też prawnie przedstawicielem interesów ludności całego państwa. Co więc niektóre z naszych gazet na zarzuty p. barona di Pauli i księcia Liechtensteina odpowiedziały: że Polacy sprzeciwiają się ustawie o szkole wyznaniowej, jedynie ze stanowiska autonomicznego — to według powyższego wyjaśnienia, nie jest żadną odpowiedzią. Owszem, kto chce przerobić szkołę ludową na wyznaniową zapomocą autonomii, ten powinien przedewszystkiem dążyć do obalenia istniejącej ustawy zasadniczej, przez centralistów i w ich myśl wprowadzonej; a jeżeli ją chce obalić, to niema na to lepszego środka, jak właśnie uderzać na jej charakter bezwyznaniowy, sprzeczny z wymaganiami katolickiej ludności Austryi.

Ale — powiadają jeszcze — przeprowadzenie szkoły wyznaniowej jest w tej chwili niemożliwem, sam książę Liechtenstein od swego wniosku odstąpił, nie możemy innej polityki prowadzić jak z rządem... Odpowiadam, że niema potrzeby ani obowiązku każdą zasadę w każdej chwili naprzód wystawiać — ale żadnej zasady prawdziwej w żadnej chwili nie można się zapierać. Otóż, wyznaniowość szkoły jest zasadą prawdziwą i do kompleksu katolicyzmu należącą. Wykazaliśmy to obszernie i dowodnie na tem samem miejscu, z okazyi wniosku księcia Liechtensteina [1]; później biskupi naszego kraju i całej monarchii uroczystem odezwaniem się w parlamencie, i w zbiorowym liście pasterskim, zatwierdzili powagą swego urzędu, że Kościół domaga się i ma prawo się domagać szkoły ludowej katolickiej dla dzieci katolickich, że im pasterski obowiązek nie pozwoli spocząć aż to osiągną, i że wszyscy katolicy powinni do tego dążyć, i tej dążności wymagać od posłów

[1] *Przegląd Powsz.* 1888, t. XIX., str. 1.

przez siebie obieranych. — O zasadzie zatem wątpić trudno — zapierać się jej nie można — pomijamy kwestyę oportunizmu: kiedy będzie na czasie za tę zasadę kopję kruszyć. Sądzimy przecież, że to przynajmniej byłoby na czasie po tem wszystkiem co zaszło, by Koło oświadczyło się kiedykolwiek w zasadzie za zmianą majowych ustaw austryackich w kierunku wyznaniowości szkoły [1]. Byłoby to, jak sądzimy, pożądanem, nawet ze względów politycznych. Kierunki rządów zmieniają się często — jedynie kierunki stronnictw mających jakieś zasady, coś stałego przedstawiają; a między stronnictwami, pewnie nie liberalne będą stałymi sojusznikami naszymi.

Jeszcze bardziej zaś pożądanem byłoby takie stanowisko wobec opinii kraju nawskróś katolickiego — opinii, którą byłoby śmieszną rzeczą identyfikować z gazetami. Gazety, co prawda, odkąd kwestya szkoły wyznaniowej jest na porządku dziennym, po części o niej milczały lub wyrażały się dwuznacznie — po części występowały wrogo, równobrzmiąco z wiedeńskimi semicko-liberalnymi organami. Tem większa jest zasługa *Kurjera Polskiego*, że zajął w tej sprawie zasadnicze stanowisko katolickie, domagając się bez ogródki i zastrzeżenia szkoły wyznaniowej, i piętnując jako nieszczerość taktykę *N. Reformy*, która z jednej strony popisuje się wobec czytelników z frazesami o swych uczuciach katolickich, a z drugiej strony podaje rękę semickim liberałom w zwalczaniu katolickich zasad i instytucyj (por. *Kurjer* z 11 czerwca: „Precz z obłudą!"). — Ale, cokolwiek gazety powiedzą, ludność naszego kraju, ogromna większość wyborców, trzyma ze swymi biskupami i ufa nauce i kierownictwu Kościoła.

Ks. M. Morawski.

---

[1] Już po napisaniu tego artykułu, otrzymaliśmy mowę posła Madejskiego, wypowiedzianą 20 czerwca. Znajdujemy w niej z pociechą zatwierdzenie, że „Polacy niewzruszenie trzymają się postulatu religijności w wykształceniu i wychowaniu ludu"; — nie znajdujemy jednak afirmacyi zasady szkoły wyznaniowej — co się bardzo różni od pierwszego, jakeśmy wytłumaczyli; i nie znajdujemy wyrażonego zamiaru zwalczania istniejącej ustawy szkolnej powszechnej — chociaż mowca wyraźnie przyznaje, że ta ustawa nam samym „przeszkadza pod niejednym względem w ukształceniu naszego szkolnictwa, tak jak istotnie potrzebujemy".

Druk ukończony 1 lipca 1891 r.

NAPOLEON I JEGO SPUŚCIZNA WE FRANCYI.

(Taine: *Les Origines de la France contemporaine,* le Régime moderne, I. vol.).

Kilka słów genialnych, rzuconych na końcu ostatniego tomu *O Rewolucyi*, streszczały zdanie Taina o owym człowieku czy półbogu, który potężną dłonią na wściąż otworzył podwoje naszego stulecia. Tom niniejszy jest rozwinięciem i uzasadnieniem tego lapidarnego sądu. Taine, który rozbił w puch legendę rewolucyjną, zabrał się i tu do dzieła demolicyi: ale tu praca była łatwiejszą; świątynia była opuszczona a podstawy posągu zachwiane. Kult napoleoński przebył fazę najświetniejszą, i upadł z towarzyszami i wspólnikami epopei jego: legenda przetrwała jeszcze ze dwie generacye, wśród których protesta ujarzmionych i zdeptanych, zrazu ciche, coraz głośniej się odzywały. Wielkie i nadludzkie prawie linie posągu, imponowały wszakże ciągle światu. Te linie główne, te proporcye, utrzymują się i po przeczytaniu książki Taina.

Patrzy on na tego olbrzyma bez zapału; a przecież przy oziębłości, i prawie wstręcie, podziw i entuzyazm przebija. Bo metoda Taina, jeżeli zmniejsza postać bohatera, to tyle tylko co każda analiza. I pod nożem anatoma znaleść się może podziw dla siły budowy, dla mocy czaszki i muszkułów, dla rozmiaru kośćca. Taine nie zmniejsza systematycznie posągu, jak mu to napoleoniści zarzucają: on analizuje naturę kruszcu, bada pochodzenie jego, docieka części składowych; szuka analogii mię-

dzy naturą człowieka a jego dziełem, studyuje rozwój psychologiczny namiętności, którym powodzenie wzrastające nadaje siłę rozpędu niepohamowaną; sądzi człowieka przez dzieło, a dzieło przez człowieka; widzi i podziwia organizm umysłowy rzadkiej doskonałości, rozbiera jego części składowe, jak sprężyny w zegarku, a każda, naturą kruszcu i hartem swoim, tłumaczy siłę w użyciu i działaniu, precyzyę w akcyi i proporcyę siły z zamiarem a zamiaru z celem. Ostatecznie działanie zawodzi, a dzieło próby czasu nie wytrzymuje, gdyż egoizm szalony, który był niegdyś sprężyną działania, gdy mu wewnątrz kraju podstawy materyalnej zabrakło, w spotkaniu z oporem zewnętrznym maszynę rozsadzić musiał.

Czy to studyum wyczerpało wszystkie strony człowieka i jego dzieła? Powiedzielibyśmy, że prawie wszystkie zaznaczyło, że Taine go zrozumiał i zważył: z natury zaś autora wypływa, że sąd jego historyczny nie jest kompletny, bo nie wszystkie sfery widzenia są mu dostępne. Że autor zestawił wszystkie rysy grube, szorstkie, nieszlachetne, brutalne swego bohatera, nie robimy mu ztąd zarzutu. Za co ma trwać aureola tej czci nadziemskiej a niezasłużonej, która tak długo postać tę otaczała? Zostanie mu jego piętno własne, geniuszu, danego na podźwignienie i ukaranie narodu, który ujarzmił, i świata, który chłosty potrzebował. Wszak wolno współczuć z tem, co jeszcze szlachetnego w owym pokoleniu pozostało, a co tak nielitościwie poniewierane bywało przez tego wielkiego, a czasem tak małego człowieka.

Słyszeliśmy zdanie, jakoby Taine ze zbyt bliska i niemal przez lupę patrząc, tracił rozmiary i wrażenie całości. W istocie, metoda analitycznej krytyki ma to do siebie, że rozdrabnia i pozbawia, że tak powiem, życia, przedmiot rozbierany. Taine wszakże obok analizy, stawia i syntezę: dzieło napoleońskie w polityce i prawodawstwie: Francya bezmiernie rozszerzona na zewnątrz, i Francya z chaosu rewolucyjnego wyrwana i w ład wprowadzona. W ład sztuczny, to prawda, ale sprawiedliwość żąda przyznania, że to już nie z jego winy. Nie chcemy z Tainem polemizować; byłoby to zbyt trudnem, zasadnicze różnice są

zbyt wielkie, ale w praktyce tak subtelnie utajone, że na wszystko godzić się z nim trzeba.

Chcielibyśmy czytelnikowi, któremu brak czasu utrudnia studyum znakomitej podług nas książki, podać treść takowej, a to tem bardziej, im więcej dziwi nas milczenie krytyki, które niemal na *mot d'ordre* wygląda.

I.

Spotykając się z postacią, nad każdem społeczeństwem górującą, ale tak wręcz niepodobną do współczesnego jej pokolenia, Taine ciekawie bada jej początki, i wierzy swojej metodzie naukowej, przypuszcza — bo dowieść nie może — duchowy i fizyczny proces atawizmu. Mieni on Napoleona prostym, ze krwi i ducha potomkiem włoskich tyranów i kondotierów, Castruccio'ów, czy Borgiów. Stara, gorąca krew włoska, przechowała się, podług autora, bez przymieszki, w napół dzikiej rodzinie i społeczeństwie korsykańskiem, i jak źródło przefiltrowane wiekami przez skały, wytrysła nagle w całej pierwotnej czystości i sile. Ta sama co w tamtych przewaga krwi i nerwów nad wszelkie względy otoczenia, przyzwoitości, długoletniej tradycyi cywilizowanego społeczeństwa i przytem napięcie w danej chwili woli i namiętności, którego motorem bezdenny egoizm, sprowadza wybuchy takiej siły, że rozsadzają wszystko wokoło: i uznane powagi, i wzgląd na osoby czy na obyczaj, wszystko ustępować musi przed paroksyzmami gniewu i samowoli: a to tem bardziej, że wybuchy te, to jak gdyby duchy na służbie jego; u zwykłych ludzi, namiętności osobiste są przeszkodą i słabością: u niego działają one jak żarzewie, podłożone w stosownej chwili pod kocioł parowy: powiększa prężność, przyspiesza działanie.

W organizacyi jego umysłu, tej organizacyi tak potężnej a tak stworzonej do dzieła, które miał dokonać, tkwi także jakaś pierwotna raczej niż wyrobiona siła. Już ze szkolnej nauki bierze w siebie tylko to, co mu potrzebne: resztę, jako balast zbyteczny, odrzuca. Ten umysł wykształca się sam, nie na książkach, ale na wypadkach i ludziach. Wbrew wszystkim fałszywym teoryom XVIII. wieku, wbrew zwłaszcza Russowi, który wynalazł

człowieka idealnego, sztucznego, i z takich osobników, równie sztuczne i fałszywe składa społeczeństwo — Napoleon widzi człowieka tylko konkretnie, i takiego studyuje, z charakterystyczną od młodości ciekawością. Czyta w ludziach, i ten kunszt posuwa tak daleko, że gra potem jak mistrz na ich duszach, nerwach, nadziejach, namiętnościach, na każdej ich myśli i uczuciu, które rozumie lepiej i prędzej, niżeli oni sami. Ztąd, czy straszy czy głaszcze, czy pomija czy lekceważy, wywiera na drugich wrażenie tak olbrzymie, a tak naprzód w nim samym obrachowane. Mistrz niezrównany, gdyby mu żadnych tonów nie brakowało: ale w jego skali niema miejsca na pewne uczucia wyższego i szlachetniejszego rzędu, niema go zwłaszcza na zasady, i tych tonów nie nabędzie już nigdy. Ten umysł tak jasny i trzeźwy, w pierwszych przynajmniej latach, pomimo gwałtownych namiętności, zda się głuchy czy nieczuły na pewne odgłosy...

Powracając do pojemności tej kolosalnej głowy, Taine słusznie przyznaje mu encyklopedyę wiedzy geograficznej, topograficznej, statystycznej, przedewszystkiem strategicznej, z całym ogromem szczegółów najściślejszych, ciągle przytomnych, uszykowanych jak rozdziały księgi w rejestrze, wiecznie na zawołanie w tej pamięci, która nie zawodzi nigdy. W jednej chwili zdaje sobie sprawę z pozycyi, potrzeb, zasobów, środków, znaczenia każdego niemal punktu na kuli ziemskiej. Umysł zaś jego, poza tą służbą czynną, rzeczywistą, wystarcza jeszcze na pracę wyobraźni szalonej, która tworzy kombinacye możebne i niemożebne, i poza rzeczywistością, której granice z czasem zapoznaje, puszcza wodze fantazyom zaborczym, które są jego słabością, a staną się z czasem i zgubą. Monarchia Karola V. nie wystarcza mu, majaczy przed nim państwo Aleksandra, a kampania rosyjska, to tylko etap na drodze do Indyj...

To szaleństwo ambicyi tłumaczy kruchość zbudowanego gmachu: materyały tak różne, choć zbite i zmiażdżone tak potężnym stemplem, były przecież organizmami żyjącymi, i do szczętu zabić się nie dały. Jedno niepowodzenie i kilka błędów, wystarczyły, aby się cegły usunęły i gmach runął.

II.

Co wyznawcom, czy epigonom kultu napoleońskiego najdotkliwszem może będzie, to, że osoba bohatera jest raczej epizodem, czy wstępem, niżeli treścią książki Taina. Część główna i najważniejsza, to wpływ i skutki jego działania na obecny ustrój Francyi. Napoleon odbiera tę Francyę zmiażdżoną konwentem i terroryzmem, i trzema czy czterema niefortunnemi próbami konstytucyi — ostatnie roboty Sièyes'a. Autor, w genialny a sobie właściwy sposób, odtwarza ten bezrząd, poczynający się w gminie, a idący w górę, aż do władzy prawodawczej i wykonawczej. Okazuje jasno i ściśle, że kraj iść dalej tym trybem nie mógł, że żaden narząd, czy administracyjny czy rządowy, nie odpowiadał swemu celowi, że dziesięć lat jakobinizmu, zaszczepionego na teoryach Russa, tak zatomizowały, ubezwładniły społeczeństwo, że już w niem zgoła materyału obywatelskiego nie pozostało: była masa chaotyczna, która musiała przemocą być wtłoczona w sztuczne formy, bo siłę organiczną własną straciła. Gdyby pomoc z zewnątrz nie była się znalazła, społeczność rozpaśćby się musiała: Opatrzność ją dała w człowieku, który łączył w sobie wszystkie warunki tej siły niemal twórczej, jakiej było potrzeba. Wprawdzie nie rzekł on martwemu społeczeństwu: „wstań a chodź", ale je dźwignął, dając mu główne warunki bytu, a spowił tak mocno, że choć nie o własnej sile, iść mogło i musiało. Na papierową budowę Sièyes'a dmuchnął, i w proch się rozsypała: trybunał obalił, konsulat zagarnął, senat ujarzmił, a chwyciwszy w silne dłonie luźne lejce władzy i rządu, pokierował odtąd sam tym wozem, staczającym się szybko ku przepaści.

Znakomitym jest rozdział o władzy centralnej czyli państwowej, i jej zakresie: jak konieczną jest w społeczeństwie, gdy poza ten zakres nie wychodzi, jak szkodliwą, gdy go przekracza; jak w społeczeństwie zdrowem i normalnie rozwiniętem tylko to podpada pod władzę państwa, czego z natury swojej autonomie prowincyonalne, miejskie, gminne, korporacyjne, spełnić nie są w stanie; o ile sam tylko instrument państwowy może pełnić służbę ogólnego porządku, obrony zewnętrznej i wewnę-

trznej, o tyle bruździ, wykoszlawia, psuje każdą sprawę, której inne siły podołać mogą. Wsparty na wielu, zwłaszcza współczesnych przykładach, autor wykazuje, co się dzieje pod ręką państwa ze sprawami religii, wychowania, instytucyj dobroczynnych, nauk, sztuki, przemysłu, rolnictwa; dowodzi, jak czynniki z natury swojej do tych spraw powołane, widząc się niepotrzebnymi, tracą po części, a wreszcie zupełnie zmysł organizacyi, działania, samorządu, i miasto zdrowych członków ciała społecznego, które z niem łączną siłę wytwarzać powinny, zamieniają się w trzodę bierną, czekającą ręki dość silnej, by ją ująć i pchnąć zdołała.

Taine w kilku śmiałych rysach maluje koleje, jakie te siły społeczne przechodziły we Francyi; jak władza chrześcijańska i feudalna królów zamienia się, dzięki legistom, na rzymskiem prawie opartym, w coraz umiejętniej pojętą wszechwładzę Cezarów; jak król, posiadający już ziemię, staje się jedynym przedstawicielem prawa, jak zacieśnia coraz więcej prawa stanów, prowincyj, korporacyj, na korzyść własną; jak później królowie sami sprzedażą praw i przywilejów w tej pełności praw własnych robią wyłomy. Z tego zamętu encyklopedyści, a właściwie Rousseau, jedyne wyjście znajdują, przedstawiając sobie społeczność jako zbiór osobników bez praw nabytych, bez różnicy, bez przeszłości ani cech narodowych, które jednoczą się, aby część praw własnych ustąpić na rzecz rządu czyli państwa; to ostatnie, jako delegowane od społeczeństwa, jest rzekomo sługą, a właściwie tyranem jego. Dzieje przedrewolucyjne wykazały, jak prędko i łatwo teorya ta się przyjęła, wyzwalając najbardziej uciśnionych, a równając wszystkich pod jeden strychulec. Legiści pierwsi ją protegują; z tym samym zapałem, z którym bronili regaliów, dziś wyznają wyłączność praw państwa, jako mandataryusza społeczeństwa, daleko bezwzględniejszego, aniżeli Ludwik XIV. lub Richelieu mógł być kiedykolwiek. Oczywiście państwo, jako reprezentant ogółu, musi posiadać pełność praw, panować nad wszystkiem, a nadewszystko nie dopuszczać żadnego cienia indywidualnego lub korporacyjnego działania — w niem wszystko, przezeń i odeń wszystko zaczyna się i kończy. Więc przeszłość dziesięcio-

wiekowa, więc wielorakie wpływy i czynniki cywilizacyjne i historyczne niczem, i wszystko zacząć trzeba *ab ovo*.

Społeczność przedrewolucyjną francuską przedstawia autor jako gmach stary, napozór bez planu stawiany, sklecony z wielorakich, niejednolitych części, które wiekami zlały się w jedno. Gmach w jednych częściach zbutwiały, podpierany, w innych dla obecnych mieszkańców za ciasny, w innych za przestronny, potrzebował niezawodnie częściowej przebudowy, aby się do potrzeb czasu dostroić. Ale filozofowie osądzili, że nic z niego zachować nie warto; zgromadzenie narodowe ściągnęło nań rękę równie lekkomyślną jak niepowołaną, i gmach zrównano z ziemią.

Z ustrojów rządowych, kościelnych, prowincyonalnych, miejskich, nie zostawiono nic zgoła. Próby nowej budowy wszelako zawiodły: przez dziesięć lat przybywało tylko gruzów i ruin, żadna konstytucya warunków życia nie miała, bo prawodawcy mieli na oku lalki ubrane frazesami, nie zaś ludzi z krwi i kości. Aż wyszedł na scenę architekt, obejmujący jednym rzutem oka całości i szczegóły, rozumiejący wszystkie warunki społecznego bytu, zdolen je narzucić przemocą, a zwłaszcza korzystać z tej *tabula rasa*, jaką zastał, aby po swojej myśli gmach nowy z gruntu postawić. I nie minęło lat parę, a stanął — okazały, skończony, jedyny w swoim rodzaju, jasny, dostępny, wszystkim potrzebom odpowiadający, bo obmyślony przez umysł równie trzeźwy jak genialny. Wszystko w nim jest, ale też poza nim na nic miejsca niema. Niechaj się nikt nie waży marzyć o jakiejkolwiek budowie osobnej, niech nikt nie śmie żadnej potrzebie osobistej, wewnętrznej chcieć uczynić zadość, żadnego działania indywidualnego lub wspólnego rozpocząć; każdy zawiązek i zachcianka takowego będą zduszone bez miłosierdzia. Bo też poco czegoś żądać poza tym ideałem wykończonym, przed którym rządy dawne kryć się muszą: istotnie, całe wieki średnie i nowożytne, czując niedostatki swoje, wzdychały za taką formą skończoną i doskonałą. Przeczuły ją a raczej zaznały, na zaraniu swojem, bo wtedy, gdy społeczeństwa nowe mozolnie dorabiały się kształtu; takim właśnie błyszczał w ich oczach gmach rzymskiego imperyum, w tych samych niemal warunkach, i na gruncie niegdyś

różnorodnym, ale tak samo zmiażdżonym i zmieszanym, powstały. Klasyczny to był gmach, również dzieło rzymskich legistów, i Napoleon wprost się okazał spadkobiercą myśli Dyoklecyana.

Wśród tylu nagromadzonych ruin trzeba było radzić najpilniejszym społeczeństwa potrzebom. Nie było sądownictwa ani administracyi, nie było wychowawczych zakładów, a najsilniej zorganizowane rządy kościelne i zakładów dobroczynnych, Konwent nietylko wyrwał z korzeniem, ale grunt zpod nich usunął, zagarnąwszy fundusze kościelne i dobroczynne. Wreszcie była otwarta rana emigracyi, która kraj pozbawiła części mieszkańców znacznej co do liczby, o wiele ważniejszej co do wartości Wrócić społeczeństwu francuskiemu tę stratę, a uczynić to bez wstrząśnień, z korzyścią dla kraju i dla siebie, wyzyskać tych przybyszów zdolności, przeszłość, tradycye, wprzęgnąć „w swój rydwan zwycięski“ tę najszlachetniejszą część starej monarchii— to w ciągu lat niewielu zrobił nowy pan. Jak mądrze, jak misternie ta szorstka żołnierska ręka działać umiała, jak opatrując społeczeństwa potrzeby, na chwilę swego interesu z oka nie tracić, jak konkordatem uzyskać sankcyę nabywcom dóbr poduchownych, a na kraj złożyć cały niemal ciężar utrzymania duchowieństwa, szkół, wyższych zakładów naukowych—to tylko Taine podpatrzyć i opisać potrafi. A wiele tam szczegółów ciekawych i nowych o stanie szkolnictwa przedrewolucyjnego! jak genialnie pojęty i określony czynnik duchowy w społeczeństwie! — to już streszczać żal — trzeba przytoczyć ten ustęp znakomity:

„Głośniej niż potrzeba nauki i wykształcenia, wydobywa się z dusz ludzkich jęk za odebraną wiarą i Kościołem. W każdem wyznaniu karność i obrządek stanowią część integralną wiary, boć ona im daje początek i przez nie się ujawnia, ani dotknąć tej zewnętrznej strony nie można bez szkody dla rdzennej istoty. Ta zwierzchnia szata nigdzie jednak tak czułą i nietykalną nie jest, jak w Kościele katolickim, będąc związana z istotą jego organicznym łącznikiem dogmatu. Nauka bowiem katolicka uznaje jako dogmat potrzebę Sakramentów i powagę kapłaństwa; niema tu więc przerwy pomiędzy rdzeniem a powłoką. Wszak Sakramenta Kościoła katolickiego nie są symbo-

lami, lecz moc uświęcającą i siłę skuteczną mają same w sobie. Co oznaczają, to i sprawiają: kto mi używać ich broni, ten zatyka źródło, z którego dusza moja czerpie łaskę, odpuszczenie, zdrowie, zbawienie. Jeśli dzieci chrzcić mi niewolno, to nie są chrześcijanami. Jeśli konająca matka ostatniego Namaszczenia nie odbierze, to nieopatrzoną puścić muszę w drogę ostatnią. Jeśli nas burmistrz tylko połączy, to żyjemy ja i żona w nieprawym związku. Jeśli win moich przed kapłanem wyznać nie mogę, to odpuszczenia ich nie uzyskam i sumienie obciążone daremnie ulgi i pomocy wyglądać będzie. Jeśli spowiedzi wielkanocnej odprawić nie mogłem, to życie moje wewnętrzne się przerywa, brak mu bowiem tego aktu ostatniego, mistycznego związku, który ciało i duszę moją jednoczy z Ciałem i Duszą Chrystusową. Żaden zaś z tych Sakramentów ważnym nie będzie *(sic!)*, jeśli go nie udzieli kapłan, posiadający znamię właściwe, niezmazane, które nadaje mu osobny Sakrament kapłaństwa: a ten ważnym być może tylko pod pewnymi warunkami, mianowicie, aby go udzielił biskup, sam instytuowany przez papieża. Zatem bez papieża niema biskupów, bez biskupów niema kapłanów, bez kapłanów niema Sakramentów, bez Sakramentów niema zbawienia.

„Zatem, instytucye kanoniczne, kapłaństwo i hierarchia katolicka są wiernemu niezbędne, ma też wyznawać wiarę swoją i podług niej żyć. Ale to jeszcze nie wystarcza. Jeśli jest gorący, pełen pierwotnego, ascetycznego ducha, który gna duszę poza świat, ku wyłącznej służbie Pana swego, potrzeba mu jeszcze możności ślubów zakonnych, czyli wędzidła na najsilniejszy instynkt zwierzęcy i najpotężniejsze popędy doczesne; potrzeba ustawicznej modlitwy, a zwłaszcza tej modlitwy wspólnej, gdzie dusza zagrzewa się gorącością dusz drugich: pobożności czynnej, czyli spełniania usług miłosiernych względem bliźnich, zwłaszcza usług odrażających, chorym, kalekom, nieuleczalnym, waryatom, pokutnicom; wreszcie potrzeba reguły czyli owej karności surowej a drobiazgowej, która nakazując codziennie te same czynności o tym samym czasie, wprowadza nawyknienie na pomoc woli i dochodzi aż do łatwości w najwyższem moralnem wysileniu. Ztąd potrzeba zgromadzeń męskich i żeńskich,

kongregacyj, klasztorów, które wraz z kapłaństwem i hierarchią tworzą ciało jednolite i nierozłącznie z wiarą katolicką spojone.

„Przed 89 rokiem, katolicy nieświadomi i nieoświeceni: chłop przy pługu, robotnik przy warsztacie, gospodyni w pracy domowej, nie zdawali sobie sprawy z tego ścisłego związku pomiędzy obrządkiem a wiarą; dzięki rewolucyi, przyszli do tej świadomości i tego niemal fizycznego przekonania. Nie pytali dawniej, czem się różni prawowierność od odstępstwa a wiara objawiona od naturalnej; dopiero konstytucya cywilna duchownych nauczyła ich rozróżniać pomiędzy mszą ważną a nieważną, rząd narodowy zrobił z nich kanonistów. Zmuszani w czasie terroryzmu do śpiewów i pląsów w świątyni Istoty najwyższej przed posągiem bogini rozumu, do obchodzenia za dyrektoryatu niedorzecznych świąt nowego kalendarza, zmierzyli własnem doświadczeniem, jak daleko od Boga osobistego, wcielonego, obecnego, — do boga mglistego, zmyślonego, nieobecnego; poznali różnicę wiary żywej, przedwiecznej, objawionej — a wiary skleconej na poczekaniu; nabożeństwa, które jest dobrowolnem wyznaniem wiary — a nakazanego, które jest publiczną paradą; księdza w ornacie, bezżennego, z sankcyą władzy duchownej, który mu otwiera podwoje pozagrobowych nadziei i rozkoszy — a celebransa w szarfie, świeckiego, mniej więcej swobodnego życia, nasłanego z Paryża z prelekcyą moralności jakobińskiej".

Te właśnie uczucia, zastygnięte i zapomniane, ożywiła i rozgrzała rewolucya. Ten sam lud, co krytykował nierzadko proboszczów, a naśmiewał się z opasłych mnichów, ten sam brał potem w opiekę prześladowanych, chronił i ukrywał księży i zakonnice, a pocieszyć się nie mógł za mszą, za nabożeństwem i za odgłosem dzwonów, które go zrana do pracy budziły, wieczór odpoczynek zwiastowały.

III.

Śmiały i oryginalny jest rozdział o źródłach dochodów w przed- i porewolucyjnem państwie. Niezaprzeczoną wyższość przyznaje autor systemowi napoleońskiemu, i to nietylko na korzyść państwa, ale głównie na korzyść społeczeństwa. Niespra-

wiedliwości i krzywdy w poborach za dawnej monarchii nie ustały wcale pod panowaniem Konwentu, tylko odwróciły się, bo przywileje i wyjątki wyszły na korzyść innej klasy ludzi: miejsce szlachty i panów, wyjętych zpod ogólnych ciężarów, zajęli Jakobini. Dochody mozolnie, nieprawidłowo i niesprawiedliwie ściągane za monarchii, zeszły do zera za Konwentu i Dyrektoryatu. Z Napoleonem nastaje nowa era; o wyjątkach, przywilejach, zyskach pobocznych, przestaje być mowa. Nowy pan zwalnia znacznie od nieznośnych ciężarów klasę rolniczą i pracującą, a podatkami pośrednimi zasila skarb w sposób równie obfity jak dla ogółu mało uciążliwy. Za to nakłada na społeczeństwo podatek nowy, o którym świat zprzed rewolucyi nie miał pojęcia: obowiązkową, a wkrótce powszechną służbę wojskową. Ciekawe, bo z nowymi poglądami niezgodne, zestawienie dawnego poboru werbunkowego z dzisiejszym przymusowym. Autor przyznaje pierwszemu wyższość jako nie gwałcącemu osobistej wolności, a uwalniającemu społeczeństwo z tych żywiołów burzliwych i niesfornych, do pracy produkcyjnej niezdolnych, których duch awanturniczy znajduje w wojaczce naturalne ujście swoje. Taine przyznaje, że powrót do dawnego systemu niemożebny, ale w obowiązku ogólnej służby wojskowej, w tej konieczności jak gdyby fatalnej, która odciąga corocznie od pracy produkcyjnej sam kwiat ludności, co do sił, wieku, zdolności, upatruje odwrotną stronę przywileju powszechnego głosowania; jedno i drugie uważa za klęskę obecnej chwili i groźbę przyszłości; stawiając jedno obok drugiego na szali, jest zdania, że przywilej obywatelstwa zbyt drogo opłacony obowiązkiem żołnierza.

Zniwelowanie społeczeństwa trwać długo nie mogło pod nowymi rządami; powstanie nowej hierarchii ciekawem jest z wielu względów. Jak w epokach zawiązków społecznych, tak i po kataklizmie rewolucyjnym, osobista zasługa była warunkiem odznaczeń i nagród, tylko że to, co niegdyś tworzyły i budowały wieki, to w tej dziwnej, gorączkowej epoce niemal dniami wzrastało. Od buduarów i czerwonych korków, od salonów, gdzie dyskutowano naiwnie o wielkich teoryach społecznych, aż do

żołnierzy, których los wojny w książąt i szambelanów przedzierzgnął, społeczeństwo francuskie dziwne wewnętrzne przeobrażenie przeszło. Humanitarna miłość i tkliwość czasów przedrewolucyjnych zamienia się w prozelityzm republikański: później żądza sławy, dla sławy, jak w czasach heroicznych, staje się bodźcem do czynu. Władca to odgaduje i z uczucia honoru tworzy dźwignię potężną, uosabiając, wcielając niejako ideę w żywy organizm, w tę sławną legię honoru, która staje się podstawą nowej hierarchii, szczytem nagrody, celem zapału milionów. Ale arcymistrz i inne żądze ludzkie rozumie i żadnej nie zaniedbuje: więc stopnie, tytuły, pensye, nadania dożywotne i dziedziczne, buławy, księstwa, wreszcie berła rozdziela; a ta drabina zysków i honorów tak szeroko i tak regularnie od szczebla do szczebla wszystkim dostępna, że każdy pnie się w górę, każdy widzi możność dojścia do najwyższego szczytu — aż gdy wreszcie zapał czynu przechodzi w chciwość korzyści, honor w egoizm, żądza sławy w interes coraz osobistszy i brzydszy, aż gdy sam twórca się chwieje, a najbliżsi gotowi podstawić mu nogę, by i jego z drogi usunąć — maszyna własnem pęka naprężeniem, a nawet honor już z tej próby nie wychodzi cały...

Nigdzie może aktywa i pasywa, dodatnie i ujemne strony mechanizmu społecznego, nie zostały obliczone tak jasno, bezstronnie, dosadnie, jak w ostatnich dwóch rozdziałach książki Taina. Mówimy z umysłu mechanizm, bo co tylko było żywego, organicznego w tych ustrojach wiekowych, które zowiemy gminą, okręgiem, prowincyą, to najprzód dawna monarchia zdusiła, odbierając wszystkie niemal swobody i przywileje lokalne [1], później rewolucya zmiażdżyła, a Napoleon odtwarzając nanowo, dołożył wszelkiego starania, aby żadna iskierka życia indywidualnego nie zakradła się do tych organizmów sztucznych, które miały być tylko kończynami, drobnemi kółkami olbrzymiej maszyny, zbudowanej i nakręconej przez niego. Nie było tam miejsca na żadną inicyatywę, na najmniejszy ruch i objaw życia własnego. Rady gminne, okręgowe, departamentalne zostały

[1] Por. Tocqueville, *La Révolution et l'ancien régime.*

wprawdzie zaprowadzone, ale rola tych ciał, opartych nie na wyborach, lecz na nominacyi, ograniczała się — jak mówi autor — do roli chóru w starożytnej tragedyi. Wysłuchać projektu budżetu ułożonego, lub raczej nałożonego zgóry i rachunków z tegoż, bez możności zmiany lub uwagi, a tem mniej nagany — na tem się ograniczało ich skromne zadanie: nominacya merów i wszystkich urzędników departamentu i gminy oczywiście poza niemi się odbywa. Twórca maszyny, który rozumie, jak nikt, materyalne potrzeby społeczeństwa, rozdzielił je tak, że każde kółko i sprężyna musi wykonać swoją cząstkę pracy ogólnej, i tę wykonuje tak doskonale, gładko, bez tarć, szarpań, utraty siły i czasu, że nikt nie czuje się pokrzywdzonym, nikt nie jest obarczonym zbyt ciężko, nikt skarżyć się nie może, że grosz przez niego na potrzeby publiczne wyłożony, nie wrócił mu się sowicie utrzymaniem dróg, policyi, bezpieczeństwa, porządku; tylko że mieszkańcy jednej gminy nie czują się związani solidarnie pomiędzy sobą niczem, prócz przypadkowem sąsiedztwem. Tak samo organizmy w dziesięciowiekowe tradycye bogate, a niektóre z niezmiernie silnym autonomicznym ustrojem, jak francuskie dawne prowincye, jednym zamachem zmieciono, a zastąpiono je szachownicą departamentów o nowych nazwach, reprezentujących podział czysto mechaniczny, bez idei, bez atrybucyj osobistych, tak że im ledwo po latach czterdziestu prawa osób legalnych przyznano... Bo dzieło napoleońskie pokazało się tak niezmiernie dla rządzących dogodne, że po Napoleonie Burboni, po Restauracyi monarchia Lipcowa, i drugie Cesarstwo, i trzecia Rzeczpospolita, pozostawiły je nietknięte. Nietknięte? — nie zupełnie: jak wszystko, czego się dotknęli Jakobini, i tę maszynę, w swoim rodzaju doskonałą, zwichnęli, wprowadzając doń czynnik swój ulubiony, a ustrojowi gminnemu z natury swojej przeciwny i wstrętny, głosowanie powszechne. Dopóki urzędy gminne obsadzane były mianowaniem z góry, dopóty w zarządzie całym była jedność i siła, nie organiczna, bo tę wykluczono, ale mechaniczna. Samorządu nie było, ale był ład i porządek zapewniający jednostkom bezpieczeństwo osób, mienia i wiele wygód osiągniętych miernym względnie kosztem.

Przypatrzmy się za Tainem powolnej rewolucyi i dezorganizacyi, którą ustrój gminny francuski przechodzi od roku 1830.

Polem tej rewolucyi jest najpierw system podatkowy. Podatki stałe, jak wiadomo, były rozdzielone w sposób mało uciążliwy, zwłaszcza dla klas pracujących i niezamożnych; niestety, do podatku zwyczajnego przybywają *les centimes additionnels*, owe dodatki, tak nam dobrze znane w Galicyi, na rzecz gminy, departamentu, szkoły, itd. — a te dodatki w stałej proporcyi zwiększają się od lat 80; i dziś, nietylko po wielkich miastach, zwłaszcza w Paryżu, ale w niektórych departamentach przewyższają pierwotną jedność podatkową, czyli franka. Ciężar ten spada na kogo? — oczywiście na tych, którzy już i bez tego byli najwyżej opodatkowani i którzy sami jedni ponoszą wszystkie koszta dodatkowe. Tym sposobem, ten który w gminie i w departamencie płaci bardzo mało, albo wcale nic, używa w równej mierze wszystkich pożytków, wygód, ulepszeń, jak ten, który płaci więcej i bardzo wiele, a raczej sam jeden je opłaca. Ten faktyczny komunizm, który nakłada wszystkie ciężary na tych, którzy mają, usuwając zpod nich tych, którzy mało albo nic nie posiadają, mógłby uchodzić za postęp w duchu chrześcijańskim i cywilizacyjnym — gdyby, jak to nietylko wskazuje teorya wymiaru prostej sprawiedliwości, ale praktyka w wielu innych państwach europejskich, w miarę ciężarów szły prawa: gdyby mianowicie ci najwyżej opodatkowani, reprezentowali w gminie choć o włos więcej, niż ci, za których płacą. Na tym punkcie wszakże cały systemat chromać zaczyna, i tu ujawnia się to działanie, które wolno napiętnować jako jakobińskie, bo skierowane jest ku temu, aby nietylko nie zostawić przewagi żadnym powagom społecznym, ale przeciwnie, przechylić szalę na korzyść tłumu, inaczej powiedziawszy, miernoty.

Póki mianowanie naczelników gmin było w rękach prefektów, dopóty prawie wszyscy merowie bywali brani zpośród ludzi zamożnych, wykształconych, o szerszym horyzoncie duchowym. Dzisiaj, gdy tak merowie, jak rady gminne wychodzą z głosowania powszechnego, którem dyryguje niemal wszędzie szajka nielicznych, ale zacieklych demagogów po miastach, a po wsiach

ciemnota i nieufność, zarząd gmin dostaje się w najmniej powołane ręce. Tak gminy i kantony, z ciał biernych ale użytecznych, stały się ustrojem szkodliwym sobie i ogółowi. Władza prefektów, choć i ta ukrócona przez rady departamentalne, również z wyborów powstałe i stałym wydziałem dopełnione, została jeszcze wielka. Cóż, kiedy i ten instrument silny i użyteczny zwichnął się w ręku obecnych władców Francyi, bo z właściwego sobie pola administracyjnego, przeszedł na pole agitacyi wyborczej i tej prawie jedynie służy: jako reprezentant każdorazowego rządu, czyli większości w izbach, wytęża on wszystkie siły ku temu, aby ten rząd w swoim okręgu popierać i wybory ponowne mu zapewnić. Wszystkie nominacye — a prefekt ma ich w ręku niemało — wszystkie odznaczenia, nagrody, pominięcia i karcenia płyną w tym jednym kierunku popierania prądu rządowego, inaczej mówiąc, radykalnego. Jak ten rząd, oparty na jedynej przewadze liczebnej, z wykluczeniem wszelkiej innej, wygląda po wielkich miastach, do jakiego bankructwa moralnego doprowadza za każdorazowymi wyborami, a jak szybko stacza Francyę ku bankructwu materyalnemu — w te szczegóły za autorem się nie zapuścimy, nie tyle z obawy znużenia czytelnika, jak zasmucenia go zbyt bolesną refleksyą, jakaby mu się nasunęła, na te same czynniki, doprowadzające do tych samych wyników w bliżej obchodzącem nas społeczeństwie.

Kończąc, chcemy zwrócić jeszcze uwagę na dziwne zjawisko. Dlaczego Taine, który tak długo był koryfeuszem licznego stronnictwa, przestał nim być, odkąd studya głębokie i z dobrą wiarą robione, otwarły mu oczy na prawdy, których dawniej nie uznawał? Odkąd w imię logiki i zdrowego rozumu przemawia do społeczeństwa, odkąd z dokumentami w ręku rozświeca niedawną przeszłość i błędy obecnej chwili, rzekłbyś, że stracił i wiarę i powagę. I nie on jeden. Leroi Beaulieu, Ferrand, Foville, ludzie studyów sumiennych, głębokich, mówią ziomkom swoim prawdy tak namacalne i absolutne, że dziw, iż tak mało słuchaczów mają. Już przeszło lat 30, jak Le Play wydał książkę, którą godzi się nazwać genialną, właśnie dlatego, że nie na teoryach, lecz na odnalezieniu i powrocie do praw pierwotnie spo-

łeczeństwami rządzących, opiera swoją „Reformę społeczną“. Wiadomo, że Le Play stworzył szkołę, i że grono ludzi, równie sumiennych jak pracowitych, studya jego metodą prowadzone poświęca badaniu przeszłości i odbudowaniu przyszłości Francyi. Szkoła ta wszelako, dotąd przynajmniej, pomimo pisma miesięcznego, zjazdów, sprawozdań, dość silnej nawet agitacyi, nie wywarła wpływu, nie zaznaczyła się w ruchu ogólnym, bo ją społeczeństwo odpycha. Zdarzyło nam się spotkać przed paru laty za granicą Francuza, rozumnego, wykształconego kierownika nauk jednego z pierwszych zakładów rządowych. Wśród rozmowy ciekawej o położeniu Francyi, po krytyce Taina, przyszedł na stół i Le Play. Dziwił się Francuz, że sława jego aż do nas doszła, i ręczył, że on wyjątkowo był w stanie o nim mówić. Gdyśmy pytali, jak dzieło tak znakomite mogło nie wywrzeć większego wpływu, odrzekł: jest powód po temu: ...*voyez-vous, c'est qu'il est chrétien.* Daremnie staraliśmy się dowieść, że to nie był u niego grzech pierworodny, że zaczął pisać na podstawie czystego deizmu, i że same studya doprowadziły go do zupełności wiary...

Wiemy, że nie wszyscy Francuzi są tego zdania, że jeśli do kogo, to do nich stosować można słowa: co głowa, to rozum — i dlatego właśnie sąd o Francyi i jej przyszłości tak trudny. Francya upada, mówią jedni: — przeciwnie, wołają drudzy, Francya się podnosi. I nie dziw, że losy narodu o tak pięknej przeszłości, zajmują wszystkich. Naszem zdaniem, to rozmyślne pomijanie głosów prawdy i zdrowego rozsądku, jest symptomatem na niekorzyść społeczeństwa i znakiem toczącej go choroby.

Niegdyś, od XVI. wieku począwszy, społeczeństwo niemniej silne i kwitnące, lekceważyło lub potępiało głosy wołające o „naprawę rzeczypospolitej“. Naprawa przyszła, ale wtedy, gdy już sił na jej wprowadzenie nie stało.

Oby tak z piękną, chrześcijańską Francyą nie było!

* * *

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY
I NA STEPY KIPCZAKU.

(UŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

(Dokończenie).

VI.

Przytoczone tu opowiadanie o O. Marcinie, kapucynie, nie było historyą wyjątkową; takich fragmentów z dziejów wygnania różnych pokoleń narodu naszego, mnóstwo możnaby było zebrać przed laty. Dzisiaj to stało się przetrudnem, a nawet najzupełniej niemożliwem. Świadkowie i uczestnicy owych wydarzeń niezwykłych przeważnie zeszli ze świata, unosząc do mogił wspomnienia, świadectwa wypadków. Nikt tradycyj nie zapisał, rozproszyły się one, zatracone nazawsze.

Na kartach dziejów wygnańców tambowskich, woroneżskich, zapisanymi być powinny przedewszystkiem losy wielu kapłanów unickich, losy kilku mnichów zakonu św. Bazylego, którzy porwani po r. 1839, bądź z parafij, bądź z klasztorów wschodnich prowincyj kraju naszego, gaśli w zupełnem zapomnieniu, nieraz — ściślej mówiąc, zawsze — w warunkach twardszych niż życie galernicze na Syberyi, bo w mniszych pustelniach prawosławnych tego rodzaju, jak poprzednio wspomniany Temnikow. Powolne konania owych wygnańców na kartach martyrologii chrześcijańskiej nie znalazły dla siebie miejsca; ich westchnienia nie przekraczały oparkanienia więzień, w których gaśli, a łzy

nie spływały do łzawnic, co mogłoby stać się w przyszłości świadectwem ich bólu. Jeśli gdzie ich pamięć czas jakiś przechowywano, jeśli ku nieznanym ich mogiłom biegły westchnienia, to chyba wśród ubożuchnych lepianek na Litwie, Polesiu, gdzie miały schronienie rodziny osierocone owych filarów unickiego kościoła na Zabużu.

Zbyt krótkim był nasz pobyt na stepach Kipczaku, abyśmy zdołali zebrać jakieś wskazówki bliższe, jakieś wspomnienia o ludziach i wypadkach z epoki prześladowań unii na Zabużu, która to doba już znikała we mgle przeszłości; ludzie zaś, co wówczas ucierpieli i poszli w pęta niewoli, oddawna legli w mogiłach. O innych, dawniejszych wygnańcach, również niewiele mogliśmy się dowiedzieć, gdyż nie spotykało się tam wcale ziomków żyjących na wolnej stopie, jak to widzieliśmy w Wiatce. Zaledwie jeden się znalazł, i do nas dopytał; ale on, acz poczciwy, niewiele się troszczył o rzeczy, które z jego zawodową pracą ściśle się nie wiązały. Przykładem mienić się mógł, jak każda maluczka nawet umiejętność, przed niewielu stosunkowo laty, opłacała się i cenioną była w głębi owego państwa. *Anteriora* jego wskazują, że najpospolitszy to był niegdyś organista w Wilnie; gdy jednak, podczas kasaty kościołów za cesarza Mikołaja, kościół przy którym on służył, zamknięto, organista bez zajęcia poszedł w świat szukać chleba i oparł się w głębi Rosyi; dano mu tam posadę urzędowego weterynarza i delegowano na dalszą północ, w celu zbadania jakichś epidemij bydła. Pojechał, tak niespodzianie na specyalistę kreowany, i wrócił ze sprawozdaniem wieluarkuszowem, na które złożyły się, nie spostrzeżenia własne, bo do nich brak było uzdolnienia, ale wspomnienia tych praktycznych wskazówek, jakie w głowach swych mieli nasi wieśniacy, jakie były umiejętnością gospodyń naszych, wszystko to, co mu nieraz w Polsce do ucha wpadało, i w myśli pozostało. Ze sprawozdania jednak zadowoleni snać byli, bo promowano organistę na wyższe stanowisko w urzędowej hierarchii weterynarzy, do czego on dobrowolnie dodawał inne, właściwsze mu zajęcie: był metrem muzyki.

Żadnego innego ziomka, dobrowolnie mieszkającego w owych

okolicach, nie spotkaliśmy; zapewne ich nawet nie było tam wówczas wielu.

Dobry ten, a skromnie trzymający się człowiek, przypominał poniekąd swą dziwną karyerą niezwyczajne losy ubogiej rodziny Jagużyńskich, która na schyłku XVII. w. emigrowała do Moskwy, i tam wkrótce doszła nietylko do bogactw, zaszczytów, lecz, co dziwniejsza, upamiętniła się nawet w dziejach tamecznego kraju. Ojciec tej rodziny, Jan Jagużyński, organistą był u Misyonarzy wileńskich. Jakieś stosunki z kupiecką kolonią niemiecką wyprowadziły go z Wilna do Moskwy, gdzie mu zapewniano znacznie większe wynagrodzenie, i gdzie również organistował Niemcom, w ich luterskim domie modlitwy. Na tem bardzo skromnem stanowisku zawiązał stosunki; syn zaś, Paweł, po szczeblach stosunków ojcowskich idąc, a nadewszystko mając w sobie coś z wyższej kultury polskiej, wzrósł na potęgę wpływową u stóp tronu Piotra W. Studyując dzieje Piotra W., na każdym niemal kroku spotykamy Pawła Jagużyńskiego, który nawet podczas podróży monarchy do Astrachania (w r. 1722), posiadał władzę regenta państwa — wydawał ukazy; a w pacholęcych latach pierwsze nauki otrzymał, dmąc w miechy na chórze misyonarskiego kościoła w Wilnie. Umarł on hrabią rosyjskim, w r. 1736. Ród jego wkrótce wygasł.

. . . . . .

Przypadkiem dowiedzieliśmy się, iż wśród większych właścicieli ziemskich owego kraju mieszka rodaczka nasza; nie znaliśmy jej i nie słyszeliśmy o niej nigdy przedtem: gdy raz, niespodzianie, wsunął się do naszego mieszkania człowiek barczysty, ogorzały, śniegiem osypany, w wielkie futro owinięty. Wszystko wskazywało, że zdaleka przybywa. Rzeczywiście, o dwieście czy też o trzysta kilometrów mieszkał ów przybysz. Był on rządcą majątku pewnej pani, z której polecenia przybył do Tambowa, by zapytać nas, czy jego mocodawczyni nie może nam stać się pod jakimkolwiekbądź względem pomocną. Podziękowaliśmy listownie za uprzejmość nieznanej rodaczce, która pochodziła z dawnego mścisławskiego województwa, a zamążpójście zaprowadziło ją na północne krawędzie smutnej, tambowskiej prowincyi.

Nie korzystaliśmy z uprzejmości owej pani; ale, po wielu latach, zapisuję ów fakt z wdzięczną pamięcią, tak dla samej pani D....of (z domu H.), jak również i dla jej siostry, Ks. L., która była prawdopodobnie jej natchnieniem. Piszący te wyrazy szczerze byłby rad, gdyby słowo podzięki i uznania przesunęło się przed okiem owych pań, jeśli jeszcze Bóg je przy życiu zachował.

. . . . . .

Nasza nieliczna gromadka tambowska, z kilku zaledwie osób złożona, ku końcowi zimy jeszcze bardziej mogła się stać rozproszoną; przyczyniały się do tego warunki topograficzne miasta. Koniec zimy zapowiadał wielkie błota, roztopy, co utrudniałoby komunikacyę naszych mieszkań, w mieście na dużych przestrzeniach rozrzuconem, pozbawionem prawie zupełnie bruków, chodników, a rozsiadłem na nizinach. Mieszkania przytem nasze na różnych a odległych punktach miasta były położone.

Zamykaliśmy się więc coraz bardziej, coraz szczelniej wśród ścian naszych szczupłych izb, wśród pracy z książką i piórem w dłoni, wśród własnych myśli i tęsknicy, która tu przejawiała się częściej, wyraziściej, niż w Wiatce. Wrażeń podnioślejszych, zdolnych rozproszyć lub zmniejszyć chmurę smutnych myśli, zawisłych na czołach naszych, brak był wielki.

Potrzeby nasze religijne nie mogły być zaspakajane. Kapłana ani kościoła nie posiadaliśmy wcale, i tak miało pozostać do końca owoczesnego wygnania. O wytworzeniu wspólnego oratoryum, na wzór wiackiego, również w owych chwilach i okolicznościach trudno było myśleć: władze tambowskie tak podejrzliwie na nas patrzały, iż na wspólną modlitwę żadną miarą nie zezwoliłyby. Zaledwie znoszono nasze istnienie, myślano wytrwale, jakby nas rozproszyć, pojedyńczo rozrzucić po całym obszarze gubernii.

. . . . . .

Dodatnim żywiołem w ówczesnej wegetacyi było przybycie dwóch nowych wygnańców z Warszawy. Panowie A. K. i H. K., chociaż nosili toż samo nazwisko, nie byli ani braćmi, ani krewnymi, jak wielu mniemało; posiadali jednak niektóre wybitne

cechy wspólne: obaj przychodzili do nas z doświadczeniem wielkiem, nietylko życiowem, lecz i wygnańczem, długie lata bowiem na wygnaniach i katorgach syberyjskich spędzili; a przytem cechą ich wspólną było wykształcenie gruntowne, którem obaj wyróżniali się.

Niedługo wśród nas gościli, tak jak wogóle w onej epoce szybko, niespodzianie, ludzie szli na wygnania i z nich wracali; szczególnie tyczyło się to mieszkańców Królestwa. Przywieziono ich przy końcu lutego, a zanim kwiecień upłynął, już otrzymali uwolnienie i wnet potem wyjechali. Krótki ten pobyt pamiętnym wszakże się stał; bo niedość, iż wnieśli z sobą do gromadki wygnańczej pewnego rodzaju żywioł dodatni, lecz z owym pobytem połączona była praca jednego z nich, praca w następstwa obfita.

Przypadek zrządził, że ja pierwszy powitałem przybywających, i z zajazdu, gdzie ulokować się chcieli, zaprowadziłem do naszego mieszkania. Tam, w ciasnocie — ściany bowiem, pomimo najlepszych chęci naszych, nie rozszerzały się — ulokowali się na pierwsze chwile owi sympatyczni przybysze. Wytworzyło to już narazie stosunek nieco bliższy, a nader miły z powodu licznych ich przymiotów.

Ogólny prąd ówczesnych usposobień, jak niemniej zbieg różnych okoliczności, sprawił, iż ci nowi przybysze znaleźli możność, podczas swej podróży z Warszawy, zatrzymać się w Moskwie dni kilka. Młodszy z nich, p. H. K., odnowił tam swą bardzo dawną, sięgającą czasów jego studyów uniwersyteckich w Moskwie, znajomość z p. Katkowem, ówczesnym profesorem uniwersytetu, później znanym publicystą, a wówczas nietylko nie wrogiem Polaków, ale ich przyjacielem. Tak — p. Katkow był naszym przyjacielem wtedy. Do zastępu, jeśli nie przyjaciół Polski, to przynajmniej życzliwie dla nas usposobionych, w regionach ludzi wpływu, zaliczała się też panna Antonina Błudow, córka sędziwego Dymitra Błudowa, przewodniczącego w radzie państwa, najwyższej instytucyi państwowej. Rzecz to prawie nie do uwierzenia, a jednak wówczas prawdziwa. Katkow i panna Błudow — już wtedy kobieta nie pierwszej młodości — w kilkana-

ście miesięcy potem, gdy się rozwinął krwawy dramat 1863 r., rozpoczęli przeciwko nam kampanię długą, eksterminacyjną, walkę stanowczej zagłady na wszystkich polach naszej pracy, naszego cywilizacyjnego dorobku.

Metamorfozy gwałtowne, wyzuwanie się z pewnych przekonań, a sięganie po inne hasła, stanęły później w Rosyi na porządku dziennym; wówczas jednak jeszcze znanemi nie były: wierzyliśmy ludziom lepszym, zacniejszym, światlejszym wśród rosyjskiego społeczeństwa. Katkowa snać także do owych lepszych, zacniejszych ludzi w Rosyi zaliczano, gdyż okazywał się on wrażliwym na troski nasze społeczne, na ucisk, pod brzemieniem którego kraj jęczał i szamotał się bezsilny, by stargać więzy. Panowie K. nie należeli do ludzi rozniecających żarzewie ruchu; boleli nad stanem kraju, i mniemali, jak większość, że pewne koncesye, ku którym rząd zdawał się skłaniać, uspokoją umysły, wprowadzą społeczeństwo na drogę pracy spokojnej a owocnej dla przyszłości. W tym kierunku prowadzona rozmowa z p. Katkowem, doprowadziła go do zapewnień, iż weźmie na siebie wynalezienie drogi, aby mógł dojść do monarchy memoryał, wskazujący z całą otwartością ówczesny stan kraju i zarazem jego braki, potrzeby i środki zaradzenia chociaż najgwałtowniejszym potrzebom. Były to czasy, gdy i ten projekt, w innej epoce przetrudny, niemożliwy, mógł być urzeczywistniony.

Postanowiono korzystać ze sposobności. Panna Antonina Błudow i jej sędziwy ojciec, ze swego urzędu stojący u stóp tronu, była to droga łatwa do użycia, którą rzeczony memoryał mógł dojść do monarchy i wywrzeć pewne wrażenie: Błudow miał go poprzeć własnem przedstawieniem. Rzecz tak postawiona nie pozostała w sferze projektów. Urzeczywistniono ją, a nawet prędzej, jak można było przypuszczać. Po krótkiem w Moskwie pobycie, wygnańcy oparli się — jak wiemy — w Tambowie, i wnet po przybyciu H. K. rozpoczął opracowywanie memoryału. Naradzali się obaj, lecz redakcya wyłączną była pracą p. H. K. Memoryał był skreślony w języku francuskim i odznaczał się gruntownością wykładu i wytwornością stylu.

W miarę jak praca posuwała się, ustępy jej były odczyty-

wane w gronie bardzo nielicznem. Głos doradczy jeśli kto zabierał, to jedynie p. A. K.

Smutne i ciche kąty naszej izdebki ożywiły się nieco podczas rozpraw nad owym memoryałem. Kładziono tam wiele nacisku na opłakany stan oświaty w ówczesnej Kongresówce i wskazywano szkoły, podniesione do wyższego poziomu, z językiem wykładowym polskim, jako naczelną ulgę, której kraj domaga się i z upragnieniem oczekuje.

W pierwszych dniach marca (1862 r.) memoryał wykończony podążył do Moskwy, zkąd wysłanym został drogą wyżej wymienioną do cesarza. Doszedł ów dokument do miejsca przeznaczenia i nie pozostał bez skutku. Nie mamy żadnych bliższych wskazówek, któreby dowiodły, o ile ten memoryał stał się zachętą do spieszniejszego przechylenia szali sprawiedliwości na stronę uciśnionych; niemniej wszakże i on bez wątpienia nieco zaważył na owej szali, wciąż wówczas chwiejącej się, ale bardziej skłaniającej się ku czynom chwalebnej restytucyi, niż ku przedłużaniu i utrwalaniu ucisku.

Jeżeli memoryał chociaż w cząstce małej przyczynił się do wytworzenia owych ulg, jakie Królestwo Kongresowe w kilka miesięcy później otrzymało, zasługa to autora niemała. Pospolicie ludzie w sytuacyi tego rodzaju, którą niespodziane okoliczności wytworzyły, nie zaniedbują o własnych sprawach, w danym wypadku inicyator i autor memoryału ani na chwilę nie myśli o sobie. Dobro publiczne zajmuje go głównie, o nie jedynie się troszczy, własną swą osobę zachowując w cieniu.

W parę miesięcy potem obaj panowie K. wracali już z wygnania do kraju; wracali przez Petersburg: p. H. K. widział się z Błudowem, który go zapytywał, czy pragnie audyencyi u monarchy, lecz on uchylił się od zaszczytu, wiedząc, iż osobistą, chwilową rozmową nie wpłynie na zdanie woli najwyższej, gdy tymczasem memoryał wybornego miał rzecznika w osobie hr. Błudowa.

To usuwanie się dobrowolne z szerszej widowni, stronienie od stanowisk wybitnych, widocznie uderzało pannę Błudow. Poznała ona w p. K. człowieka wyższego wykształcenia, spodzie-

wała się go ujrzeć na stanowisku jakiemś wybitnem, w ówczesnym, tworzącym się właśnie wtedy rządzie autonomicznym Królestwa, pod kierownictwem margrabiego Al. Wielopolskiego, lecz nigdzie dopatrzeć go nie mogła. Zdziwiona, zapytuje nawet margrabiego w jednym ze swych listów: „co się dzieje z K...“? Nie wiemy, czy zapytanie otrzymało odpowiedź i jaką. Samo wszakże zapytanie wskazuje, iż niełacno w Petersburgu zapominano o autorze memoryału [1].

Przed wyjazdem pp. K. przywieziono paru nowych wygnańców i ktoś bawił czas dłuższy w przejeździe na jakieś dalsze wygnanie. Był więc przypływ i odpływ, ciągłe przerzucanie, miotanie ludźmi i ich losami, ciągłe niepokojenie, utrzymywanie w niepewności jutra. Wśród przybyłych był nasz sąsiad z Wołynia, Aleksander Bereżecki; przywieziono wreszcie z Warszawy Tomasza Winnickiego, urzędnika z zarządu poczt. Człowiek to był cichy, łagodny, mało jednak do nas zbliżający się, w sobie zamknięty. Takim przynajmniej nam się wydał. Niewiele go znaliśmy, i wkrótce znikł nam z oczu: do kraju wrócił. W rok później, w epoce walki, dobiegały wieści, iż on w sztabie Langiewicza wybitne zajął stanowisko.

. . . . . .

Wyjazd K., dla nich dzień radości, smutną chwilą się stał dla naszej wygnańczej gromadki: traciliśmy bardzo cennych współtowarzyszy doli. A ta dola wnet na coraz gorsze zmieniać się zaczęła: na próby nas wystawiano.

Starszy z odjeżdżających K., w chwili wyjazdu, już z wysokości wozu pocztowego, rzucił nam na pożegnanie słowa poety, a swego niegdyś syberyjskiego kolegi i przyjaciela — Gustawa Ehrenberga. „W dwóch rozkosznych ojczyznach z wami się obaczę — Za Dnieprem i za grobem, bracia, do widzenia“. Słuchając tych słów, mniemało się, iż spotkanie rzeczywiście „za grobem“ dopiero nadejdzie: stało się jednak inaczej. A wcale nie przypuszczało się, że inne słowa tegoż poety, z tegoż samego ustępu,

[1] Patrz dzieło p. H. L. o „Margrab. Al. Wielopolskim“. T. I.

należałoby zacytować, i że one właśnie rychło zaczną się urzeczywistniać:

> Ale się grono zmniejsza. Patrz, jak liść powiewny,
> Co się po stepie błąka miotany wiatrami,
> Tak nas zemsty i łaski miotają[1].

Nadeszły rzeczywiście wśród trosk nowe dni niepokoju: małe i wcale nieściśle zjednoczone koło nasze wygnańcze postanowiono rozproszyć, „zmniejszyć". Było nas siedmiu w jednem mieście, rozrzuconych na dużej przestrzeni, mało komunikujących się z sobą, jeśli nie dla innych przyczyn, to z powodu warunków topograficznych; uważano wszakże, że jest razem za wielu.

W chwili, gdy postanowiliśmy z Al. Bereżeckim oddać się studyom lingwistycznym, i spędzaliśmy dnie i wieczory nad gramatykami i słownikami, władze tambowskie opracowały dekret banicyjny. Dotknął on nas dwóch i lekarza Boguckiego, człowieka schorowanego, potrzebującego towarzystwa, znękanego moralnie, cierpiącego fizycznie. Kazano go wywieźć do powiatowej, nędznej mieściny, Lebiediania, a nas do Lipiecka, miasteczka na większym gościńcu położonego i mniej oddalonego od Tambowa.

Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się o tem nowem wygnaniu wśród wygnania, i bez szemrania poddaliśmy się swym losom; martwiła nas tylko banicya Boguckiego w głąb stepów, na wielkie bezludzie — do Lebiediania. Chcąc temu chociaż nieco zaradzić, o ile to przynajmniej w mocy naszej było, postanowiliśmy prosić gubernatora, aby nas posłano na owo bezludzie, a biedny schorzały lekarz by szedł do większego, dogodniejszego stosunkowo miasteczka, dla nas przeznaczonego.

P. gubernator ze zdziwieniem wysłuchał naszej petycyi; biedaczysko nie rozumiał, jak można poświęcić coś dla kogo bezinteresownie; uśmiechnął się więc ironicznie, wzruszył ramionami i wyszeptał: *c'est une conduite chevaleresque.* Następstwem tej wizyty u gubernatora był wydany rozkaz zamiany naszego

[1] Gustaw Ehrenberg.

miejsca wygnania na gorsze. Stało się jak żądaliśmy: doktora Boguckiego ocaliliśmy od przykrości.

Powieziono nas tedy do Lebiediania, a w dobę później Bogucki podążył do Lipiecka.

Wiosna rozpoczęła się już na dobre, maj dobiegał połowy swych dni (now. st.), gdy zobaczyliśmy stepy kipczackie poza Tambowem. Pola to rozwarte, nieco falowate, ale smutne, z roślinnością ubogą, mało jeszcze rozwiniętą, chociaż wicher ciepły z głębi Kipczaku, od ujść Wołgi, od Kaspijskiego morza, gwałtownie pędził, osuszając pola z dziwną szybkością, zamieniając szeroki gościniec, jedną czarną lawą błota płynący, na również wielkie bezdroże, o grudzie tak trudnej do przebycia, jak nią były topiele.

Ani gruda, ani błotniste przepaście nie są w stanie wstrzymać szybkości jazdy w owym kraju, gdy idzie o sprawę państwową, a taką państwową sprawą są zawsze wożenia ludzi i przerzucania ich z miejsca na miejsce. Na wozie pocztowym, zbudowanym wedle obyczaju kraju, o przodzie wyniosłym i szerokim, a siedzeniu niskiem i wąskiem, ulokowano nas. Jakieś indywiduum urzędowe, zaliczające się do szeregu wyższych nieco agentów, usiadło z przodu, twarzą ku nam, napędzając pocztarzy do szybszej jazdy.

Trwała tego rodzaju podróż dwa dni, w ciągu których przelecieliśmy mil trzydzieści, pędząc po grudzie na nieujeżdżonych gościńcach, po wybojach i pochyłościach pagórków, tworzących dział wód dwóch wodozbiorów, Wołgi i Donu.

Tuż zaraz za rogatką Tambowa, spotykamy olbrzymi wał, ciągnący się na znacznej przestrzeni — to zabytki obrony granic dawnego państwa, które w ten sposób zabezpieczało swe kończyny od napadów Złotej hordy, i koczowników stepowych łacniej mogło odpierać zpoza ziemnych obwarowań. Zapobiegliwość ta przynosiła w swym czasie niemałe a pomyślne owoce; jakże ona różną od naszego zaniedbania obrony stepowych miedz państwa, i sypania jedynie doraźnych obwarowań z nader cennego materyału — z kości najprzedniejszych synów kraju!

Dwa tak różne rodzaje gospodarki państwowej przynosiły

najzupełniej różne wyniki zabiegów: z doraźnych zapałów, poświęceń nieraz heroicznych, nie urastały trwałe owoce, gdy tymczasem ludzie Wschodu nadwołżańskiego pracą żmudną, ciągłą, wytrwałą, wprzężeni w jarzmo karności, trwałe zręby budowy państwowej wznosili.

. . . . . .

Przesunęły się przed okiem naszem przedniejsze z miasteczek tambowskiej gubernii: Kozłów i Lipieck. Pierwszy był już wówczas miastem handlowem, zamożnem, rywalizującem ze swą gubernialną metropolią, Tambowem. Obecnie, z powodu znacznego rozwoju kolei żelaznych w tamtych okolicach, zmieniły zapewne miasta swą postać i kraj prawdopodobnie — chociaż wątpię — nabrał znamion większej cywilizacyi — wówczas wszystko nosiło cechę nader pierwotną.

Wsie szczególnie odznaczały się jakąś dziwną monotonią, wreszcie smutkiem, co wiał z owych ścian drewnianych, zczerniałych od słoty, pozbawionych zieloności, barw jaśniejszych, pozbawionych drzew, krzewów, ogródków przy lepiankach, kwiecia, którem u nas wieśniak umaja swą siedzibę, ozłaca swą szarą dolę.

Chaty przypominały szałasy koczowników, a wsie, to istne tabory nomadów. Nie ma tam na czem oko spocząć, niczem myśl nie rozjaśni się, coś dziwnie smutnego, przygnębiającego wieje z każdej wioski, z każdego domostwa wieśniaków, i na dnie duszy wędrowca osiada wrażenie głębokiego smutku, połączonego z pewną obawą. Jak świątynia buddajska, ilekroć w niej byłem, budziła we mnie zawsze pewną grozę, tak niemniej i owe wschodnie równiny, owe pola puste, o nędznej rolniczej kulturze, napełniały mnie jakąś obawą. Może to cienie krwawej przeszłości owego ludu, o dziejach krwią i łzami przesiąkniętych, cienie niewidzialne, które krążą w przestworzu i napełniają taką grozą niewysłowioną wędrowca. Może... przyczyn nie badam; ale w mej myśli, w głębi duszy, ziemie te, zarówno bliższe, nad Oką i Klazmą i Wołgą, jak i dalsze, zauralskie, wywoływały uczucie, jakiego doznajemy, zwiedzając więzienia.

. . . . . .

W Kozłowie spotkaliśmy jakiegoś młodzieniaszka, ściślej

mówiąc, prawie pacholę, które, przed kilku miesiącami porwane z ławy szkolnej w Żytomierzu, skazane było na żołnierkę za udział w sprawach demonstracyj ówczesnych. Kilku takich chłopaków widzieliśmy przeciągających z tłumem zwykłych zbrodniarzy przez Tambów; jednego zatrzymaliśmy nawet czas pewien u siebie, aby wśród wielkiej poniewierki odpoczął nieco, i przygotował się do życia prób. Ale żołnierzyk w Kozłowie spotkany, nazwiskiem P., najwięcej budził sympatyi i żalu zarazem. Jeden to z owych, których nieodwołalnem przeznaczeniem miała być śmierć, jeśli nie fizyczna, to moralna. Z tej kategoryi wygnańców-pacholąt na zatracenie prowadzonych, nikt pospolicie nie pozostaje, aby późniejszym szeregom młodzieniaszków zdołał opowiedzieć, jakiemi drogami szli ich poprzednicy na zagładę. Ci co ocaleni zostali, nieliczni bardzo i rozproszeni, lub też innymi się stali. Duch dawny z ich piersi uleciał. Ciałem niekiedy długo żyją, lecz inni to już ludzie.

Dziatwa ta najrychlej ginie, najskuteczniej się wytępia, a często drogi, któremi ich ku zatraceniu prowadzono, są przerażające. Jeśli na ścieżkach swego istnienia mogiłę znaleźli, zaiste, szczęśliwymi mienić się mogli. Losy Türa i Molissona, piętnastoletnich dzieciaków, rzuconych w r. 1824 przez Nowosilcowa na ziemię wygnania, są tu wymownym przykładem, jak rzadko taka dziatwa ocalić się zdoła. Niejeden z nich, ginąc przedwcześnie, mógł z całą słusznością do pozostałych rówieśników rzec ową wielką prawdę: lepiej dobrze umrzeć, niż źle żyć [1].

Nie wiem kierunku dalszej drogi życia owego młodziutkiego P., który krótką noc majową z nami w Kozłowie przegwarzył, płacząc i śmiejąc się naprzemian, sądzę jednak, że du-

[1] Podczas późniejszych lat wygnania mego, miałem możność w krajach nader odległych, bo aż w Dauryi, znaleść ślad dalszych losów Türa i Molissona, których nazwiska przechowała III. część „Dziadów". Znałem synów Türa, spotkałem legendę otaczającą mogiłę Molissona. W seryi II. niniejszych wspomnień podaję prawdziwe szczegóły, tyczące się losów owych pacholąt za dni ich wygnania. Może to pierwsi z zatracanych młodzieniaszków, ale nie najpierwsi, a w każdym razie nie ostatni. Lata 1863 i 1864, które dostarczyły obrazów największej grozy, widziały znacznie młodsze dzieci, pędzone na dalekie wygnanie.

chem ocalał, a jeśli umarł — to umarł dobrze. Dźwięk mowy rodzinnej, możność wylania swych uczuć, marzeń, boleści i nadziei przed ziomkami, którzy go zrozumieją, smutek podzielą, zachwycały młodzieniaszka, czyniły szczęśliwym bodaj na chwilę.

— Daliście mi moc, siłę na długo — mówiło biedne dziecko, ściskając nas przy pożegnaniu.

Zostawiliśmy go pełnego dobrej otuchy; nie my wszakże dawaliśmy ową moc, siłę, do opierania się ponętom otaczającym, a łatwo gubiącym, nietylko tak młode pacholęta, lecz i znacznie doświadczeńszych — nie my pomocą tu byliśmy; wyniósł on zpod macierzystej strzechy wiarę głęboką, którą ówczesne krajowe okoliczności umacniały, w wielki płomień iskrę rozdmuchać mogły, i nieraz rozżarzały. To była jego moc, jego pancerz, w modlitwie, jak nam mówił, szukał pokrzepienia. Ta pomoc, zapewne, nie zawiodła.

Co później z nim się stało — nie wiemy.

* * *

Lipieck, w którym zatrzymaliśmy się tylko kilka minut, dla przeprzęgu koni, mile zdala wpadał nam w oko. Patrząc na jego schludne domki, miejscowość nieco nawet malowniczą, park obszerny, przy którym są źródła wód mineralnych, cieszyliśmy się nadzieją, iż współtowarzysz doli, lekarz Bogucki, będzie miał znośne może otoczenie na swem nowem wygnaniu. Rzeczywiście nie miał podobno tam zbyt złych warunków, ale w kilka tygodni po przyjeździe — zaledwie zaczął się rozpatrywać wśród nowego otoczenia — uwolniono go, wrócił do kraju.

Lipieck, w późniejszych nieco latach, stał się bardziej znanym i głośny nawet w Rosyi, z powodu swych wód mineralnych, które znacznie podniósł nasz współwygnaniec, lekarz Fortunat Nowicki, o którym słów parę wyżej wspomnieliśmy.

Już Piotr W. zwracał uwagę na Lipieck i mineralne bogactwa w jego okolicach znajdujące się; stał się on założycielem miasteczka. Obfita ruda żelazna podała Piotrowi myśl wybudowania wielkiej fabryki żelaza, około której zabudowała się mieścina schludna, stawała bowiem pod okiem wielkiego „cieśli“

i budowniczego. Wielki ten „cieśla“ i prawdziwy dobrodziej swego państwa, pragnął z Lipiecka wytworzyć podstawę działań dla swej armii, podczas zdobywania Azowa. Budowano wtedy małe rzeczne statki w Lipiecku, na nurtach wzbierającej znacznie na wiosnę rzeczki Woroneż, projektowano zbrojnemi łodziami dostać się na wody Donu, i w ten sposób korsarsko-rzeczny, który wypróbowano z pomyślnym skutkiem, zdobywając wschód i północ azyatycką, uderzać ku południowi, torować sobie drogę na *Palus Maeotis*.

Z biegiem lat Lipieck przestał być potrzebnym dla strategików, lecz ślady pobytu tam Piotra W. nie zginęły; pozostała fabryka wyrobów żelaznych, pozostała tradycya, iż są tam wody mineralne i pałacyk monarchy, założyciela miasteczka.

Dłoń cudzoziemca zwykle najwięcej w Rosyi zdziałała na polu pracy wewnętrznej, pożytek rzeczywisty społeczeństwu przynoszącej. Tak się i tym razem stało. Chociaż już w r. 1700 Piotr orzekł, że Lipieck posiada wody mineralne, czekano lat sto, aż nadszedł Niemiec Pfeler, który owe wody zbadał i dokładnie opisał w r. 1804; po upływie zaś znowu lat prawie siedmdziesięciu nadszedł inny cudzoziemiec, Polak-wygnaniec, lekarz Fort. Nowicki, który je nanowo badał, opisał, nadał im rozgłos, wziętość — stał się rzeczywistym twórcą tej leczniczej miejscowości [1].

. . . . . .

Miało się już ku północy, drugiego dnia podróży, gdy stanęliśmy w Lebiedianiu. Mieścina, chociaż powiatowa, maluczka wszakże, z 6000 głów złożona, nigdy nie była miejscem wygnania Polaków. Przekonaliśmy się nawet, iż ogół mieszkańców nie

[1] Lekarz Fort. Nowicki, umysłu rozległego, energii wielkiej, wraz z ks. Waler. Gromadzkim, wikaryuszem w Horochowie na Wołyniu (dzisiejszy prob. w Tomsku na Syberyi), należał do najwcześniejszych wygnańców w r. 1862 (nietylko na Wołyniu, ale wogóle na całym obszarze zaboru ros.). Cały okres walki 1863—64 r. przebył on na wygnaniu, które później dla niego stało się lżejszem, wreszcie uwolniono go; i on wówczas, ze światłym obywatelem tamecznym, p. Satinem, wytworzył towarzystwo akcyjne, które wydzierżawiło od rządu wody mineralne w Lipiecku. Nowicki został dyrektorem zakładu, który pod jego dłonią wkrótce zakwitnął.

słyszał nic o Polakach. Znano Tatarów, Turków, słyszano o Ormianach, ale o Polakach widocznie nie słyszano nawet. Do gospodarza domu, gdzie zamieszkaliśmy, przychodzili jego sąsiedzi, znajomi i krewni, pytając, jakich to ludzi u siebie ma, których rząd więzi, a zwierzchnik miasta *(chorodniczy)* ich pilnuje. Nie wiem co z pierwszych narad wypadło, lecz po paru miesiącach przypatrywania się i zastanawiań orzeczono, żeśmy zapewne Ormianie, którzy mieszkają w górach Kaukazu, nie uznają władzy Rosyi nad sobą. Ten drobny szczegół wskazuje, iż ludność mieściny najzupełniej była patryarchalną, nie wychylała się poza węgły swych domostw, nic nie czytała i o stosunkach świata tyle tylko wiedziała, że Bóg stworzył ich naród na to, aby innymi ludy władał. Wśród tak patryarchalnych stosunków mieszkaliśmy trzy miesiące. Ludność patrzyła na nas z początku z ciekawością, później obojętnie; nieprzyjazną wcale nie była.

Tłum w owem państwie, przynajmniej za dni ówczesnego wygnania, dalekim był od wszelkiej nienawiści plemiennej, nie znał jej wcale. Pokolenia tamtoczesne pamiętały panowanie cesarza Mikołaja, który, acz srogi, działał środkami legalnymi, używanymi przez władzę monarchiczną; wzniecanie nienawiści plemion lub klas społecznych, szukanie sprzymierzeńców wśród brutalnych instynktów mas, bodaj dla celów państwowych, uważał za rzecz niegodną monarchy, dlatego też wszelkie podobne nienawiści potępiane przezeń były surowo. Jeśli za dni i za panowań późniejszych zobaczono co innego, były to roboty sztuczne, owoce propagandy niższych organów administracyjnych, szowinizm naprędce wytworzony u góry, który rozniecała, kolporto-

---

Charakterystyczna rzecz zaszła, gdy owa spółka balneologiczna obejmowała dzierżawę, do której nietylko źródła należały, ale i pałacyk Piotra W. Dzierżawcy wszakże pałacu nie znaleźli. Widocznie ktoś go rozebrał, bądź też runął on przed wielu laty; nikt w Lipiecku nie pamiętał istnienia tego budynku: pomimo to jednak rząd łożył znaczne koszta na jego utrzymanie od dni Piotra W., do dni objęcia zarządu przez naszego ziomka. Tego rodzaju okradanie skarbu państwa wciąż tam na porządku dziennym. Dr. F. Nowicki, po powrocie do kraju, urządził zakład leczniczy w Nałęczowie (w Lubelskiem), gdzie zmarł około r. 1885.

wała, utrwalała prasa, zdobywająca w latach późniejszych coraz to większą wziętość, coraz zupełniejsze uznanie.

Władze w Lebiedianiu nie czyniły nam wprawdzie szykan żadnych, ku czemu może pola brakowało, lecz z pewnego rodzaju nieufnością na nas patrzano. Dość byłoby chociaż cienia czegoś, co mogłoby usprawiedliwić nieufność, a czynionoby zapewne szykany. W postępowaniu naszem najbardziej podejrzliwe oko nic upatrzeć nie mogło. Zamknięci w mieszkaniu, nie wychylaliśmy się zeń prawie zupełnie, chyba wieczorem, na krótką przechadzkę. Stosunków, znajomości wcale nie mieliśmy i nie szukaliśmy ich; zresztą szukanie byłoby bezowocnem. Miasteczko, oprócz kilku rodzin urzędniczych, kilku domów zamożniejszych nieco kupców, ludzi może dobrych, ale bez wykształcenia, wcale nie posiadało innego towarzystwa. Postanowiliśmy zatem poprzestać na żadnem: stroniliśmy zarówno od ludzi tamecznych, jak i od światła dziennego, gdyż zaledwie po zachodzie słońca wychylaliśmy się z mieszkania na przechadzkę po cichych, bezludnych ulicach miasteczka, lub za jego rogatki, aby chociaż na kilkanaście minut odetchnąć powietrzem szerszych przestworzy.

Ale te zamiejskie, bodaj chwilowe wycieczki, chociaż dla zdrowia potrzebne, czynić należało bardzo oględnie: mogły się bowiem władzom niepodobać, które nie miały prawa pozwalać na wychodzenie poza obręb miasteczka.

Jakaś uroczystość rodzinna p. horodniczego wyciągnęła nas niespodzianie z samotni: nasz główny stróż żądał naszej obecności na wielkiej u niego recepcyi. Uchylić się od tego było prawie niepodobieństwem — byliśmy przeto; figurując bardziej jako jeńcy i trofea, urozmaicające ucztę, niż jako biesiadnicy.

Od czasu owej recepcyi znowu nie wychylaliśmy się wcale z naszego domostwa, skracając czas wśród nadzwyczajnej samotności nie tyle książką, bo maluczki zapas książek prędko się wyczerpał, jak pracą około ogródka kwiatowego, założonego na dziedzińcu, i obszerną korespondencyą z różnemi koloniami wygnańczemi: z Wiatką, Wołogdą, Permą, Archangielskiem,

Kołą [1]. Zapomocą listów mogliśmy wytworzyć dla siebie świat niewidzialny, bardziej bliski usposobieniom naszym niż ten, co nas otaczał.

Tak ubiegał trzeci miesiąc naszej samotności w stepowej mieścinie, a dziesiąty wygnania. Nic się nie zmieniało w naszej pozycyi i żadna zapowiedź zmian nie nadchodziła. Owszem, niektóre drobne wieści w gazetach świadczyły, że wrzenie umysłów w Kongresówce, nawet wobec reform zapowiedzianych i rozpoczynających funkcyonować, nie ustaje, a co gorsza, wzmaga się. Strzał do w. ks. Konstantego zdawał się wskazywać, iż rozbrat czyniono z tak zwaną przez Rosyan „moralną rewolucyą", która wywołała szereg ustępstw korzystnych dla kraju, wchodzono zaś na pochyłość ciągnącą ku przepaści.

Przedstawiały się nam tak te rzeczy z głębi stepów Kipczaku. Przeczuwaliśmy, iż kilka miesięcy, które upłynęły od wyjazdu z kraju, stanowczą zmianę wprowadziły w usposobieniach. Przeczucia wkrótce ziściły się. Stawaliśmy w przededniu wielkich katastrof. Przewidując zmianę usposobień w kraju, nie przewidywaliśmy wszakże prędkiej katastrofy. Mniemaliśmy, iż rozpocznie się w Królestwie spokojny okres rozwoju życia autonomicznego na podstawie ustępstw zrobionych, których zakres mógł się nawet rozszerzyć, nasze zaś, wschodnie prowincye zaboru, zdołają również, bodaj żółwim krokiem, posuwać się na stanowisku utrzymania tego, co jeszcze pozostawało: utrzymując, ocalając od ostatecznej ruiny to co pozostało, pracowałoby się dla wzrostu, dla rozwoju, dla przyszłości. Zapewne i rząd w owych chwilach, kończących lato 1862 r., nie przypuszczał katastrofy zbliżającej się, gdyż wygnańcy, osadzeni w różnych punktach w głębi Rosyi, wracali do kraju, bodaj częściowo; nietylko ci co pochodzili z Królestwa, ale i mieszkańcy ze wschodnich prowincyj zaboru. O ile z listów widzieliśmy, wiacka kolonia w pe-

[1] W Kole, na kończynach lądu północnego, było wówczas rzucone młodziutkie, kilkunastoletnie chłopię, z ławy szkolnej wileńskiej porwane, nazwiskiem Norejko. Nie znane mi bliżej okoliczności, które mu tak srogi los zgotowały, ani też wiem, co z nim później się stało. Zapewne powiększył szeregi zatraconych.

wnej, znacznej nawet części rozproszyła się: jedni wrócili do domów (jak bracia M.), innych (jak Ksawerego K.) przeniesiono do dalszych miejscowości.

Ksawery, przeniesiony do Astrachańskiej gubernii, osadzony na wysepce Kaspijskiego morza, osamotniony, chory, pisywał dziwnie smutne listy, błagając, abyśmy w razie powrotu do kraju, jechali przez Wilno i prosili jego matkę o wydobycie syna z niewoli.

. . . . . .

Powrót nasz do kraju wydawał się przedwczesnem marzeniem — nie marzyliśmy więc o nim, nie chcąc się napróżno łudzić; gdy nagle zaszły zmiany nieprzewidziane w naszej pozycyi.

Ktoś z bliskich a życzliwych nam osób, mieszkając w Petersburgu, i świadomym będąc czyim wpływom gubernator tambowski ulega, z nadzwyczajną zręcznością i szybkością przeprowadził sprawę naszego powrotu ze stepowej samotni do gubernialnego miasta.

Wróciliśmy więc znowu do Tambowa, około połowy sierpnia, i gdy przyszliśmy powitać pana Danzasa, miał biedaczysko minę bardzo zakłopotaną; nie wiedział bowiem, kiedy wydał rozkaz wycofania nas z powiatowej mieściny. Starał się mój brat jakimś banalnym komplementem wyprowadzić go z kłopotu, co mu się dobrze powiodło.

W parę tygodni potem, najniespodzianiej przybył z kraju telegram, donoszący o naszem uwolnieniu. Poprzedziła owa wiadomość o dni kilka czy też kilkanaście urzędowy rozkaz uwolnienia nas. Tenże sam książę Wasylczykow, który skazał nas na wygnanie przed rokiem, uwalniał obecnie, korzystając z władzy swej nieograniczonej, jaką w trzech prowincyach południowych sprawował. Czynu tego sprawiedliwości dokonał ów wielkorządca — należący do dawnych, lepszych, zacniejszych pokoleń swego narodu — na dni niewiele przed zgonem.

. . . . . .

Ze smutkiem żegnaliśmy towarzyszy wygnania, lecz oni pogodnie w przyszłość patrzali; każdy z nich posiadał większy lub mniejszy promyk nadziei powrotu, również prędkiego. Pro-

myki te wkrótce miały zagasnąć, wobec wielkiej łuny klęsk, co po paru miesiącach rozgorzała nad krajem, niemniej jednak w chwili, gdy Tambow opuszczaliśmy, jeszcze one nie gasły. Nie dziwię się temu, wszakże i my nie spodziewaliśmy się, że ów nasz powrót, to tylko krótka a ciężka przerwa dalszej niewoli, lub dalszych klęsk. W Tambowie zostawało wtedy trzech tylko współwygnańców: Bereżecki, Fort. Nowicki i Adolf Pilchowski. Pierwszy prowadził pilnie studya lingwistyczne, uczył się po hiszpańsku; drugi zapełniał swój czas nietylko praktyką lekarską, która wówczas obszerną nie była, lecz dużo pisał; przygotowywał bowiem materyał do opisu Wołynia, i uzupełniał swe nader ciekawe pod względem statystycznym korespondencye do *Gazety Polskiej*, noszące tytuł „Z Zabuża". Badacz ówczesnego stanu Wołynia, znajdzie tam materyał, o który dziś napróżnoby pytał gdzieindziej [1]. Pilchowski, starzec, narrator wymowny przeszłości, którego opowiadanie o O. Marcinie, kapucynie, wyżej tu przytoczyliśmy, muzyką skracał dni samotnej niewoli. Malutki, bardzo harmonijny jednak, melodykon przywiózł on z sobą na wygnanie i nie rozstawał się z nim aż do końca swej tułaczki. Żadnego z tych zacnych ludzi nie spotkaliśmy nigdy potem, a dziś już oddawna wszyscy oni w mogile.

Spiesznym był nasz wyjazd z Tambowa a jeszcze spieszniejszą podróż długa, z powrotem do kraju, którą późną jesienią 1862 r. odbywaliśmy. Domowe sprawy tak się złożyły, iż nasz gościniec szedł przez Moskwę, Petersburg, a ztamtąd na Inflanty do Wilna, na Lidę, Nowogródek, Pińsk i wreszcie Żytomierz, gdzie wedle urzędowego polecenia, prezentowaliśmy się p. gubernatorowi. Trakt to był długi, nużący, zwłaszcza przy końcu podróży, bo jesień już się na dobre rozgospodarzyła. W Moskwie spotkaliśmy się z pierwszą możnością wysłuchania

[1] Hiszpańskie studya Al. Bereżeckiego nie poszły na marne; późniejszym nieco ich owocem były jego przekłady poetów hiszpańskich, umieszczane w ułamkach w pierwszych rocznikach *Kłosów*. — Fort. Nowicki, nie mogąc poza krajem opracować historyczno-statystycznego opisu Wołynia, przestał jedynie na wydaniu małej jego cząstki, drukowanej w Dreznie w 1870 r.

Mszy św., po dziewięciomiesięcznej przerwie, i złożenia podzięki Bogu, u stóp ołtarza, za niespodziewaną redempcyę. Pracy redempcyjnej podjęła się i szczęśliwie jej dokonała, z własnego natchnienia, Ks. Z... z H... L... Praca padła wprawdzie na uczciwy grunt charakteru księcia Wasylczykowa, ale nie przyniosłaby owoców, gdyby nie zabiegi dostojnej naszej rodaczki. Nie wiem, azali żyje jeszcze ta pani, o sercu podniosłem i myśli obywatelskiej, lecz żyje pamięć jej redempcyjnej pracy, a z pracy takiej urasta pospolicie szereg błogosławieństw dla późniejszych pokoleń.

W Petersburgu, mając audyencyę u p. ministra oświaty — a teka wówczas chwilowo spoczywała w ręku bar. Nikolai — przekonałem się, że sfery kierujące sprawami państwa biegłemi były jeszcze w geografii naszej historycznej. Nie przeczuwając wcale, iż na horyzoncie ukazuje się zapowiedź wielkiego kataklizmu, marzyłem o pracy, która mi się więcej uśmiechała niż życie ziemianina; zapytałem więc p. ministra, czy mógłbym ponownie otrzymać posadę nauczyciela polskiego języka i literatury w jednem z gimnazyów w kraju, po znanem mu dobrze wyparciu mnie z takiegoż stanowiska w Równem. — Nie widzę przeszkód — odparł — byle nie w okręgu naukowym kijowskim, ale w innym, dlaczegóżby nie, np. w petersburskim. — Ekscelencyo, mówię o kraju — dorzuciłem z nieśmiałością. — Zapominasz pan — rzekł minister z naciskiem — że gubernia witebska zalicza się do okręgu nauk. petersburskiego. — Zamilkłem zdumiony. Pamiętałem o tem, lecz wcale nie przypuszczałem, aby wśród sfer rządzących pamiętano tak dobrze o naszych Inflantach.

. . . . . .

W Wilnie skorzystałem z możności torowania drogi do uwolnienia Ksawerego K... Byłem u jego matki, przedstawiłem jej, jak opłakanym jest los syna; prosiłem, aby swymi stosunkami u wielkorządcy Nazimowa, wyrobiła Ksaweremu przynajmniej możność ukończenia kursów uniwersyteckich w Kazaniu, i wyrwała go z owej wysepki na Kaspijskiem morzu. Próżnemi były me przedstawienia; szczególnego rodzaju ta matka-legitymistka nie dała ani promyka nadziei dla swego znękanego dziecięcia;

dużo mówiła, iż oni źle czynią, martwią rząd, martwią pana Nazimowa, pod wyrazem oni rozumiejąc zapewne ruch ówczesny. Odrzekłem jej, że oni i jej syn powinny być dla niej, jako dla matki, rzeczami różnemi. Oni, jeśli źle czynią, poskromieni zapewne będą, dziecko zaś swe ratować powinna. Nie wysłuchała mej prośby; czarne, nienawiścią polityczną rozgorzałe oczy tej starej, nieszczęsnej kobiety, ciskały na mnie pełne srogiego gniewu pioruny, gdy opuszczałem jej mieszkanie [1].

. . . . . .

W Żytomierzu, stosownie do woli władz, jako ziemianie wołyńscy, prezentowaliśmy się p. gubernatorowi, księciu Druckiemu-Sokolińskiemu. Przyjął nas uprzejmie i rzekł na powitanie:

— Nie dziwcie się swemu wygnaniu: gdy miasto w płomieniach, niszczą się nieraz domy te nawet, co daleko stoją od ognia. Burzyliśmy dachy płonące i niepłonące, wśród popłochu niepodobna dokładnie rozróżniać, który dom gore.

Zarówno mówiący, jak i ci do których mówił, ponieważ wracali dopiero z długiej podróży, przekonani byli, iż już cisza zupełna zaległa kraj cały, nie przewidywali, nie przeczuwali, iż burze a ognie nowe, ognie klęsk, straszniejsze od wszystkiego co dotąd widziano, stoją tuż u progu domostw naszych; kołaczą do drzwi.

Zanim sześćdziesiąt dni upłynęło od chwili, o której mówię, rozpoczął się okres dni nowych, krwawych a strasznych. Spadły one tak niespodzianie, jak niegdyś owa Noc Listopadowa na ojców naszych. Bóg tak chciał... *Sit nomen Domini benedictum*...

. . . . . .

Maryan Dubiecki.

[1] Legitymizm dziwnego rodzaju tej nieszczęśliwej kobiety, w której namiętność polityczna zagłuszała inne uczucia, przyniósł smutne owoce. Syn jej najstarszy, Antoni K..., oficer generalnego sztabu, znany ze swego opisu statystycznego gubernii wileńskiej (druk. w Petersb. 1861 r.) po wypadkach 1863 r., pragnąc snać zamanifestować swe uczucia wiernopoddańcze, o których matka tak wiele mówiła, i którym dużo poświęcała — przyjął schyzmę i został za to generałem: ale na drodze karyery nie posuwano go już potem wcale. Katkow jedynie jego apostazyę stawiał wielekroć, w gazecie swej, jako wzór do naśladowania dla całej Litwy.

O PRZEDŚWICIE

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Nie było to jednak wyłączną własnością Cieszkowskiego. Współcześnie wiele o tem mówiono, domagając się, ażeby prawo moralności obowiązywało nietylko w życiu prywatnem, ale i w życiu politycznem, przedstawiając, że to prawo polega na tem, aby narodowościom przywrócić ich godność przez upaństwowienie ich, a szerzej jeszcze rozwinął te idee bezimienny pisarz francuski w paryskiem piśmie *Revue des deux mondes* z dnia 15 listopada 1840 r. Niema śladu, żeby Krasiński czytywał w owych czasach *Revue*, ale jest natomiast prawie dowód, że znał streszczenie tego artykułu, podane w „Trzecim Maju“ z dnia 3 grudnia 1840 r. [1].

Krasiński mianowicie poszedł o krok dalej za Cieszkowskim, i żądając, aby ta idea chrześcijańska, którą Prolegomena tylko prawem moralności narodów nazwały, przeszła w ogół i w polityce rządzić zaczęła, wypowiada myśl, że ona już przesiąkła dusze osobników. „Ale za dni naszych, osobnik każden chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześcijańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześcijańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki“ [2].

[1] Str. 191—192. [2] Przedświt. Dzieła, wyd. lw. II. 237—238.

Tę właśnie zupełnie niespodzianą wiarę, że idea chrześcijańska wsiąkła już w życie prywatne, wypowiedział także autor artykułu francuskiego. „Nie wahamy się — mówi on — sięgnąć aż do źródła idej rozprzestrzenionych w społeczeństwie tegoczesnem; tam zobaczymy modyfikacyę w rozumieniu chrystyanizmu, którym świat jest przesiąkły wtenczas nawet, kiedy najmniej domyśla się źródła swoich najpotężniejszych natchnień. Ludy zdobyły równość na duchu kast dlatego, że idea chrześcijańska zrealizowana jest w prawie cywilnem; że ta idea dąży do zrealizowania w prawie narodów...“ Ona jedynie może zbawić, ponieważ zawiódł system XVI. wieku, system równowagi politycznej, „to dziecko XVI. wieku, to bliźnię protestantyzmu, ta idea antychrześcijańska, która wyparła się katolicyzmu, i zaprzała narodowość wszystkim ludom europejskim, rzucając na ich miejsce na wagę polityczną ambicyę królów, kaprys ministrów i pychę tej właśnie narodowości, której jest negacyą — ta, mówię, równowaga jest fałszem, jest fikcyą, na której budowa chrześcijańska oprzeć się nie może...[1]. Cóż ma zastąpić ten system, który tak historya trzech ostatnich wieków, jak to, co się przed oczami naszemi dzieje, potępia? Oto system oparty na sprawiedliwości, szanujący i uświęcający prawa samodzielności, samoistności narodów, prowadzący do zmazania wszystkich krzywd politycznych; nakoniec, że tak powiem, system, któryby znowu podzielił Europę na narody, nie na gabinety stojące na poćwiertowanych narodach; któryby na miejscu praw zmyślonych, pisanych orężem lub zręcznością, utwierdził rzetelne prawa narodów“.

„Państwa — mówi Krasiński — są utworu ludzkiego; są zbiorem przypadkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi Bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwowione, jedne tylko mogą być chrześcijańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości... Wszystkie państwa na przekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego“ [2].

---

[1] Str. 191. [2] Przedświt. Dzieła, wyd. lw. II., str. 238—239.

Podobieństwo wielkie nawet w sposobie wyrażania się, z pewnością nie przypadkowe i nie bez związku, utrzymuje się też i nadal, choć już myśli autorów się rozchodzą: francuski bowiem przypisuje Francyi wysoką rolę wyrównywania i mazania win wszystkich i zbrodni politycznych: „Francya — są słowa autora — jest w tem jedynem położeniu w świecie, że może pokazać się szlachetną przez egoizm i uważać jako prawdziwą zdobycz każde sprostowanie krzywdy. Jeżeli wiek nasz jest powołany do ustalenia nowego, sobie właściwego prawa publicznego, wtenczas musi za podstawę wziąć to trojakie *principium*: że naród każdy przez prawo nieodmienne, należy sam do siebie; że zgwałcenie każdej narodowości, nieusprawiedliwione potrzebą obrony, jest wyraźnem morderstwem towarzyskiem; że nakoniec obowiązkiem wielkiej rodziny ludów chrześcijańskich, jest prostowanie stopniowe, podług woli natury, wszystkich kombinacyj politycznych, przeciwko którym protestuje sumienie publiczne. Francya w tym dniu, w którym pojmie i ogłosi ten dogmat, nabędzie niezmierzonej siły w Europie; tego dnia, w którym Europa ze swojej strony przyjmie go za swoje — pokój świata otrzyma najgruntowniejszą gwarancyę".

Krasiński nie mógł oczywiście pójść tym torem: o co innego mu chodziło — o to mianowicie, że ta idea narodowości najhaniebniej zaprzeczoną i pogwałconą została rozbiorem Polski... „nigdzie jednak tak antychrystycznie jak rozbiorem Polski" — mówi zaraz bezpośrednio dalej: „Trzy państwa wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem, co się zowie polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego z członków widomych ludzkości! Tym czynem polityka przesięga za własne granice. Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów bożych. Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią; ale narodowość świętą rozebrać, i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie bożej — prawdzie wiecznej:

jest świętokradztwem! Tak samo jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religią!“ [1].

W tem właśnie dowód, że Krasiński znać musiał artykuł ów nie w oryginale, lecz w streszczeniu „Trzeciego Maja“; redakcya bowiem od siebie podobne myśli dodała: „Tak jest, sądzimy, że autor odgadnął, a raczej zobaczył missyą Francyi i zarazem pokazał, gdzie jej prawdziwa moc. Moc rzetelna narodu zawsze jest w wykonywaniu missyi, przez Opatrzność mu naznaczonej. Moc więc Francyi w utrzymywaniu i podpieraniu praw narodów chrześcijańskich; w prostowaniu krzywd, które między nimi się dzieją. Zdaje się, że to przeznaczenie dane jest dwom siostrom chrześcijańskim: Polsce i Francyi, które mimo chwilowej oziębłości lub czasowego nieporozumienia, zawsze ręka w rękę szły z sobą“.

„... Co jest obowiązkiem Francyi, to jest także obowiązkiem każdego narodu. Jak Francya nie powinna pozwolić na gwałty innym czynione, tak narody, których prawa są zgwałcone, nie powinny gwałtów uświęcać długiem cierpieniem. Jesteśmy Kościołem wojującym — mówi Skarga. Powinniśmy walczyć, nietylko dlatego, że cierpim, ale dlatego także, że niesprawiedliwość zwyciężać nie powinna w łonie chrystyanizmu.

„Nim więc idea autora zrealizowaną być może, czyli raczej, nim idea chrześcijańska tak w prawie narodów przemagać będzie jak dziś w prawie cywilnem przemaga — bój straszny czeka Europę. A pokój powszechny, który autor przeczuwa, do którego tak dąży cywilizacya zachodnia, nie zakwitnie na ziemi, aż póki na ruinie zmyślonych gabinetowych praw, nie ustali rzetelnego prawa narodów zwycięska idea chrześcijańska“.

„Nieuznawanie tego gwałtu jest religią“ — zakończył Krasiński, łącząc w ten sposób chrystyanizm z filozofią. W całym tym bowiem toku myśli socyalnych widoczna, że chodziło mu o sprowadzenie wszystkiego do najprostszych pojęć, jakie każdy miewał, i dlatego nazwał tę swoją myśl religią, co zaraz na pierwszy rzut oka lepiej niż wszystkie nazwy, przypomina chrystya-

[1] Przedświt. Dzieła, wyd. lw. II., str. 239.

nizm i z filozofii robi odrazu dogmata. Stało się zaś to w duchu dawniej jeszcze poznanej szkoły Fouriera, pod wpływem której powstało już kilka obrazów „Nieboskiej Komedyi". „Taką jest prawda, nie już interesu świeckiego, jedno bożego — zakończył parę ustępów niżej — przeto nazywam ją religijną! Ona musi ściślej jeszcze połączyć *(religare)* ziemię naszą z niebem". Taką właśnie definicyę podawał Fourier.

Wszystko bezpośrednio do tego zmierza i tem właśnie posunął Krasiński teoryę narodowości naprzód poza Cieszkowskim i poza redakcyą „Trzeciego Maja" nawet, żeby okazać, że cała epoka rozpocząć się musi od przywrócenia praw narodowości polskiej. Dlaczego? W dowodzie, który Krasiński znowu i na to podaje, czuć znowu zdaleka wiejący, we formie przynajmniej, sposób myślenia Heglistów, a przedewszystkiem Cieszkowskiego. Opiera się to na prawie płciowości, polarności, jak nazwał Krasiński, a w gruncie rzeczy na sile zaprzeczań, przewcielań ciągłych, aby całość istnieć mogła, a więc znowu na teoryi tezy i antytezy. W całej naturze, według słów Krasińskiego, widoczne to prawo płciowości i polarności, które sprawia, że natury wręcz sobie przeciwne, dążą do zlania się i odzwierciedlenia jedna w drugiej. Elektryczność ujemna dąży do dodatniej, mężczyzna do niewiasty, myśl ujawnia się w ciele. „Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to, by całość istnieć mogła".

Ztąd też jasno wynika, że prawo narodowości najpierw odbić się musi, być zastosowanem, do tej na której najhaniebniej zaprzeczone zostało, a więc na polskiej. Krasiński żąda, aby to właśnie uznane zostało w sumieniach wszystkich Polaków, aby to było podstawą, na której ma się oprzeć program życia porozbiorowego. „Niechaj się o niej (o tej prawdzie) sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata". Poprzednio zaś powiedział, że to wszystko jeszcze „w chwili rozbiorów stało się jako *factum*, ale duch Pol-

ski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historyi do posunięcia jej postępu dalej"; odróżnia więc Krasiński, podobnie jak Cieszkowski, fakta *(Thatsachen)*, na które polskiego wyrażenia nie znalazł, a które w historyi konstatuje się tylko, które poprzedzają teoryę — od czynów *(Thaten)*, do których potrzeba świadomości poprzedniej, w których przeprowadza się teoryę, wyrobioną na podstawie faktu. *Factum* było w chwili rozbiorów pogwałcenie narodowości, teraz zaś trzeba wydobyć z tego naukę: „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje" — powiedział jeszcze wyraźniej na końcu poetycznej części: „Duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historyi do posunięcia jej postępu dalej". *Die Facta bilden eine unbewusste, also vortheoretische, die Thaten aber eine bewusste, also nachtheoretische Praxis* [1].

Od Polski zatem ma się zacząć nowa epoka w dziejach ludzkości; pogwałcenie jej praw narodowościowych sprowadzi na nią pierwszą ujawnienie się idei Chrystusowej, a ztąd rozejdzie się ona po wszystkich mniej lub więcej pokrzywdzonych. W każdym więc razie wszystkie one mają to do zawdzięczenia Polsce. Ta myśl właśnie, że taka rola ojczyźnie jego przypadła, była dla poety jednem z głównych źródeł mistycyzmu. W duszy jego, w której granitowymi słupami utrwaliła się mocna wiara w to co wypowiedział, w duszy skołatanej obok tego od młodości dotkliwemi zwątpieniami, stanęła teraz nie po raz pierwszy już myśl: dlaczego winić żyjących przy upadku Polski. Gdyby nie była do grobu zstąpiła, nie byłoby tego wspaniałego zmartwychwstania, które rozpocznie szczęście całej ludzkości. Krasiński wogóle zanadto głębokim był psychologiem, aby ludzi poszczególnych winić; ostatecznie też rozumiał i pojmował, że błędy były fatalne, ale raczej z zaślepienia, niż ze złej woli pochodzące. Charakterystyczne jest pod tym względem wyrażenie jego, że Edward Jaroszyński żeni się z jedną z wnuczek Szczęsnego (Potockiego) „czyli raczej Nieszczęsnego". Jakże jednak

[1] Prolegomena, str. 18.

było myśl tę włożyć w poemat? Zjawiła się do pomocy istniejącej już wierze poważna zasada, zaczerpnięta zkądinąd, z pierwszorzędnego znawcy tego rodzaju kwestyj, ze św. Augustyna. On to właśnie uniesiony zapałem i wdzięcznością za łaskę, która ród ludzki spotkała przez zesłanie Zbawiciela na zgładzenie skutków grzechu pierworodnego, błogosławił temu grzechowi. Krasiński znał ten pogląd jego i pod wpływem tego rozumowania napisał nawet owe urywki „O Trójcy i Słowie wcielonem“ i „O żywocie wiecznym“, gdzie znajduje się owo wyrażenie: *felicissima culpa* [1].

Ze swoją wiarą i z tem gorącem przejęciem się sprawą ludzkości odkupionej przez Polskę, znajdował się Krasiński na tym samym punkcie widzenia. Upadek Polski, mający mieć takie błogie skutki, nie inaczej przedstawić się musiał w jego oczach, jak upadek pierwszych rodziców, po którym nastąpiło zesłanie Chrystusa — św. Augustynowi. Dlatego też owemu hetmanowi, który mu się ukazał w grobowcach, włożył w usta te słowa, będące ze wszystkich jakie mesyanizm polski i mistycyzm wyrzekł, najdalej krańcowe i najśmielsze:

Błogosławcie ojców winie.

* * *

Pomysły te swoje ubrał Krasiński w szatę oryginalną i nową nietylko dla nas dzisiaj, kiedy się jej dokładnie przypatrujemy, lecz i dla niego, ze względu że w znacznej części była ona poematem wierszowanym. Ale co przedewszystkiem uderza, to ów ustęp prozą i stosunek jego do części wierszowanej, ustęp, który już St. hr. Tarnowski określił i scharakteryzował znakomicie, nazywając go urzędowym komentarzem do poematu. Wszystkie prawie myśli zasadnicze, na których polega historyozofia Kra-

[1] Tak zapamiętał sobie Krasiński tę sentencyę św. Augustyna. (Koresp. II., 264). W rzeczywistości ustęp ów brzmi: „O felix culpa mea, ad diluendam dum illa charitate trahitur, ipsa quoque eius charitas mihi eam desideranti et eam totis praecordiis concupiscenti aperitur... *O, quam feliciter cecidi, qui post lapsum felicius resurrexi!*“ (*De Diligendo Deo*, tomus IX. Operum D. A. Augustini. Antverpiae 1576. Pag. 368).

sińskiego, mieszczą się tutaj, w poemacie część z nich albo została pominięta, albo drugi raz w inny sposób powtórzona. Z nowych znajdujemy jednę tylko.

Wstęp prozą, który sam Krasiński na trzy części chciał mieć podzielonym, zawiera też trzy myśli zasadnicze: pierwsza, że świat znajduje się u wejścia w nową epokę; druga, że epoka ta ma polegać na tem, że narodowości powrócą do praw swych przez upaństwowienie; trzecia, że rozpocznie się ta epoka od Polski przez powrócenie jej bytu politycznego. Z tych trzech myśli dostały się do poematu tylko druga i trzecia. Jest ten stosunek więcej ciekawy, niżby się napozór zdawać mogło, ponieważ nasuwa kilka uwag o tem, jak Krasiński przedstawił dwukrotnie a każdym razem inaczej te myśli, inaczej, ponieważ wstęp był prozą pisany. Ciekawe jest i to opuszczenie pierwszej myśli: Krasiński uważa już w poemacie za pewnik, że nowa epoka się zbliża, rozpoczyna więc z pominięciem tego, o czem wszyscy wiedzą i w co wierzą. Udowodnił to w prozie, w poemacie pewnie nie znalazł środków poetycznych do jej przedstawienia. Inna rzecz z drugą: że narodowości mają być powrócone do praw swoich. W poemacie oczywiście nie szło o dowody, idzie zaś zawsze o takie przedstawienie czegoś, żeby czytelnika porwać i unieść za sobą. Rozumowanie tu już niemożebne; trzeba do uczucia lub fantazyi przemówić.

Przemówił też Krasiński do fantazyi tym obrazem, alegoryą, gdzie Duch boży przegrywa na strunach harfy. Duch boży ma tu być objawieniem się Słowa bożego, ludzkością ma być harfa, a struny mają być narodowościami, bez których dalszy postęp niemożebny, jak niemożebne wydobycie harmonii z harfy bez strun. Ztąd przeszedł zaraz poeta do myśli trzeciej, że odrodzenie to ma się rozpocząć od Polski: bez niej nie może iść ludzkość dalej, bo na niej zaprzeczona została najgwałtowniej narodowość: w harfie brak struny jednej, w zgodzie dźwięków, którą sam Bóg wydobywa, brak jednej nuty. Dopóty harmonii nie będzie, dopóki nie dodadzą tej jednej struny. W ten sposób obrazem i alegoryą poeta w mistrzowski sposób zużytkował myśl wstępu, tak że niewiadomo, czy tam silniej do rozumu, czy tu-

taj do wyobraźni przemówił, chcąc jedno i to samo wdrożyć w duszę czytelnika.

Naodwrót jest w poemacie jedna myśl zasadnicza, nowa zupełnie, o której nawet wzmianki nie było we wstępie. Nigdzie tam Krasiński ani słówkiem nie zaznaczył, że zmienić należy zapatrywanie na upadek Polski, skoro bez upadku nie byłoby tak wspaniałego zmartwychwstania. Czy i tu można przypuścić, że jak dla pierwszej myśli nie mógł znaleść poetycznej szaty, tak tej wyrozumować sobie nie mógł? O pierwszej wiemy, że do poematu nie chciał jej wziąć poeta w tej formie, ale czy tej drugiej nie mógł pomieścić w prozie? Czy taka wielka różnica w szacie, że we wstępie byłaby odbijała, czy też rozumowej szaty nie było? Przypatrzmy się, jak przedstawioną została. Tamte dwie wspólne, tutaj były istotnie poetycznie przedstawione, ale „Błogosławcie ojców winie", jest tylko całkiem poprostu włożonem w usta Czarnieckiego i zakończa poglądy, nie poparte niczem, o ile rozumowo nie były we wstępie poruszone. Czy we wstępie nie można było tak samo poprostu powiedzieć: nie wińmy więc ojców, skoro upadek nasz był początkiem odrodzenia całej ludzkości. Byłoby to ani mniej przekonywujące, ani też więcej poetyczne niż inne myśli wstępu. Nie jest też to wymierzone do uczucia — postać Czarnieckiego wspaniale wprawdzie się przedstawia, ale chyba poeta nie myślał, że można przez samo uczucie uwierzyć jego konkluzyi. Można było przez uczucie wierzyć w odrodzenie i w przyszłość; głównem źródłem takiej wiary na emigracyi i zawsze, oczywiście jest istotnie uczucie, ale to, żeby upadek był dobry, to właśnie tylko wyrozumować można. Zkąd to poszło, zkąd poszedł cały ten ciekawy stosunek wstępu prozą do poematu — to, myślę, zrozumieć można tylko wtedy, jeżeli się przypuści wcześniejsze napisanie wstępu, i to pod wpływem bezpośrednim Prolegomenów. Krasiński miał zwyczaj jednę i tę samą myśl ciągle, przy każdej sposobności rozwijać, jak żeby ją chciał jaśniej zrozumieć i lepiej nad nią zapanować. Na tle Prolegomenów myślał dużo w listach; wiemy napewno, że pierwsza znaczniejsza część wstępu, i to ta właśnie, gdzie najwięcej z Prolegomenów się dostało, jest napisana dawniej; czy o całym

wstępie nie można tego twierdzić, zwłaszcza, że dalsze części tak się dobrze do tej pierwszej nadają i że w ten sposób zrozumieć można ten dziwny stosunek pomiędzy wstępem a poematem i samo istnienie wstępu prozą wtedy, kiedy poeta zaczynał już tak szczęśliwie poetycznej formy używać? Chociaż też musimy dzisiaj, mówiąc o Przedświcie, mieć na myśli wstęp prozą obok poematu jako jednę całość, nie są one nią jednakowoż. Niema pomiędzy nimi bowiem tej zgody, harmonii i jednolitości, jaka powinna zachodzić pomiędzy składowemi częściami jednego utworu, mającemi uzupełniać się nawzajem, chociaż w swoim rodzaju jestto zjawisko jedyne i ciekawe pośród dzieł poetycznych naszych historyozoficznych i filozoficznych.

Pod tym względem część wierszowana również jest nader ciekawa. Zgóry to zauważyć należy, że Przedświt w tej części, chociaż zawiera systemat filozoficzny, posługuje się mimo to techniką poetycką do ich wypowiedzenia, i na tej to podstawie odróżnić można tutaj dwie części: jedna poetyczna, druga, mimo że w formę wiersza ubrana, raczej filozoficzna, która przy pierwszej, gdzie są wspaniałe pomysły fantazyi, kierowanej jednak refleksyą na każdym kroku, odbija dość widocznie jako nie stojąca w związku organicznym. Najciekawsze to przytem, że kawałkami mieniają się te dwie części i pośród należących do jednej, jednolitej budowy, trafiają się luźnie inne ustępy. I tak, wspominane porównanie ludzkości z harfą, rozprowadzenie tej alegoryi jest bez wątpienia środkiem poetycznym, podobnie jak scena w grobowcach; te też ustępy (II., III., V., VI. i w części VII.) są poetycznym zawiązkiem utworu, brała w nim bowiem udział przeważnie fantazya. Nawet zaś pośród nich dwa tylko ustępy (II. i III.) są jednolicie wykończone, ponieważ w nich pomysł ów o harfie i harmonii wprowadzonym i wykończonym został. Reszta wymienionych ustępów nie wiąże się już z nimi ani formą poetycką ani treścią, chociaż same dla siebie, epizodycznie, mają charakter poezyi, inne zaś wprost tylko polemicznym lub filozoficznym traktatem i w całości budowy poematu nie są niczem.

Kiedy jeszcze bliżej przypatrzyć się układowi poszczegól-

nych części, występuje to, cośmy wyżej ogólnie powiedzieli, jeszcze dokładniej na jaw. Całość mianowicie w ten sposób się przedstawia: po wstępie 11-zgłoskowym, który zdaje się zapowiadać, że poemat mieć będzie charakter nietylko liryczny, jaki mu pozostał, lecz i epiczny, idzie jeszcze tylko ustęp II. i III. w tym samym charakterze. Nawiązany tu wątek epiczny urywa się, a zarazem psuje się i pierwotny plan poematu. Trudno zdać sprawę, w jaki sposób miał być dalej prowadzony, ale nie tak chyba, jak jest, żeby poeta sam miał odtąd głos zabrać i bez wytchnienia, pospiesznym 8-zgłoskowym wierszem wysnuwać dalej w najbardziej pojedyńczy sposób, monologiem, swoje idee. Ta harfa i ten Duch boży, dźwięki z niej wydobywające się, miały odtąd i dalej jakąś rolę odgrywać. Natomiast zaraz ustęp IV. jest już tylko podmiotowem wynurzaniem się poety, który w dalszym ciągu, w ustępie V., zdobywa się wprawdzie na epiczne opowiadanie, ale nie stojące w żadnym związku z poprzedniem, odzianem w formy alegoryczne. W ustępie VI. zjawia się wprawdzie harfa nanowo, przy jej dźwięku przeciągają duchy ojców, ale to już nie jest dalszy ciąg alegoryi. Już nie Duch boży wygrywa na tej harfie harmonię świata, tylko sama „Siostra“ tryumfalnie uderzyła w jej struny na nutę „Jeszcze nie zginęła“, aby zwabić duchy ojców do siebie. W ustępie VII. apoteoza Polski w obliczu całego świata, to znowu obraz osobny dla siebie; ustęp VIII., przedmiotowe wynurzanie się, nic wspólnego nie mające z osnową całego poematu, zjawiające się widocznie w ostatniej chwili, nie obmyślane naprzód, i nareszcie zakończenie, odpowiadające formą i treścią bardzo dobrze wstępowi, ale jak on, trzymające się tylko luźnie całości przez wolę poety.

Jak to wpłynęło na wartość poetyczną utworu, mówić nie potrzeba i z żalem tylko wspomnieć należy, jaka szkoda, że od początku do końca nie została konsekwentnie wyzyskana znakomita fantastyczna alegorya z harfą i harmonią, lub że obrazy tego rodzaju, jak w grobowcach, stoją tylko jako luźne epizody. A dalej zapytać należy, zkąd się to wzięło?

Wiemy w jakich czasach i w jakich chwilach życia poety Przedświt był pisany, jak z początku poeta mówił o sobie, że

żył ogarniony nadzwyczajnem natchnieniem (styczeń 1842 r.), jak potem od śmierci Danielewicza (marzec tegoż roku) nie znalazł już więcej spokoju i tylko z wyrachowanego na zimno obowiązku dokończał, ale nie wykończał Przedświtu. Nie ulega też wątpliwości, że ustępy, mające tyle pierwiastków fantazyi obok właściwej Krasińskiemu refleksyi, powstały zaraz na samym początku, kiedy plan poematu stał wyraźnie w duszy poety, reszta zaś, ta polemiczna, filozoficzna i wogóle refleksyjna, kiedy zmartwienia ciężkie odebrały mu spokój duszy, zamąciły plan ogólny i kiedy zamiast natchnionym, uczuł się poeta tylko obowiązanym wypowiedzieć prawdę.

Obok tych przyczyn zewnętrznych tylko, które bez wątpienia wiele się przyczyniły do tego, że Przedświt niewykończony pozostał, były inne, głębsze, których szukać należy w rodzaju twórczej natury Krasińskiego, gdzie refleksya cała, jaka była, a była do najwyższego stopnia czułą i wydoskonaloną, dlatego właśnie wysilała się na treść i pomysły, a o formę mało była dbałą. Krasiński, obdarzony nadzwyczajną zdolnością do uświadomiania swego stanu, rozumiał to sam, kiedy przyjacielowi, nalegającemu o wykończenie poematu, odpisał z całą szczerością: „Już odpadła mnie ochota, już mi się wydaje, że skończona całość, więc nad szczegółem duch już pracować nie chce“ [1]. Tak zapewne było od samego początku, tem bardziej, że Przedświt, jak widzieliśmy, pisał się po części na to, aby najszlachetniejsze idee oczyścić z naleciałości od mistrza Towiańskiego.

Wobec tego też o kompozycyi we właściwem tego słowa znaczeniu trudno mówić, wszystko zawdzięcza tę swoją wysoką artystyczną wartość, jaką posiada, prawie całkiem treści i od treści spada na formę ten urok — urok, mogący być nadanym wtedy tylko, gdy owa treść płynie z najszczerszego przekonania.

Jest też ogólnem zdaniem, że Przedświt czyni to niesłychane wrażenie i porywa za sobą głównie siłą wyrażeń i siłą wymowy, gdzie widać, że żadnego słowa daremnie nie użyto, z każdem liczyć się wypada. Wobec tego możnaby się wpra-

[1] Koresp. I., 208.

wdzie spodziewać, że forma zupełnie przez treść zostanie opanowaną — o ile też to się stało w Przedświcie, zwracałem uwagę — jest jednak inna rzecz, którą podnieść należy.

Chodzi o tę wspaniałą w swojej prostocie scenę w grobowcach, gdzie poecie ukazują się duchy ojców z Czarnieckim na czele. Jestto scena głównie przez to wspaniała, że rola wybitna dostała się jednej postaci, około której wszystko się grupuje i która też wypowiada historyozofię polską. Możnaby przypuszczać, że poeta z rozmysłem artystycznym wprowadził Stefana Czarnieckiego do poematu i że temu rozmysłowi zawdzięcza Stefan to artystyczne wykończenie, w jakiem się zjawia. Tak właśnie nie było. Czarniecki uchodzi wprawdzie za prześlicznie wykonany pomysł artystyczny, ale dla poety był on czemś więcej i temu wielkiemu wyobrażeniu, jakie miał o nim Krasiński, zawdzięcza tę szatę poetyczną. Już w samym Przedświcie okazał poeta, że go wyróżnia zpośród innych bohaterów, mówiąc, że z nich wszystkich on na niego najłaskawszy. Być może, że chciał rozprowadzić to znaczenie jego, chciał w samym poemacie okazać, że nie przypadkowo wcale w jego usta włożył historyozofię; być może, że mu na to miejsca nie starczyło. Zkądinąd jednak wiemy, że nie dla artystycznego efektu wprowadził go poeta, choć ten artystyczny efekt w całej pełni osiągniętym został. Rycerska postać Stefana Czarnieckiego była dla niego symbolem katolickiego i szlacheckiego ducha Polski i tych idej wyższych i podnioślejszych, które grób przetrwawszy, mają być zarodkiem nowego życia. Poeta nie przypuszczał wprawdzie, żeby Czarniecki o tem wszystkiem miał dokładne wyobrażenie, lecz za to, co ważniejsza, z czynów jego wnioskował *post factum*. W rok po Przedświcie, dnia 23 marca 1844 r., pisał w ten sposób do Kajetana Koźmiana, żądając z powodu poematu jego: „Stefan Czarniecki“, aby dał bohaterowi swemu *„conscientiam* przyszłości Polski, której zapewne nie miał w myśli swojej, choć ona koniecznie z czynu jego wytryska“. „Nie możnaby niektóre prorocze chwile, błyskawice przelotne przeczucia ogromnego, wlać w serce tego człowieka, tego pierwowzoru wszystkich, mających kiedyś skupiać rozebrane części i ratować całość? My dziś już możem wie-

dzieć, ku czemu Polska na świat ten zesłana, stąpa! Więc bohater, więc ideał zbawicieli kraju, niech to przeczuwa“ [1].

Żądał tego, co przed dwoma mniej więcej laty, pisząc Przedświt, sam uczynił, z tego samego pojęcia wychodząc, które tu szerzej rozwinął. Właśnie bowiem w usta tego „ideału zbawicieli kraju“ włożył ową *conscientiam*, a raczej *praescientiam* przyszłości, i ową najwyższą apologię przeszłości: „Błogosławcie ojców winie“ — dlatego, że

Z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie ludów lud jedyny.

Myślę to samo mniej więcej także o formie w najściślejszem tego słowa znaczeniu, że styl we wstępie prozą i budowa wiersza w poemacie uległa również treści, która nad nią zapanowała. Krasiński brał, co miał najbliższego pod ręką. Widać to najpierw we wstępie, gdzie proza użyta nie była już ową dawną, poetyczniejszą i harmonijniejszą, niż niejeden rytm i wiersz. Miała ona na sobie cechy tak zupełnie odrębne, że zdawałoby się, iż Krasiński nie potrafi użyć stylu i języka tak spokojnie i z taką zimną rozwagą. Poszło to również z treści, pełnej dowodów rozumowych, które jeżeli przemawiały do uczucia także, to tylko dlatego, że kwestyi polskiej dotyczyły, z fantazyą zaś nic wspólnego nie miały. Już teraz nie można było pisać stylem „Nieboskiej“, „Irydiona“ lub „Trzech myśli“. Jak należało pisać, miał Krasiński świeży wzór pod ręką w tych rozprawach filozoficznych, które współcześnie czytał. Zajmował się filozofią i dawniej jeszcze, czytywał Hegla i przed „Irydionem“, nigdzie jednak nie był zmuszony tak uledz jego suchemu, dyalektycznemu stylowi, jak tu właśnie wskutek treści podobnej. Zapoznawszy się później z Prolegomenami, z końcem 1839 lub z początkiem 1840 roku, rozwijał i przetwarzał myśli ich kilkakrotnie nietylko w listach, ale i w rozprawkach niewiadomej daty, lecz niewątpliwie z r. 1841, znalezionych przy listach do Sołtana i Małachowskiego. Z tego czasu pochodzi i wstęp, o którym zresztą wiemy, że był pisany

[1] Koresp. III., 113.

przed poematem. Krasiński uległ wpływowi stylu, bo mu szło o treść przedewszystkiem i o wzięcie kwestyi przyszłości narodu na rozum — jeżeli tak się wyrazić można — tak na rozum, jak Cieszkowski wziął kwestyę przewidywania przyszłości wogóle.

Przedświt zaś jest wogóle pierwszym obszerniejszym wierszowanym utworem. Poprzednio znanym był tylko „Syn Cieniów“ i krótka dedykacya przed „Nocą letnią“, choć wogóle Krasiński pisał wierszem i dawniej. I właśnie w tych drobnych wierszach i ułamkach z „Ostatniego“, ulubioną mu formą jest wiersz 11-zgłoskowy, w który ujął pierwszy i ostatni ustęp Przedświtu, podczas kiedy reszta pisana jest wierszem 8-zgłoskowym. Dwa te ustępy mają też istotnie treść odmienną, która potrzebowała tej powolnej formy, sposobnej do wspaniałego czasami toku myśli, zawiera bowiem wspomnienie o siostrze Beatrice, która miała natchnąć poemat. Wiersz zaś 8-zgłoskowy odpowiada znowu najlepiej cudownym widzeniom lotnych mar potoczystością i lekkością swoją. Niewątpliwie zaś do użycia tego wiersza skłoniła poetę szczęśliwa próba, którą dla podobnej treści zrobił z 8-zgłoskowym wierszem Józef Bohdan Zaleski w poemacie „Duch od stepu“, wydanym jeszcze w r. 1841. Poeta znał ten poemat i niezawodnie brzmiała mu niezagłuszenie harmonia wiersza ukraińskiego śpiewaka. Można to przypuścić, gdyż obok mnóstwa drobnych reminiscencyj w dykcyi są tu i całe obrazy nadzwyczaj podobne, które widocznie utkwiły Krasińskiemu silnie w pamięci, np. ukazywanie się duchów gdzieś w okolicy pobrzeży, i które później mimowoli pociągnęły za sobą tę samą formę.

* * *

Dziwny też los dostał się temu naszemu poematowi, Przedświtowi, w udziale.

Kiedy o „Nieboskiej“ i „Irydionie“ pojawiło się w czasopismach współczesnych tyle recenzyj i rozpraw poważnych, które na zawsze mają być dowodem i przez ilość i przez jakość, zajęcia, które te pierwsze poematy obudziły, o Przedświcie udało nam się kilka zaledwie wzmianek odnaleść — trzy wszystkiego, które doprawdy, że na wagę złota idą, bo pozwolą nieco wni-

knąć w przyczynę, dla której tak mało zajęcia nasz poemat obudził.

Pierwszy *Dziennik Narodowy* z dnia 20 maja 1843 r.[1] poświęcił mu króciutką recenzyę. Zgóry sprawozdawca wyznaje, że przypadło mu zadanie „nieco przytrudne". „Zawiera ono (poema) patryotyczne marzenia, w których się znajduje wiele szlachetnych nadziei, wiele pięknych wierszy, ale tak mistyczne i niezrozumiałe, że sam poeta, znając to, nazywa zgóry szydercami czytelników, co jak my nie potrafią pojąć jego pieśni:

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni me pojmą szyderce.

„Bóg nam świadkiem, że szydzić nie mamy chęci, ale chcielibyśmy, żeby nasi poeci pisali zrozumiale i dla wszystkich, nie zaś, jak się zdaje, dla pewnej liczby wybranych, wtajemniczonych. Pan Gaszyński zdaje się być katolikiem, cóż więc mamy rozumieć przez myśl, zawartą w następnych wierszach?

Bądźmy dumni, mój Aniele,
Bo nim zstapi cud i zbawi
Tych, co w dawnym drżą Kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi.

„W przedmowie — dodaje na końcu sprawozdawca — coś jest nakształt Mesyanizmu".

W drugiej recenzyi w *Orędowniku Naukowym* [Poznań dnia 11 grudnia nr. 49], porównywa L(ucyan) S(iemieński) Przedświt z „Pieśnią o ziemi naszej" Pola, a w tem ze wszystkiego tyle tylko charakterystyczne jest i ciekawe, jak Siemieński tłumaczył ostatnie słowa: „Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje".

„Widać moi mili — mówi on — że czas piosenek już minął, że na rozweselenie serc innego trzeba lekarstwa, że dusze nasze zagrałyby wam szczytniejszym hymnem, byleście mieli wolę wydobyć z nich ów ton tonów..."

Trzeci recenzent w *Dzienniku Domowym* [Poznań 1844 r.

[1] Nr. 112.

z dnia 17 stycznia nr. 2], nie odważył się nic więcej uczynić, tylko podać króciutkie streszczenie poematu.

Z tego wszystkiego wynika, że żaden z trzech recenzentów ani w przybliżeniu nie odgadł intencyi autora, którą on sam tak wyraźnie zaznaczył, że chciałby odmistycyzować naukę mistrza. *Dziennik Narodowy*, jedyne z pism emigracyjnych, które się Przedświtem zajęło, podejrzywał jego katolicyzm, a ze wzmianki o garstce wybranych widać, że na korzyść Towiańszczyzny go podejrzywał, w pismach zaś krajowych sądził Lucyan Siemieński, że ostatnie słowa wzywają do zbrojnego powstania, podczas kiedy one tę myśl tylko zawierają, że prawdę uznaną, a z faktów wydobytą, w czyn wprowadzić i do niej życie zastosować jest najświętszym obowiązkiem.

Ale nie zrozumieli nietylko intencyi autora; fałszywie i dzieło samo pojęli, fałszywie i różnie od tego, jak my dziś zdaleka patrząc, dzieło to pojmujemy, że ono na grunt chrześcijański ściągnęło istotnie wszystkie wiary i przekonania, i ideały nasze i o tyle je istotnie odmistycyzowało. Czemu to przypisać należy?

Dzieło Krasińskiego przyszło na czas niebezpieczny, czas przejściowy, kiedy emigracya zaczęła się już przeżywać, trawić wewnętrznie sama siebie, kiedy jako owoc rozkładu wydała już Towiańszczyznę. Rok 1843 to już był zachód, i to wcale nie wspaniały, emigracyi naszej, to już było właśnie w lat dziesięć po Księgach Pielgrzymstwa i Narodu polskiego, po epoce rozkwitu. Jakie smutne wrażenie czyni z owych czasów prasa emigracyjna — odbicie wierne życia, od którego przecie poezyi odłączyć nie można. Przedświt w tych czasach dla emigracyi przychodził już za późno, wyrósł on z niej i z narodu nieszczęśliwego, to pewna; miał w sobie wszystkie najlepsze i najszlachetniejsze jej soki, był najczystszym wyrazem tego, co ona czuć była mogła i powinna, tak czystym, że go dzisiaj wypierać się nie potrzeba — lecz na emigracyi nie było już zdrowia, nie było już nikogo, ktoby go rozumiał. U trzeźwiejszych bowiem walka z Towiańszczyzną i wietrzenie jej wszędzie, w każdej historyozofii, u innych znów wiara w Towiańskiego, zaślepiała na wszystko: dla pierwszych Przedświt wydał się odblaskiem nauki mi-

strza, dla drugich był niezrozumiały, bo go nakręcić dla siebie nie było sposobu.

Później przyszła reakcya przeciwko mesyanizmowi i mistycyzmowi nawet. Przyszły czasy pracy poważnej nad odrodzeniem powolnem, pracy mrówczej i skrzętnej nad sobą samym, potrzeba było koniecznie dla spokoju swego własnego i dla opinii obcych powiedzieć, że czegokolwiek się zgóry spodziewamy, to jednak ślepymi na nic nie jesteśmy i chcemy pracować razem z łaską, a nie zakładać rąk bezczynnie. Ztąd poszły dalsze losy Przedświtu, bo obok Ksiąg Pielgrzymstwa on właśnie był najlepszym, najczystszym wyrazem mistycyzmu naszego, i kiedy z tamtym walczyć należało, to oczywiście o Przedświcie przed innymi się myślało.

W niedługi czas po śmierci poety zjawiła się ta śliczna i niezrównana pod względem krytycznym i psychologicznym rozprawa Klaczki o poezyi polskiej i poecie bezimiennym w XIX. wieku, która, cokolwiek kto powie jeszcze nowego o Krasińskim, w głównych rysach nic nie straci na swojej wartości i która pierwsza podała taki wierny wizerunek wieszcza, człowieka i syna.

Z całą siłą i wymową zwrócił się Klaczko najpierw przeciwko temu, co w Przedświcie mesyanizmem było, przeciwko temu mianowicie, iż „Polska... była nietylko ukrzyżowaną jak Chrystus, by jak On zmartwychwstać, umarła ona również z własnej woli, by odkupić grzechy innych narodów, umarła bez żadnej skazy, bez żadnej winy“, gdyż ten mesyanizm oprócz tego co ma w sobie głębokiej pychy, a może i niereligijności, sprzeciwia się prawdzie historycznej, zawiera niejednę truciznę dla tych nawet, „których wiarę ożywić było jego przeznaczeniem“.

I oczywiście było to wszystko, co o Przedświcie można było pod względem politycznym i społecznym — a o to szło głównie — powiedzieć, i miał też całą słuszność autor, ze swego stanowiska patrząc. Toż samo, kiedy po długich latach milczenia o Przedświcie, mimo, że był on na ustach wszystkich, wyszła sławna przedmowa do lwowskiego wydania dzieł poety, zpod pióra St. hr. Tarnowskiego, to i w niej w r. 1874 o to głównie chodziło, żeby okazać, że się na ślepo za tą apoteozą błędów

nie idzie. I kiedy kilku genialnymi rysami dokonane to zostało[1], było już wszystko, co narazie można i trzeba było o Przedświcie powiedzieć. Poza tem trudno było coś więcej dodać, kiedy życie poety w objawach swoich jak łza czyste, tak jednak mało znane i dostępne było. Tyle czasu minęło, zanim zjawiać się zaczęła korespondencya poety i pozwoliła wglądnąć nieco głębiej w duszę jego. Powiedzieli nam Klaczko i St. hr. Tarnowski o genezie całego tego kierunku poezyi, do którego Przedświt należy, przedstawili go nam jako owoc tych prądów współczesnych — dziś pytanie słuszne, a dalsze i dokładniejsze w szczegółach, jak też to się działo w duszy poety?

I wobec tego czemże jest to arcydzieło poezyi, a powiedzmy wprost, i arcydzieło mistycyzmu polskiego?

Był mąż z duszą nader bogatą i uposażoną, bo składały się na nią i serce gorące i fantazya bujna i lotna, a przedewszystkiem umysł głęboki, chłonący w siebie prawdę jednę po drugiej, w miarę jak się one objawiały w życiu. Mąż ten za młodzieńczych lat jeszcze puścił się w drogę, bo go popychała do niej dola własna i narodu, do którego należał. Droga była ciężka, bo prowadziła wśród takich zwątpień i rozpaczy, o takie ciernie i przepaści zawadzała, jak powstanie w r. 1831 i emigracya, jak niepewność jutra dla społeczeństwa i narodu, jak bankructwo systemów filozoficznych. Za przewodnika miał nic więcej tylko wskazówki niewyraźne, gdzie mu iść n i e w o l n o: do zemsty i nienawiści, do znikczemnienia i rozpaczy. Poszedł więc z początku pewnym krokiem olbrzyma, z siłą i nadzieją, znacząc ślady „Nieboską“ i „Irydionem“, ale że był człowiekiem przedewszystkiem, więc zachwiał się na chwilę i — zostawił „Trzy myśli Ligenzy“. Nie oślepł jednak i nie stracił nic z tej potęgi swego serca, fantazyi i rozumu. Jeszcze nie miał czasu doprowadzić błędu w jego konsekwencyach do ostateczności, kiedy tą bogatą i uposażoną duszą spostrzegł, dokąd ta droga prowadzi, i nagle się opamiętał. Jaśniej, wyraźniej i pełniej niż kiedykol-

[1] Ob. przedmowę do wydania lwowskiego „Pism“ Zygmunta Krasińskiego, str. XXXV—XLII.

wiek, stanęło nanowo przed nim to wszystko, co przedtem niewyraźnie i ułamkami znachodził, stanęło oczyszczone i uszlachetnione nietylko przez cierpienia i zwątpienia własne, ale przez błędy drugich, jak złoto przez ogniową próbę. Stanął Przedświt. To jedna połowa jego znaczenia i ta była jasną i zrozumiałą, i temu zawdzięcza Krasiński, co powiedział o nim St. hr. Tarnowski, „że poeta dotąd mało znany, mniej jeszcze rozumiany, przez to ogółowi niesympatyczny, tem jednem dziełem wzniósł się w mniemaniu narodu tak wysoko, że odrazu, bez dyskusyi, jakąś cichą, ale rzeczywistą i powszechną zgodą stanął w tej opinii zaraz przy Mickiewiczu, a stanął tak silnie i nazawsze, że wszystkie próby i usiłowania, żeby go zniżyć, zachwiać, znieść, miotają się nadarmo i pękają jak bańki z mydła w bezsilności i wściekłości swojej niechęci do Krasińskiego“ [1].

Czem jest więcej jeszcze?

Myślę bez obawy, że można zdjąć z niego i tę skazę małą, której dopatrzył na nim Klaczko w mesyanizmie jego przez apoteozę błędów. Powtórzę znowu, co pod innym względem powiedział St. hr. Tarnowski: „prawdziwa czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwa? oczywiście nikt nie poważy się rozstrzygać, bo cała jedna jej połowa, jej konkluzya, należy do przyszłości“ [2]. Istotnie prawdziwe, czy mylne, w pojęciu Krasińskiego to zrobienie z Polski Chrystusa narodów, zstępującego do grobu, było trzeźwe i logiczne, było wynikiem tego jego zapatrywania, że w przeszłości były fakta bezwiedne, z których dzisiaj się wnioskuje; „...ale Duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historyi do posunięcia jej postępu dalej“.

Nigdy, przenigdy, nawet w chwilach najbardziej poetycznego pojmowania przeszłości, nie przypisywał Krasiński Polsce dobrej woli w upadku i wyższego celu jakiegoś. To on tak widział dzisiaj, i nie przeczył że to on tak widzi tylko, że miał

[1] Przedmowa do „Pism“ Z. K., str. XXXVI.
[2] Tamże, str. XXXVIII.

to za naukową teoryę w praktykę wprowadzoną. Mówiły mu mianowicie Prolegomena Cieszkowskiego, że faktom bezmyślnym podsuwa się ideje i cel, o których skutki dopiero pouczyły — cóż bliższego było, jak apoteozować przeszłość ze względu na czasy późniejszego, wspaniałego odrodzenia, w które on tak gorąco wierzył, w które z taką siłą wierzyć kazał. Cóż bliższego było, jak kazać błogosławić ojców winie, jeżeli na tę jedyną w swoim rodzaju drogę rozumowań i zapatrywań popychała teorya świetnie rozprowadzona w filozofii i tak odważnie zastosowana w praktyce przez św. Augustyna. „Błogosławcie ojców winie“ — już chyba dzisiaj obawiać nam się nie należy, żeby nam mesyanizm zarzucono — „prawdziwe czy mylne, jest trzeźwe i logiczne“ — bo na jakiejś teoryi i rozumowaniu oparte. I dlatego to przedewszystkiem i dla tamtych okoliczności wzmiankowanych już powyżej, Przedświtowi istotnie nic już nie brakuje, aby był „jednym z tych rzadkich dzieł poetycznych, które mają zapewnioną nieśmiertelność nietylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historyi“ [1].

DODATEK.

List Zygmunta Krasińskiego, który tutaj po raz pierwszy ogłaszamy z jego nazwiskiem, został wydrukowany w r. 1842 w *Dzienniku Narodowym* w Paryżu, w numerze 54 z dnia 9 kwietnia, str. 216—218, jako: „bezimienna korespondencya z Palermo 25 grudnia 1841 r.“.

Pomijając wszystkie ogólniejsze ślady pióra Krasińskiego, jak myśli i styl, na poparcie twierdzenia naszego, zwracam jedynie uwagę na następujące podobieństwa:

Korespondencya bezimienna:

„Jeśli byli ludzie lub narody na których czole leżał palec Boga, to wyrytym jest na licu tych, o których mówię...“

List Z. Krasińskiego do Sołtana [München 1841. 17. XII. str. 258]: „Jeśli bywały ludy i bywali ludzie, co palec Boga nosili na czole, my jego wszystkie pięć nosim na licu historycznem“.

[1] Przedmowa, str. XLII.

Koresp. bezim.: „Nie, owszem, to dusza bez ciała (narodu polskiego) przechadzała się wciąż po powierzchni ziemi i przytomną bywała wielkim sprawom świata".

Tenże list str. 257: „...w trumnie przeżyliśmy śmierć, po powierzchni tymczasem dusza nasza przechadzała się i przytomna była wszystkim wielkim sprawom świata".

Z innych drobnych reminiscencyj przytoczę jeszcze charakterystyczne wyrażenie korespondencyi bezimiennej: „Kto jak Polska nie miał przeszłości, bo o nią nie dbał..." i t. d., podobnie jak Krasiński w cytowanym liście (str. 257) wyraża się: „Cała przeszłość nasza była chaosem przedstworzenia naszego, dlatego też t a k m a ł o d b a l i ś m y o n i ą..." i t. d.

W czasach, kiedy Korespondencya bezimienna była pisana, a więc około 25 grudnia 1841 r. i kiedy pisany był cytowany list do Sołtana (17 grudnia tegoż r.), Krasiński zajmował się bardzo wiele podobnemi kwestyami, że przypomnę jeszcze tylko podobne listy do Sołtana (4. XII. 1841, str. 251. Münich 1842. 26. I., str. 266), do Małachowskiego (Münich 1841. 7. XII., str. 12) lub znane rozprawki „o Trójcy i Słowie wcielonem, o Żywocie wiecznym" (Do Małachowskiego, str. 15—20. Do Sołtana, str. 259—265), niedatowane, ale z tych samych czasów. Jedynie do Gaszyńskiego żaden list się nie przechował, chociaż w liście z dnia 9. IV. 1842 r. donosi mu, że pisał do niego w Decembrze, (str. 192). Listu tego nie mamy. Domyślam się więc, że ta nasza korespondencya bezimienna jest właśnie urywkiem z owego zaginionego listu do Gaszyńskiego. Poeta włożył tu wszystko, czem był zajęty przez grudzień, jak świadczą powyższe cytaty, Gaszyński zaś udzielił go niezawodnie *Dziennikowi Narodowemu*, a dla zatarcia wszelkich śladów pochodzenia, o co zawsze Zygmunt się starał, położył u góry fałszywą miejscowość „Palermo". Dnia 25 grudnia bowiem, Krasiński znajdował się w Monachium.

KORESPONDENCYA.

Palermo. 25 grudnia 1841.

...Gdym kończył, już pierwsza gwiazda zaglądała przez okno, wkrótce potem i księżyc przyszedł, roiły się tłumy czarne

po ulicy, wszyscy spieszyli na mszę. Wyszedłem około dwunastej, a oto wszystkie dzwony miasta, zaczęły wołać do siebie dobrą nowinę, że się Chrystus narodził. Z dział strzelano za miastem. Mnie było gorzko, żem był sam, sam taki jeden na tej ulicy, w tem świetle miesięcznem! Nie wiem czemu bardziej sam, o tej chwili zstępującego Boga na ziemię, niż innych dni życia! Bo to chwila, która ma się do całej ludzkości razem, i wymaga zgromadzenia się jej członków. Nie jestto chwila samotności. I gdy te dzwony grzmieć tak zaczęły, aż mi się w sercu cudownie tęskno, nieopisanie tęskno stało, do dnia tego i chwili onej, kiedy Chrystus na tym planecie się rodził! a gdym spojrzał w niebo i w te wszystkie światy, w drogę mleczną, w ogrom, w bezmiar, aż zadrżałem, bom uczuł jakoby drugi raz: oto szedł z niebios ku ziemi i miał stanąć na niej. Coś nadziemskiego mnie zdjęło. Spojrzałem na kręcących się koło mnie ludzi, co biegli do kościołów; zdało mi się, że widzę w nich wszystkich J e d n e g o D u c h a; zakręciło się w mózgu moim wrażenie, jakby nieskończonego widnokręgu, bez miary, a przejrzystego. I to był kształt boski, wszędzie równy, wszędzie obecny, wszędzie ten sam, w sobie całym i na każdym punkcie, i w każdej chwilce siebie! I zdało mi się, że do tego przelotnego błysku w duszy mojej, zdjęła mnie miłość nadpowietrzna, widnokrężna, roztapiająca mnie samego, a jednak pewna siebie, pewna, że z mojego Ja wypłynęła — i tą miłością Boga, ten kształt mi ukazany kochałem. Zdawało mi się, że rosnę w wieczności, zdawało mi się, że się mnie coś wielkiego objawi! A nademną księżyc stał, i mleczne drogi, i wszystko, wszystko. Czemuż we mnie w s z y s t k o, w j e d n e j c h w i l i zmienić się nie może?... Ale przytem uczułem szeptanie w mojem wnętrzu własnem, przepowiadanie nieme, ale pewno słyszane, że coś ma się ku nam, że coś już pływa po widnokręgach, po przestrzeni, że to C o ś, zbliża się do dusz naszych, i że nim pomrzemy objawi się im; a to czułem po stanie mojej własnej, że coś nadzwykłego ku wszystkim się przybliża: bo moja własna za szranki zwyczajne była się wyniosła i kąpała się w jakiejś przejrzystości bez nazwy, w szczęśliwym bycie jakimś, ale krótkotrwałym, chyżym

w przelocie i nieosiągnionym przez wolę moją, tylko przez nagły zachwyt jakiś z moją wolą nic wspólnego nie mający, owszem, jarzmiący moją wolę w danej chwili tej, a gdym potem żądał go przywrócić, niesłuchający jej! Bardziej niż kiedykolwiek przez rozumowanie, w tej chwili przez nagłe uczucie utwierdziło się w mojem przekonaniu To, o czem mówimy od tak dawna...

...Jakażto teorya o przechodzeniu dusz, czyli raczej o strzeżeniu ludzi przez dusze zmarłych, zaczyna się tam znowu rozgadywać? To pewna, że dziwny powietrzokrąg mistycznych wpływów nas okrąża, fala objawień bije nam w serce i jeszcze się rozbija, ale coraz silniej bije, i wraca, i kusi w wieczność duszę nieśmiertelną... Kto jak Polska nie miał przeszłości, bo o nią nie dbał, kto nie ma teraźniejszości żadnej, a jednak mimo to i tamto żyje, jest duchem żywym, czemże być może, jeśli nie wybranym przyszłości? Loika to niezbita, jeśli Bóg opatrzny prowadzi dole ludzkie, a któż wątpićby śmiał o tem? Więc jak Bóg na niebie, tak com rzekł prawdą jest, i w tej prawdzie leży sens cały, rozumnych, bałamutnych może zkądinąd marzeń...

To pewna, że każda prawdziwa idea musi stać się w przestrzeni i w czasie jako siostra, że tak powiem Chrystusowa; musi przybrać ciało. A tu właśnie jest cudowne stanowisko rzeczy. Gdy idea pojęta przez rozum i przeczuwana przez serce, dochodzi tej fali czasu, na której ma stanąć widomie, jak coś bożego, stąpającego po falach, po oceanie zdarzeń, wtedy w istocie cud się rozwija; bo cudem jest przejście ze stanu myśli czystej, do stanu realności, do czynu. Jakim zaś sposobem, podług jakich praw odbędzie się ten nowy cud w rzędzie cudów świata, tego nikt nie odgadnie, chyba ten, który jest tego cudu już cząstką. Ten planeta coraz cudowniej od kiedy się począł wiruje w przestrzeni. W miarę jak zstępowały idee z nieba i uwidomiały się na nim, rosło to, co my zowiemy cudownością. Dobro stawało się lepszem, piękno piękniejszem. W naukach mnożyły się odkrycia; myśli widnokrąg się rozszerzał. Jak Afrodyta, Ameryka z łona mórz wstawała; jak piorun dotąd ukryty w atomach, proch wyskakiwał. Ale wszystko działo się powoli, wiekami, choć niezawodnie coraz prędzej, od czasów Chrystusa. Pro-

szę porównać wynalazki przez lat 5000, z naszymi od lat 1840. Kto wie, czy nam nie przeznaczono znów się w ruch bardziej zbliżony o krok, o siłę jedną do wieczności, w ruch bardziej porywający dostać. A na to trzeba idei, któraby w łonie swojem zawierała więcej nas z wiecznością łączących stosunków. Zorza chrześcijaństwa już taką była w porównaniu z zachodem pogańskiego świata. Czemuż dopełnienie chrześcijaństwa nie miałoby taką samą zorzą zabłysnąć w porównaniu z jego zorzą historyczną? A mówię historyczną, bo w Chrystusie wszystko już zawarte było i jest. Ale to wszystko dotąd nie rozwinęło się, nie urzeczywistniło się na ziemi; z Niego płynie jak ze źródła, ale nas dotąd nie dopłynęło, nie oblało jeszcze. Przez 2000 lat uczyła się ludzkość na pamięć nauki i przepisów Chrystusa, umie je, ale nie wie, jak im zadość uczynić, jak je zastosować. Czyż można na chwilę wątpić, że właśnie teraz ten sposób podanym zostanie. Bo co to jest umieć na pamięć przepisy boże, prawdę wieczną, a nie módz jej uwidomić? To jest potrzebować pomocy bożej; a potrzebować pomocy bożej, to samo jest, co ją otrzymywać. Tu skutek nierozłączny od przyczyny i drugie pierwszego się trzyma, jak ciało duszy, jak w ciągu myśli loika, jak w ciągu akordów nastrój; bo kiedy z jednej strony miłość a z drugiej żądza, cóż za inny wypadek być może, co za inny pytam, jeśli nie wyrwanie żądzy z tęsknoty przez objawienie się miłości? Wszystko tu mi się zgadza i cudownie spaja, razem loika rozumu, serca uczucie, przeszłość historyi i konieczność jej przyszła i chwila dzisiejsza, i wszystko co wiem, i wszystko co kocham, i wszystko co przeczuwam, i wszystko co mi pamiętnem jest!

U bram świata stoi więc nowa idea — nowa, to jest taka, co przeszłych nie zabija, ale zachowuje wszystkie, tylko, że podnosi je wyżej; więc stoi i ciemno jeszcze, jak zwykle stoją podobne wśród nocy u bram takowych. Teraz pytanie, komu ona każe w te bramy uderzyć, by jej otworzyli, kogo ona weźmie naprzód za sługi swoje, by ich później podnieść do godności braci swoich? Mojem zdaniem, ten tylko może być nowym, kto świeży; a ten tylko świeży, kto młody. Lecz znam jeszcze

świeższych, niż ci, którzy młodymi są, młodszych od samej młodości, to jest takich, co się jeszcze nie narodzili choć żyją [1]. Nazwiesz-li ich kolebkę trumną, lub też kolebką ich trumnę? — nad to nic młodszego nie znam, i to fenomen cudowny, bo zarazem mieści w sobie całą mądrość doświadczenia długiego w przeszłości, całą powagę i rozum śmierci, całą świeżość wiosny, całą bujność życia. Niech mi kto inny tak zdoła pogodzić najstraszniejsze sprzeczności w sobie, sprzeczności, które tylko tam się, gdzie Duch boży jest, jednają. Jeśli byli ludzie lub narody, na których czole leżał palec Boga, to wyrytym jest na licu tych, o których mówię i myślę, że nietylko dziwne kwiaty, ale i owoce poróść mogą na grobach!

Grecy słowo Chrystusa mieli za utopią, Rzymianie za szaleństwo. A któż prawdę wyrzekł, mówiąc: „Ale ufajcie, jam zwyciężył świat?“ Ideał albowiem, to jest najwyższy kształt idei; ideał, to ona po wzięciu na się przedziwnie z nią zgadzającego się ciała, to ona w ciele swojem nieśmiertelnem. I otóż ta idea raz próbowała wziąść ciało, ale nie czas był po temu jeszcze, i wcielenie stało się męką jej, nieosiągnięciem celu, niezmierną walką bez skutku, wreszcie przybranego ciała rozpadnięciem. Lecz znikłaż treść po rozpadnięciu się kształtów? Rozwiałże się wnątrz po rozwianiu się zewnętrza? Nie, owszem, ta dusza bez ciała przechadzała się wciąż po powierzchni ziemi, i przytomną bywała wielkim sprawom świata. Tęskna za nowem ciałem, wszędzie o nie się starała, wszędzie oczy ludzkie ją widziały, serca czuły, uszy głos jej słyszały; a jednak duch to był tylko przechadzający się bez powłoki dotykalnej! Czy już w tem niema cudu? Czy już w tem świat umarłych nie zetknął się ze światem żyjących, pierwszy raz w historyi świata? Jakiż ztąd wniosek? Oczywiście taki, że tej duszy tęsknej i pokutującej, albo raczej tylko właśnie na to przeznaczonej, by po jednej szaty odrzuceniu, drugą, ale nieskazitelną, już przyoblekła, dano będzie to, na czego dopełnienie zesłaną została z wieczności i obda-

[1] Pielgrzymi polscy nie mający jeszcze nazwiska swego, ale nazwisko dane im będzie. („Księgi Narodu i Pielgrzymstwa polskiego“).
(Przyp. Red.).

rzoną wszystkimi przymiotami, posłużyć mogącymi skutecznie na takiej drodze: jakież to są jej przymioty? Oto osobliwsze niedbanie o życie, gdy istniało, osobliwa miłość do niego, gdy zaginęło, i niebotyczna pewność, że to życie musi powrócić.

Z pośród więc pokus nas otaczających, niech prawda kuszą c a przeważy, prawda jedynie, ale nie rozsądku, tylko rozumu, nie praktyki, tylko idei, nie doczesna, tylko boża i wieczna. Bo wszystkie sposobiki, środeczki, fałszywe praktyczności, o tyle tylko są potęgą, o ile nie stawają do walki z ideą prawdziwą. Dopóki roztaczają trupa, lub kują materyę martwą, wiele zręczności im przyznać należy. Jestto rzemieślniczość w tej sferze, metoda, umiejąca w ścisłe karby ujmować to, co przeznaczone do mieszczenia się między karbami, bo martwe, głuche i ślepe. Lecz rzemieślniki zawsze ustępować muszą natchnionym mistrzom, geniuszowi — energii bożej, ile razy ukaże się — słowem życiu! Idea jestto fala życia wpadająca wczas. Któż przeciwko niej mocen będzie, kto jej powie: „Ty nie pójdziesz dalej?“ I ona też musi później wpaść w rzemieślników swoich ręce, lecz w pierwszej chwili objawu, jej potęga na tem zależy, że na czas jakiś wszelką rzemieślniczość znosi ze świata, że wypędza kramarzy ze świątyni; a więc nie kramarze, ni stal wyrabiający, ni purpurę sprzedający, jej orszak składać mogą... ale dość o tem.

Tadeusz Sternal.

MĘCZENNIK ZA ŚWIĘTOŚĆ MAŁŻEŃSTWA.

Life of blessed John Fisher, by the Rev. T. E. Bridgett C. S. R. London, Burn and Oates.

Nie spostrzegamy prawie, do jakiego stopnia nurtująca dziś w całym świecie bezbożność, i pobożne nawet dusze przenika, jak stopniowe odchrześcijanienie ludzkości bezwiednie zaraża chrześcijańskie umysły i serca, rozrywając ich związek z nadprzyrodzonym światem, odbierając wciąż łączniki z niebem, aby natomiast tylko zagłębione w ziemi korzenie bujnie się hodowały i rozwijały. Wyszedł dziś Bóg z duszy mędrców, „ciemnej jak mogiła“, wychodzi boży pierwiastek z potocznego życia, ze szkoły, z prawodawstwa, z doczesnych ustaw i stosunków. Ztąd też pochodzi rosnąca dziś i upowszechniona obojętność dla Świętych Pańskich i zostawionych nam przez nich przykładów.

Gotuje się jednak podobno zwrot pomyślny w tym kierunku, bo aczkolwiek nie rozbudził się dotąd dawny pociąg do „Świętych obcowania“, mnóstwo poważnych prac, dokonanych na tem polu, w ostatnich pojawiło się latach, zdobywając sobie czytelników i zwracając myśl ludzką ku promiennym szlakom, kędy szli wybrani boscy. Owszem, razporaz wyłaniają się z przeszłości postacie, odpowiadające stałością i cnotą na wznowione za dni naszych pokusy i próby, i wskazujące własnym przykładem, jak takowe zwyciężać należy.

W chwili, gdy niewiara, bijąca taranem we wszystkie warownie życia chrześcijańskiego, próbuje rozerwać świętość ro-

dziny, odjąć małżeństwu sakramentalne znaczenie i dozgonność, Kościół stawia na ołtarzach męczennika w sprawie owego właśnie Sakramentu, wyznawcę wiary w godzinie ucisku, mającego z wielu względów podobieństwo do nowoczesnych prześladowań. Nie było wtedy mowy o cywilnych małżeństwach i prawnych rozwodach: szło o wyjątkową, osobistą sprawę królewskiego rozpustnika, który dla dogodzenia własnym chuciom oddalił żonę po dwudziestoletniem z nią pożyciu, i pojmował z rzędu pięć innych, próbując zawsze nadać legalne pozory swemu zmiennictwu i zbrodni. Opór, stawiony przez biskupa z Rochester, Jana Fishera, pierwszemu rozwodowi Henryka VIII. z Katarzyną Aragońską, zawiódł świątobliwego męża na rusztowanie i pasował go na męczennika za świętość małżeństwa, tak jak ongi św. Jan Chrzciciel w podobnej zginął sprawie. Imię Fishera nie jest nam obcem; przypominano je z okazyi zaszczycenia uwięzionego w Ostrowie ks. Mieczysława Ledóchowskiego kardynalską purpurą, na podobieństwo angielskiego biskupa, który w równych okolicznościach został był kardynałem. Między jego panegirystami znalazł się i nasz Hozyusz, a dodatkowe biografie Świętych Pańskich Skargi świadczą, jak żywo się w Polsce zajmowano losem angielskich wyznawców wiary, jak dokładne o nich posiadano wiadomości i szczegóły. Dla wracającej stopniowo do katolickiej jedności Anglii, wyniesienie jej męczenników na ołtarze wielkim jest bodźcem i pociechą. Sypnęły się też wyczerpujące biografie głównych zapaśników tej smutnej epoki przełomu, a otworzony przystęp do archiwów państwowych ułatwił zadanie szermierzom prawdy. Podczas gdy brat Foley głównie jezuickie spisywał martyrologium, Dom Gasquet Benedyktyńskie wydawał roczniki, ojciec Morris rodzinne wyzyskiwał pamiątki i papiery, p. Gairdner wydawał dokumenta Henrykowe — znany pisarz z zakonu Redemptorystów, ojciec Bridgett, podjął na szerszy zakrój biografie dwóch naczelnych i pierwszych męczenników krwawego okresu, a mianowicie: biskupa z Rochester, Jana Fishera, oraz kanclerza Anglii, Tomasza Morusa. Zanim nas ta ostatnia, niewykończona jeszcze, dojdzie praca, czytelnicy pozwolą, abym im przedłożył naczelne rysy biografii kardynała-

nominata, który innej nie zaznał purpury, okrom krwi własnej, wielkiem sercem wylanej w obronie najświętszej sprawy i nietykalności tego bożego Sakramentu, który stanowi podwalinę rodziny i węgielny kamień porządku społecznego na ziemi.

Autor niniejszej biografii spłaca poniekąd swą pracą dług osobistej wdzięczności. Opowiada nam bowiem na wstępie, jakim sposobem biskup Fisher był dlań okazyą powrotu na łono prawdziwego Kościoła. Kiedy przed blisko pół wiekiem młody student po raz pierwszy wstąpił w progi refektarza czy głównej auli kolegium św. Jana w Cambridge, wzrok jego zatrzymał się na portrecie fundatorki, Lady Margaret, matki Henryka VII., i na wizerunku jej spowiednika, Jana Fishera. Zapragnął wnet dowiedzieć się czegoś więcej o założycielach starej szkoły; jął więc gromadzić materyał historyczny, wczytywać się w stare kroniki i notaty, zaczem odniósł to pierwsze wrażenie, iż złość i gwałtowność kierowała sprawcami Reformacyi. Pisma, charakter i zgon Fishera dodały wagi innym argumentom tak dalece, iż gdy przyszło do składania przysięgi, uznającej monarchę głową anglikańskiego kościoła, czego wówczas żądano przy udzielaniu stopni uniwersyteckich, Bridgett nie mógł już na takowy krok się zdobyć, a to go zniewoliło do opuszczenia starej wszechnicy, a w następstwie do pojednania się z Rzymem. Nawrócenie jego przypadło w połowie bieżącego stulecia, w owym roku 1856, który stał się pamiętnym dla Anglii, niebywałym prądem najznakomitszych umysłów ku wybrzeżom prawdy. Wystarczy wspomnieć nazwisko kardynała Manninga, który pod tąż datą przeszedł na wiarę katolicką.

Zaskarbione w Cambridge wspomnienia, wrażenia i wiadomości chował ojciec Bridgett w duszy swej i tece, aż gdy wybiła godzina beatyfikacyi błogosławionego męczennika, umyślił wydobyć na jaw coś z nagromadzonych skrzętnie dostatków i podać swym ziomkom wizerunek wielkiego wyznawcy, któremu sam zawdzięczał pokój i zbawienie. Katolicka księgarnia w Londynie ze zwykłą starannością wydała żywot bł. Jana Fishera, ozdobiony jego portretem wedle rysunku Holbeina, dokonanego na ośm lat przed męczeńską śmiercią świętego biskupa. Szkic nie-

mieckiego mistrza przedstawia nam łagodną i mądrą twarz 60-letniego już starca, w głównych zaledwie rysach niedokończonego wizerunku. Następnie czytamy dekret beatyfikacyi 54 męczenników, którzy cierpieli za wiarę między rokiem 1535 a 1583. Do dalszych męczeństw mogły się przyplątać jakie polityczne powody lub pozory. W okresie objętym papieską bulą uwidocznia się czysto religijny charakter prześladowania i ucisku. Otóż na czele tego pierwszego pocztu męczenników, wśród których znajdują się świeccy i księża, wymieniony jest Jan Fisher, biskup i kardynał świętego rzymskiego Kościoła. Dekret beatyfikacyi nosi datę 29 grudnia 1886 r.

Kilku lat potrzebował ojciec Bridgett, aby uporządkować obfity materyał biograficzny i wysnuć zeń pełny wizerunek hetmana męczenników angielskich. Urosła ztąd książka nader zajmująca, ale nieco nużąca polemicznym charakterem. Pisząc o mężu, który z powodu swego naczelnego stanowiska i stałego przeciw Reformacyi oporu wystawion był na oszczerstwa późniejszych historyków, musiał dzisiejszy onego biograf wyjaśniać sporne kwestye, ciemne punkta, zawiłe strony dziejów, z umysłu przez kacerzy gmatwanych. Przedewszystkiem wypadło ojcu Bridgett wojować orężem prawdy przeciw przywódcy, a raczej hersztowi nowszej w Anglii szkoły historycznej, James Anthony Froude, *the greatest liar of a lyingage*, „największemu kłamcy kłamiącej epoki“ — jak mówi autor żywotu Jana Fishera. Angielscy czytelnicy oczywiście wiele mogą skorzystać z takiego rozpędzania umyślnie nagromadzonych cieniów. Nam zaś wystarczą główne zarysy pięknego życia i postaci tak pokrewnej naszym wygnańcom i wyznawcom wiary na Sybirze lub w pruskich kaźniach.

Wobec skarg na ucisk i bezbożność dni naszych, warto sobie przypomnieć, w jakich czasach i okolicznościach urodził się i wyrósł Jan Fisher. Przyszedł on na świat u schyłku XV. stulecia, w r. 1469. Życie jego rozpoczęło się wśród klęsk bratniej wojny, a zamknęło wśród strasznej burzy religijnego buntu i niewiary. Cienie nocy zdawały się coraz grubszym mrokiem osłaniać Kościół i świat cały: kurczyło się chrześcijaństwo podbojami

Islamu, zdawało się, iż po zdobyciu Konstantynopola fala muzułmańskich najazdów całą zaleje Europę. Kacerstwo coraz to inne kraje odrywało od jedności wiary. W pierwszym dziesiątku XVI. stulecia, każąc raz na temat siedmiu Psalmów pokutnych, nasz późniejszy zapaśnik prawdy wskazywał, iż muzułmanie i poganie rządzą całą Azyą i Afryką, a z Europy zaledwie szósta część dochowała wierności Kościołowi, że tedy nastały ciężkie, groźne dni dla chrześcijaństwa. Atoli wątpić nie należy o zmiłowaniu i pomocy bożej, modlić się tylko potrzeba o wzbudzenie godnych obrońców prawdy. Tu Fisher przypomniał, iż Apostołowie byli miękką gliną, dopóki ich nie przepalił ogień Ducha św., skończył zaś następną modlitwą: „Racz więc Panie to samo dziś zdziałać dla twego wojującego Kościoła. Zamień niestały i śliski ił w twarde głazy, postaw w twoim Kościele warowne filary, któreby znieść i wytrzymać mogły niezmierne trudy, czuwania, głód, chłód, pragnienie, upalenie i ubóstwo; któreby nie ulękły się ani pogróżek książąt, ani śmierci, ani prześladowań, a ochotnie znosiły zhańbienie, oszczerstwa i wszelakie męki dla chwały twego najświętszego Imienia".

Gdy Fisher tę natchnioną wygłaszał modlitwę, Ignacy Loyola był jeszcze 14-letnim paziem na dworze Ferdynanda katolickiego, i daleki jeszcze był dzień, w którym Duch św. duszę jego miał zapalić ku czynnemu apostolstwu i wojowaniu za prawdę, a w dwa lata później wielki Indyj apostoł, Franciszek Ksawery, na świat dopiero przyszedł. Nie danem było Fisherowi ujrzeć one błyski zorzy rozświecającej gruby mrok ciemnej dla Kościoła doby, ale sam miał się stać i filarem obronnym, i głazem niewzruszonym, i pochodnią gorejącą wśród cieniów mętnego i smętnego okresu dziejów.

Młodość Fishera upłynęła w cieniu starożytnej szkoły, do której rozwoju miał się czynnie przyłożyć. Wcześnie uzyskawszy stopnie naukowe, zaliczonym został do rzędu towarzyszów uniwersyteckich czyli *Fellon,* a następnie i kapłańskie otrzymał święcenia. Przywiązanie do swej *Almae matris* miał niebawem stwierdzić czynnie i świetnie. Rychło cnotą i nauką wsławiony, został spowiednikiem hrabiny Richmond, matki Tudorów, głównej spraw-

czyni pokoju, zamykającego krwawy okres wojen Białej i Czerwonej róży. Pani ta, założycielka nowej dynastyi, która w sobie łączyła krew dawnych władców Anglii, z przymieszką świeższych, odmłodzonych i bujniejszych soków, stać się miała największą dobrodziejką wszechnicy w Cambridge za wpływem i namową swego duchownego kierownika. Acz dużo starsza w latach od Fishera, zdała zupełnie na niego wolę swoją, poddała mu się całkowicie, oceniając, jak przynależy, wysoką jego świątobliwość i światło. Złożywszy w jego ręce po zgonie małżonka ślub czystości i posłuszeństwa, z uległością i prostotą dziecięcia dała się prowadzić ku doskonałości przez swego spowiednika. Oddawna używała ona swych olbrzymich dostatków na dobre i podniosłe cele. Teraz jęła mnożyć fundacye rozszerzające zakres starożytnej szkoły. Jak u nas Jadwiga czuwa nad kolebką Jagiellońskiej wszechnicy, tak w Anglii opieka Lady Margaret widnieje na każdym kroku w rosnących i rozwijających się obu szkołach, założonych nad wybrzeżami rzeczek Cam i Ox. Najprzód uposaża ona katedrę teologii, i to jednocześnie w obu uniwersytetach angielskich, w Oksfordzie i Cambridge; dalej ustanawia bursę kaznodziejską, stale przeznaczoną dla jednego z towarzyszów tej ostatniej wszechnicy; nareszcie zakłada w obrębie tejże szkoły główne i wspaniałe kolegium Chrystusowe, *Christ college*, na jednego magistra, 12 towarzyszów i 47 słuchaczów. Tamże kilka komnat nad mieszkaniem magistra do własnego rozporządzenia sobie zostawiła, oddając je do użytku Fisherowi, którego zamianowała dożywotnim wizytatorem nowego kolegium. Nie na tem jednak się skończyła hojna życzliwość hrabiny Richmond dla Cambridge. Wespół ze swym spowiednikiem, podniesionym już teraz do godności biskupa w Rochester, nowe jeszcze fundusze przeznaczyła na założenie i uposażenie kolegium św. Jana, dla znaczniejszej jeszcze liczby studentów. Ostały się mury, zachowały dotacye wspaniałych fundacyj Małgorzaty Beaufort-Tudor, atoli pobożna założycielka nie przeczuwała, iż własny wnuk odejmie charakter katolicki tym krynicom wiedzy i wiary, zgasi lampę ołtarza, zbezcześci świątynie, zatruje ducha szkoły, która odtąd zamknie się na długie wieki dla wyznawców religii przodków, a kuć bę-

dzie narzędzia fałszu, kłamstwa i przeczenia. Jest coś głęboko tragicznego w zachodach tej pobożnej niewiasty, usiłującej ojczyźnie swej zgotować trwałe ognisko prawdy, gdy się wspomni, w jak krótkim czasie myśl jej przewodnia miała być zaćmioną i wykrzywioną. Spadkobiercy dobrodziejstw hrabiny Małgorzaty podziśdzień rozwodzą się nad jej cnotą i szlachetnemi usiłowaniami, sławią jej hojność, roztropnie przez mądrego doradcę pokierowaną, nie bardzo tylko umieją sobie poradzić z wiernością i wiarą katolicką obojga, nazywając ją zaśniedziałym zabobonem zamierzchłej epoki. Uznają cnotę, a nie umieją ocenić jej pobudek: bo zatracili samże zmysł i zrozumienie wieków wiary. Dziś dopiero poczyna się znaczyć odwrót stanowczy na drodze ślepego dotąd buntu i nienawiści. Wracają pojedyńcze dusze na łono prawdy, milknie wrzawa rokoszu kacerskiego, gasną żarzewia niezgody, wieje prąd pojednania, walą się oporne mury, i katolickie ongi zakłady po długiej przerwie nanowo otwierają swe bramy dla współwyznawców swych pobożnych fundatorów.

W uznaniu wielkiego przywiązania dla uniwersytetu i zasług dlań położonych, Fisher mianowanym został dożywotnim jego kanclerzem i godność tę piastował aż do zgonu. Ani jego więzienie, ani proces nie zniewoliły władz uniwersyteckich do obrania sobie innego kanclerza. Dopiero po jego męczeńskiej śmierci, przerażony i ukorzony senat, dla przychlebienia się królowi, zaszczyt ten i dostojeństwo przekazał najzaciętszemu wrogowi Fishera i sprawcy w znacznej części jego męczeństwa, powolnemu narzędziu królewskich gwałtów Tomaszowi Cromwellowi.

Nietylko jednak darów i datków hrabiny Richmond Fisher był roztropnym szafarzem i włódarzem. Sam również z własnych funduszów ochotnie ulubioną zasilał szkołę i przywiązywał do niej nowe bursy i stypendya, chociaż najmniejszą i najuboższą zarządzał dyecezyą w Anglii. Rochester po łacinie zowie się Roffa, ztąd wśród teologów biskup Fisher znanym jest pod mianem Roffensis. Poprzednicy jego na biskupiej stolicy, wszyscy ku wyższym bywali posuwani dostatkom i dostojeństwom. On przeciwnie, żadnej nie pragnął zmiany, powtarzając często, iż bezpieczniej jest mniejszą mieć odpowiedzialność wskutek szczu-

plejszej owczarni i uboższej śpiżarni, i rad dodawał, że nie opuściłby swej biednej oblubienicy dla najbogatszej w Anglii wdowy.

Jako biskup dyecezalny i kanclerz uniwersytecki, Fisher wywierał wpływ niemały na ogólne uduchownienie kleru. Upatrywał on w działalności kapłańskiej trojakie zadanie, podobne wpływom słońca i powietrza na ziemię, którą oświecać, ogrzewać i użyzniać im przeznaczono. W ciągu długiego pasterstwa, które trwało przeszło lat trzydzieści, miany był powszechnie za wzór doskonałego biskupa. Mamy pod tym względem świadectwo Erazma, który w listach do Reuchlina wspomina, iż niemasz w Anglii uczeńszego i świątobliwszego biskupa nad Jana Fishera. Przechowały się też szczegóły jego ubogiego i umartwionego życia, pasterskiej gorliwości, cnót i prac kapłańskich. Zaczynały się już pojawiać błędy kacerskie i heretyckie nauki. Powstał Fisher, aby je zwycięsko odpierać. Uczone jego rozprawy przeciw błędom Lutra, wysoką mają wartość i szeroki zdobywały sobie rozgłos. Pokorny ich autor, gdy mu raz winszowano świetnej odprawy, jaką dał największemu buntownikowi epoki, odparł skromnie, iż żałuje tylko, że czasu poświęconego na zbieranie materyału i pisanie ksiąg przeciw Lutrowi, nie spędził raczej na bogomyślności, bo sądzi, iż modlitwa o wiele jest skuteczniejszą i lepszą od najuczeńszych pism i traktatów.

A jednak, choćby nam innych śladów jego głębokiej uczoności nie zostało, ścisła przyjaźń z Erazmem dowodzi, jak znakomitym uczonym musiał być biskup Rochesterski. Pełno dochowało się zabytków ich wzajemnej przyjaźni i stosunków, pomimo różnic charakteru i kierunku. Erazm rad przebywał u przyjaciela, stałą z nim utrzymywał korespondencyę, mnożył hołdy i wyrazy uznania dla męża, którego cnotę i naukę wysoko cenił. Fisher nie wątpił o prawowierności przyjaciela, a upatrywał w nim nietylko znamienitego humanistę, lecz zarazem i przeciwnika skrajnych kierunków spoganionego we Włoszech Odrodzenia. Różnicę między obu przyjaciółmi trafnie określa ks. Bridgett. Epoka to była przejściowa, w której zaostrzały się różnice temperamentów i charakterów. Gdyby nawet Fisher i Era-

zmus spotkali się byli w domu kanclerza Morusa w 1512 r. z Lutrem i innymi późniejszymi kacerzami, można przypuszczać, iż byliby z sobą rozmawiali o stanie Kościoła i świata całkiem spokojnie i zgodnie, biadając razem nad zepsuciem czasu, ogólną ignorancyą, obniżeniem poziomu zakonów i t. p. i t. p. i wzdychając za pożądaną naprawą i reformą. Dopiero przyszłe lata miały uwydatnić skrajne przeciwieństwa charakterów. Luter, człowiek namiętny i zmysłowy, stopniowo zapada w przepaść pychy, i pod wpływem osobistych, zbłąkanych chuci, dochodzi do ślepej przeciw Kościołowi nienawiści. Obce są podobne skrajne porywy Erazmowi; jasno on zdaje sobie sprawę z rozstroju panującego w całym świecie, atoli nie myśli o przyłożeniu ręki do potrzebnej naprawy; nie jego to zadanie ani robota: a tymczasem, już to żartuje dowcipnie z onego rozstroju, w towarzystwie ludzi obracających wszystko w drwinki, już ubolewa nad nim z ludźmi podobnymi Fisherowi. Ale mu się nie śni być męczennikiem, dba tylko o spokój własny. Innej miary byli Morus i Fisher: żyli oni modlitwą w ciągłem z Bogiem zespoleniu, mieli w sercu głębokie poczucie obecności Ducha świętego w Kościele bożym, i ztąd gorąco ubolewali nad wszystkiem, co zaciemniało rządy tegoż Ducha. Atoli nigdy nie identyfikowali Kościoła, będącego dziełem bożej ręki, z zepsuciem przez ludzi sprowadzonym i sprawionym. Ztąd ich życie na dwa się rozpada okresy: dopóki nie było herezyi, głosy ich podnosiły się, aby opłakiwać i wytykać złości i zepsucie, pojawiające się na łonie samegoż Kościoła; skoro jednak kacerstwo jęło naigrawać się z dzieła bożego, wnet powstali w onego obronie. Fisher jak raz był pasowany na szermierza prawdy. Erudycya jego musiała być znakomita, uchodził za pierwszorzędnego humanistę, biegłego w łacinie, a kształcącego się do późnego wieku w greckim i hebrajskim języku, aby docierać do źródeł chrześcijańskiej apologetyki. Bogactwo cytat, cechujące jego pisma, wymownie świadczy o owej erudycyi. Posiadał najznakomitszy księgozbiór w całej Anglii, a być może i w Europie. A pamiętać należy, iż były to czasy w biblioteki ubogie. Wszakże na parę lat przed wstąpieniem Fishera do Cambridge, uniwersytecki księgozbiór liczył zaledwie 330 tomów, po-

śród których nie było ani jednego autora greckiego, a niewielu łacińskich znajdowało się klasyków. Łacina biskupa Fishera jest wytworna i łatwa, ale bo też wszystkie wolne chwile od obowiązków pasterskich i modlitwy, poświęcał czytaniu i studyom. Nie szukał w nich atoli zaspokojenia próżnej ciekawości, lecz podejmował je dlatego, aby lepiej odpowiedzieć zadaniu biskupa i nauczyciela Kościoła, któremu powierzono rozlewanie bożego światła na ciemności świata. Czynił to zaś trojakim sposobem: przykładem, kaznodziejstwem i pismami.

Plagą piętnastego stulecia było, iż zmilkło powszechnie słowo boże, a ztąd inne wypływały klęski. W nieprzeliczonych kościołach nigdy kazań nie bywało, w innych zaledwie podczas postu kaznodzieja na ambonę wstępował. Ubolewał nad tym stanem rzeczy Fisher i własnym przykładem zagrzewał duchowieństwo do opowiadania prawdy. Dochowało się kilka jego okolicznościowych przemów, np. z okazyi pogrzebu króla Henryka VII. i matki jego, hrabiny Richmond, lub jeszcze serya kazań na temat Psalmów pokutnych. Mało który naród w Europie posiada pomniki religijnego krasomówstwa w ojczystej mowie z tak wczesnej epoki. Kazania Fishera odznaczają się rzewnością i prawdziwem nieraz krasomówstwem, które zaiste było potrzebne, aby przywiązać słuchaczów uwagę. Obyczajem bowiem ówczesnym, kazania trwały po kilka godzin z rzędu; wynagrodzenie to może być miało za ich rzadkość. Niebawem zabrał się biskup i do pisania dzieł kontrowersyjnych przeciw Lutrowi. Księgi te zażywają wielkiej w Kościele powagi. Wystarczy wspomnieć, że uczony kardynał Bellarmin mawiał, iż niejedno zawdzięcza Fisherowi (Roffensi). Nie będziemy tu przywodzić ani tytułów ani treści rozpraw, spowodowanych napaściami kacerzy na wiekuistą budowę katolickiego Kościoła. Nie zwietrzały i dziś argumenta pobożnego biskupa, i biograf jego nie skąpo zaczerpnął z arsenału, obfitującego w zwycięską broń, i na naszych czasów błędy i zwątpienia. Zamiast się jednak wdawać w rozbiór pism Fishera, raczej zastanowimy się nad jego postępowaniem wobec królewskich zachcianek rozwodowych.

Na wzór swego patrona, Jana Chrzciciela, biskup z Roche-

ster miał położyć życie za sprawę świętej nierozerwalności chrześcijańskiego małżeństwa.

Każdy prawie Sakrament miał swoich osobnych męczenników. Jeśli św. Jan Nepomucen zginął w obronie tajemnicy spowiedzi, jeśli Sakrament Ołtarza mnogich liczy wyznawców, którzy krwią własną zapieczętowali niezłomną ku niemu cześć swoją i wiarę — Fisher miał paść w obronie podwalin chrześcijańskiej rodziny, sprzeciwiając się rozwodowi Henryka VIII. Po dwudziestoletniem pożyciu z Katarzyną Aragońską, którą poślubił był za osobnem pozwoleniem Stolicy św., gdyż była wdową po rodzonym jego bracie, król usidlony wdziękami Anny Boleyn i intrygami jej bliskich, nagle dopatrzył się rzekomej nielegalności w udzielonej sobie ongi dyspensie i jął się dopraszać rozerwania długoletnich węzłów, gdyż chce, jak mówił, wyswobodzić się z nieprawego stosunku i ślubów. Zrazu krył się z dalszymi celami i zamiarami, wysuwając naprzód religijne tylko jakoby pobudki, a także obawy, azali córka spłodzona w tym związku będzie miała zabezpieczoną dostatecznie prawowitość, i tym podobne argumenta. Protestanccy nawet pisarze nie tają wstrętu, jakim ich przejmuje ówczesne postępowanie Henrykowe. „Samże Machiawel byłby się odwrócił od tak podłego kłamcy — pisze Friedmann — Henryk bowiem próbował własne oszukać sumienie. Nawskróś niemoralny, przyznać sobie tego nie chciał, próbował podstępną kazuistyką siebie i drugich omamić, nadawać pozór cnoty najhaniebniejszym uczynkom, wmawiać w samego siebie przekonanie o własnej doskonałości i uczciwości". Inny historyk upatruje w nim postać może olbrzymią ale potworną, samowładną i samowolną, z namiętnościami przerastającemi miarę zwykłych ludzkich grzechów i wad. Nieuczciwy, gwałtowny, chytry, umiał w własnych oczach usprawiedliwiać każdy gwałt, podstęp i podłość. Tenże historyk upatruje w zboczeniach i zbrodniach Henrykowych upojenie i skutek zbyt długo dzierżonej bez żadnej kontroli władzy. Biograf Fishera innego się dopatruje czynnika, innego, głębszego acz tajniejszego powodu tylu zgorszeń i haniebnych czynów: uważa on mianowicie za taki, obłudne i świętokradzkie komunie króla, który nawet w latach publi-

cznego zgorszenia i stosunku z Anną Boleyn, nigdy się nie wstrzymywał od obowiązujących i publicznych w znaczniejsze święta spowiedzi i przystępowania do Stołu pańskiego, choć się poprawić ani odmienić nie myślał zgoła.

Nieszczęśliwa królowa Katarzyna odrazu za doradcę przybrała sobie świątobliwego biskupa z Rochester. Zaczęły się rokowania z Rzymem. Papież zrazu mniemał, iż łagodnemi i wymijającemi odpowiedziami zyska na czasie i wyczerpnie zwłokami upór królewski. Daremnie; Henryk wnet do próśb dołącza groźby, iż jeśli Rzym nie przychyli się do jego żądań, niepowrotnie Anglia dla Kościoła przepadnie. Papież odparł, iż jeżeli ma być straconą, lepiej aby się to stało dla sprawiedliwości, aniżeli dla niesprawiedliwości. Fisher tymczasem badał sumiennie podstawy Sakramentu małżeństwa, na wszystkie strony zgłębiał sprawę królewskiego związku, a upewniwszy się o legalnie udzielonej dyspensie dla poślubienia bratowej, nabrał przekonania, że nie istnieje żaden zgoła pozór usprawiedliwiający wniesienie o rozwód. Zaczem wśród ogólnego zatrwożenia i uciszenia wobec królewskiej wszechwładzy, jął piórem i słowem bronić sprawy Katarzyny Aragońskiej, nie bacząc na grożące mu ztąd następstwa od podrażnionego monarchy. Nastąpiła niebawem pamiętna scena historyczna, udramatyzowana przez Szekspira, który genialnie przedstawił całą tragikę pozwu, powołującego przed sądowy trybunał królewskie stadło. Henryk oświadczył ze zwykłą obłudą, iż dłużej nie chce żyć w grzechu śmiertelnym, jak to czynił przez lat dwadzieścia pożycia z wdową po bracie, i że sumienie jego nie będzie spokojne, dopóki prawomocność rzeczonego węzła w ten lub inny sposób rozstrzygniętą nie zostanie. Zaczem królowa, z inną zaiste szczerością, przemówiła, aby sprawę swą zdać na szlachetność monarchy i sprawiedliwość sędziów, dodając, iż uczciwością i wiernością małżeńską nie zasłużyła na hańbiący jej cnotę rozwód i odprawę. Dwóch biskupów: rochesterski i bath'ski, powstało jednocześnie i wystąpiło w charakterze obrońców królowej, mówiąc, iż do ostatka praw jej strzedz będą, gdyż o prawowitości dokonanego małżeństwa wątpliwości mieć niepodobna. Sława biskupa Fishera, uważanego

słusznie za jednego z najświatlejszych i najświątobliwszych mężów swego czasu, odrazu zmieszała podstępną grę królewską i nikczemną komedyę rzekomych wyrzutów sumienia. Skoro Fisher orzekł, że małżeństwo z Katarzyną jest prawowite i prawomocne, nie było już sposobu legalne przedsiębrać kroki dla unieważnienia związku, który takiego znalazł obrońcę. Zadrgała duma w duszy Henryka, zawrzała rana nienasyconych namiętności, a zbudzona wściekłość nie miała się już cofnąć przed żadną ostatecznością. Wydawcy papierów Henrykowych odnaleźli łaciński rękopis, zawierający odpowiedź, wygotowaną przez samegoż króla na poważną przemowę Fishera. Złość z każdego wychyla się tu słowa; cały arsenał przezwisk znajduje się w tym dokumencie, podobniejszym do paszkwilu, pełnego osobistych niechęci, aniżeli do monarszej odezwy. Najbardziej króla ubodło wspomnienie św. Jana Chrzciciela, na którego się obrońca królowej powoływał, jako na przykład godzien naśladowania. Jeżeli Fisher wstępował w ślady św. Jana, toć to samo porównanie nakazywało w Henryku nowego rozpoznawać Heroda, co śmiertelnie uraziło dumnego monarchę. A tymczasem biskup rochesterski umacniał się w czci dla swego pierwowzoru i patrona, coraz częściej go wzywając i wspominając. Zauważono, iż w owym czasie trupią głowę, umieszczoną nad ołtarzem swej kaplicy i nad biurkiem, przy którem pracował, zastąpił wyobrażeniem ściętej głowy Przesłańca Chrystusowego, jakoby do podobnego gotując się końca. A podobieństwo obu męczenników za świętość małżeństwa miało się coraz widoczniej zarysowywać. Obaj zostali wtrąceni do więzienia i zostawieni tamże przez czas długi z woli samowładnego tyrana, obydwaj na żądanie wszetecznej kobiety zostali ścięci. Tylko iż to, do czego Herod niechętnie się przychylił, Henryk z przemyślnem dokonał okrucieństwem.

Wiedział tedy Fisher odrazu, co go czeka. Niedarmo jeden z kościelnych dostojników owej epoki powtarzał, że „gniew królewski niesie śmierć poddanym“. Przez półczwarta roku przeciągnąć się jeszcze miała sprawa rozwodowa, w której Katarzyna Aragońska apelowała do wyższego, bo papieskiego trybunału. Szekspir streścił w jednej wspaniałej scenie owe przeciągłe ro-

kowania, ale nie uwydatnił szlachetnej roli biskupa rochesterskiego, który w dramacie milcząco się tylko przesuwa, kiedy tymczasem śledził on pilnie a boleśnie rosnący szał i obłęd króla, nie przestając pisać, protestować i przemawiać w obronie królowej i świętości małżeństwa. A coraz już bliższa zbierała się burza. Henryk bowiem zgromadził parlament tak przemyślnie dobrany, iż składał się wyłącznie z powolnych woli królewskiej narzędzi. Wywarty podczas wyborów nacisk zniewolił naród, że wysłał zamiast poważnych swych przedstawicieli, samych niemal dworzan, pochlebców, darmozjadów i królewską czeladź, tak iż król w Izbie niższej znalazł gotowych dla swych zamachów popleczników. Odrazu przedłożono nowemu zgromadzeniu wnioski przeciw niezależności kościelnego prawodawstwa. Darmo w Izbie panów biskup rochesterski ostrzegał, iż te wnioski podkopują nietykalność Kościoła: „To zmierza, mówił, do zagłady Kościoła, a tymczasem patrzcie milordowie na królestwo czeskie, jak potężnem było, dopóki Kościół w niem nie upadł, a wraz z jego upadkiem i dawna zanikła sława. Izba niższa podobnież chce Kościół zburzyć zapewne także z braku wiary". Ale król miał swoje widoki, od których odstąpić nie chciał. Trzymając się zasady: *Divide et impera,* postanowił niższe duchowieństwo przeciw wyższemu zbuntować, wyższe zaś nawzajem na niższe oburzyć, a stan świecki z obu stopniami hierarchii kościelnej zwaśnić. Każde zresztą prześladowanie Kościoła jednakie miewa początki i jednakich trzyma się torów. Rozpatrując pierwsze momenta angielskiego odstępstwa i ucisku, zda się, że czytamy bliższe nam roczniki pruskiego kulturkampfu.

Henryk błahego uchwycił się pozoru, aby na kilku dostojnikach kościelnych pomścić się, za zajęte przez nich stanowisko względem sprawy rozwodowej i za życzliwość okazaną królowej. Kazał trzech naraz biskupów uwięzić, a pomiędzy nimi i Fishera, dlatego, iż odwołali się do Stolicy apostolskiej przeciw odmianom prawodawstwa kościelnego, które zostały wniesione i przyjęte przez parlament. To pierwsze uwięzienie nie trwało atoli długo, i było poniekąd tylko próbą i nowicyatem dla późniejszego wyznawcy. Tymczasem król innej spróbował drogi, usiłu-

jąc przekupić wysokiemi obietnicami i omamić fałszywemi świadectwami tych, którzy dotąd z królową trzymali. Jednocześnie wystawne życie i hulanki, tak znaczne pochłaniały sumy, iż zaczęto ze strony króla szukać nowych źródeł pieniędzy. Zaczepiono znów o duchowieństwo, żądając wysokich opłat i wykupu od grożących mu klęsk i domagań rządowych. Już wtedy zaczęto wspominać o ewentualności skasowania pomniejszych opactw i klasztorów, czemu narazie gorliwość Fishera zapobiegła, acz na krótko tylko. Jednocześnie król zaczął okazywać pretensye do tytułu najwyższej Głowy angielskiego Kościoła. Zdaje się, iż w tem nie miał zrazu nic innego na widoku prócz chęci samowolnego rozstrzygnięcia sprawy rozwodowej, bez mieszania się do niej Stolicy apostolskiej. Osobista bowiem namiętność powodowała każdym krokiem mniemanego reformatora. Znów tedy parlament zaprzeczył prawomocność apelacyi do Rzymu w sprawach dziesięcin, zapisów, małżeństw i t. p. Nie było jeszcze otwartego od Kościoła odstąpienia, torowała się atoli droga do ostatecznego przecięcia katolickiego węzła; tymczasem bowiem nie chodziło bynajmniej królowi o kwestye doktryny, lecz o to aby utrudnić Katarzynie wszelkie ze Stolicą apostolską stosunki. Gdyby jeszcze powolnego dostać prymasa, wszystko poszłoby gładko. Niestety! śmierć arcybiskupa z Canterbury dozwoliła jak raz na to miejsce posunąć Cranmera, zaczem kaprysy królewskie żadnego już nie znały wędzidła ni formy. Wszakże już oddawna żył z Anną Boleyn, nie zważając na groźbę klątwy kościelnej i nawet potajemne a świętokradzkie zawarł z nią śluby. Żądza tedy rozwodu była natchnioną już tylko troskliwością o legalną prawowitość następców, spłodzonych z królewskiej nałożnicy. Teraz to, gdy Kaifasz-Cranmer został arcy-kapłanem, nadszedł czas męki dla świątobliwego biskupa, który miał ofiarą życia przypłacić swą odwagę i męstwo.

(Dok. nast.).

M.

HINDOWIE I ICH RELIGIA.

II. Stare piśmiennictwo hinduskie.

Po Wedach, w porządku chronologicznym, następują *Brahmany.*

Brahmany zawierają przepisy liturgiczne, legendy mające związek z obrzędami, a nadto rozprawy i komentarze odnoszące się do różnych ustępów z Mantry. Każda Weda ma swoje własne Brahmany, z wyjątkiem Jadżur-Wedy. Najdawniejsze Brahmany pochodzą z VIII. wieku przed Chr., inne, t. zw. „małe", sięgają wieku V. przed Chr. Z powodu swej starożytności, Brahmany uważane są przez Hindów za księgę świętą narówni z Wedami, choć wartością wewnętrzną na tę godność nie zasługują. Wszystkie prawie Brahmany były tłumaczone na języki europejskie i wydane wraz z komentarzami przez uczonych Europejczyków i Hindów [1].

Jakkolwiek Brahmany zawierają przepisy liturgiczne, z po-

[1] Ważniejsze wydania tego działu piśmiennictwa są następujące:

The Aitareya Brahmanam of the Rigweda, wydana i tłum. przez Hauga 2 vol., in 8°. Bombay 1863. — *Das Aitareya Brahmana,* wraz z komentarzem Sayanaćarya, przez Aufrecht'a. Bonn 1879. — *The Aitareya Aranyaka,* przez Radżendralala Mitra. Calcutta 1876.

The Gopatha Brahmana of the Atharva Veda, przez Radżendralala Mitra. Calcutta 1872.

The Tandya Mahabrahmana, wraz z komentarzem Sayanaćarya, przez

wodu jednak różnorodności przedmiotów, jakimi się zajmują, nie mogły służyć kapłanom przy sprawowaniu obrzędów; do tego celu zestawiono osobne zbiory zwane *Sutra*, które w zwięzłych słowach zamykają treść obrzędów. W piśmiennictwie hinduskiem każda gałąź umiejętności posiada swoje Sutra, która w streszczeniu przedstawia odpowiedną wiedzę [1].

Niektóre części Brahmanów noszą nazwę *Aranjaka;* zajmują się one najwznioślejszemi zadaniami dotyczącemi początku świata, stworzenia człowieka i przyszłego życia. Głębokość myśli a zarazem zwięzłość, jaka znamionuje ten rodzaj piśmiennictwa, była powodem, iż uczeni hinduscy rozwijali rzucone tam myśli i zdania w obszerniejszych rozprawach, co dało początek *Upaniszadom.*

Upaniszady stanowią trzecią część Wedów, a zawierają traktaty filozoficzne Hindów o początku świata, o istocie Bóstwa i duszy, o stosunku materyi do ducha, nadto wiele podań pierwotnych. Całe to piśmiennictwo jest najpewniejszem i bezpośredniem źródłem, które dozwala nam odtworzyć stan umysłu Hindów z epoki rozwoju brahmanizmu [2].

Zbiorów różnych Upaniszad jest bardzo wiele; uczeni europejscy odnaleźli dotąd 250, lecz wartość ich nie jest jednakowa. Najdawniejsze Upaniszady sięgają początku buddhaizmu, pisane są prozą, językiem archaicznym, bardziej jednak zbliżonym do języka sanskryckiego, aniżeli język hymnów; te jedynie Upa-

---

Anandaćandra Wedantawadżisa, 2 vol. Calcutta 1870—74. — *Zwei vedische Texte über Omina und Portenta,* przez A. Webera. Berlin 1858. — *The Samavidhana-Br.,* by Burnell. London 1873. — Inne małe Brahmana tejże Wedy wydane zostały przez tegoż uczonego. — Weber w *Indische Studien*, t. IV., ogłosił również niektóre z nich.

[1] *Sutra* znaczy „nić". Rozróżniają dwojaki rodzaj Sutr: *Śrauta-Sutra* odnoszą się do „Śruty", do wiedzy „objawionej", i *Smarta-Sutra* do wiedzy przekazanej podaniem, „Smryti". Smarta-Sutra rozpada się na dwa działy: *Grihya-Sutra,* zajmują się obrządkami domowymi, i *Dharma-Sutra* zawiera przepisy prawne i zwyczaje.

[2] W piśmiennictwie wedyjskiem Upaniszady stanowią dział zwany *Dżnanakanda,* tj. część teoryczną; Wedy zaś z Brahmanami zowią się *Karmakanda,* tj. część praktyczna.

niszady odnoszą się do epoki wedyjskiej i zaliczane są przez Hindów między Śruty [1]. Inne Upaniszady są późniejsze; każda z głównych sekt hinduskich posiada swe własne Upaniszady, i tak istnieją: Upaniszady Śiwaickie, Wisznuickie, mistyczne różnych nazw, a nawet tak zwane *Allah-Upaniszad*, wydane z polecenia sułtana Akbara, który zamierzał zjednoczyć wszystkie religie hinduskie.

Stare Upaniszady są płodem pierwszych myślicieli hinduskich, którzy usiłowali rozumowo rozwiązać główne zagadnienia życiowe człowieka. Charakterystyczną cechą tak Upaniszad, jak i całego późniejszego piśmiennictwa hinduskiego, jest usiłowanie autorów do nawiązania jedności z Wedami. Filozofowie hinduscy stawiają wprawdzie swoje hipotezy i snują własne teorye, tworzą rzeczywiście różne szkoły filozoficzne, jednakże uważają się jedynie za tłumaczy myśli i poglądów zawartych w Wedach. Upaniszady, jak wogóle całe piśmiennictwo hinduskie, obok wzniosłych poglądów, głębokich dociekań, subtelnych rozróżnień, przepełnione są marzeniami wybujałej wyobraźni; najniewiarogodniejsze, dziecinne bajki, przytaczane są jako dowody, a nierzadko się zdarza, iż wywód rzekomo logiczny, nie znajduje żadnej podstawy w przesłankach.

Wraz ze staremi Upaniszadami, kończy się dział hinduskich pism „objawionych“ Śruty; późniejsze piśmiennictwo, Smryti, niema już tej wagi w oczach uczonych Hindów, dla ogółu jednak ważniejszem jest od samych Wed, tak z powodu popularnego swego układu, jak i praktycznego zastosowania [2].

Do najprzedniejszych części Smryti należą zbiory starych

---

[1] Do najdawniejszych czyli właściwych Upaniszad, zaliczane są następujące: *Aitareya, Brihadaranyaka, Isa, Katha, Kauszitaki, Kena, Mandukya, Mundaka, Prasna, Szandogya, Taittiriya.* Wszystkie te Upaniszady, a nadto wiele z późniejszych, wydane były w *Bibliotheca Indica;* niektóre z nich wydał w tłumaczeniu M. Müller w *The sacred books of the East.*

[2] Czasami nawet spotkać się można z uroszczeniami, stawiającemi wyżej ten ostatni rodzaj piśmiennictwa od poprzedniego. I tak, w *Mahabharacie* (I. 269) czytamy, że bogowie położyli na szalę z jednej strony cztery Wedy, a z drugiej Maha-bharatę, i ta ostatnia przeważyła. *Agni-*

praw czyli *Dharma-śastra* [1], mianowicie zaś: *Prawa Manu, Jadżnawalkja* i *Paraśara;* z tych pierwszy zasługuje na szczególniejszą wzmiankę.

Podanie przypisuje autorstwo księgi *Praw Manu* „pierwszemu Manu", który miał żyć lat temu 30 milionów. Dane chronologiczne, rozumie się, są bajeczne, jak zresztą wszystkie chronologie hinduskie, lecz i ów Manu, jeżeli istniał niegdyś, prawdopodobnie nie był autorem księgi; taka bowiem księga nie mogła być ani dziełem jednego człowieka, ani nawet jednej epoki. Księga miała się składać pierwotnie ze 100.000 wierszy a raczej strof; liczba jest niezawodnie przesadzona, lecz i zbiór obecny, zawierający 2685 wierszy, biorąc na uwagę jego zawartość, jest pewnie zebraniem tylko w jedną całość maksym, zwyczajów i praw, jakie się urabiały w Indyach w czasach zamierzchłych. Niektórzy indolodzy sądzą, iż części składowe tej księgi istniały już w Indyach na jakie piętnaście wieków przed naszą erą. Sir W. Jones utrzymywał, że Prawa Manu pochodzą z r. 1280 przed Chr.: Elphinstone naznacza X. wiek jako prawdopodobną epokę powstania tych pism: wszyscy jednak godzą się na to, iż wiek V. jest najpóźniejszą możebną datą, w której zbiór obecny został ułożony. Powody, skłaniające uczonych do tego mniemania, są następujące: wszyscy bogowie, wspominani w Prawach Manu, należą do epoki wedyjskiej; niema tam żadnej wzmianki o buddhyzmie, chociaż znajduje się wiele maksym wspólnych z doktryną buddhaistyczną. Prawa Manu milczą zupełnie o „Sati", tj. o paleniu wdów; nie wspominają całkiem o czci ani Wisznu ani Siwy, a jednakże, według Megastenesa, w czasie wtargnięcia Aleksandra do Indyj, cześć tych bożków była tam rozpowszechnioną. Wreszcie, księga Praw Manu nie zawiera żadnych zdarzeń, na których tle osnute zostały epopeje hinduskie: Mahabharata i Ramajana.

Purana zapewnia o sobie, iż jest wznioślejszem objawieniem aniżeli Wedy. Toż samo znajduje się w *Bhagawad-Dżita* (II. 42—45; IX. 21).

[1] Ob. Stenzler, *Zur Literatur der Indischen Gesetzbücher,* ap. *Ind. Studien,* t. I., str. 232. Teksty Dharma-śastry wydał w Kalkucie w r. 1876 uczony Hindu Dżiwananda Widyasagara.

Księga Praw Manu obejmuje w swym składzie trzy główne części: dział teologiczno-filozoficzny zawiera wiadomości tyczące się Najwyższej Istoty, życia pozagrobowego, obowiązki jakie ma spełniać człowiek dla pozyskania szczęścia wiekuistego; dział drugi kreśli obowiązki rodzinne; wreszcie dział trzeci, najobszerniejszy, poświęcony jest stosunkom społecznym. Obecny zbiór Praw Manu rozdzielony jest na 12 ksiąg. Pierwsza z nich zajmuje się początkiem świata i podziałem społecznym na kasty. Druga zawiera przepisy życia dla Brahmanów. Trzecia i czwarta opisuje obrzędy przy zawieraniu małżeństw, prawa i obowiązki rodziców względem dzieci, obrzędy domowe i różne przykazania tak zakazujące jak i nakazujące. Piąta i jedenasta poświęcone są regułom pokutnym. Szósta ascezie. Siódma i następne do dziesiątej włącznie wchodzą w szczegóły rządzenia ludem i wymiar sprawiedliwości, zawierają prawa i przepisy cywilne i kryminalne; z tego powodu cały zbiór nazywany bywa *Kodeksem Manu*. Wreszcie księga dwunasta uzasadnia sankcyę praw; zajmuje się nagrodami i karami w życiu przyszłem.

Najlepsze tłumaczenie Praw Manu wydał Sir W. Jones; tłumaczenia dokonane w innych językach, opierają się na tej pracy.

Księga Praw Manu przedstawia doskonale tak duchowny jak i społeczny stan ludów aryjskich, które zamieszkiwały *Aryawartę*, „siedzibę Aryów“, położoną między górami Himalaja i Windhya, daje dokładny obraz zwyczajów, obyczajów i praw, jakiemi w odległej przeszłości rządziły się te ludy, a z tego powodu jest najważniejszem dziełem, jakie posiada piśmiennictwo sanskryckie. Co więcej, księga ta, mówi Williams[1], „jest może najznakomitszą wśród piśmiennictwa całego świata, a wiele z maksym moralnych, jakie podaje, śmiało położyć można obok maksym chrześcijańskich“.

Jakkolwiek treściwy nawet rozbiór tego dzieła leży poza kresami naszego przedmiotu, podamy tu z niego kilka ustępów, które dadzą niejakie przynajmniej wyobrażenie o jego wartości:

[1] *Indian Wisdom*, p. 212.

Bogowie szanują człowieka nie dla jego białej głowy, lecz dla jego mądrej głowy; młody, który posiada prawdziwą naukę, starym jest [1].

W boleści wydaje matka syna na świat, ojciec wychowuje go z wielkim trudem; wraz z wzrostem dziecka rosną też starania i troski rodziców. Ten dług wdzięczności nie może być nigdy spłaconym [2].

Pamiętaj ciągle synu o tem, jak masz się podobać ojcu, matce, nauczycielowi, jak masz być im posłusznym. Głębokiem przywiązaniem staraj się spłacać dług twój. Taki jest twój święty obowiązek [3].

Z trucizny możesz wydobyć zdrowy pokarm; czyste złoto z bryły nieczystej ziemi; od wroga przykłady prawości; uprzejmość i grzeczność od dziecka; coś od każdego. Jeśli będziesz pokorny, możesz nabyć mądrości nawet od ludzi niższych warstw [4].

Nikim nie pogardzaj, cierpliwie znoś zelżywe słowa; nie unoś się gniewem wobec rozdrażnionego; błogosławieństwem odpłacaj przekleństwa [5].

Nie odmawiaj żadnej prośbie, daj zawsze ochotnie, choćby drobnostkę [6].

Nie chełp się z dobroczynności; daj ubogiemu, lecz nie mów nigdy o twych darach. Zasługa dobrych uczynków utraca się samochwalstwem; zasługa jałmużny tonie w chełpliwości [7].

Nikt mnie nie widzi, nikt nie może zajrzeć do mego serca, mówi grzesznik; prawda, lecz bogowie widzą, wszystkowidzący Duch jest w jego sercu. Ty myślisz przyjacielu: „Jestem sam“, lecz w tobie przebywa Istota, która patrzy na każdy twój czyn, zna wszystkie twoje dobre i złe sprawy [8].

Kto się rodzi, umierać musi... Każdy pozostawia tu na ziemi swe ciało jako kłodę, jako kupę błota, sami najbliżsi opuszczają go; cnota jedynie zostaje przy nim i prowadzi go wśród strasznych ciemności bezdrożnych [9].

Niech każdy mędrzec opuszcza chętnie ten przytułek duszy, utworzony z ziemi, podległy boleściom i zgrzybiałości, mieszkanie chorób i trosk, siedzibę ciemności i błędu [10].

---

[1] II. 156. [2] II. 227. [3] II. 228. [4] II. 238, 239.
[5] VI. 47, 48. [6] IV. 227. [7] IV. 236, 237. [8] VIII. 85, 91.
[9] IV. 240, 241. [10] VI. 77.

Rozmyślając w duszy o nieuniknionej zapłacie w życiu przyszłem, niech każdy stara się być nieskalanym w myśli, słowie i uczynku[1].

Dobrowolne wyznanie grzechów, pokuta, umartwienie, codzienne odmawianie Wed i pięciu świętych aktów, jałmużna, cierpliwość, znoszenie krzywd, największego przestępcę uwalniają od grzechu[2].

Drugie z kolei miejsce w Smryti tak co do czasu, jak i co do znaczenia, zajmują epopeje hinduskie, *Maha-bharata* i *Ramajana*.

Maha-bharata jest właściwie wielkiem dziełem encyklopedycznem, w którego skład wchodzą rapsody, legendy historyczne i mitologiczne, dyalogi i rozprawy, tyczące się etyki i filozofii. Właściwa epopeja, pomieszczona w Maha-bharacie, zajmuje mniej więcej jednę piątą część całego dzieła, a opisuje walki między ludami Kuru i Pandu, tj. między Aryami, osiadłymi już w Indyach, a nowymi przybyszami z Azyi środkowej. Jakkolwiek epopeja hinduska nie dorównywa pod wielu względami greckiej siostrzycy, zawiera jednak ustępy, które pod względem piękności i polotu poetycznego wyżej stoją od tej ostatniej[3].

Według podania, autorem miał być Wyasa; rzeczą jednak jest pewną, że ta nazwa odnosi się do osoby moralnej, mianowicie do tych, którzy zbierali i spisywali opowieści ustne, krążące wśród ludu. Gruntowne badania indologów wykazały[4], że wiele pieśni i legend Maha-bharaty sięga głębokiej starożytności; pierwsze zebranie ich w całość należy odnieść do w. V. przed Chr.

---

[1] XI. 231. [2] XI. 227, 245.

[3] „In India, literature, like the whole face of nature, is on a gigantic scale. Poetry, born amid the majestic scenery of the Himalayas, and fostered in a climate which inflamed the imaginative powers, developed itself with Oriental luxuriance, if not always with true sublimity... There are many graphic passages in both the Ramayana and Maha-bharata which, for beauty of description, cannot be surpassed by anything in Homer". *Indian Wisdom*, by Williams, pp. 309, 421.

[4] Według umiejętnych badań Lassena, w I. Parwanie znajdują się wybitne ślady potrójnej przeróbki. I tak, najdawniejsza część zaczyna się historyą Manu i zawiera 24.000 wierszy; w późniejszym czasie, około 400 r. przed Chr., dodano poemat identyczny z Itihasą, ułożoną i śpiewaną przy składaniu żertwy z konia: wreszcie, część zwana *Pauloma* (I. 851), jest trzecim dodatkiem z czasów króla Asoki.

W ciągu następnych dwóch wieków dzieło uległo przeróbkom, wtłoczono w nie różne nowe dodatki, aż wreszcie przybrało kształt i skład obecny. Wiek zatem III. przed Chr. należy uważać za ostatnią epokę redakcyjną Maha-bharaty, odnośnie zasadniczej zawartości, jednakże pewną jest rzeczą, że nawet w V. i VI. w. naszej ery zamieszczano tam różne wtręty [1].

Dla naszego przedmiotu, Maha-bharata jest nadzwyczaj cennym materyałem; posiada bowiem legendy, które mają łączność z rozwojem wielobożności hinduskiej. Jednym z wybitnych bohaterów Maha-bharaty jest Kryszna i jego brat, Balarama. Liryczne i erotyczne szczegóły życia Kryszny zajmują wiele kart w poemacie; dzisiaj, kiedy tak Kryszna, jak i Balarama zostali bożkami w Indyach, te fikcye poetyczne stały się dogmatami sekt.

Obecny zbiór Maha-bharaty zawiera przeszło 220.000 wierszy, dzieli się na 18 części czyli *Parwan*, z których każda stanowi pokaźny tom [2].

W Parwanie VIII., który nosi tytuł *Bhiszma,* umieszczoną została perła piśmiennictwa sanskryckiego, znana pod nazwą *Bhagawad-Dżita,* „Pieśń Najwyższego“ [3].

Bohaterami poematu są Kryszna i Ardżuna; Kryszna, jakkolwiek w postaci ludzkiej, występuje tu jako Istota Najwyższa, jedyna, wszechmocna, jako w c i e l e n i e bóstwa. Piękność języka, wzniosłość pojęć i wysoki nastrój religijny, stawiają ten poemat na szczycie piśmiennictwa hinduskiego. Oto jeden z ustępów.

---

[1] Ustępy, odnoszące się do boskich hołdów oddawanych Krysznie, pochodzą, według Lassena, z V. lub VI. w. po Chr.

[2] Lassen w swem klasycznem dziele: *Ind. Alterth.* (I. 1004; II. 494, 2 wyd.) zamieścił doskonałe opracowanie o Maha-bharacie. Najpoprawniejsze wydania Maha-bharaty ogłoszone były w Kalkucie, 4 tomy in 4°, 1834—39; i w Bombaju in folio, 1863.

[3] Pierwszy Wilkins przetłumaczył to arcydzieło na język angielski w r. 1785; inne wydania, J. C. Thomsona, Chatterie, są poprawniejsze. Wszystkie niemal języki europejskie przyswoiły sobie to dzieło; Hindowie przetłumaczyli je na języki: hindi, telugu i kanari. Nasze piśmiennictwo nie posiada tego tłumaczenia; Kremer, w *Listach z Krakowa,* podał tylko z niego niektóre ustępy.

Kryszna mówi do Ardżuny:

Cokolwiek czynisz, cokolwiek pożywasz, cokolwiek dajesz ubogiemu, jakąkolwiek składasz ofiarę lub jakąkolwiek odbywasz pokutę, czyń to w mojem imieniu, Ardżuno. Ja jestem starodawny, bez początku, jestem Rządcą, Wszystko-podtrzymującym; niepojęty jestem co do kształtu, bardziej subtelny od najsubtelniejszych atomów, jestem Przyczyną całego wszechświata; przeze mnie jest on stworzony i przeze mnie zniszczony będzie. Wszystkie rzeczy, jak sznur nanizanych pereł, we mnie się mieszczą. Ja jestem światłem słońca i księżyca, zdala ode mnie wszelkie ciemności. Jestem blaskiem płomienia, promiennością tego, co promienieje, światłem światła, dźwiękiem eteru, wonnością ziemi, wiecznym przybytkiem rzeczy istniejących. Jestem życiem wszystkiego, ojcem, matką, mężem, dziadem, podtrzymującym świat, jego przyjacielem i panem. Jestem jego drogą i ucieczką, jego mieszkaniem i schronieniem, jestem jego świadkiem. Jestem Zwycięstwem i Natężeniem; jestem stróżem świata, oczy moje i oblicze zwrócone są na wsze strony. Przemieszkuję jako Mądrość w sercach wszystkich. Jestem Dobrocią dobrego, jestem Początkiem, Środkiem, Końcem, nieskończonym Czasem, Rodzeniem i Śmiercią wszystkich. Jestem symbolem A (α) pomiędzy głoskami. Wszystko stworzyłem z samego siebie. Ci nawet, którzy są niskiego pochodzenia, mogą dostąpić wzniosłego szczęścia, tem bardziej zaś ci, którzy przez swą godność i pokutę są świętymi Brahmanami, jakim ty jesteś. Bądź tedy dobrej myśli, odpuszczę ci wszystkie grzechy twoje. Myśl o mnie, wierz we mnie, oddawaj mi cześć i pokłon; łącz się ze mną w rozmyślaniu. Przybędziesz do mnie Ardżuno, wzniesiesz się do mego najwyższego przybytku, gdzie słońce i księżyc świecić nie potrzebują, cała bowiem świetność i blask są we mnie.

Podobnych ustępów jest bardzo wiele, a raczej cały poemat przenikniony jest tym samym wysokim nastrojem religijnym.

Bhagawad-Dżita wywołał obok podziwu, żywą wymianę zapatrywań wśród uczonych europejskich. Rzeczą jest pewną i na to już zgoda ogólna, że ten poemat pochodzi z I., II. lub III. w. naszej ery, niema jednak zgody co do źródła zasadniczych myśli, w nim zawartych: jedni utrzymują, że poemat osnuty jest li

tylko na Wedach, inni zaś twierdzą, że wiele pojęć zapożyczonych zostało z chrześcijanizmu [1].

Rozbierając dowody za i przeciw, przychodzimy do wniosku, że autor poematu — a miał nim być Wajsznawa — pełną ręką czerpał swe poglądy z naszego Pisma św. Najprzód, rzeczą jest pewną historycznie, że Hindowie zetknęli się z chrześcijanami w pierwszych zaraz wiekach naszej ery — mieli zatem sposobność poznania nauki chrześcijańskiej [2]. Jeżeli zaś we-

[1] „Brahmanen über das Meer nach Alexandrien oder gar nach Klein-Asien gekommen seyen zur Zeit der Blüthe des ersten Christenthums und dass sie, heimgekehrt nach Indien, die monotheistische Lehre und einige Legenden derselben auf den einheimischen, durch seinen Namen an *Christus,* den Sohn der göttlichen Jungfrau, erinnernden und vielleicht schon früher göttlich verehrten Weisen oder Heros *Krishna Devakiputra* (den Sohn der Göttlichen) übertragen haben, im übrigen die christlichen Lehren durch Sankhja und Joga Philosophemata ersetzend, sie umgekehrt ihrerseits vielleicht auf die Bildung gnostischer Secten hingewirkt haben". A. Weber, *Ind. Stud.,* I., S. 400.

Barth sprzeciwia się wywodom Webera i utrzymuje, że jakkolwiek wiele szczegółów przypisywanych Krysznie, jest zupełnie podobnych do zdarzeń wyjętych z Ewangelij o Żywocie Pana naszego Jezusa, to jeszcze nie dowodzi, że ztamtąd były zaczerpnięte. Pomimo tego mimowolnie wyrywa się mu zdanie, że co się tyczy niektórych zdarzeń, to one taką mają cechę wyłączną, iż należy przyznać, iż muszą mieć wspólne pochodzenie. „Mais le reste est d'un caractère si particulier, qu'on est bien forcé d'admettre qu'il y a là en effet de part et d'autre un ensemble de récits communs". Barth, *Op. cit.,* p. 133.

[2] Lassen sądzi jako rzecz prawdopodobną, że Hindowie zetknęli się byli z chrześcijanami najprzód w kraju Partów, a następnie na samym półwyspie, lecz to nastąpiło dopiero w wieku II. lub III. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że św. Tomasz Ap. nie dotarł do Indyj, a jakkolwiek, według Euzebiusza, św. Bartłomiej opowiadał Ewangelię w Indyach, wielu historyków, nie bez ważnych przyczyn, mniema, iż pod tą nazwą należy brać „Jemen". Jednakże uczony niemiecki jest zdania, że chrześcijańskie pojęcia religijne nie wpłynęły na kierunek religijny Hindów, mianowicie dlatego, że chrześcijanie nie mieli żadnego znaczenia w Indyach i byli pogardzonymi przez Brahmanów. Sądzimy jednakże, że znakomity indolog myli się pod tym względem, skoro ci sami Brahmani uważali za stosowne zamieścić w Maha-bharacie (XII. 12.703) ustępy o wzniosłej nauce, opowiadanej w *Śweta-dwipa,* a którą wszyscy odnoszą do religii chrześcijańskiej. Lassen, *Ind. Alterth.,* II. B., S. 1100 i nast.

„D'ailleurs dans l'Inde même, il y a en certainement des chrétiens et probablement des Eglises chrétiennes dès avant la clôture définitive de la rédaction du Mahabarata". Barth, *Op. cit.,* p. 132.

żmiemy na uwagę, że pojęcie Wcielenia, *Awatara*, że pojęcie *Bhakti*, wiary koniecznej do zbawienia, nie są całkiem znane w Wedach, a pojawiają się dopiero w Bhagawad-Dżita [1]; dalej, że wiele szczegółów, odnoszących się do rzekomego żywotu Kryszny, są prawie identyczne ze szczegółami, jakie podaje nam Ewangelia o Żywocie Pana naszego Jezusa Chrystusa; wreszcie, że mnogie wyrażenia zamieszczone w poemacie, są jakby żywcem wyjęte z Ewangelii [2] — wówczas nie można już powątpiewać, że słynny poemat, osnuty na Wedach i Upaniszadach, przenikniony jest nawskróś chrześcijanizmem.

Ramajana, tj. „czyny Ramy", jest drugim wielkim rapsodem hinduskim, opisującym walki, jakie wiedli Aryowie z tubylcami przy zdobywaniu półwyspu. Królewicz Rama, ożeniony z Sitą, jest bohaterem poematu. Sita, porwana przez Rawanę, króla szatanów, zostaje uprowadzoną na Lankę, wyspę Cejlon. Rama sprzymierza się z Sugriwą, królem małp, i przy pomocy jego wojowników odzyskuje swą małżonkę. Wśród sprzymierzeńców odznacza się walecznością wódz małp, Hanumat, „o silnych szczękach". Niektóre ludy napół dzikie środkowych Indyj podziśdzień czczą Hanumana, bożka małp.

Autorem Ramajany miał być Walmiki; prawdopodobniej jednak pojedyńcze pieśni powstawały w różnych czasach, śpiewane bywały przez ludowych gęślarzy, a około III. w. przed Chr. zostały zebrane w jednę całość. Jakkolwiek Ramajana nie uległa tylu przeróbkom i zmianom co Maha-bharata, jednakże indolodzy znajdują różne wersye, niezupełnie zgodne między sobą.

---

[1] „La théorie des Avatâras... s'est probablement formulée à propos de Krishna". Barth, *Op. cit.*, p. 133.

[2] Dr. Lorinser zestawił bardzo wiele ustępów z Pisma św. z odnośnymi wyjątkami z Bhagawad-Dżity i wykazał bezpośrednie zapożyczenie tych ostatnich z Ewangelii. *Indian Antiquary*, październik 1873. — Monier Williams, jakkolwiek nie podziela zdania Lorinsera, zaznacza jednakże w swem dziele podobieństwo, a nawet tożsamość ustępów. *Indian Wisdom*, p. 136 i nast. — Wreszcie znaleźli się skrajni racyonaliści, którzy nietylko uznawali wielkie podobieństwo między pojęciami religijnemi Hindów i chrześcijan, lecz nadto utrzymywali, że cały chrześcijanizm zapożyczył swą historyę i naukę z Indyj. Te bezrozumne przesady odprawy nie potrzebują.

Profesor literatury sanskryckiej w uniwersytecie oksfordzkim, daje następujące streszczenie oceny tego poematu: „Ramajana zalicza się do najbardziej zajmujących poematów w całem piśmiennictwie. Klasyczna czystość, jasność i prostota stylu, porywające poloty prawdziwie poetycznych uczuć, wyraziste opisy zdarzeń, wspaniałe obrazy przyrody, a przedewszystkiem głęboka znajomość serca ludzkiego, sprawia, iż poemat ten należy zaliczyć do najpiękniejszych, jakie się kiedykolwiek i gdziekolwiek pojawiły“ [1].

Obydwa te poematy: Ramajana i Maha-bharata, stanowią, jak to już wspomnieliśmy, bardzo cenny materyał do badań nad rozwojem religijnym w Indyach [2].

Do najpóźniejszego piśmiennictwa sanskryckiego zaliczają się tak zwane *Purany* i *Tantry:* największa ich część sięga naszych wieków średnich, inne są jeszcze późniejsze; jednakże ponieważ cały ten dział piśmiennictwa ściśle się wiąże z pojęciami religijnemi Hindów, a raczej, ponieważ stanowi on teologię dzisiejszych sekt hinduskich — ztąd wchodzi w zakres naszego przedmiotu.

Wyraz *Purana* dosłownie znaczy: „stara baśń“, albo „stare podanie“, w dziale piśmiennictwa oznacza osobną gałąź, która zajmuje się dogmatyką sekt wisznuickich i siwaickich. Purany opowiadają historyę bogów, przytaczają dawne podania, zawierają rozprawy o początku świata, uzasadniają doktryny o emanacyi, wcieleniu i potrójnem zjawieniu, „Trymurti“, wreszcie, niektóre z nich podają wiadomości z astronomii, medycyny, chronologii.

Najdawniejsze Purany powstały w VII. albo w VIII. wieku naszej ery, tj. w początkach rozkwitu wielobożności hinduskiej. Brahmani trzymali się dotąd w ścisłych szrankach wedyjskich pojęć religijnych, w szkołach tylko filozoficznych pozwalali sobie

[1] Monier Williams, *Indian Wisdom,* p. 365.

[2] Ob. A. Weber, *Über das Ramayana,* 1870. — G. Gorresio wydał Ramajanę wraz z tłumaczeniem włoskiem w 11 tomach, 1843—67. — W Indyach wyszło kilka wydań Ramajany.

na ezoretyczne wycieczki, wychodzące poza stare ramy; wobec jednak rozwielmożnionego buddhaizmu, wobec pragnień ludu, czującego potrzebę Boga osobistego, opatrznościowego, zstąpili oni z dotychczasowo zajmowanych mglistych wyżyn, nawiązali pojęcia wedyjskie z miejscowemi podaniami i przedstawili ludowi cały panteon bogów dotykalnych. Rósł odtąd panteon hinduski bez przerwy i przybrał kształty i rozmiary dzisiejszego potworu, który się zowie Hinduizmem.

Dla ogółu religijnego Hindów, Purany są księgą świętą i nazywane bywają „Piątą Wedą"; jestto zresztą jedyna księga przystępna dla wszystkich, tłumaczoną jest bowiem na prakryckie narzecza.

Dział tego piśmiennictwa jest bardzo liczny. I tak mamy 18 „wielkich Puranów" i tyleż „mniejszych"; te Purany wydane były przez indologów i tłumaczone na języki europejskie. Istnieją nadto Purany, które są znane zaledwie z tytułu, a uczeni domyślają się, że różne odcienia sekt hinduskich przechowywują wiele jeszcze innych, całkiem nieznanych [1].

Tantry są księgami dogmatycznemi i obrzędowemi Saktyzmu; nazywają je *Agama*, tj. księgami, które „zstąpiły z góry". Tantry miały być objawione przez samego Siwę niejakiemu Dattatreja, który je spisał, z tego powodu i Dattatreja jest czczony przez Saktystów, jako wcielenie Brahmy, Wisznu i Siwy; rzeczywiście jednak autorzy Tantrów byli bardzo liczni. Indolodzy liczą 64 ksiąg, które pod różnymi tytułami należą do Tantrów właściwych; oprócz tego istnieją nader liczne księgi, które jakkolwiek nie noszą tego tytułu, z istoty swej do tego działu zaliczone być winny.

Tantry nie były nigdy wydane w Europie, ani w swym

[1] Dwie najsłynniejsze Purany: *Wisznu-Purana* i *Bhagavata-Purana*, są ogólnie znane: pierwszą przetłumaczył Wilson w r. 1840, a drugą Burnouf 1840—47. W dziele Wilsona znaleść można dobry rozbiór wielkiej części Puranów; uzupełnił go Hall w nowem wydaniu 1864—77. — Ob. również: A. Weber, *Verzeichniss der Sanskrit-Handschriften der k. Bibl. zu Berlin*, 1853, str. 127—148. — Th. Aufrecht, *Catalogus codicum MSS. sanscriticorum bibl. Bodleianae*, 1859, p. 7—87.

oryginalnym języku, ani w tłumaczeniu, znane są jedynie z treści i wyjątków, które indolodzy zamieszczali w swych dziełach.

Tantry pisane są w kształcie rozmów między Siwą a jego małżonką, zajmują się powstaniem i zniszczeniem świata, kultem bogów, środkami prowadzącymi do zjednoczenia z bóstwem, sposobami nabywania nadprzyrodzonych darów, a niektóre z nich wskazują przepisy, które mają doprowadzić człowieka do zostania bogiem.

W pojęciach filozoficznych autorowie Tantrów trzymają się szkoły Sankhyi, przeważnie należą do wyznawców Siwy, a raczej jego małżonki Kali; są jednakże pomiędzy nimi i wisznuici. Najobszerniejszą część każdej Tantry zajmują przepisy magiczne, ułożone w pewien system. Traktaty o *Mantra, Bidża, Jantra, Kawaća, Nyasa* i *Mudra*, zawierają formułki magiczne, sposoby ich odmawiania, kreślenie figur i symbolów czarodziejskich, pouczają o amuletach, o zabezpieczaniu każdego członka ciała od uroków, a wreszcie naukę o tworzeniu z palców ręki takich kształtów, które przy odmawianiu formułek są konieczne dla osiągnięcia odpowiednego skutku.

Nie można dokładnie oznaczyć czasu, w którym powstały Tantry; według wszelkiego prawdopodobieństwa sięgają one VI. lub VII. wieku naszej ery, albowiem wpływ ich na Tantry buddhaistyczne Tybetu i Nepalu jest widoczny. Co więcej, ponieważ niektóre z Tantrów opierają się na dziełach dawniejszych, mianowicie na Brihatkatha, początek ich należy odnieść do IV. a nawet III. w. naszej ery [1].

Dla uzupełnienia tego pobieżnego przeglądu piśmiennictwa hinduskiego, musimy choć w kilku słowach wspomnieć o pismach Buddhystów.

Księgi buddhystyczne pisane są przeważnie językiem *pali*, który jest narzeczem sanskrytu; jednakże w Nepalu odkryto księgi pisane sanskrytem, a ludy wschodniej Azyi posiadają księgi buddhystyczne w swych jednozgłoskowych językach.

Tytuł ogólny dzieł buddhystycznych jest *Try-Pitaka*, tj.

---

[1] Ob. Barth, *Religion de l'Inde*, p. 120 i nast.

„trzy kosze“, albo „trzy skrzyneczki“, i zawiera w sobie trzy części: *Sutra* (w języku pali *Sutta*) obejmuje nauki samego Buddhy; *Winaja*, przepisy i reguły dla mnichów; *Abhidharma*, rozprawy filozoficzne. Każda z tych części rozpada się na liczne rozdziały, albo księgi. Najważniejszemi księgami buddhystycznemi są: *Dhamma-pada*, *Sutta-nipata* i *Dżataka* [1].

Piśmiennictwo buddhystyczne jest bardzo bogate, lecz wartość jego historyczna jest nader względna. Najprzód, nie można się zgodzić z roszczeniami Buddhystów, którzy rozmowy i wyrażenia, przytaczane w różnych księgach, uznawają za słowa autentyczne samego Buddhy. W istocie, pomijając już wątpliwość istnienia Buddhy [2], śmierć jego, według napisów króla Asoki, przypadła około r. 477 przed Chr., a ponieważ drugi wiec Buddhystów odbył się r. 377 i wtenczas dopiero ułożoną została doktryna Buddhy, ztąd wierne przechowanie słów Reformatora jest całkiem niepewne. Dalej, w którym wieku zostały spisane pierwsze księgi buddhystyczne, niewiadomo; w każdym razie język Suttów jest późniejszy od języka Asoki, a tem bardziej od języka Sakia-Muni. Co więcej, zawartość ksiąg buddhystycznych, w których obok rzekomych słów samego Buddhy, pomieszczone są mityczne legendy, odnoszące się do jego osoby — zniewala do mniemania, że księgi spisane zostały w kilka, może kilkanaście wieków po jego śmierci. Wreszcie, według buddhystycznych pomników architektonicznych, zbadanych przez Fergusson'a w Sanczi i Amrawati, nie ulega wątpliwości, że buddhaizm pierwszych wieków naszej ery różnił się zupełnie od doktryny buddhystycznej, zawartej w księgach. W każdym jednak razie, księgi buddhystyczne posłużą nam do poznania buddhaizmu z czasów, kiedy ta doktryna została zupełnie ustaloną.

Ks. W. Zaborski.

---

[1] Główne dzieła buddhystyczne były tłumaczone na języki europejskie, najwięcej na angielski. Wszyscy niemal indolodzy zajmowali się buddhyzmem; liczba tych dzieł jest bardzo wielka; w ciągu naszej pracy będziemy mieli sposobność powołania się na niektóre z nich.

[2] Senart w dziele: *Essais sur la légende du Buddha, son caractère et ses origines*, podniósł wątpliwości co do istnienia Buddhy; dr. Oldenberg zbił doskonale wszystkie zarzuty.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wydawnictwo materyałów do historyi powstania roku 1863—1864. T. II. i III. Lwów 1890. (Str. 208 i 496).

Tom II. tego wydawnictwa obejmuje szereg pamiętników: „Pamiętnik“ pułkownika Strusia (pseudonim), „Moje notatki“ Władysława Bentkowskiego, „Z pamiętnika dla moich wnuków“ Bronisława Deskura i „Wspomnienia z r. 1863“ Seweryny Duchińskiej; tom III. zawiera tylko dokumenta do historyi powstania roku 1863/4, zebrane i ułożone przez pułkownika Strusia, wraz z tegoż „Krótkim zarysem czynności organizacyjnych w Galicyi zachodniej w latach 1863 i 1864“. Dokumentów tych, odnoszących się jedynie do udziału Galicyi w powstaniu z r. 1863, zebrano 321, z których pierwszy z d. 17 listopada 1862 r., a ostatni z 10 listopada 1864 r. Są one po większej części kopią oryginałów, pochodzących z bibliotek Ossolińskich i Dzieduszyckich, lub z kilku zbiorów prywatnych.

Układowi tego materyału i ocenie ważności niektórych dokumentów możnaby zarzucić niejedno: przedewszystkiem zbywa im na umiejętnej metodzie fachowego wydawcy. To, co mogło mieć wartość chwilową administracyjnej lub finansowej natury, niekoniecznie może się kwalifikować na materyał historyczny w znaczeniu ściśle naukowem.

Rozpatrzmy się bliżej w materyale, zawartym w tomie drugim. Ponieważ chodzi nam zarazem o zaznaczenie tendencyj, pod których wpływem autorowie zabierali się do kreślenia swych wspomnień, przeto w naszem sprawozdaniu musimy zmienić porządek, przyjęty przez wydawcę „Materyałów“.

Pani S. Duchińska odsłania nam rąbek roboty zakulisowej, wy-

wołującej wybuch zbrojnego powstania, i wspomina o swych pracach i obawach w pierwszych miesiącach jego trwania. Udział jej był więcej natury humanitarnej, niż politycznej. W chwili wybuchu powstania zrodziła się była myśl — zawiązania stowarzyszenia kobiet, celem niesienia pomocy i rozciągnięcia opieki nad rodzinami powstańców. Utworzyły się t. zw. „piątki", a autorka należała do pierwszej z nich. Kierownicza jej ręka w organizowaniu „piątek" i zbieraniu składek stawała się coraz widoczniejszą. Ztąd wynikła konieczność wyjazdu za granicę.

Pani S. Duchińska w swych „Wspomnieniach" pisze: „Nie nazwę go (roku 1863) rokiem straszliwym, jak W. Hugo nazwał rok pruskiego najazdu na Francyą, bo straszliwem jest to tylko, co niszczy, co sprowadza rozkład i zgniliznę, co gasi wiarę, nadzieję, miłość, a takim nie był drogi nam rok 1863". Pani Duchińskiej urzędnik policyjny, w samemże biurze policyjnem w Warszawie, wskazuje sposoby, jak ma się dostać za granicę, a policyantów, mających czuwać nad jej zachowaniem się w Warszawie, spotyka później w obozie powstańczym pod Kutnem. Po owym „drogim nam roku", w podobnych okolicznościach nie znalazłaby ani podobnej pomocy, ani podobnych ułatwień. „Dwie szubienice, a na nich sztywne ciała patryotów", na Grzybowie były ostatniem wrażeniem odjeżdżającej nazawsze z Warszawy p. S. Duchińskiej. W podobny sposób przedstawiają się ziemie polskie każdemu, kto wzrokiem jasnym, nie obałamuconym ukleconą *ad hoc* teoryą, zwraca się ku owym smutnym chwilom.

Taką teoryą dorobili sobie apologeci roku 1863 i zwolennicy systemu „nieustającego powstania". P. Bronisław Deskur twierdzi np., że „sprawa uwłaszczenia włościan była ściśle złączoną z powstaniem, które miało za zadanie lud oswobodzić, a kraj oczyścić od najazdu". W innem znowu miejscu powiada: „Powstanie z r. 1863, jeżeli nie dopięło swego założenia w zupełności, to nie da się zaprzeczyć, że oswobodziło lud z jarzma niewoli, odkupiło krwią swych bohaterów niewolę ducha". Aby zaś powyższy sąd uzasadnić, ucieka się do twierdzenia, że „szerzenie oświaty, starania o dobrobyt ludu, dobrowolne uwłaszczanie włościan, uważane było jako bunt przeciwko władzy i traktowane jako przestępstwo polityczne". Mylnem jest to zdanie nietylko w zastosowaniu do Królestwa Polskiego, co dowiódł już p. Z. Lisicki w recenzyi II. tomu „Materyałów", umieszczonej w *Kwartalniku historycznym* (Rocznik V. Zeszyt II.), ale niezupełnie zgodnem z prawdą nawet w zastosowaniu do Litwy, będącej w położeniu daleko gorszem od Kongresówki i uważanej za kraj „od wieków rosyjski".

Nie mówiąc już o ukazach carskich z r. 1847 i 1848, pozwalających chłopom pod pewnymi warunkami nabywać ziemię, istotna emancypacya włościan ze stanu poddaństwa nastąpiła ukazem z d. 19 lutego v. s. 1861 roku. Jeżeli jednak wypadki roku 1863 i przyczyniły się pośrednio do rozszerzenia jej zakresu, to bynajmniej nie wyszło na korzyść tych idej, dla których naród nasz poniósł tyle ofiar. Że zaś i przedtem można było coś w tym kierunku uczynić dla ludu, to oprócz kilku innych przykładów zamiany pańszczyzny na czynsze, mogę wskazać dobra Retów na Żmudzi, gdzie ks. Ireneusz Ogiński przeprowadził, w sposób zupełnie legalny, głośne z błogich skutków oczynszowanie włościan. A przy dobrej woli dawało się niejedno zrobić nawet dla oświaty ludu. Mógłbym wymienić jakie kilkadziesiąt miejscowości, — czego jednak *propter opportunitatem* dziś jeszcze uczynić nie mogę — w których na lat wiele przed ostatniem powstaniem istniały szkoły ludowe z wykładem polskim, pod dozorem miejscowych proboszczów, a kierunkiem nauczycieli przez dwór mianowanych i utrzymywanych. Rosya ówczesna była jeszcze tak naiwną, iż nie pojmowała znaczenia szkoły ludowej, na którą dopiero po roku 1863 zaczęto tam zwracać więcej uwagi. Niestety! z tego stanu rzeczy korzystać nie umieliśmy. Kiedy w okresie demonstracyjnym zaczął się zwrot do ludu, wielu obywateli wiejskich zakładało szkoły prywatne dla dziatwy włościańskiej, gdzie ich synowie lub córki udzielali początkowej nauki. Jenerał-gubernator wileński Nazimow, w swym raporcie do ministeryum spraw wewnętrznych, przedstawił szkoły te, jako jeden ze środków wrogiej rządowi agitacyi, na co, jakby w odpowiedzi, minister spraw wewnętrznych, hr. Wałujew, kazał w dzienniku urzędowym wezwać ogół właścicieli ziemskich w Rosyi do zajęcia się sprawą oświaty ludu i zakładania szkół, a obywateli polskich na Litwie i Rusi przedstawiał jako wzór godny w tym względzie naśladowania (patrz życiorys Nazimowa w *Russkoj Starinie* z r. 1885).

Nie można zgodzić się z p. Deskurem, aby stan rzeczy w Królestwie przed rokiem 1863 był „położeniem bez wyjścia“, pchającem do zbrojnego powstania. Dziwna rzecz, że frazesu tego mógł użyć autor, żyjący dotąd i patrzący na to, co się dzieje w ziemiach polskich od ćwierci wieku. Lecz niepodobna walczyć z p. Deskurem argumentami, skoro uroczyście zapewnia, iż „nigdy nie wierzył i nie wierzy, aby można było drogą legalną uzyskać od najazdu cokolwiekbądź na korzyść interesów narodowych“, a głosi jako dogmat, iż „siłę brutalną siłą tylko odeprzeć można“. Byłaby na to zgoda zupełna, gdyby naród

nasz siłę taką wówczas posiadał. Jeszcze na lat kilka przed ostatniem powstaniem ostrzegał J. I. Kraszewski w swych „Wieczorach wołyńskich", aby siłe pięści nie ufać, bo pięść wroga naszego o wiele potężniejsza. Na to dowodów dostarcza i sam autor. Województwo podlaskie „liczyło sprzysiężonych przeszło 8000, a na tę ilość znalazło się broni palnej myśliwskiej zaledwie sztuk 300. Koni pod kawaleryę było podostatkiem, nie było zaś broni siecznej i kulbak". Sam nawet p. Deskur, powołany na dowódcę oddziału, przyznaje się, iż „stopień był, ale kwalifikacyi nie było..., ale praktyki, doświadczenia żadnego". Jeżeli takim był wódz, to jakim był żołnierz? Przy takich warunkach trudno było myśleć o odparciu „siły brutalnej siłą", ale raczej, mówiąc słowami Z. Krasińskiego, użyć tej „wyższej mocy ducha", która nie słucha ułud.

Opis akcyi powstańczej u p. Deskura na Podlasiu i Kurpiach, jakkolwiek odsłaniający i wiele męstwa i wiele ofiar, jest jednak stanowczem zaprzeczeniem jego teoretycznej apologii powstania, jako czynu konieczności narodowo-politycznej.

Z ciasnego obszaru wypadków podlaskich, przeplatanych wspomnieniami z życia familijnego i stosunków sąsiedzkich, wśród których utrzymywał nas p. Deskur, wkraczamy w „Moich notatkach" p. Władysława Bentkowskiego na szerszą widownię spraw wojskowych i działań przygotowawczych w pierwszej połowie roku 1863. Znajdujemy się przez cały prawie ciąg jego opowiadania w głównych ogniskach akcyi powstańczej: pomiędzy Krakowem a obozem Langiewicza. P. Wład. Bentkowski, urodzony w Wielkopolsce, był na początku roku 1863 posłem na sejm pruski w Berlinie. Na wieść o wybuchu powstania, porzuca dom, obowiązki familijne i obywatelskie w swej prowincyi, a spieszy na pole walki „podzielić losy walczących", a czyni to „z głębokiego przekonania, że będąc raz już w błocie, nie pozostało wszystkim nic innego, jak zaprządz się do ugrzęźniętego wozu i ciągnąć pospołu, co sił starczy, do samego ostatka, żeby choć na suchy brzeg się wydostać, bo inaczej wszyscy razem i rzecz cała i dobra sława w błocie zostaniemy". Autor idzie zatem na pole walki bez wiary, bez ufności w pomyślny obrót sprawy, z zupełną rezygnacyą. To też nie chce należeć do żadnych narad, do żadnych robót przygotowawczych, a pragnie li tylko walczyć w jakim oddziale, „chociaż nawpół wojskowym", bo nie czuje się zdolnym do „uwijania się ze strzelbą na plecach". Dlatego nie podobała mu się akcya przygotowawcza J. Wysockiego we Lwowie, dokąd najpierw pospieszył, a gdzie „wmawiano

w siebie to i owo, łudzono siebie i drugich nieprawdopodobnemi datami, budowano zamki na lodzie i dyskutowano, kreślono wytyczne na mapach i planach, korespondowano i konferowano, ale to wszystko bez jasnego ciągu i bez żadnej rzeczywistej podstawy". To, co autor mówi w tym ustępie o Lwowie, bodaj czy się nie da *mutatis mutandis* rozciągnąć na wszystkie ziemie dawnej Polski w owym pamiętnym roku.

Opowiadanie pana W. B. — obejmujące okres czasu od „fabrykacyi dyktatury" w hotelu Saskim w Krakowie i ogłoszenia jej w Goszczy, aż do ucieczki Langiewicza w granice Galicyi — jest obrazem historycznym pełnym realistycznej prawdy, lecz, niestety, działającym na czytelnika przygnębiająco. Jeżeliby ktoś jeszcze na ziemi polskiej zachował naiwną wiarę w możność wytworzenia siły zbrojnej narodowej „pod ogniem nieprzyjacielskim", ten chyba po przeczytaniu „Moich notatek" wyleczy się z niej radykalnie. Aby się o tem przekonać, dosyć przytoczyć z nich kilka szczegółów, jakkolwiek dopiero odczytanie całości może być najskuteczniejszem *remedium* na recedywę powstańczą. „Dyktatora — uskarża się pan W. B. — zaprzątano co chwila najbłahszymi drobiazgami, któreby do jakiego feldfebla lub adjutanta należeć były powinny". Pan Tomasz Winnicki, szef sztabu dyktatora, mając zdać szefowstwo autorowi „Moich notatek", „właściwie nic nie miał do zdania, nie potrafił nawet objaśnić względem istotnej siły i rozlokowania oddziału". Zostawszy szefem sztabu, pragnie pan W. B. przedstawić Langiewiczowi projekt organizacyi sztabu głównego, lecz dyktator rzecz tę odkłada „do chwili wolniejszej", która, „pomimo kilkakrotnie powtarzanych próśb i usiłowań moich", przeciągnęła się do końca kampanii. Ale na nominacye wyższych stopni czas się zawsze znajdował. Nie wszyscy byli tego zdania, co W. Bentkowski, który, gdy przyszła na porządek dzienny kwestya jego stopnia wojskowego, prosił dyktatora, aby ją odroczył na czas późniejszy, a „po kilku bitwach pokaże się, czym co wart".

O karności wojskowej wyraża się autor „Moich notatek" w sposób następujący: „Karność wewnętrzna nadzwyczaj była rozluzowaną, czyli raczej żadnej stałej nie było; wszystko się kupy trzymało dobrą wolą indywiduów lub dowolnem i doraźnem srożeniem się i karceniem ze strony pojedyńczych dowódców". Wymiar sprawiedliwości w sądach wojennych nie miał żadnej stałej normy: „skazywano i wieszano, mianowicie chłopów krakowskich, co z Moskalami trzymali, ale wszystko to odbywało się wedle każdorazowego natchnienia i widzimisię improwizowanych sędziów". „Uderzyło mię — pisze autor — prze-

ciwieństwo nieładu i wirwaru głównej kwatery, oraz kwater polskich dowódców, z porządkiem militarnym kwatery Rochebruna". A gdy powstał popłoch w Sosnówce, to z wyjątkiem posterunku tego cudzoziemca, „gdzie wszystko tchnęło determinacyą i wojskowem wyrobieniem", wszędzie indziej przebijała się „bezradność, nieznajomość elementarnych prawideł rzemiosła i nieodłączny od tego rodzaj popłochu, lubo wszystkie oddziały pełne były ludzi indywidualnie mężnych". Z początku oficerowie i żołnierze żołdu nie brali, lecz gdy później postanowiono go wypłacać, szef sztabu nie mógł się od pułkowników i dowódców doprosić „najsumaryczniejszego wykazu" swych ludzi, z tej prostej przyczyny, że żaden z nich sam nie wiedział dokładnie ich liczby. Moskale mieli zawsze prawie najdokładniejsze wiadomości o obozowaniu i ruchach powstańczych, co niweczyło nadzieje, przywiązywane do „wojny na własnej ziemi".

Złe skutki wyżej wymienionych stron ujemnych wystąpiły najwidoczniej w potyczce pod Grochowiskami: oficer plutonowy, dowiedziawszy się od ułanów o zbliżaniu się Moskali, opuszcza samowolnie posterunek, wraca do obozu, a tem samem pozbawia cały oddział przedniej straży: kapitan strzelców nie wykonuje rozkazu szefa sztabu jeneralnego; batalion kosynierów, pomimo rozkazów szefa sztabu głównego, zachęty oficera Aurelego Balińskiego i tkliwych nawoływań panny Pustowojtówny, nietylko nie ruszył się z miejsca, ale nie chciał nawet krzyczeć „hura!" Zwyczajny płot przy grobli — pisze Władysław B. — brali kosynierzy za nieprzebytą ścianę, a gdy nareszcie płot runął, okoliczność ta wywołała rezultat wbrew przeciwny oczekiwaniom szefa sztabu: zdawało się, „jak gdyby podniesiono upust w ścieśnionem korycie". Wkońcu, „wszystko w nieładzie i popłochu salwowało się w gąszcz lasu" Podobne zachowanie się powstańców różnej broni tłumaczy autor „Moich notatek": zziębnięciem, głodem i ciągłem ukrywaniem się po lasach.

Cóż w ciągu potyczki pod Grochowiskami robił naczelny wódz i oficerowie wyższych stopni? „Dyktator — pisze nasz autor — a wokoło niego Waligórski, Jeziorański, Borzysławski, p. Tomasz (Winnicki), ja, oraz różni adjutanci, gewaltygierzy i sztabowcy, wszystko to stało na koniach, nieruchomie, w kupce około dwudziestu ludzi", aż wkońcu „pokłusował Langiewicz w ślad za swoją rozpierzchnioną armią, przez łączkę, mokrzadła i krzaki, a my wszyscy za nim". A gdy szef sztabu stracił z oczu dyktatora wśród gąszczy leśnej i napotykanych tam powstańców pytał o wskazówkę i informacye, odpowiadano mu zwykle

szeptem: „Pst! cicho! nie trzeba głośno gadać, boby nas Moskale usłyszeć mogli“. Na jednym punkcie walczono jednak mężnie i względnie dosyć pomyślnie, wskutek czego Langiewicz „przemówił z pewną emfazą do otaczających, winszując odniesionego zwycięstwa, rozkazując ogłosić je zaraz całemu wojsku“. Pomimo tego zażądał od szefa sztabu wskazania najbezpieczniejszej drogi do granicy galicyjskiej!

Z tego przedstawienia rzeczy staje się jasnem, że jak w każdym zawodzie, tak i w rzemiośle wojennem — dyletantyzm nie potrafi niczego dokonać, a w stanie jest zmarnować nawet najlepszy materyał na żołnierza.

„Chłopów — powiada pan W. B. — mieliśmy bardzo mało w oddziale“, a z częstego ich wieszania w Krakowskiem wynikać się zdaje, że sprawie naszej wcale nie sprzyjali. Widoczna więc, że zbyt pospiesznie „skrzydła nam rosły na zmartwychwstanie“; że trzeba było jeszcze czekać, aż myśl nasza „w serca się wsieje — i rozplemi!“

Od tej odyssei dyktatorskiej przejdźmy do „Pamiętnika“ pułkownika Strusia, w którym znajdujemy dokładny obraz udziału Galicyi wschodniej w powstaniu roku 1863 i 64. Pan Struś (pseudonim), pułkownik wojsk rosyjskich, zebrał w swym „Pamiętniku“ stosunkowo najwięcej materyału historycznego. Ze zdaniem jego zgodzić się można najzupełniej, że „entuzyazm jest rzeczą chwilową i przemijającą, prawdziwą zaś siłę wojsku daje tylko dobra organizacya i wytrwałość, a tych u nas nie było“. Wśród powstańców, gotujących się do wyprawy na Radziwiłłów, znalazł bowiem „wielu ludzi, co nigdy broni w ręku nie mieli i nawet nie umieli jej nabić“. Pułkownik Struś wyjechał za granicę, powodowany gorącą chęcią walki za ojczyznę, której szczerze szukał, a jednak cały ten czas musiał pomimowolnie spędzić na pracach przygotowawczych do wyprawy na Wołyń pod jenerałem Wysockim, zakończonej jednodniową kampanią i niepomyślnym atakiem na Radziwiłłów. Poza stadyum przygotowawcze nie wyszła również i wyprawa p. Edmunda Różyckiego w ziemie ruskie; oddział np. jenerała A. Gołuchowskiego „organizował się rok cały i prochu nie powąchał“. Oto, jaki wymowny obraz tych naszych przygotowań kreśli fachowe pióro pułkownika Strusia: „Broń, którą komitet sprowadzał za drogie pieniądze z zagranicy, nie była opatrzona i złożona przez rusznikarzy; odsyłano ją wprost na punkt zboru oddziałów, mających wystąpić, a które dopiero na miejscu musiały przystępować do tej zmudnej pracy, nie mając dość ludzi, mogących należycie tego dokonać. Wozy, dostarczane powstańcom i mające wytrzymać długą kampanię po błotach

i lasach, były tak słabe, że co chwilę się łamały, zmuszając oddziały, potrzebujące jak największej ruchliwości, do zatrzymywania się, do przekładania bagaży z wozu na wóz, lub do rzucania na drodze tych środków przewozu. Ładunki, przysyłane oddziałom, nie stosowały się do kalibru broni".

Wprowadza nas także pułkownik Struś w sam chaos prac organizacyjnych, gdzie się ze sobą ścierały różne kółka i kółeczka tajnego rządu: komitety obywatelskie, ławy mieszczańskie, rząd narodowy, jego komisarze zwyczajni i nadzwyczajni, wydziały rządu narodowego dla Galicyi i t. d., i t. d. Były to istne burze w szklance wody, rewolty wśród rewolucyi. Miała Galicya nawet swój dzień 18 Brumera, gdy autor „Pamiętnika" rozwiązał komitet obywatelski, a władzę w swe ręce ujęła organizacya wojskowa. Odczytując odnośne rozdziały w „Pamiętniku" pułkownika Strusia, przypominamy sobie słowa Garczyńskiego, wojewody poznańskiego, wypowiedziane w jego „Anatomii", o burzliwem morzu parlamentaryzmu polskiego. Nie potrafiliśmy zatem, mówiąc słowami Z. Krasińskiego, być „w zamęcie miarą — i strojem w rozstroju". Widoczna, iż potrzeba nam jeszcze dużo własnej pracy i łaski bożej, aby „z dusz wyplenić kąkole".

Jest nareszcie w „Pamiętniku" Strusia osobny rozdział pod tytułem: „Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego", posądzonego o szpiegostwo na rzecz policyi austryackiej. Z polecenia Rządu narodowego utworzono we Lwowie komisyę, która, nie przesłuchawszy nawet oskarżonego, na podstawie więcej niż wątpliwej wartości dokumentów, a bez żadnych dowodów, większością głosów uznała winę podsądnego. Wyrok komisyi potwierdził Rząd narodowy i skazał pana Z. Kaczkowskiego na wygnanie z kraju. W odnośnym rozdziale tomu II. (str. 94—102) i w tomie III. „Wydawnictwa materyałów" (str. 273—281) umieścili wydawcy wszystkie dokumenta, odnoszące się do tej, jak się wyraża pułkownik Struś, „arcysmutnej sprawy". Po 27 latach, jakie upłynęły od owej chwili, oświadcza p. Struś, iż „nie może wyrzec stanowczego zdania o wyroku, tem więcej, że niejedno możeby potrzeba wyjaśnić jeszcze, dopełnić, sprawdzić w tej sprawie", a pomimo tego rzeczona komisya śledcza nie wahała się wydać werdyktu potępiającego i napiętnować pana Z. Kaczkowskiego strasznem mianem zdrajcy!

Sprawa ta stała się w ostatnich czasach głośną: umierający już prawie Ksaw. Liske zajął się nią w artykule „W imię prawdy", umieszczonym w *Kwartalniku historycznym* (Rocznik V. Zeszyt II.), a w tymże zeszycie tegoż czasopisma wydrukowano obronę pióra sa-

mego p. Z. Kaczkowskiego. Niepodobna się nie zgodzić z poglądami na tę sprawę zasłużonego historyka, i nie przyznać słuszności oskarżonemu, biorąc rzecz ze stanowiska dziejopisarskiego; jakkolwiek wyznać musimy, że w celu zupełnego wyjaśnienia tej nader smutnej sprawy i w interesie samegoż p. Z. Kaczkowskiego nie należało w swej apologii pomijać milczeniem całego ustępu z raportu dyrektora policyi narodowej (T. II. str. 197 i 198), zaczynającego się od słów: „Jako dopełnienie do faktu wyżej podanego“ i t. d.

A. Szarłowski.

Życie św. Alojzego Gonzagi T. J., według O. Cepari, opracowane przez *ks. Fr. Schroedera T. J.* Z dwoma obrazami kolorowymi i 108 ilustracyami w tekscie. Mikołów (Nikolai O. S.). — Nakład i druk Karola Miarki.

Donosiliśmy w przeszłym nrze *Przeglądu* („Sprawy Kościoła“) o wspaniałem wydaniu „Żywotu św. Alojzego“, jakie przedsięwziął Benziger w czterech językach. Miło nam teraz donieść, że to samo dzieło wychodzi po polsku staraniem i nakładem zasłużonego swemi wydawnictwami dla ludu p. Karola Miarki w Mikołowie.

Mamy właśnie przed sobą pierwszy zeszyt tego wydawnictwa. Jestto ten sam żywot, skreślony przez samego powiernika sumienia św. Alojzego, O. Ceparego, a opracowany i uzupełniony przez ks. Fr. Schroedera T. J. Ilustracye te same, co w niemieckiem dziele, ze skrzętnością archeologa zebrane i wykonane artystycznie, przedstawiające nietylko stare portrety i obrazy, ale mnóstwo zabytków, do historyi Świętego się odnoszących. Polszczyzna w tłumaczeniu wcale dobra i przechodząca nasze oczekiwanie. Papier piękny, druk czysty — choć jak na nasz gust, za ciężki, również obwódki i tytuły. Ale wydawca liczył się z wymaganiami szerszej publiczności Szlązka. Cena bardzo przystępna, bo 3 złr. 80 cnt., a w oryginalnej oprawie 5 złr.

Jestto śliczny podarek dla młodzieży.

Ks. M. M.

Żywot czcigodnego Brata Franciszka od Dzieciątka Jezus, zakonu Karmelitów Bosych. Napisany przez Zakonnika tegoż Zgromadzenia. — Przekład z francuskiego przez *A. D.* Kraków 1889. Nakład PP. Karmelitanek Bosych na Łobzowie. Do nabycia w księgarni Miłkowskiego. Cena 1·50 złr. (W 8ce, str. II, 253, IV).

Odznacza się ten żywot wielką prostotą i prawdziwie dziecięcą naiwnością; niedarmo też ma brat Franciszek przydomek: „od Dzie-

ciątka Jezus". Jeszcze na świecie będąc, jako posługacz przy szpitalu w Alkali, miał już sławę w całej Hiszpanii dobroczyńcy ubogich. Dla tysiąca ich blisko sprawiał corocznie w wigilię Bożego Narodzenia ucztę, dodając do niej dla każdego po jednym realu (około 20 cnt.). Gdy wstąpił do zakonu, sława jego dobroczynności i świątobliwości jeszcze wzrosła. Znany był królowi Filipowi II. i jego następcy, Filipowi III., i bardzo lubiany od nich i ich rodzin, choć nie tytułował ich inaczej jak: „starszy bracie królu". Za życia jeszcze od ludu za świętego czczony: a lud to hiszpański, religijny do szału: to też się nieraz zdarzało, że habit na nim pokrajano na kawałki jako relikwie: ba, nawet raz jakiś gorliwiec przy tej sposobności ciężko mu rękę skaleczył. Prócz owych corocznych uczt dla ubogich, które się długie jeszcze lata po nim odbywały w Alkali: zostawił Franciszek po sobie wiecznotrwałą pamiątkę w Walencyi, tj. ufundował tam przytułek dla nawróconych od złego życia pokutnic.

Sławny cudami za życia, stał się jeszcze sławniejszym po śmierci. Umarł w klasztorze Karmelitów w Madrycie, lecz Alkala, gdzie połowę blisko swego życia przebył, upominała się o jego ciało. Madryt nie chciał ustąpić, aż trzeba było ciało rozdzielić i tak zadowolnić oba miasta.

Taka jest treść tego dziwnego żywotu. Przeczytawszy go (a czyta się z wielkiem zajęciem), same nasuwają się pytania: jakim sposobem człowiek całkiem niewykształcony mógł odegrać tak wielką rolę w społeczeństwie, od najwyższych do najniższych jego warstw? Czy w naszych czasach jest możebnem coś podobnego? Czy dość na to być świętym? Ale i odpowiedzi na nie nie trzeba daleko szukać: mógł Franciszek tę rolę odegrać, bo nie założył jej sobie zgóry, nałożona mu była — jak onby się wyraził — od Dzieciątka Jezus; w naszych czasach żyje ten sam Kościół, stróż tej samej wiary, więc i takich ludzi nietylko może wydawać, ale i wydaje. Wspomnę tu tylko o Dom Bosku, który za dni naszych umarł, a możnaby podobno i kilku, jeszcze żyjących, wymienić. Niedość na to być świętym — trzeba mieć misyę opatrznościową.

Co do układu, to mówi tłumacz w przedmowie: „zostawiliśmy w tem opowiadaniu ton i zakrój starego kronikarza"; a przyznać trzeba, że zakrój to wcale ponętny. Autor idzie mniej więcej z latami czcig. Franciszka: opowiada nie sucho, bo miłość jego ku przedmiotowi barwi opowiadanie i wzbudza to samo uczucie w czytającym.

Co dziwniejsza, nawet rozdziały końcowe, opisujące pojedyńcze cnoty Franciszka, choć wogóle w żywotach Świętych są pewnym balastem, tu wcale nie wydają się zbytecznymi, ani nie nużą. Autor bo-

wiem na tle każdej osobnej cnoty, jak gdyby wyhaftował kilka nowych kwiatków, tj. wydarzeń i szczegółów, które nie weszły w opis samego życia, a które dla czytelnika są bardzo miłe i cenne.

Tłumacz widocznie zachował nietylko ton i zakrój oryginału, ale nawet właściwości języka. Stanowi to wprawdzie pewien artystyczny kontrast z prostotą samej rzeczy, jednak nie da się zaprzeczyć, że duch polszczyzny na tem cierpi niemało.

Jak życie tego bożego człowieka było dla wszystkich stanów, tak też śmiało powiedzieć można to samo i o tym opisie jego życia; i o komużby się naiwna a tak święta prostota nie podobała, nie porywała do naśladowania? Pokarm to dla wszystkich i zdrowy i smaczny. To też życzymy serdecznie szan. tłumaczowi, aby w krótkim czasie był zmuszony przygotować drugie (poprawione) wydanie. Oby tylko dość wysoka cena nie stanęła na przeszkodzie szybkiemu rozejściu się tak pożytecznej książeczki.

H. P.

Dra G. A. Lindnera tekst do wykładu pedagogiki. Zeszyt I. **Ogólne zasady nauki wychowania** dla użytku seminaryów nauczycielskich polskich. Przerobił i zastosował dr. Władysław Seredyński. Wiedeń 1882. (Str. 161).

Dzieło to, lubo wyszło o dwa lata później od „Podręcznika do nauki logiki i dydaktyki“, stanowi jednak podstawę czterech dotąd wydanych prac, mających służyć za tekst do wykładu pedagogiki w seminaryach nauczycielskich. Dziś, mając przed oczami całą seryę, można wydać łatwiej sąd przedmiotowy o jej wartości naukowej, nie wchodząc w to, że doświadczenie uznało już dwa pierwsze dzieła za zbyt trudne podręczniki, i pobudziło np. p. Boberskiego do wydania innej pracy, a p. Miecz. Baranowskiego do przystępniejszego opracowania owych podręczników na tych samych zresztą zasadach.

Na wstępie już wyrazić musimy szczere ubolewanie, że szanowny autor zerwał z tradycyą swoich prac poprzednich, i zamiast udoskonalać i na tle narodowem, na tle zasad wiekopomnej Komisyi edukacyjnej, przerobić swą „Pedagogię polską w zarysie“, rzucił się do szerzenia dzieł Lindnera i prawideł herbarcyanizmu, tak niezgodnych z naszą narodową przeszłością, tak sprzecznych z postulatami filozofii chrześcijańskiej. Niewiele się może omylimy, gdy przypuścimy, że niezawodnie tylko chęć dostrojenia podręczników do ducha panującego w okresie liberalnego szkolnictwa, popchnęła zaszczytnie znanego autora na

takie tory podobnie, jak popchnęła wiele wybitnych osobistości w kraju, jak kazała niedawno wśród obrad sejmowych zapomnieć o systemie Komisyi edukacyjnej, wyhodowanym na gruncie katolicyzmu i doświadczeń francuskich, a zachwalać system niemiecki, i to oczywiście niemiecko-liberalny, jako jedyny, na którym oprzeć się możemy. Nie rzucamy tedy kamieniem na szan. autora, ale szczerze żałujemy, że dla chwilowych widoków skazał tyle zmudnej swej pracy i tyle najlepszych zapewne chęci na rychłe zapomnienie, co gorsza, na potępienie, wskutek fatalnych błędów, jakimi herbarcyanizm przepełnił te dzieła. Na sposób bowiem Herbarta, obchodzi się szan. autor z chrześcijaństwem tak, jak gdyby założenie boskie Kościoła, oraz złożenie w nim skarbu prawdy objawionej i środków zbawczych, nie było faktem historycznym niezbicie stwierdzonym, którego ignorować niewolno. Kto zaś ów pozytywny charakter chrześcijaństwa zapoznaje, a przecież o chrześcijaństwie mówi, ten nie może się ustrzedz mylnego przedstawienia zasad chrześcijańskich. Taki właśnie los spotyka i prace dra Seredyńskiego, choć one same chcą uchodzić za zgodne z duchem chrześcijaństwa. Poczuwamy się do obowiązku przytoczyć na to kilka dowodów.

Już cel i przeznaczenie człowieka (str. 3 i 65) pojmuje autor czysto humanistycznie z całkowitem zapoznaniem celu pozagrobowego i nadnaturalnego. Mylne także podaje pojęcie wiary (str. 52), określając ją jako „domysły *(sic!)* stające się z czasem wiarą i przekonaniem“, a ignorując całkowicie fakt objawienia. W tem świetle oczywiście i postać Chrystusa Pana trzeba pojmować tylko jako wzór wzniosły ale czysto ludzki, i sprzeciwiać się trzeba nauczaniu dogmatów (str. 53) tj. prawd, które całą swą niewzruszoną pewność czerpią jedynie z objawienia. Z takiego punktu widzenia razić też musi „upajanie przesadną praktyką religijną“, przyczem łatwo nazwać przesadnem i to, co Chrystus Pan ustanowił i zalecił jako niezbędne środki do zbawienia. Nic też dziwnego, że autor potępia „przedwczesne wprowadzanie dziatwy i młodzieży w stowarzyszenia religijne i za tem idące zobowiązania“, że nie wspomina, jak Kościół właśnie piętnuje bezduszne modlitwy, ale zarazem jak pedagogia chrześcijańska umie dziatwę uzdolnić do prawdziwego korzystania ze wszystkich środków zbawczych (nietylko z modlitw). Ponieważ zaś dzieło dra Seredyńskiego nigdzie (ani nawet w dziale o wychowaniu religijnem na str. 109) nie wspomina o środkach zbawczych i o prawidłowem korzystaniu z nich, przeto uczeń musi nabyć wyobrażenia, że wszystkie „pra-

ktyki religijne", o ile tylko nie są racyonalistyczne, uczą „kłamstwa i obłudy" i szkodzą człowiekowi. Jak tu niema wejść profesor pedagogii w kolizyę z katechetą katolickim, który postępuje według pedagogii chrześcijańskiej, a nie racyonalistycznej?!

Etykę podaje autor ściśle według Herbarta, a więc za najwyższą normę i sankcyę uważa tylko rozum, czyli sumienie, ukształcone według znanych pięciu moralnych idej herbarcyanizmu, które wcale nie obejmują obowiązków człowieka względem Boga. Każda zasada u niego jest godziwą, według której „dotąd wielokrotnie i z najpożądańszym skutkiem się kierowano" (str. 62). Jestto bardzo wygodne prawidło dla wszystkich egoistów, nie wyłączając i tych, którzy się nie krępują legalnością. Zresztą, jeśli tylko „ogólnem uznaniem uświęcone (!) prawidło, dążące do uchylenia sporu, zowiemy prawem", jeśli „w stanie natury praw niema" (str. 72), „tylko wojna wszystkich przeciw wszystkim", jeśli w ten sposób wymazuje się zupełnie prawa boże (tj. prawa natury i prawa objawione) niezawisłe od zmiennej opinii ludzi, toć otwiera się naoścież wrota samowoli, która przy dzisiejszym parlamentaryzmie tak łatwo przybiera formę legalności. Rozum bowiem, nie mogąc się oprzeć na niewzruszonym gruncie zakonu bożego, idzie w służbę namiętności, i zatwierdza bismarkowskie hasło: „Kto mocniejszy (o tyle, iż prawa może wydawać), ten lepszy"!

A przecież ten sam autor mówi (na str. 76) o „wiecznych" prawidłach obyczaju, i zapewnia (na str. 67), że „między treścią moralności filozoficznej a chrześcijańskiej niema żadnej sprzeczności". A więc nie chce szan. autor prowadzić walki z chrystyanizmem, kieruje się i sam niezawodnie „wiecznemi" prawidłami bożemi, jeno wprzągł się w rydwan błędnego systemu, który chciałby nawet złagodzić. Niestety, sprzeczności takie wychodzą tylko na podwójną szkodę chrześcijaństwa, bo jeśli uczniowie obok filozoficznych zasad Herbarta nie poznają także filozoficznych zasad chrześcijańskich, to muszą wysnuć wniosek, że tylko ta moralność jest chrześcijańską, która się zgadza z filozoficzną etyką Herbarta, czyli innemi słowy, muszą stracić wiarę w naukę, jaką im Kościół katolicki podaje. Liberalizm, jak widać, nie zawiódł się na swym ustroju seminaryów nauczycielskich!

W parze z tem idzie zupełne pominięcie Kościoła przy wyliczaniu i omawianiu właściwych czynników wychowawczych (str. 131), a przyznanie mu tylko mimowolnego wpływu (str. 6) na wychowanie, wpływu właściwego ślepym (str. 8) współczynnikom, których „działanie żadną nie kieruje się zasadą, a wpływy często się krzyżują

i znoszą nawzajem". Łatwo teraz pojąć, dlaczego całe generacye nauczycieli, w takim duchu prowadzone, oburzają się niezmiernie na wrzekome uzurpatorskie wdzieranie się Kościoła do szkoły.

Wogóle nie starał się szan. autor uwzględnić zadań i dziejów Kościoła i chrześcijańskiej pedagogii, ztąd głosi np., że w średnich wiekach zaniedbano wychowanie fizyczne (str. 17), zachwala konwikty protestantów i filantropistów, nie mając ani słowa uznania dla tak licznych i tylekroć świetnie wychowujących konwiktów i pensyonatów klasztornych, ignoruje autorów katolickich, nawet w tych rzeczach, w których oni o wieki całe wyprzedzili koryfeuszów racyonalistycznych. Tak np. nie Locke pierwszy wykazał, że nie mamy wrodzonych wyobrażeń, ale przed nim mnodzy filozofowie katoliccy, a zwłaszcza św. Tomasz z Akwinu (*Summa theol.* I. q. 84, art. III).

Sądzimy, że te szczegóły wystarczą na stwierdzenie faktu, jak daleco duch herbarcyanizmu odbiega od chrześcijaństwa i od prawdy historycznej, i jak wielce przyczynia się do zagmatwania pojęć o najważniejszych zadaniach człowieka.

Pod względem naukowym, pedagogia Herbarta i Lindnera chroma przez to, że oparła się na mylnie, bo sensualistycznie pojętej psychologii, jak to wykazaliśmy, zdając sprawę z podręcznika p. M. Baranowskiego. Mylnem jest twierdzenie, że „władze duszy wynikają z rozmaitego sposobu kojarzenia się wyobrażeń (str. 4), mylnem jest i zapatrywanie, że „to, co istotę indywidualizmu człowieka stanowi, jest rezultatem wpływów zewnętrznych", czyli innemi słowy: nieuznanie wrodzonych skłonności do różnych wad lub zalet. Trudno też pojęcie woli wolnej identyfikować z pojęciem woli rozumnej (str. 57).

Tłumacz uzupełnił oryginał działem o wychowaniu fizycznem, jednakże zbyt pobieżnie opracowanym. Nie znachodzimy tam nic o wpływie organizmu i życia rodzicielskiego na organizm dziecięcy, o obchodzeniu się z dziecięciem w peryodzie niemowlęctwa, o mamkach, niańkach i t. p. Mówiąc o powietrzu (str. 28), nie zwraca szan. autor uwagi na kurz, którym nieraz jest przepełnione, oraz na higieniczne pielęgnowanie płuc. Niedosyć jest także poparte a przecież ustalonym pojęciom przeciwne twierdzenie, że dzieciom już od 2 lat trzeba dawać więcej mięsa (str. 20) i wogóle pożywniejsze pokarmy niż dorosłym! Niema wzmianki o kąpielach i ich użyteczności, jak również brak działu o postępowaniu w zwykłych chorobach.

W dziale o środkach wychowania pominięto zupełnie środki nadnaturalne. Gdzie mowa o radach i przestrogach (str. 83), powinna być

także wzmianka o zachętach i ich znaczeniu wychowawczem. Do przesady posunięty jest humanizm w instrukcyi o nagrodach i karach. Autor utrzymuje, że „nadzieje i widoki, nagrody i kary są tylko sztucznemi pobudkami wychowawczemi“, że „dla człowieka dobrze wychowanego, nie potrzeba już nagród i kar“, że więc „nagrody i kary są nadzwyczajnymi środkami wychowawczymi“ (str. 85), jak gdyby popęd ambicyi nie był człowiekowi wrodzony i nie domagał się harmonijnego, prawidłowego kształcenia, jak gdyby ludzie dojrzali nie potrzebowali także nietylko naturalnych ale nawet prawdziwie sztucznych kar i nagród. Oczywiście kary cielesne wyklucza autor bezwarunkowo, a nawet gani rozdawanie premiów z końcem roku szkolnego. Do jakich jednak rezultatów doprowadzi skażoną naturę ludzką pedagogia pozbawiona i silnej dźwigni religijnej i pomocniczego nawet wpływu ambicyi?

Mówiąc o przykładach, zaleca autor (str. 93) nie podawać z nich zastosowań moralnych, lecz kazać je zdobywać dziecku samodzielnie. Tymczasem zanim dziecko dojdzie do owej samodzielności, niby prawie nie skorzystało z przykładu, gdyby go nie naprowadzono na krótkie a praktyczne zastosowanie. Bez takich zastosowań nie możnaby się nawet przykładami posługiwać w nauce systematycznej, bo nie możnaby ich wyzyskać. Niema też między środkami wychowawczymi wyliczonych regularnych zajęć, ani zasad jak te zajęcia dobierać lub urozmaicać, niema też wzmianki o umartwieniu, które tak rozlegle umiała wyzyskiwać już pedagogia starożytna.

„Niema żadnego szczególnego sposobu wychowania — mówi autor (na str. 111) — jak gdyby wolno było ignorować metodę powściągającą *(coercitiva)* i nie odróżniać jej od metody uprzedzającej *(praeventiva)*“, której to ostatniej Kościół z powodzeniem się trzyma względem nieletnich. Ściśle biorąc, nie powinienby już autor mówić o żadnych metodach, a jednak rozpisuje się o nich, zapewniając zarazem, że przekonanie samo leczy z namiętności, tak iż zdaniem autora, „gdyby możliwem było przekonać namiętnego pijaka, samoluba, złoczyńcę i t. d., że to, co góruje w jego pożądaniu, nietylko niegodnem jest, ale jest nierozumne i głupie — byłby już uleczony“ (str. 128). Niestety, jeśli to ma być niewzruszoną podwaliną moralności, to codzienne doświadczenie obróci w niwecz całą pedagogię racyonalistyczną.

W kilku miejscach też powtarza autor za Lindnerem rojenia o absolutnej ewolucyi ludzkości nawet pod względem moralnym. Czy rzeczywiście dziś człowiek „coraz bliżej i pewniej dochodzi do zrozu-

mienia przeznaczenia swego“ (str. 27), niż doszedł przez Objawienie Syna Bożego? Autor tłumacząc te dzieła, nie obliczył się może z tem, że Lindner w swym sensualizmie staje się kompletnym darwinistą. W rzeczy samej, w dziele *Grundriss der Pädagogik als Wissenschaft*, wydanem z manuskryptu po śmierci Lindnera przez jego wielbiciela, Karola Domina, powstaje ten autor na system pedagogii, oparty na stosowaniu się do indywidualizmów, a każe badać jedynie prądy socyalne teraźniejszości i przyszłości, i na ich podstawie oprzeć całą pedagogię, do nich nagiąć gwałtem wszystkie indywidualizmy. Zgubny ten despotyzm dowodzi jedynie, że raz wszedłszy na błędne tory, a chcąc być konsekwentnym, trzeba dochodzić do ekstremów. Czy takie torowanie drogi socyalnej demokracyi może być zadaniem nauki szkolnej?

Pomijamy już usterki językowe, choć radzibyśmy, aby autor zamiast *dowolna* uwaga (str. 30), powiedział jaśniej: „umyślna“, zamiast *nieużycie* (str. 75), „nieużytość“ i t. p., a wyrażamy pragnienie, aby podręczniki szkolne uczyniły rozbrat z herbarcyanizmem, na Zachodzie zresztą oddawna już pogrzebanym, a oparły się na gruncie pedagogii chrześcijańsko-narodowej.

Ks. W. G.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Moralphilosophie. Eine wissenschaftliche Darlegung der sittlichen, einschliesslich der rechtlichen Ordnung. Von *Victor Cathrein S. J.* 2 Bände in 8°, XIV. 633, XVI. 522. Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1891.

Jedno po drugiem poważne czasopismo, a nawet dzienniki występują w tych dniach z wiadomością o „Filozofii moralnej“ ks. Cathreina; żadna ocena nie może wyczerpać osnowy jej pochwał, a każda wynosi ją z nowego względu i tylko w jednem powtarzają się wszystkie: czytaj, czytaj koniecznie to dzieło! I czyż pod nazwą moralnej filozofii nieznane zjawisko w dziedzinie umiejętności stanęło przed myślicielami i zasłużyło na rozgłos w prasie różnych narodów wzdłuż i wszerz Europy? Czyż niezbadaną dotąd krainę myśli niespodzianie odkrył autor i dlatego poruszone umysły ze zdumieniem widzą nowe widnokręgi w świecie postępu filozoficznego? Nie. Jak dawno filozofia toczy walki o prawdę, jak daleko rozpostarła swoje zdobycze pośród

społeczeństw oświeconych, od tak dawna i na takich obszarach panowała razporaz tam jedna, gdzieindziej druga zasada z tych, którym autor kazał teraz stanąć razem, jakby w bojowym szyku, na przegląd podbojów dokonanych przez prawdę w zakresie moralnej umiejętności. Nie odkrył autor ani jednej zasady nowej, nie odkrył ani jednego zwrotu na ścieżki nieutarte przez poprzedników, nawet nie powiedział nic nowego, ale nikt jeszcze nie wypowiedział tego, co on: chyba przez takie wyrażenie można rozwiązać zagadkę rozgłosu, jakiego codzień więcej nabiera jego arcydzieło. Ale i to wyrażenie samo wygląda na zagadkę: trzeba sprawę zdać z niego.

Przypatrzmy się, którą to dzielnicę myśli filozoficznej uprawia autor? i na jakiem stanowisku występuje w rzeszy filozofów różnych stronnictw? Etyka stanowi zakres zawodowej pracy ks. C., tak na katedrze filozofii, którą wykłada, jak na polu pisarskiem, na którem już zdobył poważne imię kilku drobniejszemi pracami. W tym zakresie dawał o sobie rokować śmiałe nadzieje, ale przewyższył oczekiwania ostatnią pracą. Jego „Filozofia moralna“: to przystępny wykład całej etyki, ale etyki nie bierze autor ani podług ciasnego zapatrywania na nią transcendentalnych idealistów, ani według wolnych poglądów na nią u materyalistów, i przez to daje poznać, którędy steruje pośród prądów myśli filozoficznej. Etyce wyznaczył patryarcha transcendentalizmu takie stanowisko nadziemskie, że z niem nic wspólnego mieć nie mogło ludzkie społeczeństwo z przyborem praw i ustaw potrzebnych w codziennych stosunkach życia. Ztąd następcy Kanta rozdwoili tę część filozofii, co rzuca podwaliny pod budowę porządku moralnego, a którą etyką nazywali perypatetycy: jej część, naukę o zasadach obyczajowości, nazwali idealiści etyką w ścisłem znaczeniu i umieścili w obłokach transcendentalizmu, a osobnego miejsca i odrębnych podstaw szukają dla drugiej części dawnej etyki, dla nauki o zasadach prawa. Skutkiem tego rozbratu prawodawstwo żąda dla siebie samodzielnego rozwoju, a nie dba o etykę z jej zasadami i przepisami. Kwiatem wniosków takiego prawodawstwa, to hasło: *ausrotten!* Nie taką etykę nowoczesną, przeciwstawioną umiejętności prawa, wykłada ks. C.; w obu oddziałach etyki w szerszem znaczeniu, widzi jednę umiejętność, którą nazwał filozofią moralną. Jak nie uległ prądowi idealizmu, tak walczy z prądem materyalizmu. Najnowsi zwolennicy tego prądu, pozytywiści, nie chcą etyki wyrosłej na pniu metafizyki; marzą o innej, zaszczepionej na pniu nauk przyrodniczych, ożywionej sokami wyssanymi z doświadczenia i namacalnych spostrzeżeń z życia jedno-

stek i społeczeństw. Półgębkiem przyznają pozytywiści Epikura swoim pradziadem w pojęciach etycznych, ale wolą Kartezyuszowi przypisać pierwszy krok w nowoczesnym pochodzie materyalistycznych poglądów na etykę. We wstępie do *Principia philosophiae*[1] uczy Kartezyusz, że z pnia fizyki wyrastają wszystkie umiejętności, niby gałęzie trzech głównych konarów: medycyny, mechaniki i etyki. Temu pniowi i jego konarom daje Kartezyusz nazwę[2] drzewa filozofii rzetelnej i praktycznej, jaką ludzie dobrej woli mają popierać, zamiast tej spekulatywnej filozofii, której uczą scholastycy. Prawda, że Kartezyusz z korzenia metafizyki każe róść drzewu filozofii, którą odkrył, ale do niej tych uważa za najzdolniejszych, którzy jak najmniej uczyli się wszystkiego tego, co scholastycy uważali za filozofię. Bez długiego namysłu materyaliści wydoskonalili pogląd Kartezyusza na drzewo filozoficzne, zostawili jego korzeń w łonie ziemi na pociechę kretom i niedobitkom scholastycznych metafizyków, a na pożytek ludzkości zaczęli pielęgnować pień fizyki i z niego prowadzić soki do konarów medycyny, mechaniki i etyki. Błogim owocem tej etyki, odżywianej pokarmem nauk pozytywnych a nie zasilanej zasadami metafizycznemi, a przynajmniej kwiatem jej marzeń, to „walka o byt“ rodzaju ludzkiego, wychowywanego przez pozytywizm na *Epicuri de grege Porcum*. Takimi kwiatami usłaną drogą nie poszedł ks. C., ale wytrwał pomiędzy obu prądami skrajnymi na torze idealno-realnym, ubitym przez scholastyków. Według ich wyobrażenia, wytkniętego przez Arystotelesa, przyrodnicze nauki to ledwo grunt, z którego korzeniem logiki ciągnie soki drzewo filozoficzne: jego pniem metafizyka, *philosophia prima*, albo spekulatywna, konarem etyka, *philosophia moralis*, albo praktyczna. I ks. C. każe etyce czerpać soki wprost z zasad metafizycznych: tak zajął stanowisko scholastyczne i powtórzył zdanie Hugona Grotiusa (wyjątkowego protestanta, który z własnego czytania znał scholastykę), że prawie niemożebnym jest błąd u scholastyków wtenczas, kiedy rozstrzygają o zagadnieniach etycznych wszyscy jednakowo, bo w zdaniach spornych z niesłychaną przenikliwością zarzucają sobie słabą stronę dowodów: dlatego ks. C. ze stanowiska scholastycznego wyszedł i wybrał poglądy, których bronią scholastycy za powszechną zgodą.

Jakżeż książka o treści znanej od wieków, pisana ze stanowiska przestarzałego wobec tegoczesnej oświaty, jakżeż mogła czemś

[1] Nr. 12.

[2] Tamże i nr. 7, i *Disc. sur la méth.* 6.

nowem i niezwykłem zasłużyć na powszechną uwagę? Cóż za tajemnicę kryje jej rozgłos? Zasłonę z tej tajemnicy zerwie najprzód uwaga na to, na co przeznaczył autor to arcydzieło. Nie temu zadaniu usiłował autor sprostać, żeby swoją pracą dostarczyć filozofom z zawodu wątku do zawiłych badań, albo osnowy do zawilszych jeszcze sporów: innym myślicielom zostawił tę chlubę. Ani nie tak spuścił skrzydła, żeby tylko dla początkujących filozofów przysporzyć jeden więcej podręcznik etyki. Wytknął sobie pośrednie zadanie: ułożył dla szerszego koła światłych czytelników etyczne zasady i obowiązki najpewniejsze i najpowszechniej cenione, jako pokarm dla umysłu zdrowy i wytrawny. Rozpowszechniać między ogółem wyniki cudzych badań: to wygląda na zadanie bardzo skromne i odpowiednie chyba do pospolitych zdolności pisarza miernego: ale tak zręcznie wywieść każdą indukcyę, tak pochwycić znaczenie każdego dowodu, a przytem tak potoczyście wykładać pojęcia, tak płynąć w przejrzystym toku myśli, słowem tak podołać zadaniu, jak ks. C. — to oznaka umysłu niepospolitego. Czytelnik nie potrzebuje posiadać nauk filozoficznych; zwykły zakres wiadomości i zdrowy rozsądek jemu wystarczy, żeby umiejętnie pojąć prawa i obowiązki moralne: niech tylko słucha, co na skinienie autora mówi życie codziennie, czego uczą potoczne wypadki, o czem świadczą dzieje. Ale może zażąda czytelnik rękojmi, że go nie uwodzi wymowa autora, i że dlatego dochodzi do tych tylko wyników, na które stać każdą duszę prawą i każdy umysł, którego nie spaczyła walka z sumieniem: najprzystępniejszą znajdzie rękojmię w wybornym dodatku do pierwszego tomu, w przeglądzie obyczajowych pojęć i zasad, jakie panują u przeróżnych ludów starożytnych i nowożytnych, dzikich i oświeconych, zamieszkałych na obu półkulach świata. Ten dodatek, to niby protest wszystkich wieków i pokoleń ludzkich, choć tylko pogan, przeciwko etykom nowego zakroju, co niedościgłą mrzonką albo zmysłowym poglądem na życie chcą ludom zastąpić prastare dziedzictwo sumienia. Czyż można namacalniejszą rękojmią prawdy poręczyć wyniki filozofii moralnej, jeżeli nie głosem milionów z różnych krajów i stadyów oświaty, w których takie pojęcia panują, jakim dał autor wywód umiejętny?

Ale jeszcze inną a także niezwykłą zaletę ma ten wykad zasad najzwyklejszych, u scholastyków podany, z ich stanowiska odwiecznego. Choć wyrasta z pnia metafizyki, zmusiłby do oklasków samego Bakona werulamskiego, na widok takich indukcyj, jakiemi ks. C. wyprowadza pojęcia i zasady. Nie naśladował autor tych scholastyków, którzy nie

korzystali z nauki Arystotelesa o indukcyi. Za wodzem perypatetyków i ich chlubą, św. Tomaszem, poszedł ks. C. i pamiętał, że takie umiejętności, jak etyka, choć mają drogą apryorycznych dowodów dochodzić do ostatecznych wniosków, mimo to zasad nie mają stawiać ani pojęć nie mogą narzucać apryorycznie: pojęcia i zasady właściwe szczególnym umiejętnościom mają być ostatnim krokiem drogi doświadczalnej, przebytej pochodem indukcyi; od metafizyki zapożyczają te umiejętności pierwiastkowych pojęć i najpowszechniejszych zasad na to, żeby te przyświecały indukcyom i strzegły badacza od manowców, po których błądzi ten, co naoślep zbiera spostrzeżenia, albo na los szczęścia przywiązuje wnioski do wypadków doświadczalnych. Autor zachował ten przepis logiki perypatetycznej; podzielił dzieło na dwie części, ogólną i szczególną: w pierwszej wywodzi pojęcia i stawia zasady właściwe etyce, w drugiej wyciąga wnioski i dowodzi obowiązków. Część ogólna przez indukcyę analizuje szczegóły, żeby odkryć ogólne prawa — część szczególna przez dedukcyę syntetyczną zastosowuje prawa do coraz nowych szczegółów; pierwsza część uprawia pole spostrzeżeń, sumuje statystyczne daty, przywodzi zdobycze fizyologiczne i etnograficzne, rozpatruje odkrycia historyczne; w tym labiryncie pozytywnych wiadomości za nitkę Aryadny bierze metafizykę, w nawale zdarzeń wykrywa ich myśl przewodnią, rozwija powszechne prawa zjawisk moralnych i z nich buduje jednolitą całość, szkielet zasad etycznych; druga część wyzyskuje nabytki pojęć i zasad, z ogólnych praw oblicza następstwa, wyznacza obowiązki, wraca coraz bardziej do potrzeb codziennych w życiu jednostek i społeczeństw, staje przed chorą ludzkością i na jej rany każe zaradzać etyce już szczegółowo wykończonej, mającej postać z ciała i krwi.

Nakoniec pod innym jeszcze względem autor utworzył dzieło świeże i nowe. Mimo obszernej znajomości moralnych poglądów starożytnych i średniowiecznych, uwzględnia pisarzy przedewszystkiem nowoczesnych i całego zasobu nauki używa, żeby przystępnie rozprawić się z dzisiejszymi pomysłami etyki pozytywistów. Czytelnik słucha już odprawy na zaczepki, o których ledwo wczoraj doniosły dzienniki, że padły z obozu Spencera. Ani tego autor nie puszcza płazem przeciwnikom, że wkraczają nieraz na pole etyki więcej teologicznej, aniżeli filozoficznej; na ich zarzuty przeciw moralnej teologii Kościoła staje do odporu z bronią rozumu: dlatego włączył do pytań zwykle obrabianych w etyce, także wiele rozpraw dotąd zostawianych teologom-moralistom. Przez to, dzieło nabrało treści bogatszej od zwykłej. Do ta-

kich rozpraw należą pytania: o namiętnościach (t. I. str. 42—63), o przygotowaniu się do szczęścia w przyszłem życiu (102), o prawie śmierci (106—112), o cnotach i wadach (240—267), o sumieniu (343—356), o grzechu i zasłudze (356—366), o religii objawionej (t. II. str. 11), o ślubach, przysiędze i zabobonach (32—40), o obowiązkach względem duszy (45—50), o powołaniu (62), o prawdomówności (71—84), o braniu odsetek (283—289), o przeszkodach do małżeństwa (340), o emancypacyi kobiet (350—357), o niewolnictwie (374—380), o stosunku Kościoła do państwa (471—484), o wpływie Kościoła na szkoły (498—505), o konkordatach (602—606) i kilka innych mniejszej wagi.

Te zalety nadały dziełu ks. C. miejsce między niezwykłymi płodami myśli filozoficznej, choć scholastyka już mniej więcej to wszystko powiedziała przed nim, choć cała ludzkość powtarzała to samo, przynajmniej w ogólnej treści, ale tego nie wypowiedział jeszcze nikt tak przystępnie dla szerszego ogółu, tak zgodnie z żądaniem indukcyi namacalnej i oczywistej, tak bogato w treść nietykaną w filozofii. I ta ostatnia zaleta odkrywa ostatecznie tajemnicę rozgłosu tej książki. Kto pożycza światła z objawionej nauki moralnej, ten świadom wyniku, do którego ma dojść badaniem umiejętnem i czysto rozumowem, pracuje na polu filozofii i wyzyskuje przyrodzone władze, żeby rozumowi utorować drogę do kresu, osiągniętego już przez chrześcijańską naukę w praktycznem życiu. Sumienny filozof liczy się z tem, czy przysługę oddaje społeczeństwu, czy zdradza prostoduszny ogół, popisując się samodzielnością i pomiatając skarbem pojęć zkądinąd nabytych: zamiast widzieć prostą drogę w świetle zapalonem bez niego, sam jej mozolnie szuka po krętych szlakach, na których samoistnie z wielkim trudem i stratą czasu napotyka szczyptę prawdy, a z wielką łatwością i w jednej chwili grzęźnie w błędnych bagniskach. Sternik korzysta z tego, co drudzy wiedzą o podwodnych mieliznach i rafach, o bezpiecznych prądach i gościnnych przystaniach, i bez zachcianek, żeby na własną rękę sprawdzić niebezpieczeństwa, przykłada sił, aby sam zawinął tam, gdzie inni spoczęli; „ale i przy tem wszystkiem, filozofia naukowa nie spuści nigdy z oka dwóch następujących rzeczy, popierwsze że przyznanie objawienia Boskiego nie może być zasadą, początkiem dociekań filozoficznych, lecz co najwięcej, może być tylko ich rezultatem, końcem; i powtóre, że treść objawienia Boskiego nigdy nie może być przeciwną prawom rozumu, sprzeczną z temi prawami, gdyż

prawa te są również boskie, jak i samo objawienie“ [1]. Tę drogę wytknął sobie ks. C., i przeto niema w tem tajemnicy, że nietylko ludzie rozumni, choć pozbawieni zasad religii, ale nawet chrześcijańscy uczeni cenią w autorze umiejętność pełną zasad zdrowszych i wytrawniejszych od mydlanej bańki idealizmu, albo od owej piosnki pozytywistów: „wieńczmy się różami, bo jutro pomrzemy“.

Ale czyż ten zastęp powszechnych pochwał dowodzi, że ks. C. stanął u szczytu doskonałości? *La perfection n'est pas de ce monde!* Autor, wpatrzony w ogół światłych czytelników, trochę macosze serce pokazuje dla ścisłego filozofa, który głębiej od ogółu chce rozwiązać zagadkę życia i obowiązków. Takiego umysłu nie odprawia autor z niczem, to prawda; ale nieraz od niechcenia zbywa zawilsze zarzuty, w samej rzeczy niemądre, ale zdolne zawrócić głowę niezbyt mądrą; czasem widocznie traci ochotę do dobitniejszej rozprawy z zagmatwaną wątpliwością, traci przejrzystość myśli i prawie wygląda, jakby żądał, żeby dobra wola przeciwnika poprzestała na odpowiedzi praktycznej zupełnie, ale nie zaczerpniętej z źródła ostatecznych przyczyn, których szuka filozof. Ale wadą byłoby to u pisarza, któryby rościł sobie prawo do dawania strawy głębszym myślicielom: wobec zadania, jakie przeznaczył ks. C. swojej pracy, łatwo wyrozumieć ten brak głębokości. Dla tych samych praktycznych zamiarów wystarczyło autorowi poprzestawać nieraz na zdaniach prawdopodobnych, a nie rozjaśniać pytań aż do ostateczności; albo chce czasem zadowolnić czytelnika wskazówką, co ma począć narazie, a zasadniczą podstawę poglądu zostawić dowolnemu upodobaniu, choćby błędnemu. Między innymi podobnymi poglądami, autor wdrożony w to, żeby wszędzie praktycznie bronić zdań ogólnie przyjętych, uległ poglądowi pospolicie przyjętemu tylko u jego rodaków: Prusaków. Na pytanie: czy ma każdy naród przyrodzone prawo do tego, żeby w danym razie zbrojną ręką dać sobie samoistny byt państwowy? odpowiada *mit Entschiedenheit* przeczeniem, a za dowód stawia niemożebność praktycznego wykonania tego prawa i wylicza zaburzenia, jakim uległby obecny porządek polityczny, „trzebaby np. Polskę wskrzesić“, gdyby przyznać to prawo narodom. Prawda to najpraktyczniejsza w świecie, że nie mamy prawa o tem myśleć, żeby dziś albo jutro odnowić

„.... szczytny ten szał,
Co niósł mienie, krew lał,
Żeby ścieśnić swe kajdany!“

[1] Struwe, „Wykł. syst. logiki“, t. I., str. 225.

ale i to prawda święta, że i dzisiaj i jutro powtórzymy, że „naród, któremu niesłusznie odebrano samoistność polityczną, nie ma wszystkiego, do czego ma prawo[1]. Więc nie można odmawiać w zasadzie prawa, choćby niewykonalnego w praktyce, jak muszę czasem w praktyce milczeć o prawie, które mam w teoryi. A takie zdanie tem dziwniej wygląda u ks. C., że broni prawa Polaków pod rządem pruskim do zachowania wiary i języka, i przypomina, jak obietnica monarchy poręczyła im to prawo uroczyście, a naruszenie tej obietnicy piętnuje mianem bezprawia i dodaje: *Es ist eine Rechtsverletzung, wenn R... und andere Staaten den Polen durch gewaltsame Mittel die Nationalsprache zu rauben suchen, indem sie dieselbe sogar aus den Volksschulen verbannen oder die litterarischen Erscheinungen in der Nationalsprache auf jede Weise hindern.* Nadewszystko dziwi to *mit Entschiedenheit* przeczenie wskazówki w encyklice *De libertate humana:* „Gdzie jest ucisk albo groźba ze strony takiego panowania, które uciemiężone społeczeństwo trzyma pod niesprawiedliwą przemocą..., tam godzi się dążyć do innego uorganizowania państwa... Nie potępia też Kościół i tego pragnienia, iżby własny naród nie pozostawał w niewoli czy to obcego, czy własnego despoty“... Więc widać, że zdanie autora powstało jedynie ze zbytniej obawy, żeby w niczem nie stanąć nad poziomem poglądów powszechnie przyjętych w kołach, w których autor przebywa.

Ostatecznie żaden kolec nie przeszkodzi róży być królową kwiatów. ani żądło nie ujmie pszczole zalet, ani usterki nie zmniejszą ceny perłom, zebranym w dziele ks. Cathreina. Więc można powtórzyć za innemi ocenami słowa, któremi wszystkie zamykają szereg pochwał: czytaj, czytaj koniecznie to dzieło!

Ks. K. Czaykowski.

Zapiski z bibliografii francuskiej.

Nie myślę pisać właściwych sprawozdań z najnowszych dzieł francuskich; chciałbym tylko praktycznie zadość uczynić życzeniu częstokroć mi wyrażanemu przez Redakcyę *Przeglądu Powsz.*, by wśród ogromnej ilości dzieł francuskich, codziennie wychodzących, zwrócić uwagę na te, które zasługują na polecenie, ze względu na naukową wartość, zdrowe zasady i piękną formę, a przydać się mogą bądź dla utworzenia francuskiej biblioteki, bądź też dla czytania w kółku rodzinnem.

[1] „Hartmann i kwestya narodowości“, dod. do *Przeglądu Powsz.*, kwiecień 1885.

Zaczynam dziś od małej dawki, z zamiarem i nadal razporaz prowadzenia tego szeregu zapisków bibliografii mego kraju. Oby ta skromna praca mile przyjętą była przez waszych czytelników i przydała im się do wychowania dla ojczyzny pokolenia wolnego od grasujących dzisiaj po świecie przesądów i fałszywych zdań, a szczerze sympatyzującego z tem, co jest głęboko chrześcijańskiego we Francyi, a czego zmienne powiewy chwili obecnej nie naruszyły.

1° **Geoffroy de Grandmaison**: La Congrégation (1801—1830), avec préface de M. Le comte A. de Moun. 1 vol. in 8°. (Paris, Plon et Nourrit, 8 rue Garancière).

Ocenę naszą zaczynamy od tej pięknej pracy, poświęconej kongregacyom Najświętszej Panny. Otrzymaliśmy ją wraz z listem hrabiego A. de Moun, który służy za przedmowę i zawiera całe dzieje kongregacyj od chwili ich założenia w r. 1564 przez młodego nauczyciela w kolegium rzymskiem.

Tom powyższy stanowi tylko zajmujący epizod tych pięknych dziejów. Jestto wyłącznie historya kongregacyi paryskiej, która od roku 1801 do 1830 żywym jaśniała blaskiem pod kierunkiem OO. Delpuits i Ronsin. Cieszyć się musimy z autorem, widząc najznakomitszych przedstawicieli francuskiego społeczeństwa w gronie członków kongregacyi Maryańskiej. Połowa francuskiego episkopatu, najwybitniejsi kapłani, dostojnicy wojskowi i państwowi, książęta, pisarze, a nawet profesorowie uniwersytetu, chlubili się nazwą sodalisów.

P. Geoffroy de Grandmaison opisuje nam z żywym interesem ćwiczenia pobożne, jakie odbywano w kongregacyi, oraz postępy w cnocie, jakie ztąd wynikały; opowiada dobroczynną działalność sodalisów na gruncie społecznym, inicyowane przez nich przedsięwzięcia: „Dobrych książek“, „Opieki nad dziećmi i młodzieżą“, „Rehabilitacyi zbrodniarzy uwolnionych z więzień“ i t. p. To nam tłumaczy, dlaczego kongregacya ściągnęła na siebie nienawiść i niesprawiedliwe napaści bezwyznaniowców, którzy przedstawili ją nawet jako klub polityczny i wraz z monarchią obalili w r. 1830.

Niegdyś i w Polsce istniały liczne i kwitnące kongregacye Najświętszej Panny; królowie i senatorowie, potomkowie najznakomitszych rodzin, poczytywali sobie za zaszczyt być sodalisami. Oby ta cenna książka nasunęła waszej młodzieży, wychodzącej corocznie ze szkół dla dalszych studyów w uniwersytecie, myśl wskrzeszenia tych chrześcijańskich i patryotycznych tradycyj. Wiadomo też, jak Ojciec święty Leon XIII. zachęca do zakładania i rozwoju katolickich stowarzyszeń,

a między temi kongregacya Maryańska jedno z pierwszych miejsc zajmuje.

2° **Moulin,** professeur de philosophie: DÉMONSTRATION DE LA DIVINITÉ DU CATHOLICISME, OU TRAITÉ DE RELIGION À L'USAGE DES MAISONS D'ENSEIGNEMENT SECONDAIRE. 1 vol. in 12°. (Lille, 26 rue Royale, Desclée et Cie).

Książka ta, choć małych rozmiarów, cieszy się niezwykłem uznaniem, które potwierdził między innymi wielki katolicki dziennik Francyi, *l'Univers*. Poprzestaniemy na streszczeniu tej oceny — tem więcej, że zgadza się najzupełniej z sądem, jakiśmy sobie o tem dziele wyrobili przed przeczytaniem sprawozdania *Univers'a*. To wykazanie boskości katolicyzmu jest owocem doświadczenia i sumiennej pracy uczonego i znakomitego profesora filozofii.

Dzieło ks. Moulin obejmuje swój przedmiot w całej jego rozciągłości, wykładając, dowodząc i przeciwników zwalczając w wyborny sposób. Styl jest jędrny a zarazem płynny i pociągający. W pierwszej części dzieła, każdy, nawet mniej inteligentny, może dostrzedz trwałość podstaw katolickiej doktryny. W drugiej, od współczesnego nam faktu istnienia chrystyanizmu, prowadzi nas autor wstecz, do boskości jego założyciela. Ten oryginalny system dowodzenia nadaje się wybornie w sceptycznych naszych czasach dla umysłów, z tylu stron uprzedzonych przeciwko syntetycznemu wykładowi. W części tej znajduje się szkic boskiej osoby Zbawiciela, godny Lacordaire'a, Bossuet'a; jakże chętnie przytoczylibyśmy go tutaj, gdybyśmy się nie bali przedłużyć zanadto tego artykułu. Trzecia część wykazuje wyraźnie, że tylko w katolicyzmie mamy prawdziwą naukę prawdy i istotny Kościół od Chrystusa Pana założony.

A nietylko niedowiarków, heretyków i schyzmatyków zwalcza zwycięsko autor, ale zarazem wszystkie nowożytne sekty, czy gallikanów, czy józefinistów, czy liberalnych katolików. Praca ta, obfitująca w dowodzenia, zawiera mnóstwo świadectw tak przeciwników jak też i apologetów, które z przyjemnością można odczytać. Jestto prawdziwa *summa abbreviata* apologii katolicyzmu. Chociaż autor oświadcza, że ułożył dzieło to wyłącznie dla uczniów, którym może służyć jako streszczenie słyszanych lekcyj, jesteśmy jednak przekonani, że i profesorowie znajdą tam skrócony materyał do swych wykładów. Dostarczyć też ono może kaznodziejom trwałej podstawy do dogmatycznych i polemicznych kazań i konferencyj. Wreszcie służyć powinna ta książka za prawdziwe *vade mecum* dla wszystkich wykształconych ludzi, bo poznawszy lepiej swą religię, bardziej ją ukochają i gorliwiej ją w życie wprowadzą.

Pragniemy, aby nasze uwagi nasunęły jakiej duszy myśl przełożenia tej pracy na język polski.

3° **C. F. Chevé**: HISTOIRE COMPLÉTE DE LA POLOGNE, depuis ses premières origines, jusquà nos jours. (Lois, moeurs, institutions: état religieux, social, politique, intellectuel, militaire, industriel, commercial, etc.). 2 vol. in 12°. Paris, 55 quai des Grands Augustins, L. Gautier.

Do tak długiego tytułu możemy dodać, że praca ta zawiera wszystko, co obiecuje. Musimy jednak zauważyć, że do treściwego opisu powstania z r. 1863 wkradło się kilka błędów w imionach własnych i sąd może niezupełnie da się uzasadnić. Dzieło, skreślone pięknym stylem, czyta się z przyjemnością i dlatego, iż to są dzieje tak szlachetnego narodu, a także, że autor ubarwia życiem swe opowiadanie i z zamiłowaniem traktuje swój przedmiot. Co się tyczy tła historycznego, to p. Chevé studyował pilnie polskich historyków, których często przytacza. Z radością też dostrzegliśmy, iż zrozumiał dokładnie, że katolicyzm był źródłem życia i wielkości waszej ojczyzny, co wypowiada otwarcie i popiera dowodami.

Przedewszystkiem polecamy przedmowę do pierwszego tomu, godną głębszego zastanowienia. Co do przepowiedni przytoczonej z Długosza, to ponieważ boli nas ziszczenie się jej pierwszej części, czyżbyśmy więc nie mieli cieszyć się spełnieniem drugiej? Gdy już oddawna rozpoczął się wiek rozbicia i rozproszenia narodu, to teraz należy położyć zasługi i przygotować koniec tego okresu obywatelskiemi i chrześcijańskiemi cnotami.

Autor oddaje sprawiedliwość wielkiemu królowi Janowi Sobieskiemu, który ocalił Wiedeń i Austryę wbrew twierdzeniom panów Niemców, którzy głoszą w dziejach, „że Polacy przybyli, aby się tylko przypatrzeć porażce Turków". Z przyjemnością znaleźliśmy w tej pracy opis szlachetnego czynu pewnego francuskiego oficera: „Na górę Kahlenberg zdołano tylko parę armat wciągnąć. Niezbyt obfity zapas amunicyi, który tam także na ramionach zaniesiono, rychło się wyczerpał; zostało wprawdzie trochę prochu, ale nie było kłaków do przybicia naboju. Wówczas pewien oficer francuski wrzucił do armaty rękawiczki, perukę i plikę gazet, które dopiero był z Francyi otrzymał, a po chwili strzał się rozległ. „Wkrótce potem — ciągnie dalej historyk — król rozkazał zdobyć wzgórze, panujące nad obozem Kara-Mustafy. Hrabia Maligny, dowódca piechoty, wykonał rozkaz z prawdziwie francuską walecznością i przedarłszy się przez placówki tureckie, stanął pierwszy u celu. Niespodziany ten atak zawyrokował o porażce Tur-

ków. Król widząc zamieszanie, jakie wówczas zapanowało w ich szeregach, zawołał: zginęli!...“ Przerywam sobie, aby nie przytoczyć zbyt dużo szczegółów z tego dnia pamiętnego. Chciałem tylko przypomnieć ten fakt, że jeżeli Polacy byli towarzyszami broni Francuzów, szczególnie w początkach bieżącego wieku, to i oni także nieraz obok Polaków walczyli. Niedawno temu powstaniec z 1863 r. mówił autorowi tego artykułu: „Mieliśmy w obozie mnóstwo Francuzów, którzy dzielnie się bili“. Miejmy nadzieję, że te piękne dni jeszcze wrócą.

Dzieje Polski p. Chevé, które we Francyi już w kilku ukazały się wydaniach, powinnyby znaleść miejsce i w polskich bibliotekach.

E. P. A. S.

Z pism czasowych.

Czasopismo słowackie: **Slovenské Pohľady.** 1890.

Z czasopism wychodzących u Słowaków, najwyżej pod względem literackim stoją *Slovenské Pohľady*, i dlatego też wymagały osobnego sprawozdania. Wydaje je od lat jedenastu w Turcz Sw. Martinie p. Józef Škultety. Miesięcznik ten przeznaczony dla wykształceńszych warstw społeczeństwa, odznacza się duchem katolicko-narodowym. Do najudatniejszych artykułów poważnej treści w zeszłorocznych zeszytach tego czasopisma należy praca p. Jarosława Vlčka: *Anton Bernolák a jeho škola* (Antoni Bernolak i jego szkoła). W artykule tym mieści się trafny szkic literatury słowackiej przy końcu XVIII., oraz w pierwszej połowie XIX. wieku. Autor zaznacza, że w XVI. i XVII. wieku literackim językiem Słowaków był język czeski i tylko lud prosty rodzimej używał mowy. Piśmiennictwo więc słowackie zaczęło początkowo rozwijać się na wzorach i pod opieką czeskiego. Protestanci słowaccy zalali cały kraj ojczysty prawdziwą powodzią sekciarskich książek do nabożeństwa, polemik religijnych i t. p. Literatura słowacka w ścisłem tego słowa znaczeniu wówczas jeszcze nie istniała; ale niebawem miał nastąpić korzystny zwrot w tej mierze. Tu wymienia autor kilka innych słowiańskich narodów, u których piśmiennictwo zwróciło się do skarbnicy literatury ludowej i z niej zaczęło czerpać dla siebie żywioł. Między innymi przytacza Polaków, twierdząc nieco mylnie, że zwrot ku poezyi ludowej nastąpił u nas jeszcze za czasów Stanisława

Augusta, gdyż jak wiemy, właściwy początek tego okresu, rachuje się dopiero od Brodzińskiego. Następnie wylicza kilku słowiańskich pisarzy, którzy zaniechawszy dawnego książkowego i na obcych żywiołach opar tego języka, zaczęli używać ludowych narzeczy. Takim u Chorwatów był Andrzej Kačić Miošić *(Razgovor ugodni naroda slovinskago 1756)*, u Serbów Dozyteusz Obradowicz *(Život a prihody 1783)*, u Słoweńców Walenty Vodnik *(Ljubljanske novice 1797)*, u Małorusinów Jan Kotlarewski *(Aeneida perełycowana 1798)*, u Bułgarów wreszcie Władyka Sofroniusz, który w roku 1806 napisał w ludowem bułgarskiem narzeczu swój *Kyrlakodromion*.

Po tym krótkim rzucie oka na ówczesne literackie stosunki u Słowian, p. Vlček przechodzi do literatury słowackiej i twierdzi, że oparcie jej na czysto narodowych podstawach zawdzięczać należy katolickiemu duchowieństwu; ono bowiem pierwsze wzięło rozbrat z czeszczyzną i zaczęło pisać w języku ojczystym. Pierwsze próby nadania słowackiemu językowi literackiego znaczenia sięgają początku XVIII. wieku, pierwszem zaś dziełem w języku tym skreślonem były kazania pewnego katolickiego kapłana, Antoniego Mačaja, pod tytułem *Cleby prvotin neb kazani na nedele celeho roku* (Tyrnawa 1718). Ojcowie Jezuici tyrnawscy drukowali też mnóstwo książek do nabożeństwa i innych dzieł treści religijnej w narzeczu, zbliżonem już nieco do czystego słowackiego języka, bez domieszki czeszczyzny. W miarę budzenia się ducha narodowego wzrastała też u Słowaków miłość ojczystej mowy, która stopniowo z ich piśmiennictwa wyrugowała język czeski. Ponieważ w owym czasie najwykształceńszą warstwę słowackiego społeczeństwa stanowili duchowni, oni więc przez czas długi byli jedynymi przedstawicielami literatury. Zpomiędzy pisarzy słowackich, którzy poprzedzili reformacyjną działalność Bernolaka, p. Vlček wymienia Hugolina Gavloviča (1712—1787), Franciszkanina, znanego przez współczesnych z niezwykłej erudycyi, który pozostawił po sobie mnóstwo wierszy najrozmaitszej treści, w których widać niezaprzeczony talent poetycki, oraz szlachetny i podniosły umysł. Do wybitniejszych pisarzy z tej epoki należy także Józef Ignacy Bajza (1754—1836), kanonik preszburski, który pierwszy postawił mowę słowacką na stanowisku prawdziwie literackiego języka. Dotychczas jednak ani gramatyka, ani ortografia tego języka nie była jeszcze ustaloną, pierwszej zaś próby w tym względzie dokonał Antoni Bernolak (1762—1813), rodem z Orawy, dziekan i dyrektor szkoły katolickiej w Nowych Zamkach, który zpomiędzy rozlicznych słowackich narzeczy wybrał

narzecze nitrzańskie, zwane odtąd niekiedy bernolackiem, ortografię zaś oparł wyłącznie na fonetyce. Oprócz prac w zakresie gramatyki wydał on także olbrzymi słownik słowacko-czesko-łacińsko-niemiecko-węgierski. Za jego staraniem utworzyło się i weszło w życie w r. 1792 Słowackie literacko-naukowe Towarzystwo, z główną rezydencyą w Tyrnawie, oraz z filiami w Nitrze, Równej, Bańskiej Bystrzycy i Solnej Bani. Dzięki temu Towarzystwu ożywił się znacznie ruch literacki, mnożyły się dobre religijne i świeckie książki, koszta zaś nakładu pokrywali członkowie, lub zamożniejsze duchowieństwo, dbałe o dobro swych wiernych. Bernolak utworzył zatem szkołę literacką, której najwybitniejszym przedstawicielem był Jerzy Fundli (1754—1810), kapłan katolicki i autor wielu cennych popularnych dziełek. Obok niego stoi Jerzy Palkowicz, tłumacz Pisma św. na narzecze nitrzańskie, i Aleksander Rudnaj, kardynał-prymas węgierski, który popierał gorąco prace Bernolaka i przyłożył się do wydania jego słownika, sam zaś po słowacku pisał kazania. Najbardziej jednak wsławił szkołę bernolacką poeta Jan Holly, tłumacz Wirgiliusza, Horacego, Homera, Teokryta i Tyrteusza. Największym oryginalnym jego utworem jest poemat bohaterski *Svatopluk*, wzięty z dziejów słowackich, ale opracowany całkowicie podług klasycznych wzorów, co go pozbawiło miejscowego i dziejowego kolorytu. Największą wartość poetycką przyznaje p. Vlček sielankom i odom Hollego, a między innemi odzie na cześć Sobieskiego; ocenę zaś tego poety zamyka słowami, iż był on słowackim Wirgilim i Horacym, a utwory jego stanowią niewzruszoną podstawę gmachu słowackiego piśmiennictwa. Na zakończenie autor poświęca słów kilka „Spółce miłośników ojczystej mowy i literatury“, powstałej za inicyatywą Hollego po upadku „Literackiego Towarzystwa“, a która po kilkoletniej gorliwej działalności, takiemuż uległa losowi i stanowiła jakby ostatnie echo bernolackiej szkoły. Po upadku tej ostatniej wystąpił na widownię nowy i bardziej uzdolniony od Bernolaka reformator języka i piśmiennictwa w osobie Ludowita Štura na którym p. Vlček kończy swój przegląd dziejów słowackiej literatury.

Tenże sam autor w ostatnich czasach przez swoją historyę słowackiego piśmiennictwa zdobył sobie rozgłośną sławę jako estetyk i krytyk. Zasila on też *Slovenské Pohľady* swymi „Listami z Czech“, w których wiernie odzwierciedla tamtejszy ruch piśmienniczy. Listy te odznaczają się nadzwyczaj oryginalnemi myślami i zwrotami, oraz sporą dozą sarkastycznego dowcipu. P. Vlček oddaje Czechom w swych

krytykach zupełną sprawiedliwość, sądzi bezstronnie dodatnie i ujemne cechy każdego autora, oraz z katolickiego stanowiska przedstawia rozmaite prądy w dziennikarstwie czeskiem nurtujące.

O akademii pragskiej p. Vlček niezbyt pochlebnie się wyraża, twierdząc, że instytucya ta oddawna upragniona, a założona dzięki ofiarności tamtejszego architekta p. Hlavki, po części zawiodła położone na sobie nadzieje. Grono ludzi niekoniecznie do tego uzdolnionych, skupiło cały jej kierunek w swym ręku i po dyktatorsku w niej rządzi. Pewna część członków, są to ludzie, którzy albo oddawna już przestali zasilać swojemi pracami ojczystą literaturę, albo też nie zajmowali nigdy wybitniejszego stanowiska wśród literatów i uczonych. Natomiast pominięto wiele znakomitości wiedzy i pióra, dla których podwoje akademii powinny były naoścież się otworzyć. Tak więc ta instytucya zamiast reprezentować całokształt współczesnej narodowej mądrości i wiedzy, jest w obecnej przynajmniej chwili siedliskiem kliki, która rości sobie prawo do decydującego głosu.

Do artykułów treści literackiej w *Slovenskich Pohl'adach* z roku zeszłego należą: życiorys Bohdana Ludowita Grossmanna, jednego z wybitniejszych pisarzy słowackich ostatniej doby, skreślony przez Pawła Križka, *O prostonárodnom básnictwe slovenskom* (O ludowej poezyi słowackiej) przez Tichomira Milkina z mnóstwem wyjątków z piosnek słowackich, przypominających treścią i formą nasze krakowiaki, a wreszcie Besedy czyli pogadanki, zamieszczane w każdym prawie numerze tego miesięcznika, a które zawierają oceny najnowszych utworów literatury słowackiej, czeskiej, rosyjskiej, węgierskiej, niemieckiej i francuskiej. O pisarzach polskich nie ma w nich ani wzmianki, w spisie tylko książek przesłanych redakcyi *Pohl'adów* znaleźliśmy z dzieł polskich jedynie powieść Orzeszkowej „Dziurdziowie“ i Gomulickiego „Sąd ostateczny“. Co prawda, nieszczęśliwy wybór, i jeżeli z niego Słowacy mieliby sądzić o naszej beletrystyce, to lepiej, że milczą!

Parę opisów tamtejszych miejscowości, jak naprzykład: *Turčianske, či že Štubnianske Teplice* Pawła Križka, *Rozmanitosti z cesty z Bošáckej doliny do Liptovského Sv. Mikuláša* (Wrażenia z podróży z doliny Bosackiej do św. Mikulasza w komitacie Liptowskim) Józefa Holubego i *Obrázky z Bošáckej doliny* tegoż autora, czytają się przyjemnie, przynoszą sporą wiązkę malowniczych opisów i trochę faktów historycznych, dla nas jednak nie wielkie mogą mieć znaczenie. Za to na szczególną uwagę naszą zasługuje artykulik p. Vladimirowa pod tytułem: *Co zahubilo Pol'šu?* (Co zgubiło Polskę?) Autor stawia sobie py-

tanie, co mogło przyprawić o ruinę państwo, „które należało do największych w Europie, znajdowało się w klimacie łagodnym, miało ludność zdolną i postępującą narówni z najoświeceńszymi narodami na drodze cywilizacyi?“ Poczem wylicza przyczyny, jakiemi wielu historyków tłumaczyło sobie dotąd upadek Polski. Przyczynę tę, mówi, upatrywali jedni w zbyt słabym rozwoju monarchicznej zasady, drudzy w niedostatecznym republikanizmie, inni w ucisku ludu przez szlachtę i magnatów. Byli i tacy, którzy ją przypisywali katolicyzmowi i Jezuitom, inni znowu protestantyzmowi i dysydentom, jeszcze inni współzawodnictwu z Rosyą i Prusami, które nie mogły znieść obok siebie takiego państwa, jakiem była Polska. Wielu wreszcie widziało ją we współczesnej sytuacyi Europy, a szczególnie w rewolucyi francuskiej, lub we wrodzonych Polakom wadach, oraz w ujemnych cechach ich wychowania i moralnem skażeniu polskiego społeczeństwa“.

Przyczyny te, jak twierdzi autor, razem lub oddzielnie wzięte a przynajmniej niektóre z nich, mogły się przyłożyć mniej lub więcej do upadku Polski, żadna wszakże nie wyjaśnia całkowicie katastrofy, jaka spotkała to państwo. Wszystkie też niemal istniały nietylko w Polsce, ale i w innych krajach, a jednak monarchie tamte się utrzymały, Polska zaś upadła. Wskazuje to, iż ruinę Polski wywołała jakaś inna przyczyna, ważniejsza od wszystkich poprzedzających, prawdziwa *causa causarum*.

Jakaż to przyczyna? Prawdopodobnie wielu Polaków nie domyśla się jej nawet. Rzeczywiście pogląd p. Vladimirowa jest nowy i różni się od wszystkiego, co się dotąd głosiło w tej mierze. O ile zaś trafnie rozstrzyga kwestyę upadku naszej rzeczypospolitej, o tem zaraz się przekonamy.

„Dzięki charakterowi swego państwowego ustroju, ciągnie dalej autor powyższego artykułu, Polska była państwem feudalnem... Kiedy jednak feudalizm, który w początkach swego istnienia miał pewną racyę bytu, przeżył się już i zaczął objawiać symptomata anarchii, z powodu której upadła Polska, inne państwa od tegoż samego losu ocalił nowy czynnik polityczny, jaki się w nich utworzył. Czynnikiem tym było miasto“.

Tu autor naszkicowawszy ogólne cechy feudalizmu, zastanawia się nieco obszerniej nad ustrojem miast feudalnych, tych kolektywnie władających jednostek. Pierwszem, jak mówi, staraniem ich obywateli było uwolnić się od poddaństwa, co zresztą nie wielkie przedstawiało trudności, u nich bowiem mnożyły się pieniądze, u obywateli zaś zam-

ków zbytkowne wymagania i potrzeby. Stopniowo mieszczanie zdobywali sobie coraz to nowe przywileje, mieli prawo posiadania własności ziemskiej w mieście i poza jego obrębem, przedsiębrania środków obrony, wznoszenia okopów i warowni, utrzymywania arsenału i wojska. Niebawem też średniowieczne miasta zaczęły zawiązywać pomiędzy sobą spółki czyli rzesze, jakiemi we Włoszech były stowarzyszenia miast wolnych, w Hiszpanii *santa junta*, a w Niemczech Hanza. Rzesze takie stały się dla krajów, w których istniały, ogniskiem wolności, dobrobytu i cywilizacyi.

Ciekawe są te dane, na podstawie których autor wykazuje dobroczynny wpływ miast w feudalnym świecie. Miasto, podług niego, jako cząstka państwowej całości, jako kolektywny i niezawisły właściciel, stało się rozjemcą w walce między głową państwa a potężną arystokracyą, i w przeważnej ilości wypadków stawało po stronie władcy, wspierało go swymi głosami na sejmie i swymi pieniądzmi na wojnie. Jeżeli jednak szala sprawiedliwości przeważała na stronę arystokracyi, wówczas miasto z nią trzymało. Tak więc w feudalnem państwie było ono pośrednikiem i modyfikatorem. Nadto stworzyło klasę swobodnych rolników, osiadłych na jego gruntach i udzielało schronienia poddanym, którzy zatęskniwszy za swobodą, uciekali od swych panów. Z drugiej strony miasto stawszy się weselszem i bezpieczniejszem od zamku, zwabiało do siebie nawet obywateli zamków, którzy się w niem osiedlali, budowali pałace i starali się o prawa obywatelstwa. Ponieważ zaś stanowiło spójnię między wyższemi a niższemi warstwami społeczeństwa, łączyło więc je w jedną organiczną całość, a przez to tworzyło żywioł, który przyszłość miał budować. Największa jednak zasługa miasta polega na tem, że stało się ono nietylko ogniskiem handlu i przemysłu, ale także wiedzy i oświaty. W bezpiecznych jego murach, dzięki hojnym ofiarom zamożnych obywateli, powstawały akademie, muzea, uniwersytety, galerye, księgozbiory oraz rozmaite stowarzyszenia naukowe i artystyczne, w działalności których brali równy udział obywatele miast, wsi i pałaców, a połączonemi siłami pracowali wspólnie nad tem, co się cywilizacyą nazywa.

W Polsce, jak twierdzi autor, nie było wszystkich tych dobroczynnych skutków feudalnego miasta, bo takie miasto nie istniało, a raczej utworzyło się ono z początku, doszło nawet do pewnego stopnia rozwoju, ale potem upadło nagle i zupełny nastąpił w niem rozkład. „Polskie feudalne miasto, dodaje, przypomina jabłko, które się już zawiązało w owoc, obiecując być smacznem i pięknem, gdy wy-

lągł się w niem robak i do szczętu je zniszczył, a jabłko nie dojrzawszy, spadło z drzewa. Robakiem tym, który się zakradł do polskiego miasta, było żydowstwo".

Pasorzytne to plemię, zdaniem p. Vladimirowa, było dobrze znanem w innych krajach Europy, dlatego też na początku feudalnego okresu wypędzono je z Włoch, Hiszpanii, Anglii, Francyi i Niemiec. Semiccy wygnańcy licznym tłumem napłynęli do Polski, wkrótce zaś w miastach polskich uczuli się jak u siebie, skupili w swym ręku cały przemysł i handel, tak, że polscy kupcy i rzemieślnicy albo zupełnie zaniechali swej pracy, albo też stali się zależnymi od Żydów. Kupiec dostawał swój towar od Żyda, rzemieślnik dla Żyda pracował. Sieć tych pająków społecznych rozpościerała się coraz dalej i objęła wkrótce pałace i wioski. W pałacach byli faktorami, dostarczającymi wszelkich przedmiotów zbytku i pożyczającymi pieniędzy, we wsi występowali jako arendarze, którzy w nieludzki nieraz sposób uciskali i wyzyskiwali wieśniaków. Nadto żydowstwo osiedliwszy się w mieście i zużytkowawszy na swoją korzyść dodatnie strony życia miejskiego, samo nie należało wcale do miasta, nie chciało nic wiedzieć o jego potrzebach, miało swe odrębne kółka społeczne, swój osobisty żydowski byt, swój wyłączny niezrozumiały dla chrześcijan język i swoją wyłączną instytucyę *kahał*, słowem stanowiło miasto w mieście. Nadto Żydzi wywierali na chrześcijan wpływ bardzo ujemny i demoralizujący, obniżali poziom moralności i osłabiali w chrześcijańskich mieszkańcach nienawistne sobie uczucie patryotyzmu.

„Tak przez żydowstwo upadło polskie miasto, tak runęło państwo polskie!" woła autor na zakończenie.

Jak widzimy, artykuł powyższy wskazuje jedną z ran społecznych byłej naszej rzeczypospolitej, ranę najniebezpieczniejszą, przez nią bowiem do społecznego organizmu wkradła się nieuleczalna gangrena. Czyż i dziś zresztą nie są oni w naszem społeczeństwie czynnikiem zubożenia pod względem materyalnym, pod moralnym zaś względem czynnikiem rozkładu [1].

Oprócz powyżej wymienionych artykułów, na zeszłoroczną zawartość *Slovenskich Pohľadów* składa się kilka poważnych rozpraw z dziedziny stylistyki i gramatyki słowackiej, napisanych przez redaktora

[1] Nam się zdaje, iż wniknąwszy w rzecz głębiej a bezstronnie, okazałoby się, że nie tak oni, jak raczej ich talmudystyczna cywilizacya jest tym rozkładowym czynnikiem. *(Przyp. Red.)*

p. Škultetego, kilka wcale ładnych utworów poetycznych już to najwybitniejszego współczesnego słowackiego poety Hviezdoslawa, już kilku innych, oraz kilkanaście powiastek i nowelek bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych. Z pierwszych największą wartość posiada powiastka nieznanego autora pod tytułem: *Obete márnomyseľnosti* (Ofiary lekkomyślności). Jestto jaskrawy obraz nieszczęśliwych małżeństw, zawieranych lekkomyślnie w skutek złego wychowania, lub uprzedzeń rodziców. Znajdujemy też mnóstwo utworów tłumaczonych z rosyjskiego, oraz przekład nowelki *Dedo Nestor* bułgarskiego poety i powieściopisarza Wazowa. Na niwie literatury polskiej *Slovenské Pohľady* nie uszczknęły ani jednego ździebelka, zdaje się nawet, że piśmiennictwo nasze zupełnie prawie Słowakom nie jest znane. Wina tego leży w połowie na nas samych, bośmy dotąd nie uczynili żadnego kroku w celu zaznajomienia się z tą młodszą od nas na drodze cywilizacyjnego rozwoju bracią. Że każda choćby najmniejsza z naszej strony oznaka, zainteresowania się literaturą Słowaków, mile jest przez nich widzianą, o tem świadczą między innemi słowa, jakie napisał do mnie p. Škultety, przesyłając mi redagowane przez siebie czasopismo: „Cieszę się niezmiernie, mówi, że nasza o p u s z c z o n a literatura znajduje sympatyę u pobratymczego polskiego narodu“. Powinniśmy zdaje się pierwsi zrobić wyłom w tym chińskim murze, jaki dzielił nas dotychczas od innych słowiańskich plemion i bądźmy pewni, że dzieje nasze i piśmiennictwo rychło przestaną wówczas być dla nich *terra incognita*.

Jak widzimy, wykształceńsze sfery słowackie, niezrażając się niepomyślnymi stosunkami, orzą gorliwie zagon ojczystej literatury i zapomocą oświecania swych rodaków pracują nad budową przyszłości, w której może i dla nich sprawdzą się słowa: *Fiat lux, justitia erit!*

Tytus Sopodźko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Stowarzyszenie chrześcijańskiej Francyi. — Subwencya na szkoły katolickie. — Ustawa obroczna w Niemczech. — Uchwała akademickiego stowarzyszenia „Wingolfbund". — Parlament wobec kongregacyj Maryańskich. — Internat św. Cyryla w Tarnopolu. — Zapowiedź kongresu socyalnego w Mechlinie. — List protestanta do Ojca św.

STOWARZYSZENIE CHRZEŚCIJAŃSKIEJ FRANCYI.

Jakkolwiek od pewnego czasu daje się spostrzegać w rządzie francuskim pewne zbliżenie się do Kościoła katolickiego, to jednak w obecnym składzie parlamentu słusznie obawiaćby się należało rychłej zmiany usposobienia. To też katolicy francuscy wcale nie łudzą się chwilą obecną i myślą o radykalniejszych środkach, aby zabezpieczyć swe prawa. Świeżo w tym celu zawiązano komitet pod nazwą: *Union de la France chrétienne*, złożony z 20 wybitnych osobistości świata katolickiego w Paryżu, który ma zorganizować także na prowincyi komitety osobne, pozostające jednak w łączności z centralnym paryskim. Mają one czuwać nad wyborami do parlamentu, aby takich ludność wybierała, po których możnaby się spodziewać, iż będą stawali w obronie potrzeb i praw Kościoła katolickiego. W dniu 19 czerwca odbyło się pierwsze posiedzenie centralnego komitetu w Paryżu pod przewodnictwem honorowem ks. kardynała arcybiskupa Richarda. W skład zarządu, jako prezydent,

został obrany p. Chesnelong, wice-prezydentem p. Keller, baron Mackau, hr. Albert de Mun i d'Herbelot. W odezwie, wydanej na temże posiedzeniu, między innemi czytamy i te słowa: „W imieniu zagrożonej wiary, w imieniu dobra ojczyzny, którą bezbożność doprowadziłaby do niewoli i upadku, gdyby program antychrześcijańskich i wolnomularskich sekt dłużej jeszcze był przeprowadzany w ustawach i administracyi kraju — zaklinamy wszystkich, żeby się połączyli w celu ponownego zdobycia wolności religii, nauczania i działalności miłosiernej". Jako jedyny środek do odzyskania tej wolności żywotnej wskazuje odezwa wybór do rady municypalnej i generalnej, do Izby deputowanych i senatu ludzi oddanych tak wielkim sprawom. W chwili, gdy religia i ojczyzna są zagrożone, wstrzymać się od działalności, byłoby tchórzostwem, głosować nieprzychylnie z obawy lub słabości, co gorsza, dla przychylności której ze sekt antychrześcijańskich byłoby zdradą...

Komitet ze szczególniejszym naciskiem zwraca się w tej odezwie do klas roboczych, aby szukały rozwiązania kwestyi socyalnej i ulgi w swych potrzebach i zadośćuczynienia swym prawom na tej drodze i według tych zasad, które Leon XIII. w swej encyklice ostatniej wskazuje. W obecnej chwili wiele już wybitnych osobistości stanęło po stronie komitetu, jak senatorowie: Lucyan Brun i Buffet, prezesowie Towarzystwa bibliograficznego i Związku młodzieży katolickiej, członkowie komitetu „Dzieła katolickich towarzystw robotniczych", co więcej, redaktorowie tak wpływowych dzienników, jak *Croix, Défense, Le Monde, L'Univers* i innych.

Myśl więc podjęta przez kardynała Lavigerie, widocznie wyszła już ze stadyum kiełkowania i można słusznie spodziewać się, że się niebawem urzeczywistni. Szkoda tylko, że stronnictwo monarchiczne nieprzychylną temu stowarzyszeniu zajmuje pozycyę. *Soleil,* organ hrabiego Paryża, omawiając tę sprawę, nazywa „księżą rzeczpospolitą" poprostu „śmieszną". Sądzi on, że Kościół powinien trzymać się zdala od wszystkich stronnictw (naturalnie z wyjątkiem monarchistycznego), a przedewszystkiem

nie tworzyć nowych. Całą winę powstania nowego projektu zwala *Soleil* na rząd.

Zresztą rząd dla rzeczonego projektu zdaje się okazywać sympatyę. *Soir* zapewnia nawet, że projekt ten znalazł gorące poparcie ze strony ministra spraw wewnętrznych, Constans'a, który w zasadzie zgodził się już nawet na pewną zmianę ustawy szkolnej w myśl życzeń sfer katolickich, i na zniesienie obowiązku służby wojskowej dla seminarzystów duchownych. Ile w tem prawdy, trudno narazie dociec. Z odnośnego artykułu półurzędowego *Temps*'a wnosićby można, że ten domysł *Soir*'a nie jest bezpodstawny. Pisze bowiem: „Przez lat 20 identyfikowali katolicy interesa swoje z interesami obalonej monarchii, i dziś zrywając ze straconą tą sprawą i odstępując od zupełnie bezowocnej a trudnej opozycyi, składają katolicy tylko dowód, że nie zatracili jeszcze zmysłu praktycznego... Gdy wszelkie nieporozumienia zostaną usunięte, gdy republikanie przestaną uważać Kościół za stałego sprzymierzeńca swych wrogów, wtedy — sądzimy — zdoła kler francuski odzyskać wszystko, jeżeli tylko ograniczy się na swej roli duchownej". Ustęp ten posiada cechę wyraźnej zachęty do przeprowadzenia powziętego zamiaru. To też prasa katolicka w imię tych zasad coraz to częściej występuje i dalej myśl tęż samą rozwija. „Narazie chodzi głównie o to — pisze *Républicain catholique* — abyśmy się odłączyli od wszystkich stronnictw, a z całą stanowczością oświadczyli za republiką. Sztandar demokracyi należy ozdobić katolicką kokardą. Oddzielenie religii od monarchii jest rzeczą dobrą i pożyteczną, ale jeszcze niewystarczającą. Koniecznie potrzeba przyjąć formę republikańską i zastosować się do rady Watykanu, który zna lepiej niż my, potrzeby Kościoła katolickiego we Francyi".

SUBWENCYA NA SZKOŁY KATOLICKIE.

Zresztą zwrot pewien w usposobieniu rządu francuskiego objawia się obecnie nietylko w półurzędowych dziennikach, ale faktycznie w posiedzeniach parlamentarnych i akcyi dyplomatycznej. Ostatnią razą zaznaczyliśmy, jakie stanowisko zajęli posłowie francuscy w Konstantynopolu z okazyi zatargu betleemskiego i w Pekinie wobec prześlado-

wania misyj katolickich. Dziś znowu wypada nam zanotować nowy pocieszający objaw w Izbie deputowanych. Gdy się odbywały obrady nad budżetem, minister Ribot zażądał podwyższenia subwencyi państwowej dla szkół katolickich w Syryi, Egipcie i Japonii z 520.000 na 700.000 fr. Wiadomo, że kierownikami tych szkół są prawie wyłącznie zakonnicy francuscy, po większej części Jezuici. Pomimo tego parlament zgodził się na propozycyę ministra. Z drugiej strony, gdy deputowany Pichon wniósł projekt zniesienia ambasady przy Watykanie, nawet nie uważano za stosowne poddawać tego wniosku pod głosowanie, lecz stanowczo odrzucono, przechodząc do porządku dziennego.

Wobec ponawiania się takich faktów sympatycznych dla katolików, widocznie jest jakiś zwrot ku lepszemu we Francyi.

USTAWA OBROCZNA W NIEMCZECH.

Podpisanie z końcem czerwca b. r. przez cesarza Wilhelma tak zwanej „ustawy obrocznej“, słusznie można uważać jako nowy objaw rządu usiłującego zakończyć nieszczęsną walkę kulturną. Wyznać jednak należy, że zwrot zagrabionych funduszów nie odpowiada w zupełności życzeniom centrum i biskupów, i kto wie, czy za życia Windthorsta zgodzonoby się na to, iż ostatecznie rząd sam rozporządza funduszami obrocznymi według własnego zapatrywania i wbrew woli prawnych właścicieli lub ich sukcesorów majątku kościelnego. W pierwszym artykule tejże ustawy czytamy, iż rząd zwraca:

archidyecezyi kolońskiej	3,267.619·75	m.
„ gnieźnieńsko-poznańskiej .	1,954.205·27	„
dyecezyi chełmińskiej	983.565·37	„
„ warmińskiej	1,037.239·34	„
„ wrocławskiej	1,482.839·98	„
„ hildesheimskiej	681.334·65	„
„ osnabryckiej	325.865·34	„
„ paderbornskiej.	1,182.364·57	„
„ monasterskiej	1,535.266·90	„
„ fuldajskiej	823.819·35	„
„ limburskiej	570.416·31	„

pruskiej części archidyecezyi pragskiej . . .	33.893·29	m.
„ „ „ ołomunieckiej .	6.856·11	„
„ „ „ fryburskiej . .	1.561·87	„

Z sum przytoczonych ma się udzielić tym instytucyom i osobom lub ich spadkobiercom w pojedyńczych dyecezyach, którym przez ustawę z 22 kwietnia 1875 r. zatrzymano przeznaczone dla nich dochody. Suma, pozostała po załatwieniu wszystkich pretensyj i po odciągnieniu kosztów postępowania, zostanie wypłaconą odnośnemu biskupstwu i zamienioną na fundusz dyecezyalny, z którego dochodu za wspólnem porozumieniem się ministra wyznań z biskupami, mają pobierać wsparcie emeryci duchowni, nadto mają być polepszone dochody kanoników, wikaryuszy kapitulnych i urzędników, ustanowionych w administracyi biskupiej, mają wreszcie pobierać z tego funduszu zapomogi ubogie gminy kościelne celem reparacyi budynków kościelnych.

Roztropny zarząd tymi funduszami niezawodnie przyczyni się do podniesienia wielu instytucyj katolickich i tych dzieł socyalnych lub miłosierdzia chrześcijańskiego, które często stoją lub powstają ofiarnością pojedyńczych osób.

UCHWAŁA AKADEMICKIEGO STOWARZYSZENIA «WINGOLFBUND».

W ostatnich kilku tygodniach prócz walnego katolickiego wiecu, jaki się odbył na Szlązku pruskim w Raciborzu, i przygotowań do walnego zebrania katolików całych Niemiec do Gdańska, nie zaszło nic znaczącego w życiu Kościoła w Niemczech. Trudno nam jednak pominąć milczeniem pocieszający objaw między młodzieżą, gdy się zebrała w Eisenach w dniu 28 maja b. r. Wiadomo, że w Niemczech i Prusach są najrozmaitszych odcieni stowarzyszenia młodzieży akademickiej, które od czasu do czasu odbywają walne zjazdy, często kończące się pijatyką lub walką na rapiery. Innego rodzaju był generalny zjazd akademików poważnego liczbą i statutami stowarzyszenia „Wingolfbund“ w Eisenach. Wśród uchwał, jakie na nim zapadły, czytamy i tę: „Wingolfbund oświadcza się, stosownie do głoszonej i praktykowanej od lat 50 zasady, w zgodności z dawniejszymi, w liczbie przeszło 3000

osób, członkami, oraz wielką częścią niemieckiego społeczeństwa, tak z ogólno-ludzkich, jakoteż przedewszystkiem z chrześcijańsko-etycznych przyczyn, przeciwko pojedynkowaniu się akademików i wzywa równomyślących do śmiałego występowania w tym duchu, tak w prywatnem jako i publicznem życiu".

Rozsądna ta uchwała, zgadzająca się zupełnie z zasadą, jakiej się w tej mierze trzymają katolicko-niemieckie stowarzyszenia akademickie, przywodzi nam na myśl ustęp z dziejów akademików Polaków w Wrocławiu. Gdy w r. 1837 Adam Karwowski objął przewodnictwo młodzieży polskiej, dowiedział się pewnego razu, że dwóch młodych Polaków wyzwało się na pojedynek. Natychmiast zwołał większą część młodzieży do najobszerniejszego mieszkania i tam podał myśl, aby, nim przyjdzie do rozprawy, wyzywający wybrał pięciu, wyzwany czterech kolegów, a ci znowu zpomiędzy siebie czterech, a jednego z ogółu, jako sąd honorowy. Ten miał sprawę sądzić i godzić przeciwników, a jeśliby mu się to nie udało, broń wybierać. Projekt ten przyjętym został, a każdy, coby się do niego nie stosował, miał być wykluczony z towarzystwa Polaków. Odtąd nie było słychać o pojedynkach pomiędzy młodzieżą polską, zwłaszcza, że sędziowie byli słowem uczciwości zobowiązani wszelkimi siłami starać się o pojednanie powaśnionych.

Wingolfbund i katolicko-niemieckie stowarzyszenia akademickie idą jeszcze dalej i całkiem pojedynek potępiają. Kiedyż my się doczekamy takich stowarzyszeń katolickich na większą skalę, na którychby mogły ze skutkiem podobne zapaść uchwały?

PARLAMENT WOBEC KONGREGACYJ MARYAŃSKICH.

Możeby i u nas niemniej piękne instytucye dały się przeprowadzić, gdyby nie ta ślepa zawziętość, z jaką pewne nasze pisma przeciwko każdemu zbożnemu dziełu powstają. Świeżo np. przeciwko kongregacyom Maryańskim, które przecie nie są nowością w Polsce, powstała taka wrzawa w liberalnych naszych dziennikach, iż echo jej odbiło się o ściany Izby poselskiej w Wiedniu.

W dniu 25 czerwca poseł, niejaki Pernerstorfer, w parlamencie austryackim stając w obronie młodzieży, którą władza

uniwersytecka ukarała za współudział w knowaniach socyalistycznych, nie mógł znaleść „słów na wyrażenie oburzenia i na„piętnowanie faktu, że pod płaszczykiem religii zorganizowano „w Galicyi tajne stowarzyszenia Maryańskie w celu rozpostarcia „systemu szpiegostwa między młodzieżą“. Zaprzeczył temu stanowczo poseł dr. Władysław Kraiński, a dr. Kathrein w dłuższem przemówieniu zbijał niecne insynuacye posła Pernerstorfera. W dniu 1 lipca raz jeszcze podniósł w tej sprawie głos poseł dr. Maurycy Straszewski, kompetentny pod tym względem sędzia, bo znający młodzież polską i stowarzyszenia jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, i powiedział: „Istnieją rzeczywiście kongregacye Maryańskie w Galicyi, jak istnieją w innych krajach katolickich, nie mogą jednak nazywać się tajnemi, skoro rodzice i profesorowie o nich bardzo dobrze wiedzą. Kongregacye te mają za zadanie — i to jest grzechem w oczach posła Pernerstorfera — szerzyć ducha religijnego między młodzieżą i nie dozwalać, aby religia w sercach młodzieży zamarła“. Zauważyć warto, że o samym z a r z u c i e posła Pernerstorfera dowiedzieliśmy się z dzienników polskich, o d p o w i e d z i zaś nań z ław prawicy i Koła polskiego trzeba było szukać niestety, dopiero w dziennikach katolickich niemieckich. Jeden tylko *Kurjer Polski* (nr. 174) we wstępnym artykule odważył się potępić zarzut posła P., skierowany przeciw kongregacyom Maryańskim. „Prasa liberalno-żydowska — pisze ten dziennik — „uzyskawszy gwarancyę, że szkole bezwyznaniowej nie zagraża „niebezpieczeństwo,... a ponieważ doświadczenie dowiodło, że „istniejące od kilku wieków religijne ‚Bractwo Maryi‘ należy „do najsilniejszych podpór Kościoła katolickiego, utwierdzając „uczącą się młodzież przez ćwiczenia duchowne i naukowe wy„kłady w wierze, uknuła haniebny spisek na wymienioną, z a„t w i e r d z o n ą p r z e z O j c a ś w. i n s t y t u c y ę k o ś c i e l n ą: „Ogłoszono w liberalno-żydowskich dziennikach, że zadaniem „Bractwa Maryi jest wychowanie szpiegów i donosicieli. Je„den z przywódców żydowsko-radykalnego stronnictwa, dep. Per„nerstorfer, korzystając z prawa nietykalności poselskiej, rzu„cił tę niegodną obelgę w oczy całemu katolickiemu społeczeń-

„stwu. Krakowska *Nowa Presse*, wydawana przez dra Lesława „Borońskiego, członka żydowskiego stowarzyszenia ‚Agudas „Achim' we Lwowie (zob. ‚Sprawozdanie wydziału' tej insty- „tucyi za rok 1890, tom I., str. 10, wiersz 31 od dołu), skwa- „pliwie powtórzyła za owym mowcą to twierdzenie". Dowodów na to, że statut Bractwa Maryi nakazuje członkom szpiegostwo, nikt nie przedstawił, nie wykazano nawet, że członkowie Bractwa na ochotnika zajmują się szpiegowaniem i denuncyowaniem kolegów. Oszczerstwa rzuca się na wiatr w nadziei, że dobroduszna publiczność nabierze przekonania, iż choć w części są uzasadnione. Kary nikt się nie obawia, bo wiadomo powszechnie, że pewne czynniki, które każdą, chociażby najwięcej uzasadnioną krytykę żydów, uznają za niebezpieczną i szkodliwą, zaczepki, wymierzone przeciw Kościołowi katolickiemu i jego instytucyom, przyjmują z dobrotliwem pobłażaniem, jako objaw przekonań „postępowych".

Cała ta sprawa kongregacyi Maryańskiej świadczy, że jakkolwiek są u nas ludzie światli i rozumni, którzy w potrzebie potrafią bronić spraw Kościoła, zwłaszcza w wychowaniu młodzieży, dużo jednak jest jeszcze ludzi o przestarzałych pojęciach antykatolickich, którzy się lubią ubierać w płaszczyk liberalizmu i postępu. A ponieważ przyczyny tego po większej części należy szukać w ujemnych stronach wychowania młodzieży, z tem większą więc radością witać należy każdy objaw postępu w tym względzie.

INTERNAT ŚW. CYRYLA W TARNOPOLU

Oto z początkiem zbliżającego się roku szkolnego staraniem konferencyi Tow. św. Wincentego à Paulo, otwartym zostanie internat św. Cyryla dla uczniów seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu. Ze statutów tegoż internatu dowiadujemy się, że jego „celem jest opieka domowa nad wychowaniem młodzieży katolickiej, bez różnicy obrządku, mającej się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu w szkołach ludowych".

Środkami do dopięcia zamierzonego celu są:

a) wspieranie pewnej liczby ubogich a obiecujących uczniów

seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu przez dawanie im wspólnego mieszkania i utrzymania;

b) zaprowadzenie dozoru, porządku i karności domowej w internacie według zasad religii katolickiej i pedagogiki;

c) wykształcenie charakteru i umysłu uczniów wedle wyżej postawionych zasad w tym kierunku, aby wzniosłe swoje powołanie poznać i obowiązkom jego podołać mogli;

d) utrzymanie o ile się da, ciągłych stosunków między komitetem opiekującym się internatem a elewami, którzy posady nauczycielskie w kraju otrzymali".

Z dalszych ustępów statutu widać, że zarząd internatu równie kładzie wagę na stronę religijno-moralną, jak na umysłową. To też przystępowanie do Sakramentów św. cztery razy do roku, słuchanie Mszy św. w dnie świąteczne i codzienna modlitwa, równie są obowiązującemi jak to, co się odnosi do porządku domowego, schludności i pilności w naukach. Mamy nadzieję, że internat ten nietylko odpowie szczytnemu swemu zadaniu wychowania po katolicku nauczycieli ludowych takich, jakich nasze społeczeństwo domaga się dla dziatwy wiejskiej, ale może obudzi żywsze zajęcie się nim całego naszego społeczeństwa i zachęci do zakładania podobnych internatów w innych miastach Galicyi.

ZAPOWIEDŹ KONGRESU SOCYALNEGO W MECHLINIE.

Podobnie jak w zeszłym roku w Liége zebrał się międzynarodowy kongres socyalno-katolicki, tak i w tym roku Belgia urządza w Mechlinie międzynarodowe zebranie w tymże samym celu, tylko może na większą skalę. Niestrudzony inicyator kongresu, ks. kardynał Goossens, już od kilku tygodni pracuje na czele komisyi przygotowawczej nad przedmiotem obrad, jakie mają się rozpocząć w dniu 8 września b. r. Dziś, kiedy się zapowiada wielki przewrot socyalny w społeczeństwie, gdy *novus ordo nascitur* — jak mówi kardynał Gibbons — kongres w Mechlinie ma wielkie zadanie przed sobą i jest niepospolitego znaczenia w życiu katolickiem. Znaczenie to tem jest większe, iż będzie to pierwszy katolicki kongres socyalny, który za gwiazdę przewodnią obiera sobie ostatnią ency-

klikę papieską *Rerum novarum* i pragnie wykazać, co Kościół już dzisiaj dla rozwiązania kwestyi socyalnej zrobił i co jest jeszcze do zrobienia tak ze strony kleru jak wiernych.

Program kongresu jest bardzo obszerny: obejmuje dzieła duchowne i miłosierne, socyalne i odnoszące się do szkolnictwa. Sprawy socyalne i robotnicze naturalnie będą na pierwszym planie i główny przedmiot będą stanowiły wspólnych obrad kongresu. Ci, którzy przedkładać będą referaty, w swych pracach, kierować się będą wskazówkami, jakie Stolica apostolska w tej mierze podała. Lecz i inne kwestye naukowe nie będą pominięte, na co kongres ustanawia osobne sekcye.

Że uchwały kongresu Mechlińskiego przychylnie zostaną przyjęte przez sfery katolickie, prawie nie powinno ulegać wątpliwości. Nadzieję jednak mieć można, że i akatolicy, mniej uprzedzeni im przyklasną z radością, skoro ostatnia encyklika tak przychylnie przez pewne sfery protestanckie przyjętą została, a kongres wziął sobie za zadanie ją rozwinąć i praktycznie zastosować.

LIST PROTESTANTA DO OJCA ŚW.

Ciekawym w tym rodzaju okazem jest następujący list protestanta z Ameryki skreślony do Ojca św. z okazyi ogłoszenia encykliki.

„Ojcze święty! Jakkolwiek nie wyznaję wiary katolickiej, mimo to ośmielam się w imieniu wielu osób tego kraju podziękować Waszej Świątobliwości za wzniosłe uczucie wyrażone w Encyklice, ogłoszonej niedawno u nas, i mam nadzieję, że członkowie duchowieństwa wytężą całą swą gorliwość, aby obwieścić ludowi wielkie fakta tak znakomicie wyrażone przez Waszą Świątobliwość. Jeśli bowiem kiedykolwiek było tego potrzeba, to mianowicie obecnie.

„Kiedy się widzi tyle projektów by zapobiedz złemu, przedkładanych przez osoby napozór uczone i religijne, które jednakże pogrążają się w ciemnościach błędu, zamiast pomagać swym bliźnim w odszukaniu światła i prawdy, wydaje się rzeczą słuszną, aby jakaś osobistość odznaczająca się powagą, wskazała prawdziwą drogę postępowania. W osobie Waszej Świątobliwości

uznają wszyscy tego uprawnionego przewodnika: nikt bowiem istotnie nie mógłby przemawiać z większą trafnością i jasnością, i Wasza Świątobliwość zasługuje na wdzięczność wszystkich uczciwych ludzi, jakiekolwiek jest ich wyznanie religijne. Gdyby Wasza Świątobliwość udzielił instrukcyi, jakąby uważał za stosowną, by tak wzniosłe uczucia głoszone przez Niego doszły do wiadomości wszystkich nawet ostatnich członków trzody Waszej Świątobliwości, wielkie dobro byłoby następstwem tego kroku. Oby Bóg zachował Waszą Świątobliwość jesze przez długie lata, aby lud miał przed oczyma wzór prawdziwego Pasterza. Życząc Waszej Świątobliwości błogosławieństwa Bożego, pozostaję Jego najniższym sługą. — *Karol L. Ward.* — Filadelfia d. 6 maja 1891".

Ks. Marcin Czerwiński.

Pokój św. Stanisława Kostki w Wiedniu.

— Byłeś pan w naszej kapliczce św. Stanisława? — zapytałem przed kilku miesiącami pewnego Polaka w Wiedniu, który długie, długie lata już tam przebywał i właśnie dopiero co żalił mi się, że poczciwa *Polonia* wiedeńska zbyt prędko o mowie i zwyczajach ojczystych zapomina, o narodowe pamiątki i tradycye się nie troszczy.

Mój interlokutor spojrzał mi w oczy ze zdziwieniem, w którem trudno było nie wyczytać, że zrozumieć nie może, o co właściwie mi chodzi.

— Chcesz ksiądz mówić zapewne — rzekł wreszcie — o polskim kościółku św. Ruprechta. Oczywiście że byłem, i nieraz, i dzieci tam prowadzę, aby choć czasem polskiego kazania posłuchały.

Nie pierwszy to i nie ostatni raz spotkałem się z tego rodzaju nieświadomością.

Kościółek św. Ruprechta znanym jest, choć wcale nie wszystkim, to przynajmniej znacznej części Polaków, osiadłych w habsburgskiej rezydencyi; ale wieluż z nich zna, wieluż było w kapliczce św. Stanisława Kostki? A przecież bez wątpienia jestto jedna z najpiękniejszych i najmilszych sercu naszemu pamiątek w Wiedniu.

Młodzieniaszka, w którym modlił się i pracował, do którego mu Aniołowie Chleb anielski cudownie przynieśli.

Nie bez wzruszenia też stanąłem wczesnym listopadowym rankiem w oktawie św. Stanisława, na wąskiej, prawdziwie średniowiecznej „Kurrentgasse“ i szukać zacząłem domu pod nr. 2, który przed trzema wiekami należał do lutra Kimberkera i na którego pierwszym piętrze mieszkał przed trzema wiekami nasz Święty ze swawolnym bratem Pawłem, z pobłażającym Pawłowi pedagogiem Bilińskim. Nie trudno było dom ten odnaleść: nie wiele on od trzech wieków zmienić się musiał; chociaż starymi otoczony budynkami, sam przecie wygląda najstarożytniej; grube misternie rzeźbione, na zewnątrz odstające kraty i ciężka, żelazna brama nadają mu pozór jakby jakiejś fortecy; zresztą kilka karet przed bramą czekających, i znikające za nią razporaz gromadki pobożnych z książkami do nabożeństwa, nie pozostawiają wątpliwości; — stoimy przed domem niegdyś Kimberkerowskim.

W przedsieni, w framugach, na wąskim korytarzyku rozłożone na sprzedaż niemieckie broszury, kazania o św. Stanisławie. Korytarzyk ten wiedzie niby do szczupłej zakrystyjki, w której kilku już księży czeka, rychło przyjdzie na nich kolej odprawiania Mszy św. Nie tak bo łatwo w oktawie uroczystości świętego Młodzieńca do ołtarza się tutaj dostać; długo już naprzód otrzymuje zarządca kapliczki, a zarazem proboszcz wspaniałego kościoła pod wezwaniem „Dziewięciu chórów anielskich“, liczne prośby o przypuszczenie do ołtarza, i niemało nakłopotać się musi, aby wszystkim choć w części zadośćuczynić.

Gdym do kapliczki wchodził, rozpoczynał właśnie Mszę św. kardynał Schoenborn, który podobno od wielu już lat poleca tutaj rokrocznie sprawy dyecezyi swojej świętemu naszemu Patronowi; mnie, jako Polakowi i jezuicie, wyznaczył proboszcz po nim bezpośrednio miejsce: po mnie stanął przed ołtarzem jeden z kanoników od św. Szczepana; a po nim długi jeszcze szereg głównie obcych kapłanów. Przez całą oktawę rozpoczynają się Msze św. o 5 zrana i ciągną nieprzerwanym szeregiem przynajmniej do 11, nieraz i do samego południa. Pomiędzy nazwiskami kapłanów, którzy odprawić mieli Mszę św. w dzień oktawy Świętego, dojrzałem też i nazwisko nuncyusza Galimbertiego.

Jak kapłani, tak ciągną też do kapliczki pobożni Wiedeńczycy, zwłaszcza pobożne Wiedenki; słuchają Mszy św. i ustępują natychmiast miejsca nowo przybyłym. Przez cały czas kapliczka jest pełna, choć naturalnie wielu pomieścić się w niej nie może, zaledwie 40—50 osób, głównie, o ile spostrzedz mogłem i proboszcz mię objaśnił, z niższych

stanów. Czy jest też między obecnymi choć jeden Polak? — nasunęło mi się tak naturalne Polakowi pytanie, boć na kilkadziesiąt tysięcy Polaków w Wiedniu mogłoby ich tu przecież choć paru się znaleść.

Ale czas już ze Mszą, czas Świętemu polecić i obecnych i nieobecnych i tę całą zwłaszcza polską kolonię w austryackiej stolicy i tę tak liczną tutaj polską młodzież, na niemniejsze dziś bodaj, niż on niegdyś, niebezpieczeństwa narażoną. Zakrystyan przygotowuje bogate, prawdziwie królewskie aparata, dla św. Stanisława dawnym już widać czasem przez pobożne ręce ofiarowane; na złotym kielichu wyryte postacie różnych świętych z zakonu Jezusowego, a między nimi na pierwszem miejscu św. Stanisław. Wszystko tu o świętym tym naszym Patronie mówi, wszystko ku niemu się zwraca. Na ścianach sklepionej, słabo przez gęsto zakratowane okna oświeconej kaplicy, wymalowane są różne sceny z życia Świętego. W ołtarzu nie piękny może, ale pobudzający do nabożeństwa, z różnych reprodukcyj dobrze u nas znany obraz św. Stanisława, przyjmującego cudownie, w tymże samym pokoju, w tymże samem miejscu Komunię św. z rąk niebieskich posłańców. Przy każdej Mszy przystępuje zazwyczaj kilku pobożnych do komunii św. Jakże pięknie byłoby, gdyby polskie matki w Wiedniu przyprowadzały tutaj swe dzieci, zwłaszcza przed pierwszą komunią!

Kto przez cały przeciąg oktawy św. Stanisława ma najwięcej do poniesienia trudów, ale kto też najochotniejszem sercem trudy te z miłości dla Świętego ponosi, to bezwątpienia zarządca kaplicy, poważny wiekiem i postacią, rodem zdaje mi się Wiedeńczyk, ksiądz Kurz. Aby podnieść cześć „naszego wiedeńskiego Świętego“ — jak zwykł się wyrażać — wydał on przed paru laty bardzo ładną, kilku wizerunkami ozdobioną książeczkę, z historycznym opisem domu i kapliczki św. Stanisława i krótkim jego życiorysem. Ale o cześć Świętego stara się on nietylko w samej kapliczce, ale niemniej i w swym kościele pod wezwaniem „Dziewięciu chórów Aniołów“, t. zw. kościele *am Hofe*, dokąd Stanisław, w czasie swego pobytu w Wiedniu, biegł jak mógł najczęściej, P. Jezusowi w Najśw. Sakramencie utajonemu się pokłonić. Nie wiem jak było dawniej; w każdym razie od lat kilku, dzień św. Stanisława obchodzonym jest w tym kościele z jaknajwiększą uroczystością. Ks. Kurz stara się o to, aby najznakomitsi wiedeńscy kaznodzieje sławili z kolei cnoty naszego Świętego i panegiryki te ogłasza następnie drukiem. Tego właśnie roku stanął jego staraniem w jednej z bocznych kaplic zupełnie niemal nowy ołtarz poświęcony św. Stanisławowi; sam obraz Świętego nie pochodzi, niestety, z najlepszej

szkoły, ale niedostatkowi temu nie trudno będzie zapewne z czasem zapobiedz. „Biskup Angerer i biskup Przemyski, opowiadał mi z serdecznem zadowoleniem ks. Kurz, mieli w tych dniach Msze św. przy tym właśnie ołtarzu. Tu także odprawiają się nabożeństwa maryańskiej kongregacyi i słusznie, bo przecież św. Stanisław jeden z najpierwszych maryańskich kongreganistów, z natury rzeczy musi się nimi opiekować!"

— Czy zostajesz ksiądz w naszem mieście? — zapytał mię ten wielki czciciel św. Stanisława, gdym się z nim żegnał i dziękował za okazaną łaskawość.

— Nie, za kilka miesięcy wracam do Polski.

— To powiedzże swoim rodakom, że my tu bardzo św. Stanisława kochamy i czcimy... Tak, tak, — dodał po chwili z uśmiechem — to nasz, wiedeński Święty!

Ks. J. B.

Statystyka konwersyj i apostazyj w Wiedniu.

Posługując się wydawaną od lat kilku przez magistrat wiedeński publikacyą: *Statistisches Jahrbuch der Stadt Wien*, która pod względem ogólnych liczb swych rubryk cofa się o kilka lat wstecz, doliczyliśmy się wszystkich zmian wyznania, które zaszły w Wiedniu w dziesięcioleciu, od początku 1880 do końca 1889 r., w sumie 6264. Zadajemy sobie pytanie: czy to wiele? Chcąc odpowiedzieć, trzeba zważyć, że żyjemy w czasach pod względem religijnym najzupełniej spokojnych. Na okres rzeczony przypada jedynie rządowe uznanie nowej schyzmy, czyli samozwańczego starokatolicyzmu, za publiczną społeczność wyznaniową. Ze stanowiska zasadniczego można i trzeba ubolewać nad tem, praktycznie atoli ta sankcya rządowa nowej sekcie ani nie zaszkodziła, ani też nie pomogła. Zresztą przekonamy się poniżej, że nowa schyzma — tak odtąd stale nazywać będziemy starokatolicyzm — niewiele waży w konwersyjnym i apostazyjnym ruchu międzywyznaniowym, jak wogóle znaczenie jej jest poprostu żadne. W tymże okresie rozwinął się wprawdzie antysemityzm; ten jednak ruch społeczno-polityczny tylko przez żydów i zżydowiałych chrześcijan pseudo-liberalnych okrzyczany jest jako ruch wyznaniowy. Na czasy więc spokojne liczba 6264 zmian wyznania wydaje się nam bardzo wielką. Pokaże się to przez porównanie.

Wiedeńska ludność cywilna — bo wojskowej pewnie tu w rachubę brać nie można — na początku 1880 r. wynosiła około 695.000

dusz, w końcu zaś 1889 r. około 798.000 dusz, a więc średnio w naszem dziesięcioleciu około 746.000 dusz. Średnica roczna z liczby 6264 wypadków zmiany wyznania jest 626, czyli po 84 na każdą setkę tysięcy mieszkańców w roku jednym, a 840 w latach dziesięciu. Otóż gdyby ludność ziem polskich zaboru austryackiego (Galicyi z Krakowem) była równie pohopna do zmiany wyznania, jak ludność wiedeńska, natenczas w Krakowie, którego ludność cywilna w tym samym czasie wynosiła średnio około 70.000 dusz, powinnoby było zdarzać się co rok, w przecięciu 58 wypadków, czyli 580 we wszystkich dziesięciu latach; we Lwowie, ze średnią ludnością cywilną 110.000 dusz, powinnoby było ich być 92 w roku, tj. 920 w dziesięciu latach; w całej zaś Galicyi (z Krakowem) ze średnią ludnością cywilną 6,200.000 dusz musielibyśmy mieć przeszło 5200 wypadków zmiany wyznania w roku, a więc przeszło 52.000 w całem dziesięcioleciu. U nas wypadki takie są o wiele głośniejsze, niż w Wiedniu; czytelnicy tedy sami dość łatwo osądzą, czy choć w bardzo dalekiem tylko przybliżeniu dochodzimy liczby, obrachowanej podług stosunku wiedeńskiego na Kraków, Lwów i na całą Galicyę. Od siebie śmiało wypowiadamy przekonanie, że nawet w całem państwie austryackiem nie zdarza się tyle zmian wyznania, co w samym Wiedniu.

Jest więc, w naszych oczach, stan rzeczy w Wiedniu bardzo anormalny, a potęguje się anormalność ta swoją dążnością progresyjną. Skłonność Wiedeńczyków do zmiany wyznania wzmaga się prawie regularnie od roku do roku; liczba wypadków takich nie pozostaje w równym stosunku z przyrostem ludności, lecz wychodzi znacznie ponad ten stosunek. Dość byłoby zaznaczyć, że w pierwszym roku dziesięciolecia naszego (1880) było 441 wypadków, w ostatnim zaś (1889) 735, tj. o 294 czyli o 66·7% więcej, podczas gdy ludność z 695.000 podniosła się na 798.000 dusz, tj. o 103.000 czyli tylko o 14·8%. Ale porównanie dwóch pojedyńczych lat, chociażby pierwszego z ostatnim, nie byłoby dość ścisłe; racyonalna metoda statystyczna wymaga porównań między dłuższymi a równymi okresami. Podzielmy tedy całe dziesięciolecie nasze na dwa pięciolecia, tj. na okresy, których właśnie trzymać się zwykła praktyka statystyczno-umiejętna. W pierwszem pięcioleciu (1880—84) średnia ludność wiedeńska wynosiła 720.000 dusz, średnia zaś liczba wypadków zmiany wyznania 565 (w całem pięcioleciu było ich 2823); w drugiem pięcioleciu przy średniej ludności 772.000 dusz, liczba zmian wyznania doszła 688 (w całem pięcioleciu było ich 3441). Podczas tedy, gdy średnia ludność drugiego pięciolecia urosła

ponad średnią pierwszego o 52.000 dusz czyli o 7·2%, przeciętna roczna liczba wypadków zmiany wyznania wzmogła się o 123 czyli o 21·8%.

Mówiąc o anormalności, używaliśmy wyrazu tego dotychczas w znaczeniu zupełnie objektywnem, bezbarwnem; używaliśmy go na oznaczenie czegoś, co nietylko przechodzi zwykłą miarę, lecz przedstawia się jako uderzający wyjątek. Czy wyjątek ten dobry czy zły, czy mianowicie z katolickiego punktu widzenia pocieszający czy zasmucający — o tem dotąd nie było wzmianki. Zaraz atoli przekonamy się, że ta anormalna skłonność Wiedeńczyków do zmiany wyznania jest równie politowania jak pożałowania godna. Politowanie Wiedniowi, pożałowanie nam katolikom! Co więcej, przekonamy się, że jest objawem nietylko z katolickiego stanowiska pożałowania godnym, lecz i z ogólnie społecznego poprostu niebezpiecznym.

Przedsięweźmy analizę owych 6264 wypadków. Zanim jednak to uczynimy, zaznaczmy liczby, wyrażające podział ludności wiedeńskiej wedle wyznań, na podstawie popisu ludności z końca 1880 r.[1]. Między ludnością Wiednia było wówczas:

rzymskich katolików	620.067
unitów (obu obrządków[2])	1.962
prawosławnych (obu obrządków)	1.691
neoschyzmatyków (starokatol.)	829
protestantów (augsb. i helw.)	26.508
anglikanów	368
menonitów	11
unitaryuszów	57
żydów	73.222
mahometan	17
innych	131
bezwyznaniowych	1.242
co razem czyni	726.105 dusz[3].

[1] *Oesterreichische Statistik,* urzędowa publikacya c. k. Centralnej Komisyi statystycznej, t. 1., zeszyt 2. Wiedeń 1882.

[2] To jest greckiego i ormiańskiego.

[3] Ogólną tę liczbę następnie sprostowano na 725.459, ale i ta obejmuje załogę wojskową, która, wedle *Oesterreichische Statistik,* wynosiła 20.703, wedle *Statistisches Jahrbuch der Stadt Wien,* 20.902 głów. — Nadmieniamy, że te wszystkie liczby odnoszą się do końca 1880 r., podczas gdy rzecz nasza obejmuje dziesięciolecie, zaczynające się z początkiem tegoż roku.

Ludność katolicka wszystkich trzech obrządków stanowiła więc sumę 622.029 dusz, czyli tak przeważną część całej ludności wiedeńskiej, że — jak na stolicę Habsburgów i państwa prawie całkiem katolickiego, a nawet już z uwagi na naturalne prawidło atrakcyi — możnaby się spodziewać, iż z owych 6264 wypadków zmiany wyznania, co najmniej 6200 wypadków oznacza przejście lub powrót na łono Kościoła katolickiego, a reszta, 64, wyjątkowym, poniekąd przypadkowym sposobem oznacza sumę kombinacyjną zmian, zaszłych między wszystkiemi innemi wyznaniami. W zdrowem społeczeństwie wypadałoby tak z natury rzeczy: nie potrzebaby nawet brać w zbyt wysokim stopniu w rachubę siły prawdy katolickiej, której pole tryumfów głównie jest tam, gdzie katolicyzm albo nie jest u siebie, albo jest w mniejszości, albo jest prześladowany. Niestety! — statystyka przeciwko tej zdrowotności społeczeństwa wiedeńskiego smutne daje świadectwo. Analiza owych 6264 zmian wyznania przedstawia się jak następuje:

	Ubyło	Przybyło	Zysk (+) lub strata (−).
Kościołowi katol.	3283	1512	−1771
Cerkwi prawosławnej	35	96	+ 61
Nowej schyzmie	137	192	+ 55
Protestantyzmowi	582	1727	+1145
Żydom.	2211	509	−1702
Anglikanom.	12	6	− 6
Unitaryuszom	3	11	+ 8
Herrnhutom.	—	1	+ 1
Anabaptystom	—	8	+ 8
Buddystom	1	—	− 1
Bezwyznaniowcom	—	1970	+1970
Freie Kirche.	—	7	+ 7
Niezdeklarowanym [1].	—	225	+ 225

Zaprawdę, zdaje się, że liczby statystyczne nigdy nie były tak wymownemi, jak w powyższej tabelce. Zaraz pierwsza z nich, największa: Kościół katolicki ma 3283 apostatów! — więcej niż połowę wszystkich, którzy odstąpili od swego wyznania. Wzamian za nich bierze 1512 konwertytów, tj. niespełna połowę liczby swych apostatów. Innemi słowy: Kościół katolicki ma więcej niż dwa razy tyle apostatów, co konwertytów; a do tego przybywa jeszcze bardzo ważne pytanie: czy

[1] Którzy, wypisując się przed magistratem z pewnego wyznania, nie oświadczyli, na które przechodzą.

ci konwertyci są wszyscy cennym dla Kościoła nabytkiem? czy nie są to raczej może Halbanowie z „Konrada Wallenroda"? Jak ten najbliżej nas obchodzący szczegół, tak i wszystko inne w tej tabelce świadczy o rozluźnieniu religijnem. Świadectwem takiem jest stosunkowo olbrzymia liczba prozelitów protestantyzmu, tego wyznania najmniej rygorystycznego, najmniej nakładającego obowiązków religijnych, a wręcz przeciwnie niż Kościół katolicki, ma protestantyzm prozelitów trzy razy tyle, co odstępców. Najjaskrawiej atoli o rozluźnieniu religijnem świadczy niesłychanie wielka liczba tych, co upodobali sobie w kloace bezwyznaniowości. W czasie spisu ludności, dnia 31 grudnia 1880 r., znajdowało się w niej, jak powyżej wspomnieliśmy, 1242 osób, między niemi 193 osób, które dopiero w ciągu tegoż roku przeszły na bezwyznaniowość, tak że na początku roku 1880, tj. na początku okresu, który jest przedmiotem studyum naszego, było w Wiedniu co najwięcej 1100 bezwyznaniowców [1]. Z tej liczby ani jedna osoba w ciągu całego dziesięciolecia nie porzuciła bezwyznaniowości, chyba może na łożu śmiertelnem, co się usuwa zpod kontroli statystycznej; a natomiast przybyło w okresie tym 1970 nowych bezwyznaniowców, tj. 179% liczby pierwotnej! Jeżeliby wolno było zaliczyć także między bezwyznaniowców te 225 osób, które wypisały się ze swojego wyznania, nie oświadczając, dokąd przechodzą, w takim razie liczba nowych adeptów nowożytnego pogaństwa wynosiłaby 2195, czyli całe 200% liczby pierwotnej! Mniemamy zaś, że rzeczywiście można sprowadzić bezwyznaniowców i niezdeklarowanych do jednego mianownika — masonii [2].

Najwięcej może jednak uderzającym w tabelce powyższej jest

---

[1] Po strąceniu 193 z 1242 pozostawałoby tylko 1049; ale trzeba uwzględnić, że w ciągu roku kilkunastu lub kilkudziesięciu umarło. Dlatego przyjmujemy bezwyznaniowców z początkiem 1880 r. w okrągłej liczbie 1100. (1100 z przyrostem 193 w ciągu roku, czyniłoby w jego końcu 1293; a ponieważ naliczono 1242, więc przypuszczalnie umarło 51).

[2] Pewnie to nie przypadkowe zdarzenie, że od r. 1887 liczba nowych bezwyznaniowców nagle spada, a niezdeklarowanych nagle rośnie. Oto liczby szczegółowe:

W roku	przybyło bezwyzn.	przybyło niezdekl.	w roku	przybyło bezwyzn.	przybyło niezdekl.
1880	193	4	1885	214	9
1881	208	2	1886	201	20
1882	218	6	1887	146	77
1883	290	2	1888	130	71
1884	239	—	1889	131	34

fakt, że i judaizm ma prozelitów, i to liczbę wcale okazałą — 509 — jakiej z pewnością nie spodziewałby się nikt na świecie.

O drobnych sektach mówić nie potrzeba, choć i to jest objawem charakterystycznym, że mają zyski; nadmienimy tylko, że jakaś *Freie Kirche* z siedmioma adeptami błąkała się po Wiedniu w latach 1880—82, odtąd zaś ani w statystyce ani nigdzie już śladu jej nie znajdujemy.

Niewątpliwie każdego mocno zainteresuje pytanie: co się stało z 3283 apostatami katolicyzmu i zkąd wziął Kościół katolicki swoich 1512 konwertytów? Całkiem dokładnie na pytanie to odpowiedzieć nie możemy, albowiem potrzebny do tego szczegółowy materyał statystyczny posiadamy tylko z lat 1884—89, braknie nam więc materyału z czterech pierwszych lat dziesięciolecia. Ale na podstawie ścisłych dat z rzeczonych lat sześciu i przy należytem, wszechstronnem uwzględnieniu liczb, z których składają się sumy wymienione w tabelce, możemy przynajmniej w przybliżeniu doliczyć się gromad, które w całym okresie naszym poszły tem lub owem bezdrożem i które z tej czy z owej strony wstąpiły w progi Kościoła bożego (oczywiście *salvo errore, sed et salva bona fide*). Zresztą, aby dać czytelnikowi niejaką możność kontroli, podamy ścisłe liczby z lat 1884—89 w nawiasie.

Otóż z owych 3283 (1982) apostatów, przeszło: na prawosławie około 90 (67), na nową schyzmę około 180 (121), na protestantyzm około 1400 (850), na judaizm około 440 (261), na bezwyznaniowość około 1000 (583), do niezdeklarowanych około 100 (86); reszta w liczbie 73 po części przeszła do sekt pomniejszych, po części poświęcona jest przez nas na rzecz zaokrąglenia liczb co dopiero przytoczonych.

Natomiast na sumę 1512 (1127) konwertytów, składa się: około 15 (11) osób z prawosławia, około 90 (65) z nowej schyzmy, około 300 (214) z protestantyzmu, około 1100 (830) z judaizmu; reszta w liczbie 22 po części z sekt pomniejszych, po części z zaokrąglenia.

Tu miejsce pomówić o wartości nabytku, jaki Kościół katolicki ma z konwertytów wiedeńskich. Przeważna ich część pochodzi z judaizmu, żydzi zaś, przynajmniej wiedeńscy — *exceptis excipiendis*, z wyjątkiem rzadkich charakterów szlachetnych, które to wyjątki właśnie potwierdzają regułę — przechodzą na chrześcijaństwo, mianowicie zaś na katolicyzm, z jakichbądź innych względów, tylko nie z przekonania, „nie ze względów dogmatycznych“ — jak wyznał jeden z wybitniejszych neofitów, po którym właśnie czego innego można się było spodziewać. W ten sposób nabytek ten — powtarzamy, z rzadkimi wyjątkami — traci wszelką wartość, a skutkiem tego strata 3283 apostatów katolicyzmu

bynajmniej nie wetuje się w takiej części, jaką wykazuje tabelka (1512 konwertytów), lecz w części bez porównania mniejszej. Na tem jednak nie koniec; owszem, wprost niebezpieczna jest ta wielka liczba konwertytów z judaizmu. Przechodząc na katolicyzm nie z przekonania, wnosząc do społeczeństwa katolickiego bezpośrednio cały swój indyferentyzm religijny i ten rodzaj moralności, który z religijnego indyferentyzmu wypływa, a który żydom w wyższym o wiele stopniu bywa właściwy niż innym indyferentystom — stają się ci neofici w katolicyzmie i wogóle w chrześcijaństwie czynnikiem rozkładowym, a to w mierze jeszcze większej, niż nim są żydzi niechrzczeni w społeczeństwie wogóle. W pszenicy katolickiej dość zaprawdę jest pośladu, plewy i kąkolu; ci zaś neofici są nie już pośladem, plewą lub kąkolem: są to wołki w zbożu — *Apage!*

Przypatrzmy się także podziałowi odstępców i prozelitów judaizmu. Na rzecz katolicyzmu stracił judaizm w dziesięcioleciu naszem wymienioną już liczbę około 1100 osób, na rzecz protestantyzmu około 320 (260 w latach 1884—89), na rzecz niezdeklarowanych około 100 (85), na rzecz bezwyznaniowców około 670 (401); resztę w liczbie 21 na rzecz prawosławia i sekt pomniejszych; natomiast przejął prozelitów wymienioną już liczbę około 440 z katolicyzmu, około 60 (42 w latach 1884—89) z protestantyzmu i około 9 (4) z prawosławia i sekt pomniejszych.

Powiedzieliśmy już, że najwięcej może uderzającym jest faktem prozelityzm żydowski; i z pewnością, jak nikt nie zaprzeczy, że cały ten konwersyjny i apostazyjny ruch międzywyznaniowy jest nawskróś niezdrowy i nienaturalny, tak każdy przyzna, że te 509 wypadków prozelityzmu żydowskiego z chrześcijaństwa, a szczególnie 440 z katolicyzmu, stanowi coś potwornego. W tym fakcie rozkładowy wpływ judaizmu najjaskrawiej się objawia. Musi ten grunt wiedeński moralnie być bardzo wstrząśnięty, musi być wewnętrznie bardzo nadpsuty, skoro na powierzchnię jego tak jadowite występują grzyby. Tem większa odpowiedzialność ciąży na tych, którzy choćby bez rozmysłu, bez wiedzy i woli, rozkładowej działalności judaizmu dopomagają. Śliski to temat... Dla zapobieżenia mylnym domysłom nadmieniamy, że mamy tu na uwadze niewłaściwe postępowanie rządów austryackich, dawniejszego i teraźniejszego — postępowanie wręcz sprzeczne z tradycyami historycznemi w sprawach, których cała istota polega właśnie tylko na chrześcijańskiej tradycyi historycznej. *Sapienti sat!*... a kto nas zrozumiał, temu dopowiemy, że w oczach ludności wiedeńskiej, u której każdy stróż

kamieniczny jest już *Herr von*, wszelkie formalne wywyższenie i odszczególnienie, zwłaszcza przy powodzeniu także materyalnem, ma bardzo wielkie znaczenie. W ten sposób znika zwolna owo poczucie odgrodzenia społecznego, które, choć dziś przesądem i uprzedzeniem bywa nazywane, nie jest niem, choćby już dlatego, że od wieków, a nawet od tysięcy lat, tkwi ono o wiele głębiej jeszcze w naturze społeczeństwa żydowskiego, niż w naturze tych społeczeństw chrześcijańskich i przedchrześcijańskich, z któremi żydzi wchodzili i wchodzą w styczność.

W analizie sumy 6264 wypadków zmiany wyznania, zasługuje jeszcze na całą uwagę fakt, że w ogólności kobiety wiedeńskie skłonniejsze są do porzucenia swego wyznania, niż mężczyźni. Suma ta, podzielona wedle płci, wykazuje 2925 mężczyzn, a 3339 kobiet. Co się tyczy szczegółowo katolicyzmu, stosunek jest jeszcze gorszy dla kobiet; mianowicie liczba 3283 apostatów składa się z 1302 osób płci męskiej. a 1981 płci żeńskiej. Z protestantyzmu wystąpiło 242 mężczyzn, 340 kobiet. Wyjątek zpod tej reguły stanowi — judaizm! Na 1276 mężczyzn było kobiet tylko 935. Tak więc katoliczki są bardzo zawstydzone przez żydówki.

W odwrotnym kierunku, tj. pod względem przyjęcia nowego wyznania, rzecz ma się nieco inaczej. W liczbie osób przechodzących do Kościoła katolickiego, płcie prawie się równoważą: mężczyzn 744, kobiet 768, tak, że po strąceniu liczby konwertytów z liczby apostatów, czysta strata Kościoła katolickiego w kobietach (1213) jest o wiele większą od straty w mężczyznach (558). W liczbie prozelitów protestantyzmu znadujemy 667 mężczyzn, 1060 kobiet (czysty zysk w mężczyznach 425, w kobietach 720). W prozelityzmie żydowskim także przeważa płeć żeńska: mężczyzn 175, kobiet 334 (czysta strata judaizmu w mężczyznach 1101, w kobietach 601). Natomiast w bezwyznaniowości i między niezdeklarowanymi liczby mężczyzn są nieco większe od liczb kobiet, mianowicie: bezwyznaniowości przybyło 1063 mężczyzn, 907 kobiet; niezdeklarowanych mamy 124 mężczyzn, 101 kobietę.

Wszystko zdaje się składać na to, że w chrześcijaństwie, a szczególnie w katolicyzmie, żywiołem destrukcyjnym są przeważnie kobiety, w judaizmie przeważnie mężczyźni, w chrześcijaństwie przeważnie pierwiastek bierny, w żydowstwie przeważnie czynny, co czyni rzecz tem niebezpieczniejszą.

Nie potrzeba dowodzić, bo nie ulega żadnej zgoła wątpliwości, że bezpośrednią sposobnością do zmiany wyznania po największej części jest małżeństwo, a to nietyle po ślubie, ile raczej przed ślubem.

Zpomiędzy wszystkich 6264 wypadków przypada około 1070 zmian wyznania, dokonanych w stanie małżeńskim, około 4700 w stanie wolnym, około 320 w stanie owdowienia, około 170 w stanie rozwodu [1]. Jakkolwiek i bez sposobności małżeństwa tu i ówdzie zdarzać się może zmiana wyznania i jakkolwiek szczególnie z 4700 wypadków zaszłych w stanie wolnym, strącić wypadnie pewną liczbę niedorosłych dzieci tych rodziców, którzy w stanie małżeńskim zrównali się w wyznaniu — widać jednak z liczb powyższych, że przeciąganie jednej osoby przez drugą na swoje wyznanie dzieje się po większej części przed ślubem, a po ślubie już stosunkowo rzadko się zdarza.

Mimo więc bardzo licznych wypadków przedślubnego i poślubnego zrównania się w wyznaniu, małżeństwa mieszane, pozostające bez zrównania, nie są bynajmniej rzadkością.

Małżeństwa mieszane, które w dziesięcioleciu naszem zawarto w Wiedniu, dzielimy na dwie kategorye. Pierwsza obejmuje małżeństwa mieszane między chrześcijanami, a więc takie, w których i jedna i druga strona pozostała przed ślubem przy swojem wyznaniu, rzeczywiście bez zmiany: takich małżeństw zawarto 3535. Druga kategorya jest dziwaczna; obejmuje ona małżeństwa mieszane między stronami żydowskiemi a bezwyznaniowemi. Liczba bezwyznaniowców w Wiedniu dopiero w ciągu dziesięciolecia naszego znaczniej się wzmogła, a to po części właśnie przez małżeństwa, tak że gotowego materyału bezwyznaniowego do zawierania małżeństw było na początku i w ciągu dziesięciolecia stosunkowo jeszcze niewiele. Trzeba koniecznie przypuścić, że większa część osób bezwyznaniowych, wchodzących w związki małżeńskie z żydami lub żydówkami, rzeczywiście przed ślubem zmieniła swoje wyznanie, a raczej porzuciła wszelką wyznaniowość, sromając się przejść na judaizm. Dziwaczność tedy tych małżeństw na tem polega, że chociaż wyprzedziła je zmiana wyznania *ad hoc*, są jednak mieszanemi. Takich małżeństw było 414. Musimy zaznaczyć tu fakt wielce charakterystyczny, że nie było ani jednego małżeństwa, w któremby strona chrześcijańska łączyła się z żydowską, pozostając przy swojem wyznaniu chrześcijańskiem, lub naodwrót: ani jedna osoba wyznania żydowskiego nie pojęła osoby chrześcijańskiej, pozostając w żydowstwie. Ten absolutny brak małżeństw żydowsko-chrześcijańskich lub chrześcijańsko-żydowskich dowodzi, jak głęboko podziśdzień jeszcze, nawet w Wiedniu, zakorzenione jest obopólne poczucie odgro-

[1] Pod tym względem mamy daty ścisłe, znów tylko z lat 1884—89.

dzenia między społeczeństwem chrześcijańskiem a żydowskiem. W związku małżeńskim albo osoba chrześcijańska chrześcijańską, albo żydowska żydowską pozostać nie może; musi nakłonić się jedna do wyznania drugiej, albo też wstąpić przynajmniej na pomost bezwyznaniowości. Często na ten pomost obie wstępują, i z takich to faktycznie chrześcijańko-żydowskich małżeństw składa się niewątpliwie w większej części liczba 228 stadeł bezwyznaniowych, które, jako formalnie zrównane, nie są zaliczane do małżeństw mieszanych.

W tamtych dwu kategoryach mamy przeto razem 3949 małżeństw mieszanych. Z tej liczby strącić wypada wymienioną powyżej liczbę około 1070 stadeł, które po ślubie zrównały się w wyznaniu, a otrzymamy sumę około 2880 małżeństw niezrównanych, pozostających mieszanemi.

Na małżeństwach mieszanych wychodzi Kościół katolicki w Wiedniu może gorzej jeszcze, niż na zrównanych przed ślubem. Ile jest osób pierwotnie katolickich między tymi 414 bezwyznaniowcami płci obojga, którzy weszli w związki małżeńskie z żydami, dojść nie możemy. Ta kategorya małżeństw mieszanych da się rozłożyć tylko jak następuje: w 223 małżeństwach mężczyzna był żyd, kobieta bezwyznaniowa, w 191 zaś mężczyzna bezwyznaniowiec, kobieta żydówka. Natomiast kategorya małżeństw mieszanych między chrześcijanami da się rozłożyć całkiem dokładnie. W sumie ich 3535 było tylko 68 związków między niekatolikami, a ogromna większość: 3467 takich stadeł, w których jedna strona była katolicką; mianowicie: między 1259 katolikami 39 ożeniło się z prawosławnemi, 1 z neoschyzmatyczką, a 1219 z protestantkami; na 2208 zaś katoliczek 119 wyszło za prawosławnych, 4 za neoschyzmatyków, 2078 za protestantów, a 7 za anglikanów.

Jak zaś rozkłada się owa liczba około 1070 osób, które w stanie małżeńskim zmieniły wyznanie? Pod tym względem podaje *Statistisches Jahrbuch der Stadt Wien* daty dopiero od roku 1887; mamy je więc tylko z lat trzech, ale używamy ich do sporządzenia obrachunku przybliżonego na całe lat dziesięć, a to znów na zasadzie proporcyi i uwzględnienia wszelkich okoliczności, i dochodzimy do rezultatu następującego (liczby w nawiasie oznaczają ścisłe sumy z ostatnich trzechlat): na katolicyzm przeszło w stanie małżeńskim około 330 osób (98), na prawosławie 40 (12), na nową schyzmę 60 (17), na protestantyzm 350 (103) — co oznacza wymianę między wyznaniami chrześcijańskiemi w sumie 780 (230) — a dalej na judaizm około 60 (17), na bezwyznaniowość 180 (52), i do niezdeklarowanych 50 (30), a więc poza chrze-

ścijańskiemi małżeństwami wymiana czyni razem 290 (99). Sumę dziesięcioletnią niezdeklarowanych musieliśmy przyjąć niską dlatego, że, jak nadmieniliśmy powyżej w przypisku, niezdeklarowani właśnie dopiero w ostatnich trzech latach dziesięciolecia naszego liczniej pojawiać się zaczęli.

Przy ogólnej tedy sumie 3535 chrześcijańskich małżeństw mieszanych, w których, z wyjątkiem tylko 68, jedna strona jest katolicka, katolicyzm ma tylko około 330 konwertytów, inne wyznania chrześcijańskie natomiast mają około 450 prozelitów. Z którejkolwiek więc strony tkniemy się ruchu międzywyznaniowego, zawsze uderzy nas stratność Kościoła katolickiego; a wypadałoby jeszcze dodać liczebne i moralne straty w dzieciach, pochodzących nietylko z apostatów obojga płci, lecz i z małżeństw pozostających mieszanemi.

Niepospolicie wielką i charakterystyczną jest liczba 290 poślubnych zmian wyznania w małżeństwach pozachrześcijańskich. Na gruncie wiedeńskim ostatecznie nic już nie może być niespodzianką; to też nie przeczymy, że i w małżeństwach chrześcijańskich, równych czy mieszanych, mogą zdarzać się jeszcze po ślubie potworności takie, jak przejście na judaizm, na bezwyznaniowość lub do niezdeklarowanych; ale przypuszczamy, że w większej części wypadki te należą do kategoryi owych 414 małżeństw, w których jedna strona dla zbliżenia się do żydowskiej strony drugiej, już przed ślubem przeszła na bezwyznaniowość. Przeciw słuszności takiego przypuszczenia nic pewnie nadmienić się nie da; mamy tu więc objaw wielkiej niestateczności wyznaniowej w tejże kategoryi małżeństw. A jednak jest coś, co przeciw przypuszczeniu temu przemawia; tem jest przechodzenie na judaizm. W małżeństwach tych strona żydowska mogła po ślubie przejść na bezwyznaniowość lub do niezdeklarowanych; temu nie sprzeciwia się nasza statystyka; ale na judaizm mogłaby była przejść tylko strona bezwyznaniowa, a temu sprzeciwia się statystyka, nie zaznaczająca ani jednego wypadku wystąpienia z bezwyznaniowości. Właściwie przeto stajemy tu wobec wstrętnej zagadki, odnoszącej się znowu do — judaizmu!

Zrekapitulujmy wyniki niniejszego studyum: liczne apostazye z katolicyzmu: niepomiernie mała liczba, a jeszcze mniejsza wartość konwertytów; skłonność do rozluźnienia zasad wyznaniowych wogóle, któremu za narzędzie bierne służą głównie kobiety, gdy tymczasem głównie żydzi występują jako narzędzie czynne: deprawacya małżeństwa jako środka prozelityzmu; we wszystkiem zaś pewna, po części zagadkowa wyjątkowość judaizmu.

Cóż tak przysposobiło grunt wiedeński? Grunt wielkomiejski co prawda nigdzie nie sprzyja religijności i moralności, Wiedeń atoli nigdy nie był i nawet podziśdzień jeszcze nie posiada charakteru wielkomiejskiego w zwykłem tego wyrazu znaczeniu, jak np. Berlin, Paryż, Londyn; pod tym względem nie może równać się nawet z Wrocławiem, Hamburgiem, Marsylią, Lugdunem, Brukselą, lub choćby tylko z Tryestem. Sami Wiedeńczycy wielkomiejskiego usposobienia nazywają swoje miasto *Gross-Krähwinkel*, wielkim Ryczywołem nad Dunajem. Wiedeń przeto sam jako wielkie miasto nie wydał z siebie tego, co w nim widzimy. — Ale wróćmy do pierwszych ustępów niniejszego studyum, gdzie stwierdziliśmy, że w ruchu międzywyznaniowym objawia się postęp progresyjny z biegiem czasu, a więc degresya, i to wcale znaczna. Jestto wyraźna wskazówka, że mamy tu sprawę z owocem rozwielmożnionego od roku 1867 „liberalizmu"; szczególnie w nagłym wzroście bezwyznaniowców i w powstaniu kategoryi niezdeklarowanych mamy namacalny dowód dojrzałego już i coraz rozleglejszego wpływu szkoły bezwyznaniowej, zaprowadzonej w r. 1869 — szkoły, w której nauczyciel-żyd prowadzi dzieci katolickie do pierwszej komunii św.! Dodajmy, że dopiero w ostatniem dziesięcioleciu bujnie zakwitła w Wiedniu masonia; nowa szkoła bez wątpienia bardzo jej dopomogła.

W studyum powyższem poruszyliśmy nieco niwę nietkniętą jeszcze lemieszem badania umiejętnego. Wypadło nam w niem pokonać niejednę trudność, zwłaszcza gdy sama statystyka, na której je oparliśmy, nie jest jeszcze ujęta ani w stałe, ani w dość racyonalne formy, mimo całej swej ścisłości. Prosimy tedy o pobłażliwość dla niedołężnej może formy tej rozprawki i niejakiej, z pewnością niewielkiej, niedokładności liczb polegających na obrachunku przybliżonym.

Wiedeń, w kwietniu r. 1891.

Józef Glinkiewicz.

Bractwo Najświętszej Panny, Królowej Korony Polskiej.

Dnia 1 kwietnia 1656 roku król Jan Kazimierz nawałą nieprzyjaciół zagrożony, uciekł się pod opiekę Najświętszej Panny i w archikatedralnym kościele lwowskim, ogłosił ją uroczyście Patronką i Królową polskiej korony, błagając o pomoc i ratunek przeciwko Szwedom.

Kiedy przed kilku laty czytaliśmy opis tej pięknej uroczystości

w „Potopie“ Sienkiewicza, żal jakiś tęskny przejmował serce, bo czuło się, że te wieki pełne tak prostej i szczerej wiary już minęły: a z drugiej strony bolesna jakaś skarga cisnęła się do duszy, skarga albo raczej pytanie: czem się to stało, że ta Królowa niebieska, której zaufali ojcowie nasi, ocaliwszy przed Szwedami swoje królestwo, nie obroniła go w sto kilkadziesiąt lat później, kiedy groźniejsza od szwedzkiej nawała, burzyła byt jego polityczny?

O odpowiedź łatwiej może, niźli się zdaje.

Uroczysty akt oddania się w opiekę Bogarodzicy zawierał też śluby publiczne, którymi król i stany Rzpltej związały się dobrowolnie: obowiązku tego naród nie wypełnił; długu nie spłacił dotychczas. A zobowiązał się król z narodem szerzyć cześć Bogarodzicy przez wszystkie krainy Królestwa polskiego; na pamiątkę szczególnej Jej opieki nad polskim narodem, osobne święto obchodzić i wreszcie starać się usilnie, aby „utrapione pospólstwo oraczów“ wolne było od wszelakiego ucisku i krzywdy.

We Lwowie już od lat dwóch, ludzie dobrej woli zrozumieli myśl tę pobożną, podjęli ją i związali się w tym celu w osobne bractwo; świeżo zaś teraz u nas w Krakowie podobne powstało stowarzyszenie, potwierdzone przez władze duchowne i świeckie, mające za cel wypełnienie pobożnych ślubów ostatniego z Wazów; przybrało ono nazwę Bractwa Królowej Korony Polskiej, a zorganizowało się w dzień 3 maja, aby pamiątkę ogłoszenia konstytucyi, trwałem i pożytecznem dziełem uwiecznić [1]. „Bractwo obowiązuje się szerzyć i utrzymywać w narodzie nabożeństwo do Najśw. Panny; starać się o podźwignięcie moralne i o poprawę doli klas ubogich i pracujących; dążyć do podniesienia ducha religijnego wśród narodu, zachęcając słowem i przykładem do poprawienia tych zwłaszcza wad, które się przyczyniły do naszego upadku; zmierza nakoniec do utrzymania sprawiedliwości względem wszystkich, jedności i zgody w całem społeczeństwie polskiem“ [2].

Myśli tej i bractwu temu z całej duszy przyklasnąć musi każdy szczery Polak i katolik. Statut bractwa podpisało 40 członków-założycieli — wszystkie nazwiska zacne i poczciwe, z niejednego już do-

[1] W dzień zawiązania Bractwa odprawiło się w kościele św. Anny uroczyste nabożeństwo, w czasie którego ks. kanonik dr. Pelczar piękne powiedział kazanie o Królowej Polskiej Korony. Kazanie to ogłoszono drukiem.

[2] Wyjęte ze statutu Bractwa.

brego dzieła znane naszemu społeczeństwu, a wśród nich wiele znanych całej Polsce, świetnych imion rodowych, albo chlubę przynoszących nauce i sztuce ojczystej.

Żalił się niedawno temu dowcipny fejletonista, że podczas kiedy Bircza, Mielec, Grzymałów i Kolbuszowa zdobyły się na jakieś trwałe i pożyteczne pamiątki po tegorocznych obchodach 3 maja, Kraków sam jeden wtyle pozostał i oprócz mówek, które przebrzmiały i wielce „powściągliwej“ iluminacyi, niczego nie stworzył, coby późniejszym generacyom przypominało ten dzień uroczysty [1]. Cieszymy się szczerze, że tą razą fejletonista się pomylił. Bractwo Królowej Korony Polskiej jeśli będzie w swem przedsięwzięciu wytrwałem, może niewątpliwie zbawienne przynieść w kraju owoce i zażegnać zgubne wpływy, które nurtują już u nas klasy robocze [2].

W. S. P.

Przyczynek do dziejów Unii kościelnej.

Znany metropolita litewski Józef Siemaszko, grabarz unii kościelnej brzeskiej na Litwie i Białej Rusi, w swych „Zapiskach“ wspomina o władyce połockim i wileńskim Smaragdzie Krzyżanowskim, jako o swym poprzedniku w dziele niszczenia unii. Katedrę biskupią w Połocku zajmował tenże od r. 1833 do 1836, ale o działalności jego w wyż wspomnianym kierunku wiedzieliśmy dotąd bardzo mało. Dopiero w zeszycie marcowym „Archiwum Ruskiego“ *(Russkij Archiw)* z roku bieżącego ogłoszono ośm listów władyki Smaragda K. do Iwana Głuszkowa, rządcy kancelaryi jenerał-gubernatora smoleńskiego, witebskiego i mohilewskiego, którym był podówczas kniaź Chowanskij. W listach tych znajdujemy ciekawy przyczynek do dziejów unii kościelnej na Białej Rusi i wyborny obrazek ówczesnych stosunków hierarchii prawosławnej w tamtych stronach do katolików obu obrądków. Z tego powodu pragniemy czytelników *Przeglądu Powsz.* obznajomić z treścią tej korespondencyi.

„Bogu dzięki — czytamy w pierwszym liście władyki połockiego

[1] Patrz *Kurjer Polski* z d. 13 czerwca 1891 (nr 159): „Fejletonik IX“.

[2] Ktoby chciał poznać statut i organizacyę bractwa, albo też wpisać się na członka czynnego, czy też członka-uczestnika, winien się zgłosić do zarządu, zostającego obecnie pod przewodnictwem ks. dra Juliana Bukowskiego, proboszcza kościoła św. Anny w Krakowie.

z d. 6 września (st. st.) 1834 r. — przy waszem iście chrześcijańskiem współdziałaniu na korzyść cerkwi prawosławnej, unia się rozłazi, jako wór stary i dziurawy. Mamy na oku już wiele parafij, skłonnych do przyjęcia prawosławia. Pragnąłbym, aby zniszczono tę wrogą unię jeszcze za rządów kniazia, coby niemało uświetniło dostojne rządy jego książęcej mości". W tymże liście władyka usilnie prosi Głuszkowa, już po raz wtóry, poprzeć nominacyę księdza Knyszewskiego na jakieś lepsze probostwo, „aby tenże, będąc do czasu unitą, mógł większe świadczyć usługi Cerkwi prawosławnej".

W drugim liście, z d. 15 listopada 1834 r., komunikuje władyka Smaragd, iż wśród wyższego katedralnego duchowieństwa unickiego w Połocku są tacy, coby się godzili na przyjęcie prawosławia, a tylko radziby zachować stronę zewnętrzną duchowieństwa katolickiego. „Otóż i nam — pisze Smaragd — należy się odpowiednio przysposobić wobec dojrzewających w nich błogich zamiarów, chociaż i idących w parze z nieznośną ambicyą."

W liście trzecim, z d. 29 stycznia st. st. 1835 r., donosi władyka o jakimś akcie, ułożonym i podpisanym na szlacheckich wyborach w Połocku, i twierdzi, iż głównym inicyatorem i autorem tego aktu, biorącego unię kościelną w obronę, jest p. Bielikowicz, marszałek szlachty połockiej, który zanadto często jeździ do Mińska i Wilna. Przy tej sposobności donosi również rządcy kancelaryi jenerał-gubernatorskiej, iż słyszał, jakoby siebieżskim prezesom sądowym (wówczas obieralnym), pp. Bartoszewskiemu i Żance, grożono na temże zgromadzeniu szlachty, iż będą pozbawieni chleba za obecność na jakiejś tam uroczystości cerkiewnej, z powodu przyjęcia unitów na łono prawosławia. A ponieważ doszła go z Petersburga wiadomość, jakoby niektórzy z kanoników i prałatów połockich mieli otrzymać krzyże i ordery za zobowiązanie, dane na piśmie, iż przyjmą prawosławie, robi władyka uwagę: „Zdaje się, że zawcześnie, bo pomimo piśmiennych zobowiązań, gorliwości ku prawosławiu w sercach ich nie widać".

W najobszerniejszym ze swych listów, z d. 27 marca (st. st.) 1835 r., robi donos poprostu władyka Smaragd na marszałka połockiego Bielikowicza, iż za jego to sprawą włościanie bialscy próbowali wrócić do unii; a następnie dodaje, że w tych dniach tenże Bielikowicz namawiał żydów, raskolników, katolików i unitów połockich, aby na burmistrza *(gołowá)* miasta Połocka nie wybierali prawosławnego, albowiem burmistrz wyznania prawosławnego będzie pomagał władyce do nawracania innowierców na prawosławie. Namowy Bielikowicza — jak

twierdzi Smaragd — odniosły skutek, ponieważ wybrano burmistrzem unitę, „który przystąpił do katolicyzmu“ (?). Dalej zawiadamia rządcę kancelaryi jenerał-gubernatorskiej, że połocki konsystorz, jedynie wskutek skargi właścicieli ziemskich na pewne nieprawidłowości przy nawracaniu włościan na prawosławie, „bez sądu, bez śledztwa, bez deputatów Cerkwi prawosławnej i urzędów cywilnych, zaliczył wszystkich parafian, pozostałych przy unii, do sąsiedniej parafii unickiej w Orzechowie“.

W liście następnym, z dnia 31 paźdz. 1835 r. (st. st.), przedstawia przebieg sprawy, wspomnianej w liście poprzednim. Marszałek powiatu połockiego, p. Bielikowicz, przyprowadził do biskupa partyę włościan unickich i w ich imieniu doręczył mu prośbę. Biskup zażądał od konsystorza protokółu w sprawie tych włościan, którzy wnieśli już byli poprzednio skargę na nieprawne zaliczenie ich do Cerkwi prawosławnej, ale skargi tej nie uwzględniono. Ponieważ protokół odnośny w konsystorzu zaginął, przeto biskup w obecności Bielikowicza napisał własną ręką następującą rezolucyę: „Zaliczyć wszystkich parafian unickich do sąsiedniej cerkwi orzechowskiej“. Poczem Bielikowicz, opuściwszy mieszkanie biskupa, winszował oczekującej nań partyi włościan unickich pozostania w wierze przodków, przyczem rzekł do nich: „Nie bójcie się, dzieci, wszystko będzie po naszemu i wy pozostaniecie na zawsze unitami“. „Oto złoczyńcy! — wykrzykuje władyka prawosławny w końcu tego listu — i jak tu wierzyć biskupowi!“

Nareszcie w ostatnim swym liście do Głuszkowa, bez daty, opowiada władyka Smaragd wiele rzeczy zajmujących o akcyi tegoż Bielikowicza w obronie unii kościelnej, za co darzy go mianem „jawnego wroga prawosławia“; następnie dziękuje jenerał-gubernatorowi Chowańskiemu i rządcy jego kancelaryi, Głuszkowowi, „za rozporządzenie w sprawie Uhlicza“, którego treści nie podaje; a wkońcu donosi, że miejscowi właściciele ziemscy nie pozwalają włościanom uczęszczać do cerkwi prawosławnych. Na dowód tego przytacza fakt następujący: „W sierpniu (oczywiście 1835 r.) przybył z Wilna do Uhlicza szambelan Plater, który wieś tę zakupił od Marcinkiewicza-Żaby; gdy do niego przyszedł przeznaczony do Uhlicza nasz paroch, Kosteckij, i zaczął go w sposób grzeczny prosić, aby włościanom unickim nie przeszkadzał krzepić się w wierze prawosławnej, to Plater wpadł w straszny gniew, zaczął łajać mnie i kniazia (Chowańskiego), groził, że wniesie skargę wprost do cesarza na nieprawne przyłączenie włościan do Kościoła prawosła-

wnego, a wkońcu rzekł: ‚Gdybyś ty nie był księdzem, to za takie propozycye wyzwałbym cię na pojedynek!“

Z przytoczonej korespondencyi widzimy, że nasze obywatelstwo wiejskie nie zachowywało się całkowicie biernie wobec zabiegów rządu i hierarchii prawosławnej około zniesienia unii kościelnej na Litwie i Białej Rusi, jak to u nas dotąd powszechnie mniemano i nawet pisano. Szkoda tylko, że takich Bielikowiczów nie było tam więcej!

A. Szarłowski.

Jubileusz „Przeglądu Polskiego“.

Wśród najrozmaitszych jubileuszów, jakie się odbyły u nas w ubiegłych kulkunastu latach, mało jest takich, któreby mogły poszczycić się takiem i tak zasłużonem uznaniem, jak ten, który się odbył w ubiegłym miesiącu ku uczczeniu 25-letniej rocznicy istnienia *Przeglądu Polskiego*, i wytrwałej a skutecznej pracy jego założyciela, p. Stanisława hr. Tarnowskiego. Uroczystość była piękną i znakomitą zarazem, bo był to hołd złożony niepospolitej pracy i zasługom wobec kraju, jakie ten miesięcznik oddał naszemu społeczeństwu; i to właśnie uderzającą było rzeczą, że w tych artykułach, owacyach, przyjaznych toastach, jeszcze ponad dziełem, wspaniałem i imponującem stanęła osoba jego założyciela.

Dzieło, będąc organem stronnictwa politycznego, mogło zasłużyć na szczególniejszą sympatyę tego stronnictwa — człowiek, zdobył powszechną cześć i szacunek, co w czasach takiego nastroju naszego społeczeństwa jest rzeczą wyjątkową i bardzo piękną.

Patrząc na te 100 tomów *Przeglądu Polskiego*, w których „co pocieszające i dobre znalazło odgłos, wszystko co przewrotne i zdrożne każń i potępienie“, i jeśli się zważy, że to w wielkiej części wyszło zpod hetmańskiego pióra pana Tarnowskiego, a jeszcze jeśli się doda znakomite prace profesorskie, w Akademii Umiejętności, posługi obywatelskie i wiele innych, o których ledwie Jemu najbliżsi mogliby coś powiedzieć — to aż trudno uwierzyć, iż jeden człowiek mógł temu wszystkiemu podołać — tyle tam we-

szło mozołu, ofiar, zaparcia siebie i serca... I dzięki Bogu praca bezpłodną nie była.

Są u nas mistrzowie, którzy sobie wystawiają, że dosyć jest dobrze mówić; i dziwią się, gdy ludzie żądają od nich także czynów. Pan Tarnowski pierwszym jest w rzędzie szermierzy i najmocniej uderza na umysły czynem i przykładem. Dlatego to Jego wymowne słowa tak zawsze trafiały silnie do duszy, taką energią zapalały serca, gdy wskazywał metę obowiązku.

Ze w tej dobie ćwierćwiekowej wielu z zamożnej młodzieży, zamiast marnować czas i dostatki, zaprzęgło się do pracy najżmudniejszej tj. naukowej — to po większej części Jego przykładowi przypisać należy. Nie tu miejsce, podnosić Jego stosunek do Stolicy św. i rzadkie u nas tak gruntowne zrozumienie ducha Kościoła i jego instytucyj, ale w powszechnych hołdach, oddawanych Jego działalności w tej epoce trudno nie wyszczególnić, iż: wiele sprawił swem piórem w *Przeglądzie*, gdy wskazywał — o ile ku temu sposobność zdarzyła się — jak g o d z i ć p a t r y o t y z m z o b o w i ą z k i e m k a t o l i k a, a c z y n e m s t w i e r d z a ł, j a k w y z n a w a ć w i a r ę w ż y c i u p u b l i c z n e m. To też ten dobry Jego wpływ daleko głębiej sięga, aniżeli może czcigodny Jubilat sobie wystawia, bo i dla tych, którzy stoją poza sferą Jego politycznych przyjaciół, sam jest wzorem cnót obywatelskich, a Jego prace mogą być zawsze źródłem żywej wody, w której znajdzie się niejednokrotnie lekarstwo na wyleczenie chorób dolegających naszemu społeczeństwu.

Te piękne owoce wytrwałej i mozolnej pracy najlepszą są ziemską nagrodą dla p. Tarnowskiego i najwspanialszym pomnikiem, jaki po takim posiewie wzrósł sam z siebie.

Jubileusz *Przeglądu Polskiego* i sam jego założyciel chciał uczcić nową pracą — wydał spory tom jako zeszyt lipcowy i dał mu skromny tytuł: „Z doświadczeń i rozmyślań". W pamiątkowem tem dziele, którem obdarzył swych czytelników, „nie o nowość chodziło, tylko o przypomnienie, streszczenie tego, co się wiele razy, co się zawsze mówiło; nie o odkrycie rzeczy niewiadomych, tylko o powtórzenie prawdziwych, a niespełnionych, niewykonanych". Od samego wstępu nietylko zestawia fakta polityczne

i wiele innych, lecz oświeca je głębszymi poglądami, w których przebija się gruntowna znajomość istoty państwa, Kościoła i kierunku myśli filozoficznych, jakie się rozwijały w naszym wieku.

Chociażbyśmy szczegółów Autora o naszym kraju nie uważali za wszechstronne i sprawozdań za wyczerpujące, to jednak bezwarunkowo wyznać należy, że to co zna dobrze — wypowiada z wielką szczerością i siłą przekonania. W każdym razie ta książka jest drogim nabytkiem w naszej literaturze i historyi współczesnej, i prawdziwym a świetnym pomnikiem, jakim założyciel *Przeglądu Polskiego* uczcił jego jubileusz.

Ks. Marcin Czerminski.

Druk ukończony 29 lipca 1891 r.

BAZYLIANIE NA ŻMUDZI.

...πάντα ῥεῖ.
(Heraklit z Efezu).

Klasztory bazyliańskie, tak sławne i liczne niegdyś w różnych miejscach Litwy i Rusi, nie miały, właściwie mówiąc, racyi bytu na Żmudzi, ponieważ tam nie było wyznawców wschodniego obrządku; ale pomimo to sława zakonu św. Bazylego tak się rozchodziła daleko, iż znalazł się fundator, który go i na Żmudź sprowadził. Tak więc powstał w Podubisiu klasztor tej reguły, przy którym istniały dość długo szkoły; chociaż o szkołach tych nie wiedział w swoim czasie Łukaszewicz, a o klasztorze nic nie wspomina Шематизмъ провинціи Св. Спасителя и короткій поглядъ на монастыри (Lwów 1867).

Ponieważ jest w naszem posiadaniu, w oryginale, Inwentarz tego klasztoru, sporządzony w 1777 roku dnia 25 października, podpisany *manu propria* przez O. Klemensa Tyszkę Z. B. W. (komisarza wysłanego do tego klasztoru), w którym to Inwentarzu znajduje się dość szczegółów już to o Podubisiu samem, już to o Bazylianach, tam niegdyś zamieszkałych — przeto na podstawie tych wiadomości, jakoteż innych źródeł, o których wspomnimy na swojem miejscu, zamierzamy słów kilka powiedzieć o tej miejscowości, o klasztorze i o szkole, która niegdyś przy nim istniała, chociaż wiemy to dobrze, że szkic nasz nie będzie wyczerpującym, gdyż brak nam bardziej szczegółowych materyałów.

* * *

Miejscowość, w której stał niegdyś monaster, nazywa się teraz Podubiś Bazyliański i znajduje się w gubernii kowieńskiej, w powiecie szawelskim. Jest tam obecnie zarząd gminy włościańskiej, i w urzędowem sprawozdaniu statystycznem (z roku 1886) czytamy, iż ma ta mieścina 60 mieszkańców, trzy domy[1], cerkiew panującego w Rosyi wyznania, bóżnicę żydowską, dwie karczmy, dwa sklepy i szkółkę ludową. A znany badacz dziejów żmudzkich, p. marszałek Buszyński, w swojej pracy p. t.: „Dubissa w dawnem Księstwie Żmudzkiem“ [2], tak nam Podubiś opisuje: Mieścina ta, zabudowana na równinie piasczystej, pozbawiona wody, bo Dubissa odległą jest ztąd na wiorstę, nie mająca żadnego ruchu nawet w dnie świąteczne, smutny przedstawia widok dla każdego, kto widzi ją raz pierwszy. Cerkiew drewniana, starannie dziś przez rząd opatrzona, tuż przy niej mieszkanie plebana, kilkanaście domów, tworzących jednę ulicę, zakończoną karczmą, stanowią dziś całe miasteczko, zwane jeszcze i dotąd nie inaczej, jak Podubisiem Bazyliańskim. Ale dawniej bywało inaczej, — mówi dalej autor — była tu szkoła, przewodniczona przez światłych zakonników, gdy ją napełniała młodzież ochoczo się ucząca, nietylko ze stanu szlacheckiego, lecz i włościańskiego, z liczby których jeszcze i dotąd (było to w r. 1870) kilka osób zajmuje posady wyższe duchowne, a kilka mieściło się po biurach krajowych, lub przewodniczyło młodzi duchownej w seminaryum żmudzkiem i wileńskiem. Szkoła ta miała szczególnie kwitnąć, tak twierdzi autor, za przełożeństwa O. Wiktora Buczyńskiego, którego nazywa kapłanem przykładnym i przełożonym wzorowym, a który umiał tej szkole nadać wyższość nad innemi. A ponieważ kościół parafialny rzymskiego obrządku, w Kurtowianach, o dobrą milę był odległy, przeto OO. Bazylianie spełniali obowiązki parafialne w miasteczku i w najbliższej okolicy. — Dotąd Buszyński.

Chcąc nieco obszerniej o działalności Bazylianów powiedzieć, cofamy się wstecz i zaczynamy rzecz od początku.

---

[1] Zapewne murowane, nie rachując drewnianych. *(Przyp. Red.)*.

[2] Wilno, Zawadzki, 1871.

Za dawniejszych czasów siedziba ta bazyliańska inne nosiła miana, jak się o tem z Inwentarza dowiadujemy, nazywana bowiem była: Podagle, Dowgieliszki, Mineliszki; należała do różnych właścicieli, stanowiąc tak zwaną „okolicę“; dopiero później skupiły się w jednej ręce te wszystkie posiadłości, utworzywszy całość i niepodzielną już majętność, wieś, a potem miasteczko. Najdawniejszą wzmiankę o tej miejscowości — która następnie Podubisiem była nazwana — znajdujemy pod koniec XVI. wieku, a mianowicie w r. 1584 dnia 28 kwietnia Stanisław Maciejewicz sprzedał sianożęć, zwaną Dagła, Kozakiewiczowi za 8 kóp „starodawnej monety“, a na początku XVII. w. (1602 r.) majętność Podagle kupioną została przez Pawła Rybińskiego od Bartłomieja Sulewskiego za 90 kóp „starodawnej monety“. Otóż ten Paweł Rybiński i syn jego Piotr, podsędek żmudzki, znaczną część późniejszego Podubisia potrafili nabyć od drobnej szlachty, mającej tu swoje posiadłości, a mianowicie: od Dowgiałłów, Minelków, Szmatów, Dedulów, Tytów, Kozakiewiczów, Sulewskich i innych[1]. Od Rybińskich przeszły te włości w posiadanie Mordasów-Bykowskich, mianowicie Konstanty Mordas-Bykowski, wojski mścisławski, kupił je w 1658 r. na własność od Piotra Rybińskiego, podsędka żmudzkiego. Ten Rybiński umierając, zrobił testament (1670) i zapisał swoje dobra żonie, Helenie z Billewiczów, która potem drugi raz poszła zamąż, za Andrzeja Abramowicza, skarbnika wileńskiego, starostę horskiego, i wspólnie z nim sprzedała swój majątek Beynerom[2], łowczym kowieńskim, za 12.000 tynfów[3]. Kiedy nastąpiła ta sprzedaż, nie można z pewnością powiedzieć, gdyż jest w Inwentarzu wzmianka, że papiery Beynerów spłonęły; ale można się domyślać, że było to albo przy samym końcu XVII. wieku, albo już na początku XVIII. Otóż ta rodzina Beynerów fundowała w Podubisiu Ba-

[1] Ztąd to powstawała częsta zmiana nazw tej miejscowości, od nazwisk posiadaczy.

[2] W „Spisie nazwisk szlachty polskiej“ przez Dunina Borkowskiego znajdujemy Beynarów vel Beynartów herbu Syrokomla i Abdank odm. na Litwie, ale są także Beynery herbu Suche komnaty.

[3] Licząc tynf: 1 zł. 8 gr.

zylianów. W Inwentarzu niema wyrażonych imion fundatorów; zkądinąd wiadomo, że byli to rodzeni bracia Jan i Antoni, i jeden z nich miał nawet zostać zakonnikiem tej reguły. W r. 1748 20 października w Kraemieńcu Beynerowie fundusz dla Bazylianów, Podubiś, „zaprzysięgli"; w następnym zaś roku 2 stycznia nastąpiła akceptacya tego funduszu przez ówczesnego biskupa żmudzkiego, Tyszkiewicza; i w tymże samym roku 20 października pleban kurtowiański, w którego parafii to było, admitował fundusz dla Bazylianów. W roku zaś 1757 d. 16 maja wydany został indult na kościół przez tegoż biskupa Tyszkiewicza.

Po fundacyi klasztoru nastąpiły różne zapisy dla niego: 1752 roku 2000 złp. z obligacyą 8 Mszy, od Karpia; 1765 roku 2000 tynfów od ks. Gierychowa z obligacyą 200 Mszy. Później otrzymali Bazylianie nowe nadania.

Jan i Antoni Beynerowie nabyli z czasem i drugą posiadłość, Mekie, która przez długi czas była także „okolicą", należąc do różnych właścicieli, często się zmieniających. Ostatnim posiadaczem tego majątku był Józef Stulgiński, i od niego to Beynerowie w r. 1772 kupili Mekie. Później ta wieś należała do Bazylianów z Podubisia, zapewne im zapisana przez Beynerów. W Inwentarzu niema wzmianki o tem nadaniu, ale zkądinąd wiadomo [1], że Bazylianie otrzymali i tę wieś od swoich fundatorów, Beynerów.

Niedaleko od Podubisia leży wieś Pobiałyszki, alias Rymszyszki, tak nazwana od Jana Rymkiewicza, który ją kupił 1584 r. od Jana Marcikiewicza. Rodzina tych Rymkiewiczów, skupiwszy wiele sąsiednich posiadłości, dość długo władała tym majątkiem, i dopiero na początku XVIII. w. przeszła ta posiadłość do Goleniewskich przez Annę Rymkiewiczównę, która wyszła zamąż za Tomasza Goleniewskiego i zapisała w r. 1727 swój majątek Janowi Goleniewskiemu, a synowie tego Jana, Antoni i Jerzy, w r. 1767 nadali Pobiałyszki Bazylianom podubiskim.

Dobra te, przechodząc do Bazylianów, były w zastawie

[1] Cfr. „Dubissa", Buszyńskiego.

u Kiewnarskiego-Jasieniewicza, i ówczesny superyor bazyliański z Podubisia, O. Serafinowicz, *exonerando* z zastawu zapłacił temu Kiewnarskiemu-Jasieniewiczowi talarów bitych 88, tynfów 6 i szóstaków 2.

I tak w ostatniej ćwierci XVIII. w. Bazylianie mieli na Żmudzi: Podubiś, Mekie i Pobiałyszki.

Jak widać z Inwentarza, nie mieli Bazylianie w tych swoich posiadłościach poddanych, lecz należała do nich tylko ziemia, zabudowania, karczmy i młyny, a ludzie, zamieszkujący te wsie, związani byli z klasztorem trojakiego rodzaju umowami: byli tam 1) wolni zupełnie (szlachta) za kontraktami na pewien oznaczony czas; 2) byli za kontraktami bez oznaczenia czasu, ale z tem zastrzeżeniem, że powinni na 12 „niedziel" przed wyjściem oznajmić o tem klasztorowi; 3) byli nakoniec tacy, którzy „*vigore* konstytucyi" nie mieli prawa opuszczać tej ziemi, poniekąd więc — *glebae adscripti.*

Klasztor dawał tym swoim osadnikom ziemię w pewnej ilości (*maximum* we trzy ręce po dwa morgi), zabudowania różne, na mieszkanie i gospodarskie, albo tylko ogrody i łąki z niewielkiemi chałupami, i stosownie do tego były oznaczane powinności na rzecz klasztoru.

Część opłaty za to bywała zwykle w robociźnie, najczęściej na tydzień po dwa dni, od św. Bartłomieja do św. Jerzego; oprócz tego były wyszczególniane różne daniny w naturze: kury, połowa ze zbioru chmielu, owoce, ogrodowizna i t. p.; kobiety były używane do strzyżenia owiec, pełcia w ogrodach i polach, na tłokę powinne były iść i t. d.

Osobna była opłata, zwana podymne. Płacono różnie, ale najzwyczajniej od 4 do 8 tynfów (w jednem miejscu znaleźliśmy: „podymnego na jednę ratę po 5 koronczyków"). Jeżeli kto z tych osadników trzymał uczniów[1], chodzących do szkół bazyliańskich, to powinien był klasztorowi oddać z tego połowę, a niekiedy tylko część czwartą. Byli także rzemieślnicy, osiadli w chałupach

[1] Niektóre dworki były o 3, a nawet 4 izbach.

klasztornych, oprócz których nic nie mieli, i za to robili dla klasztoru, co potrzeba, każdy stosownie do swego rzemiosła. Wspomniane są także t. zw. „dewotki“, stare niewiasty, osiadłe na dewocyi niedaleko od kościoła, które również uczniów utrzymywały; one same sobie budowały domki na gruncie klasztornym i płaciły tylko podymne.

Takich osadników w Podubisiu przy końcu 1777 r. było 14; w liczbie tej było dwóch, którzy trzymali karczmy *per arendam*. Za jednę karczmę wjezdną z 2 alkierzami i różnemi zabudowaniami gospodarskiemi płacono rocznie 20 talarów bitych, dwiema ratami, i „ćwierć mięsa“ na Wielkanoc dawano klasztorowi. Przy drugiej karczmie, także wjezdnej i obszernej, był stawek, młynek i trocha gruntów (wysiewu 5 purów żyta), i za to wszystko klasztor dostawał na rok 22 talarów bitych, podymnego na jednę ratę po 5 tynfów i połowę ze zbioru chmielu.

W Pobiałyszkach w tymże samym czasie jeden szlachcic *per arendam* trzymał ziemię, za którą płacił 8 talarów na św. Jerzy, oprócz tego dawał podymnego 5 tynfów i obowiązany był do niektórych robót w polu na rzecz klasztoru, a jego „niewiasta“ powinna była uprząść 5 funtów przędziwa.

We wioseczce Mekie było takich osadników 8, w takich samych osiadłych warunkach na klasztornej ziemi: płacili tyle, co i poprzedni.

Otóż takie były w r. 1777 dochody Bazylianów podubiskich.

Z opisu cerkwi, bardzo niewyraźnego i niejasnego w tym Inwentarzu, dowiadujemy się, że była ona drewniana na podmurowaniu, z dwiema wieżami i kopułą, pokryta gontami, i było w niej cztery ołtarze: wielki, św. Bazylego, przy którym było lichtarzy cynowych 1 para, cynowych mniejszych także 1 para i drewnianych 3 pary; po prawej ręce znajdował się ołtarz boczny, św. Onufrego, a po lewej św. Jerzego, następnie Matki Boskiej; czwarty ołtarz, św. Jozafata. Była w tej cerkwi ambona, konfesyonałów dwa, okien wszystkich 14; dzwonek jeden w kopule, drugi przy zakrystyi i cztery przy ołtarzach. Oprócz aparatów kościelnych greckiego obrządku, były też i łacińskie. Potem na-

stępuje w Inwentarzu spis sprzętów klasztornych — bardzo skromnych! Tak np. zanotowano filiżanek tylko 2 pary, szklanek 4, ale młynek do kawy był już w użyciu; krzeseł tylko 6 i 5 stołków; łyżek cynowych 14, noży par 4, talerzy cynowych 10, „farfurowych“ 12 i t. d.

Do cerkwi przytykał monaster, także niewyraźnie opisany[1], otoczony różnymi gospodarskimi budynkami i folwarcznemi zabudowaniami, kuźnią, browarem i t. d.

Biblioteka miała zawierać pięćdziesiąt kilka dzieł, przeważnie teologiczno-ascetycznej treści, w polskim i łacińskim języku; ale były także książki historyczne i pewna ilość łacińskich klasyków (Cycero, Wirgiliusz). Pomiędzy kościelnemi księgami wyszczególniono: Mszał uniejowski nowy i trzy stare, Mszałów łacińskich dwa i inne liturgiczne wschodniego Kościoła księgi.

Nieco wyżej mówiliśmy o tem, jakie były w 1777 roku fundusze i dochody podubiskiego klasztoru. Z czasem uległy one zmianie i nastąpiły pewne w tym względzie modyfikacye, o czem teraz słów kilka powiemy.

I tak z wizyty kościelnej, na początku 1804 roku dokonanej, dowiadujemy się, że klasztor sum funduszowych żadnych nie miał, ani też własnego zbioru; była tylko jedna suma legacyjna od Anny Szkultynowej, majorowej wojsk polskich, z r. 1803, talarów bitych 2000, z obowiązkiem odprawiania rocznie 104 Mszy czytanych i 8 śpiewanych. Otóż wyrażono w tej wizycie, że Bazylianie mieli jeden folwark z gruntami, sianożęciami, około klasztoru, lecz bez poddanych; oprócz tego należało do Bazylianów miasteczko (Podubiś) i wioska Mekie, oraz dwa domy gospodarskie z młynkiem, w zaścianku leżące. W miasteczku i w wiosce mieszkali wolni ludzie i szlachta, opłacając klasztorowi niewielką sumę pieniężną i zobowiązawszy się do niektórych powinności. Wszystkich gospodarzy było natenczas 25 i tyleż kobiet; w miasteczku domów przez klasztor zbudowanych 3, gospodarskich 15, i nadto była tam jeszcze karczma, dochodu

[1] Przy wizycie z początku tego wieku znajdujemy szczegółowszy opis.

w rok przynosząca 660 zł. pol.; w wioseczce zaś Mekie było tylko 8 chat. Wszystko to razem wzięte przynosiło klasztorowi rocznej intraty 1550 zł. pol., a na ogół klasztor miał dochodów 2200 zł. pol.

Przy końcu zaś 1804 r. podane są takie dochody: arenda i czynsze rs. 330, procent 162, obligacye i jałmużna 71; razem 563 rs. Rozchody: opłata podatków do rządu 77 rs., wyżywienie i utrzymanie zakonników 320 rs., opłata czeladzi 120 rs., sług kościelnych 30 rs., za wino i wosk 15; razem 562 rs.[1].

Następnie dowiadujemy się z tej wizyty, że zabudowania kościelne i gospodarskie w bardzo smutnym były stanie i wymagały rychłej reparacyi, na którą jednakże klasztor nie mógł się sam zdobyć, nie mając na to potrzebnych środków, chociaż o ile mógł, podtrzymywał to wszystko.

Klasztor tak tu opisany: monaster drewniany jednopiętrowy we trzy linie; cel zakonnych 8 pojedyńczych i jedna z dwiema komorami; przy klasztorze cerkiew i zabudowania gospodarskie; wszystko to razem z ogrodami zajmowało około sześciu morgów. Za dawnych czasów była tu tylko rezydencya i mieszkało zwykle trzech lub czterech zakonników, następnie więcej już ich bywało.

Nakoniec, z Pamiętników Siemaszki wiemy, że przed skasowaniem i zabraniem tego klasztoru, w 1836 r., fundusz jego był taki: do Bazylianów należało miasteczko, w którem było 19 domów, mieli oni tam 14 dusz poddanych, 19 włók ziemi i oprócz tego zgórą rs. 4000 kapitału.

* * *

Działalność Bazylianów w Podubisiu, oprócz spełniania obowiązków parafialnych, była skierowaną ku nauczaniu młodzieży. Już w Inwentarzu spotykaliśmy wzmianki o uczniach, mieszczących się u gospodarzy i „dewotek“ w Podubisiu, ale oprócz tego jest w tym Inwentarzu opis domu szkolnego w tych sło-

[1] Nie możemy sobie wytłumaczyć, dlaczego w tym samym roku tak różne podano dochody.

wach: „Szkoła *cum grammatica et syntaxi*, duża, okien trzy mająca, piec polewany i ławkami opatrzona; druga izba, mająca piec polewany, *rhetorica*, okien trzy, z ławkami; w tym budynku była jeszcze kuchenka z alkierzem, drzwi wszędzie na żelaznych zawiasach i dach pokryty słomą". Sądząc z tego opisu, możemy wnioskować, że ta szkoła składała się najmniej z dwóch klas, w których uczono do retoryki *inclusive*, i musiało bywać dosyć zwykle uczniów, kiedy izby były przestronne, o trzech oknach.

Szkoła ta była otworzoną w r. 1773, a więc po skasowaniu zakładów naukowych, utrzymywanych przez Jezuitów. Taką datę otworzenia szkół w Podubisiu znajdujemy w jednem urzędowem czasopiśmie rosyjskiem [1], poświęconem sprawie oświaty, a także w „Wiadomościach o szkołach z r. 1807" w muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, gdzie powiedziano, że szkoła w Podubisiu założona w 1773 roku jako parafialna i w tym charakterze przetrwała do roku 1790, gdy ją przekształcono na powiatową o czterech klasach. Wobec tych urzędowych wiadomości, upada twierdzenie ks. biskupa Wołonczewskiego [2], który mówi, że Bazylianie w Podubisiu, nie pytając się nikogo, zaczęli nauczać w r. 1782. Dalej powiadał ks. W., że Bazylianie uformowali nawet trzy klasy i mieli dosyć uczniów, aż ks. Wieliczko, przełożony szkoły z Kroż (jeden z pierwszych zwierzchników tej szkoły po kasacie Jezuitów) zjechał do Podubisia i zabronił nauczać Bazylianom, którzy potem, porozumiawszy się z Akademią wileńską i za jej zgodą, otworzyli nanowo szkoły w Podubisiu i miewali po kilkuset uczniów, uczyli dobrze i łagodnie się z uczniami obchodzili. Tak twierdzi ks. biskup Wołonczewski.

W dacie mógł się ks. biskup omylić, chociaż znowu rektor szkół w Krożach może i przeszkadzał Bazylianom w nauczaniu młodzieży, nie chcąc zmniejszenia się liczby studentów w sławnych w swoim czasie Krożach, które wodziły rej na Żmudzi w sprawie wychowania i miały pewne zwierzchnictwo nad innemi szkołami i szkółkami.

---

[1] *Periodičeskoje sočinienie o uspěchach narodnavo prosvěščenia*, nr. XVIII. Petersburg 1809.

[2] Opis biskupstwa żmudzkiego, w języku litewskim.

Niestety, pierwotne dzieje szkoły w Podubisiu nie są nam znane! Wprawdzie w „Wiadomościach o szkołach z roku 1807“ czytamy, że od roku 1773—90 była w Podubisiu tylko szkoła parafialna, jednakże sądząc z opisu tej szkoły w Inwentarzu, twierdzić możemy, że nie była to zwyczajna parafialna szkółka, lecz raczej szkoła na większą skalę, w której nawet retoryki uczono. Po roku 1790 mogli ją zmodyfikować podług przepisów Komisyi edukacyjnej, i tak to trwało, dopóki za rządów już rosyjskich nie stały się znowu obowiązującemi inne rozporządzenia w sprawie oświaty i wychowania młodzieży.

Więcej szczegółów o tych szkołach znajdujemy w wizycie kościelnej z początku 1804 r. Powiedziano tam, że szkoła była o czterech klasach; w dwóch pierwszych uczono łaciny, arytmetyki, nauki chrześcijańskiej, początków geografii i historyi; w dwóch wyższych wykładano wymowę, fizykę, naukę moralną, geografię wyższą i historyę; oprócz tego wszystkiego uczono po francusku i po rosyjsku [1]. Przełożonym szkół i klasztoru był natenczas O. Dymitr Baliński, który miał wtedy wieku lat 56, kapłaństwa 28, profesyę zakonną uczynił 1767 r., a na tym obowiązku był rok pierwszy; O. Julian Pikturno był spowiednikiem, mając lat 78, kapłaństwa 38, na obowiązku 32, śluby zakonne wykonał w r. 1763; O. Makary Gibiński, prefekt szkół i kaznodzieja, który uczynił profesyę w r. 1781 i przy końcu tego roku opuścił Podubiś; O. Cezary Szałajski, nauczyciel wymowy i nauki moralnej, który się urodził w r. 1759, 17 lat był już kapłanem i 7 lat na obowiązku, śluby zakonne uczynił w r. 1779; O. Józef Bułaszewicz uczył fizyki i matematyki, miał lat 33, kapłaństwa 8, nauczycielstwa 4, profesyę zakonną wykonał w r. 1793; O. Jerzy Kompaniewicz był nauczycielem klasy I. i języka rosyjskiego, liczył lat 36, kapłaństwa 12, na obowiązku rok 1; Br. Sebastyan Żukowski, jeszcze kleryk, nauczał w II. klasie i wykładał język francuski, śluby zakonne uczynił w r. 1798.

[1] Jak wiadomo, w r. 1803 zmodyfikowano szkoły w polskich prowincyach, należących do Rosyi, i w tym roku wezwano Bazylianów w Podubisiu, aby nauczali podług nowych przepisów, które jednakże wprowadzano powoli i zasady Komisyi edukacyjnej trwały jeszcze długo.

Przy końcu tego roku (1804) zaszły niektóre zmiany w personalu nauczycielskim: O. Jerzy Kompaniewicz został nauczycielem klasy II., a w I. klasie zaczął nauczać O. Symeon Kotowicz, mający lat 25, kapłaństwa rok 1 i tyleż nauczycielstwa; prefektem szkół był mianowany O. Cezary Szałajski; wymowę i prawo zaczął wykładać znany potem i głośny w Podubisiu O. Wiktor Buczyński, który miał natenczas lat 29, kapłaństwa 6, nauczycielem był dopiero rok 1. Uczono tymczasowo podług przepisów Komisyi edukacyjnej, oczekując nowych uniwersytetu wileńskiego rozporządzeń. Uczniów w r. 1803 miało być: w klasie początkowej 39, w I. 60, w II. 35, w III. 28, w IV. 11, wszystkich 173; a w roku następnym liczono już 195 [1].

Następnie mamy parę szczegółów o szkołach w Podubisiu z r. 1807 w muzeum książąt Czartoryskich [2], z których się dowiadujemy, że szkoła miała nazwę powiatowej (szawelskiej), była o czterech klasach, gabinetów i biblioteki własnej nie miała, ale korzystała z księgozbioru klasztornego; dozorcą szkolnym był O. Martynian Komar; literatury i nauki moralnej uczył O. Buczyński; fizyki i matematyki O. Józef Bałasenowicz; nauczycielem klasy II. był O. Bonifacy Tarasiewicz, a I. klasy O. Butrymowicz. Uczniów wszystkich 160, ukończyło szkoły 14. Przełożonym zaś klasztoru podubiskiego był znany nam O. Cezary Szałajski — jak to podaje Kalendarzyk wileński na rok 1807.

Tenże Kalendarzyk wileński na rok 1809 ogłosił, że przełożonym szkół w Podubisiu był O. Martynian Komar, nauczycielem literatury i łaciny O. Wiktor Buczyński, fizyki i matematyki O. Jerzy Rzecki, w klasie II. dawał lekcye O. Bonifacy Tarasiewicz, a w I. O. Marcin Butrymowicz.

Uczniowie celujący w dwóch niższych klasach: 1) Jozafat Lutkiewicz, 2) Józef Murzewicz, 3) Antoni Raczkowski, 4) Ignacy Wilimowicz, 5) Julian Jagmin, 6) Michał Gasztowtt, 7) Wincenty Krzywicki, 8) Jan Karabiewicz i 9) Feliks Tomaszewicz. W dwóch

[1] Co się tyczy liczby uczniów, to nieraz w tymże samym roku — jak to obaczymy niżej — podawane są różne liczby, niezgadzające się wcale ze sobą.

[2] Cfr. „Wiadomości o szkołach w r. 1807".

wyższych klasach: 1) Feliks Chomski, 2) Jan Jasieński, 3) Ignacy Raczkowski, 4) Karol Rymgajłło, 5) Sylwester Tomaszewski, 6) Józef Andruszkiewicz, 7) Bonifacy Brodowski, 8) Józef Narkiewicz, 9) Kajetan Rymgajłło, 10) Jan Balutowicz, 11) Wincenty Czapulewicz, 12) Jerzy Głebowicz i 13) Ignacy Narkiewicz.

W r. 1810 przełożonym szkół był już O. Wiktor Buczyński; z nauczycieli wymienieni w tym roku: Benedykt Homolicki i Kuksowicz. We dwa lata później (1812) jeszcze był przełożonym O. W. Buczyński, ucząc przytem literatury, prawa, nauki moralnej; fizykę i matematykę wykładał O. Grzegorz Lissawski; nauczycielem II. klasy był znany już nam O. B. Homolicki, a I. klasy O. Stefan Papecki.

Od roku 1816 przełożonym szkół mianowano O. Jana Jurewicza, który zarazem wykładał matematykę, fizykę, potem nawet dawał lekcye rysunków i języka rosyjskiego; O. Juwenalis Butrymowicz uczył wymowy, prawa, historyi i języka francuskiego; O. Stefan Papecki języka polskiego i łacińskiego, a O. B. Homolicki arytmetyki i języka rosyjskiego.

W roku następnym wszystko zostało bez zmiany, tylko O. Konstanty Reymer, kand. filoz., uczył rosyjskiego, arytmetyki i geografii.

Z niewielkiemi zmianami przetrwało tak do roku 1822, w którym przełożonym był jeszcze tenże sam, ale fizyki i matematyki uczył O. Ignacy Proniewicz, kand. filoz.; O. Jozafat Rzecki, kand. filoz., wymowy i francuskiego języka; a gramatyki polsko-łacińskiej O. Porfiry Szawernowski; O. Konstanty Reymer jak dawniej.

Nakoniec, w roku 1825, przełożonym i nauczycielem matematyki był już O. Arkady Kłossowski; fizykę wykładał O. Jerzy Rzecki; wymowę i język francuski O. Teofil Missiewicz; język polski, łaciński i rosyjski O. Hilaryon Siewruk; religii i niemieckiego uczył O. Sym. Kotowicz; O. Reymer, jak pierwej [1].

(Dok. nast.).

Wołyniak.

[1] Wszystkie te wiadomości o nauczycielach czerpiemy z Kalendarzyków.

MĘCZENNIK ZA ŚWIĘTOŚĆ MAŁŻEŃSTWA.

(Dokończenie).

Cranmer otrzymał instytucyę i konsekracyę biskupią dnia 30 marca 1534 r., a już 6 kwietnia Fisher został wtrąconym ponownie do więzienia, z którego wyszedł tylko na rusztowanie. Odtąd głównego materyału biograficznego dostarczają autorowi listy posła cesarskiego, Chapuys, który słał szczegółowe sprawozdania do Karola V. Zdumiewa się on aresztowaniem Fishera, „najuczeńszego i najcnotliwszego prałata w całem chrześcijaństwie“. Na innem zaś miejscu dodaje: „Świątobliwy biskup rochesterski, perła stanu biskupiego w całym Kościele, z powodu zarówno swej cnoty jak i nauki, został skazanym na utratę dóbr i godności. Cała ta niesprawiedliwość jest skutkiem popierania przez niego sprawy królowej“.

Darmo Henryk silił się, Fishera o zdradę stanu spotwarzyć. Wychodziła wciąż na jaw właściwa jego cierpień przyczyna. W końcu marca 1534 r. nadszedł ostateczny dekret Stolicy apostolskiej, uznający prawowitość nierozerwalną ślubu Henryka z Katarzyną, a już w początkach następnego miesiąca pomsta królewska zawisła nad szermierzem sprawiedliwości. Żaden wzgląd nie wstrzymał gniewem zapalonego króla, ani pamięć na dawną przyjaźń, ani sędziwość wieku i słabość zdrowia chylącego się już do grobu starca. Jednocześnie rozkiełznany tyran nowe sidła zastawiał na wszystkich swych katolickich poddanych; układa

nową rotę przysięgi, w której unieważnia poprzednie swoje małżeństwo, wbrew orzeczeniu Stolicy św., i przyznaje prawa następstwa wyłącznie potomstwu tej, która w oczach chrześcijan nie mogła być uważaną za żonę królewską. Przysięga, głosząca prawowitość urodzenia Elżbiety, a nieprawowitość Maryi, tem samem sprzeciwiała się wyrokowi Rzymu. „Nie mogę takiej składać przysięgi, boby to się równało zaprzedaniu mej duszy na wiekuiste potępienie“ — rzekł kanclerz państwa, Tomasz Morus. — „Sumienie mię zmusza odmówić złożenia przysięgi“ — ze swej strony powiedział Fisher. — Odmowa ich płynęła z powodów czysto religijnych, bynajmniej nie z politycznych względów. Odrazu też obaj „rekuzanci“ zostali wtrąceni do złowrogiego londyńskiego Toweru czyli baszty, wsławionej odtąd mękami tylu późniejszych wyznawców wiary. Urzędnicy tymczasem zarządzili rabunek doczesnych dóbr biskupa, a więc sreber kościelnych i domowych, z których znaczna część nosiła godło Lankastrów, jako znak hojności hrabiny Richmond, świątobliwej babki niegodziwego Henryka. Targnięto się i na szacowną bibliotekę, niszcząc bezmyślnie kosztowne księgi uczonego biskupa, który je przeznaczał dla Św.-Jańskiego kolegium w Cambridge. Natrafiono nareszcie na tajemniczą skrzynię, w której siepacze spodziewali się znaleść ukryte skarby; oderwawszy atoli zamki, odkryli na dnie kufra same tylko narzędzia pokuty, włosiennice i dyscypliny. Biskup takie tylko chował w ukryciu skarby.

Ostatni akt dramatu życia sędziwego wyznawcy rozegrać się miał w Towerze londyńskim: najprzód czternastoletniem więzieniem w baszcie zwanej dzwonnicą, następnie straceniem na pobliskiem wzgórzu, nakoniec pogrzebaniem w kaplicy św. Piotra w Okowach, gdzie jego święte popioły oczekują zmartwychwstania. Niemasz miejsca w Anglii bogatszego w pamiątki — pisze ojciec Bridgett — nad Tower londyński: pamiątki to walk i tryumfów, chwały i niedoli, zbrodni i świętości. Przez całe wieki ponure te mury były z kolei: warownią, pałacem królewskim i więzieniem stanu. Stały już one od przeszło czterech wieków, gdy Jan Fisher do nich zawitał, i podziśdzień w niezmiennej swej posępności stoją, acz odtąd już półczwarta wieku

przeminęło. Świątobliwego biskupa zamknięto w jednej z trzynastu wieżyc fortecy, w najlepszej może celi z całego gmachu, gdzie przynajmniej nie zbywało mu na powietrzu i przestrzeni. Miejsce jego uwięzienia nie uległo dotąd żadnej niemal odmianie. Ale z tych okien, oszklonych dziś przejrzystszemi szybami aniżeli za czasów błogosławionego wyznawcy, jakże różny przedstawia się teraz widok! Z jednej strony oko obejmuje las parowców i statków, skupiających tu handel całego świata, z drugiej widnieje dworzec podziemnej kolei żelaznej. Tu olbrzymie magazyny przysłoniły kościół Wszystkich Świętych, tam dorożkarska stacya zajmuje miejsce dawnego rusztowania. Zamiast Henrykowego Londynu, z 90-ciu tysiącami mieszkańców w obrębie murów i 40-stu na przedmieściach, spoglądamy na pięciomilionowe mrowisko ludzi, tj. o półtora miliona więcej, aniżeli za czasów Fishera było ludności w całej Anglii. Zewnętrzne zmiany są tedy wielkie, wewnętrznych niema zgoła; te same bielone ściany, kamienne posadzki, nierówne w murach strzelnice. Ze szczupłych wiadomości, jakie posiadamy, wnosićby można, że biskup rochesterski nie doznał poniewierki w więzieniu, lecz owszem, pewną względnością nad innych jeńców bywał wyróżniany. Położenie więźniów w onej epoce zdawało ich zresztą zupełnie na laskę i niełaskę kluczników i rządców więziennych. Kto miał czem się opłacać, używał pewnych dogodności, kogo środki zawiodły, skazanym bywał na głód, chłód i smród lochów podziemnych. Stosunki te otwierały wolne pole nikczemnemu wyzyskiwaniu wtrąconych do kaźni ofiar. Przechowane w Towerze regestra świadczą np., iż biskup tygodniowo opłacał klucznikowi do dwunastu funtów szterl. dzisiejszej monety. Oczywiście sam nie mógł tak wysokiej sumy dostarczyć, bo wszelkie jego własności i dochody odrazu przeszły na rzecz skarbu. Zdaje się, iż brat jego oraz kilku przyjaciół składało się, aby mu zabezpieczyć jakietakie w więzieniu utrzymanie. Jakietakie, gdyż mimo znacznych kosztów, biskup miał powody użalać się na niedostatek i zanosić co rychlej prośbę o jaką odzież i bieliznę, bo dawna na nim zupełnie, po ośmiu miesiącach uwięzienia, się zdarła, oraz dopraszać się o nieco zdrowszą kuchnię, zniszczony bowiem

starca organizm nie pozwala mu już znosić skąpej strawy więziennej. Wycieńczony wiekiem i chorobą, zdawał się istotnie stać już w progach wyzwolenia od doczesnych cierpień, i nikt nie sądził, aby dłużej nad parę tygodni wytrzymał życie w wieży; a tymczasem Bóg cudownie przedłużał dni jego, chcąc go nagrodzić palmą męczeństwa. Zachowany dotąd list biskupa błaga o książki pobożne dla pociechy duszy, tudzież o kapłana, przed którym mógłby się wyspowiadać. Ten to brak najdotkliwiej świętego martwił jeńca. Pozbawiono go bowiem wszelakich pociech i dźwigni duchowych. Znajdowały się wprawdzie w obrębie Toweru aż dwa kościoły; ale jeden z nich, tj. św. Jana, wyłącznie przeznaczony był dla królewskiej rodziny i wyższych urzędników fortecy; kaplica zaś św. Piotra w Okowach służyła za kościółek parafialny dla tej dzielnicy miasta. Więźniów nawet w niedziele i święta nie puszczano na nabożeństwa, chyba za osobnym przywilejem i pozwoleniem, jak to miało miejsce z kanclerzem Morusem, na początku jego uwięzienia. Jeśli i biskupa spotkało kiedy to wyjątkowe szczęście, dokładano wszelkich starań, aby się nigdy z kanclerzem nie spotkał, choć z innej strony udawało się znakomitym rekuzantom, listowne zawiązać z sobą stosunki. Twardy i niechrześcijański obyczaj i statut odmawiał w Anglii skazańcom przedśmiertnych nawet pociech religijnych. Niema dowodu, czy Fisher otrzymał żądaną przez się łaskę, tj. odwiedziny kapłańskie. Co do książek, trudno też wiedzieć, czy biskup takowych całkowicie został pozbawiony. W traktatach spisanych w więzieniu nie brak wprawdzie cytat, ale mąż taką jak on obdarzony pamięcią, mógł je przytaczać bez zaglądania do źródeł. Wiemy tylko, iż idąc na śmierć, miał przynajmniej księgę Nowego Testamentu. O Morusie bliższy posiadamy szczegół, że gdy odkryto jego korespondencyę z Fisherem, odrazu zabrano mu wszystkie książki. Dlatego potem przymknął okiennice, oddając się w zaciemnionej celi nie smutnym rozpamiętywaniom, lecz raczej rozmyślaniu o niebiańskich rozkoszach. Gdy namiestnik Toweru zapytał, dlaczego cały dzień trzyma zamknięte okiennice, Morus wesoło odparł, że niema poco sklepu otwierać, gdy zeń wyniesiono wszystek towar.

Obydwaj męczennicy zrazu mieli przynajmniej wolność pióra i pisma, z czego w ten sposób korzystali, że wylewali na papier swe myśli, które do potomności przeszły. Morus między innymi napisał „Dyalog o pociesze w przeciwnościach“, w którym kilka rozdziałów poświęca swoim więziennym udręczeniom. Nieporównane to z wielu względów arcydzieło chrześcijańskiej literatury. Fisher także napisał rozprawę „O duchownych pociechach“, odzwierciedlającą stan własnej jego duszy, a następnie traktat „O drogach do prawdziwej religii“, zaczynający się od porównania trudów myśliwca uganiającego się za zwierzyną, z zabiegami człowieka szukającego pilnie świętości życia i Boga. Porównanie to nabiera osobnego i osobistego znaczenia, bo z niego dowiadujemy się, iż świątobliwy wyznawca zamłodu, jako nieodrodny Anglik, wielkim był lubownikiem sportu, a więc polowania, a nawet wyścigów. Obie te rozprawy poświęcone są siostrze Fishera, zakonnicy św. Dominika. Trzecia traktuje o potrzebie modlitwy, jej owocach i metodzie.

Gdy dostojni więźniowie słodzili sobie długie dni niewoli pisaniem o rzeczach bożych, Henryk gotował ostatni zamach na Kościół, ostatnie zerwanie jedności. Przekonawszy się, iż Rzym nie potwierdzi jego związku z Anną Boleyn, odwołał się na najbliższy sobór powszechny, a tymczasem zaczął marzyć o wytworzeniu niezależnego, narodowego Kościoła, którego sam byłby głową. Podejmował w tem myśl niejednego ze swoich poprzedników. Jak za dni Wilhelma Rufusa św. Anzelm stanął był na wyłomie, jak przeciw zakusom Henryka II. powstał św. Tomasz z Kanterbury, tak i teraz Jan Fisher ze swego więzienia nie przestał być stróżem jedności i prawdy, w przeciwieństwie do dworskich biskupów, przychylających się ku zaborczym chęciom samowładcy. Ponownie nalegano na Katarzynę Aragońską, aby cofnęła apelacyę do Rzymu, i uznała w małżonku i monarsze rozstrzygającą władzę. Królowa z niezachwianą stałością odmówiła, odpowiadając, iż tylko papież jest namiestnikiem Chrystusowym. Tymczasem Henryk wystąpił z nowym tytułem najwyższej głowy angielskiego Kościoła, *supremum caput,* i jął wymagać przysięgi, uznającej tę jego duchowną supremacyę. Z wiosną

1534 r. królewscy komisarze zaczęli zbierać podpisy i przystąpienia mnichów i zakonników, natrafiając niestety na słaby bardzo opór lub żaden zgoła, bądź skutkiem trwogi, bądź z powodu rozluźnienia życia zakonnego, bądź nareszcie dla ciemnoty niższego kleru zakonnego, nie zdającego sobie nawet sprawy z doniosłości zamachu. Księża świeccy nie dali się zresztą wyprzedzić zakonnikom. Do udręczeń więziennych przybyła najsroższa zgryzota, gdy się biskup z Rochester dowiedział, iż w jego dyecezyi znaczna część kapłanów uległa naciskowi rządu i poddała się bez oporu królewskiej supremacyi.

Zaledwie jeden błysk pociechy rozjaśnił przelotnie smutki dostojnego więźnia. Magister i towarzysze kolegium św. Jana w Cambridge przesłali mu pismo pełne miłości i współczucia, a nawet jak się zdaje, osobną zpośród siebie deputacyą wręczyli takowe swemu dożywotnemu kanclerzowi. Niedługą atoli była i ta osłoda, skoro wbrew pisanych zapewnień, wkrótce potem samiż nauczyciele starej wszechnicy zerwali z Rzymem, przyjmując narzuconą sobie przysięgę. Straszna dla Anglii zaczęła się epoka, uwydatniająca małoduszność niewolniczą poddanych Henrykowych. Król, raz sięgnąwszy po tytuł głowy narodowego Kościoła, rozkazał spalić wszystkie bulle i przywileje papieskie, i coraz dalej się posuwał w swych samozwańczych zakusach. Jakim sposobem ogólne odpadnięcie całego kraju od katolickiej jedności mogło tak szybko, na skinienie tyrana nastąpić, nie wywołując narazie żadnego prawie oporu, ks. Bridgett dość logicznie nam tłumaczy. Co spowodowało kler świecki i zakonny oraz hierarchię katolicką do tak sromotnego upadku, dłuższego wymagałoby tłumaczenia. Atoli szybki postęp herezyi wśród ludu odrazu daje się wyjaśnić. Gazety i książki wówczas nie posiadały dzisiejszego wpływu, nie docierały do ognisk domowych; mało kto czytać umiał, mało kto czytać chciał i pragnął. Ztąd ambona nabierała podwójnego znaczenia i ogromną miała doniosłość, a tu ową jedną, jedyną krynicę nauczania zatkano. Wspomnieliśmy już, iż Słowo boże umilkło było w owych czasach, że kazania bywały w Anglii rzadkością, a kapłani nigdy się prawie do ludu nie odzywali. Wtem królewska nahajka zniewoliła

niemych psów do wycia i szczekania przeciw Stolicy św. Odrazu zgłuszone przybytki napełniły się echem przekleństw, ciskanych *auf allerhöchsten Befehl* na Rzym i papieża. Biskupi, którzy nigdy w życiu nie stawali na ambonie, teraz miotali służalcze obelgi przeciw powszechnemu Kościołowi i prawdzie katolickiej. Rozpoczęła się istna krucyata słowa; zakonnicy, którzy się nigdy dotąd nie ćwiczyli w opowiadaniu Ewangelii, teraz wyprzedzali się w oszczerstwach na namiestnika Chrystusowego. Lud, łaknący przez czas długi słowa bożego, garnął się wokoło kaznodziejów, podających mu kamienie herezyi w miejsce chleba, i pojących go trucizną fałszu miasto winem prawdy. Dopuścił Bóg, iż ta próba przypadła na czas wielkiego upadku ducha wśród biskupów, i to właściwie sprawiło odstępstwo Anglii; bo gdy wodzów zabrakło, szeregi poszły w rozsypkę. „Za grzechy narodu, taka spotkała go kara. Ale jednocześnie Opatrzność wybrała sobie dwóch wyjątkowych zapaśników: jednego wśród duchowieństwa, drugiego wśród wiernych, mężów posiadających najwyższą cześć i szacunek, tak w Anglii jak i w całej Europie. Wspaniałe postacie Morusa i Fishera potęgują jeszcze porównaniem z sobą służalczą małoduszność reszty współczesnych. Widok ich samotnego oporu może tylko utwierdzić wiarę katolików, a protestantom dać wymowny dowód świętości sprawy, za którą tacy ludzie oddawali życie“.

Zjednawszy sobie wszystkich niemal innych biskupów, Henryk za ich pośrednictwem próbował usidlić duszę samotnego wyznawcy. Daremnie! odbijały się ich namowy od jego stałości jak od głazu, a bohaterska śmierć Kartuzów, uwięzionych w Towerze, którzy ochotnie poszli na męczeństwo, dodała jeszcze bodźca wytrwałej żarliwości biskupa. Odtąd już nie miał wątpliwości, jaka śmierć go czeka: zagrzewały go też do męczeństwa kartki, na których świątobliwi Kartuzi zostawili ślad swych myśli i cierpień, a które przez służbę więzienną do rąk mu się dostały. Próbowano jeszcze go omamić wieścią, iż Morus na przysięgę się zgodził, a przeciwnie, Morusowi donoszono, iż Fisher poniechał daremnego oporu. Wszystko napróżno. Ani biskup ani kanclerz państwa usidlić się nie dali, trwając w szla-

chetnej stałości. Wtem nadeszła z Rzymu wiadomość, która przyspieszyła wybuch królewskiej zaciekłości.

Paweł III. zamienił na Stolicy apostolskiej mniej śmiałego Klemensa VII. I oto na konsystorzu, na którym zamianował siedmiu kardynałów, w ich poczcie zamieścił „biskupa Rochesteru, uwięzionego z rozkazu króla angielskiego". Wściekły gniew monarchy osobistą w tym zaszczycie dopatrzył urazę: „Niechajże mu papież przysyła kapelusz, skoro mu się tak podoba, ale chyba go na ramionach poniesie, bo głowy już mieć nie będzie; za to ja ręczę mojem słowem". Jednocześnie rozesłał komisarzy, rozkazując przez nich biskupom i proboszczom, oraz nauczycielom szkół, aby walczyli z władzą papieską wszelkimi sposobami; rozkazał także wymazać imię papieża z brewiarzy, mszałów i kalendarzy.

Wybiła tedy godzina zwycięstwa i męczeństwa dla Chrystusowego wyznawcy, przybliżył się czas narodzin w znaczeniu katakumbowych napisów, nazywających dzień zgonu *natalitiae*, tj. rozpoczęcie nowego, lepszego życia. Naznaczono ostatecznie termin procesu i śledztwa dla świątobliwego więźnia. Tu samiż protestanccy pisarze świadczą, iż nie było nic niesprawiedliwszego nad sądową w Anglii procedurę. Macanlay drastycznie się o niej wyraża, twierdząc, iż angielskie procesy państwowe w owych czasach były poprostu morderstwami, ulegalizowanemi przez kilka urzędowych ceremonij. Dla ciężkiej choroby nowego kardynała odroczono do 17 czerwca ostateczną rozprawę. Postawiono mu mianowicie dwa stanowcze pytania: „czy zechce uznać w królu naczelną głowę angielskiego Kościoła, i czy się zgodzi na prawomocność ślubów z Anną, a unieważnienie związku z Katarzyną?" W dniu 17 czerwca 1535 r. przywiedziono obwinionego o zdradę stanu biskupa z Toweru do Westminsteru, i to z wielką okazałością, w orszaku zbrojnych ludzi, z toporem kata, niesionym na przedzie. Że zaś słabość nie pozwalała mu iść pieszo, część drogi odbył na koniu, część zaś łodzią na Tamizie. Zdawało się, iż w tej drodze skończy życie z wyczerpnięcia sił; wesołą jednak sędziom okazał twarz i pogodnie słuchał odczytanego sobie aktu oskarżenia i wyroku śmierci. Wszystkie do-

kumenta zgadzają się na jedno, mianowicie: że mimo tytułu zdrady stanu, nadanego całej sprawie, jedyną udowodnioną winą było, iż nie chciał uznać supremacyi królewskiej nad Kościołem i duchownemi sprawami. Na tem się ograniczała rzekoma zdrada i zbrodnia. Chapuys, cesarski wysłaniec, tak streszcza cały przebieg sądowego posiedzenia i wyroku: „W dniu 17 czerwca kardynał Fisher, biskup rochesterski, został wezwany przed sąd. Oznajmiono mu zgóry, iż nie stawiają go przed trybunałem, aby dysputował, lecz tylko, aby wysłuchał wyroku śmierci za przekroczenie praw państwa, które stanowią, iż król ma być głową narodowego Kościoła. Odpowiedział, iż nie przekroczył owych praw z niechęci osobistej, lecz z czystego obowiązku, skoro się takowe sprzeciwiają zakonowi bożemu i wierze św. Zaczem skazano go na śmierć podobną do tej, którą ponieśli Kartuzi; rzekł wtedy, iż gotów jest umierać, i w Bogu ufa, że mu da wytrwać aż do końca. W powrocie do Toweru odprowadzały go tłumy płaczącego nad nim i wołającego o błogosławieństwo ludu". Takiej to procesyi i ingresu doczekał się nowy purpurat. Za powrotem do Toweru uprzejmie dziękował straży, która go do Westminsteru wiodła, i przepraszał, że w swem ubóstwie niczem im tego trudu wynagrodzić nie jest w stanie.

Wyrok barbarzyński głosił, iż według zwykłej wówczas procedury sądowej, święty męczennik miał być powieszony w Tyborne, a następnie żyw jeszcze ćwiartowany i palony w ogniu, jako zdrajca. W ostatniej chwili złagodzono srogość wyroku, lecz nie z litości, ale raczej z obawy, iżby przysposobiona ofiara w drodze ku dość dalekiemu Tyborne nie wyzionęła ducha i nie zawiodła przedwczesną śmiercią miecza katowskiego. Postanowiono tedy na pobliskim pagórku, zwanym Towerhill, ściąć głowę męczennikowi, wyznaczając na to dzień 22 czerwca 1535 r.

Nie uprzedzono świętego wyznawcę o tym terminie, dopiero na parę godzin przed spełnieniem wyroku zbudzono go, aby mu bliską śmierć oznajmić. Spokojnie tę wiadomość przyjąwszy, jeszcze zasnął na dwie godziny, a następnie zdjął włosiennicę i staranniej niż zwykle się przyodział. Zapytany o po-

wód takiej o zewnętrzne ochędóstwo staranności, odpowiedział: „Wszakże to dzień moich godów, więc strój weselny przywdziać należy na ślubny obrządek". Zabrawszy z sobą księgę Nowego Testamentu, przeżegnał się i wyszedł z celi więziennej, atoli tak był osłabiony, iż go musiano nieść na krześle aż do bram Toweru, gdzie nań oczekiwali szeryfowie londyńscy, wyznaczeni do spełnienia wyroku. Kiedy orszak zatrzymał się przy końcu murów warowni, powstał świątobliwy biskup z krzesła, a oparłszy się o ścianę, otworzył Pismo św., mówiąc: „Po raz ostatni, Panie, otwieram tę księgę; daj, niech trafię na słowa, któremiby sługa Twój mógł Ci oddać chwałę w tej swojej ostatniej godzinie". I oto wzrok jego padł na tekst: *A ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, samego Boga prawdziwego, i któregoś posłał, Jezusa Chrystusa. Jam wsławił Ciebie na ziemi: wykonałem sprawę, którąś mi zlecił. A teraz wsław mię Ty, Ojcze, sam u siebie chwałą, którąm miał u Ciebie pierwej*[1]. Zaczem książkę zamknął, mówiąc: „Oto dosyć nauki dla mnie do końca życia". I wnet wydano go w ręce szeryfów, a on po drodze modlił się i rozpamiętywał przeczytane słowa. Gdy stanął pod rusztowaniem, ci, co go prowadzili, chcieli mu pomódz do wstąpienia na stopnie; ale on poszedł sam, mimo słabości i wieku, z dziwną a niespodziewaną wchodząc żwawością. W tej chwili z południa promienie słońca oświeciły twarz jego, a on podniósł ręce i powtórzył słowa psalmu: *Accedite ad eum, et illuminamini, et facies vestrae non confundentur.* Wedle zwyczaju, kat przyklękł, żądając przebaczenia. „Z całego serca ci przebaczam i tuszę sobie, że zobaczysz, jak wesoło tę burzę przetrwam" — odpowiedział biskup. Zdjęto mu tedy zwierzchnie jego szaty, a lud tłumnie zebrany z podziwem i zgrozą oglądał wyniszczenie ciała błogosławionego wyznawcy. Nie było już nic w jego postaci, jeno skóra i kości, a wzrost wysoki uwydatniał jeszcze chudość członków. Niby żywy kościotrup, strawiony ogniem ducha, stanął wobec zgromadzonych, którzy zrozumieli wówczas, jaka to niegodziwość skracać dnie już i tak

[1] Ewang. św. Jana, rozdz. XVII., w. 3—5.

policzone, i zadawać cios śmiertelny stojącemu w progach śmierci starcowi.

Gdy tedy kardynał Fisher stanął na rusztowaniu, odezwał się do ludu tak silnym i wyraźnym głosem, że wszyscy się dziwili, zkąd taka moc u złamanego wiekiem i cierpieniem starca. Wesele pobrzmiewało w tej jego ostatniej przemowie do ludu chrześcijańskiego: „Umieram za wiarę Chrystusową katolickiego Kościoła, a dziękuję Bogu, iż dotąd nie zaznałem strachu śmierci. Dlatego was proszę, abyście mi dopomagali modlitwą, ażebym zniósł cios śmiertelny bez bojaźni i zwątlenia wiary. Błagam zaś najwyższego Boga, by strzegł króla i królestwo, by wyciągnął nad niem rękę dobrotliwą i zsyłał królowi mądrych doradców". Domówiwszy tych słów, ukląkł i jął odmawiać niektóre modlitwy, a między innemi hymn: „Ciebie Boże chwalimy", i psalm: *W Tobiem, Panie, nadzieję położył.* Kat zawiązał mu oczy, i przysposobiona ofiara raz jeszcze gorąco do Boga westchnąwszy, złożyła głowę na pniu w tym celu zgotowanym, a miecz jednem cięciem spełnił okrutny wyrok. Krew naraz trysnęła tak obficie, iż dziwiono się, zkąd jej tyle zostało w wycieńczonem ciele. Nastąpiły sceny wznawiające dzieje św. Jana Chrzciciela, pierwszego męczennika za świętość Sakramentu małżeństwa. Wieść niesie, iż na wzór Herodyady, i Anna Boleyn zażądała, aby jej przyniesiono głowę swego wielkiego przeciwnika, a przypatrując się jej ze wzgardą, zawołać miała: „Oto więc głowa, która tak często przeciw mnie mówiła! Teraz już mi w niczem nie potrafi zaszkodzić" — przyczem miała ręką uderzyć w usta skrwawioną twarz męczennika, a zraniwszy się o jego ząb, przez resztę życia miała zachować na dłoni widoczny znak i bliznę. Legenda może wznowiła tylko pamięć Herodyady córki, ale historya natomiast zapisała bezlitośną brutalność Henryka, znęcającego się jeszcze nad zwłokami świętego biskupa. Obdarto ciało z bielizny i nagie pozostawiono przez dzień cały na rusztowaniu. Wieczorem dopiero rzucili męczeńskie zwłoki w dół, naprędce halabardami siepaczy wykopany, i zagrzebano je pospiesznie pod murem cmentarza, król bowiem kazał, aby jak najsromotniejszy biskupowi sprawić pogrzeb. Głowę zaś wrzucono do wrzącej

wody, i tak ugotowaną zatknięto na oszczepie i postawiono przy moście londyńskim, obok ciał Kartuzów, umęczonych poprzednio. Po czternastu dniach takiego na skwar słoneczny wystawienia, rysy świętego wyznawcy żadnej nie uległy zmianie ani rozkładowi; owszem, łagodny rumieniec okrywał jego oblicze, a usta zdawały się przemawiać do tłumów, cisnących się wokoło i uznających cud wyraźny w tem zachowaniu oblicza męczennika... Nareszcie po dwóch tygodniach król kazał zrzucić głowę Fishera wprost do Tamizy, a natomiast wystawić głowę jego przyjaciela i współtowarzysza, Tomasza Morusa, ściętego w dniu 6 lipca tegoż roku.

W roku 1536 pojawił się list łaciński, opisujący śmierć obydwóch męczenników, rzekomo pisany przez niejakiego Wilhelma Covrinusa Nucerina, do Filipa Montana, w którym atoli łatwo można było poznać pióro i myśl uczonego Erazma, opłakującego w gorących słowach obu przyjaciół i podającego szczegóły krwawego wyroku. Wysłaniec cesarski zapisał ze swojej strony dziką radość ukoronowanego potwora, obchodzącego hulanką wyzwolenie swe od dwóch nieugiętych doradców, którzy mu sami jedni szczerą wypowiadali prawdę.

Miejsce doraźnego pogrzebu świętego biskupa znaczyło się przez długie lata wysychaniem dokoła wszelkiej roślinności. Żadną trawą ni listkiem nie zazieleniła się przez cały szereg lat kilkotygodniowa jego mogiła; kiedy bowiem spełnił się wyrok królewski i na kanclerzu Tomaszu, połączono zwłoki obu męczenników w podziemiach Toweru, pod kaplicą św. Piotra w Okowach. Tam to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podziśdzień spoczywają pospołu w oczekiwaniu zmartwychwstania popioły Fishera i Morusa, a dziwnem zrządzeniem losu, tam też złożono i ciało tej, która była bezpośrednią ich męczeństwa przyczyną, Anny Boleyn, i jej brata, wice-hrabiego Rochford.

Stan zniszczenia tego przybytku, chowającego w swych murach groby tylu znakomitych i nieszczęśliwych ofiar, zawstydzał sumienie narodowe. To też w r. 1876 królowa Wiktorya upoważniła do podjęcia koniecznych napraw i restauracyi. Pogrzeby odprawiały się tu tak pospiesznie, a nowe krwawe zwłoki

tak szybko przychodziły mieszać spokój dawniejszych nieboszczyków, iż okazała się konieczność zdjąć posadzkę i ułożyć porozrzucane w nieładzie kości. Zebrano je tedy z przynależną starannością i uszanowaniem, poumieszczano w odpowiednych trumienkach i złożono w krypcie, pod północną częścią kościółka. Na pamiątkowej tablicy, wmurowanej przy wejściu, wyryto nazwiska trzydziestu czterech znakomitych osób, pogrzebanych w tej kaplicy, wraz z datą ich stracenia. Poczet otwiera hrabia Kildare z rokiem 1534, a zamyka lord Lovat w 1747 r. Uwagi godne są następujące imiona i daty:

John Fisher, biskup z Rochester . .	1535
Sir Thomas More	1535
Jerzy Boleyn, wice-hrabia Rochford .	1536
Królowa Anna Boleyn	1536

Następstwo to wymowniejszem jest nad wszelkie komentarze. Nasz biograf wspomina, iż kardynał-męczennik za życia jeszcze przygotował sobie grobowiec w Św.-Jańskiem kolegium w Cambridge, gdzie nigdy spocząć nie miał, oraz, że mnogie poczynił fundacye mszalne, które Reformacya zagarnęła, a które przywiązane były do tegoż kolegium starej wszechnicy. Współczesne wiadomości niosą, jak szeroki odgłos znalazł zgon męczeński Fishera i Morusa w całej Europie, jak uroczyste egzekwie odprawiano w Rzymie, Paryżu, Hiszpanii, Niemczech. Papież Paweł III. zaniósł protest do królów chrześcijańskich, oświadczając, iż Henryka za tyle zbrodni należy wyzuć z królestwa i królewskiej godności. Minęły atoli czasy, w których monarchowie oglądali się na inwestyturę z Rzymu, a niezgoda panów chrześcijańskich na żadną wspólną nie pozwalała akcyę. Niebawem śmierć Katarzyny Aragońskiej i tragiczny koniec Anny Boleyn obudziły nadzieję pewnego opamiętania w królewskim rozpustniku. Rozwiał on szybko to złudne mniemanie. Owszem, jął oszczerstwami ścigać pamięć tych, których okrutnie zamordował, oskarżając ich wciąż o zdradę i rokosz. Wśród trwożliwego uciszenia wobec Henryka, wypowiedział mu prawdę bliski jego powinowaty, późniejszy kardynał, Reginald Pole. W rozprawie, dotyczącej jedności Kościoła, dostojny pisarz palącemi słowy wyrzucał mo-

narsze sądowe zamordowanie ludzi takich jak Fisher i Morus, i miotał mu w oczy krwawe świadectwo zgłuszonego sumienia. Reginald Pole gromonośne swe pismo przysłał z zagranicy, gdzie jako wygnaniec przebywał. Nie wiedząc, jak go swą pomstą dosięgnąć, Henryk wywarł takową na sędziwej matce Reginalda, hrabinie Salisbury, którą w Towerze stracić rozkazał, ażeby jej syna ugodzić w serce, skoro mu głowy odjąć nie był w stanie.

W pół roku po męczeństwie Fishera, królowa Katarzyna Aragońska połączyła się z świątobliwym swym obrońcą i doradcą. Nad Anglią zapanował postrach i przerażenie. Klęski elementarne zdawały się nieść rychłą karę za zbrodnie królewskie. Przeciągłe deszcze sprowadziły nieurodzaj, groziły głodem i niedostatkiem. Henryka atoli nic nie powstrzymywało na obranych manowcach — rozszerzał on wciąż przepaść dzielącą go od katolickiego Kościoła. Czy przeto ofiara Fishera i Morusa poszła na marne? czy krew ich daremnie się polała? Pierwszy z nich często lubił powtarzać, iż Duch św. nigdy w Kościele bezczynnym nie zostaje, *Sancti Spiritus non otiosa in Ecclesia residentia.* Za życia opłakiwał stan Kościoła, poniżenie i rozluźnienie karności duchowieństwa, zgłuszenie słowa bożego, opuszczenie owieczek przez własnych, przeniewierczych pasterzy, nie przeczuwając jak bliskim był nowy blask świętości na łonie wiecznie płodnej Oblubienicy Chrystusowej. W tymże roku 1534, w uroczystość Wniebowzięcia N. M. P., gdy on, biskup wygnany i uwięziony w samotnej wieży, nawet Mszy św. odprawić nie mógł, na Montmartre w Paryżu błogosławiony Piotr Faber po Mszy św. odbierał śluby Ignacego z Loyola, Franciszka Ksawerego i czterech ich towarzyszów, zakładających podwaliny Jezusowego zakonu. W tymże czasie Michał Ghisleri nie przewidywał, iż ćwicząc się w ascezie w klasztorze dominikańskim, gotował się do świetnego w przyszłości pontyfikatu pod imieniem Piusa V., Tomasz z Villanowy zadość czynił w zakonie augustyańskim za odszczepieństwo Lutra, franciszkanin Piotr z Alkantary klęczał w zachwycie przed Najśw. Sakramentem, Jan z Avili apostołował cudownie po Andaluzyi, św. Kajetan zapalał serca ku miłości bożej w Neapolu, Hieronim Emilianus kończył żywot świątobliwy w mieście wie-

cznem, Ludwik Bertrand gotował się pokutą do prac apostolskich w Ameryce, Andrzej z Awellinu udoskonalał stan kapłański, św. Filip Nereusz poczynał działać zbawiennie na ludność Rzymu, św. Franciszek Borgiasz, młody markiz Gaudyi, w świeckim stanie zapowiadał już wysoką świątobliwość późniejszego żywota. Wspomnieliśmy zaledwie część nazwisk świętych współczesnych z męczeństwem Fishera, nie mówiąc o znajomszych nam imionach świętych Polaków, w tymże czasie kwitnących. Jeśli inne narody chełpiły się świetnym pocztem wyznawców, Anglia niebawem dostarczyła całych zastępów męczenników; zanim XVI. ubiegło stulecie, znalazły się całe setki i tysiące naśladowców stałości błogosławionego Fishera, ginących z ręki tyrana za opór przeciwko supremacyi Henryka nad Kościołem.

Długo Rzym w swej roztropności zwlekał z policzeniem owych męczenników w szeregi błogosławionych, nie chcąc wywoływać nowych objawów fanatyzmu na ziemi angielskiej. Zmieniły się atoli czasy, zmilkły dzikie przeciw „papizmowi“ wycia, zlagodziły się kacerskiego buntu nienawiści. Nad „wyspą Świętych“ powiał prąd łaski i zmiłowania, a fala prawdy podmywa budowę pychy, która zewsząd porysowana, w bliskim już może runie czasie. Dekret beatyfikacyjny Leona XIII. podniósł na ołtarze męczenników angielskich, którzy ponieśli śmierć za wiarę między latami 1535 a 1583. Sprawa onego ich uczczenia już w 1860 r. wniesioną została do stóp Piusa IX. przez kardynała Mikołaja Wisemana, który błagał papieża o ustanowienie ogólnego święta ku pamięci wszystkich świętych Męczenników, co życie swe w Anglii położyli za sprawy katolickiego Kościoła i powagę Stolicy św. Takie atoli ogólnikowe pozwolenie nie mogło być udzielone; dlatego w ostatnich latach kardynał Manning wespół z episkopatem angielskim dostarczył bliższych dokumentów i dowodów, nową wnosząc prośbę do apostolskiej Stolicy, i tym razem pożądany odniósł skutek, gdyż naznaczono uroczystość męczeńską na dzień 4 maja, z osobną Mszą św. i pacierzami.

Przeczytawszy obszerne dzieło ks. Bridgetta, zajrzeliśmy

do Żywotów Skargi, wydanych 1644 r.[1]. Zdumiała nas rychła i szczegółowa wiadomość, jaką Skarga o tak niedawnych wypadkach posiadał. Wszystkie podane nazwiska i rysy jak raz przystają do dzisiejszych badań i krytycznych studyów, a nie możemy lepiej zakończyć naszego streszczenia biografii błogosławionego Jana Fishera, jak słowami, któremi Skarga zamyka swoją rzecz o „Męczennikach w Angliey“: „Czasów teraźniejszych — pisze — tamże w Anglii o wyznanie wiary katolickiej wiele innych jest pomordowanych ludzi stanu kapłańskiego, proroków bożych wielkiej niewinności i nauki, którzy z uprzejmej ku Panu Bogu i bliźniemu miłości, w ojczyźnie swojej katolikom utrapionym pomoc i podporę statku i wytrwania przy prawdzie Chrystusowej dawali“. Czytanie ich żywotów, odświeżanie ich pamięci nie inny skutek mieć powinno. W innych potrzebach, pokusach i próbach żyjąc, znajdziemy jednaką podporę statku w przykładach, pozostawionych nam przez poprzedników naszych na królewskiej drodze Krzyża.

M.

[1] U Andrzeja Piotrkowczyka.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

VI.

Reakcya białego terroru. — Nowe środki represyjne. — Nowe aresztowania i srogie egzekucye. — Zjazd terrorystów w Lipiecku. — Ugoda terrorystów z *Zemlą i wolą* na kongresie w Woroneżu, wnet rozerwana. — Rozdział na grupy Narodowolców i Narodników, czyli Czornopieredjełców. — Komitet wykonawczy terrorystyczny dekretuje śmierć cara i układa program akcyi.

W tym zamęcie powszechnym i wyczekiwaniu gorszego złego, rząd nie miał innego środka, jak spotęgować o jednę skalę wyżej swój biały terror. Już na wiosnę 1878 r. zaprowadzono w całej Rosyi straż ziemską z obszernemi atrybucyami; każdy mieszkaniec dostawał się pod nadzór policyjny, a z każdym przybyszem zarządzano formalne śledztwo. Ukazem z d. 9 maja oddano wszystkie zbrodnie zakłócenia publicznego spokoju pod sądy kryminalne, lub nadzwyczajne komisye senatu. Po zabójstwie Mezencowa, ukazem z d. 9 sierpnia wszelkie polityczne zbrodnie: zabójstwa, zranienia, zbrojnego oporu, oddano pod sądy wojenne. Wnet potem wyszła ustawa o wprowadzeniu w 46 guberniach rosyjskich nowej instytucyi, t. zw. „sierżantów dozoru policyjnego“. Wzmocniono policyę w większych miastach, dodano jej w Petersburgu 500 gwardzistów, w Moskwie 500 żołnierzy, w Kijowie 200 i t. d. Każdy *stanowy prystaw* otrzymał dwóch „sierżantów“ konnych do pomocy straży ziemskiej, z wła-

dzą aresztowania każdego, kto się im wyda podejrzanym. W stolicy zwłaszcza policya jak polip otoczyła wszystkie warstwy, lokale, domy, mieszkania i rozwinęła czynność niesłychaną. Dzięki temu odkryto komitet centralny *Zemlí i woli* 15 września 1878; najlepsze głowy: Adryan Michajłow, Sabarow, Oboljeszyn, Sobolow, lekarz Wajmar, panny Malinowska i Kalinkin, dostały się do więzienia. Wnet jednak Aleksander Michajłow, przy pomocy Perowskiej i trzech innych członków, zorganizował nowy komitet, który, jak wspomnieliśmy, urządził własną tajną drukarnię i pismo *Zemlá i wola* regularnie wydawać począł.

Odezwał się nareszcie i cesarz do swego ludu, i w manifeście z d. 20 sierpnia, wzywa społeczeństwo całe, „aby jednomyślnie i wspólnie z rządem jęło się wielkiej pracy: wykorzenienia z gruntu złego pochodzącego z fałszywych nauk, narzucanych narodowi przez propagandę przewrotnych pojęć i praktykę straszliwych zbrodni“ [1], to znaczy, aby „kramołę“ tj. bandę, dopomogło szpiegować, śledzić i więzić nihilistów. Na rolę szpiega i donosiciela rządowego inteligentne społeczeństwo rosyjskie zgodzić się nie chciało: zażądało wolności prasy, słowa, nietykalności osobistej i swobody politycznej, przynajmniej takiej, jaką ma Bułgarya, i dopiero taką broń mając w ręku, oświadczyło się z gotowością zwalczania nihilizmu. Ta była treść odpowiedzi na manifest sierpniowy znacznej części ziemstw, które zimą 1878/9 r. w różnych stronach państwa zebrania swe odbyły, i deputatów do cara wysłały. Deputaci charkowscy i moskiewscy wręczyli te żądania ministrowi. Ziemstwo czernichowskie oświadczyło, że źródło złego tkwi w spaczonej organizacyi szkół wyższych i średnich, w braku wolności słowa i prasy, i braku poczucia prawa u ludu — że wreszcie z boleścią wyznać musi, iż w walce z rewolucyą jest bezsilnem. Półtawskie ziemstwo postanowiło wysłać komisyę do rządu z prośbą o rozszerzenie ich praw i przywilejów, a twerskie upatrywało złe w sekciarstwie i przewrotności szkolnego systemu. Słowem, opinia ziemstw mniej lub więcej wyraźna, domagała się zmian w konstytucyjno-liberalnym kierunku.

[1] *Czas* r. 1878, nr. 204.

Była to woda na młyn partyi liberalnej w Petersburgu, która od kongresu berlińskiego rosła z dniem każdym; ale też i nihiliści przekonali się teraz jasno, że to nie szlachta, ale rząd jest głównym wrogiem ich dążności i celów. Nastąpiło więc zbliżenie się liberałów do nihilistów umiarkowanych, a w kołach terrorystów coraz wyraźniej kiełkować poczęła myśl zamordowania cara, samowładcy, a tem samem sprawcy wszystkiego złego w Rosyi. Już w jesieni 1878 r. kilku południowych terrorystów, jak podoficer Dawidenko, Łogowenko, Czubarow, w porozumieniu z Bittenbergiem i oficerami marynarki, podłożyli minę w Mikołajewie nad Czarnem morzem, którą jednak zawczasu wykryła policya. W marcu 1879 przybyli do Petersburga żyd Goldenberg, zabójca księcia Krapotkina, i Sołowiew, pisarz gminny z gub. saratowskiej, zapoznali się z A. Michajłowem, żydem Sundelewiczem i Kwiatkowskim, a przez nich z komitetem *Zemli i woli*. Naradzano się na seryo nad zamordowaniem cesarza; Goldenberg i Sołowiew ofiarowali się na wykonawców zbrodni. Goldenberga jako „polskiego“ żyda odrzucono, aby zamach nie miał cechy narodowej zemsty za ucisk Polaków. Sołowiew zakończył naradę słowami: „to moja sprawa, Aleksander II. do mnie należy, nie odstąpię go nikomu“ — i wyszedł.

Dnia 2 kwietnia napadł na cesarza, przechadzającego się swobodnie przed budynkiem głównego sztabu, dał do niego cztery strzały rewolwerowe, które chybiły; powalony przez stójkowych na ziemię, dał piąty strzał, który zranił lekko w twarz jakąś osobę z publiczności. Czy to wskutek powalenia na ziemię i bicia przez stójkowych i publiczność, czy też wskutek zażytej trucizny, dostał wybuchu krwi, który wnet zatamowano, poczem odstawiono go pod silną strażą do Petropawłowskiej krèposti i rozpoczęto śledztwo, a z niem liczne nowe aresztowania. Nihiliści odezwą, rozlepioną po ulicach stolicy w nocy z dnia 30 na 31 marca i 2 kwietnia, uprzedzając zamach Sołowiewa, wyparli się z nim solidarności. On też w śledztwie aż do ostatniej chwili życia twierdził stale, że wspólników swej zbrodni nie ma żadnych. W odezwie tej do „pana Aleksandra Mikołajewicza“ czytamy: „...chwilowo ani panu ani żadnemu z członków jego rodziny nie

grozi nic ze strony komitetu wykonawczego. Najsamprzód chcemy stajnię Augiasza despotyzmu wyczyścić..., uwolnić naród od administracyjnych łotrów, którzy niewinnych pakują do więzień i bez litości tam katują... My utworzyliśmy obecnie sąd, bez litości urząd nasz sprawować będziemy i nie cofniemy się przed żadnym środkiem... Płód piekielny krwawego despotyzmu wytępimy ogniem i żelazem... Usłuchaj głosu ziemstw, które żądają tylko wolnomyślnego prawodawstwa... Świat cywilizowany wyśmiewa nas..., materyalnie jest cała Rosya zniszczoną do gruntu..., system szkół w Rosyi jest systemem ogłupienia... Armia pańskich czynowników to okrutna, nienasycona szajka złodziei. Sądownictwo urąga się sprawiedliwości. Pańskie gubernatory, policmajstry i jenerały, to satrapy godne Kserksesa lub Daryusza... Pamiętaj Aleksandrze Mikołajewiczu, dokąd to wszystko prowadzi. Pan zmierzasz wprost do przepaści, i dlatego chcemy ochronić twe życie. Komitet wykonawczy“ [1]. — Nie był to jeszcze dekret, ale ostrzeżenie przed dekretem śmierci.

Nie śmiem twierdzić na pewno, ale zdaje się, że na dzień 2 kwietnia, jako pierwszy dzień wielkanocny, w razie udania się zamachu na cara, przygotowane były w innych także miastach zaburzenia ludowe czyli „borby“. Tak np. tegoż samego dnia, 2/14 kwietnia, powstały groźne rozruchy w Rostowie nad Donem. Wzburzone tłumy zbiły strażników konnych, zniszczyły do szczętu dom policmajstra Serbina i jego pomocników, Bublikowskiego i Żemczużnikowa, rzuciły się do grabieży i podpalania innych domów i kramów. Dopiero batalion piechoty i trzy sotnie kozaków, przybyłe z Nowoczerkaska i Taganrogu, rozegnały tłum rozbestwiony. Szereg pożarów, niszczących miasta wschodnio-południowej Rosyi w r. 1878 i 1879, przypisywano powszechnie robotom nihilistów — oni się nie wypierali.

Ocalonemu cesarzowi stolica wyprawiła owacyę, dwory europejskie, a za nimi ziemstwa i większe miasta Rosyi, przesłały czułe gratulacye. On tymczasem zwoławszy doradców państwa, wydał dnia 5/17 kwietnia ukaz, rozciągający stan oblężenia na

[1] *Czas* r. 1879, nr. 89.

północno-południową Rosyę. Jenerał-gubernatorowie: Hurko w Petersburgu, Loris-Melikow w Charkowie, Todtleben w Odessie, niby współcesarze, objęli wraz z jenerał-gubernatorami Moskwy, Kijowa i Warszawy administracyjną i wojskową władzę nad Rosyą. Wszystkie gubernialne władze ulegać im muszą, jak podczas wojny komendantom armii. Im przysługuje prawo oddawania wszystkich cywilnych więźniów „według własnego indywidualnego zapatrywania“ pod sąd wojenny, aresztowania i wydalania osób im podejrzanych; zawieszania dzienników i wydawania rozporządzeń, które im się stosowne wydadzą dla zabezpieczenia porządku publicznego. Nie z innemi „instrukcyami“ wyjeżdżali propretorowie rzymscy na poskromienie zbuntowanych prowincyj. Wnet za przykładem Hurki wydali nowi „carzykowie“ szereg rozporządzeń, ustanawiających po domach „stróżów dyżurnych“ z policyjną władzą i obowiązkiem szpiegowania i donoszenia o wszystkiem i wszystkich, co się im wyda podejrzanem. Nakazano każdemu opatrzeć się w paszport, nosić go przy sobie i okazać na każde żądanie policyi, sierżanta, stójkowego lub stróża. Kto paszportu nie miał lub miał go, ale na cudze nazwisko, stawał się odrazu „niebłahonadjożnym“, niepewnym. Utrzymywanie magazynów broni i materyałów palnych, sprzedaż i kupno takowych dziać się może jedynie za pisemnem pozwoleniem policmajstra — przekroczenie tego przepisu ulega grzywnie 500 rubli i więzieniu aż do 6 miesięcy. Pod takąż karą niewolno mieć u siebie żadnej broni bez pisemnego pozwolenia policyi. Dorożkarzy poddano szczególniejszym przepisom policyjnym: ruszyć im z miejsca niewolno, jeżeli na placu nie stoi w pogotowiu przepisana liczba dorożek. Uniwersytetom odebrano resztę autonomicznych urządzeń, wzbroniono wszelkich schadzek i stowarzyszeń, ograniczono liczbę uczniów, profesorów wraz z młodzieżą poddano pod władzę administracyjną; to dało powód, że gremium profesorów w Petersburgu i Odessie podało się do dymisyi. Słowem, jak w świeżo zawojowanym kraju, tak we własnej „świętej“ Rosyi czuł się każdy uczciwy obywatel niewolnikiem. Kto mógł, wyjeżdżał, aby odetchnąć swobodniej, za granicę; kto szlachetniejszy, usuwał się od urzędowania, bo

ono stawało się rzeczą wstrętną. Dla zadokumentowania swej władzy, „carzykowie“ zabrali się do wieszania więźniów politycznych, których mieli pod ręką [1], i aresztowań masami. Srożyli się przedewszystkiem: Hurko w Petersburgu, Todtleben w Odessie, Czortkow w Kijowie. „Zapanował tu teraz — pisze 14/26 kwietnia spokojny obywatel kijowski do swego przyjaciela — terroryzm wojskowy. Aresztowania odbywają się co chwila po ulicach. Jenerał-gubernator i inni urzędnicy nie wychodzą i nie wyjeżdżają inaczej, jak tylko z eskortą, otoczeni czerkiesami, umyślnie sprowadzonymi dla bezpieczeństwa jenerała Czortkowa, lub w towarzystwie kozaków z pikami, co czasem zdaleka wygląda, jak gdyby nieśli baldachim. Na Padole (przedmieście) ciągłe rewizye po domach i strychach. Aresztowane osoby giną bez śladu na tak zwanej drodze administracyjnej. Dziś wywieziono sześciu... Na wypadek zbrojnych rozruchów wojsko ma już mieć pozwolenie ‚pohulania sobie‘. Uniwersytet tutejszy jeszcze otwarty, ale na święta uczniowie prawosławni nie dostali urlopów. Wielka stagnacya w handlu i widoczne przygnębienie umysłów. Jest także obawa przed srogością jenerała Czortkowa. Z tem wszystkiem przeważa przekonanie, że stan oblężenia do niczego nie

[1] Oto ich smutny rejestr:

J. M. Kowalski rozstrzelany w Odessie 2 września 1878 r.

Powieszeni:

Ofin Dubrowin w Petersburgu 2 kwietnia 1879 r.

Walenty Osiński, Brandner i Antonow (Swirydenko) w Kijowie 14 maja 1879 roku.

A. K. Sołowiew w Petersburgu 28 maja 1879 r.

I. Biłczański, Górski, Fedorow (Gobst) w Kijowie 10 sierpnia 1879 r.

Czubarow, Łysogub i Dawidenko w Odessie 10 sierpnia 1879 r. za zamach na cara w Mikołajewie.

Bittenberg i Łogowenko w Mikołajewie 11 sierpnia 1879 r.

Malinka, Majdański, Drobiugnin w Odessie 7 grudnia 1879 r.

Młodecki w Petersburgu 22 lutego 1880 r.

Rozowski i Łoziński w Kijowie 5 marca 1880 r.

Aleks. Kwiatkowski i Presniakow w Petersburgu 4 listopada 1880 r.

Bejte zastrzelony przez żołnierza straż trzymającego w cytadeli warszawskiej 30 czerwca 1879 r.

Bewerlej zastrzelony od straży przy ucieczce z więzienia kijowskiego 29 kwietnia 1879 r.

doprowadzi i złemu nie położy końca... Wiadomość o wymierzeniu kary chłosty na tutejszym policmajstrze przez nihilistów jest najzupełniej autentyczną“.—Oto obraz Kijowa, obraz miast większych i stolicy.

Niepodobna podać choćby w przybliżeniu cyfry uwięzionych ani szczegółów nieraz komicznych, zawsze wstrętnych i barbarzyńskich, przy aresztowaniu dzielniejszych nihilistów, którzy zazwyczaj nie dawali się brać „jak barany“, ale bronili się rewolwerem, pięścią i zębami. Tem mniej niepodobna opisać szczegółowo przyboru sądowego, jaki tylko w jednej Rosyi się jeszcze praktykuje, toku śledztw i rozpraw, bo rosyjskie dzienniki z nakazu władzy albo milczały, albo podawały treść protokółów nierzetelnie. Dosyć będzie, gdy powiem, że w ciągu dwóch lat, 1879 i 1880, odbyło się w Petersburgu, Odessie, Kijowie, Charkowie i Moskwie przeszło 40 procesów nihilistycznych, a wszystkie kończyły się wymierzeniem kary śmierci lub katorgi [1].

[1] Oto spis procesów nihilistycznych, według kalendarza „Narodnej woli“ na rok 1883:

Rok 1879. Proces Fomina w Charkowie 21 lutego; skazany na 20 lat katorgi.

Bobopowa w Archangielsku 12 marca: skazany do katorgi; za usiłowaną ucieczkę został powieszony z rozkazu Drentelna, szefa 3 oddziału żandarmeryi.

Dubrowina w Petersburgu w kwietniu: skazany na śmierć.

Brandnera, Antonowa i 12 tow. w Kijowie 30 kwiet.—5 maja; skazano na śmierć 2, do katorgi 10, uwolniono 2.

Zubryłowicza, Mozgowowa i 5 tow. nad Donem 30 kwiet.; skazano do katorgi 2.

Osińskiego i 2 tow. w Kijowie 6 maja: skaz. na śmierć 1, do katorgi 2.

Dwóch braci Izbickich w Kijowie 8 maja: skazany do katorgi 1, na posilenie 1.

Sołowiewa w Petersburgu 25 maja: skaz. na śmierć.

Proces Czechryńskiej sprawy w Kijowie 8—10 czerwca. Podsądnych 50, z tych uciekło z turmy 3 (sławna ucieczka Stefanowicza, Deutsch i Bochanowskiego za sprawą Osińskiego), umarło w śledztwie 2, zasłano w Sybir 5, do turmy 2, ukarano aresztem 23, uwolniono 15.

Miniakowa i Goworuchina w Odessie 26 czerwca: skaz. do kat. 1, na Sybir 1.

Efremowa i 5 tow. w Charkowie 3—6 lipca: skaz. do kat. 5, na Sybir 1.

Maławskiego i 11 tow. w Kijowie 7—9 lipca: skaz. do kat. 3, na Sybir 1, do turmy 4, ukarano aresztem 1, uwolniono 3.

Tymczasem *Ziemla i wola* zapowiedziała swój coroczny walny zjazd do Woroneża, na koniec czerwca 1879. Większość związ-

Bilczańskiego i 10 tow. w Kijowie 7 lipca; skaz. na śmierć 2, do kat. 5, na posil. 2, na areszt 6, uwolniono 1.

Bogdanowicza w Kijowie 10 lipca: skaz. na katorgę.

Sieroszewskiego i Landa w cyt. warszaw. 10 lipca: zasłani w Sybir.

Fedorowa (Gobsta) i 2 tow. w Kijowie 14 lip.: skaz. na śmierć 1, do kat. 2.

Czubarowa i 28 tow. w Odessie 25 lipca — 5 sierpnia; skazano na śmierć 5, do kat. 18, na Sybir 5.

Krzyżanowskiego i 8 tow. w Kijowie 16 paźdz.: skaz. do kat. 6, na Sybir 3.

Tatarenczuka w Kijowie 19 paźdz.: skaz. do katorgi.

Mirskiego i 7 tow. w Petersburgu 15—17 listop.; skaz. do kat. 2; uwolniono 8, ale wysłano ich w Sybir drogą administr.

Malinki i 6 tow. w Odessie; skaz. na śmierć 3, do kat. 4.

Olechowskiego w Odessie 20 grudnia; zasłany do tobolskiej gubernii.

Rok 1880. Proces Rossikowa i 11 tow. w Odessie 10—14 stycznia (sprawa podkopu w Chersońskiem kaznaczejstwie); skazano do katorgi 2, na Sybir 2, do turmy 2, na roczne kary 3, wygnano ze służby 1, uwolniono 2.

Młodeckiego w Petersburgu 21 stycznia; skazany na śmierć.

Bogusławskiego w Kijowie 21 lutego: skaz. do kat. na zawsze.

Andruskiego w Kijowie w lutym; skaz. do kat.

Łozińskiego w Kijowie 23 lutego; skaz. na śmierć.

Rozowskiego i Rodoniowa w Kijowie 23 lut.; kara śmierci — katorgi.

Jastrzębskiego i 5 tow. w Charkowie 24 marca; skaz. do kat. 3.

Gellica i 18 tow. w Odessie 26 marca.

Antoszewicza i 5 tow. w Moskwie 9 kwiet.; skaz. do kat. 3, na Sybir 1, na areszt 2.

Lichaczewa i 7 tow. w Moskwie 12 kwiet.; skaz. na Sybir 3, do turmy 2.

Wajmara (lekarza) i 10 tow. w Petersburgu 6—24 maja; skaz. do kat. 7, na Sybir 4.

Obnorskiego i 2 tow. w Petersburgu 11 czerwca: skaz. do kat. 1, na więzienie 2.

Popowa, Jurkowskiego i 19 tow. w Kijowie 12—26 czerwca: skaz. do kat. 18, na Sybir 2, do turmy 1.

Lepieszyńskiego w Odessie 29 lipca: skaz. do turmy.

Priczgera w Kijowie 20 sierpnia.

Werstakowskiego w Moskwie 8 września; skaz. na więzienie.

Suszczańko i 13 tow. w Charkowie 22 września; zasłano w Sybir 2, do turmy 3, uwolniono 8.

Kwiatkowskiego i 15 tow. w Petersburgu 20—25 paźdz.: skaz. na śmierć 2, do kat. 12, na Sybir 2.

Piekarskiego w Moskwie; zasłany w Sybir na posil.

Tulisowa w Charkowie; zasłany w Sybir.

Gusiowskiego i Ignatiewa w Mikołajewie.

zkowych obstawała przy prowadzeniu dalej propagandy i agitacyi ludowej i robotniczej, przeciwną była terroryzmowi, jako noszącemu cechę wybitnie polityczną. Terroryści tedy, uprzedzając zjazd walny, zebrali się w liczbie 15 w Lipiecku, w gub. tambowskiej, na sejmik. Byli tam: Aleksander Michajłow, Fomenko, Tichomirow, Kołotkiewicz, Żeljabow, Szyrajew, Kwiatkowski, Morosow, Koczurnikow, Goldenberg i pięciu ludzi nieznanych nazwisk. Obrady trwały cztery dni, od 17—21 czerwca. Żeljabow przekonał wszystkich, że wobec terroryzmu rządowego wszelka propaganda i agitacya ludowa jest niemożebna; że więc należy najprzód podjąć rolę polityczną i złamać rząd despotyczny, a uzyskać taki rząd, przy którymby propaganda ludowa stała się możliwą. Zdobyć więc najprzód takie swobody i wolności, żeby zwołanie konstytucyjnego sejmu a następnie ogłoszenie rządu z woli ludu przeprowadzić się dało. Ubiwszy tę kwestyę, pytano, co robić wobec terroryzmu Todtlebena i towarzyszy? Znów podniósł głos Żeljabow: „nie godzi się przypatrywać obojętnie robotom jenerał-gubernatorów i innych czynowników. Ale ci ludzie są tylko narzędziem cara, jego więc należy ukarać śmiercią“. I ten wniosek Żeljabowa znalazł odgłos w usposobieniu zgromadzonych: wyrok śmierci na cara został w zasadzie uchwalony. Wreszcie naradzano się długo nad organizacyą związku. Na wniosek A. Michajłowa uchwalono ścisłą centralizacyę, ślepy posłuch i największą tajemnicę. Na tej podstawie ułożono program akcyi, w celu wywalczenia rządu ludowego w Rosyi, a między środkami do tego celu, zamordowanie cara. Do wykonawczego komitetu wybrano A. Michajłowa, Fomenkę i Tichomirowa [1], na redaktorów gazet *Czornyj Pieredjeł* i *Zjernò* Tichomirowa i Morosowa.

Tymczasem zjechali się członkowie *Zemli i woli* dość tłumnie do Woroneża na kongres. Skoro terroryści tam przybyli, domagali się przyjęcia do kongresu dla siebie i kilku nowych człon-

[1] Tichomirow, syn lekarza, należał 1873 do propagandzistów; aresztowany 1873, siedział w więzieniu lat 5 i wyszedł ztamtąd 1878 jako główny terrorysta.

ków. Przyjęto ich, między nimi Żeljabowa i Szyrajewa. Ale różnica zdań i zapatrywań była zbyt wielką. Partya *Zemlí i woli* nie chciała i słyszeć o politycznej agitacyi, pragnęła pozostać i nadal przy spokojnej propagandzie ludowej i agitacyi robotniczej. Rozprawy przewlekały się, ton ich stawał się coraz ostrzejszy; Żeljabow radził swoim zerwać zupełnie z *Zemlą i wolą*, Michajłow przeciwnie, doradzał kompromis. I przyszło do kompromisu, ale właściwe ustępstwa uczyniła tylko jedna strona: *Zemlá i wola* przyrzekła podnieść agitacyę o kilka stopni wyżej, i popierać terrorystów w walce z rządem i w wykonaniu zemsty na carze. Dlatego też uważano potem terrorystów za odłam *Zemlí i woli*, a pismo tejże nazwy za organ terrorystów. Niezadowolniony tym rezultatem kongresu Żeljabow, udał się do Charkowa, Kijowa i Odessy na werbunek nowych terrorystów; w tym samym celu A. Michajłow zamieszkał w Petersburgu, gdzie partya terrorystów częste miewała narady. Na jednem z tych zebrań, 15 sierpnia 1879, uchwalono po przyjacielsku rozerwanie kompromisu woronezkiego, i rozdział na dwie grupy: na polityczno-terrorystyczno-centralistyczną, od swego czasopisma *Narodnaja wola* nazwaną „Narodowolcami", i na federacyjno-socyalistyczno-rewolucyjną grupę, która od swego organu *Czornyj Pieredjeł* nazwę „Czornopieredjełców" albo Narodników przybrała. Obydwie grupy przyrzekły sobie czynną pomoc w dostarczaniu pieniędzy, druków, paszportów, środków do ułatwienia ucieczki więźniom i do wykonania skrytobójczych zamachów na życie niebezpiecznych dla nihilizmu osobistości. Po tym sojuszu, zawartym ostatecznie w Petersburgu, polecił komitet wykonawczy Tichomirowowi nakreślić program partyi terrorystycznej, i zadekretował karę śmierci na cesarza Aleksandra II., wybierającego się właśnie (9 sierpnia) w podróż do Liwadyi.

Kongres więc lipiecki i układ petersburski postawił kwestyę socyalną na drugim planie, a wysunął naprzód rewolucyę polityczną: obalenie rządu zapomocą terroru, a postawienie natomiast zcentralizowanego rządu komitetu wykonawczego, który rządzić będzie dopóty, dopokąd masy ludu, powołane do polity-

cznego życia, nie utworzą sobie nieustającego sejmu, a przez niego i na nim zupełnego samorządu.

Odpowiednio do tej myśli przewodniej nakreślona jest *Programma ispołnitjelnawo komiteta*, ogłoszona w kalendarzu „Narodnej woli“ z r. 1883 (str. 4—8). Oto jej przekład dosłowny:

A)

„Wyznajemy, że z przekonania jesteśmy socyalistami i narodowcami. Przekonani jesteśmy, że ludzkość tylko na podstawie socyalistycznych zasad dojść może do rozwoju wolności, równości i braterskości, ugruntować powszechny dobrobyt materyalny i przyswoić sobie wszechstronny stałobyt i postęp. Przekonani jesteśmy, że tylko wola narodu sankcyonować może normy społecznego życia, że rozwój narodu tylko wtenczas na pewnej spoczywa podstawie, kiedy rozwija się samodzielnie i swobodnie, tj. kiedy każda idea, dająca się zamienić w czyn, zgodną jest z samowiedzą i wolą narodu. Dobro narodu i wola narodu — oto dwa nasze najświętsze i nierozerwalne hasła.

B)

1. Zastanowiwszy się nad okolicznościami i stosunkami, w jakich naród rosyjski żyje, widzimy, że zostaje on w stanie najzupełniejszej niewoli ekonomicznej i politycznej. Robotnik zamęcza się pracą na utrzymanie i zbogacanie pasorzytów; mieszczanin nie ma praw żadnych. Całe rosyjskie społeczeństwo, to istota bez woli, która nawet swej woli objawić ani sformułować nie może; odebrana mu nawet możność myślenia o tem, co z jego jest dobrem lub z jego szkodą, każdą bowiem myśl, w której wola ludu się odbija, uważa się za zbrodnię przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Skrępowany ze wszystkich stron lud, doprowadzony jest do fizycznego wyrodzenia się, do ogłupienia i niewolnictwa wszelakiego.

2. Nad tym skowanym w łańcuchy ludem widzimy chmarę eksploatatorów oblegających go, wychowanych i wziętych w opiekę przez państwo. Widzimy, że państwo, samo przedstawiające największą potęgę kapitału w kraju, największym jest ujarzmicielem politycznym ludu, i obdarza czem może małe pijawki, wysysające krew ludu. Widzimy, że ta państwowo-mieszczańska narośl

tylko brutalną przemocą się trzyma, a mianowicie militarną, policyjną i biurokratyczną organizacyą, zupełnie tak, jak przed setkami lat Mongołowie pod Czyngishanem panowanie swoje nad nami rozciągali. Widzimy, że ta samowolna, brutalna władza nie ma sankcyi narodu. Ta władza utrzymuje się srogą przemocą tych państwowych i ekonomicznych zasad i form, które z życzeniami i ideałami ludu nie mają nic wspólnego.

3. W samym ludzie widzimy jeszcze żyjące stare tradycyjne zasady, pomimo tłumienia ich na wszelki sposób: mianowicie prawo narodu do ziemi, do samorządu gminnego, początki federacyjnego urządzenia, wolność sumienia i słowa. Te zasady rozwinęłyby się bez wątpienia bardzo szeroko i nadałyby naszej historyi zupełnie inny kierunek, gdyby tylko dano ludowi możność tak żyć i tak się urządzić, jak się jemu podoba.

C)

1. Odnośnie do tego co się dopiero powiedziało, my socyaliści i narodowcy postanowiliśmy sobie za najbliższe zadanie wyswobodzić lud od jarzma przygniatającego go państwa i z kajdan niewoli, i dokonać przewrotu politycznego, w celu p r z e n i e s i e n i a w ł a d z y n a l u d. Przez ten przewrót osiągniemy: *a)* że rozwój narodu pójdzie odtąd samodzielnie i zgodnie z wolą i życzeniami jego: *b)* że w naszem narodowem życiu czysto socyalistyczne zasady, wspólne nam z ludem, zostaną uznane i przeprowadzone.

2. Twierdzimy, że wola ludu dostatecznie i dobrze zostanie wskazaną i przeprowadzoną przez konstytuantę, powszechnem głosowaniem wybraną. Nie jestto naturalnie idealna forma objawienia woli ludu, ale w obecnych warunkach jestto jedyna forma praktyczna, i my z powodów oportunistycznych oświadczamy się za nią.

3. Tak więc celem naszym jest: o d e b r a ć w ł a d z ę o b e c n e m u r z ą d o w i i p r z e l a ć j ą n a z g r o m a d z e n i e k o n s t y t u c y j n e, którego zadaniem będzie poddać rewizyi wszystkie nasze państwowe i socyalne urządzenia i zreformować je według instrukcyi wyborców.

D)

„Poddając się zupełnie woli ludu, uważamy za stosowne, jako partya wystąpić przed ludem z gotowym programem. Programu tego będziemy się trzymać tak długo, dopokąd istniejący system nie upadnie: takowego także podczas wyborczej agitacyi trzymać się będziemy i w konstytucyjnem zebraniu będziemy go bronić. Program ten brzmi:

1. Nieustająca, w sposób wyżej nakreślony utworzona reprezentacya ludowa, posiadająca najzupełniejszą władzę co do wszystkich kwestyj państwowych.

2. Najobszerniejsza autonomia krajów, zagwarantowana prawem wybieralności wszystkich władz krajowych, samorządem gminy i niezależnością ekonomiczną ludu.

3. Samodzielność gminy jako ekonomicznej i administracyjnej jednostki.

4. Przynależność ziemi ludowi (ziemia jest własnością ludu).

5. System ustaw, mających oddać na własność w ręce robotników wielkie zakłady przemysłowe i fabryki.

6. Zupełna wolność sumienia, słowa, prasy, zebrań, stowarzyszeń i agitacyj wyborczych.

7. Najzupełniejsze prawo wybieralności, bez jakichkolwiek rodowych i majątkowych ograniczeń.

8. Zmiana stojącej armii na terytoryalną.

„Przeprowadzimy ten program i sądzimy, że w nim wszystkie punkta tak są powiązane, iż jeden nie może się obejść bez drugiego, i tylko w całości tego programu zabezpieczona jest polityczna i ekonomiczna wolność narodu i progresyjny jego rozwój.

E)

„Dla osiągnięcia wyż wskazanych celów, działalność naszej partyi obejmuje:

1. P r o p a g a c y j n ą i a g i t a c y j n ą a k c y ę. Propaganda ma na celu popularyzować we wszystkich warstwach ludności ideę demokratyczno-politycznego przewrotu, jako środka socyalnej reformy i programu partyi. Krytyka istniejącego ustroju, ozna-

czenie i wyjaśnienie sposobów dokonania przewrotu i społecznej reformy, stanowią istotę propagandy.

„Agitacya zaś streszcza się w tem, żeby w ludzie i społeczeństwie wywołać w najszerszych rozmiarach protest przeciw istniejącemu porządkowi i przedstawić żądania reform w duchu partyi: mianowicie zaś domagać się zwołania nieustającego zgromadzenia konstytucyjnego. Formami protestu mogą być zebrania, demonstracye, petycye, tendencyjne adresy, odmawianie podatków i t. p.

2. Działalność niszcząca i terrorystyczna. Ta polega na usuwaniu szkodliwych osób rządowych, na obronie partyi przed szpiegostwem, na piętnowaniu aktów gwałtu i samowoli rządowej administracyi; celem zaś jej jest ogołocić rządową władzę z aureoli chwały i siły, dawać nieprzerwane dowody możliwości walki przeciw rządowi, i tym sposobem podtrzymywać rewolucyjnego ducha w ludzie i wiarę w skuteczność sprawy, i wreszcie sformować zdolne, pełne poświęcenia siły do boju.

3. Organizacya tajnych towarzystw i zbieranie ich do jednego centrum. Organizacya małych tajnych związków z rewolucyjnemi dążnościami jest konieczną, już to dla wykonania rozlicznych funkcyj partyi, już to dla politycznego wykształcenia jej członków. Te jednak drobne organizacye dla jednolitego prowadzenia całej sprawy, zwłaszcza przy organizacyi przewrotu, muszą koniecznie grupować się około jednego wspólnego centrum, na zasadzie bądź zupełnej zależności, bądź federacyjnego sojuszu.

4. Zdobycie sobie wybitnego stanowiska i wpływu na administracyę, wojsko, na społeczeństwo i lud. Dla skutecznego spełnienia różnych funkcyj partyi, bardzo ważną jest rzeczą mieć stanowisko w różnych warstwach ludności. Dla dokonania przewrotu szczególnie ważną jest administracya i wojsko. Niemniej zwrócić musi uwagę partya na lud. Główne zadanie partyi w ludzie jest: przygotować jego współudział w przewrocie i uzdolnić go do skutecznej walki przy wyborach, celem przeprowadzenia czysto ludowych deputatów. Partya powinna pozyskać sobie wpływowych stronników w najzna-

czniejszej części chłopstwa, aby była w stanie wytworzyć sobie czynny współudział mas w najważniejszych punktach, wpośród najbardziej sprzyjającej ludności. W tym celu każdy członek partyi starać się powinien zająć wśród ludu takie stanowisko, żeby mógł wystąpić w interesach ludu, zaradzić ich potrzebom i zjednać sobie opinię uczciwego i życzliwego ludowi człowieka, i utrzymać w ludzie reputacyę partyi, szerzyć jej idee i cele.

5. Organizacya i wykonanie przewrotu. Mając na uwadze ucisk ludu i tę okoliczność, że rząd częściowemi ustępstwami na długo powstrzymać i przeszkodzić może wybuchowi powszechnego rewolucyjnego ruchu — partya powinna wziąć na siebie inicyatywę samego przewrotu i nie wyczekiwać tej chwili, w której naród będzie w stanie obejść się bez niej. Co się zaś tyczy sposobów przeprowadzenia przewrotu...[1]

6. Wyborcza agitacya przy wyborach do zgromadzenia konstytucyjnego. W jakikolwiek sposób dokona się przewrót: czy drogą samodzielnej rewolucyi, czy też drogą sprzysiężenia — obowiązkiem partyi będzie przygotować i zwołać natychmiast zgromadzenie konstytucyjne i przelać na nie władzę tymczasowego rządu, jaki dzierżyła rewolucya albo sprzysiężenie. Przy agitacyi wyborczej partya powinna wszelkimi sposobami opierać się kandydaturze rozmaitych kapitalistów, a wszelkiemi siłami przyprowadzać czysto ludowych mężów".

Oto program garstki zapaleńców przeciw kolosowi caratu, jego wielomilionowej armii wojska i milionowej armii czynowniczestwa. Walka nierówna — ale zapalone te głowy wierzyły ślepo, iż będą mogły zrealizować swój program. Partya ta nazwała się „Narodną wolą", nie jakoby siebie uważała za przedstawicielkę ludu, ale że przy niej i przez nią wyrobi się taki ustrój państwowy, że w nim wola ludu decydować będzie o wszystkich społecznych urządzeniach.

Z początkiem 1880 r. rozesłał komitet urządzający „pisaną" broszurę p. t. „Przygotowawcza robota partyi", do wszystkich grup sobie podległych. Z broszury tej możemy się lepiej zapo-

[1] Ta część 5. punktu nie może być ogłoszoną. *(Przyp. Kal. Nar. woli).*

znać z organizacyą wewnętrzną partyi terroru. Dążąc do ogólnej rewolucyi w Rosyi, należy umysły do niej przygotować; a to przygotowanie streszcza się w sześciu punktach:

1. Zaprowadzenie centralnej „bojowej“ organizacyi, któraby rozpoczęła powstanie.

2. Zaprowadzenie prowincyonalnej rewolucyjnej organizacyi, zdolnej podtrzymać powstanie.

3. Pozyskać dla sprawy powstania klasę robotników miejskich.

4. Przygotować przeciągnięcie na swoją stronę armii, albo sparaliżowanie jej akcyi.

5. Zabezpieczyć sobie sympatye i współudział inteligencyi, jako główne źródło siły przy robocie przygotowawczej.

6. Skłonić na swoją stronę powszechną opinię Europy.

Zakres więc tej przygotowawczej pracy szeroki a niełatwy. Najgładziej poszła organizacya centralna. Na jej czele stoi komitet wykonawczy, pod nim „czestna“ grupa (grupa honorowa) ajentów pierwszorzędnych, którzy, jak ze wszystkiego wnioskować należy, byli czynnymi członkami komitetu wykonawczego. Dalej stoją pod nim grupy bojowe, zwane także specyalnemi, i grupy miejskie agitacyjne między robotnikami, ludem, inteligencyą, młodzieżą i wojskiem.

Komitet centralny sam się wybiera i sam powstające luki uzupełnia z ajentów „czestnej“ grupy, ta zaś bierze swych członków z wybitniejszych ludzi grup bojowych, te znowu dobierają sobie członków z grup propagandy. Grupy dzielą się na kółka, z 10 członków złożone. Zasadą w tych wyborach jest: jeden wybiera drugiego na swoją odpowiedzialność i zaręczając swą osobą za jego zdolność i prawość, i donosi o nim prezesowi tej grupy lub kółka, do którego sam należy. Komitet centralny do wyboru członków grup i kółek nie miesza się wcale; ma jednak prawo zabronić przyjęcia człowieka, który wydaje mu się niebezpieczny albo niedosyć pewny. Zadaniem jego jest utrzymywać ducha, łączność, spójnię i jedność działania grup wszystkich w celu przygotowania powszechnej rewolucyi w Rosyi. Do niego więc należy: wysyłać specyalnych ajentów, jakby wizytatorów, już istniejących, i organizatorów grup nowych; naznaczać każdej

grupie obręb działalności i wskazać jej specyalne w danej chwili główne zadanie. Zresztą wszystkie grupy: bojowe, propagandystyczne, wiejskie i miejskie, układają sobie same swe ustawy, które potem zatwierdza komitet centralny. Obowiązkiem jeszcze jego jest dostarczać pieniędzy, paszportów, pieczęci, broni, trucizny, tak grupom jak ich członkom, mającym jaką specyalną misyę do spełnienia. Grupy natomiast obowiązane są wnosić pewien procent swoich dochodów do centralnej kasy i nieść wszelką pomoc komitetowi centralnemu, jakiej tylko zażąda.

Grupy specyalne miejskie dzielą się na bojowe i agitacyjne. Pierwsze rekrutują swych członków z różnych grup; jeden podlega na drugim, i podlegają bezpośrednio wykonawczemu komitetowi w spełnieniu poleconych mu szczegółowo spraw; we wszystkich zaś wewnętrznych sprawach decyduje grupa sama większością głosów. W chwili wybuchu powstania grupa wybiera sobie atamana z dyktatorską władzą; a każdy jej członek obowiązuje się pójść na dobrowolną śmierć: *idti na samopożèrtvovánje*. Zdaje się, że z tych to grup bojowych dobierała sobie członków „czestna“ grupa ajentów.

Miejskie grupy mają swą własną ustawę, zatwierdzoną przez centralny komitet. Zadaniem ich jest agitacya między warstwami ludności miejskiej, i dlatego członkowie grup miejskich zdobyć sobie powinni wpływowe stanowisko w czynownictwie i wojsku i wpływ wywierać na ludność wiejską. Zapoznać się też powinni z liberalnie usposobionymi ludźmi w mieście; zbierać składki pieniężne i poznać dokładnie teren swojego promienia działalności. W jednem mieście może być grup kilka, a wtenczas jedna z nich jest przedniejszą, znosi się bezpośrednio z komitetem centralnym, ci nad innemi grupami wykonywają władzę zwierzchniczą. Główną wszelako działalnością grup miejskich była propaganda między robotnikami socyalistycznych pojęć i konieczności przewrotu politycznego, a zaprowadzenia demokratycznych rządów i uorganizowanie ich w ten sposób, iżby w chwili wybuchu zdolni byli zamknąć fabryki i zakłady przemysłowe, zbitą masą wyruszyć na place i ulice i poprzeć powstanie. W tym celu „podgrupy“ robotnicze składać się mają z „artjelów“, towarzystw

i kółek, socyalistyczno-rewolucyjnej barwy. Członkowie kółek rozbiegną się po fabrykach i zakładach przemysłowych, poruszą tam masy robotnicze, urządzą nowe towarzystwa i kółka, i tym sposobem cała klasa robotnicza, zrewolucyonizowana i podzielona na podgrupy, w danej chwili poda rękę grupom bojowym. Osobny „program robotników partyi Narodnej woli“, rozesłany przez „centralne robotnicze kółko“ w Petersburgu, będące jakoby wydziałem komitetu wykonawczego, określał dokładnie propagandę i organizacyę klas robotniczych.

Nie zapomniano i o wojsku. Ponieważ znaczenie jego w chwili wybuchu przewrotu jest ogromne, ponieważ żołnierz nie usłucha wtenczas nikogo tylko głosu „popularnego oficera“, dlatego „koniecznie“ starać się potrzeba o wciągnięcie jak najwięcej oficerów do partyi. Oficer-członek Narodnej woli ma się starać o popularność swoich żołnierzy, obrabiać ich ostrożnie w duchu partyi, i zająć ważne stanowisko. Im więcej będzie takich wpływowych popularnych oficerów partyi, którzyby w chwili wybuchu zajęli z swymi ludźmi najważniejsze punkta miasta, tem zwycięstwo partyi pewniejsze. „Podgrupy“ wojskowe nie zostały jednak, jak się zdaje, nigdzie urządzone, chociaż osobny wydano program „technicznej“ agitacyi oficerów między żołnierzami; kilkudziesięciu jednak oficerów, zwłaszcza z marynarki, wciągnięto do „partyi“.

Inteligencyę należy koniecznie pozyskać, a między młodzieżą szerzyć rewolucyjne pojęcia, wzniecać w niej „rewolucyjnego ducha“ i poczucie solidarności, aby domagała się u rządu większej swobody w zakładaniu towarzystw i szerszych przywilejów, a żądania swe w razie odmowy popierała tumultami ulicznymi; aby wreszcie szerzyła między klasą robotniczą rewolucyjne dążności. Osobna „instrukcya“ hektografowana normowała organizacyę i działalność „podgrup studenckich“, któremi zarządzała „centralna grupa studencka“, jako osobny wydział komitetu wykonawczego w Petersburgu.

Dla zjednania zaś sobie sympatyi „Europy“, postanowiono wybitnym organom jej prasy posyłać artykuły, wykazujące całą srogość i ohydę rosyjskiego caryzmu, niewolę i ciemnotę ludu,

i konieczność „tajnego towarzystwa przewrotu“ czyli partyi „Narodnej woli“, która sama jedna usunąć i zniszczyć to zło w zarodzie postanowiła, i ogłaszać jej wszystkie udane zamachy na istniejący porządek rzeczy w Rosyi.

Dwa prawie lata trwał ten proces zlewania się rozmaitych frakcyj socyalistyczno-rewolucyjnych w jednę silną zcentralizowaną partyę „Narodnej woli“, i dopiero po udanym zamachu na życie Aleksandra II. skonsolidował się trwalej.

Tymczasem komitet wykonawczy zabrał się energicznie do przygotowania zamachu na cara, wracającego w jesieni 1879 r. z Liwadyi.

(Dok. nast.).

Ks. Stanisław Załęski.

STANLEY I EMIN PASZA.

I.

Jedną z charakterystycznych oznak w olbrzymim przewrocie, jakiemu od lat kilkudziesięciu podlegają ludy europejskie, jest wzajemne izolowanie się państw i narodów.

Kraje i rządy oddzieliły się murem paszportowym dla ludzi, a cłowym dla handlu; nastała dążność rozszerzania eksportu, a ograniczania importu do najciaśniejszych rozmiarów. Wydano hasło, że kraj powinien żyć z własnych wyrobów i produktów, a obcy naród, jeśli je chce zbywać w obcym kraju, winien to czynić za opłatą olbrzymiego podatku, dorównywającego niemal wartości towaru.

Najbliższym skutkiem tej polityki było spostrzeżenie, jakie każde społeczeństwo uczyniło, że za ciasno mu na własnej glebie. Olbrzymi przyrost ludności, napływ jej do miast, gdzie ją zwabiał łatwy zarobek przy tysiącznych fabrykach, sprawił, że setkom i tysiącom zabrakło chleba i warunków do życia. Nastała więc era emigracyjna. Od 1820 r. 15 milionów Europejczyków osiedla się w Ameryce, bezmała drugie tyle wędruje do krajów australskich, a rozrodziwszy się tam po kilkudziesięciu latach na miliony i miliony, niechętnem patrzą okiem na dalszy napływ emigrantów ze starego lądu, i kują, idąc w ślad swojej europejskiej macierzy, ustawy *à la* Mac-Kinley, zamykające granice europejskiemu wywozowi.

Ale na starym lądzie jeszcze za ciasno. Jak rzeki, którym brak miejsca w swych korytach, szerokiem kołem rozlewają się na okoliczne pola i łąki, tak europejskie społeczeństwa pracują, aby się pozbyć obciążającego je balastu ludności. Ameryka niepowrotnie stracona dla bezpośrednich interesów państw europejskich, a niedługo i Australia zamknie i otoczy się nieprzystępnym murem. Trzeba więc było oglądnąć się za nowymi obszarami — i oto oczy wszystkich obróciły się na czarny kontynent Afryki.

Przypomniano sobie o istnieniu olbrzymiego lądu, który, jak dotąd, zajmował jeno marzenia i prace uczonych; przypomniano sobie, co zyskały na koloniach potężne niegdyś państwa: Hiszpania i Portugalia, a zwłaszcza ta królowa oceanów, Wielka Brytania. Prawda, że potęga dwóch pierwszych narodów upadła w macierzystym kraju, ale za to ich kolonie wzrosły, spotężniały, zaludniły się i stały nowym czynnikiem, nowem kółkiem w olbrzymiej maszynie społeczeństwa ludzkiego; prawda, że kolonie angielskie w Ameryce i Australii oderwały się już od swojej metropolii i na samoistne, potężne zamieniły się państwa, że o tem samem marzą już kolonie angielskie w Indyach i południowej Afryce — ale któż oceni wszystkie bogactwa i korzyści, jakie przyniosły swym panom przez szereg wieków?

Niemcy zwłaszcza, owe Niemcy, które dyademem cesarskim, wepchniętym brutalną dłonią Bismarcka na skroń króla pruskiego, zjednoczyły się i skleiły w olbrzymie ciało, powiększone jeszcze kosztem państw ościennych, zapragnęły wawrzynów i na polu kolonialnem. Nikt zapewne nie wierzy w szczerość słów Wilhelma II., wypowiedzianych na bankiecie, danym z powodu powrócenia Helgolandu do „macierzystego“ kraju — że Niemcy po przyłączeniu ostatniej niemieckiej ziemi do niemieckiej ojczyzny, więcej zaborów nie pragną. Nie brak pragnienia staje państwom europejskim na przeszkodzie, ale pokój zbrojny, te miliony żołnierza, które sprawiają, że jedno państwo na drugie oglądać się musi i hamować zbyt nieraz sangwinistyczne popędy. Europejska zatem dyplomacya, nie mogąc rozszerzać się w granicach starego lądu, kompensuje brak ten na czarnym kontynencie.

Ale na tym kontynencie proces, ukształcający przyszłą jego postać, nie odbywa się spokojnie. I tam wre walka o każdą piędź ziemi, walka nie krwawa wprawdzie, ale niemniej żywa, zapomocą traktatów i not dyplomatycznych, zapomocą nie urzędowych wprawdzie, ale tajemnie przez rządy subwencyonowanych wypraw, które usiłują wzajemnie się ubiedz i na korzyść swego mocarstwa zniewolić krajowców do przyjęcia opiekuńczej flagi.

Kongres berliński, następnie różne stypulacye i traktaty między pojedyńczemi mocarstwami, zanim jeszcze Afryka do gruntu zbadaną została, nakreśliły już dzisiaj polityczną jej kartę i wyznaczyły granice „sfery interesów“ poszczególnych państw kolonialnych. Anglia, Francya, Włochy, Niemcy, Portugalia i Belgia podzieliły między siebie olbrzymi ten świat i w wyznaczonych sobie granicach gorliwie pracują, aby tem silniejszą stanąć stopą na czarnym lądzie i potęgą swoją zaciężyć w przyszłym dramacie dziejowym, który bez wątpienia musi się rozegrać na klasycznej ziemi Scypionów i Hannibalów. Zawiele bowiem tego międzynarodowego fermentu zawiści, zawiele bogactw wszelkiego rodzaju kryje w sobie ląd ten dziewiczy, aby konkurencya wzajemna mocarstw miała się ograniczać do niewinnych wypraw podróżników i do platonicznego kreślenia granic na kartach geograficznych.

Nie od rzeczy może będzie poznać obecną polityczną kartę Afryki. Ostatni traktat angielsko-niemiecki, mocą którego Anglia odstąpiła Niemcom bezużyteczną dla niej skałę Helgolandu, naznacza jej wzamian olbrzymie przestrzenie, sięgające od zachodniego brzegu jeziora Wiktoryi aż do granic wolnego państwa Kongo. Tym sposobem otrzymała Anglia kraj Uganda, wbrew szumnym traktatom, zawartym w imieniu Niemiec z królem tego kraju, przez dr. Karola Petersa, protektorat nad sułtanatem Witu i część znaczną kraju Somali. A choć obszar ten od południowej granicy raz nazawsze zamknięty został Anglii posiadłościami niemieckiemi i neutralnem terytoryum państwa Kongo, za to od północy przedstawia niezmierzone przestrzenie Sudanu egipskiego, które z czasem stać się mogą łupem przedsiębior-

czych synów Albionu. Sfera interesów niemieckich dosięga obecnie jeziora Tanganika i granic belgijskiego Kongo. Granica południowa, sięgająca od źródeł Rowuma do Nyassy, dotykając granic posiadłości portugalskich, przedłuża się w prostej linii na północny zachód i zbiega się znowu z jeziorem Tanganika. Granica zachodnia zamknięta jest tem jeziorem, a biegnąc na północ, okrąża górę Mfumbiro, dosięga pierwszego stopnia szerokości południowej.

Linia poprowadzona od 21 stopnia długości zachodniej aż do 18 szerokości południowej, przedłużona na zachód aż do rozlewu wód Czoby, stanowić będzie granicę wschodnią posiadłości niemieckich na terytoryum oblanem wodami Zambezy. W ten sposób Niemcy, obejmując Damarę, Nana-Land, sięgają posiadłościami swemi aż po rzekę powyższą, a Anglia posiędzie kraje, które były przedmiotem jej marzeń: Beczuanę, Buszmanię i znaczną część kraju Hottentotów.

Kwestya sporna na zachodnim brzegu Afryki załatwioną została w ten sposób, że granicą między Togo, należącem do Niemiec, a angielskiem Złotem Wybrzeżem, będzie linia przecinająca terytoryum Krepi, z którego część północna wraz z Kapandu przypadła Niemcom, a część południowa z Peku dostała się Anglii.

O ile znośnie ułożyły się graniczne stosunki między Anglią i Niemcami, o tyle twardo stanęła potężna Anglia wobec słabej Portugalii. Rozbiły się angielskie marzenia utworzenia olbrzymiego kolonizacyjnego państwa, którego granice stanowiłyby na południu krainy Kapstadtu, a posuwając się w górę ku wielkim jeziorom: Nyassa, Tanganika, Wiktorya Nyanza i Albert Nyanza aż ku jezioru Czad, dotarły do Sudanu egipskiego. Planom tym stanęły napoprzek Niemcy; ale odpędzona od południa, odcięta od Kapstadtu posiadłościami niemieckiemi, w innym kierunku zamierza się Anglia rozszerzyć.

Po obu brzegach południowej Afryki, Portugalia posiada ogromne jeszcze obszary, będące w jej prawnem posiadaniu od lat 400, a obejmujące na zachodnim brzegu Angolę i Mossamedes, a na wschodnim Mozambik i krainę Gazy. Anglia wszelkimi

sposobami stara się zagarnąć te posiadłości. Do tego już doszło, że słaby gabinet portugalski nie mógł się oprzeć groźbom i parciu angielskiego rządu, i 20 sierpnia 1889 r. zawarł hańbiący traktat, który na szczęście jednak musiał poddać ratyfikacyi parlamentu. Pamiętamy jeszcze, jaka to burza zerwała się w tem państewku, jak oburzona opinia publiczna, draśnięta w narodowej swej dumie, rzuciła się wściekle na gabinet i króla—i o mało co, że nie wybuchła wojna z Anglią i wojna domowa, o mało co, że nie przyszło do wywrócenia królewskiego tronu. Powołany do steru gabinet Abreou-Souza zażegnał burzę, zawierając z końcem zeszłego roku tymczasowe *modus vivendi* z Anglią na przeciąg sześciu miesięcy. Przedłożony obecnie parlamentowi portugalskiemu stały traktat między Anglią a Portugalią i uchwalony większością 90 głosów, przyznaje Anglii wszelkie korzyści, których się narazie domagała, a więc wolność żeglugi, wolność handlu i przewozu na wodach portugalskich. Zbyt słabe są te żądania rządu angielskiego wobec pewności swej siły i wygranej, aby na tem skończyć się miało. Nie jestto ustępstwem ze strony Anglii, ale zaczajeniem się wymuszonem dyplomatyczną, energiczną interwencyą gabinetów europejskich. Lord Salisbury ustąpił narazie, ale Anglia chce i musi swojego dopiąć. Chce, bo zaborcza jej, zamorska polityka, nie może się zadowolnić tem, co posiada; musi, bo prze ją do tego opinia publiczna w jej koloniach Kapstadtu, graniczących z posiadłościami portugalskiemi, a żądająca tego pod groźbą oderwania się od macierzystego kraju. Przywódcą tej opinii jest wszechpotężny minister-prezydent Kapstadtu, Cecil Rhodes, zwany Bismarckiem południowo-afrykańskim, naczelnik Związku afrykańskiego, który powoli, ale w coraz jaśniejszych konturach wychyla się zza kurtyny afrykańskich borów.

Traktat francusko-angielski uregulował sporne kwestye między temi mocarstwami. Na tym traktacie najlepiej wyszła Anglia, bo dostały się w jej posiadanie żyzne i ludne kraje Sokoto i Haussa, podczas gdy Francyi przypadł Sudan francuski i olbrzymia pustynia między Sudanem a Algieryą. Ale te obszary, choć piaszczyste i bezludne, pod względem komunikacyi stać

się mogą ważnymi i strategicznymi. Dowodem tego podjęta na nowo myśl wybudowania kolei saharskiej.

Przed laty dziewięciu wymordowanie ekspedycyi Flattersa zniechęciło wszystkich i zadało cios, zdawało się, śmiertelny, olbrzymim tym planom. Ale we Francyi nie tak łatwo upadają na duchu. Prawda, że jak groźne widma występują tu żywioły muzułmańskie: Turcy na wschodzie a Marokańczycy na zachodzie z jednej strony, a z drugiej dzikie plemię Tuaregów; ale opinia publiczna we Francyi wykazuje, że lat temu 10, mimo ówczesnego wymordowania wyżej wzmiankowanej ekspedycyi, stosunki były o wiele lepsze niż dzisiaj, a za drugi dziesiątek lat gorsze być mogą, aniżeli obecne. Turcy bowiem i Marokańczycy podają sobie dłonie do wzajemnego połączenia i zajęcia obszarów na południu od Algieru położonych, a jeśli raz Islam zakorzeni się w tej ziemi, nadludzkich trzeba będzie wysiłków, aby go ztamtąd wyrwać.

A właśnie Francya, jeśli chce utrzymać się na stanowisku pierwszorzędnej potęgi w Afryce, powinna dążyć do rozszerzenia i utrwalenia swych granic i zajęcia silnej pozycyi w kierunku ku Sudanowi. Zadaniem jej być powinna anneksya i całkowite wcielenie żyznych obszarów Sudanu środkowego, Sokoto, Bornu, Bagirmi, a zwłaszcza serca całej Afryki, jeziora Czad — a wtedy Algierya, Sahara, Sudan, Senegal i Kongo, staną się jedną olbrzymią afrykańską Francyą. Takie są marzenia dyplomatów i podróżników francuskich, a środkiem do tego miałaby być kolej saharska, która obok wybudowanej przez jenerała Anienkowa kolei kaspijskiej, a obecnie podjętej budowy sybirskiej kolei, byłaby dziełem przynoszącem zaszczyt wykonawcom a nieobliczone korzyści społeczeństwu ludzkiemu.

Rząd francuski uczynił już krok ku urzeczywistnieniu tego planu. Mamy tu na myśli podjętą w tym roku, pełną odwagi wyprawę pod wodzą rodaka naszego, p. Jana Dybowskiego, a dążącą do zbadania krain leżących w samem sercu Afryki, w porzeczu jeziora Czad, o którego niepodzielnem posiadaniu marzą największe kolonialne mocarstwa: Anglia, Francya i Niemcy. Dla dobrze zrozumiałych powodów rząd francuski nie mógł tej

misyi rodaka naszego nadać urzędowego znaczenia. Z drugiej strony należało wyprawę całą, pókiby nie przybyła na miejsce, zachować w tajemnicy, aby nie dać się ubiedz innym mocarstwom — jak się to stało z wyprawą Pawła Crampel do krain leżących w dorzeczu rzek Szari i Bagirmi, którego uprzedzić chcieli podróżnicy niemieccy, Morgen i Zintgraff, wysadzeni do tego przez rząd niemiecki. Zawiązał się przeto komitet, który działając w jak największej tajemnicy, zdołał uformować wyprawę, poruczając jej kierownictwo p. Dybowskiemu, a świat dowiedział się o niej wtedy dopiero, kiedy w marcu b. r. przybiła do portu Loango i na brzeg Afryki wysiadła. Wnet wrzawa szalona zerwała się w dziennikach angielskich i niemieckich. Prasa Albionu zaalarmowała całą opinię kraju, wołając, że Francya dotarłszy do jeziora Czad, nie zadowolni się krajem Bagirmi, ale zaannektuje przestrzenie leżące na wschód od jeziora, bogate krainy Kanu i Wadai, a tem samem, tak Anglię jak i Niemcy odetnie od wnętrza Afryki. Niemcy znowu podają w wątpliwość szczere zamiary Francyi w budowaniu kolei saharskiej, kiedy po owładnięciu jeziora Czad, otworzy sobie drogę przez Niger i olbrzymi jego dopływ, Bennue, a tem samem stanie się panią handlu i przemysłu całego kontynentu. Słowem, popłoch i panika zapanowały na całej linii.

O innych, pomniejszych państwach Europy, mających swe kolonie w Afryce, niema co wiele mówić. Hiszpania zadawalnia się dawno nabytemi tam posiadłościami, a zajęta wewnętrznemi sprawami swojego kraju, nie ma ani czasu ani sił do czynnego mieszania się w afrykańskie sprawy.

Włochy ograniczają się do ustalenia swej władzy w Massawie i Abisynii, a obecność ich w rzędzie państw kolonialnych jest raczej wynikiem nieszczęsnej tej roli figurowania jako pierwszorzędne mocarstwo, do jakiej pchnął kraj swój p. Crispi, przez wprowadzenie go do trójprzymierza. *Noblesse oblige* — a więc i Włochy muszą mieć bodaj kącik w Afryce; ale jak w powyższej roli doszły do tego, że kraj leży ekonomicznie wyssany i zrujnowany, tak nadchodzące razporaz wiadomości z Afryki dowodzą, że i tam nie lepiej się dzieje.

Polityczny ten rys stosunków afrykańskich zakończę krótką wzmianką o wspomnianym już wyżej afrykańskim Związku. Podczas gdy europejskie mocarstwa dzielą między siebie ląd afrykański i cieszą się nabytą skórą niedźwiedzia biegającego jeszcze po lesie, w samemże łonie Afryki powstaje groźny dla ich planów współzawodnik, mający po swej stronie wszelkie szanse wygranej.

Istnieje w Afryce stowarzyszenie *African Bond*, złożone przeważnie z żywiołów angielskich i Boerów, pierwotnie założone w celach handlowych, a z czasem — zwłaszcza od kiedy stanął na jego czele Cecil Rhodes i Hofmeyr — silnie zabarwione politycznem dążeniem. Marzeniem tego Związku jest zawojowanie całej Afryki, od Przylądka Dobrej Nadziei aż do Sudanu, i założenie federacyi na wzór Zjednoczonych Stanów Ameryki i federacyi australskiej.

Na zgromadzeniu niedawno zwołanem do Kimberley, Cecil Rhodes wyłożył cały program polityczny, który przeprowadzić zamierza. „Ludzie zrodzeni i wyrośli tu w koloniach, lepiej znając stosunki tutejsze, lepiej się nadają do rządzenia, niż Anglia i europejskie mocarstwa, o kilka tysięcy mil ztąd oddalone. Afrykańskie południowe Towarzystwo z tej zasady wychodząc, wzięło sobie za cel połączyć całą Afrykę jednolitym systemem cłowym, handlowym i kolejowym. Nie jest ono wrogiem samoistnych państw, jak Rzplita Transwalu, ale jeżeli myśl *Bondu* ma się urzeczywistnić, koniecznie potrzeba, aby ster władzy spoczywał w rękach najstarszej i najpotężniejszej kolonii — w Kapstadzie. Nie mamy na myśli odbierać niepodległości ościennym państwom, pragniemy tylko zjednoczenia cłowego i komunikacyjnego i zupełnej wolności handlowej. Widząc zaś wszystkie posiadłości europejskie w południowej Afryce, Związek ma prawo żądać, aby do niego wcielone zostały“.

Wobec tak energicznego programu, maluczko, a może wkrótce, obok rozmaitych zjednoczonych stanów, doczekamy się ogłoszenia „Zjednoczonych Stanów Afryki“.

II.

Tymczasem, oddzielnie od tych sporów i waśni rządów europejskich, formują się jedna po drugiej wyprawy, bądź polityczne, bądź czysto naukowe, bądź wreszcie mieszane, z charakterem jednym i drugim.

Biuletyny i przeglądy geograficzne, poświęcone odkryciom i bieżącym wyprawom, notują cały szereg wypraw ludzi różnych narodowości, którzy z narażeniem życia swego zapuszczają się w tajnie afrykańskiego lądu. Spróbuję czytelników obznajomić pokrótce z najświeższemi a najważniejszemi podróżami i odkryciami w Afryce.

W stronie południowo-wschodniej od znanego już jeziora Tanganika, rozlewa się zwierciadło jeziora Rikona albo Leopolda, które choć dawniej pobieżnie znanem już było, przez żadnego Europejczyka dokładnie zbadanem nie zostało. Dokonał tego Johnston. Jak bardzo trudnego zadania podjął się ten podróżnik, jakie trudności przezwyciężać musiał, niech posłuży za dowód fakt, że okolice tego jeziora są najnieprzystępniejszym krajem na świecie. Wprawdzie fauna afrykańska ma tam wszystkie swoje okazy, ale dla człowieka istnienie jest tam niepodobne. Brak wody straszny, posucha taka, że od lat trzech ani kropla deszczu nie spadła, woda jeziorna z powodu smaku wody morskiej, do użycia niezdolna. Nieliczni krajowcy, ze szczepu U-Ungu, żyją z polowania i grabieży. Dawniej zapuszczali się tutaj Arabowie, ale kiedy od lat 20 okolica coraz bardziej wysychać poczęła, odwiedziny te stawały się coraz rzadsze. Johnston pierwszy z Europejczyków dokładne podał o tem jeziorze wiadomości.

Dr. Baumann obznajamia nas z przestrzeniami niemieckiej Afryki wschodniej, z Tanga i Pangani. Bada szczegółowo trzy górzyste kraje, nazwane wspólnem mianem: Paré. Część południowa, ze wszystkich najżyzniejsza, zamyka w swem wnętrzu górzystą kotlinę okrytą gęstymi lasami i górami, na pochyłościach których rozciągają się olbrzymie pastwiska żywiące prze-

pyszne trzody bydła, a zamieszkałe przez plemiona pasterskie Uaparejczyków. Przemyślny to i przedsiębiorczy naród, bo z licznych rzek przebiegających kraj, powyprowadzał kanały i przeprowadził na swem terytoryum sztuczną irrygacyę, jakiejby się nie powstydził żaden z cywilizowanych ludów europejskich. W ciągu swej podróży odkrył jezioro Kiniaroko, które mu się wydało ogromnej rozciągłości, a posuwając się wzdłuż prawego brzegu rzeki Pangani, dotarł do Useguha i Mgera, leżących w Nguru północnem.

Podróżnik francuski, P. Cholet, dokonał roku zeszłego niemniej trudnego zadania: szczegółowego zwiedzenia jednego ze znacznych dopływów Kongo, rzeki Sauga, płynącej w szerokości od 800 metrów do 3 kilometrów. Rzekę tę przepłynął w czasie od 30 marca do 15 maja, a nietylko cenne o niej nauce przekazał wiadomości, ale i ojczyźnie przysłużył się, zawierając z wodzami poszczególnych plemion traktaty, wzmacniające stanowisko Francyi w części kraju Kongo do niej należącej.

W Togo, kapitan Kling przez Woltę wkracza do Salagi i przez Bimbillę powraca do Bismarkburgu. Kapitanowie Roger i Becker badają kraje leżące między rzeką Kongo, Aruhuimi i Uelle-Ubangi. W Kamerunie, oprócz podróży Rogozińskiego, podejmuje wyprawę dr. Zintgraff, po powrocie swoim znad brzegów rzeki Bennue. Anglia zorganizowała trzy wyprawy do Afryki zachodniej, celem uregulowania granic posiadłości swoich: jedna pod dowództwem dr. Freemana wyjechała w miesiącu październiku z. r. do Złotego Wybrzeża, a dwie inne pod wodzą majora Peacocka i kapitana Kenneya wyruszyły do Sierra Leone i Gambii. W Afryce zachodniej włoski podróżnik Briechetti-Robecchi zapuszcza się w nieznane dotąd przestrzenie półwyspu Somalis, kraju Obia, aż do zatoki Guardafui, podczas gdy biskup z Bloemfontein, Rev. C. W. H. Kwight Bruce, przebiega Machonę, krainę wsławioną sporem angielsko-portugalskim.

Wspomnieć wreszcie należy o młodym a śmiałym podróżniku, Pawle Crampel. Świetna jego wyprawa, którą odbył sam jeden bez współudziału kogokolwiek z Europejczyków, jedynie

w towarzystwie kilkunastu tragarzy, do kraju plemienia M'Jans czyli Pahuińczyków, zwróciła nań oczy całego świata. Plemię to, zamieszkujące brzegi rzeki Ogowe we francuskiem Kongo, jest jednym z najnieprzystępniejszych szczepów afrykańskich; charakteru podłego, trudniące się złodziejstwem, i mające ku Europejczykom rasową nienawiść.

Crampel musiał pokonywać wielkie trudności, ale chwycił się strategii, która mu się wybornie udała. Wędrując z wioski do wioski, głosił wszędzie, że wysłany jest od starego swego ojca, potężnego wodza białych, który poznał wszystkie szczepy Afryki, a będąc już nad grobem i nie mogąc osobiście przybyć do Pahuińczyków, wysłał go w celu, aby zawarł z nimi przymierze i z ich szczepu wybrał sobie żonę. Pochlebił tem narodowej dumie krajowców, i wnet wieść gruchnęła po kraju, że syn wielkiego wodza białych umyślnie przybył do nich w swaty. To mu zjednało uprzejme wszędzie przyjęcie, wodzowie wszystkich wiosek spieszyli ze swymi córkami, aż wreszcie z tego nawału oblubienic, chcąc niechcąc musiał nasz podróżnik przyjąć jednę, dziewięcioletnią Niarinzhe, którą ze sobą przyprowadził do stacyj francuskich.

Każdy z tych licznych podróżników czuje się w obowiązku, odkrycia swoje i przygody światu ogłaszać; ztąd literatura afrykańska mnoży się z roku na rok w sposób zadziwiający. Przestudyować a choćby przeczytać te jedne po drugich napływające pamiętniki, podróże, wyprawy różnych doktorów, kapitanów, majorów i uczonych, zdaje się rzeczą niepodobną dla najbardziej zapalonego afrykanofila. Umysł i pamięć gubią się w tym chaosie najrozmaitszych krajów o nazwach tak dziwnych, tych ludów i plemion tak licznych. Niepodobna zoryentować się wśród tych olbrzymich a tak mnogich rzek i jezior, dochodzących do bajecznych rozmiarów, wśród tych lasów nieprzebytych, ciągnących się na tysiące kilometrów, a na których przebycie nie dni i tygodni, ale miesięcy czasu potrzeba, wpośród tych gór i skał, pustyń i dolin, które to grozą, to podziwem przejmują umysł podróżnika.

Mam właśnie przed sobą dzieła najświeższe trzech podróżników afrykańskich. Francuski przekład dzieła Stanleya: *In Darkest Africa, or the quest, rescue, and retreat of Emin governor of Equatoria,* czyli: „Przez czeluście Afryki, poszukiwanie, odnalezienie i powrót Emina, gubernatora prowincyi podzwrotnikowej"; *Die deutsche Emin Pascha-Expedition,* von Dr. Carl Peters — i *Meine zweite Durchquerung Aequatorials Africa von Congo zum Zambezi, während der Jahre 1886 und 1887,* von Hermann v. Wissmann.

Dzieła te, każde w swoim rodzaju, zasługują na bliższe poznanie. Pierwszy po Livingstonie badacz Afryki, najznakomitszy podróżnik Henryk Stanley, w dziele swojem uwydatnia wszystkie cechy swego charakteru, które go tak sympatycznym czytelnikowi czynią. Jeden chór podziwu wzniósł się w Europie dla tego męża, po wyjściu jego opowieści podróży i przygód. Każdy musiał podziwiać tę nieustraszoną energię i żelazną moc charakteru, tę niezłomną wytrwałość, która go przyprowadziła do przebycia trzy razy, razporaz, olbrzymiego boru podzwrotnikowego, do pochodu, który musiał naznaczyć licznymi trupami swojej karawany. Może być, że znajdą się głosy, które podadzą w wątpliwość, azali korzyści tej wyprawy odpowiadają tym nadludzkim wysiłkom i tym życiom ludzkim poświęconym nauce. Kto jednak wczyta się w jego dzieło, musi Stanleya uwolnić od zarzutu lekkomyślności lub ambicyi. Umysł ten tak szlachetny, serce tak tkliwe i kochające, nie może być o prywatę posądzane. Poświęcać musiał jednostki dla ratowania wielu, zresztą sam się narażał i sam był wszędzie pierwszy, gdzie niebezpieczeństwo groziło. To go powinno oczyścić i uwolnić od niesłusznych zarzutów.

A właśnie te zarzuty i wiele innych znachodzimy w dziele Petersa. Dr. Karol Peters, wysłany w tej samej misyi odszukania Emina, przedstawia się w swojem dziele jako pyszałek i szowinista niemiecki, czujący za sobą miliony bagnetów niemieckich, potęgę wielkiego niemieckiego *Vaterlandu,* która mu pozwala deptać wszystko co nie-niemieckie, wstępować na ziemię afrykańską jakby jaki tryumfator, nie drogą ciernistą i twardą jak Stanley, ale powoli i wygodnie zdążać do celu swego, utartym

i znanym już szlakiem, wioząc pełne skrzynie rumu i koniaku, opowiadać czytelnikom co gdzie jadł i pił, kiedy go jaka choroba w pochodzie zatrzymała, skrzętnie zapisywać i przekazywać potomności swoje przemowy, jakiemi zaszczycał królów i wodzów murzyńskich, a wreszcie nic nie zdziaławszy, a wydawszy kilka set tysięcy marek publicznego grosza, postawić czytelnika w tem położeniu, że przeczytawszy to grube dzieło o 560 stronnicach, zadaje sobie pytanie, poco właściwie ten Peters jeździł do Afryki, a zwłaszcza, dlaczego to dzieło wydał?

Inaczej już przedstawia się w swojem dziele jego rodak, Herman Wissmann. Znać pióro męża, który wie czego chce i do czego dąży. Dokładność i treściwość ogromna, rozwlekłości żadnej, porusza tylko kwestye pierwszorzędnej doniosłości, a mimo tego opis barwny, przejmujący, a miejscami porywający. Zaprzysiężony nieprzyjaciel Arabów, tego czynnika stawiającego najbardziej twardy opór zniesieniu niewolnictwa, okazuje dla nich nieubłaganą surowość, tępiąc na każdym kroku. Major Wissmann postawił sobie za zadanie, wytępienie niewolnictwa, a snać wielkie zasługi na tem polu położyć już musiał, kiedy niedawno temu w przejeździe przez Rzym, będąc na posłuchaniu u papieża, za usługi oddane katolickim misyom, ozdobiony został komandoryą orderu Piusa, i z ust najwyższych, najwyższe otrzymał podziękowanie.

Opowiadanie moje nawiązałem do poprzednich artykułów w tym przedmiocie *Przeglądu Powszechnego* [1], a zapoznawszy czytelnika z obecnym politycznym ustrojem Afryki, obznajomiwszy go z najświeższemi odkryciami i podróżami, poprowadzę w ślad Stanleya, wyprawiającego się na poszukiwanie Emina Paszy.

(Dok. nast.).

Strzemieńczyk.

[1] Patrz tom I. str. 92; V. 405; VII. 247, 414.

HINDOWIE I ICH RELIGIA.

III. Religijne pomniki Hindów i miejsca pielgrzymek.

Stare piśmiennictwo hinduskie nie jest jedynem źródłem, z którego czerpać możemy wiadomości, odnoszące się do religii Hindów; ich religijne pomniki budowlane są, szczególnie pod względem wiarogodności, cenniejszym jeszcze materyałem: odzwierciedlają one doskonale stan współczesny społeczeństwa, mianowicie zaś niestartymi rysami kreślą praktyki religijne, które dozwalają pochwycić rzeczywiste pojęcia religijne danej epoki, a tym sposobem przyczyniają się do sprostowania poglądów, spaczonych często interpolacyami, jakie się wkradły w pomniki piśmiennicze. Niestety jednak, budowlane pomniki hinduskie nie sięgają głębokiej starożytności. Aryowie ogólnie, przedewszystkiem zaś Aryowie Wschodni, nie posiadali zdolności budowniczych; „wierzyli oni zawsze w nieśmiertelność duszy — pisze Fergusson [1] — zatem w życie przyszłe, i nie starali o unieśmiertelnienie swych myśli w cegle i kamieniu; żadna rzeźba niezdolna była wyrazić ich wzniosłych pojęć umysłowych". Przeciwnie, Turyowie nie posiadali nigdy wzniosłych pojęć religijnych, lecz obdarzeni byli niezwykłym zmysłem budowniczym. Jak długo Aryowie po wkroczeniu do Indyj trzymali się zdala od tubylców, dopóki zachowali czystość krwi, dopóty myśli swoje, prace umysłowe, uzmy-

[1] *History of Architecture*, Introduction, p. 455.

sławiali jedynie pismem; około VIII. dopiero wieku przed Chr.[1] Hindowie, pochodzący z pomieszanych już ras, poczęli wznosić budowle, drewniane z początku, następnie z kamienia; te ostatnie zaczynają się z epoką króla Asoki. Z budowli drewnianych gdzieniegdzie zostały ślady tylko; z kamiennych niektóre pozostały dotychczas, choć nadwerężone zębem czasu; inne przedstawiają wspaniałe i pouczające rozwaliny.

Rozwój religii Hindów ściśle złączony jest z dziejami architektury hinduskiej. Aryowie, twórcy Wedów, przechowujący pierwotne pojęcia religijne, nie stawiali żadnych pomników budowlanych. Aryowie późniejsi w miarę wzrastającego pokrewieństwa z tubylcami, przyswajali sobie ich pojęcia religijne; ze zlania się pojęć wytwarzały się nowe doktryny i religie, które uwydatniały swe dogmata w budowli świątyń. Buddhyzm i Dżajnizm, Siwaizm i Wisznuizm, wreszcie Islamizm, stanowią główne gałęzie religii Hindów; otóż architektura hinduska rozpada się na tyleż odpowiednych, różnych, choć spokrewnionych z sobą działów.

Najdawniejsze zabytki architektury hinduskiej pochodzą od Buddhystów, a sięgają III. wieku przed Chr.

W architekturze buddhystycznej rozróżnia się trojaki rodzaj budowli, mianowicie: *Topy, Czajtie* i *Wihary*.

Top albo *Stupa*, jestto poprostu kopiec albo mogiła większych rozmiarów; ten rodzaj mogił spotyka się w różnych krajach Europy, a dobrze jest znany w naszym zwłaszcza kraju. Topy były ogrodzone w początkach prostym płotem z żerdzi, w czasach późniejszych żerdź drewniana zastąpioną została rzeźbionym ciosem kamiennym, lecz kształt pierwotny pozostał. Top był sypany na pamiątkę ważniejszego zdarzenia, mającego charakter religijny, i służył zwyczajnie do przechowywania szczątków, relikwij, słynnych mężów.

Czajtia, jestto rodzaj świątyni buddhyjskiej. Przybytki te nie były ani okazałe ani liczne w Indyach: dotąd odnaleziono ich zaledwie 30. W Czajtii wzniesiony bywał kamienny ołtarz,

[1] Według Fergussona.

a na nim symbol buddhystyczny: Dagoba, Trysul, Drzewo, w późniejszych czasach posąg Buddhy.

Wihara, jestto monaster buddhyjski, mieszkanie mnichów. Najdawniejsze Wihary pochodzą z II. w. przed Chr., najpóźniejsze z w. XI. po Chr.; musiało ich być bardzo wiele w Indyach, skoro liczba znanych dziś rozwalin dochodzi do tysiąca.

Wreszcie architekturę buddhystyczną znamionują t. zw. *Laty* czyli słupy kamienne, walcowe i graniaste, wysokie na 10 m., zakończone kapitelami. Pod względem sztuki, Laty nie mają żadnego znaczenia, z wyjątkiem Latu z Sanczi, który był zakończony nagłówkiem, wyobrażającym cztery lwy siedzące; otóż ta grupa ma być arcydziełem sztuki hinduskiej; niektórzy znawcy podejrzewają tu dłuto greckie. Laty pod względem historycznym, szczególnie zaś pod względem filologicznym, mają znaczenie doniosłe: *Laty Asoki* pokryte są napisami, które głoszą światu maksymy buddhystyczne.

Najznakomitsze rozwaliny budowli buddhystycznych istnieją w Sanczi i w Amrawati; indologowie angielscy nie żałowali trudu i kosztów na badanie tych pomników; Fergusson przedewszystkiem oddał ogromne usługi nauce pomnikowem wydaniem swego dzieła: *Tree and Serpent Worship* [1].

Sanczi leży między Bhilsą i Bhopal; tu znajduje się największa i najlepiej zachowana Stupa buddhystyczna.

Podstawą kopca jest walec, mający 121 stóp średnicy a 14 wysokości. Na tem wzniesieniu, przy jego obwodzie, idzie dokoła droga, szeroka na $5^1/_2$ stóp, w środku zaś wznosi się półkulista mogiła, mająca 39 stóp wysokości. Dawniej na wierzchołku mogiły stawiano jakieś kamienne symbole, albo ornamenta. Cały kopiec otoczony jest ścianą murowaną, wysoką na 11 stóp; cztery bramy wiodły do środka, z tych dwie leżą w gruzach. Wpobliżu Stupy rozrzucone są różne dawne zabudowania, Czajtie i Wihary; opodal są również ślady mniejszych Topów.

Różne części składowe Stupy nie były zbudowane w tejże samej epoce; niektóre z nich wzniesione były z rozkazu Asoki

[1] London, *India Museum*, 1868.

(w III. w. przed Chr.), inne daleko później, w naszej już erze; bramy pochodzą, według Fergussona, z I. w. po Chr.[1]. Te właśnie bramy stanowią podziw znawców sztuki.

Dwa monolity, zakończone kapitelami ze słoniów, nad którymi wznoszą się trzy architrawy, ozdobione słoniami, lwami, geniuszami, oto główny szkic bramy, pełen smaku i wdzięku. Każdy nadto cal kamienia pokryty jest rzeźbami. Sceny z życia codziennego, z obrzędów religijnych, otoczone mnóstwem symbolów, wykonane misternie, uzupełniają i podnoszą całość do rzędu arcydzieł. Nadto i przedewszystkiem obrazy rzeźbione w kamieniu pozwalają nam odsłonić rąbek z tajemniczej przeszłości Indyj, przypatrzeć się życiu, zwyczajom i religii ludu, który przed dwudziestoma wiekami zamieszkiwał te kraje.

A najprzód lud nie jest jednolity, można tu rozróżnić trzy wybitne rasy: Aryów, Turyów albo Drawidów, i rzeczywistych Murzynów; typy ich i stroje nie pozostawiają żadnej wątpliwości: generał Cunnigham, pułkownik Maisey i Fergusson, którzy specyalnie zajmowali się tym przedmiotem, jednomyślny sąd o nim wydali. Pomimo różnej rasowości, ludy te zbliżają się do siebie pod względem kultu; jednak i tu uderzają niejakie wyłączności: przykłady lepiej rzecz objaśnią.

Religijne obrazy z Sanczi przedstawiają cześć, oddawaną *Drzewu, Dagobie, Kołu* i *Nadze,* tj. Wężowi.

Największa część obrazów odnosi się do kultu Drzewa. Na ołtarzu, zwyczajnie kamiennym, wznosi się kształt drzewa, otoczony symbolami religijnymi, po bokach zaś ołtarza stoją lub klęczą mężczyźni i niewiasty z rękoma złożonemi do modlitwy.

Kilka obrazów przedstawia kult Dagoby. Top czyli kopiec, w miniaturze, wraz z ogrodzeniem żerdziowem, przybrany sym-

---

[1] „The Gateways were probably added to the then existing Rail at the time when the languishing religion of Buddha was restored to its pristine position by the eloquence of Nagarjuna, backed by the political influence of the Turushka Kanishka. Eve rything about them seems to indicate such a revival. If I might be allowed to state, what I cannot prove, I would suggest that they must have been completed before the death of Śalivahana, 78 A. D.“ *Op. cit.*, pp. 90, 91.

bolami, umieszczony jest na ołtarzu kamiennym. Lud, obojga płci, otacza pobożnie ołtarz; zwyczajnie grupa muzykantów stoi opodal.

Raz, czy dwa, miejsce Dagoby zajmuje Koło, znany symbol buddhystyczny.

Wreszcie, raz jeden przedstawiony jest kult Węża. Fergusson podał rysunek tego obrazu na tablicy XXIV. swego dzieła: zasługuje on na szczególną uwagę.

Środek obrazu zajmuje kaplica, w której nad mensą kamiennego ołtarza wyobrażony jest w kształcie dłoni z pochylonymi nieco palcami, pięcio-głowy „Naga". Po prawej i lewej stronie przybytku, ze złożonemi do modlitwy rękoma, stoi lud, zwrócony twarzą do ołtarza. Szczególny zarost brody i ubranie tych ludzi każą się domyślać, iż oni nie są Aryami. Cała scena dzieje się w lesie.

Bardzo wiele obrazów przedstawia sceny z życia codziennego: uczty i zabawy, tańce i pijatyki, nie są rzadkim przedmiotem; jest kilka obrazów, widocznie historycznych, a raczej które mają związek z legendowemi podaniami Hindów.

Drugi słynny kopiec znajduje się w Amrawati, niedaleko ujścia rzeki Kistnah. Miejscowość ta znaną była i zwiedzaną przez podróżnika chińskiego, Hiuen-Czanga, w r. 640, lecz dopiero w drugiej połowie naszego stulecia zbadaną została dokładnie i opisaną przez archeologów angielskich.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, kopiec z Amrawati budować zaczęto w pierwszych wiekach naszej ery, lecz ukończono go dopiero w wieku VI.; tym sposobem jest on późniejszy od kopca z Sanczi o lat 300.

Pomniki z Amrawati pokryte są również rzeźbami, które tak pod względem sztuki, jak i pod względem materyału źródłowego do badań nad religią Hindów, posiadają cenną wartość naukową.

„Rzeźby hinduskie — pisze Fergusson [1] — pod względem sztuki stoją wyżej od egipskich, lecz daleko niżej od greckich.

[1] *Tree and Serpent Worship*, p. 97.

Rzeźby z Amrawati stoją na tym samym stopniu doskonałości, co współczesne z niemi rzeźby rzymskie za Konstantyna, a raczej, odpowiadają więcej rzeźbom z Odrodzenia włoskiego, z czasów Ghiberti'ego. Rzeźby z Sanczi nie są tak wykwintne, lecz bardziej wyraziste. Widoczną jest rzeczą, iż rzeźba hinduska była wówczas w przełomie, były to pierwsze próby wyrażania myśli w kamieniu... Nie ulega wątpliwości, że sztuka hinduska zawdzięcza swój początek i rozwój wpływowi Greków".

Pod względem dziejowego rozwoju religij Hindów, rzeźby z Amrawati dają nam ważne wskazówki.

Obrazy religijne z Amrawati przedstawiają kult tychże samych symbolów jak i w Sanczi, w odmiennym jednak liczebnym stosunku i w odmiennym nieco kształcie. Fergusson daje następujący opis tablicy LXX. swego dzieła: „Ten obraz jest najciekawszy, pod względem rytualistycznym, pomiędzy wszystkimi obrazami z Amrawati. W środkowem kole znajduje się tron, na którym stoją *Drony* (rodzaj Dagoby), przechowujące relikwie; poza nim na słupie wznosi się *Trysul* (potrójny symbol buddhystyczny), a nad nim święte *Drzewo*, dwie „stopy" występują u podnóża ołtarza.

„Po stronie prawej widać orszak kapłanów ogolonych, przybranych w takie same szaty, jakie podziśdzień noszą kapłani buddhyjscy; po stronie lewej grupa modlących się Hindów.

„Poniżej na lewo mamy naszych dobrze już znanych Dasjów albo Takszaków (lud nie-aryjski), oddających cześć pięcio-głowemu Nadze, jak na tablicy XXIV.; w środkowej części obrazu tenże sam lud czci Trysul, symbol buddhystyczny, stojący na ołtarzu; z prawej zaś strony grupa kapłanów buddhyjskich oddaje cześć takiemuż samemu symbolowi" [1].

Tak więc w jednym i tym samym obrazie mamy przedstawione wszystkie znane kulty ludów, które podówczas zamieszkiwały w Amrawati; inne obrazy z tejże miejscowości wyobrażają poszczególne kulty: najliczniej przedstawiane są kulty Dagoby, symbolów Trysula i Koła, dalej idą kulty świętego Drzewa.

[1] *Op. cit.*, pp. 189. 190.

wreszcie kult Nagi. Jakkolwiek ten ostatni kult częściej jest przedstawiany w Amrawati aniżeli w Sanczi, jednakże niema ani jednego obrazu, w którymby Aryowie przedstawieni byli jako bezpośredni czciciele Nagi. Lecz już ta sama okoliczność, że Aryowie, którzy budowali te Topy, tak często uwzględniają kult Nagi, daje do myślenia, że musiał on powoli wnikać w ich pojęcia i wkońcu rzeczywiście je przeniknął: wszystkie dzisiejsze sekty hinduskie, jak to zobaczymy później, przyjęły coś z tego kultu, symbol Nagi stanowi charakterystyczną cechę religii hinduskiej.

Dwa obrazy, jeden z Sanczi, drugi z Amrawati, rzucają wiele światła na kult Nagi. Obraz z Sanczi, umieszczony na tablicy XXIV. w dziele Fergussona, przedstawia wnętrze jakiejś świątyni: w środku obrazu stoi kamienny ołtarz, a nad nim, a raczej z niego wyrasta rozłożyste Drzewo, które pierwszorzędne zajmuje miejsce w obrazie. U stóp ołtarza, w postawie siedzącej, znajduje się postać jakiegoś mężczyzny, a nad nim w kształcie baldachinu symbol pięcio-głowego Nagi. Ołtarz otoczony jest orszakiem niewiast: jedne z nich grają na różnych instrumentach, inne tańczą, inne znowu widocznie odpoczywają, pokrzepiając się jedzeniem i piciem. Charakterystyczne ubranie tych niewiast, a raczej brak jego zupełny, jest uderzający. Głowy ich okryte są długimi welonami, w uszach ogromne kólczyki, szyja obwieszona sznurami pereł, od stawu pięści po łokieć i od stóp aż poniżej kolan ręce i nogi okrywają bransolety, wreszcie wąski pas paciorkowy przez biodra uzupełnia cały strój. Co więcej jeszcze uderza, że przy każdej z tych niewiast przedstawiony jest Naga w postawie stojącej.

Podobny obraz spotykamy w Amrawati [1]. U stóp ołtarza, na którym stoi symbol buddhystyczny Trysul, siedzi na tronie mężczyzna, nad którego głową wyobrażona jest aureola w kształcie dziewięcio-głowego Nagi; dokoła ołtarza w różnych pozach przedstawione są tanecznice, śpiewaczki, bachantki, a poza głową każdej z nich wychyla się łeb Nagi.

[1] Przedstawiony jest w dziele Fergussona na tablicy LXXII.

Fergusson w opisie swoim biedzi się z wytłumaczeniem, co znaczą te obrazy, i pozostawia pytanie bez odpowiedzi; dziwna rzecz, iż nie wpadł na myśl, że te niewiasty są poprostu „Dewa-dasi“, niewolnicami boga Nagi. Rzecz ta zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości.

Pogaństwo po wsze czasy wyzyskiwało poczucie religijne ludu i wydawało je na łup namiętności, pod płaszczykiem czci bogów i pod osłoną ołtarza ukrywała się rozpusta. Tak bywało niegdyś w świecie pogańskim na obydwu półkulach — podziśdzień zachowały się te praktyki w pogańskich Indyach. Przy każdej świątyni istnieją tam rzekome kapłanki, nazywane służebnicami bogów, „Dewa-dasi“, które w uroczystościach występują jako śpiewaczki i tancerki, a oprócz tego, prowadzą inne jeszcze rzemiosło, zyskowniejsze [1]. Otóż głowa Nagi, wystająca poza posta-

[1] Wszyscy niemal podróżnicy i misyonarze pisali o tych tancerkach. Anglicy nazywają je *Nachgirls*, Francuzi *Nautchnies*. Sir Monier Williams pisze: „Wszystkie świątynie utrzymują tancerki. W świątyni Tandżorskiej jest ich piętnaście; dziesięć tańczyło przede mną w dziedzińcu tejże świątyni; ruchy ich były więcej ożywione aniżeli tancerek w Zachodnich i Północnych Indyach. Nie ulega wątpliwości, iż taniec na Wschodzie był niegdyś ściśle złączony z religijnem nabożeństwem. Wiadomo, że w dawnych czasach niewiasty poświęcały się na usługi w świątyniach, podobnie jak Westalki w Europie. Uważane były za oblubienice bogów i miały obowiązek tańczyć w ich przybytkach, dlatego nazywano je „niewolnicami bogów“, *Dewa-dasi;* w dzisiejszych czasach są jeszcze znane pod tą samą nazwą, lecz są raczej niewolnicami niecnych namiętności rozpustnych Brahmanów“. *Brahm. and Hind.*, p. 451. — Baron Hübner był niejednokrotnie świadkiem tych tańców; oto jeden ustęp z jego opisów: „Les nautchnies, qui n'étaient ni jolies ni laides, mais fort gracieuses, portaient le costume de leur profession: les seins couverts d'un tissu d'or et soie, pantalon et tablier de la même étoffe; les bras et les hanches nus, les cheveux lisses et noirs séparés sur le milieu de la tête; des bijoux aux mains, aux pieds, au cou, au nez... La plus jeune, elle ne pouvait guère avoir plus de douze ans, ne nous quittait pas du regard. Sévère et provocante à la fois, elle nous adressait des paroles caressantes, des reproches, des prières, et tout cela sans jamais sourire... Sur la physonomie de la ballerine, si jeune encore, se peignent déjà une mélancolie précoce et une connaissance trop parfaite de la vie, de ses illusions, de ses misères“. *A travers l'Emp. brit.*, vol. II., p. 48. — Czytamy w liście O. Calmette T. J. z wieku przeszłego (1737): „... C'est là que logent un grand nombre de Brames, d'Andis, de Sanias-sis, de sacrificateurs, de gardiens du temple, de musiciens, de chanteuses

ciami bachantek, baletnic i śpiewaczek w Sanczi i Amrawati, zaznacza niezawodnie ich charakter religijny, wyraża, że były „służebnicami“ boga Nagi; ku temu mniemaniu skłania się nawet sam Fergusson [1].

Inne pomniki Buddhystów z późniejszych epok tak są źle zachowane, albo takim uległy przeróbkom, iż nas niczego nowego nie pouczają odnośnie do ich doktryny. Freski z pieczar w Adżanta i w Baugh przedstawiają Nagę tak samo jak w Amrawati; płaskorzeźba Nagi z Mahawellipore wyróżnia się jednak tak myślą przewodnią, jak i kształtem. Naga przedstawiony jest tam ze swą małżonką, wpływ widoczny Siwaizmu: górne części ciała mają postać ludzką, dolne zaś, od pasa, postać wężową. Ta płaskorzeźba pochodzi z XIII. w. naszej ery.

Wielka liczba dawnych świątyń buddhystycznych przeszła w posiadanie sekt hinduskich; wiele z nich leży w gruzach, niektóre tylko zachowały swą starą świetność.

Wpobliżu Bombaju leży wysepka, nazwana od Portugalczyków *Elefanta*, z powodu olbrzymiej wielkości słonia, wyciosanego z kamienia, a umieszczonego wpobliżu portu. Na tej wysepce znajdują się świątynie podziemne; jedna z nich wyszczególnia się tem, iż jest ozdobioną słynnym posągiem przedstawiającym *Trymurty*, Brahmę, Siwę i Wisznu. Ta świątynia musiała być, jakiś czas przynajmniej, w posiadaniu Siwaitów, albowiem w jednej bocznej pieczarze znajdują się ich charakterystyczne symbole, *linga* i *joni*.

Na wysepce Salsette, w północnej stronie od Bombaju, istnieją *czajtie Kanheri*, wyżłobione w skałach wapiennych: jestto zbiór świątyń większych i mniejszych, oraz wiharów, które niegdyś należały do Buddhystów, następnie przeszły w posiadanie Siwaitów; obecnie opuszczone leżą w gruzach.

Między Puną a Bombajem znajdują się słynne pieczary,

et de danseuses, filles fort au-dessous d'une vertu mediocre, qu'on appelle pourtant, par honneur, *filles du temples ou filles des dieux*“. *Lettres édif. et cur.*, t. VIII., p. 32.

[1] „The snake seems their tutelary genius, watching over, perhaps inspiring them“. *Tree and Serpent Worship*, p. 192.

z których *czajtia Karli* zwiedzaną jest przez wszystkich podróżników. Karli jest jedną z największych pieczar w Indyach, cała wykuta w skale. Ogromnych rozmiarów przedsionek, oświecony z góry, ozdobiony jest słoniami przypartymi do ścian, posągami Buddhy i bogato rzeźbionymi balkonami. Wielka nawa, mająca długości 25 metrów, 8 szerokości, a 14 wysokości, o sklepieniu półkulistem, spoczywa na trzydziestu słupach, których kapitele wyobrażają: słonie, jeźdźców konnych i grupy ludzi w różnych postawach. Wpośrodku czajtji stoi Dagoba.

Oprócz wyżej wymienionych, istnieje jeszcze w Indyach wiele innych, podobnego rodzaju pieczar; bardzo dokładny ich opis znajduje się w dziele Fergussona: *Rock-cut Temples of India.*

Największym pomnikiem architektonicznym w Indyach są świątynie w Elorze (Elura albo Werula), w prowincyi Hajderabadu: co do swego ogromu mogą być jedynie porównane z pomnikami starego Egiptu. Skały, wysoko piętrzące się nad doliną na długość 3600 m., są ociosane, wydrążone, okryte rzeźbami, i tworzą szereg mniejszych i większych świątyń podziemnych: nadto wśród doliny sterczą oddzielne świątynie, z których każda wyciosana jest z jednolitej skały.

Trzy sekty hinduskie składały się na budowę tych świątyń. Najdawniejsze pochodzą z II. wieku, a budowane były przez Buddhystów. Świątynia *Wisma-Karma*, o trzech ogromnych nawach i sklepieniu beczkowem, wsparta jest na słupach bogato rzeźbionych. W środku wielkiej nawy znajduje się pod baldachinem posąg Buddhy, w zwykłej, siedzącej postawie. Z tej świątyni prowadzą korytarze do galeryj, w których są wyżłobione cele dla mnichów buddhyjskich. Inne świątynie buddhyjskie różnią się co do wielkości i planu, lecz mają ten sam styl zimny i surowy, odpowiadający pojęciom religijnym, z których wyniknął.

Świątynie środkowe wykonane zostały przez Siwaitów; najwspanialsza z nich znaną jest pod nazwą *groty Indry.* Ta świątynia jest dwupiętrowa, składa się z kilkunastu części połączonych schodami i korytarzami, a oddzielonych dziedzińcami. Przybytki większe i mniejsze, przysionki, mieszkania kapłanów

i pielgrzymów, mnogie zaułki, schody, stawy, dziedzińce, cisną się obok siebie lub piętrzą ponad sobą. Wszystko to kute jest w skale. Bogactwo rzeźb ogromne. Olbrzymie słupy, pojedyńczo stojące kolumny, ołtarze, stropy, gzemsy, całe ściany pokryte są rzeźbami. Potrzeba było wieków i całych armij robotników do wykonania tych prac Cyklopów. Większych świątyń podziemnych, wykonanych przez Siwaitów, liczą tu 16; tyleż jest świątyń Dżajnów. Koronę tych wszystkich przybytków stanowi świątynia, oddzielnie stojąca, wykuta z jednolitej skały, nosząca nazwę *Świątyni Kajllasa*. Olbrzymi ten monolit ma długości 75 m., szerokości 45, a wysokość dochodzi do 30 m.; spoczywa on na słoniach, lwach i gryfach. Nieprzeliczona liczba rzeźb pokrywa tę świątynię zewnątrz i wewnątrz: każdy cal kamienia jest rzeźbiony. Świątynia Kajllasa pięknością proporcyi, oryginalnością, a przytem jednością stylu i bogactwem rzeźb, stanowi bezsprzecznie arcydzieło architektoniczne, jakiem Indye poszczycić się mogą. Wiele wieków składało się na te arcydzieła, miliony ludzi zgromadzało się tu, by zadosyć uczynić potrzebom religijnym serca. Obecnie te świątynie są opuszczone — w tych pieczarach dziki i pantery obrały sobie koczowiska [1].

W południowych Indyach napotykają się olbrzymie pomniki architektury hinduskiej. W Tandżor, wieża pagody o piętnastu piętrach, zakończona kopułą z jednej sztuki, dochodzi do 60 m. wysokości. Kopuła ozdobiona jest olbrzymimi wachlarzami, na podobieństwo pawich ogonów, nader misternie rzniętymi w kamieniu. Opodal świątyni, pod ogromnym baldachinem kamiennym, spoczywa byk granitowy, mający 13 stóp wysokości; ten byk uważany jest za najdoskonalszy utwór rzeźby hinduskiej.

W Kombekonum, na północ od Tandżoru, wznosi się olbrzymia, dwudziestopiętrowa pagoda, cała z ciosu i cała pokryta rzeźbami; na setki tysięcy liczą się tam postacie, symbole i przeróżne motywa architektoniczne.

Na wybrzeżach Koromandelskich leży miasto Czedamburam albo Czytambalam, słynne staremi i olbrzymiemi świątyniami.

[1] Eastwick, *Handbook for Madras*.

Jedna z nich, „Złoty Przybytek“, opasana jest czworobocznym murem, mającym długości 1600 m., a 10 m. wysokości. Do środka prowadzą cztery bramy ośmiopiętrowe. Święte jezioro, służące do ablucyj, otoczone jest pagodami rozmaitych kształtów i wielkości. Piramida, zwana „Świątynią o tysiącu słupach“, spoczywa rzeczywiście na mnóstwie słupów granitowych, mających do 13 m. wysokości; świątynia jest dziś opuszczoną i rozpada się w gruzy, jednakże 974 słupów stoi dotąd niewzruszenie. Wszystkie kolumny pokryte są rzeźbami, mającemi związek z panteonem hinduskim. Można sobie wyobrazić, ile kosztowało pracy wzniesienie tych świątyń, wiedząc, że kopalnia kamieni, z której sprowadzano te granitowe monolity, leży o 60 kilometrów od tej miejscowości.

Podobnych świątyń jest wielka moc w Indyach; są one po większej części dziś opuszczone i leżą w gruzach; nikt już nie myśli obecnie o wznoszeniu takich gmachów na tym półwyspie, nikt ich nie dźwiga z upadku; architektoniczna sztuka hinduska upadła już bezpowrotnie. Najznakomitszy znawca architektury hinduskiej i autor pomnikowych dzieł w tym przedmiocie, daje następujące streszczenie dziejów sztuki hinduskiej: „Możemy twierdzić napewno — pisze Fergusson[1] — że wszystkie gałęzie sztuki hinduskiej zawdzięczają swój początek i rozwój zetknięciu się z cywilizacyą zachodnią, które przypadło w czasie ustalenia greckiej władzy w Baktryi. Rzeczą jest prawdopodobną, iż rzeźby króla Asoki były dziełem greckich, a przynajmniej jawańskich artystów; odtąd poczyna się samoistna sztuka hinduska, której rozwój i upadek łatwo śledzić możemy. Widzimy najprzód jej pierwotne, niekształtne jeszcze, lecz pełne siły porywy. Jesteśmy świadkami jej postępu aż do wieku IV., w którym dosięgła najwyższego punktu wprawy i biegłości w wykonaniu. W następnych stuleciach utrzymuje się, rozumie się z pewnemi wahaniami, na tej wyżynie aż do upadku Buddhyzmu i wtargnięcia Islamu. Odtąd datuje się obniżenie i ciągły upadek aż podziśdzień“.

[1] *Tree and Serpent Worship*, p. 221.

Pozostaje nam jeszcze choć w kilku słowach wspomnieć o odmiennym rodzaju architektury, który powstał i wyrósł na ziemi hinduskiej, mianowicie o architekturze Dżajnów.

Dżajnowie w swych pojęciach religijnych zbliżają się do Buddhystów; po nich zapewne odziedziczyli skłonność i talent budowniczy. Około X. w. naszej ery poczęli Dżajnowie wznosić swe świątynie w stylu całkiem oryginalnym, który zakrawał jednak na maurytański, a z czasem jeszcze więcej uległ jego wpływowi.

Dżajnowie nie byli nigdy liczni w Indyach, ale gorliwość ich religijna, polegająca na budowie świątyń, zostawiła nader liczne pomniki.

Na półwyspie Gudżarat, prowincyi Bombaju, znajdują się najznakomitsze świątynie Dżajnów; wpobliżu miasta Palitana istnieje wielka liczba świątyń, obwiedzionych murem. Świątynie liczą się na setki; pierwsze były budowane w wieku XI., a ciągle budują się nowe, wszystkie z ciosu. Całe rodziny, przez wiele pokoleń, zajmują się rzeźbą. Świątynie z Satrundżaja stanowią najwspanialszy pomnik budownictwa hinduskiego. W Patna i okolicach liczą również około stu świątyń Dżajnów. W stolicy Gudżaratu, w Ahmedabad, liczne meczety mahometańskie budowane były przez Dżajnów i noszą na sobie wybitne cechy ich stylu. Na „świętych“ wzgórzach Songarhu znajduje się także miasto świątyń, których liczą ośmdziesiąt. W prowincyi Adżmiru, na górze zwanej Abu, leżą gruzy wielu świątyń, z których najlepiej dotąd zachowana, cała z marmuru białego, wydaje się jak gdyby uwitą z koronek; olbrzymi pułap tej świątyni, pysznie rzeźbiony, jest, w całem znaczeniu tego słowa, arcydziełem. W Bhuwaneswar (Orysa) wznosi się ciekawa grupa świątyń, zakończonych mnóstwem kopuł, mających kształt głów cukru, żłobkowanych na zewnątrz.

Budownictwo Dżajnów zamyka właściwy cykl architektury hinduskiej; architektura maurytańska, która wzrosła na gruzach tej ostatniej, jest głównie dziełem Semitów, a przynajmniej dziełem Aryów przeniknionych Islamem; ponieważ zaś Islam hinduski nie wchodzi w zakres naszej pracy, dlatego o architekturze

indo-maurytańskiej nie bylibyśmy nawet wspomnieli, gdyby nie ta okoliczność, iż ten rodzaj architektury wydał w Indyach arcydzieła w całem znaczeniu tego wyrazu. Delhi i Agra słynne są ze swych pomników architektonicznych; podziwiane i wielokrotnie opisywane były przez turystów. Baron Hübner nie może znaleść słów na wyrażenie swego podziwu. „Arcydzieła, jakie spotkałem w Delhi i Agra, wprowadzały mnie w zachwyt. Podobnych wrażeń doznawałem w Ateńskiej Akropoli, wieczorem u św. Piotra, kiedy promienie zachodzącego słońca ozłacały baldachin grobu Apostołów, a również w naszych wielkich katedrach gotyckich; słowem, wszędzie tam, gdzie czułem, iż się znajduję wobec najwyższego stopnia doskonałości, jaki zdołaliśmy osiągnąć. Tutaj wszystko jest zachwycające. Nie podejmuję się opisywać. Widziałem Alhambrę, Kordubę, Alkazar sewilski, Damaszek, piękne okazy architektury perskiej w Erywanie: otóż, według mego zdania, Agra przewyższa wszystko. Władcy mongolscy rysowali jak Tytany, a rzeźbili jak jubilerzy“ [1].

[1] *A travers l'empire britanique*, vol. II., p. 162.

P. A. Narkiewicz Jodko dość trafną, choć zbyt surową, daje ocenę sztuki hinduskiej w dziele swem: *Zarys dziejów malarstwa*, t. III., str. 201. „Żadna sztuka w świecie nie stoi w tak ścisłym związku z otaczającą naturą, jak sztuka w Indyach: potęgi przyrody, które kierowały całem duchowem życiem tego kraju i wycisnęły na wszystkich objawach jego kultury niezatarte znamię zmysłowości bez granic, wyryły także swe piętno na architekturze, nadając jej charakter kolosalności, bezmiaru i potworności. W każdym gmachu indyjskim jest coś chaotycznego: bezład i brak prawideł zgóry określonych wykluczają wszelką harmonię: zbytek i przesada w nagromadzaniu ozdób dochodzą do swawoli, a wyuzdana wyobraźnia doprowadza do wybryków, graniczących z szaleństwem. Artysta ulega wpływowi otaczających go tropikalnych krajobrazów, rozżarzonego nieba, wybujałej roślinności i nie umie hamować swych porywów: kaprys i rozkiełznana fantazya są jedynem jego prawem: gmachy piętrzą się jedne obok drugich, bez związku i symetryi: sale w pagodach następują po sobie bez żadnego planu logicznie obmyślanego, a nie znająca granic profuzya rzeźb i malowideł, rozrzuconych bez wypoczynku, bez żadnego widomego punktu oparcia, bez jednej linii spokojniejszej i poważniejszej, sprawia wrażenie chorobliwej jakiejś halucynacyi. Z tych form różnorodnych, z tych szeregów dziwacznych postaci zwierząt, ludzi i bogów, jakby ścierających się z sobą w jakiejś walce homerycznej, z tych nagromadzonych tysięcy

Jakkolwiek sztuka budownicza upadła zupełnie w Indyach, poczucie religijne jednak nie zamarło; gorliwość religijna Hindów wznosi ciągle nowe świątynie, które chociaż pod względem wspaniałości nie dorównywają dawniejszym, są jednak tłumnie zwiedzane przez pobożnych pątników.

Wszystkie ludy, szczególnie z pokolenia Jafeta, mają wrodzoną skłonność do pobożnych pielgrzymek. Słynne bywały niegdyś pielgrzymki ludów Zachodniej Europy, ludy słowiańskie podziśdzień chętnie pielgrzymują — otóż i Hindowie odziedziczyli po Aryach ten pociąg i zwyczaj: corocznie odbywają dalekie pielgrzymki.

Liczba miejsc pielgrzymkowych na półwyspie jest ogromna: od jeziora Manasa w Tybecie po wysepkę Rameswaram, leżącą na południowym cyplu, wpobliżu Cejlonu; od Dwaraka na półwyspie Gudżarat po deltę gangesową, Indye są jakby usiane miejscami „cudownemi“, tłumnie zwiedzanemi przez Hindów.

Rzeka Ganges, uważana już w Rigwedzie za świętą, zajmuje pierwszorzędne miejsce. Marzeniem jest każdego Hinda, aby raz przynajmniej w życiu mógł obmyć swe grzechy w świętych nurtach; zakończenie żywotu doczesnego nad brzegami Gangesu uświątobliwia, a wreszcie woda z tej rzeki ważnym jest czynnikiem przy obrzędach domowych, i dlatego pielgrzymi zaopatrują się w nią z powrotem w swe rodzinne strony. Wzdłuż całego biegu Gangesu ciągną się miejsca święte, „Gathy“, w których liczni kapłani, *Ganga-putra*, tj. „synowie Gangesu“, obsługują pielgrzymów.

U samych prawie źródeł Gangesu, w Kaszmirze, wpobliżu Srinagar, jest słynna świątynia *Hara-dwara*, tj. drzwi Hary albo Siwy. Hiuen-Czang, podróżnik chiński, wspomina już o tej miej-

---

portyków, arkad ażurowych, piramid, kolumn i kopuł, żadna myśl przewodnia się nie wyłania; zdaje się, że pod tym nawałem szczegółów bez związku, szamocących się w gorączkowej pogoni za czemś tajemniczem i niedoścignionem, cały ten gmach chimeryczny, o zmieniających się co chwila kształtach, runie i rozpłynie się w nicości, jak fantastyczne widzenie, jak sen ekstatyczny, zrodzony pod wpływem owej rozszalałej religii, żyjącej tylko w dziedzinie cudów i karmionej najwyższą egzaltacyą“.

scowości. Turyści angielscy obliczają, iż podczas wielkiej uroczystości, która przypada raz na lat 12, liczba pątników dochodzi do dwóch milionów; miejsce zajęte przez nich pod obozowisko rozciąga się na milę kwadratową.

Niedaleko od Adżmiru leży słynne jezioro Puszkar albo Pokhir, dokąd zdążają Hindowie z dalekich stron w miesiącu czerwcu. Jezioro otoczone jest mnóstwem świątyń, między któremi jest jedna i jedyna na całe Indye, poświęcona Brahmie; świątynia ta zbudowana jest z białego marmuru.

Prowincya bengalska Orysa od niepamiętnych czasów była uważana za świętą od Hindów. Wszystkie główne sekty hinduskie stawiały swe pomniki i świątynie wpobliżu ujścia rzeki Mahanadi, między Puri i Kuttak'iem. Najdawniejsze pomniki są buddhyjskie; mianowicie na skałach wpobliżu *Dhauli* znajduje się 11 ukazów albo edyktów króla Asoki, inny napis opowiada historyę króla Magadhy, który żył dwadzieścia dwa wieków temu [1]. Najdawniejsze pagody, które dziś należą do Wisznuitów, należały dawniej do Buddhystów. W *Bhuwaneswar* wznoszą się świątynie z VI. w., w stylu „dżajna". W *Kanarak* stoi słynna „czarna pagoda" z XIII. w., która miała kosztować miliony. Największym z tych pomników jest *Dżagannath* w Puri: jestto zbiór świątyń i kaplic poświęconych różnym bożyszczom, jakkolwiek głównym z nich jest Wisznu-Kriszna, pod nazwą „Dżagannath", tj. Pan świata. Ogromny czworobok, mający 200 m. długości i tyleż prawie szerokości, otoczony wysokim murem, zabudowany jest 120 świątyniami, wpośród których wznosi się najwspanialsza, 58 m. wysoka i bogato rzeźbiona, poświęcona Krysznie. Do obsługi tych świątyń przywiązana jest wielka moc kapłanów, posługaczów, posługaczek, rzemieślników, których liczba dochodzi do 6 tysięcy; nadto ponieważ ogromne dobra, których dochód roczny wynosi przeszło 30.000 funtów szterlingów, należą do tej świątyni, dzierżawcy i urzędnicy różnych stopni liczą się na tysiące, tak, iż liczbę osób, które żyją z tej świątyni, obliczają na 20 tysięcy. Świątynia główna składa się z czterech

[1] Radżendralla Mitra, *Antiq. of Orissa.*

części: w pierwszej składają ofiary (bezkrwawe), w drugiej zbierają się wierni, trzecia służy dla tancerek i śpiewaczek, w czwartej wreszcie znajdują się posągi Kryszny, brata jego Balaramy i siostry Subhadry. Ta świątynia była zbudowana w r. 1198 przez króla Anang Bhim Deo, kosztem pół miliona funt. szterl.

Kilkanaście razy do roku schodzą się tu pątnicy z dalekich stron Indyj, najwięcej kobiet; czasami liczba ich wynosi trzykroć sto tysięcy. Największa uroczystość przypada w końcu czerwca, wtenczas to odbywa się słynny pochód „Wozu Dżagannathy". Do olbrzymiego, szesnasto-kołowego wozu, mającego 14 m. wysokości, wprzęga się 4200 posługaczy świątyń, i wśród tańczących i śpiewających bajaderek, ogłuszającej muzyki i niezmiernego tłumu pątników, ciągną go do „świątyni Ogrodu". Na wozie znajdują się posągi Kryszny i jego rodziny; droga jest nader uciążliwa, wśród piasków, i jakkolwiek długość jej wynosi tylko dwa kilometry, pochód trwa kilka dni. O tym wozie i pochodzie wiele pisano, najczęściej jednak przesadne podawano wiadomości; zaręczano mianowicie, iż Hindowie rzucają się z nabożeństwa pod koła wozu, aby tem poświęceniem życia dostać się do nieba. Otóż rzecz ta całkiem jest nieprawdziwa. Wisznuici są przeciwni z zasady rozlewowi krwi, wszystkie ich ofiary są bezkrwawe, a ztąd nie mogliby spełniać takich samobójstw ani nawet ich cierpieć. I rzeczywiście, jeżeli się zdarzy przypadek— o co w tym tłumie i zamieszaniu nietrudno — iż ktoś zostanie zmiażdżonym pod kołami olbrzyma, wówczas pochód jest wstrzymany i dopiero po odprawieniu obrzędów oczyszczających wyrusza w dalszą drogę.

Te procesye i uroczyste obchody datują się niezawodnie z czasów buddhyjskich, a sam nawet pochód „Wozu Dżagannathy" — jak zapewnia uczony Hindus, Radżendralala Mitra, w dziele wyżej wspomnianem — jest obchodem rocznicy urodzin Sakia-muni.

Najsłynniejszem miejscem pielgrzymek w Indyach jest Benares, istna Meka hinduska, w której wszystkie sekty religijne mają swoje świątynie, dokąd zdążają Hindowie z najodleglejszych krańców swego ogromnego półwyspu.

Od najdawniejszych czasów Benares, które niegdyś nosiło nazwę Kasi, słynęło w Indyach. Sakia-muni miał tu głosić swą naukę; rzeczą zaś jest pewną, że przez kilka wieków Buddhyści budowali tu swe świątynie, z których jedne przeszły z czasem w posiadanie różnych sekt hinduskich, inne zaś gruzami swemi stwierdzają prawdziwość opisu hińskiego buddhysty, Hiuen-Czanga. Siwaizm, który odziedziczył w spadku po buddhyzmie jego świątynie, utrzymał się na pierwszorzędnem stanowisku w Benares aż do najścia Muzułmanów. Czciciele Proroka obrócili, swym zwyczajem, miasto w perzynę i gruzy, a zaczęli stawiać Dżamije. Największy meczet, istniejący dotąd, zbudowany był przez Aurangziba; trzysta innych postawili jego następcy, lecz sekt hinduskich nie wykorzenili. Hinduizm jak sfinks powstał z popiołów i rozrósł się do niebywałych dotąd rozmiarów; tysiące powstało nowych sekt, a każda budowała sobie świątynie i przybytki. W Benares istnieje dziś przeszło dwa tysiące większych świątyń, kilkadziesiąt tysięcy mniejszych przybytków, około pół miliona posągów i symbolów, uważanych za święte i cudowne. Płynie tu też święta rzeka, Ganges, którego wody zmazują grzechy.

Żaden turysta nie pomija Benaresu; liczni podróżnicy i badacze wydali szczegółowe opisy tej duchownej metropolii Hindów, barwnem piórem skreślili wrażenia, jakie to miasto pielgrzymów na nich wywarło.

Wszystko, co tu spotyka oko Europejczyka, jest niezwykłem: las wież, wieżyczek, minaretów, różnokształtnych świątyń; wąskie i ciemne ulice, przepełnione tłumem, dziwnie przybranym lub całkiem nieubranym; swobodnie krążące woły i krowy, przed którymi lud z uszanowaniem ustępuje z drogi; setki małp, igrających na dachach domów i świątyń; kamienne groty i jaskinie, wśród których wystają straszne łby okularników, otoczone dokoła rozmodlonymi pielgrzymami; święte drzewa obwieszone symbolami, przeróżnych kształtów i barw; wreszcie olbrzymie schody, wiodące do rzeki, zapchane pątnikami; jedni zstępują, by się zanurzyć w święte nurty, inni, zaczerpnąwszy wody, wstępują w klasycznych pozach, niosąc na ramieniu jakieś etruskie

dzbany i naczynia. Na brzegach liczne płoną stosy: jedne zwęglają zwłoki umarłych, inne pieką żywcem fanatycznych Jogów[1]; mętne i cuchnące wody roją się od głów i ciał ludzkich.

Widok, jaki przedstawia Benares, jest obrazem dzisiejszego Hinduizmu. Głębokie uczucie religijne i rządza zbawienia ożywia te tłumy, lecz pojęcia ich o Bogu są spaczone i skażone. Rozwielmożniona wielobożność podała tu dłoń potwornej wszechbożności; w parze z temi pojęciami idą praktyki religijne, dziwne, wstrętne, nierzadko sromotne i haniebne — i to jest ostatni wyraz pogaństwa.

Ks. W. Zaborski.

---

[1] Baron Hübner kreśli jednę z tych scen:

„.... O kilka kroków grono Jogów otacza stos płonący; siedzą po turecku, kolana zgięte, nogi na krzyż podwinięte. Przez dni czterdzieści po sobie następujących, dniem i nocą ludzie ci nie ruszają się z miejsca. Żar ognia i spiekota słońca zdaje się nie wywierać żadnego wpływu na tych ludzi, jakby nie należeli już do tego świata. Prawie nadzy, twarz obsypana popiołem, który zmieszany z potem tworzy rodzaj maski, włosy, które nigdy nie widziały grzebienia, najeżone — podobni są raczej do posągów, aniżeli do istot ludzkich. Jeden z nich utopił we mnie swój wzrok zgasły. Młody to jeszcze człowiek. Gęsta czupryna wznosi się nad jego niskiem czołem, pooranem przedwczesnymi zmarszczkami. Nieruchomy jest zupełnie. Pytam się siebie, czy jest jeszcze duch w tym szkielecie obciągnionym skórą, w tych członkach skarłowaciałych, w tej całej nagiej postaci, nie okazującej żadnych oznak życia? Co się dzieje w głowie tych „świętych“ ludu hinduskiego? co się dzieje w ich sercach? Mówią mi, że to są hipokryci albo fanatycy. Lecz te łatwe odpowiedzi nic nie tłumaczą; dla mnie rzecz ta pozostaje zagadką“. *A travers l'empire britanique,* vol. II., p. 187 i 188.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Ostroróg. Monografia w głównych zarysach. *E. Callier.* Poznań 1891. (Odbitka z „Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego". Tom XVIII., zeszyt 1).

Ostroróg jest małą mieściną w powiecie poznańskim, liczącą około jednego tysiąca mieszkańców; wiadomo dawno z Łukaszewicza, że tam było ognisko sekty Braci Czeskich, zwanych także Waldensami; zresztą nikt na tę osadę nie zwracał uwagi. Święcki w opisie Starożytnej Polski poświęcił jej 14 wierszy. Obecnie wychodzi o niej książka, mająca siedm arkuszy druku, a tak obfita w materyał, że możnaby śmiało drugie siedm arkuszy z niego wykroić. I cóż tak ciekawego w tej zapadłej mieścinie?

Zbiory Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk posiadają księgę wójtowską Ostroroga z lat 1503—88 i księgę wyroków burmistrzowskich, sięgającą od 1645—1790 r., tudzież inwentarz majętności ostrorogskiej z r. 1718. Są to źródła bardzo ciekawe do owoczesnego stanu kultury i samo wydanie ich w streszczeniu stanowiłoby już zasługę. Szan. autor nie poprzestał jednakże na tem; zajął się zarazem mozolnem zebraniem wszelkich wiadomości o dziedzicach Ostroroga, uzupełnił swą książkę dokładną genealogią Ostrorogskich, ułożoną przez Teodora Żychlińskiego (syna), badał stosunek tego rodu do osady, nazwanej od jego imienia, i starał się podać zarys dziejów miasteczka. W ten sposób złożyła się „monografia w głównych zarysach", którą się czyta z przyjemnością i z korzyścią.

Pierwszy ustęp, poświęcony wytłumaczeniu nazwy miasta, zajmuje się zawiłą nieco kwestyą, w której rozwikłaniu innego jednak byłbym zdania od autora; jestto zresztą jedyna ważniejsza sprawa, w której wypadnie mi referentowi oponować. Rzecz jest ze stanowiska naukowego wielce ciekawą:

Pierwsza wzmianka o Ostrorogu pochodzi z r. 1383, kiedy podczas walki Nałęczów z Grzymałami kasztelan nakielski, Sędziwój Świdwa z Szamotuł, wybitny personat w stronnictwie Nałęczów, schronił się do zamczyska ostrorogskiego. Pomimo tak późnego stosunkowo wystąpienia tej nazwy, autor sprzeciwia się przypuszczeniu, jakoby Ostrorogowie mieli być założycielami Ostroroga, nabywszy na podstawie wykopalisk przekonania, że osada ta sięga jeszcze pogańskich czasów. Ostroróg jest tedy, zdaniem autora, starszym od Ostrorogskich, później też dopiero tę nazwę otrzymał, ale jak się nazywał przedtem — niewiadomo. W każdym razie nazywał się inaczej, bo w tym wypadku nie ród od miejsca, lecz osada od rodu przyjęła nazwisko. Ród bowiem, pochodzący z Niemiec, przyniósł z sobą gotowe już nazwisko „Scharf-Hernerów", które spolszczono tylko na „Ostroróg"; przysposobiony następnie przez Szamotulskich, przyjął ich herb, Nałęcz, i tutaj osiadł, nadawszy osadzie swe imię. Tak rzecz przedstawia autor.

Co do samego przejścia nazwy z rodu na osadę, a nie przeciwnie — jest ono w stosunkach szlacheckich wyjątkowem, ale w tym wypadku wielce prawdopodobnem. Za obcem pochodzeniem Ostrorogów przemawia nietylko tradycya, ale też ich młodszość w herbie Nałęczów. Twierdzono wprawdzie, jakoby Szamotulscy pochodzili od Ostrorogów, ale zgodzimy się z autorem, że „nie może być mowy o starszeństwie Ostrorogów", skoro „Ostroróg występuje dopiero w r. 1383, Szamotuły zaś miały już w r. 1231 swego dziedzica". Autor nie podał wprawdzie wyjątkowo w tem miejscu źródła swej wiadomości z r. 1231, ale nie mam powodu kwestyonować jej. Mamy bowiem przywilej Przemysława II. z r. 1284, potwierdzający kasztelanowi poznańskiemu, Tomisławowi, posiadanie Szamotuł z przyległościami[1]; wiemy tedy napewno, że Szamotuły były w ręku samegoż Tomisława już przed r. 1284, mogły tedy były być w ręku jego przodka w r. 1231. Przywilej ten mówi o Szamotułach z przyległościami; zważywszy, że Ostroróg leży o milę tylko od Szamotuł, a Ostroróg natenczas osobnego dziedzica jeszcze nie miał, można przyjąć ze znacznem prawdopodobieństwem,

[1] Kodeks Wielkopolski, nr. 546.

że do przyległości Szamotuł należało także to miejsce (ta osada niewiadomego nazwiska, a nazwana później Ostrorogiem, jak sądzi autor — albo też, jak mnie się zdaje, te puste grunta, na których następnie stanęło miasto Ostróg). Okoliczności te popierają wywód autora, że Ostrorogowie są rodem, przyjętym do herbu przez Szamotulskich, i że nazwisko ich rodowe jest pierwotnem, nie pochodzącem od nazwy osady.

Uznawszy ten fakt, doszłoby się prostą drogą do takiego wniosku: przyjęci do herbu Ostrorogowie otrzymali w jakiś sposób (przez darowiznę, posag lub kupno) od Szamotulskich część ich posiadłości, na której wystawili sobie zameczek; następnie któryś z Ostrorogów otrzymał przywilej lokacyjny na założenie miasta, które, podobnie jak przedtem zamek, przejęło nazwę założyciela. Zapatrywanie takie miałoby za sobą więcej historycznych danych niż przekonanie p. Calliera, o starszeństwie osady.

„Wykopaliska przedchrześcijańskie" nie mogą tu stanowić trudności; zdarza się często, że założono całkiem nową osadę na miejscu, gdzie niegdyś, przed wiekami, osiadła już była ludność; osada jednak w ciągu wieków zniszczała do szczętu, a nowi założyciele nie domyślali się nawet, że nie są tu pierwszymi; przykładów takich jest mnóstwo. Wykopaliska przedchrześcijańskie wtenczas tylko stanowićby mogły o starszeństwie osady Ostroroga od rodu Ostrorogów, gdyby się dało wykazać nieprzerwany ciąg istnienia osady od króla Lecha czy Popiela aż do r. 1383, a przynajmniej aż do r. 1231, kiedy to Szamotuły miały już swego dziedzica. Ale o tem nie może być mowy: pierwsza wiadomość o Ostrorogu pochodzi dopiero z r. 1383. — Co więcej, ta sprawa wykopalisk da się łatwo wytłumaczyć bez uciekania się do przypuszczeń o starszeństwie osady Ostroroga. Dowiadujemy się bowiem z pracy p. Calliera, że w najbliższem sąsiedztwie Ostroroga była niegdyś druga osada, Piaskowo. Na str. 90 tak nas o tem informuje autor: „Osada piaskowska przypierała do południowej krawędzi miasta Ostroroga; dziś składa się tylko z jednej chałupy i obszaru wcielonego do miejskiego okręgu. W XIV. w. było Piaskowo oddzielną posiadłością, miało plebana swego, kościół i dziedziców, którzy ztąd pisali się Piaskowskimi. W XVI. w. nie było tu kmieci osiadłych". A zatem Piaskowo łączyło się bezpośrednio z Ostrorogiem, niema między temi dwiema osadami ani przedziału pustych miejsc, ani nawet naturalnej granicy, jaką w takich wypadkach zwykła tworzyć jaka rzeczułka; słowem, dwie te osady tworzyły właściwie pod względ-

dem topograficznym jednę. Wykopaliska można tedy odnieść równem prawem do Piaskowa, jak do Ostroroga, a wypada je odnieść do tej osady, która jest starsza. Otóż Piaskowo widocznie jest starszem od Ostroroga, a co więcej, było już osadą kwitnącą, znaczną, wtenczas, kiedy o Ostrorogu jeszcze nawet nie słychać. W XIV. w. ma już kościół i plebana, podczas gdy nawet istnienia Ostroroga niema jeszcze czem udowodnić; wszystko to przemawia za tem, że z pierwotnego zaludnienia, o którem świadczą wykopaliska, nie Ostroróg powstał, lecz Piaskowo, a Ostroróg jest osadą, znacznie później założoną. Popiera to przypuszczenie sam nawet nagły upadek Piaskowa. W XVI. wieku niema tam już kmieci osiadłych, widocznie tedy w XV. w. dokonał się tu jakiś przewrót w stosunkach ludności. Czy lokowanie miasta na prawie niemieckiem, swobodniejszem od polskiego, tuż obok wsi, nie zadało przypadkiem ciosu dawnej osadzie? Czy nie stało się z całem Piaskowem to samo, co z jego kościołem, słynącym cudownym obrazem św. Jakóba, o którym opowiada autor: „Gdy zaś w Ostrorogu stanęła wspanialsza świątynia, kościół ten, zwykłym porządkiem rzeczy, zszedł do rzędu kaplic filialnych“?

Dołącza się do tego ta okoliczność, że miasto Ostroróg założono według wszelkiego prawdopodobieństwa rzeczywiście w XV. w. Autor pierwszą wzmiankę historyczną o niem odnosi mylnie do r. 1383, bo Janko z Czarnkowa, opisując ów epizod z wojny domowej, nie mówi o osadzie, ale tylko o grodzie Ostrorogu[1], szlacheckim zameczku Dzierżysława Grocholi, kasztelana santockiego, a protoplasty Ostrorogów. Istnienie grodu nie jest bynajmniej dowodem istnienia osady tego samego imienia. Mojem zdaniem, pierwszą wzmiankę osady ostrorogskiej mamy dopiero w r. 1458, kiedy miasto dostarczyło na wyprawę malborską czterech żołnierzy pieszych. Pierwsza ta wzmianka mówi o Ostrorogu odrazu jako o mieście: nie jestto stanowczym dowodem, lecz wobec innych okoliczności może także uchodzić za wskazówkę, że Ostroróg nie powstał z żadnej dawniejszej wsi (niewiadomego nazwiska), lecz zaraz z początku lokowany był jako miasto.

Nie zgadzam się tedy ze zdaniem autora co do genezy Ostroroga, lecz sądzę, że Ostrorogowie wystawili najpierw gród, przed rokiem 1383, a później dopiero, pomiędzy 1383 a 1458 r., założyli miasto na gruntach pomiędzy grodem a wsią Piaskowem. Osada ta nie

[1] „... quoddam fortalitium... nomine Ostrorog“. Bielowski, *Mon. Pol. Hist.* II., 731.

jest wcale starszą od rodu, lecz przeciwnie: kiedy Ostrorogowie przybyli w te strony, nie było jeszcze ani grodu ani miasta, oni dopiero założyli jedno i drugie.

Autor z braku materyału nie poczynił dochodzeń, kiedy Ostrorogowie mniej więcej do Polski przybyli; pozwolę sobie podać od siebie pewną konjunkturę w tej sprawie. W r. 1284 nie było jeszcze Ostroroga, grunta jednak, na których później lokowano miasto, nie były bezpańskie; niesposób to przypuścić wobec gęstego już wówczas zaludnienia okolicy, wobec tego, że w najbliższem sąsiedztwie siedzieli z jednej strony Szamotulscy, a z drugiej Piaskowscy. Najprawdopodobniej należały te grunta do Szamotulskich, od których pochodzą heraldycznie Ostrorogowie, mniejsze prawdopodobieństwo przemawia za Piaskowskimi, spokrewnionymi następnie z Ostrorogami, a trzeci wypadek przypuścić już trudno, żeby mianowicie nie były jeszcze nikomu nadane; zbyt to mały skrawek ziemi między Szamotułami a Piaskowem, ażeby sądzić, iż mimo tamtych nadań pozostał jeszcze w ręku panującego. Można tedy twierdzić napewno, że ziemia ta w r. 1284 miała właścicieli, ale nie Ostrorogów; skoro zaś miejsce to jest gniazdem Ostrorogów, należy zarazem wnosić, że przybyli oni do Polski dopiero po roku 1284.

Sprawa ta genetycznego stosunku Ostroroga do Ostrorogów nie ujmuje jednak nic z wartości książki, bo jest w niej drobnym tylko punktem, a samo wciągnięcie tej kwestyi tak zawiłej do zakresu swej pracy, świadczy zaszczytnie o sumienności autora; tak też przez cały tok książki nie pomija on niczego, co tylko ma związek z Ostrorogiem. Podziwiać można skrzętność i skrupulatność, z jaką tu zebrano chronologicznie wszelkie wzmianki historyczne o Ostrorogach; najdrobniejszy ślad ich w przeszłości zanotowany; nietylko czyny, ale każdorazowy pobyt tam lub ówdzie, gdy się ślad jego zachował — i bardzo słusznie. Historyk z zawodu wie, jak cenne są nieraz takie wiadomości, ile nieraz zależy w konstrukcyi na stwierdzeniu, gdzie w danym czasie przebywała pewna osoba, i ile mozołu kosztują takie poszukiwania ubocznych szczegółów, które w druku spycha się do przypisków, bo w tekście zawadzają; ale tekst na nich nieraz właśnie się opiera! To też komukolwiek przy pracy przyjdzie spotkać się z imieniem Ostrorogów, każdy będzie wdzięczny p. Callierowi, tem bardziej, że autor rozumiejąc dobrze wymagania przedmiotu, wystarał się o specyalną genealogię całego rodu u heraldyka tak kompetentnego, jakim jest p. Żychliński. Ciekawą jest wiadomość, że należą do rodu Ostrorogów

kwitnące dziś jeszcze rodziny Rostworowskich, Kąsinowskich, Gorzeńskich, Czarnkowskich, Dzierżykrajów-Morawskich. Linie, używające pierwotnego nazwiska, wymarły wszystkie; ostatni po mieczu Ostroróg umarł niedawno w Londynie, a dziś żyje już tylko ostatnia po kądzieli, Joanna z hr. Ostrorogów hrabina Hieronimowa della Scala.

Obfitością materyału odznacza się rozdział p. t.: „Majętność ostrorogska". Pomijając ciekawy opis zajazdu z r. 1625, zwrócić należy uwagę powszechną na cenny inwentarz całego klucza ostrorogskiego z r. 1718. Dajcie nam z każdego wieku pewną ilość takich wszechstronnych inwentarzy, a zabierzemy się do historyi rolnictwa i włościaństwa w Polsce! Każdy budynek, każde gumno, drzwi i okno każde osobno nietylko wymienione, ale opisane! Inwentarz żywy i martwy tak spisany, że gęsi np. osobno liczone stare, a osobno młode. Z tego wnosić można, jakie tam bogactwo szczegółów i konkretnych faktów. Ludność wieśniacza dzieliła się na kmieci, kwartników, chałupników, komorników i niepoddanych. Stosunki materyalne w dobrach ostrorogskich były widać dobre, skoro np. we wsi Orliczko kmieć Gąska miał wołów 6, krów 4, świń 5, a owiec 50. W Wielimiu kmieć Maciek ma wołów 5, juńców trzechletnich 2, dwuletnich 2, roczny 1; koni 2, źrebię 1, krów 3, jałowicę 1, owiec 30, kóz 15, świń 10. W Biminie Greczka ma wołów 8, koni 7, krów 6, świń 1. W Nosalewie chałupnik Maćko ma wołów 2, krów 2, świń 4. Zasiew mają wszędzie pański. Powinności były w różnych wsiach niejednakie; po większej części kmiecie odrabiali po trzy dni w tygodniu: po trojgu od św. Wojciecha do św. Marcina, a po dwojgu przez zimowe półrocze. Chałupnicy w tym samym mniej więcej stosunku odrabiali ręczną robotę, a „luźni ludzie, jako owczarze, karczmarze, w żniwa po dwa dni robić powinni". Obfituje inwentarz w wiadomości o karczmach, młynach, barciach etc. Do majętności ostrorogskiej liczyło się wsi 8, a inwentarz poddaństwa obejmuje imiennie wymienionych osób 96 — ludność mogła tedy wynosić około 400 osób; wypada przeciętnie na jednę wieś osób zaledwie 50. Najludniejsza, ale też zarazem najuboższa wieś, Chojno, miała poddanych 31, najmniejsza, nazwana „wioską", Zapust, miała tylko jednego rataja i owczarza. Te cyfry wprowadzają nas odrazu w świat całkiem różny od dzisiejszego; sam autor ich nie zbiera, poprzestaje na podaniu surowego materyału. Spróbujmy więc dla przykładu poruszyć trochę materyał podany przy wsi Wielimie: jest tam 6 kmieci i 7 chałupników. Na kmieci wypada 39 wołów, 25 krów, 13 koni, 8 cieląt, 117 owiec, 17 kóz i 45 nierogacizny. Kmiecie tym inwenta-

rzem obdarzeni reprezentują siłę roboczą wartości 1800 dni rocznie, licząc po 300 dni roboczych na rok. Z tego w letniem półroczu odpada 450 dni na pańskie grunta, w zimowem 300, pozostaje dla własnego użytku dni 1050, czyli dla każdego kmiecia dni 175 na własne, a 125 na pańskie. Nadto dawał każdy kmieć „owsa po dwie ćwiertnie, czynszu po groszy 50, kapłonów cztery, kur prostych dwie, jaj po pół kopy, kądzieli po trzy sztuki przędzą". Skoro dawał czynsz w gotówce, widocznie miał prawo sprzedawać swoje plony. Nie wiemy jednak niestety, ile miał roli i jaką była wydatność gleby, obliczenie tedy tych stosunków pańszczyźnianych nie może być dokładne. W przybliżeniu atoli oznaczyć można, że dla kmieci przynajmniej stosunki te wcale nie były ciężkie. Za 125 dni roboczych pańszczyźnianych otrzymywał bowiem taki ekwiwalent, że przez dni 175 pracował dla siebie inwentarzem otrzymanym od dziedzica, dostawał zasiew i chatę, o której utrzymanie również się nie troszczył. Co za wdzięczne pole byłoby do badań, starać się oznaczyć stosunek wartości martwego i żywego inwentarza do wartości plonów otrzymywanych z jego pomocą, ile ztąd światła padłoby na dawne stosunki rolnicze. Dotychczas nie wiemy o nich niemal nic: to też umyślnie zatrzymałem się nieco dłużej przy tym inwentarzu, ażeby okazać, jaką zasługę ma p. Erzepki, który to cenne źródło odnalazł, i p. Callier, który je wydał w swej monografii.

Niemniej ciekawe są księgi miejskie, wójtowska i burmistrzowska, z których znaczniejszą ilość aktów autor przytacza. Jakaś wdowa wydziedzicza w r. 1560 swych synów, zapisując wszystko zięciowi — i wiele innych dla prawnika cennych wzmianek. Przekroczenia, wynikające ze stosunków płciowych, karano grzywną i wieżą, a sprawiedliwiej od dzisiejszego prawodawstwa, bo mężczyzny nie puszczano bezkarnie. Z czasów Braci Czeskich jest tu kilka dokumentów. Ostroróg był niejako stolicą sekty Braci Czeskich, bo tu była siedziba seniorów, archiwum, biblioteka „Jednoty" i rodzaj seminaryum duchownego. Chodzi o to, czy mieszczaństwo przyłączyło się też do nowinek. Autor pisze, że „niewiadomo, ilu Bracia Czescy znaleźli współwyznawców między mieszczanami ostrorogskimi". Z testamentu jednak seniora Chwalibowskiego z r. 1578 wynika jasno, że „papiestwo" wśród mieszczaństwa nie ma zwolenników, że całe miasto porzuciło katolicyzm. Taki stan rzeczy byłby całkiem naturalny, bo w Polsce faktycznie było u każdego szlachcica: *cuius regio, eius religio*, a Ostroróg nie był miastem t. zw. królewskiem, ale prywatną własnością Ostrorogów. Chciałbym przytem zwrócić uwagę na fałszywe z gruntu pojmowanie u nas stosunku ludu

do reformacyi. Ileż razy czyta się i słyszy, że lud nasz pozostał podczas okresu reformacyi wiernym Kościołowi, a dowodem tego jedynym ma być chyba to, że o ludzie w tej sprawie nic nie słychać. Otóż gdyby lud był trwał przy Kościele, gdyby był gdziekolwiek stanął w sprzeczności z swym kalwińskim, aryańskim lub waldeńskim panem, byłoby z pewnością doszło do takich scysyj, że aż zanadto byłoby o nich słychać, bo byłyby w historyi zapisane głoskami prawdopodobnie krwawemi. Brak wiadomości o zachowaniu się ludu uważam za dowód jego uległości, która pochodzić mogła tylko — nie łudźmy się i powiedzmy prawdę wyraźnie — z zupełnej w rzeczach wiary ciemnoty. Reakcyi katolickiej zawdzięczamy, że uznany dziś za rdzeń narodu lud nie wyznaje tej samej wiary, co najeźdźca, lub takiej, któraby się łatwym stała pomostem do przyjęcia jej (a wtenczas byłby *finis Poloniae* naprawdę!). Całkiem mylne ma pojęcie o biegu dziejów, kto przypuszcza, że nasz wieśniak nietylko w XVI., ale i w XVII. jeszcze wieku umiał — katechizm.

Niejedną jeszcze doniosłą sprawę porusza się w myśli, czytając książkę p. Calliera. Są tam różne ślady żydowskiej gospodarki, jest coś o szkole, szpitalu i t. d. O wszystkiem mówić niesposób, a uważając to, co się dotychczas powiedziało, za motywa i premisy, przystąpmy do wniosków z oceny książki.

Jestto przedewszystkiem zbiór cennych źródeł, wydany sumiennie, po większej części dosłownie. Wydawca rozumiał dobrze swoje zadanie i starał się według możności zbiorek ten wszechstronnie uzupełniać; nikt nie może wymagać więcej, bo dał wszystko, co tylko można było zebrać do dziejów rodziny Ostrorogów i ich miasta. Konstrukcyjną ta praca nie jest, bo konstrukcyę napotyka się tylko czasem i w małej ilości; służy ona też tylko do połączenia tych źródeł w pewną całość literacką. Nie jestto zarzutem, lecz właśnie pochwałą, bo tem większa zasługa p. Calliera, że mogąc użyć źródeł tylko dla siebie, wolał zamiast rozprawy dać same źródła, i oddał je na użytek powszechny; tak postępując, zgóry mógł być pewnym uznania. Dzięki też tej okoliczności, monografia jego przyda się całemu szeregowi historyków-specyalistów, jako źródło do licznych spraw w długim przeciągu czasu, a praca ta może być przykładem, do jakiego stopnia wdzięcznem jest zadaniem pisanie monografij lokalnych.

Oby też echa tej pracy doszły do uszu tych, którzy w archiwach familijnych mają inwentarze majętności swych przodków, a uważają sobie za obowiązek dawać z nich pożywienie molom. Dobrze by-

łoby, gdyby przynajmniej światłe duchowieństwo zechciało na początek, dobry przykład dając, poszukać ich w archiwach farnych. Z inwentarzy takich, lustracyj i wizyt kanonicznych na prowincyi złożyłby się taki tom cennych źródeł do historyi kultury, że z pewnością znalazłaby się instytucya naukowa, któraby i nakład chętnie dała i imiona szanownych odkrywców podała w przedmowie wdzięcznej pamięci tych przyszłych pokoleń, które wrażliwsze na głos nauki, mniej będą dbały o los molów i innych robaczków żywiących się papierami, a których istnienie jest dziś w wielu domach jedyną wskazówką, że tam jest małe, ale ciekawe archiwum.

Dr. Feliks Koneczny.

Opowiadania historyczne. *Dr. Antoni J.* Serya VII. Lwów 1891.

Znana to i uznana firma od lat wielu, więc książkę bierze się w rękę nietylko z ciekawością, ale i z zaufaniem, że znajdą się tam szczegóły historyczne, zbierane skrzętnie na kresach wschodnich, wykopywane z kurhanów, dobywane z gruzów starych dworów, zamczysk, wydarte z butwiejących w zapomnieniu papierów rodzinnych, czy urzędowych. Autor nie jest historykiem z powołania, z cechu; jestto, nie powiemy: dyletant, ale amator. To stanowisko amatora nie obniża ni zasług autora ni wartości jego książek, ale nadaje odrębną, charakterystyczną cechę pracom dra Antoniego J. Jak są amatorowie numizmatów, które zbierają chciwie, gdzie tylko ich dopadną; jak są amatorowie muzyki, którą uprawiają w chwili od zajęć wolnej — takim amatorem historyi wydaje się dr. Antoni J. Jak amator-numizmatyk lub muzyk może być wybornym znawcą przedmiotu uprawianego, tak i amator-historyk może sobie zdobyć, jak oto właśnie dr. Antoni J., poważne stanowisko w literaturze. To amatorstwo sprawia, że też *con amore* autor macza pióro w kałamarzu, ile razy go do tego nie obowiązek, ale upodobanie przedmiotu nakłoni.

W tomie, o którym w tej chwili mowa, zaprowadził nas autor w opowiadaniu: „Zdrada kamieniecka“ nietylko w mury Kamieńca, nietylko między rycerstwo, co go broniło, i między Turków, co go pochłonęli, ale i między sejmującą szlachtę i na dwór królewski — i dalej jeszcze, znacznie dalej, bo otworzył nam widok na tę naturę ojców rozleniwiałą, a lekkomyślną, kąpiącą się w grzesznym politycznie optymizmie.

Śledzimy z największem zajęciem, z najsilniejszem uczuciem za przebiegiem walki, ale większe jeszcze niż w superlatywie, jest zajęcie

czytelnika, gdy go autor opowiadaniem prostem, przedmiotowem, niemal naiwnem, budzi do refleksyi nad tą dobą dziejów naszych, która marnotrawstwem była ojczyzny. Marnotrawiliśmy ją, gdy wołano, że Kamieniec jest twierdzą nie do zdobycia, gdy nie wierzono wołaniu Sobieskiego o wzmocnienie twierdzy, gdy sto tysięcy szabel szlacheckich połyskiwało w konfederacyi gołąbskiej wśród wrzasków i kłótni wówczas, gdy te szable szczerbić wypadało na karkach pohańców.

Ale i na dziś płynie nauka. I dziś tak bywa, że własną lekkomyślność, ciężkie winy i wybryki otrząsamy z siebie, a skutki własnego błędu składamy na innych, co w nim udziału nie brali, i wołamy: „zdrada! zdrajcy“ — jak owa gołąbska konfederacya, co nie chciała uwierzyć, iż Kamieniec upadł, bo upaść musiał, skoro mu dostatecznej obrony, jak żądał hetman, udzielić nie chciano — ale wierzyła najmocniej, iż ci, co go piersiami swemi zasłaniali, dopuścili się zdrady.

Więc jest tu w „Zdradzie kamienieckiej“ i nauka historyi i nauka życia — więc jest pokarm dla myśli i dla serca. Może zdałoby się nieco więcej zręczniejszego, bardziej literackiego układu; miejscami tok się przerywa, wtłaczają się epizody, odrywające uwagę od rzeczy właściwej; ton naracyjny tu i ówdzie popada w zanadto poważne *maestoso*, chociaż motyw tego się nie domaga. Po szkicach Szajnochy, Smolki, Kubali, Liskego i t. d., dr. J. niekiedy wydaje się za ciężki. Szczególnie w opowiadaniu: „Beatrice“, radzibyśmy byli, spotkawszy tyle serdecznego ciepła i czci dla Zygmunta Krasińskiego, doznać też więcej ożywienia. Opowiadanie piękne, szczegółowe, ale wygląda cokolwiek na elegię, zaśpiewaną nad epizodem z życia wielkiego poety. A skoro Delfina Potocka była dla poety Beatriczą, skoro otrzęsła z niego „rozpacz bezbrzeżną i wściekłą“, toćby nie w smętną strunę elegii uderzać wypadało. Ale chociaż na *mol* nastrojone opowiadanie, to przecież nie powiadam, że nie sprawia zadowolenia; owszem, nietylko zadowolenie, ale i wdzięczność dobywa nam autor z serca, i serdecznie też podziękować mu trzeba za ten ustęp, dla historyi literatury przydatny, dla wszystkich użyteczny i pożądany.

Komu nieznane te ciche tragedye życia, które układały się przez wieki w jasyrach tatarskich, w niewoli tureckiej; kto nie zajrzał jeszcze w tę historyę narodu, którą nie atramentem, ale łzami spisywano — niechże skwapliwie przeczyta: „Zakładnicy lwowscy“. Czyśmy sprawiedliwi, że w powieściach, w poezyi, w tradycyi, w historyi, wielbimy bohaterów czynu, a zapominamy o bohaterach cierpienia? Jedni szli w bój i ginęli, umierali za ojczyznę. Tym równo ze śmiercią, co

im grób kopała, historya wieńce sławy wiła. Inni umierali bez boju, szli na wolne konanie: życie ich gasło, a wraz z niem gasła pamięć ich cierpień. Kto idzie w te katakumby cierpień z kagańcem i odwala kamienie mogił bezimiennych męczenników narodowej sprawy, i oświetla łzy, na cierpieniem zoranych twarzach zastygłe, temu serdeczny afekt się należy. Ba! drowi Antoniemu J. tem serdeczniejszy, że opowiadanie swoje okrasił nie dającym się wypowiedzieć wdziękiem prostoty rzewnej, a śmiejącej się przez łzy. Opowiadanie jego, to jakby krzyż, wyciosany ręką wygnańca, na grobie współbraci na pustym stepie pogrzebionych. Ci poczciwi mieszczanie lwowscy, oddający się dobrowolnie w niewolę dla uwolnienia miasta od twardej dłoni tureckiej, od tatarskiego noża, to nie jedyni, co tak i tyle cierpieli: ale ich historya, jako obraz wielu innych podobnych cierpień i poświęceń, zasługuje na to, by się jej nauczyć i nie zapomnieć.

Wiele ciekawych, nieznanych dotąd szczegółów umieścił autor w opowiadaniu: „Fatyma“. Losy owej przez poetów opiewanej, przez malarzy prawie apoteozowanej Zofii Potockiej, interesowały swojego czasu całą prawie Europę. Legendy o niej powstały; i one to uczyniły z niej księżniczkę gruzyjską, porwaną przez Turków na żonę dla sułtana. Opowiadanie dra Antoniego J. despekt czyni legendom, skoro przypomina, iż żona Szczęsnego była poprostu żebraczką na ulicach Konstantynopola. Co za zrządzenie boże! Ten Szczęsny, któremu wydarto żonę, Gertrudę Komorowską, senatorską córkę, zacnego rodu, jako niegodną stać się synową takiego jak Salezy pana, królika Rusi — żeni się z żebraczką, i to podaną sobie nie z pierwszej ręki. Czy mogła być większa kara pychy prawdziwie rozszalałej? Ten obrazek to już głośno się prosi, by go do powiastek historycznych zaliczono; tyle w nim barwy, życia, ruchu, że chociaż jest historyą, na dokumentach opartą, źródłowo opracowaną, siłą materyału swego odbiega od innych w tym tonie opowiadań i wydaje się pośród nich jak kwiat, wetknięty pomiędzy brzoskwinie. Idąc utartym torem sprawozdawców, należałoby urwać coś z treści, przypiąć coś z polemiki. Czy z listka jednego pozna kto piękność kwiatu? A więc po co go odrywać? Na polemikę zdobyć się nie można w tej chwili, bo choćby się szukało czy okiem historyka, czy literata, niczego się tu nie znajdzie, o coby kłócić się wypadło.

„Babka poety“ (Z. Krasińskiego) jedzie na ciężkim, opasłym pegazie. Wprawdzie historycy na pegazach nie wjeżdżali na Olimp, więc od takiego zarzutu uwolnićby dra Antoniego J. należało: ale niechże

jakaś *licencia* będzie dozwolona stylowi sprawozdawcy, by za jej pośrednictwem mógł się przyznać do tego, że znudził się cokolwiek tą ciężką, powolną, rozwlekłą historyą Antoniny z Czackich Krasińskiej. Rzecz to bardzo cenna i gdyby się pojawiła w osobnym tomie, jako monografia, byłaby ciekawem źródłem dla historyka obyczajów w Polsce, dla biografa poety; ale jako szkic historyczny, jako opowiadanie, czyni wrażenie czegoś za ciężkiego.

„Spuścizna po księciu Nassauskim“ i „Spuścizna po Humieckich“, pokrewne sobie materyałem, schodzą się z sobą, kojarzą jakby w jeden obraz. Materyał historyczny przygniata tu stronę literacką, to też te dwa opowiadania czynią wrażenie, jakby były przygotowaną dopiero do obrobienia, a nie opracowaną już rzeczą. Ale zarzutu z tego autorowi czynić nie chcemy — a i o „Babkę poety“ nie chcemy się spierać, gdyż autor zbieraniem na swój sposób pamiątek przeszłości chciał nie beletrystykę bogacić, jeno pamiątki od zapomnienia ochronić. Sam o tem tak mówi (str. 312): „Inne są potrzeby obecnej chwili, inne dążenia, inne ideały — jeżeli ideały są jakie. Następne po nas pokolenie nie będzie nic wiedziało o poprzednikach... więc choć osamotnieni i smutni, z możliwą skrzętnością, skromną po nich zapisujemy pozostałość“.

Że to zadanie spełnia dr. Antoni J. jak najdokładniej, to pewna — i za to wdzięcznym mu być należy.

Czesław Pieniążek.

Sprawa zamachu na Stanisława Augusta z 3 listopada 1771 r. przed sądem sejmowym. *Dr. Władysław Ostrożyński.* Lwów 1891.

„Daremnymi są wszelkie domysły, gdzie najpierw zrodziła się myśl zamachu“, powiada słusznie autor, wykazując na wstępie, jak rozpowszechnioną była myśl porwania króla, w celu, ażeby go zmusić do objęcia naczelnictwa konfederacyi barskiej; pomysł wykonania listopadowego zamachu przypisać jednakże należy Strawińskiemu, człowiekowi wielkiej odwagi cywilnej i wojennej, a z charakterem „czystym jak łza“. Nie można tego powiedzieć o dwóch głównych jego pomocnikach, Łukawskim i Kuźmie. Kazimierz Puławski dał na wszystko swe zezwolenie; sama zaś generalicya konfederacyi o niczem nie wiedziała. Wiadomo, że zamach nie udał się skutkiem zdrady Kuźmy, który króla ocalił i do Warszawy odprowadził; król i stronnictwo moskiewskie nadali sprawie rozgłos zamierzonego królobójstwa (jakkolwiek nikt o zabiciu króla nie myślał), a skutkiem tego generalicya

wymusiła na Puławskim, że się dla dobra sprawy konfederackiej wyparł wszelkiego związku z zamachem. — Takie są główne wyniki tej pracy co do strony faktycznej przedmiotu. Niejedno błędne, a dotychczas utarte zapatrywanie sprostował przytem autor, opierając się zawsze na źródłach; jeszcze więcej szczegółów po raz pierwszy z ukrycia wydobył. Praca jest pod tym względem tak wyczerpującą, że temat ten można już uważać za opracowany raz nazawsze [1].

Główną część książki stanowi atoli nie faktyczna, lecz formalna, a mianowicie prawnicza strona przedmiotu; jestto przedewszystkiem rozprawa z historyi prawa polskiego. Chwytaniem spiskowców i śledztwem zajmuje się urząd marszałkowski przez swych instygatorów. Forum na wszelkie *crimem laesae maiestatis* jest sąd sejmowy; od jego wyroku niema apelacyi ani też nadziei ułaskawienia, bo w sprawach kryminalnych nie król posiada prawo łaski, ale sejm, którego sąd sejmowy jest właśnie reprezentantem. Oskarżycielami są z urzędu instygatorowie, ponieważ chodziło o *delicta publica;* dołączyć się do nich mógł prywatny delator [2]. Postępowanie było ustne i jawne, a obwinionym należało dać obrońców z urzędu. Przed sądem sejmowym już pierwszy termin rozprawy jest rokiem zawiłym i można na nim skazywać zaocznie. W materyi tego procesu miało ustawodawstwo polskie wielkie braki, a zwłaszcza brakowało oznaczenia kary; oskarżenie tedy posiłkuje się statutem litewskim, prawem rzymskiem, powołuje się na różne powagi z wieków średnich i nowszych, a wreszcie na prawo boskie i prawo natury.

Obronie pozostawiono wszelką swobodę, ale obrońcy sami w swych przemówieniach piętnowali oskarżonych mianem królobójców! Nie było pomiędzy nimi żadnej solidarności, a metoda ich polegała niemal wyłącznie na tem, że starali się bronić swego klienta kosztem innego obwinionego: całe ich postępowanie jest nieszczere, a nikt z nich nie ma na tyle cywilnej odwagi, ażeby wskazać, że nie o zabicie króla, ale tylko o uprowadzenie go chodziło, i że zamach powstał nie ze zbrodniczych, lecz z politycznych powodów. Pod tym ostatnim względem musiał ich wyręczyć sam król w swem przemówieniu, wstawiając się za obwinionymi. Wyrok zapadł srogi, ale w porównaniu z prawo-

[1] Jeden tylko szczegół pozostaje nadal nierozstrzygnięty: w jaki sposób udało się schwytać Łukawskiego?

[2] Był nim dworzanin królewski Jan Ośniałowski, który podczas zamachu uciekł, a potem na delatorstwie grubo zarobił.

dawstwem innych narodów, wcale nie okrutny. Legalność jego da się jednak zakwestyonować z dwóch względów: popierwsze, ponieważ wątpliwą jest legalność sejmu z r. 1773, którego komisyę stanowił ten sąd, a powtóre, ponieważ na 34 oskarżonych skazano 27 zaocznie, nie dodawszy nawet niejawiącym się obrońców, co sprzeciwiało się konstytucyi sejmowej z r. 1588. Wyrok krzywdził skazanych wielce pod względem moralnym, przypisując im zamiar królobójstwa [1].

Te są najgłówniejsze punkta wytyczne, na których oparł autor przedstawienie procesu zupełnie dokładne i szczegółowe. Wobec tego zasadniczego substratu każdy szczegół nabiera ważności, a rzecz sama w sobie niezmiernie ciekawa podnosi się do godności zagadnienia naukowego; tak też pojął autor swoje zadanie i wywiązał się z niego zaszczytnie, bo nigdy, ani razu w toku opowiadania nietylko nie zapomniał o tej stronie teoretycznej, naukowej, ale owszem, czytelnik spostrzega na każdym kroku, że autorowi na tej stronie jego pracy niezmiernie zależy. To też zajmie ona zaszczytne miejsce wśród monografij naukowych, bo spostrzeżenia, dołączane przez autora do faktycznej strony przedmiotu, są tego rodzaju, że można im wróżyć trwałą naukową wartość.

Materyał, którym autor rozporządza, jest bardzo obfity; oprócz *processus judiciarius*, wydanego w Warszawie w r. 1774, *Voluminów legum* i różnych współczesnych druków, użyto tu pięciu rękopisów z Biblioteki Ossolińskich we Lwowie [2], a zawierających różne akta, listy i dokumenty. Nieobfita literatura, o ile choć pośrednio tylko przedmiotu tego dotyczy, wyzyskana należycie. Przykładem staranności autora może być rejestr przygodnych druków, wywołanych współcześnie zamachem, wśród których jest np. także *epos* niemieckie: *Raub des Königs Stan. Augustus. Ein Heldengedicht in IV Gesängen!* Autor dotyka wszechstronnie wszystkiego, co tylko z tematem ma związek.

Dwa tylko podnieść wypada zarzuty. Autor, mając znaczniejszą ilość źródeł rękopiśmiennych, niewydanych jeszcze ani nieopracowanych, powinien był zapoznać z niemi czytelnika w osobnym jakim

---

[1] Na wymiar kary nie byłoby to miało wpływu, czyby ich skazano za porwanie, czy za chęć zamordowania króla, niemniej przeto słuszną jest uwaga autora, że „sąd sejmowy... skrzywdził nietylko ich samych, ale i cały naród, nieskalany dotychczas krwią królewską, a pod względem politycznym utrwalił złe skutki dla kraju, spowodowane już samym zamachem.

[2] Nr. inw. 164, 330, 331, 529, 573.

przeznaczonym na to ustępie, poinformować o ich rodzaju i wartości i zwrócić uwagę, w jakim kierunku i do jakiego stopnia z nich korzysta. Przypiski towarzyszą wprawdzie tekstowi nieustannie, ale najsumienniejsze cytowanie źródeł nie zastąpi krytycznej informacyi o nich.

Drugi zarzut tyczy się formy. Większa połowa materyału, na którym się autor opiera, znajduje się w tekście i utrudnia przez to wielce czytanie książki. Czyby nie było lepiej wszystkie te manifesty, mowy i repliki, ordynanse i listy zebrać na końcu, jako dodatki źródłowe, a w tekście powoływać się tylko na nie? Oddzieliwszy konstrukcyę od aparatu naukowego, zyskałoby się wiele, bo jedno i drugie byłoby przejrzystem, a każdy czytelnik spostrzegłby się odrazu, w czem tkwią główne momenta historycznego i prawniczego interesu tej sprawy, podczas gdy teraz zdarzyć się może, iż zanim czytelnik doczyta do końca jaki *excerpt* źródłowy obejmujący kilka nieraz stronnic, zapomni, w jakim celu autor go w tem miejscu przytacza. Pod względem literackim zyskałaby książka nadzwyczaj na takim podziale. — Z tem wszystkiem podpisany sam zwraca uwagę czytelników tej recenzyi, że w pracy naukowej kwestya formy jest sprawą uboczną, drugorzędną.

Dr. Feliks Koneczny.

Drobiazgi historyczne. Przez *Aleksandra Kraushara*. Petersburg, Rymowicz. Kraków, Gebethner i Spółka. 1891 (w małej 8-ce. str. 425).

Zamiast nowelek, które niczego nie nauczą, a często nawet znudzą zamiast ubawić, polecamy jako lekką a przytem zajmującą i pożyteczną lekturę, najnowszą książkę p. Kraushara. Zebrał on swoje artykuły i prace, rozrzucone po czasopismach, i w pięknie wydanym tomiku podał nam razem szesnaście krótkich ale interesujących obrazów i opowiadań, w których na podstawie starych a rzadkich druków, jakoteż różnych zabytków rękopiśmiennych odtwarza mile i barwnie zdarzenia i postacie z lat dawnych, jużto mało znane, jużto zapomniane zupełnie.

W pierwszym z tych obrazów występuje Teresa z Rostworowskich 1° *voto* Godlewska, 2° Załuska, starościna rawska: *hic mulier*, postać niezmiernie ciekawa, głośna za pierwszych lat rządów Augusta III. z procesu z Antonim Wodzińskim, podstolim liwskim. Doskonale zna ona prawo i procedurę trybunału, sama dopilnowuje egzekucyi dekretów na swoją korzyść zapadłych; świetna oratorka sądowa występuje z mowami przed trybunałem, energiczna i niełatwo ustępu-

jąca placu, umie się wywikłać z najtrudniejszych sytuacyj, zna wszystkie kruczki trybunalskie..., słowem, istne „dziwowisko wieku".

Niemniej ciekawem jest drugie z rzędu opowiadanie, pod tytułem: „Sprawa Samuela Bolestraszyckiego, kartka historyczna z r. 1627". Bolestraszycki przetłumaczył na polski język książkę pastora kalwińskiego, Piotra du Moulin, p. t.: *Heraclite, ou de la vanité et misère de la vie humaine*, i ogłosił ją w r. 1627 pod napisem „Heraklit albo o próżności". Za staraniem Achacego Grochowskiego potępiono tę książkę, trybunał lubelski uznał ją za niemoralną i podkopującą wiarę, i kazał publicznie spalić na rynku lubelskim ręką kata, autora zaś skazał na 6 miesięcy wieży *in fundo* i t. d. Wyrok ten narobił wiele hałasu. szlachta podniosła krzyk i głośne protesty w obronie zagrożonej wolności, wojewoda Rafał Leszczyński stanął po stronie Bolestraszyckiego, zawiązał nawet w tej mierze korespondencyę z księciem Zbaraskim, cała sprawa obiła się wreszcie o sejm. Ostatecznie Bolestraszycki wywinął się od kary i był *pristino honori restitutus*.

Bardzo interesujące są również „Pamflety astronomiczne" z r. 1761. Jestto opis polemiki naukowej — niedość co prawda poważnej i objektywnej, owszem, zgryźliwej i zajadłej, ale właśnie dlatego bardzo ciekawej — między astronomem warszawskim jezuitą Stefanem Łuskiną, redaktorem *Gazety Warszawskiej*, a profesorem Akademii Zamojskiej Stanisławem Duńczewskim. Łuskina, choć pisał uszczypliwie i zjadliwie, był jednakowoż, jak się pokazało, panem przedmiotu, i Duńczewskiego, który szermował słowami i czczą arogancyą, zbił ze szczętem.

Albo „Pamiętniki karzełka polskiego"? Rzecz oczywiście bardzo drobna i nie mająca pretensyi do opracowania historycznego, ale przytem ciekawa. To też choćby poważny historyk odsądził ją od wartości i od zaszczytu druku, mimo to ogół czytelników przeczyta ją z zajęciem. Józef Borusławski, mały karzełek rodem z Halicza, odznacza się dowcipem i wykształceniem. Bogata protektorka wywozi go za granicę i pokazuje po wszystkich dworach. Nasz karzełek sypie dowcipami na dworze Maryi Teresy, podziwiają go w Luneville, w Paryżu, w Anglii, w Holandyi, wreszcie w Warszawie. Wkońcu karzełek postanawia się ożenić. Za towarzyszkę dozgonną obiera sobie osobę zwykłego wzrostu, i noszony na rękach tej swojej żony, pokazuje się nieraz na ulicach Londynu. Niemcewicz go jeszcze widywał.

Ktoby skończył wyliczać treść wszystkich tych „Drobiazgów"! Jest tam i Sefer Muratowicz, kupiec warszawski z r. 1602, jeżdżący po Persyi, przyjmowany przez szacha i zachwycający go patryotycznem

przemówieniem; jest i romans St. Michel'a, szlachcica szkockiego, prowadzony w Polsce nie bez awantur, w połowie XVIII. w.; jest Jakób Becal, sprytny i ciekawy żyd, znienawidzony dzierżawca dochodów celnych za Sobieskiego; jest dalej obszerniej spisana sprawa Dogrumowej, głośnej intrygantki za Stanisława Augusta; następują książki i poezye ciekawe, a mało znane, opiewające pogrom wiedeński i chwałę Jana III.; Stanisław Niegoszewski, znany we Włoszech improwizator i wierszokleta polski i t. d.

Nie rozumiem jednej rzeczy. Zkąd wśród tego szeregu obrazów z przeszłości, mających swój nastrój osobny i swoje tło starożytne, bierze się nagle „Szkic biograficzny“ o Kazimierzu Jarochowskim i „Sylwetka“ o p. Korzonie? Wygląda to tak, jakby autor w tomie „Drobiazgów“ chciał był za wszelką cenę pomieścić wszystkie swe drobne prace. Ależ *non erat hic locus*... Nic nie mamy przeciwko sylwetkom tych panów, sądzimy tylko, że mogły one figurować gdzieindziej; tutaj tak im do twarzy, jak świeżej fotografii umieszczonej wśród galeryi starych sztychów i rycin.

Również zdaje się nam, że takie rzeczy, jak „Historyjki i plotki polityczne“, lepiej jest obrobić obszerniej i dokładniej. Rzecz bowiem tak pojęta i napisana jak w „Drobiazgach“ p. Kraushara, obznajomionemu z historyą musi się wydać niedbałą i napisaną ot tak *levi brachio* — dla tego zaś co nie zna bliżej historyi, jest stanowczo za krótką, nierozwiniętą i niewystarczającą.

Do uwag autora o sprawie Bolestraszyckiego możnaby jeszcze dodać ten szczegół, że na długie lata stała się ona zarzewiem niezgody między katolikami a dysydentami. Książę wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł, gorliwy obrońca i przywódca litewskich dysydentów, jeszcze w roku 1635 powstawał na sejmikach przeciw wyrokowi trybunału. „Jestto — mówił on — *iniuria*, nad którą *terribilior* nigdy nas nie potkała“ [1].

Co do strony zewnętrznej, podnieść trzeba w książce pana Kraushara gustowną okładkę, piękny druk i papier, dość staranną korektę; to chyba jedno dziwnie uderza, że i na kartce tytułowej i w spisie rzeczy na końcu książki pominięto czwarty z rzędu szkic pod tytułem: „Pamiętniki karzełka polskiego 1739—86“, umieszczone na str. 99.

Tem bardziej polecamy tę książkę, że autor, który w poprzednich swych dziełach nie zawsze umiał być objektywnym i rzecz poj-

[1] Teka Nar. 131, nr. 193.

mował czasami stronniczo, w „Drobiazgach“, oprócz kilku może małoznaczących zresztą wyrażeń *in gratiam* Bolestraszyckiego, stara się być bezstronnym i kreśli osoby i zdarzenia w świetle rzeczywistem.

W. S. P.

Kazania na niektóre święta Najświętszej Panny Maryi. Część druga. Napisał *ks. Józef Pelczar*, dr. św. Teologii, prof. Uniw. Jag. etc. Kraków. Nakładem autora. 1891. (W 8ce, str. VIII, 159).

Książka, którą pod ręką mamy, jest drugą częścią zbioru kazań, wydanego w r. 1889. Obejmuje 17 kazań o Matce Boskiej. W pierwszych piętnastu przechodzi autor kolejno mniejsze uroczystości Bogarodzicy, zaczynając od święta Zaślubin (23 stycznia), pod koniec umieszcza dwa kazania przygodne: jedno na rozpoczęcie nabożeństwa październikowego ku czci Maryi, drugie na nową uroczystość Królowej Korony Polskiej, przypadającą w myśl dekretu Ojca św. Leona XIII. (z 18 kwietnia 1890 r.) na pierwszą niedzielę maja. Samo już obranie tych tematów i skierowanie ich ku mniejszym uroczystościom Matki Bożej jest myślą bardzo szczęśliwą i praktyczną. W rzędzie tych kazań znajduje czytelnik mowy na uroczystości takie, jak N. P. Maryi Dobrej Rady (26 kwietnia), Anielskiej (2 sierpnia), Śnieżnej (5 sierpnia), Wykupu (24 września), Ofiarowania (21 listopada) i t. d. Każde z tych kazań opatrzone jest krótkim, lecz treściwym szkicem. Szkic taki dozwala czytelnikowi przejrzeć i spamiętać przebieg i argumentacyę mowy, przywodzi łatwiej na pamięć raz czytane kazanie, a wreszcie ułatwia samoistne przygotowanie kazania na tle przez autora podanem. Treści przeważnie moralnej lub panegirycznej, kazania te odznaczają się jasnością i trafnem zastosowaniem przedmiotu do potrzęb moralnych słuchacza. A słuchaczem tym Polak, już z samej tradycyi sługa czy rycerz Maryi — to też kaznodzieja w zastosowaniu uderza razporaz w tę strunę swojską.

W kazaniu np. na święto N. P. Wspomożenia wiernych, zwraca się mowca z temi słowy do Najśw. Panny: „Szczególnie przytul do Serca naród polski, istną sierotę pośród narodów, by otrzeć jej łzy, ożywić jej wiarę, wlać w nią nowe męstwo i ubłagać dla niej lepszej doli“ (str. 24). W kazaniu na święto Opieki N. P. Maryi piękny i rzewny jest ustęp, w którym mowca stawia przed oczy słuchacza Maryę jako Opiekunkę narodu naszego: „A cóż powiem — mówi on — o tym narodzie, który od dziewięciu wieków jeżeli nie zawsze usty, tedy przynajmniej jękiem serc woła: Królowo Korony Polskiej, módl się za nami!... Do Ciebie

wołał niegdyś Władysław Łokietek uciśniony od wrogów: Okaż mi się Matką. O Najlitościwsza, wyproś nam przebaczenie win i wytrwałość we wierze... wyproś męstwo dla braci prześladowanych i nawrócenie samych prześladowców — wyproś odrodzenie Unii już tam prawie pogrzebanej — wyproś pokój i błogosławieństwo dla ziemi polskiej; niech tron Twój, wzniesiony na tej ziemi, zajaśnieje dawnym blaskiem!...“ (str. 111. 112). Nie znużę, sądzę, czytelnika, jeśli przytoczę jeden jeszcze podobny ustęp. W pięknem kazaniu o czci obrazów N. P. Maryi, mówiąc o Domku Loretańskim, nie zapomina mowca o tem, iż ściany tego Domku niejeden raz widziały naszych rodaków: „W roku 1798 — powiada — modlili się tam wiarusy polscy, szukający po świecie zgubionej ojczyzny, a w r. 1877 pielgrzymi polscy, zdążając do Rzymu na jubileusz Ojca św. Piusa IX.; i było to wzruszające widowisko, kiedy 400 przeszło pątników wszelkiego stanu, przyjąwszy Ciało Pańskie, obchodziło w procesyi Domek święty, podczas gdy pieśni polskie do Najśw. Panny przebijały sklepienia kopuły“ (str. 124).

Znajomość Pisma św. i Ojców Kościoła przebija z każdego niemal kazania, a obok tego trafne użycie cytatów biblijnych i wybór przykładów z życia Świętych. Wśród innych postaci, jawią się nieraz wielcy królowie nasi i ci liczni Święci, którymi się słusznie szczyci ojczyzna nasza (str. 14. 28. 46. 65. 88. 121. 128. 129. 146). Z tego punktu słusznie podnieść należy kazanie siedmnaste o N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej [1].

Mile też uderzają wstępy do kazań ks. Pelczara, odznaczające się pewną świeżością pomysłów i od początku samego krępujące uwagę słuchacza. Np. trzecie kazanie, na święto Wspomożenia wiernych, zaczyna się tak: „W napadzie szalonej dumy postanowił król asyryjski, Nabuchodonozor, podbić wszystkie ludy ziemi pod swoje berło i wytracić ich bogi, iżby on sam był ich bogiem...“ W kazaniu ósmem, na święto N. P. Maryi Pocieszenia, kaznodzieja przedstawia jakoby pierwszy krok Maryi na tej ciągłej drodze pocieszania, którym było przyjście Jej na świat, a tem samem uweselenie zasmuconych Joachima i Anny. Kazania: drugie, czwarte, szóste, dziewiąte, szesnaste, czerpią swe egsordya z historyi ludów i Kościoła, a tem samem są bardzo zajmujące. A gdybyśmy chcieli ogólny sąd wydać w tym względzie o autorze, musielibyśmy przyznać, że we wstępach do kazań zamiast bujać, jak to nieraz bywa, w świecie ogólników, i daleką drogą zmie-

[1] Wyszło też w osobnem odbiciu.

rzać do materyi kazania, on po konkretnych faktach i przykładach przechodzi odrazu do jądra kwestyi. Również ogólne pomysły kazań są razporaz nowe i oryginalne; że wspomnę choćby o kazaniu siódmem, w którem mowca na uroczystość Najczystszego Serca N. P. Maryi okazuje nam to Serce jako Matkę i Mistrzynię miłosierdzia względem ubogich; lub o kazaniu jedenastem na święto Czystości Najśw. Panny, w którem Matka Boża przedstawia się nam jako Mistrzyni życia wewnętrznego; a w kazaniu przy rozpoczęciu nabożeństwa październikowego ku czci Najśw. Panny, nabożeństwo ku Niej zaleca mowca jako skuteczne lekarstwo na błędy i występki naszych czasów.

Jeden zarzut. Czy może nie zawiele uczucia w tych kazaniach? czy wyrażenia i okresy czasami nie zanadto może misternie i pieszczotliwie utoczone, np.: „biedniutki domek duszy“ (str. 136), „wyrywać się do Jezusa jak pszczółka do miododajnego kwiatka“ (str. 136) i t. d. Mniej też właściwą wydaje nam się np. następna przenośnia: „Spuśćże tedy z górnej piwnicy — z Serca Jezusowego, choć kilka kropel pociechy“ (str. 15).

A. M. W.

Słowo o romantyzmie. Gawęda literacka przez *Zygmunta Kaczkowskiego*. (Odbitka z *Gazety Narodowej*). Lwów 1891. (Str. 81).

Korzystając z praw przywiązanych do „gawędy“ — jak głośno i szeroko znany powieściopisarz chciał pracę swą nazwać — wynurza on się w niej, romantyzm za tło sobie wziąwszy, ze wszystkiem, co go w dzisiejszej naszej literaturze i smuci i cieszy, i bojaźnią i nadzieją na przyszłość napawa. Rzecz prosta, że kto jak p. Kaczkowski tak wielki w literackim ruchu z ostatnich dziesiątków lat wziął udział; kto osobiście się stykał niemal z wszystkimi naszymi wielkimi poetami, i nietylko wiele wie, ale i bardzo wiele widział — ten może i umie, i z pożytkiem i z prawdziwem zainteresowaniem słuchających poprowadzić taką gawędę, choćby nawet ktoś sądził, że na wszystkie, na parę zwłaszcza filozoficzno-literackich wywodów, trudno mu się zgodzić. Obok ciekawych, niejednę kwestyę wyjaśniających wspomnień o Wincentym Polu, o petersburgskim nakładcy, B. M. Wolffie, i wielu, wielu innych, znajdujemy tu bardzo trafne, choć bardzo niestety smutne uwagi o dzisiejszej naszej krytyce. Autor wypowiadając śmiało to, co bardzo wielu myśli i nad czem w poufnych pogadankach się żali: ostrzega przed zbyt drobiazgowem badaniem życia poetów, przed „skalpelową, a raczej chemiczną analizą“ uczuć ich i wrażeń, przyczem

poetyczne piękności ich arcydzieł i ich zrozumienie zbyt łatwo schodzą na drugi plan: ostrzega przed ciągłą i wyłączną — bez domieszania z zasady ani kropelki krytyki — apologią Mickiewicza i jednego tylko Mickiewicza, jakbyśmy już innych poetów nie mieli. — Choćby już z tego jednego, jasno wypowiedzianego zdania, widać, że autor utartemi formułkami się nie krępuje: z własnym sądem występuje bez ogródek naprzód, i że właśnie dlatego warto z broszurą jego się zapoznać.

B.

Rozmyślanie o Męce Chrystusa Pana, ułożone podług Pisma św., Ojców Kościoła i Pisarzy kościelnych, z dodaniem kazania o Siedmiu Boleściach Matki Boskiej i Drogi krzyżowej. Przez *ks. Hieronima Kajsiewicza C. R.* Wydanie czwarte. Kraków 1891. W drukarni „Czasu". (W małej 8ce, str. VIII, 410, VII).

Prawdziwą zasługę przed Bogiem mają OO. Zmartwychwstańcy, że znów, a to już po raz czwarty, wydali prześliczne „Rozmyślania" O. Hieronima. Ile tam trafnych a oryginalnych myśli, ile erudycyi, ile głębokiego uczucia! Pokarm to posilny dla dusz, nie powierzchownie na Mękę Zbawiciela się zapatrujących.

To też cieszymy się szczerze, iż okazuje się potrzeba coraz nowych wydań tego dzieła. Nie sądzimy jednak, żeby te przyszłe wydania miały być tylko przedrukami poprzednich. Owszem, pewne udoskonalenia są nawet w myśli i zamiarze czcigodnego autora, jak się to wyraźnie okazuje z jego przedmowy do drugiego wydania.

Jeśli z obowiązku krytyka mielibyśmy temu wydaniu zrobić jaki zarzut, to chyba ten, że może niedość skrupulatnie przeprowadzoną została korekta, bo zresztą co do formatu, papieru i druku zadość czyni wszelkim wymaganiom.

H. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Apologie des Christenthums vom Standpunkte der Sitten und Cultur. *Fr. Albert Maria Weiss O. Pr.* II. Band. Humanität und Humanismus. Freiburg im Breisgau. 1890. (Str. 986).

Chcąc ocenić treść tego dzieła, oraz jasno przedstawić jego cel i całą doniosłość dla naszego społeczeństwa, nie możemy pominąć choćby krótkiej wzmianki o źródłach i naturze humanizmu pojawiają-

cego się na przełomie średniowiecznych i nowożytnych dziejów. Kościół po czternastowiekowej walce przemógł ciemnotę i barbarzyństwo ludów pogańskich, podźwignął upadłą godność człowieka, uświęcił rodzinę i dobroczynnem swem tchnieniem wpłynął potężnie nawet na umysłowy rozwój i materyalny dobrobyt społeczeństwa. Zakwitnął przemysł, mnożyły się ogniska naukowe, sztuki piękne ożywione duchem religijnym dosięgły wyżyny niedoścignionej dla późniejszych pokoleń, owszem nawet polityczne stosunki narodów pod ojcowskiem zwierzchnictwem papieży łagodniejszy przybrały charakter. Słowem, po długich walkach stanęła Europa na gładkiej już i jasnej drodze błogiego spokoju i prawdziwego, chrześcijańskiego postępu. Ale na schyłku wieków średnich zachwianą została zasada powagi wogóle, zmalał wpływ Kościoła, zaborcze dążności książąt i niechrześcijańskie samolubstwo narodowościowe mąciły pokój i tamowały rozwój chrześcijańskiej cywilizacyi świata. Zaprowadzenie poczt we Francyi i w Niemczech, udoskonalenie żeglugi, a wreszcie wynalazki dokonane w XIV. i XV. wieku, zawiązały wprawdzie ściślejszą komunikacyę narodów, ale węzłem tym była tylko wspólność interesów doczesnych, nie zaś spójnia serc i ducha. Wynalazek druku ułatwił rozkrzewianie idej zarówno pożytecznych, jak i zgubnych: wynalazek prochu zmienił taktykę wojenną i przyczynił się do zaprowadzenia wojsk stałych, oraz nałożenia ciężarów, jako nieodzownego tej nowości następstwa; odkrycie Ameryki rozbudziło awanturniczość i niczem niepohamowaną gorączkę złota. Wszystkie te wynalazki zapewne otwarły światu źródło olbrzymich korzyści tak materyalnych jak i cywilizacyjnych — a jednak równocześnie ułatwiły one drogę najzaciętszemu wrogowi chrześcijaństwa, przeniósłszy do Europy przez zetknięcie się Zachodu ze Wschodem, częścią podczas wojen krzyżowych, częścią podczas soboru lyońskiego 1274 r., najwięcej zaś po soborze florenckim 1437—9, szerzony przez greckich uczonych humanizm nowożytny. Słowo „humanizm“ w ogólności wzięte oznacza, jak wiadomo, system naukowy, dążący do wyższego wykształcenia umysłu i serca na podstawie sztuki i literatury klasycznej. Humanizm ten, dopóki był chrześcijańskim, czerpał ze starożytnych klasyków już to treść, już formę: treść, badając przymioty i wady pogan, oraz ich naukowe zdobycze, aby mieć oręż przeciw błędom pogańskim, a zarazem, aby na podstawie rozumu tem silniej i trwalej oprzeć gmach nadprzyrodzony. Tak już określał humanizm św. Bazyli i cel taki wskazywał uczącej się młodzieży. Ze szkół humanistycznych wychodzili mężowie wielcy cnotą i nauką, jak Alkuin, św. Bonifacy, Rabanus

Maurus lub Gerbert. W biskupich też szkołach, jak np. w Osnabrücku lub Paderbornie, główną podstawą kształcenia była literatura starożytna. Wszak we Włoszech jeszcze w XIV. wieku Dante i Petrarka, choć wielbiciele humanizmu, wiarę stawiają nade wszystko, z pism ich wieje duch szczerze chrześcijański. Toż i w Niemczech nawet w wieku XV. hasłem humanistów było: „lepiej nic nie wiedzieć, niż uczyć się w złym kierunku“, bo „zgubną jest wszelka uczoność odwodząca od Boga“. Tak mawiali najznakomitsi humaniści niemieccy, jak Wimpheling, Agricola lub Murmellius.

Dość wspomnieć, że protektorami ówczesnego humanizmu byli papieże: Eugeniusz IV., Pius II., Sykstus IV. i słynny kardynał Mikołaj Kuza, a najcelniejsze siły humanistów skupiał około siebie w Zwolle i przenikał głęboką pobożnością Tomasz à Kempis. Dopiero we Włoszech Boccaccio († 1375), a w Niemczech Erazm Rotterdamczyk (1467—1536), rozpoczynają epokę przełomu, odrzucając wszelki pierwiastek chrześcijański, a szerząc myśli, zasady i uczucia pogańskie. Najpotężniej wpłynęli na krzewienie tych idej humaniści florenccy ze szkołą platońską, oraz wędrowni apostołowie pogańskiego klasycyzmu. Odtąd to powstaje humanizm, młodszy, pogański, który rozbrat bierze z wszelką ideą chrześcijańską; odtąd dzieje ludzkości są, jak mówi Szujski, „jednem tylko mierzeniem się humanizmu z chrystyanizmem [1]. Prąd ten humanistyczny, ten zwrot ku pogańskim uczuciom i zasadom dokonany w w. XV., przesłańcem był protestantyzmu, uprawiwszy rolę pod siejbę Lutrów i Kalwinów.

Odtąd przechodził on różne fazy, objawiał się w rozmaitych postaciach, od deizmu aż do pesymizmu i pozytywizmu, i do dnia dzisiejszego olbrzymie zrobił postępy. Iskra stała się płomieniem, strumyk wezbraną rzeką, mierzenie się z chrystyanizmem przeobraziło się w otwartą walkę ze wszystkiem co nadprzyrodzone. W świecie starożytnym: w Atenach, Olimpii, Rzymie, stawiali poganie ołtarze „Bogu nieznajomemu“ [2] na znak, że Go poznać nie mogą — w świecie nowożytnym tenże sam napis położyćby można na świątyniach Pańskich na znak, że Go chrześcijanie znać nie chcą. W Egipcie, w Sais, była bogini z zasłoniętą twarzą [3] — humanizm dzisiejszy rzuca podobną zasłonę nie już na krzyż tylko, zowiąc go „szaleństwem i głupstwem“,

[1] Szujski, „Odrodzenie i Reformacya w Polsce“, p. 134.
[2] Plutarch, *Quaest. rom.* 61. — Clem. Alex. *Strom.* cap. v. 12, 82.
[3] Herod. 2, 170.

ale na wszystko co nie jest ciałem, ziemią, człowiekiem, woli pochodzić od wszystkiego, od *bathybius* lub algi raczej, niż od Boga. Tego to prądu humanistycznego nikt nie uchwycił tak silnie, nie poznał tak głęboko, ani scharakteryzował tak jasno, jak to właśnie uczynił ks. Albert Marya Weiss w swej „Apologii Chrześcijaństwa".

Apologia ta składa się ze wstępu i czterech części. Wstęp zawiera charakterystykę humanizmu, jego zasadniczą teoryę, wrogą chrześcijaństwu, a dalszą od prawdy aniżeli pogańskie bałwochwalstwo. Część I. dowodzi wszechstronnie niezbitymi faktami zepsucia ludzkiej natury, obalając przez to podstawę humanizmu. Część II. sięga wyżej, do myśli i czynów humanizmu, ukazując w nich pogwałcenie natury, dochodzące aż do kultu szatana. W części III. przedstawiona jest kultura humanistyczna oraz jej zasady, środki, cel i rozkład chorobliwy. Część IV. wskazuje sposób ocalenia ludzkości zepsutej humanizmem, a sposobem tym jest nowy Adam, Baranek Boży, Chrystus rozpięty na krzyżu. — Taki jest ogólny podział wspaniałej tej Apologii. Godzi się więc podnieść przynajmniej wybitniejsze jej szczegóły, tem więcej, że one i dla oceny naszego społeczeństwa i naszej literatury pożyteczne dać mogą wskazówki.

Humanizm XV. stulecia nie umarł, lecz żyje i jak robak drzewny toczy społeczeństwo ludzkie. Owszem, teraz właśnie czas jego rozkwitu, teraz on dojrzewa, bo właśnie w naszym wieku świat chlubić się zaczął jakiemś nowem niby odkryciem, większem od najwspanialszych wynalazków — „wynalazkiem człowieka". Syn Boży litując się nędzy ludzkiej, dziełem swego Odkupienia odmienił ludzi, „odnowił postać ziemi", nowe wskazał zasady i pobudki, nowe uczucia i cnoty, i tak spełnił co przepowiedział: „A ja gdy będę podwyższon od ziemie. wszystko pociągnę do siebie". Słowem, Chrystus na zdziczałej naturze ludzkiej zaszczepił swą łaskę, swego ducha, swą Ewangelię — humanizm odrzuca ten szczep, twierdząc, że natura ludzka potrafi sama przez się szlachetne rodzić owoce. Chrystus dał światu pochodnię wiary, by szedł za jej światłem — humanizm wytrąca nam z rąk i gasi tę pochodnię, dowodząc, że promień rozumu wystarczy, by wskazać drogę prawdy. Chrystus nakazał zwalczać naturę, działać nieraz wbrew jej żądaniom: „Kto miłuje duszę swoją, straci ją, kto nienawidzi duszy swojej, znajdzie ją" — humanizm wyswobadza tę naturę zpod jarzma Chrystusowego, i to nazywa „odkryciem człowieka". Inaczej mówiąc, jak dawniej najwyższem prawidłem człowieka była Ewangelia i najdoskonalszem jego zadaniem zwalczać swą naturę, by ją nagiąć do tego

prawidła, tak teraz najwyższem prawidłem ma być ludzka natura ze wszystkiemi swemi skłonnościami, a najwyższą doskonałością wyzwolić ją zpod wszelkiego przymusu, hołdować wszystkim jej wybrykom, uwielbiać wszystkie porywy.

Pięć jest głównych zasad humanizmu: 1) zaprzeczanie lub pomijanie Boga; 2) apoteoza ludzkiej natury; 3) odrzucanie grzechu pierworodnego: 4) niewiara w Chrystusa i w odkupienie; 5) pogarda Kościoła i środków zbawienia jemu od Chrystusa powierzonych. Te zasady bądź wszystkie zbiorowo, bądź też częściowo rozsiane znajdujemy w dziełach sztuki i literatury nowszego humanizmu. Zgóry zaznaczyć należy, że nie wszyscy humaniści, nie zawsze i nie wszędzie przyznają się do tych zasad otwarcie, bo ulubioną ich sferą jest dwuznaczność i mglistość. Dość jednak często spotkać się można ze szczerem czy nieoględnem wyznaniem, i to tak często, że liczba i natura tych wyznań wystarcza, aby stwierdzić istnienie humanizmu, jego ohydę i niedorzeczność. Ze świetną erudycyą i ze świetnym, choć nazbyt może uszczypliwym dowcipem wykazał to dr. Weiss w swej Apologetyce. Uszczypliwość autora wtedy jest przedewszystkiem rażącą, gdy obraża nie już jakiegoś literata, ale uczucia całego narodu. Tak np. z przekąsem zaznacza ks. Weiss, że „książęta polscy wymawiali się od wzięcia udziału w wyprawie krzyżowej, podając jako powód, że przyzwyczajeni do piwa i miodu, winem i wodą obejśćby się nie mogli“ [1]. Trudno uwierzyć w autentyczność tej relacyi już to dlatego, że ją podaje Wachsmuth, nieprzychylny Polakom, już też, że książęta polscy, choćby istotnie niewygody wyprawy krzyżowej odstraszać ich miały, czyżby zamilczeli o prawdziwych a stokroć ważniejszych i chlubniejszych przyczynach, o wojnach domowych i postronnych, które w żaden sposób nie pozwalały na jakiekolwiek uszczuplenie sił zbrojnych. Kilka takich uwag nieco złośliwych nie uwłacza jednak bynajmniej wartości całego dzieła; są to plamy — ale na słońcu. Dlatego pomijając te drobne plamki, wolimy raczej podać przynajmniej w ogólnych zarysach osnowę Apologetyki, kruszącej kopię z nowszym humanizmem, zwracając przytem uwagę na niektóre objawy tegoż samego prądu, nurtującego w naszej ojczystej literaturze.

Do nieobłudnych humanistów należy przedewszystkiem Max Stirner, który bez rumieńca wstydu otwarcie wyraża myśl swego obozu:

---

[1] Weiss, p. 358, i cytowany tamże Wachsmuth, *Europäische Sittengesch.* III., II., 383.

„Jeśli religia stawia tę zasadę, żeśmy grzesznikami, to ja stawiam inną, żeśmy doskonałymi, bo zawsze jesteśmy tem, czem być możemy, i nikt nie może od nas wymagać, byśmy byli czemś więcej. Gdybym miał działać po bożemu, tak jak to nam niegdyś nakazywała religia, natenczas winien byłbym Bogu uczynić zadość; lecz jeśli wedle przepisów nowszej cywilizacyi działać mam tylko po ludzku, wtedy oczywiście tylko idei ludzkości i ludzkiej tylko naturze oddać winienem, co się jej należy, a wobec tego czynię, co mi się podoba i tylko tak, jak mi się podoba, i tylko dlatego, że mi się podoba“ [1]. Tę samą zasadę wyznaje Herder, tając ją pod mianem „ludzkości“, Kant zowie ją „autonomią rozumu“, Rousseau „dobrą naturą“, Schiller „piękną“, Goethe „naturą zdrową“. Podobne hasło daje młodzieży nasz El..y:

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok [2].

Tak i Konopnicka nie chce wyżyn wiary, religii, lecz pragnie tylko „latać nisko nad ziemią“ [3], woła z zapałem: „niech mię ustawy, niech prawa nie wiążą“ [4], i ze czcią najwyższą wielbi myśliciela, „którego słowo ciche drżeć sercom nie każe, ni łez wylewać“, lecz jako iskra:

Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,
Lub jako strzała burzy piorunowa
Rozwali prastare tumy [5].

Mniejsza o to, że nagroda obiecywana przez humanistów, że cel do którego dążyć nakazują, jest zupełnie nieodgadniony, mglisty i śmieszny, jakaś „wieczna pogoda czoła“ [6], jakieś „porwanie duchów w Elizejskie pola“ [7] — dość nam na tem, że środki ich jasno są wskazane, a pomiędzy środkami tymi pierwsze zajmuje miejsce — apoteoza człowieka:

Nogą oprzeć się na grobie
I uwielbić ludzkość w sobie
I uwielbić się w ludzkości...
To są jasne drogi wieszczów [8].

---

[1] Max Stirner, *Der Einzige und sein Eigenthum*, p. 480 sq.
[2] El..y, Poezye, t. III. „Do młodych“.
[3] Konopnicka, Poezye, fragm. VII.
[4] Tamże, Ser. I. „Ostatnie piosnki“.
[5] Tamże, Ser. I., fragm. „Do myśliciela“.
[6] Tamże, Ser. I., fragm.
[7] El..y, Poezye, t. II. „Odpowiedź“.
[8] Tamże.

i co ztąd już wyniknąć musi, zerwanie z chrześcijaństwem, bo humanizm:

Nie w pokutnych długich zwłokach
Jasne zyskać chce męczeństwo,
Lecz toruje nowe drogi,
Lecz gliniane wali bogi,
Gwałtem bierze człowieczeństwo [1].

Słowem: „moralność niezależna“, „człowiek niezawisły od nikogo“, „ludzkość całą religią“, „Bogiem człowieka jest ludzkość“ — to hasła humanizmu, to wykład dzisiejszych uniwersytetów [2]. Wszak ziomek nasz, liczący się niby do grona mężów nauki, pisze z całą swobodą, że „człowiek, któryby do tego stopnia zapomniał swej godności i siły, żeby wzywał pomocy bożej i wierzył w Opatrzność, byłby jeszcze w stanie zupełnej dzikości i ciemnoty“ [3]. W czterech słowach, ale najjaśniej skreślił całą dążność humanizmu prezes Akademii Wiedeńskiej, Rokitański, na publicznej sesyi Towarzystwa antropologicznego w roku 1870, kończąc swą przemowę cynicznem zdaniem: *Diis extinctis successit humanitas.* Prawdą to jest niestety bardzo smutną w literaturze i to u klasyków powszechnie wielbionych, a nawet częstokroć ubóstwianych, tak dalece, iż śmiało powiedzieć można, że tym pogańskim humanizmem bądź świadomie, bądź też bezwiednie tchnie niemal cała literatura dzisiejszej Europy. Dwa najważniejsze czynniki w społeczeństwie ludzkiem: szkoła i rodzina, karmią się tą strawą niezdrową, dusze świeże a gorące pochłaniają na każdym kroku te trujące wyziewy, tem niebezpieczniejsze, że zdradziecko, niespostrzeżenie, napozór w najniewinniejszej formie wciskają się do duszy, owszem częstokroć w imię cnoty zaszczepiają najzgubniejsze zasady. Zajrzyjmy na chwilę do serca najznakomitszych poetów i najgłośniejszych powieściopisarzy. Myśl ich doskonale wyraża Paweł Heyse: „Pomóżmy sami sobie, bo nikt nam zresztą nie pomoże. Niema dla nas kar wiecznych, niema Boga-mściciela, niema Pośrednika-Odkupiciela. Mimo tego bynajmniej nie wyrzekamy się moralnego dobra, i choć niema wieczności, tu na ziemi będziemy dzielnymi, uczciwymi i dobrymi ludźmi, bośmy dość silni, by tego dokazać“ [4]. Już w wieku przeszłym był okres paster-

[1] Tamże.
[2] Jodl, *Geschichte der Ethik* II. 385.
[3] Giżycki, *Moralphil.* I. 413.
[4] Paul Heyse, *Kinder der Welt* II. 223.

skich sielanek, Robinsonad, „wysp szczęśliwych“ i t. p., gdzie w tysiącznych kształtach ukazywał się zawsze ten sam obraz, widniała myśl ta sama — ideał szczęścia, a nawet i cnoty bez Boga, religii ni praw żadnych. Wysilano się na coraz nowe pomysły angielskich, francuskich, niemieckich czy szwajcarskich Robinsonów, na coraz idealniejsze postacie pasterzów i pasterek, na coraz cudowniejsze opisy rajskich krain; nawet nasz Stanisław Leszczyński podczas swego pobytu we Francyi miał poświęcać swe pióro opisowi takiej „wyspy szczęśliwej“ [1].

Zresztą u pierwszorzędnych poetów spotkać się można z jawnem wyrzeczeniem się wieczności, a pogrążeniem w ziemi. Tak Goethe:

Das Drüben kann mich wenig kümmern,
Aus dieser Erde quillen meine Freuden
Und diese Sonne scheinet meinen Leiden,
Dann mag was will und kann geschehen,
Ob man auch künftig hasst und liebt
Und ob es auch in jenen Sphären
Ein Oben und ein Unten gibt [2].

Wejmarski piewca pragnie tylko siły ducha, zapomnienia o wszystkiem, coby pokój mogło zamącić, a reszty tj. nieba chętnie się wyrzeka:

Ach! ihr Götter, grosse Götter
In dem weiten Himmel droben,
Gäbet ihr uns auf der Erde
Festen Sinn und guten Muth,
O! wir liessen euch ihr Guten
Euern weiten Himmel droben [3].

Lecz nie tu granice humanizmu Goethego: on sięga wyżej, a raczej zapada głębiej jeszcze, bo aż do mętów najwstrętniejszego bluźnierstwa. Własne uczucia kładzie on w usta Prometeuszowi i każe mu szydzić z swych bogów:

Ich kenne nichts Ärmeres
Unter der Sonn' als euch Götter:
Ihr nähret kümmerlich
Von Opfersteuern
Und Gebetshauch
Eure Majestät

[1] Weiss, *Apol.*, p. 128.
[2] Goethe, *Faust* I.
[3] Goethe, *Menschengefühl.*

Und darbtet, wären
Nicht Kinder und Bettler
Hoffnungsvolle Thoren [1].

Że sam Goethe jest owym Prometeuszem, dowodzą tego poufne jego listy, z których przeziera bez osłony całe próchno tej tak genialnej a zarazem tak upadłej duszy: „Znudzony jestem — tak pisze on do swego przyjaciela — ciągłą gadaniną o tym poczciwym Jezusie, bo doprawdy wszystko przykuwać do niego: i narodzenie i grób i szczęście całe i zbawienie człowieka, to mi się wydaje niesmacznem, a nawet nie do zniesienia. Daruj, ale ilekroć on ponawia swe napaści na naszą dziedzinę, tylekroć przynajmniej *protestando* bronić się nam potrzeba“ [2]. Na innem miejscu pisze Goethe, że lubo wiele znieść może, czterema rzeczami brzydzi się „jak wężem lub trucizną“, te zaś cztery rzeczy, to: „tytoń, pluskwy, cebula i krzyż Chrystusowy“ [3]. Są bluźnierstwa straszne jak piekło, ale tak podłego trudno byłoby znaleść.

Te same zasady, z wyjątkiem tylko formalnego bluźnierstwa, głosi Schiller. Objawienie jest dla niego bajką, mytem, symbolem, a w każdym razie rzeczą nieużyteczną, nawet szkodliwą. „Człowiek — pisze on — przejść miał przez grzech pierworodny z raju niewinności, niewiadomości i niewoli, do raju wolności i wiedzy. Mniemane nieposłuszeństwo było tylko czynem samodzielności i rozumu, początkiem moralnej godności człowieka, wypadkiem niezaprzeczenie najważniejszym i najszczęśliwszym w dziejach ludzkości, od którego dopiero datuje się wolność naszej natury“ [4]. Oczywiście więc, jeśli grzech jest wolnością, siłą, wiedzą, moralnością człowieka, wyrzec się potrzeba Chrystusa za grzech ukrzyżowanego, Ewangelii przeciw grzechowi postawionej. Taki też postulat stawia Schiller w „Oblubienicy z Koryntu“ i w „Bogach Grecyi“.

Humanizm w literaturze przedstawia dwa jeszcze inne objawy: jedną ręką sięga w niebo i koroną Bóstwa chce uwieńczyć rozum ludzki, drugą spycha człowieka w piekło potwornej rozpaczy. Jeżeli gdzie, to tutaj dwie skrajne ostateczności schodzą się ze sobą tak blisko, że je częstokroć tem samem znajdujemy nakreślone piórem. Któż nie zna w poezyi, szczególnie niemieckiej, prądu, zwanego tytanizmem

[1] Goethe, *Prometheus.*
[2] Baumgartner, Goethe (2). I. 519.
[3] Goethe, Stuttgart 1853. I. 287.
[4] Schiller, *Etwas über das erste Menschengeschl.* 1836. I. 443 sq.

(Titanenthum, Himmelstürmerei), który jest poprostu otwartym buntem przeciwko Stwórcy i Jego Opatrzności, lub przywłaszczaniem sobie Jego przymiotów:

Sich ausser aller Macht empfinden,
Das macht den Menschen frei und herrlich! [1]

tak woła Leopold Schefer, a sławny Humboldt dodaje:

So steigt der Mensch empor im Lauf der Zeit
Zur Allmacht und Allwissenheit.

Myśl tę najwyraźniej uzupełnia Goethe:

... Ich bin kein Gott
Und bilde mir so viel als einer ein [2].

Ale próżne to wysiłki — mniemane olbrzymy karłami się stają, unicestwienie Boga a ubóstwienie człowieka doprowadza ich do kultu szatana. Kult ten rzeczywiście istnieje w nowszej literaturze europejskiej. Jest „Brewiarz Pesymistów", ułożony na cześć demiurga; w Niemczech wielbią szatana: Lenau, Grabbe, Immermann; w Anglii czci go Byron w „Kainie" i „Manfredzie", Schelley w „Prometeuszu", Marlowe jawnie Beelzebuba obiera sobie za Boga, a Proudhon wszystkich przewyższa w bluźnierstwach; w Rosyi do kultu czarta przyznaje się Lermontow *(Demon),* w Hiszpanii Espronceda, we Włoszech Josue Carducci *(Satana)* i Rapisardi *(Lucifero),* we Francyi Boulanger w potwornych swych szansonetkach i Baudelaire w ohydnej „Litanii" o szatanie. Z całej tej literatury szatańskiej prześwieca taż sama rozpacz, gdzieś z głębi piekieł czerpana:

Weiche Gott in deine Tiefen!
Nur der Teufel bleib' uns nah...
Fluch dem Himmel, Fluch der Erde,
Allem Fluch, was Leben heisst! [3]

Echem tego kultu szatana są u nas znane bluźnierstwa Konopnickiej i karczemna rozpacz El..y'ego, który snać o sobie *et consortibus* tak pisze:

Takim duchom więc przystało
Nie przebrzmiewać dawną chwałą,
Lub dziękczynne hymny wznosić,
Lecz w zawodów ciągłej kaźni
Bez litości, bez bojaźni
W niebo wściekłą pięść podnosić [4];

[1] Leop. Schefer, *Weltpriester* 156.
[2] Goethe, *Prometheus.* Stuttgart 1853. VII. 252.
[3] Immermann.
[4] El..y, Poezye. „Odpowiedź".

lub gdzieindziej:

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemiłosierną,
W łeb sobie jutro wypalę,
Pijąc Falerno!... [1].

W literaturze beletrystycznej nie taki djabeł straszny jak go malują w poezyi. Jeden jest tylko rodzaj romansów, powieści, tragedyj i t. p., pisanych chyba odpowiednio do smaku Proudhon'ów lub Carducci'ch, gdzie bohaterami są galernicy, zbóje, oszuści, pijacy, gdzie rzecz sama rozgrywa się w sali sądowej, szpitalu lub izbie karczemnej; próbką tu być może nasz Słowacki w „Balladynie“, „Lilli Wenedzie“, a najdosadniej w „Beatrix Cenci“, lub Wiktor Hugo z tak potwornemi kreaturami swego pióra, jak: Quasimodo, Hadibrah, Triboulet lub Han, którego przodkiem miał być pół-szatan pół-zwierzę, a ztąd pokarmem jego najmilszym mięso ludzkie, napojem ulubionym woda morska i krew ludzka. A ileż to mamy powieści mniej może drastycznych, a jednak wyrachowanych na jak najsilniejsze zelektryzowanie nerwów ludzkich, powieści, w których fantazya szaleje jak koń rozhukany, w mózg obuchem uderza, targa bez miłosierdzia najskrytsze struny uczuć, zbiera wszystkie bóle, zbrodnie i ohydy, by zagrać na nerwach i zranić duszę, choćby przyszło wstręt do życia obudzić. Próżno w powieściach takich szukać nawet chwilowego spoczynku — to literatura rozpaczy! Ale obok tej beletrystyki pesymistycznej, jest jeszcze inna, przeciwna tamtej sposobem i teoryą, ale równa jej, a nawet gorsza w swych tendencyach i w swem trującem zadaniu. Jest nią literatura humanizmu, występującego w formie optymistycznej. Abbé Prévost postawił zasadę, że człowiek nawet w najhaniebniejszych występkach idzie za głosem natury, a więc szlachetność tejże pomimo zbrodni pozostać może nietkniętą. Taką etykę głosi Wiktor Hugo w „Marion Delorme“, a Aleksander Dumas w „Damie Kameliowej“, toż i Rousseau naucza w „Nowej Heloizie“, tak jak Goethe w „Młodym Werterze“, że moralność serca ostać się może z niemoralnością postępowania. Podobnie bohaterowie i bohaterki Balzac'a, występni w życiu, ale w duszy niewinni i czyści jak aniołowie. Eugeniusz Sue (*Fleur de Marie*) przedstawia bohaterkę, czynem zanurzoną w kale wszelkiej ohydy, ale sercem zachowującą czystość tak niepokalaną „jak ta, której imię nosi“. Z tej

[1] Id. ibid., t. II. Uzupełnienie.

też wychodząc zasady, p. Sand *(Lettres d'un voyageur Sept. 1834)* nawołuje, aby się wznieść nad wszelkie przesądy cnoty i występku.

Jednym z najzgubniejszych skutków tego optymizmu literatury humanistycznej, jest optymizm, objawiający się w wychowaniu i w modzie światowej. Znakomity jest rozdział Apologetyki Weissa, poświęcony kwestyi wychowania. Ojcowie, a szczególnie matki, sądzą, że dziecko ich nieprzystępne jest złemu: wszystko zepsuć się może, tylko nie ich córeczka lub synek, im nie szkodzą dwuznaczne rozmowy, wpływy najniebezpieczniejsze, widowiska rozogniające wyobraźnię, drwiny z kościoła i religii, książki lekkie, sztuki dramatyczne zmysłowe, cyrki, wystawy, muzea — wszystko najmniejszej plamki nie zostawi na sercu ich dziecięcia, ono jak salamandra bezpieczne nawet w ogniu.

A w modzie, zabawach, w życiu praktycznem, czy może inaczej się dzieje? W teatrze słyszy się nieraz rzeczy, za które w salonie drzwiby pokazano; w tańcu pozwala się na takie postępowanie z córką, że za cząstkę podobnej poufałości, gdzieindziej okazanej, ojciec wypoliczkowałby mężczyznę, któryby się czegoś podobnego dopuścić ośmielił. Wszędzie ukryta zmysłowość i wyrachowanie, aby ją jak najdoskonalej zadowolnić. Niższe stany, otwarcie się do niej przyznające i zmierzające prosto do celu, są w pogardzie, jako nieokrzesane. Wyższem zaś wykształceniem zowie się zręczne ukrycie zamiarów i sztuczne dążenie do celu, dążenie połączone nawet z wielkiem umiarkowaniem, ale tylko dlatego, aby tem umiejętniej całą rozkosz aż do kropli wysączyć, w tem przekonaniu, że dość pokryć się płaszczykiem form i galanteryi, a już wszelka rozkosz przestaje być występną i zgubną. Kiedy wieśniaczka pokłóci się z sąsiadką o kurę zabitą lub drzewko złamane, od kłótni takiej odwracamy się ze wstrętem: lecz kiedy młodzieniec zastrzeli przyjaciela wobec świadków za to, że tenże jego psa nadepnął, to się heroizmem nazywa. Gospodarka to humanizmu, grasującego już nietylko w teoryi i w zasadach, ale i w życiu, i w modzie, i w wychowaniu. Zatracone dziś pojęcia etyczne, zapomnieliśmy nawet nazywać rzeczy po imieniu; humanizm, zamiast uzacniać godność człowieka, plami ją i poniża, tak że pochodzenie „humanizmu“ tak samo chyba wywieść można od wyrazu *homo*, jak Kwintylian wywodzi etymologię rzeczownika *lucus a non-lucendo*.

Dwa są najgłówniejsze źródła, zkąd wszystkie inne błędy humanizmu wypływają. Źródłami temi są: idealizowanie pogańskiego klasycyzmu, i zaprzeczanie skażenia ludzkiej natury. Pierwsze pobudza do naśladowania pogańskich obyczajów, drugie usypia wszelką ostrożność

i czujność chrześcijańską. Nie mówiąc już o innej literaturze, ileż to u nas np. Orzeszkowa napisała obrazków z życia Greków i Rzymian, oświetlonych bengalskim ogniem fałszywego idealizmu w duchu ateńskich wrażeń Koźmiana lub „Odpowiedzi“ El..y'ego:

Widzę pogodne greckich mężów twarze...
Wszędzie zdrój życia jasnym nurtem płynie
I harmonijnie dla ucha szeleści,
Tyle piękności w tej cudnej krainie,
Tyle rozkoszy i szczęścia się mieści,
Tyle odwagi w każdym ludzkim czynie
I tyle nawet spokoju w boleści,
Każdy wesoło w błękity spoziera,
Bez skargi żyje, bez jęku umiera...
Każdy znajduje szczęście, choć nie szuka,
I słodkim wdziękiem życia się napawa...
Nie wiem, gdzie z wieków minionych koleją
Pierzchły szlachetne do życia pobudki,
Gdzie się podziały dawne życia zdroje,
W których świat dawny czerpał siły swoje...[1]

Ale cóż historya mówi o owym świecie klasycznym? Historya zapisuje np. skargi Ateńczyków, utyskujących, że dla igrzysk sprawy sądowe i państwowe spoczywają[2]. że młodzieńcy dnie całe spędzają przy ucztach, patrząc na śpiewaczki i tancerki, że zmysł szlachetny powszechnie zaginął[3]. Ów wielbiony Sokrates bywa na orgiach[4] i chlubi się przed uczniami, że Aspazya była mu mistrzynią. Perikles dla tejże Aspazyi rozpoczyna wojnę samijską i peloponeską[5]. Po nim Ateńczycy oddają rządy Lyzyklesowi, handlarzowi owiec, znowu dlatego, że był ulubieńcem Aspazyi. Nawet boski Platon sadza na swych wykładach Lasthenię i Aksyoteę w męskiem ubraniu[6]. Zresztą, by ocenić Greków i Rzymian, dość zbadać ich religię, bo religia jest zawsze najlepszym probierzem moralności narodu, mitologia zaś klasyczna, to tylko apoteoza występku i niemoralności.

Jak błędną jest druga najgłówniejsza zasada humanizmu o nieskażonej dobroci ludzkiej natury, dowodzi dr. Weiss, już to z doświad-

[1] El..y, Poezye, t. III. „Odpowiedź przeszłości“.
[2] Xenoph. 3, 1.
[3] Isocrat. *Areop.* 7, 48.
[4] Xenoph. *Conviv.* 2, 11.
[5] Plutarch, *Pericles* 24. 2; 25. 1.
[6] Diog. Laert. 3, 46; 4. 2.

czenia, już z tradycyi wszystkich niemal narodów, z ich religii i ofiar krwawych, a wreszcie z jawnego wyznania samego humanizmu. Istotnie nie potrzeba nam innego świadectwa. Niech nam pokażą humaniści jakąś próbkę, jakiś wzór „czystej natury“ człowieka, niech według recepty Goethego wygotują chrześcijańskiego *homunculus*'a w alembiku swych zasad i tak destylowanego niech postawią przed nami, jako dowód, że humanizm potrafi tworzyć wzory godne naśladowania. Najodpowiedniejszym takim wzorem, według zdania samychże humanistów, byłby Goethe, ale chcąc mówić o Goethe'm, nie jako o poecie, lecz jako o człowieku, potrzebaby najprzód nawet najmniej skromne uszy pozatykać watą. Człowiek, który zdolny był na wejmarskich bankietach pijać wino z trupich czaszek [1], ileż przebiedz już musiał stopni moralnego zepsucia! Zresztą sam Goethe uśmiałby się serdecznie, gdyby go kto na seryo posądzać chciał o moralność.

Komuż nieznane jawne wyznanie drugiego koryfeusza niemieckich wieszczów:

Nein, länger werd' ich diesen Kampf nicht kämpfen,
Den Riesenkampf der Pflicht,
Kannst du des Herzens Flammentrieb nicht dämpfen,
So fordre, Tugend, dieses Opfer nicht!
Hier ist dein Kranz, er sei auf ewig mir verloren,
Nimm ihn zurück und lass mich sündigen,
Glückselig wer in Wonnentrunkenheit begraben
So leicht wie ich den tiefen Fall verschmerzt... [2]

Jakże więc bezsilnym jest humanizm wobec wymagań cnoty i wobec żądz słabej natury ludzkiej! Spytajmy go jeszcze od siebie, jaką pociechę dać on umie smutnym, cierpiącym, zwątpiałym?... Oto znowu wyznanie humanisty:

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą
I praw koniecznych bezwzględna powaga
Nie będzie dla nich obroną ni tarczą,
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga,
Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litosnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej choć dalekiej [3].

[1] *Goethe's Ital. Reise*, 8. Hirzel.
[2] *Schiller's G. W.* 1853, t. I., 83.
[3] El..y, Poezye, t. III. „Tym, którzy smutni“.

Co więc jest prawdą: czy humanizm spychający człowieka w błoto występku i w noc rozpaczy, czy wiara co z błota podnosi i noc czarną słońcem rozpromienia?...

W tej wierze więc tylko zbawienie dla świata.

„Zadaniem naszem było — mówi Weiss — zmusić świat do uznania swych wykroczeń i błędów“ [1]. Z zadania tego wywiązał się autor wyśmienicie, dowodząc, że świat potrzebuje nie już Mesyasza, bo ten przyszedł, ale zastosowania Jego nauki i użycia Jego środków wysłużonych na krzyżu. Niech sobie humanizm stawia rozumowi ludzkiemu ołtarze, niech się doń modli i wzywa ratunku, wołając, jak niegdyś na Karmelu kapłani Achabowi: „Baalu, Baalu, wysłuchaj nas“ — Baal jak dotąd tak i zawsze pozostanie głuchym na ich wołania... Toż świat dzisiejszy, to już nie kapłan Baala, ale Laokoon wijący się w wężowych splotach socyalizmu i pesymizmu. Zbawić go może tylko ten drugi Laokoon, rozpięty na Golgocie, lecząc rany jego swojemi ranami i śmiercią swoją wskrzeszając do życia prawdziwie ludzkiego, do humanizmu naprawionego i uświęconego przez wcielenie Słowa, które wyrzekło: *Bądźcie podobni ludziom* [2].

Słowo stało się ciałem, ażeby nanowo
Ciało twoje, człowieku, powróciło w Słowo [3].

B. Jasieńczyk.

Zapiski z bibliografii francuskiej [4].

4° **Ch. Barthélemy**: LA PATRIE FRANÇAISE, SES ORIGINES, SES GRANDEURS ET SES VICISSITUDES. 1 vol. illustré, in 8°. Paris, Bloud et Barral, 4 rue Madame.

Książka ta nie jest właściwie historyą Francyi, tem mniej geografią: są to raczej dzieje walk, prac, wysiłków i poświęceń, których potrzeba było do utworzenia francuskiego terytoryum, tej „miłej ojczyzny“ *(la douce France)*, jak ją pięknie ongi nazywano. Była to długa praca i przeszła przez wiele prób; niepowodzenia przeplatały się z pomyślnością, radość z boleścią i troską. Nie można jej też jeszcze uważać za skończoną, chociaż zdawała się taką w roku 1869, kiedy Ren gra-

[1] Weiss. *Apol.*, p. 591.
[2] Ew. św. Łuk. XII. 36.
[3] A. Mickiewicz. „Zdania i uwagi“.
[4] Patrz zeszyt z sierpnia, str. 269.

nicę stanowił. Miejmy nadzieję, że upokorzenia doznane w r. 1870, będą tylko przejściem ku przyszłemu odrodzeniu i rekonstrukcyi, której warunkiem będzie zjednoczenie Francuzów oraz miłość wiary i ojczyzny.

Jak widzimy, p. Barthélemy jest otwartym przeciwnikiem tej przewrotnej szkoły, której kosmopolityzm pod pozorem powszechnej sympatyi dla ludzkości, niweczy nawet ideę ojczyzny. Walczy on z tą szkołą, praca zaś jego wskazuje jasno niebezpieczeństwo i szaleństwo doktryn przez socyalizm rozkrzewianych. Pod tym względem książka ta i w Polsce pożyteczną być może.

5° **L. Nemours-Godré**, rédacteur au Journal *l'Univers*: O'Connel, sa vie, son oeuvre: chez Sovine, éditeur, 18 rue Drouot, Paris. (1 vol. in 12°).

Nietylko życie prywatne oswobodziciela Irlandyi opisuje ta książka, ale jest zarazem historyą wielkiej epopei, kończącej się wielkim tryumfem Irlandyi. Jestto wymowna nauka dla wszystkich prześladowanych katolickich narodów: zobaczą tam, jak to nie trzeba się cofać przed żadną przeszkodą, ani ustępować przed trudnościami; jak trzeba zbroić się w cierpliwość i odważnie walczyć, dopokąd Bóg nie da zwycięstwa.

Możemy powtórzyć naszym czytelnikom, co powiedział pewien dzielny francuski redaktor:

„Ach! czegóżbyśmy nie mogli dokazać, gdybyśmy za przykładem O'Connela i walecznego jego ludu, przedsięwzięli walkę bez odpoczynku, dopokądby nie dano katolickiemu ludowi tego, co mu się słusznie należy — mimo niesprawiedliwych wyroków rządu, mimo piętrzących się przeszkód, opóźniających godzinę wybawienia: — bo wkońcu przyjść ona musi, a od nas zależy ją przyspieszyć".

Aby zrozumieć, jak wielkim szermierzem chrześcijańskim był O'Connel, i aby ocenić tę jego niepokonaną stałość, trzeba wniknąć w jego ducha: wtenczas odkryje się przed nami tajemnica, zkąd on czerpał tyle odwagi i poświęcenia dla swego narodu, poświęcenia posuniętego aż do heroizmu. Tajemnicą tą jest miłość chrześcijańska, *miłość Chrystusowa*, która *przyciska nas* [1], jednem słowem, miłość Boga. Przytoczymy jeden jej rys tylko:

O'Connel miał zwyczaj odprawiać corocznie dwutygodniowe rekolekcye w pewnym klasztorze niedaleko Dublina. Podczas jednych takich rekolekcyj wpada do niego ktoś z bardzo wysoko postawionych osób i jednym tchem wypowiada tę groźną przestrogę:

[1] II. Kor. v, 14.

— O'Connelu! jeżeli jutro lub pojutrze nie pokażesz się na trybunie w parlamencie, twoje dwudziestoletnie walki będą stracone! przeciwnicy nasi zwyciężą i zniweczą wszystko, coś dotychczas dokonał.

O'Connel, niezachwianie ufający Bogu, obrońcy słusznej sprawy, odpowiedział:

— Milordzie! popieram najlepiej przed Bogiem naszą sprawę, prosząc, aby rozszerzył Królestwo Pana naszego Jezusa Chrystusa i chwałę Jego! Irlandya nic na tem nie traci. Rozważałem właśnie te słowa: „Szukajcie najprzód Królestwa Bożego, a wszystko wam przydano będzie“ obficie... Kiedy klęczę u konfesyonału, mocniejszy jestem, niż gdy stoję na trybunie: nie odbieraj mi Milordzie tej wiary! Zostanę przy Chrystusie, i najlepszą przez to oddam w tej chwili przysługę krajowi.

Przypomina to słowa pewnego francuskiego jenerała do swego przyjaciela, który się dziwił, iż corocznie zamyka się na rekolekcye w klasztorze w Fourvières: „Słowo ci daję, że mi potrzeba corocznie jeździć do tych kąpiel duchownych, abym wytrwał w wierności dla kraju“. — Ale wróćmy do rzeczy.

P. Nemours-Godré, mając sobie oddane w redakcyi *L'Univers*'a sprawy Wielkiej Brytanii, mógł zaprawdę godnie się wywiązać z pracy o O'Connelu i Irlandyi. To też nietylko składa swą książką hołd katolickiej Irlandyi, ale oddaje także wielką przysługę katolickiej Francyi, jęczącej obecnie pod jarzmem judaizmu i wolnomularstwa. Oby i dla niej powstał wkrótce z łaski Boga taki O'Connel!

Akademia francuska przyznała pracy p. Nemours-Godré zaszczytny wieniec.

6° **L'abbé Lyons**: Christophe Colomb, d'aprés les travaux historiques du comte Roselly de Lorgues. Poussielgue, 15 rue Cassette, Paris. (1 vol.).

Praca ta wyróżnia się stanowczo od wszystkich innych, jakie napisano w ostatnich czasach o Kolumbie. Wiadomo, że w roku przyszłym (1892) 12 października, przypada czterechsetna rocznica odkrycia Ameryki. Nietylko Amerykanie przygotowują się do uroczystego obchodu tej wielkiej rocznicy, ale i europejskie narody nie chcą wtyle pozostać.

Wskutek badań hr. Roselly de Lorgues, Krzysztof Kolumb okazuje się teraz nietylko śmiałym awanturnikiem i odważnym żeglarzem, jak Cortèz i Vasca de Gama, ale chrześcijańskim bohaterem, który szukając Nowego Świata, chciał znaleść złoto na wykupienie z rąk Mahometan Ziemi świętej. Jestto apostoł, który pragnie rozszerzać na ziemi Królestwo Chrystusowe.

Celem ks. Lyonsa jest dać poznać chrześcijańskim rodzinom Krzysztofa Kolumba w prawdziwem świetle, aby tym sposobem obchody i uroczystości czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki miały cechę chrześcijańską; obszernie o tem mówi w przedmowie. Książka podzielona jest na trzy części, i ukazuje nam: Kolumba przed jego wyprawą — w ciągu niej — i po niej. A więc najprzód widzimy go w okresie czasu od urodzenia aż do chwili odpłynięcia z Europy do Indyj Wschodnich na szukanie nowych dróg morskich: było to 3 sierpnia 1492 r. Następnie towarzyszymy mu w czterech jego wyprawach i podziwiamy w nim bohatera wiary. Uczestniczymy w jego radościach, w jego tryumfach, w ciężkich próbach ze strony towarzyszy, a szczególnie ze strony niewdzięcznej Hiszpanii. Nakoniec patrzymy na śmierć tego wielkiego męża, pełnego wiary i ufności w Bogu. Przybrany jest w habit św. Franciszka Serafickiego, którego był Tercyarzem, jak tylu innych znakomitych ludzi owego wieku. W trzeciej części, zatytułowanej: „Krzysztof Kolumb od śmierci swojej aż do naszych czasów", autor dowodzi w dwóch poddziałach: „Zapomnienie i niewdzięczność", „Rehabilitacya i uwielbienie", że dzielny żołnierz Chrystusowy wykonywał w heroicznym stopniu cnoty boskie i obyczajowe: mówi też tam, że 843 kardynałów, arcybiskupów i biskupów prosiło Stolicę św. o beatyfikacyę Krzysztofa Kolumba.

Głównem zadaniem ks. Lyonsa jest wyprowadzić na jaw stronę nadnaturalną misyi Krzysztofa Kolumba, a przez to usprawiedliwić jednomyślne prośby dostojników Kościoła o postawienie na ołtarzach świątobliwego męża. Pius IX. taki zamiar p. Roselly de Lorgues całkowicie pochwalił.

7° **M. le chanoine Guers,** ancien aumonier militaire: LES SOLDATS FRANÇAIS DANS LES PRISONS D'ALLEMAGNE. (1 vol. in 8°, avec portraits). Bloud et Barral, 4 rue Madame, Paris.

Philibert de Tournus: RÉCIT D'UN ÉVADÉ D'ALLEMAGNE. (1 vol.). H. Chapellier, rue de Tournon, Paris.

W czasach, kiedy się tyle mówi o odnowieniu potrójnego, a nawet o zawarciu poczwórnego przymierza, bez wątpienia z wielkiem zajęciem czytana będzie książka, traktująca o jeńcach wojny francusko-niemieckiej. Przyłączamy ją zatem do naszych zapisków bibliograficznych.

Druga z wymienionych rzeczy jest tylko bardzo bolesnym epizodem wielkiej klęski Francuzów. Autor, dawny podoficer, opowiada wiernie, jak historyk i naoczny świadek, a co więcej, współuczestnik

cierpienia swych towarzyszy. Opowiadanie pełne prostoty i bez żadnej literackiej pretensyi, ma jednak ustępy, bardzo dobrze, a nawet świetnie napisane.

W pierwszej: *Les soldats français* etc., mieści się historya wszystkich cierpień i upokorzeń 400.000 jeńców francuskich w niewoli niemieckiej. Autor jej, ks. kanonik Guers, który nieledwie całe swe życie spędził na usługach armii francuskiej, miał sposobność zwiedzić niemal całe imperyum niemieckie. Dawała mu do tego sposobność i prawo misya jego oficyalna kapelana wojskowego: misya pocieszyciela i wspomożyciela swych biednych współziomków. Mógł on wierniej niż ktokolwiek inny opisać te smutne dzieje; to też czyni to z wielkiem życiem i ciepłem, opowiadając udręczenia, nędzę i męczeństwa nieszczęśliwych jeńców. Nie przepomniał też przy sposobności zapisać rzeczy ciekawych z krajów zawojowanych obecnie przez Niemców, ich zwyczajów, obyczajów, jakoteż złych i dobrych przymiotów. Podaje nawet niektóre nowe dokumenta, dotyczące się tak samej wojny, jak Napoleona III.

Napotykali niekiedy Francuzi dusze ożywione miłością chrześcijańską, ale rzadko. I rzecz ciekawa, że w Bawaryi Francuzi najgorszego doznali obejścia, chociaż to państwo im zawdzięcza i swoje powstanie i swój stan obecny. Czyżby tym sposobem Bawarczycy chcieli sobie ująć Prusaków i Bismarcka, i uzyskać przebaczenie za swoje zachcianki niepodległości?...

Autor książkę swoją poświęcił młodzieży francuskiej, i z tego to zapewne powodu przytacza niekiedy wyjątki z klasyków, bez czego mogłoby się zresztą obejść. Lecz niech nas to nie zatrzymuje. Ministeryum wojny przyjęło książkę do bibliotek garnizonowych, i słusznie, bo są tam ustępy, z których nietylko żołnierze, ale także ich dowódcy mogą korzystać.

Widzieć też tam można poświęcenie i usługi, oddane krajowi przez duchowieństwo, które jednak tak niesłusznie potwarzano. Dzienniki francuskie jednomyślnie dobrze przyjęły tę książkę. Ukazała się ona w r. 1890, a teraz wyszła już w trzeciem wydaniu francuskiem i w tłumaczeniu angielskiem. Ks. biskup Rodèz'ski między innemi pochwałami napisał autorowi: „Twoje ks. kanoniku wspomnienia i opowiadania z r. 1870—71, to podnoszące i pokrzepiające ducha czytanie; wskazuje ono nam drogę obowiązku, posuniętego aż do ofiary; książka twoja może zaiste czytelników swoich uszlachetnić i pobudzić do gorliwszego służenia Kościołowi i ojczyźnie!"

8⁰ **Elisabeth ou les exilées en Sibérie.** Téqui, 85 rue de Rennes, librairie St. Michel, Paris.

Jestto wspaniały pomnik, wzniesiony miłości synowskiej, i zachwycający swoją serdeczną prostotą. Trzeba się zdumiewać nad odwagą i wytrwałością tej 18-letniej panienki, która potrafiła wybawić swego ojca z niewoli Syberyi.

Przy tej sposobności przypominają się nam powieści historyczne o Polsce, drukowane przed dwudziestu laty w „Robotniku“ *(L'Ouvrier)*. Autor ich, p. A. de Lamothe, znany jest zaszczytnie we Francyi ze swych zajmujących i moralnych utworów.

Oto tytuły prac wspomnianego autora: a) „Kosynierzy“ *(Faucheurs de la mort)*, opowiadanie z polskiego powstania z r. 1863. Prawdziwe historyczne wypadki grupują się tu około jednej rodziny w Warszawie. Przesuwają się tam przed oczami czytelnika: Narbut, Langiewicz, nasz Rochebrune i inni bohaterowie powstania; — b) „Męczennicy Sybirscy“ *(Les martyrs de la Sibérie)*. Jestto niejako dalszy ciąg „Kosynierów“, w 2 tomach. Na widok ich wiary i miłości ojczyzny czytelnik doznaje podniosłego uczucia i musi wyznać, że dzielne to jednak to polskie plemię; — wkońcu c) „Marta albo oswobodzenie“ *(Marpha ou la delivrance)*. Pewien Francuz sam zasłany na Sybir za udział w powstaniu, dzielnością i poświęceniem swojem sprawia, że ostatni potomkowie rodziny Sikorskich uciekają z Syberyi i znajdują we Francyi pokój i jakoby drugą ojczyznę.

Wspomnieliśmy o „Robotniku“ *(L'Ouvrier)*; pod takim tytułem wychodzi pismo peryodyczne z rycinami w duchu katolickim, bardzo zajmujące. Jestto tygodnik, wydaje go p. H. Gautier (55 quai des Grands Augustins à Paris); zawiera powieści, nowele, biografie i t. d. Ta sama księgarnia ma wielki zapas dzieł chrześcijańskich: naukowych, powieści moralnych i t. d.

9⁰ Zwracam jeszcze uwagę na inne czasopismo ilustrowane, w tym samym prawie rodzaju co „Robotnik“. Zdaje nam się nawet, że jest ono szczególnie dla młodzieży odpowiedniejsze, bo każdy numer zawiera sprawozdanie polityczne z tygodnia; a słuszna, aby w dzisiejszych czasach młódź nasza, zacząwszy już od szkolnej ławy, obznajamiała się z tem wszystkiem, co się dzieje w świecie nawet politycznym, i aby się przyzwyczajała rozumieć to, czego wymagać od niej może później Kościół i ojczyzna. Tygodnik ten poucza i podnosi ducha; przytaczam jego program. „Czytania przy ognisku domowem“, **La lecture au foyer,** pod redakcyą p. Dubois i przy szacownem poparciu wielu francuskich

dostojników Kościoła, chcą przedewszystkiem „potykaniem dobrem potykać się", za wiarę, Kościół i Francyę. W każdym numerze o 16 dużych stronnicach będzie przegląd wypadków, jakie zaszły w ciągu tygodnia w sferach kościelnych i politycznych; oprócz tego powieści, nowele i biografia jakiej znakomitej osobistości; podróże i artykuły z dziedziny nauk i literatury; ryciny doborowe, poezye, zagadki i szarady, a wkońcu jeszcze sprawozdanie finansowe. Na żądanie przesyła się dwa numera na okaz. Dla prenumeratorów bezpośrednich, premie. Prenumerować można albo w Nancy (3 rue du Manège u M. J. Vagnera), albo w Paryżu (u M. J. Vie, 11 rue Cassette).

10° **Trésor anecdotique de la Jeunesse chrétienne.** (Recueil nouveau d'histoires, de récits et d'exemples). 1 vol. in 12°. Librairie St. Paul, 6 rue Cassette à Paris.

Les hèros chrétiens au XIX. siècle. Publié, sous la direction de l'Auteur du la Méthode pour former l'enfance à la piété, par un professeur de rhétorique. (1 vol. in 8°). Librairie St. Paul, 6 rue Cassette à Paris.

Autor „Metody kształcenia dzieci w pobożności" i wielu innych dzieł jest bardzo ceniony we Francyi, szczególnie przez księży i chrześcijańskich rodziców. Byłoby dobrze choć niektóre jego dzieła na polski język przetłumaczyć.

Pierwsze z tych dwóch wyżej wspomnianych dziełek jest w szczególności dla dzieci, drugie dla dorastającej młodzieży. W jednem i drugiem opowiadania są bardzo zajmujące i zastosowane do wieku.

Całą prawie młodzież męską czeka dziś służba wojskowa: znajdzie ona w drugiem wymienionem tu dziełku liczne przykłady, jak można być jednocześnie dzielnym chrześcijaninem i odważnym żołnierzem. Wojacy, o których tam jest mowa, z naszych czasów są wzięci i tem więcej czytelnika zajmują, że autor nie na zimno czyny ich opowiada, ale je podaje w postaci zajmujących a zarazem pouczających zdarzeń i obrazków.

11° **M. Jean Drault:** Le soldat Chapuzot, ou scènes de la vie de caserne; chez Lecoffre, 90 rue Bonaparte, à Paris. (1 vol.).

Książka to zabawna a moralna, zdolna rozweselić niejednę nudną chwilę. Chapuzot'a z powodu jego naiwności spotyka mnóstwo śmiesznych przygód w koszarach i gdziekolwiek się obróci, z których jednak przez tęż samą swoją wrodzoną naiwność nieźle zawsze wychodzi. Są to z życia pochwycone humorystyczne szczegóły, w których autor, p. Jan Drault, umiał szczęśliwie uniknąć, mówiąc nawet o kapitanie Trombinon, wszystkiego, coby mogło przynieść uszczerbek władzy i wojskowej karności, albo zaszczepić jakieś ziarno buntu w sercu żoł-

nierza względem swego zwierzchnika: są to dobroduszne i uczciwe żarty, w których przebija zawsze zdrowa moralność.

12° **M. l'abbé H. Debout**: JEANNE D'ARC. (1 vol.), chez l'auteur, rue du Bloc, à Arras (Pas-de-Calais).

M-lle E. de Laboulaye: VIE DE JEANNE D'ARC. (1 vol.), chez Téqui, 85 rue de Rennes à Paris.

Wybawicielka Francyi z XV. w. była przedmiotem wielu już znakomitych prac, począwszy od Wallon'a, Quicherat'a, Sepet'a, S. Luce'a, P. Marin'a, aż do mistrzowskiego Ayrolles'a: dziś jednak mówić tylko będziemy o dwóch wymienionych dziełkach, gdyż inne pisane były dla dobranego koła czytelników, dla uczonych, a przynajmniej dla mających czas studyować historyę i badać szczegółowo posłannictwo tej wybranki bożej.

Dwa te żywoty napisane są dla ludu, tj. dla całego narodu; co jednak nie przeszkodziło autorom, radzić się źródeł, takowe badać i tak wyczerpać swój przedmiot, że nie lękają się krytyki; z drugiej strony wolne są od balastu erudycyi, która w tym razie nie miałaby celu i męczyłaby tylko czytelników. Cecha nadnaturalności i boskości posłannictwa Joanny d'Arc występuje tu nieskażona; owszem, postać chrześcijańskiej bohaterki Francyi ukazuje się w tych biografiach wolna od naciągań, jakiemi ją udręczyła internacyonalna bezbożność.

Życiorysy te napisane są z niepospolitym talentem, a swą łatwością i wdziękiem pociągają czytelnika i mogą zdziałać wiele dobrego. Szczególnie dziełko ks. Debout zasłużyło sobie na liczne i uzasadnione pochwały wielu biskupów francuskich.

13° **Mr. le docteur Boissarie**: LOURDES: HISTOIRE MÈDICALE, chez Lecoffre, éditeur, 90 rue Bonaparte, Paris.

Od roku 1859, w którym zaczęły się objawienia Najśw. Panny Niepokalanie Poczętej w Lourdes, sława cudów tam dokonanych rozniosła się po całym prawie świecie. Wielu może z naszych czytelników miało szczęście modlić się w tym przybytku szczególnie Matce Boskiej upodobanym, a nawet może byli naocznymi świadkami niejednego cudownego uzdrowienia. Ci bez wątpienia czytać będą wymienioną książkę z niezwykłą przyjemnością. Przeciwnie, racyonaliści, którzy to tylko uznają za prawdę, co im się podoba, w rzeczy nadnaturalne nie wierzą, a mówiąc o nich, powtarzają z ironią: histerya, halucynacya i t. p., nie będą z niej zadowoleni. Nieraz nawet sami katolicy stawiają sobie pytanie, czyli w opowiadaniu tylu cudownych uzdrowień, wyobraźnia i egzaltacya nie są głównymi czynnikami?

Otóż książka dra Boissarie, naczelnika kliniki w Lourdes, dla jednych i drugich bardzo jest pożyteczną. Opisuje ona wyczerpująco cudowne uzdrowienia w Lourdes, jakie się spełniły na chorych pielgrzymach. Można się tam przypatrzeć 300 doktorskim poświadczeniom cudownych uzdrowień za przyczyną Matki Bożej Niepokalanie Poczętej. Czytając te świadectwa, każdy musi się przekonać, z jaką roztropnością komisya teologiczno-medyczna sprawdza otrzymane uzdrowienia, i jak szerokie pole co do nich pozostawia naturze.

Dr. Boissarie odpowiada w niezbity sposób na zarzuty materyalistów i racyonalistów, a ich powątpiewaniom i szyderstwom przeciwstawia dowody niezaprzeczone i oczywiste. Tym sposobem ta książka jest największym hołdem, złożonym u stóp Najświętszej Panny Lourd'skiej; najuroczystszym i najpiękniejszym pomnikiem ku czci Boga i Niepokalanej Dziewicy. — Z tych to powodów wspominamy o tej książce na tem miejscu: gdyż jako dzieło lekarskie, przeznaczona jest wyłącznie dla czytelników specyalistów, a bynajmniej nie dla wszystkich.

14° **Madame la Comtesse de Beaurepaire:** Les Sauveteurs de l'asphalte. (1 vol.), chez Téqui, 85 rue de Rennes, Paris.

Książka ta jest wyborną odpowiedzią na inną, wydaną przez pewnego autora realistę. Czyta się ją z wzrastającem zajęciem. Autorka maluje z wielką prawdą i przejęciem losy nieszczęsnych niewolników nędzy i występku, włóczących się po paryskich trotuarach, pokazując zarazem, czego może dokazać miłość czysto chrześcijańska pod względem umoralnienia wielkomiejskiej nędzy. To nie powieść wysnuta jedynie z wyobraźni piszącego, mniej lub więcej mająca prawdopodobieństwa — ale prawdziwa historya dziecka opuszczonego, Jana Bodin, którego bogaty a zacny hrabia de Béthune wyrwał z okrutnej niewoli brukowych szarlatanów. Biedny sierota uczciwością i pracą dobija się zaszczytnego stanowiska na polu przemysłu. Niezależnie od tego Siostry Miłosierdzia przygarnęły jego matkę, którą długie lata niedoli rozdzieliły z synem; i nareszcie się spotykają po wielu wzruszających wypadkach.

Autorka zwraca się do ludzi położonych wysoko w świecie, rządzących, aby stanęli pod chorągwią prawdziwego chrześcijańskiego miłosierdzia, które nietylko umie w porę dawać jałmużnę, ale też poświęcać swój czas i serce, by zaradzać niedoli. Czytajmy więc tę książkę, ale i naśladujmy podane w niej przykłady.

15° **MM. Lèo Taxil et Tony Gall:** Les admirateurs de la Lune. (1 vol.). Téqui, 85 rue de Rennes, Paris.

Pod tym dość ciekawym tytułem opowiadają nam autorowie historyę pewnej loży masońskiej. Chociaż historya ta napisana jest z pewną dozą komizmu, jednak maluje dosadnie niebezpieczeństwo masoneryi, tak dla pojedyńczych osób, jak dla całych krajów. Dzielna gazetka „Krzyż“ *(La Croix)*, podała w fejletonie swym licznym czytelnikom tę bardzo zajmującą i moralną powiastkę. Niewątpliwie czytelnicy *Przeglądu* zechcą się zapoznać z tą książką.

E. P. A. S.

Les manieurs d'argent à Rome. Par *A. Deloume*. Paris. Thorin éditeur. 1890.

Nic nowego pod słońcem, ani bieda ani pieniądze. Odnaleść można cały mechanizm finansowy dni naszych w starożytnym Rzymie, gdzie tak jak dzisiaj, i stokroć więcej niż dzisiaj, złoto rozstrzygało o losach ludzi i narodów. Jakimi atoli środkami i śrubkami obracało się wszechpotężne koło mamony, tego nam nie wyjaśnili dziejopisarze, nawet tak wyczerpujący jak Mommsen. Zasmucony hańbiącemi frymarkami chwili obecnej, zbolały tem mianowicie, co się dzieje we Francyi, uczony profesor prawa rzymskiego przy uniwersytecie w Tuluzie, p. A. Deloume, szukał kordyału na świeże smutki i wstydy w badaniach, stwierdzających, iż ludzkość w różnych momentach dziejowych po jednakiej staczała się pochyłości, tj. chciwej żądzy zbogacenia się szybkiego, że wstrętne przykłady dni naszych nie stanowią wyjątku, lecz idą zawsze w parze z epokami moralnego rozstroju, a materyalnego rozrostu. Nie przynosi to pociechy, nie obmywa z brudu, ale przynajmniej daje przeświadczenie, iż dni nasze nie są ciemniejsze i najciemniejsze, że ludzkość niejednokrotnie już przechodziła podobne paroksyzmy, w różny sposób leczona: karą czy dobrowolną ekspiacyą. Roma, która na swych domach nie sromała się wypisywać: *Salve lucro*, doczekała się niszczącego zalewu barbarzyńców, a odrodziła się w wodzie Chrztu św. i religii zaparcia. Później społeczność bogata i zepsuta XI. i XII. wieku, w XIII. w. odnawia się duchowo pod hetmaństwem świętych miłośników ubóstwa, Dominika i Franciszka. Co dziś odrodzi schorzałą, strawioną gorączką złota ludzkość? — przesądzać nam trudno. Tymczasem zdumiewać się przychodzi nad tożsamością urządzeń finansowych, spekulacyj i interesów, którą nam przedstawia uczony prawnik francuski.

Okazuje on nam, iż Rzymianie na dwadzieścia wieków przed nami znali kredyt i korzystać zeń umieli; że kompanie akcyonaryuszów żyły, działały, rozwijały się pomyślnie w formie onych stowarzyszeń publikanów, powstających pod opieką i firmą państwa, wchodzących w stosunek wprost ze skarbem rzeczypospolitej, a wciągających wszystkie prywatne własności, oszczędności najuboższego nawet ludu w wir własnych spekulacyj. Owe akcye czyli *partes*, o których tak często Cycero wspomina, noszą wszystkie cechy dzisiejszych komandytowych interesów; a i niebezpieczna gra na giełdzie chyba nie jest nowoczesną tylko chorobą. Jakże bowiem inaczej sobie wytłumaczyć ustępy klasycznych autorów, odnoszące się do fortun, zrobionych lub straconych za jednym zamachem na Forum? Cyceronowe opisy takich popłochów jak raz dzisiejsze malują krachy, i podobnież bywały spowodowane bądź wypadkami politycznymi, bądź napływem produktów handlowych, bądź wreszcie śmiałymi obrotami samychże publikanów. Rozpoznajemy nawet bankierów i agentów dni naszych w t. zw. *argentarii, trapezitae*, pośredników między publicznością a towarzystwami finansowemi, którzy mieli swe biura najprzód na Forum, a następnie w bazylikach.

P. Deloume nie ograniczył się na przedstawieniu nam zawiłych kół i kółeczek olbrzymiej machiny; potrafił schwycić, jak żywy ruch jej i czynność, i z historyą w ręku odbudował ten ssący i cisnący aparat, który do Rzymu sprowadzał wszystkie skarby świata, aby mu wzamian słać ruinę, niewolę i ucisk. Niemasz jednego ważniejszego zdarzenia, począwszy od końca wojen punickich aż do upadku rzeczypospolitej, gdzieby nie można odnaleść udziału, nieraz wszechwładnego, publikanów. Oni to kierowali zewnętrzną senatu polityką. Kto wie, czy zniszczenie Kartaginy i Koryntu nie nastąpiło dla ułatwienia ich spekulacyj handlowych? W Azyi, Afryce, Gallii, przybycie negocyatorów zawsze wyprzedza legiony. Ten sam czynnik występuje i w buntach niewolników, i w ruchach sprzymierzeńców włoskich. Trybunał Grakchów nam się wydaje być zagajeniem ery wolności, a w gruncie raczej okazuje się być tylko zamachem publikanów, sięgających po sądową władzę. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż *lex Sempronia*, wykluczająca senatorów z trybunałów, gdzie odtąd publikanie zasiadają, ster państwa w ręce tych ostatnich oddała. Oni trzymają kasę, a więc i od nich zależą najemne wojska, ich złoto rozstrzyga o głosowaniach publicznych; senat korzy się przed wymaganiami skarbu, a bardziej jeszcze tych, co dzierżą klucze kasy. „Chyba nie o tem marzył, nie do tego dążył Kajus Grakchus“ — dodaje smętnie p. Deloume.

Stopniowo, biegiem wypadków i siłą rzeczy, ustaliła się zwierzchność publikanów. Nawet dyktatura Sulli, który ich nienawidził, nie zdołała położyć kresu ni tamy ich potędze. Co najwięcej, przelotnie ją umniejszył skasowaniem Semproniuszowej ustawy i przywróceniem senatowi prawa trybunalskiego. Ale już rozstrój sięgnął był zbyt głęboko. Sulla mniemał naiwnie, iż położy kres frymarkom; nie pomniał, iż utraciwszy władzę sądową, publikanie zachowali pieniądze i tych używali zręcznie ku opanowaniu nowej juryzdykcyi. W cztery lata później już Verres się puszcza na wspólne z publikanami spekulacye, i potrzeba całej wymowy Cycerona, aby wydrzeć senatowi wyrok łagodny, który zaledwie kilka milionów, nieprawnie zdobytych, odebrał Verresowi. A kiedy niebawem samże Cyceron wybiera się jako prokonsul do Cylicyi, o nic mu więcej nie chodzi, jak o oszczędzanie i jednanie wszechpotężnych finansistów. W ich to szeregach przecież liczy najbliższych i najznaczniejszych przyjaciół swoich. Uniewinnia tedy, zamiast głosić i potępiać, rozboje swego poprzednika, Appiusza Klaudyusza; macza ręce w sprawie Brutusa, wplątanego w nieczysty lichwiarski zatarg z Salamińczykami, upomina się nie za uciśnionymi mieszkańcami przeróżnych prowincyj, lecz raczej za publikanami, którzy ich uciemiężają i rabują.

Lex Aurelia wnet zresztą wraca publikanom udział w sądownictwie. Coraz zupełniej ogarniają ster państwa, tylko już nie tak jawnie występują. Owszem, z roztropną przebiegłością ukrywają swe działanie, przetrzymują rozruchy, cofają się niby w cień, aby tem szerzej roztoczyć krąg swego działania i spekulacyi. Kruszec z natury swej bywa giętkim: ugnie się, nie złamie. Monteskiusz jasnowidzeniem filozofa dopatrzył się w tej ranie społecznej właściwego powodu upadku rzeczypospolitej; a p. Deloume wskazuje dobitnie, że arystokracya pieniężna żadną miarą nie może wyróść na rękojmię zachowawczego porządku, nie może być siłą społeczną ni rządową — owszem, wnosi stale z sobą żywioły rozkładu: brak osobistych zasad, moralność wątpliwej wartości, żądzę używania i rozbudzanie gorączki zysku dokoła siebie.

P. Deloume kończy swe znakomite studyum historycznym poglądem na bankierów rzymskich i punkta zborne, które na Forum czy w bazylikach gromadziły chciwych łupu spekulantów. Pole to nieznane i niewyzyskane przez poprzednich badaczy. Co za świat, co za stosunki i obyczaje! Historya wstydliwie odwraca się od tych otchłani zepsucia, drastycznie odmalowanych przez p. Deloume. Owi *argentarii* kroczą wśród tłumu postaci, znanych z komedyi Plautusa, mają swą bursę

zrazu na Forum, później wpobliżu Kapitolu, na otwartem miejscu, gdzie deszcz nieraz studzi zapały spekulacyi. I oto surowy Kato pierwszy ich wpuszcza do swej bazyliki, aby im oszczędzić katarów. Zaczem coraz to nowe giełdowe powstają przybytki, coraz wspanialsze, szersze, wykwintniejsze, o różnych piętrach, rozdzielających królów targowych od rzeszy pospolitych łapigroszów. Niebawem owe bazyliki przybierają kształty świątyń, bardziej zapewne niż inne uczęszczanych, z marmurowymi portykami i posągami. W tym panteonie podobno samże Verres doczekał się pomnika.

Ciekawa praca p. Deloume oczywiście niesie i naukę moralną, zwróconą ku dzisiejszym stosunkom we Francyi. Kreśli on dzieje publikanów i zarazem wskazuje, że znikają oni z dziedziny historyi wespół z rządem przez nich wyzyskiwanym, a który popełnił nie do darowania zbrodnię zstąpienia do spółki z nimi, a nawet zespolenia swego bytu, czynności i korzyści z ich losem i działalnością. Ból i sromota z powodu ostatnich skandalów polityczno-finansowych, drga w poważnej robocie szlachetnego Francuza: uczy on, dokąd prowadzi i doprowadzi niechybnie przewaga publikanów w ustroju społecznym czy państwowym.

M.

Abaelards 1121 zu Soissons verurtheilter Tractatus de unitate et trinitate divina. Aufgefunden und erstmals herausgegeben von *Dr. Remigius Stölzle*. Freiburg, Herder. 1891. (Str. XXXVI i 101).

Abelard, to jeden ze spaczonych geniuszów. Porywał swoimi wykładami filozoficznymi Europę. Uwiedziony głosem powszechnym, widział w sobie jedynego filozofa w swoim wieku. W tem przekonaniu nie kładł tamy swoim zachciankom i stracił katedrę w Sorbonie, zgorszonej jego życiem. Zaczęła się dla upadłej wielkości wędrówka z wszechnicy na wszechnicę, błąkał się po pomysłach coraz dzikszych, popadł w sabelianizm; zaskoczony śmiercią, zostawił po sobie pamiątkę w kilku dziełkach wcale nieszczególnych. Jedno z nich było dotąd znane w poprawniejszem wydaniu pod nazwą *Theologia christiana;* paru uczonych domyślało się, że tej Teologii pierwotne wydanie także wyszło na świat, ale ślad o niem zaginął. Dr. Stölzle, profesor filozofii w Würzburgu, znalazł w erlangeńskiej bibliotece rękopis p. t.: *Petri Adbajolardi capitula librorum de trinitate*. Treść tego rękopisu zawiera w bardzo wielu miejscach dosłownie osnowę dziełka *Theologia christiana*, w innych miejscach zawiera tylko te same myśli, wyrażone słabiej i z mniejszym ładem w odkrytym rękopisie, aniżeli w znanej Teologii. Osobistej obro-

nie poświęcony jest niejeden ustęp w obu dziełkach. Rękopis zawiera wycieczki przeciw Roscelinowi, na które ten odpowiedział znanym listem, i Teologia ich nie powtarza. Dlatego prawdopodobnie ten rękopis jest pierwszem wydaniem Teologii, o którem domyślał się świat uczonych bibliografów. Dla nich to odkrycie ma znaczenie. Nauki filozoficzne i teologiczne, a tem bardziej ogół, mogą być obojętne na odkrycie rękopisu, którego treść była znana i nawet w swojej poprawniejszej szacie przedstawiała tylko nędzną spuściznę po zbłąkanym myślicielu.

K. C.

Compendium Theologiae dogmaticae. Auctore *Hugone Hurter S. J.* Vol. I—III. Editio septima. Oeniponti 1891.

Niedawno wyszło w Insbruku siódme już wydanie, pomnożone i poprawione, cennego dziełka Teologii dogmatycznej ojca Hugona Hurtera T. J., profesora na wszechnicy w Insbruku. Całe dzieło, objęte w trzech tomach, jest ściśle zastosowane do wymagań wszechnicy, z której uczniowie wynieść mają gruntowną zarazem i obszerną naukę dogmatów wiary św., o ile na to czteroletni kurs teologiczny pozwala.

Wielce przysłużył się szan. autor Duchowieństwu dziełkiem swojem już w sześciu poprzednich wydaniach, czego dowodem jest to, że wszystkie w krótkim czasie zupełnie wyczerpnięto. Najnowszem wydaniem zaś chciał szan. autor jeszcze więcej przysłużyć się Duchowieństwu, umieszczając w II. i III. tomie do 60 szkiców kazań, które *Scholia practica* nazywa. Te szkice drogocennym są dodatkiem do większych rozdziałów rozpraw dogmatycznych i wskazują umiejętnie, treściwie i dosadnie, jak każdy teolog, nauki w szkole nabytej na ambonie używać może, i jak powinien dogmata wiary dokładnie wyłuszczać, ale oraz tymże praktyczną nadawać cechę.

Życzymy, aby to dzieło, będące owocem długoletniej mrówczej pracy szan. autora, jak najprzychylniejsze u Duchowieństwa znalazło przyjęcie i owe obfite zrodziło korzyści, które szan. autor na chwałę P. Boga sprawić zamierzał.

Ks. W. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zwierzenia Crispiego.—Nowe stronnictwa i nowe programy we Francyi.—Austryackie „Stowarzyszenie Leona XIII.“. — Memoryał Cahensly'ego i amerykańskie gniewy. — List kardynała Rampolli do kard. Gibbonsa. — Krwawe prześladowanie w Chinach.

ZWIERZENIA CRISPIEGO. Były kanclerz włoski, zbyt dobrze niestety! znany katolickiemu światu, Franciszek Crispi, naśladował niewolniczo Bismarka, póki obaj stali u steru rządów; co śmieszniejsze, a na szczęście mniej niebezpieczne, to że i dzisiaj, gdy obaj, acz równie niechętnie, usunąć się musieli z zajmowanego przez siebie stanowiska, nie przestaje z fotograficzną dokładnością odtwarzać fochów i dąsów niemieckiego swego pedagoga. Bismark skompromitował się już licznemi skargami i zwierzeniami w swym hamburgskim dzienniku; w też ślady podążył i włoski jego przyjaciel, tylko nie mając widocznie w własnym swym kraju żadnego organu do rozporządzenia, uciec się musiał z prośbą o gościnność do angielskiego pisma: *Contemporary Rewiew*. Już w czerwcowym zeszycie tego „Przeglądu“ ukazał się pseudonimem podpisany artykuł przeciw Watykanowi i Francyi; na artykuł ten nie zwrócono dostatecznej uwagi, co spowodowało Crispiego, że w sierpniowym numerze odsłonił ma-

skę i w nowym, tym razem pod własnem już imieniem ogłoszonym artykule p. t.: „Włochy, Francya i Papiestwo“, usiłował obronić się od zapomnienia, które zwolna otaczać go poczęło, a które dla człowieka tak żądnego rozgłosu nadzwyczaj musiało być bolesnem. Celu tego, przynajmniej w części dopiął, ale zarazem — sprawiedliwą Nemezys dziejową — chwycił sam za młot do burzenia z takim mozołem, przez tyle lat kleconego przez siebie gmachu: „nieistniejącą“ kwestyę rzymską ogłosił za najważniejszą dla Włoch i Europy; stwierdził, z właściwą sobie emfazą, czemu dotąd sam i wszystkie jego organa z niemniejszą emfazą przeczyły, że paniczna bojaźń Watykanu kieruje całą dzisiejszą polityką Włoch, że ona popchnęła je w objęcia potrójnego przymierza, i jest główną przyczyną ekonomicznego upadku, wewnętrznego rozstroju. Kiedy papieskie gazety przed paru jeszcze miesiącami lub tygodniami wysnuwały podobne, choć daleko skromniejsze wnioski, wzruszano ramionami i doradzano trzeźwiejszy pogląd na świat i stosunki; dziś bez porównania dalej idące wnioski rozgłasza najzaciętszy wróg papiestwa, nie wiedząc chyba i nie widząc, jak tem jego sprawie się przysługuje. Jeśli dawniej przyrównywano starego tego rewolucyonistę do rozjuszonego byka, który na wspomnienie papiestwa, niby na widok czerwonej chorągiewki, traci przytomność i wszystko inne traci z oczu — to teraz chyba tem słuszniej użyćby można tego porównania. Crispi niszczy sam całą swą długoletnią politykę, tratuje bez miłosierdzia posłuszne sobie dawniej dzienniki; nie zważa w swym pędzie na nic, na żadne względy, bo miga mu się przed oczami Watykan.

Jakżeż bowiem inaczej wytłumaczyć sobie te artykuły, więcej niż zadziwiające, jeśli się je porówna z przeszłością, z dawnemi mowami i zwierzeniami włoskiego eks-ministra? Watykan — jak zaręcza Crispi, niczem oczywiście zaręczenia tego nie udowadniając — marzy tylko o zaprowadzeniu we Włoszech rzeczypospolitej, bo sądzi, że na tej drodze dojść najłatwiej potrafi do zerwania narodowej jedności. W tych samych zamiarach łączy się Watykan z Francyą, która znów ze swej strony robi co może, aby przeszkodzić zbliżeniu się Włoch do papiestwa,

dopóty przynajmniej, dopóki Włochy należeć będą do potrójnego przymierza.

„W ostatnich dniach maja 1887 r. pewien znakomity ksiądz, którego nazwiska tutaj nie wymienię [1], ofiarował się za pośrednika pomiędzy Leonem XIII. a rządem włoskim, w celu dojścia do pewnego *modus vivendi*, któryby zabezpieczył miłość własną jednej z interesowanych stron, a nie obraził praw drugiej. Pewien wysoki dostojnik kościelny dowiedział się o tych rokowaniach i napisał do Papieża, że rząd francuski, dopóki istnieć będzie potrójne przymierze, patrzećby musiał niechętnem okiem na pojednanie się urzędowych Włoch ze Stolicą św. W liście tym dodał, że nieroztropną byłoby rzeczą obrazić Francyę, która mogłaby przy pierwszej sposobności poruszyć kwestyę rzymską i zaprosić inne mocarstwa do rokowań, zdążających do rozwiązania tej kwestyi stosownie do życzeń Papieża.

„Tenże sam prałat wystosował w tymże przedmiocie list do kardynała Rampolli, a list ten, podyktowany, jak zapewniają, przez jednego z francuskich ministrów, zawierał między innymi następujący ustęp:

„Jedność włoska jest anachronizmem, ludność jej jest przeciwną, a niezgoda panuje w najlepsze pomiędzy różnemi prowincyami półwyspu. W najlepszym razie dałoby się może doprowadzić do konfederacyi Stanów, ale wątpić należy, czy kto się o to pokusi. Francya i Stolica św., zjednoczywszy się do wspólnej akcyi, mogłyby zwalczyć niezgodę tych różnych żywiołów, a tak doprowadzić do tego, aby sam naród stosownie do swych pragnień, interesów i topograficznego położenia, zorganizował szereg oddzielnych, samodzielnych państw. Papież otrzymaćby mógł we Włoszech środkowych państwo, w odpowiedniejszych zawarte granicach, niż dawne państwo kościelne. Francya gotową jest na pierwszy znak czynnie wystąpić, pod warunkiem, że Stolica św. z nią się sprzymierzy, a z Włochami zerwie, choćby przyjść miało do opuszczenia Watykanu, aby w ten sposób dać Francyi sposobność do poruszenia kwestyi rzymskiej".

[1] Znany O. Tosti z Monte-Cassino.

„Niech tylko Francya — wnioskuje ostatecznie Crispi — jasno i stanowczo zrzecze się wszelkiej opieki i cienia opieki nad papiestwem; niech wejdzie w ślady Austryi, która od r. 1870 nie przestaje Papieżowi doradzać, aby się pogodził z koniecznością i nie marzył o powrocie do dawnego stanu rzeczy — a Włochy ustąpią niechybnie z potrójnego przymierza, i nic już mącić nie będzie idealnej przyjaźni pomiędzy dwoma bratnimi narodami".

Trudno chyba o silniejsze stwierdzenie tylekroć dawniej właśnie przez Crispiego i jego organa zaprzeczanego zdania, że głównie i przedewszystkiem kwestya rzymska popchnęła i utrzymuje Włochy w objęciach potrójnego przymierza. Oddany podziśdzień Crispiemu *Popolo Romano* podjął się tę tezę bardziej jeszcze wyświecić. Mancini wyznaje bez ogródek, iż mocno się wahał, czy zgodzić się ma na uczynione sobie w r. 1881 przez Niemcy i Austryę propozycye, ale artykuły berlińskiej *Post*, grożące podjęciem kwestyi rzymskiej przez państwa Środkowej Europy, przechyliły szalę i wprowadziły politykę włoską na tory, po których podziśdzień kroczy. — Wobec takich wyznań tracą oczywiście na sile gniewy i protesty republikańskiej prasy francuskiej, nie mogącej pogodzić się z myślą, aby antyklerykalnemu rządowi rzeczypospolitej tak bardzo mogło chodzić o przymierze z Watykanem. Natomiast trudno się nie zgodzić, gdy *Journal des Débats* całe to wystąpienie Crispiego nazywa w najwyższym stopniu nierozsądnem, *Temps* nie przebierając w wyrazach, dziwi się jego głupocie, a *Figaro* oświadcza krótko, że byłego ministra włoskiego nie można traktować na seryo.

NOWE STRONNICTWA WE FRANCYI.

Katolicy francuscy, mimo wszelkich prób i licznych programów, zjednoczyć się na nieszczęście nie mogą do wspólnej akcyi w obronie Kościoła. Obecnie rozróżnić można pomiędzy nimi dwa główne prądy. Jedni, zagorzali zwolennicy idei monarchicznej, o rzeczypospolitej na żaden sposób słyszeć nie chcą, a katolika, który mówi o uznaniu dzisiejszej formy rządu, uważają za niepoprawnego marzyciela, jeżeli nie za apostatę i zbrodniarza. Drudzy, których moralnym, choć nie zawsze uznawanym przewódcą jest kardynał Lavigerie, a pun-

ktem wyjścia i hasłem słynny jego toast — dotąd nie są ani zbyt liczni ani zbyt silni, nadto dzielą się już na trzy odcienia: jedno grupuje się około biskupa z Grenobli, msgr. Fava; drugie około senatora Chesnelong'a, jednego z założycieli „Unii chrześcijańskiej"; trzecie około Juliusza Bonjean, przywódcy „Stowarzyszenia francuskiego". Ostatnie to stowarzyszenie cieszy się jeszcze stosunkowo największemi sympatyami tych, którzy rzeczpospolitą wzięli dziś dla siebie w monopol i ciągną z niej korzyści, bo w programie swym wypisało jedynie: „pokój i tolerancya religijna" — a zresztą gotowe jest bez zastrzeżeń zgodzić się na wszystkich i na wszystko, co dziś we Francyi się dzieje. Biskup Fava rzeczpospolitą przyjmuje jako formę rządu, ale słusznie i logicznie uważa, że jeśli katolicy rzeczpospolitą uznają, to mają i prawo i obowiązek starać się, aby to była rzeczpospolita nie pogańska, jak ją mieć chcą dzisiejsi jej wolnomularscy zarządcy, ale rzeczpospolita chrześcijańska, rządząca się chrześcijańskiemi prawami, mająca jawnych wyznawców tych praw i zasad za swych przewódców. Wreszcie „Unia chrześcijańska", do której prócz Chesnelong'a należą: de Mackau, Keller, Lucyan Brun, d'Haussonville, stoi wpośrodku między biskupem z Grenobli a „Stowarzyszeniem francuskiem", zgadza się na rzeczpospolitą jako na zło, w tej chwili nieuniknione, ale w gruncie — jak przynajmniej rządowa prasa je podejrzywa — nie przestaje marzyć o monarchii i pochlebia sobie, że wmieszawszy się w republikańskie szeregi, uda się jej w cichości zwrot na korzyść Orleanów przygotować.

Historyę zawiązania, cele i zasady „Unii chrześcijańskiej" streścił w programowej mowie hr. d'Haussonville, jeden z założycieli „Unii", a zarazem powiernik i przedstawiciel hrabiego Paryża. Mowca wystąpił przedewszystkiem w silnych wyrazach przeciw kardynałowi Lavigerie i stronnictwu, kierującemu się programem biskupa Fava. „Zupełnie innego rodzaju — mówił dalej — jest ruch, wywołany odezwą znakomitego prałata, który ciągnie dalej na arcybiskupiej stolicy paryskiej tradycye umiarkowania i cnoty, przekazane sobie przez swego poprzednika, msgr. Guiberta. Wiecie wszyscy, że wskutek tej odezwy, do

której przyłączyła się największa część biskupów, powstał w Paryżu komitet, i że wstąpiło do niego bez wahania kilku z najwierniejszych sług monarchii...

„W manifeście, ogłoszonym przez komitet ten w ostatnim czasie, nie znajdziemy ni słowa sprzeciwiającego się naszym nadziejom i naszym prawom; w jego programie niemasz ni jednego paragrafu, którego monarchiści przyjąćby nie mogli; owszem, któregoby dotąd niejednokrotnie nie bronili. Wolność religijna, wolność wychowania, wolność miłosierdzia, wolność stowarzyszeń: wszystko to drogie monarchistom sprawy, za które walczyli i walczyć będą...

„Prawda, że nam monarchistom trudno obronić się przed pewnemi obawami, któremi, pozwólcie, że się z wami podzielę. Bo rzeczywiście, czyż nie należy się obawiać, że niektórzy z tych, którzy nowemu temu, obecnie zajmującemu nas ruchowi dali początek, nie kołyszą się niemożliwemi do spełnienia illuzyami? W teoryi rzeczpospolita nie jest bez wątpienia koniecznie wrogim religii rządem, i łatwo wyobrazić sobie rzeczpospolitą, w której kwitnie tolerancya, jak rzecz się ma w Ameryce, lub nawet katolicką, jak widzimy w Ekwadorze. Ale w rzeczywistości w przebiegu dziejów nie mamy przykładu, aby rząd jaki zdołał zrzucić z siebie kajdany, które przeszłość jego jakąś fatalnością nań nałożyła. Rzeczpospolita francuska nie stanie się nigdy rządem, poczuwającym się do tolerancyi, do zabezpieczenia wolności religijnej. Bo i jakież było dotąd jej hasło? Wojna religii! W jakim obozie liczy najenergiczniejszych obrońców? W obozie jawnych, najenergiczniejszych wrogów wiary naszej. Czyż więc dobrowolnie się nie łudzi, kto sobie przedstawia, że rzeczpospolita może w tym kierunku się zmienić, i to bez zupełnej zmiany we wszystkich urzędach, najwyższych i najniższych, politycznych i administracyjnych? Ależ nowych tych urzędników znaleśćby chyba tylko można w szeregach monarchistów, a nadto, dopóki kraj nasz nie otrząśnie się z przywiązania do zasad republikańskich, którym dziś w znaczniejszej części ze szkodą swą hołduje, patrzeć będzie podejrzliwem okiem na nowych, zbyt późno pozyskanych zwolenników, ufać nie bę-

dzie szczerości ich zamiarów, a straż nad rzecząpospolitą poruczy doświadczonym jej obrońcom, tj. właśnie tym, którzy wybili się na wierzch w wojnie, w ostatnich kilku latach przeciw religii prowadzonej ...“

„Hr. d'Haussonville — krytykuje tę mowę *l'Univers* — przyznać, a może i zrozumieć nie chce, w jaki sposób katolicy obejśćby się mogli bez monarchistów. Dawniej uważał za rzecz naturalną, że tron mało się troszczył o Kościół; dziś nie pojmuje, jak Kościół stanąćby mógł poza politycznemi stronnictwami, a zatem i poza stronnictwem monarchicznem, i jak sam na własnem terytoryum stawićby mógł czoło nieprzyjacielowi. Ze zmianą położenia zmieniły się i opinie“.

Program wytknięty przez kardynała Lavigerie, a którego najgłośniejszym rzecznikiem jest msgr. Fava, kładzie właśnie nacisk na to, że Kościół stanąć winien poza wszystkiemi a wszystkiemi, bez wyjątków i zastrzeżeń, politycznemi stronnictwami. Program ten, polecony zresztą niedwuznacznie w głównych swych zarysach w słynnym liście kardynała Rampolli, a niejednokrotnie już i wszechstronnie omawiany, streścił znowu i w szczegółach określił kardynał Lavigerie w okólniku do komitetów „obrony wiary“ we Francyi.

„Z wielu stron — czytamy w tym okólniku rozesłanym pod datą 14 lipca b. r. — dochodzą mię pytania, czy nie należałoby założyć w dyecezyach algierskich, a zarazem i w kartagińskiej, osobnych stowarzyszeń, których celem byłoby modlić się za matkę naszą — ojczyznę, aby jej uprosić w obecnych trudnych okolicznościach światło i błogosławieństwo Boże. W szczególności otrzymuję zapytania, jakiemi przewodniemi ideami rządzićby się miały te stowarzyszenia, aby ich program zgadzał się najzupełniej z programem Stolicy św....

„Aby trafić w myśl Stolicy św., stowarzyszenie to przyjąćby oczywiście musiało program wytknięty nam przez Ojca św. Leona XIII. za pośrednictwem JE. kardynała Rampolli, w liście, który urzędowo wam zakomunikowałem p. d. 19 stycznia 1891.

„Wytłumaczywszy jasno i treściwie ważny ten dokument,

powiedziałem wam naówczas, że chętnie gotów jestem potwierdzić w mej dyecezyi stowarzyszenie z następującym programem:

„1) Przyjąć za przykładem Stolicy św. istniejący dziś i ustalony rząd, a więc we Francyi rząd republikański, aby tak z większą wolnością i skutkiem módz bronić na gruncie konstytucyjnym naszej religii przeciw wszelkim napadom i groźbom.

„2) Jawnie odłączyć akcyę katolicką od akcyi dawnych politycznych stronnictw. Imienia i powagi religii niewolno wprzęgać w służbę interesów czysto ludzkich.

„3) Zjednoczyć wszystkich katolików w kwestyach religijnych, z pominięciem kwestyj interesujących pojedyńcze stronnictwa. Silni tem zjednoczeniem, winniśmy zwalczać energicznie sekciarską niewolę, wszelkimi środkami przez konstytucyę rzeczypospolitej dozwolonymi, a zwłaszcza podtrzymywaniem instytucyj chrześcijańskich, publicznemi mowami, zjednoczoną katolicką prasą, a wreszcie stanowczą akcyą wyborczą".

Hasła już padły, wodzowie przemówili i rozkazy wydali; chodzi tylko o to, czy i o ile konserwatywna ludność francuska rozkazów tych posłucha; czy podjęte w imię zgody usiłowania większej jeszcze niezgody nie sprowadzą? Dziś panuje bez wątpienia w katolickim i konserwatywnym obozie zamęt niemały; wielu waha się, nie wiedząc jeszcze dokąd kroki skierować; wielu uważa sobie za pewien punkt honoru wytrwać na zajmowanem dotychczas, choć z dnia na dzień niemożliwszem do utrzymania stanowisku. Kardynał Lavigerie w ciekawej rozmowie ze sprawozdawcą *Figara* scharakteryzował trafnie i otwarcie ten dzisiejszy zamęt, wyrażając nadzieję, że to stan tylko przejściowy, ale nie tając, że wystąpieniem swem wielu sobie zyskał niechętnych, i że niechęć ta dotkliwie uczuć się dała w afrykańskich jego misyach.

— Niezgoda panuje między nami, — mówił kardynał — przeróżne wpływy walczą ze sobą, i zdaje mi się, że narazie nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak dozwolić tym przeciwnym sobie wpływom i zdaniom sił swych próbować; niech się organizują, porządkują, dopóki poważny jaki głos nie odezwie się

w każdem z kolei stronnictwie i nie naznaczy granic i warunków ostatecznej zgody. Dziś położenie zanadto jeszcze nie wyjaśnione..., trzeba cierpliwie czekać...

— Eminencya — pytał reporter — miałeś zapewne niejedno do wycierpienia z powodu, żeś się zastosował do rozkazu Papieża?

— Prawdziwy potop klęsk, kochany synu! Nie mówię już o listach, przepełnionych niedorzecznościami, o zniewagach, o sarkazmach. Później opowiem ci o żarcie, którego sobie pozwolili legitymiści z Marsylii; o jakże był niezmiernie dowcipny i delikatny!... Co ważniejsza: oto mnóstwo kieszeni zamknęło się przede mną, i cierpi dziś z tego powodu nie kto inny, tylko biedni nasi misyonarze. Na algierskim toaście stracili w sześciu miesiącach trzysta tysięcy franków!...

STOWARZYSZENIE LEONA XIII. Jedna z ważnych uchwał drugiego wiecu katolików austryackich wchodzić zaczyna w życie: we Wiedniu powstać ma w najbliższym czasie „Stowarzyszenie Leona XIII.“, które nawzór niemieckiego „Towarzystwa Goerresa“, gromadzić będzie i jednoczyć wszystkich chrześcijańskiemi zasadami kierujących się uczonych austryackich, w celu tem potężniejszej obrony, tem skuteczniejszego rozszerzania tych zasad i to o ile można we wszystkich dziedzinach wiedzy. Do osiągnięcia tego celu służyć mają — jak w prospekcie czytamy — regularnie powtarzające się zjazdy chrześcijańskich uczonych; pomoc udzielana przez Stowarzyszenie, wszelkiego rodzaju na czasie będącym naukowym przedsięwzięciom; ogłaszanie naukowych konkursów; rozszerzanie odpowiednych książek i broszur. Stowarzyszenie składać się ma z członków honorowych, opiekujących się, czynnych i uczestniczących. Członkiem „opiekującym się“ zostać może każdy, który złoży jednorazowo na cele Towarzystwa 200 złr.; członkiem „zwyczajnym“ każdy katolik, który ukończył wyższe studya i oddaje się naukom; członkiem „uczestniczącym“ każdy, kto złoży na cele Towarzystwa przynajmniej 2 złr. rocznie. Siedzibą dyrekcyi ma być Wiedeń; w miastach prowincyonalnych tworzyć się mogą podobne związki, zostające

w łączności i w ciągłem porozumieniu z dyrekcyą w Wiedniu, ale bez ścisłej, zwłaszcza bez majątkowej, od niej zależności. Pierwszy zjazd katolickich uczonych austryackich, na którym Towarzystwo właściwie założonem zostanie, odbyć się ma w jesieni b. r. [1].

MEMORYAŁ CAHENSLY'EGO I AMERYKAŃSKIE GNIEWY.

List kardynała Rampolli, wysłany p. d. 28 czerwca b. r. do kardynała Gibbonsa, położył wreszcie; a przynajmniej położyć był winien koniec prawdziwej domowej wojnie, która w ostatnich miesiącach srożyła się między katolikami różnych narodowości w Stanach Zjednoczonych. Powód do smutnej tej wojny dał memoryał przedłożony Stolicy św. w grudniu r. z. przez obradującą w Lucernie konferencyę „Związku św. Rafała“. Memoryał wychodząc z założenia, że niezmierna liczba europejskich emigrantów traci w Ameryce wiarę i cnotę, z powodu braku odpowiedniej i dostatecznej opieki duchownej, przedstawiał Stolicy św. cały szereg doniosłych postulatów, w których domagał się: ustanowienia odrębnych probostw dla odrębnych narodowości; zakładania katolickich szkół, w którychby dzieci mogły mieć naukę i ćwiczenie nietylko w angielskim, ale i w ojczystym języku; popierania narodowych związków, mających za cel walkę z związkami wolnomularskimi; wreszcie mianowania kilku przynajmniej biskupów należących do różnych narodowości, którzy znając potrzeby swych ziomków i mogąc z nimi we własnym ich języku się porozumieć, lepiej i skuteczniej mogliby im zaradzić. Memoryał ten, zredagowany przez sekretarza „Związku św. Rafała“, p. Cahensly'ego, a poparty podobno przez kardynałów: Schoenborna, Ledóchowskiego, Melchersa i Gruschę, wywołał w Ameryce burzę gniewów. Zwłaszcza przeciw ostatniemu punktowi, dotyczącemu nominacyi biskupów, powstały nietylko dzienniki, ale i amerykańskie duchowieństwo i niektórzy z amerykańkich prałatów. *The Catholic Review* i *Ame-*

[1] Wszelkie pytania odnoszące się do „Stowarzyszenia Leona“, zgłoszenia się z zamiarem wstąpienia do Towarzystwa i odpowiednie wkładki posyłać należy pod adresem: Centralnej kancelaryi katolickich związków we Wiedniu *(Wien, I. Annagasse 9)*.

rican Review, używając iście amerykańskiej terminologii, nazwały memoryał „spiskiem“, a jego twórców „gadzinami, które zdeptać należy“. „Z każdego miasta — czytamy w pierwszem z tych pism oczom własnym nie wierząc — mającego dziennik zdolny zrozumieć doniosłość tej sprawy, nadszedł niewymuszony, w silnych wyrazach zredagowany protest przeciw kłamliwej petycyi p. Cahensly'ego i podłemu mieszaniu się obcych intrygantów do amerykańskich spraw kościelnych... Stanowczo wreszcie i wyraźnie powiedzieć należy rzymskim urzędnikom, szwajcarskim handlarzom[1] i francusko-kanadyjskim ministrom i intrygantom, że Amerykanin jest panem i rządcą w Ameryce i chce nim pozostać“. — Czterdziestu kapłanów irlandzkich podpisało w Wiskonsin protest, wyrażający oburzenie z powodu tego wrzekomo nieuprawnionego mieszania się obcokrajowców do spraw amerykańskich. Dziwniejsza jeszcze, że nawet arcybiskup Ireland z St. Paul nie zawahał się publicznie wystąpić przeciw „klice“ niemieckich księży, którzy odważyli się przesłać Stolicy św. tak bardzo niepatryotyczny memoryał.

Prawda, że bynajmniej nie wszyscy amerykańscy prałaci tak bezwzględnie i tak wyłącznie ze stanowiska amerykańskiego patryotyzmu na tę sprawę się zapatrują. Tak np. znany dobrze i w Europie z głębokiej swej wiedzy biskup J. L. Spalding, zapytany, co sądzi o projekcie Cahensly'ego, odpowiedział: „Kto projekt ten nazywa spiskiem przeciw amerykańskiej wolności; kto woła, że jego spełnienie pociągnąćby za sobą musiało wynarodowienie Ameryki, ten poprostu okrywa się śmiesznością. Zdaniem mojem, plan ten dałby się wykonać, i to bez jakichkolwiek radykalnych zmian, bo kler katolicki ma przecież u nas godnych przedstawicieli ze wszystkich narodowości, które się u nas osiedliły. Nikt przecież nie zaprzeczy, że dobrą jest rzeczą, gdy kapłani należycie są obznajomieni z językiem i zwyczajami tych, o których zbawienie mają się starać“. Arcybiskup z Milwaukee, Katzer, wydał list pasterski, w którym, nie roztrząsając bliżej samej spornej kwestyi, podnosi tylko z naciskiem

[1] Aluzya do kongresu w Lucernie.

obowiązek wzajemnej zgody i miłości bez względu na mowę, na narodowość. „W Kościele Chrystusowym mowy być nie może i nie powinno o wyższości jednego języka, rodziny, rasy, narodu nad inny; w Kościele Chrystusowym niemasz żydów i pogan, Greków i barbarzyńców, wolnych i niewolników, bo wszyscy przez chrzest staliśmy się dziećmi Boga i Kościoła, członkami tegoż samego mistycznego ciała. Tę też miłość, miłość ojcowską ku swym dzieciom w Bogu, czujemy zarówno dla was wszystkich; każdy z was, bez względu na to, jakiej używa mowy, do jakiej należy narodowości, znajdzie w nas serce ojca; bo miłość biskupa dla swych dyecezan podobną być musi do bożej miłości naszego Zbawiciela, który ofiarował sam siebie na całopalną ofiarę za wszystkich ludzi, za wszystkie narody bez wyjątku".

Prawdziwie biskupie, apostolskie to słowa. Gdy słowa te staną się, jak stać się muszą, programem wszystkich wyznających praktycznie chrześcijańskie zasady Amerykanów, zniknie chyba owo trudne do zrozumienia rozdrażnienie, wywołane memoryałem „Związku św. Rafała". Rozdrażnienie to wylało tak szerokim i gwałtownym strumieniem, że Rzym dla zapobieżenia większemu złemu uważał za stosowne zapewnić episkopat amerykański, iż nie myśli obecnie zaprowadzać żadnej zmiany w dotąd praktykowanym sposobie mianowania biskupów dla dyecezyj Stanów Zjednoczonych. „Ojciec św. — czytamy w piśmie kardynała Rampolli do kard. Gibbonsa — nakazał mi zwrócić się do W. Eminencyi i zalecić, abyś nietylko nie wspierał ruchu, biorącego początek z nieuzasadnionych obaw i troskliwości, ale nadto, abyś wespół z innymi biskupami starał się o przywrócenie spokoju i był przeświadczony, że Głowa Kościoła mieć w żadnym razie nie może zamiaru ni chęci zgodzić się na jakibądź wniosek, który staćby się mógł powodem groźnych zamieszek — i to tem bardziej, że duchownym potrzebom katolickich emigrantów z różnych krajów zadość uczynić mogą zupełnie, jak to już dotychczas miało miejsce, wybrani z grona ich, narodowi proboszcze".

Jak ze słów tych widzimy, Rzym odrzucił narazie wniosek

„Związku św. Rafała“, jedynie z oportunistycznych względów; przeciwko samej zasadzie, nawet przeciw pobudkom, w memoryale podanym, ni słowem się nie oświadczył; natomiast polecił wyraźnie zakładanie narodowych probostw. Kto choć powierzchownie zna stosunki amerykańskie, kto śledził rozwiniętą w ostatnich tygodniach na olbrzymią skalę, prawdziwie szaloną agitacyę przeciw „zagranicznemu spiskowi“, przeciw „spiskującym przybyszom z Niemiec, Polski, Francyi“, ten wie, że inna, bardziej emigrantom pozornie sprzyjająca decyzya przyniesćby mogła tylko szkodę i Kościołowi i bardziej jeszcze im samym. Inna kwestya, czy później kiedyś Amerykanie się nie oswoją, lub nie zrozumieją, że oswoić się powinni z wnioskiem, którego przeprowadzenie w ten lub ów sposób, w tych lub owych granicach nie jest przecież niemożebnem, a przez miliony emigrantów gorąco pożądanem.

KRWAWE PRZEŚLADOWANIE W CHINACH.

Nader bolesne wiadomości nadchodzą z Chin i Tonkinu. I tu i tam, w Tonkinie na mniejsze, w Chinach na szerokie rozmiary poganie mordują chrześcijan, napadają i łupią stacye misyjne, a miejscowe władze nie mają dość sił, czy dobrej woli, aby zbrodniom tym skutecznie przeszkodzić. Cesarz chiński wydał wprawdzie, znaglony usilnemi żądaniami europejskich posłów, odezwę, potępiającą napady na misyonarzy, i kazał ją ogłosić w dzienniku urzędowym, ale same słowa i groźby, zwłaszcza wobec „nikczemności i głupoty“ — jak wyraża się w swem sprawozdaniu angielski konsul, Gardner — niższych urzędników, niewielką przynieść mogą pomoc. Wedle informacyj, zebranych przez *Koelnische Zeitung*, Anglia, Niemcy i Francya prowadzą rokowania w celu podjęcia wspólnych kroków przeciw Chinom; Rosya miała również oświadczyć się z gotowością przystąpienia do tej akcyi.

Ks. Jan Badeni.

Uwagi duszpasterza w sprawie „Czytelni ludowych“ i „Kółek rolniczych“.

Dziś, gdy tyle towarzystw rozmaitych powstaje, gdy zrozumiano, że do zamierzonego celu lepiej zdążać siłami zbiorowemi, niż pojedyńczo, gdy uwagę zwrócono na lud, i tyle się namnożyło opiekunów jego, często samolubnych lub potrzeb ludu nie znających: dobrze będzie zastanowić się nad naszemi kółkami rolniczemi i czytelniami ludowemi.

Zadanie postawiły sobie wysokie i trudne. Czytelnie dążą przez oświatę do dobrobytu, moralności i poznania Boga — Kółka, przez dobrobyt do oświaty i do moralności. Chodzi zaś o to przedewszystkiem, aby dobrze zrozumieć zadanie tych instytucyj, i raz je do życia powoławszy, utrzymać na wysokości zadania. Wiadomo bowiem, że pozakładano w wielu wioskach kółka rolnicze i czytelnie z wielkim zapałem; ale w wielu miejscach członkowie nie zrozumieli dobrze ich celu i w gorliwości podtrzymywani nie byli, i przeto towarzystwa albo się rozwiązały, albo do upadku się chylą z wielką szkodą dla teraźniejszości i przyszłości.

Musimy pokrótce rozpatrzeć się w potrzebach ludu naszego, ażeby jaśniej i gruntowniej uzasadnić nasze uwagi nad kółkami rolniczemi.

Lud nasz, o ile się odznacza przed ludami innych szczepów pobożnością, głęboką wiarą, o tyle jest nieporadny w sprawach ekonomicznych i finansowych. Dowodem tego piekąca sprawa pożyczek w kasach zaliczkowych. W przestraszający sposób rośnie liczba pożyczających i suma pożyczonych pieniędzy. Dobre jest pożyczanie, bo przez nie można pchnąć naprzód przemysł, handel rozwinąć, polepszyć uprawę ziemi — ale pożyczanie powinno się łączyć z przezornością: czy będzie można zwrócić kapitał na czas oznaczony, czy pieniądze puszczone w obrót będą się rentować tak, aby można procent zapłacić, i siebie z rodziną utrzymać. Lud zaś nasz nad przyszłością się nie zastanawia, nie oblicza, ale idzie do kasy i bierze. A na cóż mu zazwyczaj potrzeba pieniędzy i jak ich używa? Najczęściej ojciec chce dać posag córce, syn chce spłacić braci, lub dokupić pola. Wziął np. ojciec 500 złr.; ale że trzeba sprawić wesele, wiele dawnych dziur zapchać, zabawić się i uczęstować: nie daje już córce pożyczonych 500 złr., ale 300, a 200 w dwóch lub czterech tygodniach rozeszło się na wymienione

i inne drobne wydatki. Podobna historya powtarza się z pieniądzmi wziętymi na zakupno pola lub na co innego; wnet one gdzieś nikną, a zostaje tylko procent, wprawdzie niewielki, 6 od sta w zasadzie, ale z dodatkami 9, co od 500 złr., wynosi 45 złr. rocznie. Tych 45 złr. w żaden sposób wypłacić nie może, bo wszakże trzeba zapłacić i podatek i rodzinę utrzymać, a tu zboże tanie, niema zkąd grosza dostać.

Żeby się to wszystko przesadą nie wydawało, powiemy, że moglibyśmy wymienić wioski tak zadłużone, że prawie niepodobna będzie im z długów wybrnąć. I tak w jednej na gruntach cięży 100.000 złr. długu; a tylko 10 gospodarzy, co mają grunta nie obciążone długiem, można naliczyć, na półtora tysiąca dusz. O innej wiosce wyraził się kasyer, że w jednej tylko kasie mają gospodarze 30.000 złr. długu, a więcej jeszcze u prywatnych ludzi.

Zkądże jednak ta mańja czy potrzeba pożyczania? Oto przyczyną tego najprzód niskie ceny zboża z powodu konkurencyi zamorskiej, ztąd mniejsza zamożność, zubożenie ludu rolniczego; powtóre, zarzucenie stroju swojskiego dawnego, a ztąd marnotrawienie grosza na szmaty mało przydatne do pracy; potrzecie, brak oszczędności i rachowania się z jutrem, ztąd w razie nieszczęścia w gospodarstwie nie ma się ratunku z oszczędzonego grosza, ale trzeba szukać pomocy w kasie.

Pierwszej z tych bied nie można inaczej zaradzić, jak tylko wogóle popieraniem kółek rolniczych i czytelni. W jaki zaś sposób ma to czynić duszpasterz, to orzekli zgromadzeni u grobu św. Bonifacego w Fuldzie 23 sierpnia 1890 r. biskupi: „Wszyscy zgadzają się na to, że chrześcijańskie stowarzyszenia tylko wtedy mogą mieć powodzenie, jeśli duszpasterze otaczać je będą prawdziwą miłością, atoli nie jest możebnem ani pożądanem, aby księża sami ten ciężar podejmowali.

„Sprawowanie i popieranie zadań towarzystwa będzie przedewszystkiem sprawą dzielnych, z wyboru powstałych zarządów, ze świeckich ludzi złożonych. Tym zarządom przychodzić będą w pomoc wszyscy członkowie, mianowicie też ze stanu nauczycielskiego. Ksiądz ma być raczej gotowym na poświęcenie przyjacielem i doradcą, aniżeli bezpośrednim zarządcą szczegółowych spraw stowarzyszenia. Prawdziwa miłość pasterska, która napełniać winna sługę Chrystusowego, będzie i tutaj nim kierowała, będzie mu wskazywała właściwe drogi i otoczy go potrzebną powagą“ [1].

[1] *Wiadomości Katol.*, 5 list. 1890.

Druga sprawa, to zarzucenie stroju swojskiego dawnego. Roztrząsaliśmy nieraz tę rzecz z poważnymi gospodarzami, dochodząc jej przyczyny. Strój ten składał się na codzień z płóciennic (zwanych gdzieniegdzie górnicami), a od święta z żupana, kaftana, kapoty i t. d. Odpowiadano mi, że len się rodzić nie chce. Wnikając jednak głębiej, widno, że nie lnu nieurodzaj, ale próżność, zniewieściałość i brak ochoty do pracy, tego powodem.

Gdy dawniej czas jesienny spędzano na czyszczeniu lnu, a wieczory zimowe przy kądzieli i warsztacie, to dzisiaj jesień schodzi na weselach i zalecankach, a wieczory zimowe na schadzkach bezmyślnych i gnuśnem wyleganiu się. Ztąd pochodzi, że nie ma nasz kmiotek nic na sobie, coby było zrobione zręcznością rąk jego żony i dzieci, ale wszystko ma za pieniądze kupione, począwszy od koszuli a skończywszy na tandetnym surducie. Gdy się zaś zważy, że lud wiejski, oddany ciężkiej pracy na zagonie wśród zmiennej pogody, potrzebuje odzienia trwałego, łatwo zrozumieć, że lwią część dochodu pochłania ubranie, które zazwyczaj co parę miesięcy w szmaty się zamienia. Gdy jeszcze dodamy, że wiele sprawia się dla próżności i wystawności, to nikt nas o przesadę nie posądzi, gdy powiemy, że wieśniak z żoną i dziećmi cały rok krwawo pracuje na to tylko, aby się mógł przyzwoicie okryć. Aby zło szerzące się w zastraszający sposób powstrzymać, niema skuteczniejszego sposobu, jak na zebraniach członków wykazywać wartość zaniechanego stroju tak pod względem utylitarnym, jak i estetycznym. Bo cóż to za śmieszna karykatura: chłop przy pługu w obcisłych spodniach, boso, w ciasnym surducie, przez który wszystkie niezgrabne jego kształty przeglądają — gdy tymczasem dawny strój fałdzisty, szeroki, zakrywał wszystkie nieregularności, jakie powstają od ciężkiej pracy. Że zaś potrzeba silnej zachęty, ażeby przywrócić szacunek do dawnej sukmany i górnicy obecnie wzgardzonej, i nielada pobudki do uprawy lnu: należy często tę sprawę omawiać, poruszać w czytelniach, a duszpasterz niech nie szczędzi słów gorących — bo czyjeż słowo więcej zaważy w parafii jak nie tego, co jest tej parafii ojcem?

Trzecia rzecz — brak oszczędności. Nieraz to widzieć można u naszego ludu przykłady takiej gospodarki bez jutra. Byle tylko co z nowego umłócić, zaraz się to wiezie na jarmark, a z jarmarku nie wiezie się prawie nic z grosza otrzymanego, bo przecie wiele rzeczy jest na jarmarku do kupowania, to je kupować trzeba, mniejsza o to, czy koniecznie to wszystko potrzebne czy nie. „Kupiła kumoska chu-

stkę za 9 papirków", nuż żona mężowi głowę suszyć, aby jej podobną kupił, chociaż już w domu pełna skrzynia chustek, chusteczek i szmat rozmaitych. Na jarmarku schodzą się też sąsiedzi dobrzy a miękkiego serca: sprzedali jakotako co mieli do sprzedania, trzeba się poczęstować. Przy częstowaniu dopiero serdeczna natura naszego chłopa wypływa na jaw; niemasz końca w stawianiu szklanek i butelek; wypowie co ma na sercu, spłacze się nareszcie, ale też i pieniądze zostawi, mało co do domu unosząc. Znajdą się wprawdzie roztropniejsi, oszczędniejsi, ale ta oszczędność wyradza się w skąpstwo nieużyteczne, bo nie umieją dorabiać się groszem, ale kupiwszy korale za 200 złr., resztę chowają na „ulężałki": a jeśli na procent dają, to na słowo zawierzywszy, potem rzadko swoje odbierają. Jeśli młodzik ma grosz przy duszy, to przy pierwszem lepszem weselu przetańczy, do basu hojnie sypiąc, lub przepije, chłopców i dziewczęta częstując.

Jest tedy bardzo do życzenia, ażeby sprawa oszczędności była w czytelniach na porządku dziennym. Ale nic nie pomoże mówić o oszczędności, gdy się nie wskaże sposobu oszczędzania grosza; najczęściej słowa obiją się o uszy i śladu po nich w czynach nie zobaczysz.

Sposobowi temu przypatrzmy się na żywym przykładzie.

Zrozumiano snać oszczędność odpowiadającą naturze ludu naszego w wiosce Czernichowie, gdzie, jak opowiadał mi tego roku wędrowny nauczyciel rolnictwa, założono kasę Raiffeisenowską. Składa do niej kto może grosz zaoszczędzony, jak w zwykłych kasach oszczędności, różnica od nich jest jednak wielka i istotna, to jest ograniczenie prawa pożyczania. Rzecz się ma poprostu tak: kilku prawych ludzi, a znających stan majątkowy i charakter każdego mieszkańca wioski, orzeka, czy chcącemu zaciągnąć pożyczkę, można dać sumę żądaną, czy nie. Sam pożyczający musi powiedzieć na co mu potrzebne pieniądze, i nie może użyć pieniędzy pożyczonych na co innego, niż na co żądał. Do taksatorów należy osądzić, czy sprawa pożyczającego wymaga nakładu żądanej sumy. Podobne kasy łatwo założyć, byleby się znaleźli w wiosce ludzie z poświęceniem, dbający o dobro swych współmieszkańców. Jak widać z tego, jestto instytucya prawdziwie a nie z imienia tylko humanitarna, która może zaradzić nędzy naszego ludu, pochodzącej z nieroztropnego pożyczania pieniędzy w kasach zaliczkowych i z braku oszczędności [1].

[1] Na walnem zgromadzeniu b. r. uchwaliło Towarzystwo kółek rolniczych na wniosek dr. Stefczyka zakładanie kas Raiffeisenowskich. Krótko

Wypada jeszcze wspomnieć o niektórych ujemnych stronach w prowadzeniu kółek rolniczych. Wkradł się powszechny zwyczaj, że sklepiki kółek rolniczych nazywają mieszkańcy wiosek „Kółkami rolniczemi“, a przewodniczący tychże kółek milczą, pozwalając tem samem, że instytucya tak wzniosła i piękna jak kółka rolnicze, w pojęciu ludu schodzi do zwykłego sklepu lub handlu wina. „Dokąd idziesz?“ „Do kółka!“ — „A po co?“ „Po sól“. Drugi zapytany odpowiada: „Po wino“. Nic dziwnego, że takie wyobrażenie mają o kółkach rolniczych; bo po założeniu kółka, z początku bywały odczyty, pouczania, a po upływie paru miesięcy przestano się schodzić na czytania; a chodzą tylko po wiktuały i na wino, takie tanie w kółkach a dobre. Zapomniano zupełnie o tem, że celem kółek jest pouczanie o gospodarstwie, podniesienie rolnictwa, dobrobytu i zdążanie za kulturą zachodnią, co nas o tyle w rolnictwie wyprzedziła. Zapominają, że przez czytanie książek podnosi się oświata, wyciąga się lud z zastoju umysłowego, podaje się środek na zużytkowanie drogiego czasu i zajęcie się czemś pożytecznem, a nie samymi żartami nieprzyzwoitymi i grzesznymi, lub obmową sąsiadów. Większe zło pochodzi z nazywania sprzedaży wina kółkiem, bo lud przyszedł do przekonania, że na to pozakładano kółka rolnicze, ażeby zamiast (jak dawniej) gorzałkę, pić teraz na dobre wino, a że bardzo często kółka rolnicze są pod opieką księży, to naturalną siłą logiki lud ma jeszcze większą ochotę do picia — i znowu moglibyśmy wyliczyć wioski, gdzie z kasy biorą pieniądze na różne potrzeby, a większą część tych pieniędzy obracają na to wino z kółka, takie tanie a takie dobre, że głowa z niego nie boli. Dawniej w niejednym domu cały rok nie było ni wódki ni wina, i było zdrowo, wesoło — dzisiaj wino nauczyło się bawić i imieniny sprawiać, a zapominać o pracy i wstrzemięźliwości.

Raz należy usunąć ten błąd powszechny, powtarzając ciągle, że kółko rolnicze jest dla oświecania się wzajemnego i poprawy gospodarki, sklepik zaś ma dostarczać potrzebnych wiktuałów, i chronić od marnotrawstwa czasu na chodzenie po drobnostki na targi; że wino jest wprawdzie na zdrowy napój zamiast wódki, ale nie na codzienny; lecz że wino może służyć na wesele, chrzciny, przyjęcie gościa dostojnego, jeśli kieszeń starczy, bo jak nie starczy, to gość dbający o dobro ludu zadowolni się tem, czem chata bogata.

---

nadmieniliśmy o tych kasach, odsyłając ciekawego do *Przeglądu Polskiego* b. r., gdzie o nich obszernie pisze dr. Stefczyk.

Gdy się usunie zło trojakie, mianowicie: powstrzyma się lud od pożyczania nierozważnego przez kasy Raiffeisenowskie; gdy się wprowadzi nanowo uprawę lnu i rozbudzi zamiłowanie do stroju swojskiego; gdy nareszcie nauczy się lud oszczędności — wtedy zakwitnie dobrobyt, a za dobrobytem pójdzie chrześcijańska zdrowa oświata, pod opieką Kościoła, co tyle już wychował i oświecił narodów, a za tą oświatą wedle woli bożej pójdzie moralność dająca prawdziwe szczęście człowiekowi.

Ks. Franciszek Gołba.

Wyznania polskich socyalistów w Londynie.

„Czy znacie najnowszy kwiatek literatury polsko-angielskiej?“ — Takie zapytanie postawił nam w ostatnim swym liście szczery przyjaciel, opatrznościowy opiekun polskiej nędzy w Anglii, ks. Józef von Lassberg, z którym czytelnicy *Przeglądu* mieli już sposobność kiedyindziej się zapoznać [1].

Kwiatkiem tym, niestety! kwiatkiem z przykrą wonią i smutną barwą, to wydawany po polsku w Londynie „społeczny i polityczny tygodnik“ *Przedświt*, organ „Towarzystwa robotników polskich w Londynie“ — jak wychodząca raz na tydzień w Berlinie *Gazeta robotnicza*, tytułuje się „Organem socyalistów polskich“ pod pruskim zaborem; jak lwowskie dwutygodniki, *Praca* i *Robotnik*, również takimiż organami — widocznie dla Galicyi — się mianują. Choćby już innych znaków nie było, to powstanie i istnienie — mniejsza narazie o to, za czyje pieniądze — socyalistycznych tych pism dostatecznym jest chyba dowodem, że przywódcy międzynarodowego socyalizmu raczyli i na nas zwrócić swą uwagę, i że dziś niewolno się już pocieszać i do spokojnego snu kołysać samym tylko mile brzmiącym frazesem: „U nas propaganda socyalistyczna gruntu dla siebie nie znajdzie“. *Przedświt* zwłaszcza dać nam może w tej mierze bardzo cenne wskazówki. Mając pewność, że żaden cenzor ani prokurator w drogę mu nie wejdzie, wyłuszcza on naiwnie i poprostu swe marzenia i życzenia; mówi bez ogródki

[1] Por. *Przegl. Powsz.* z kwietnia, maja i czerwca 1890 r., artykuły „Polacy w Anglii“. Artykuły te wyszły również w osobnej broszurze.

o celach, do których dążą polscy socyaliści; nie ukrywa pod żadną zasłoną, nawet pod zasłoną patryotyzmu, właściwych swych ideałów i sympatyj. Jakie to ideały, jakie sympatye i antypatye; jakimi środkami polski socyalizm posługuje się i posługiwać zamierza; kto wreszcie głównie ruch socyalistyczny u nas podżega? Niech na interesujące te pytania odpowie nam niepodejrzany świadek, najgłówniejszy, a w każdym razie najswobodniej myśl swą mogący wyrazić, organ a zarazem kierownik tego ruchu: londyński *Przedświt*.

Czego chcą, do jakiego celu dążą ci polscy straceńcy, którzy, prócz nazwisk i języka, zaparli się wszystkiego, co z ojczyzny wynieśli, i co ich z nią łączyło? Chcemy — odpowiada brutalnie pierwszy, programowy artykuł *Przedświtu* — chcemy ludowego państwa, w którem nie będzie klasy rządzącej i klasy rządzonej; chcemy socyalnej rewolucyi; chcemy — w innym znów czytamy artykule — aby lud polski zorganizował się „około sztandaru wolności, równości i braterstwa, bo wtedy zagra trąba sądu ostatecznego nad niesprawiedliwością, wtedy rozlegnie się hasło walki przeciw tyranom rządowym i pańskim, i wtedy armia ludów europejskich wyruszy na pole walki, by razem z nami kruszyć kopie o socyalistyczny w Europie porządek, o Polskę ludową, socyalistyczną".

Urzędowy poeta *Przedświtu*, niejaki Bolesław Malankiewicz, desperat, który, jak sam się kolegom swym spowiada: „zwątpił, widząc nikczemności świata — a chociaż ludzi kochał z młodzieńczym zapałem, to między nimi nie mógł znaleść brata" — zamknął ten program w następnych wierszach:

Gdy przyjdzie chwila strasznej zemsty ludu,
Drżeć będą wtedy wrogi i tyrany;
A gmach społeczny zbudowan wśród trudu
Runie, druzgocąc niewolę, kajdany.
Na gruzach tego spróchniałego świata
Ludzkość swój sztandar wolności rozwinie;
Nie będzie carów, ciemiężców, ni kata,
Bo wszystko w gruzach gmachu tego zginie.

W gruzach tych, prorokuje i gorąco sobie życzy socyalistyczne pismo, zginą „panowie galicyjscy, którzy do przewagi szlachetczyzny dążą"; zginie „Koło polskie z Księstwa, które chce po polsku śpiewać: *Heil dir der Siegeskranz!" (sic!)*; zginą „warcholi, którzy są tylko narzędziem policyjno-dyplomatycznej intrygi". Z budującą bezstronnością, z istotnym darem wynalazczym rozdziela *Przedświt* w różnej mie-

rze i wadze klątwy, przezwiska, szyderstwa, między tak zacięcie u nas ze sobą wojujących konserwatystów i liberałów. Pierwsi, to „szlacheckie pachołki", „różnego kalibru gryzipiórki, najęci do zabawiania szlachty, a okłamywania ludu", „polityczni szalbierze i niedowarzeni obrońcy przywilejów szlacheckich", „obrońcy wyzysku", „pańscy najmici, migający przed oczami ciemnych błazeńskimi dzwonkami szlacheckich konfederatek". Drudzy, to „sznapskapitani, sznapsbohaterowie warcholskiej emigracyi", „paplowie o skarbie narodowym", „garstka spekulantów, liberalizujących z ukradzioną ludowi pracą", „mieszczaństwo, które dogorywa, trzymając się klamki pańskiej". Pierwsi, to „pasożytnicza grupa rodzin szlacheckich lub dorobkiewiczowskich", a „u nóg tej garści agrarnych wyzyskiwaczy leży cały kraj skrępowany i wijący się bezsilnie w bólach nędzy, ciemnoty i upodlenia". Drudzy, to „ciury w obozie wstecznictwa, którzy biorą na siebie swą rolę w tej chyba nadziei, że szlachta, nasyciwszy się, rzuci im z litości jaką kość obgryzioną".

Tymże samym pendzlem, w tych samych maczanym farbach, odmalowane są poszczególne stosunki i ważniejsze osobistości zpod wszystkich trzech zaborów. Z szczególną pieczołowitością zajmuje się redakcya Galicyą w licznych artykułach i korespondencyach, datowanych z Krakowa. Dowiadujemy się tu, że „społeczeństwo galicyjskie jest społeczeństwem klasowem, i jako takie musi być i jest obrazem walki klasowej, otrzymującej wskutek niskiego poziomu kulturnego często nader wstrętne cechy średniowiecznego barbarzyństwa". W kraju tym „paryasów, ludzie mrą z głodu"; miasta w nim podobne są „do przykrytych garnków, napełnionych chrabąszczami"; posłowie jego „liżą łapę rządową bez rumieńca wstydu"; posłowie ruscy w sejmie „odznaczają się niepojętą bizantyńską służalczością"; Smolka jest „zdecydowanym serwilistą"; Romanowicz „fałszywym prorokiem, menerem burżuazyi, która 1 maja dała wespół ze szlachtą nowy dowód zgnilizny moralnej"; Rewakowicz prześladuje socyalistów wskutek *Wink'u von oben;* Pawlik figuruje jako „dragomanowskie cielę"; sędziowie przysięgli, to „dwunastu rzezimieszków"; M. Straszewski, „arcystańczyk i parweniusz" (w socyalistycznym organie ten ostatni zarzut jest klasycznym); nawet biedny Bloch nie uszedł razów i mianowany został „żydowskim jezuitą". Ale jaśniejsze promyki przedzierają się już do tych galicyjskich ciemności: „Bracia nasi przygotowują odwet, bo oto wszędzie powstają stowarzyszenia robotnicze. We Lwowie powstała „Siła", która i w Krakowie budzi się do czynu, by iść razem ręka w rękę z „Pracą", stowarzyszeniem w Stanisławowie. Brawo bracia! A gdy silną będzie

nasza organizacya, to ci, co nas wywłaszczają dziś, sami zostaną wywłaszczeni z zagrabionych ludowi bogactw".

A pod pruskim, rosyjskim zaborem, czyż lepiej? Czyż mniej tam „czerwonego warcholstwa" — ulubiony to, najczęściej wracający wyraz w łamach *Przedświtu* — czy mniej jaskrawych wyzysków, czarnych zdrad, bezbarwnej głupoty?

„Robotnicy polscy w Poznaniu — pieni się *Przedświt* z niemałą naszą przyjemnością i zabawą, w urze z 1 sierpnia — nie mogą zwołać żadnego wiecu. Pod naciskiem szlachty i pod groźbą policyi szynkarze i właściciele lokalów urządzili spisek przeciw towarzyszom naszym, i na wódkę fałszowaną, oraz na policyjno-szlachecki sojusz przysięgli uroczyście, że nie dadzą sali dla polskich zgromadzeń socyalistycznych. Co innego, gdy zechcą się zejść niemieccy fabrykanci albo polscy bankruci — to ‚uczciwość' wymaga, by każdy dobry szynkarz w imię ojczyzny zarabiał na planach i spiskach w celu okradania pracy robotniczej. Co innego, gdy niemiecki konserwatysta zechce się z policyą naradzić, jak zmniejszyć liczbę głosów polskich — wtedy gospodarz polski, z konfederatką pod pachą i z łapą wyciągniętą po napiwek, zaprosi ich w gościnę... Niewiele znajdzie się takich grodów, w którychby pan, policyant i szynkarz panowali tak wszechwładnie nad sumieniem ludu, jak w Poznaniu".

W następnych wierszach wyjaśnia się właściwa przyczyna tej wielkiej klątwy, rzuconej na Poznań: „Szlachcic polski chce swój bat ucisku szlacheckiego oprawić w niemiecką rękojeść... W Poznaniu, pod komendą urzędnika pruskiego, naczelnego prezesa, pp. Cegielski, Grabski, Komierowski, Kościelski, Łebiński, Mielżyński, Modlibowski, Mycielski, Szułdrzyński, dwóch Żółtowskich, Dziembowski i inni patryoci tego gatunku, znaleźli się w towarzystwie landrata Unruhe..., kilkunastu wyzyskiwaczy niemieckich, a wszyscy razem ożywieni duchem świętym dyrektora policyi, Nathusiusa. Uczciwa ta kompania założyła Towarzystwo antysocyalne. Teraz hulać będzie dusza szlachecka; — w Księstwie robotnicy będą bez praw! — Ale drżyjcie i słuchajcie, co was czeka! — Sprawę tę wkrótce podniesiemy wobec całej Europy robotniczej. Delegat polski, wybrany przez towarzyszy z Poznania, obywatel Przytulski, zabierze głos na kongresie międzynarodowym, i dowiedzą się wszyscy, kto dziś przedstawia rewolucyjną Polskę, a co naodwrót stało się z bankrutami, którzy się stroją w pawie piórka patryotyzmu i wolności... szlacheckiej".

Niechże obywatel Przytulski głos zabiera i niechże wszyscy, któ-

rych to interesuje, dowiedzą się, że on rewolucyjną Polskę przedstawia; niech sobie nawet na odbytym w maju b. r. zjeździe austryackich socyalistów, obywatel Englisz z Krakowa piorunuje przeciw uciemiężeniu galicyjskiego robotnika! Niebezpieczniejszem jest, i bodajby nowego potopu klęsk na głowę nieopatrznych jakich ziomków naszych nie sprowadziło, zawiązane świeżo przez pewną grupę londyńskich socyalistów „Stowarzyszenie propagandy socyalizmu w zaborze rosyjskim". Stowarzyszenie to — zawiadamia *Przedświt* — „ma na celu ułatwienie organizacyi w otrzymywaniu gazet, broszur i t. d. treści socyalistycznej. Będzie ono usiłowało zapomocą kontrabandy zniszczyć granice i tamożnie, które carat postawił umysłowości naszego ludu pracującego".

Socyalistyczni przywódcy radzi są, że udało im się zagarnąć w swe sieci garść Polaków, bo pragną nimi innych Słowian ułowić, aby w razie potrzeby, korzystając z przysłowiowej „głupoty słowiańskiej", wszystkich na pierwszy ogień wystawić; dlatego otaczają i nakazują ich otaczać szczególnymi względami. Na kongresie wiedeńskim „przyjmowano polskich towarzyszy (Daniluka, Daszyńskiego, Diamanta, Mańkowskiego ze Lwowa, Englisza z Krakowa, Mecha z Tarnopola) z niewymownym zapałem". Angielskie stowarzyszenie „Fabian" i stowarzyszenie socyalistów z Hammersmith wyraziło w listach „pełnych serdecznych uczuć" głęboką swą sympatyę z towarzyszami Polakami, a zarazem nadzieję, że „z powodzeniem pracować będą nad zniszczeniem politycznej tyranii i rozszerzeniem socyalizmu wśród najbardziej nieszczęśliwego ze wszystkich europejskich ludów". Dotykalnymi dowodami tych uczuć i sympatyj mają być składki na rzecz „Towarzystwa propagandy socyalizmu w Polsce"; składki te przyniosły do dnia 8 sierpnia b. r. 6 funtów szter. 1 szyling; nadto znajdujemy pokwitowanie dla jakiegoś K. R. C., „Z kraju w kraju" na 55 rubli, przeznaczonych i użytych „na transporty".

Istnieje zatem „Towarzystwo propagandy socyalizmu w Polsce", ma swój organ, wydaje osobną „Bibliotekę robotnika polskiego" [1],

[1] „Bibliotekę" tę, a właściwie jej drugą serye wydawaną przez redakcyę *Przedświtu*, tworzą dotychczas następne broszury:

1) „Dzień roboczy", przez Warszawiaka.

2) „Święta majowe a partya robotnicza". Głos z Galicyi.

3) „Rewolucya robotnicza".

4) „Z przeszłości — 2000 — 1887", przez Edwarda Belamy.

5) „Przewrót ekonomiczny i rozwój myśli socyalistycznej", przez Maksa Schippel'a.

zbiera składki i obraca je „na transporty“ i nie wiemy na co jeszcze, reprezentuje „rewolucyjną Polskę“. Interesującem byłoby bez wątpienia wiedzieć, kto jest „Towarzystwa“ tego założycielem, duszą, właściwym motorem? *Przedświt* zachowuje w tym względzie dyskretne milczenie; nie omylimy się wszakże podobno, sądząc z różnych wskazówek, że przedsiębiorcami tego „socyalistycznego interesu“ jest paru, czy kilku żydów z Polski przybyłych. Dużo ich w Londynie się znajduje, a zarobek trudny; czyż dziwićby się można, gdyby kilku bardziej pomysłowych poświęciło się kupczeniu socyalistycznemi zasadami?

Kto jest redaktorem *Przedświtu? S. Mendelson.* Na czyje ręce przysyłają niektórzy z angielskich socyalistów swe składki? Na ręce obywatela *Bornsteina.* Kogo biorą w obronę, za kim kruszą kopię owi Mendelsoni i Bornsteini, występujący tak energicznie przeciw wyzyskiwaczom ludu: „szlacheckim pachołkom, klechom, belfrom, pismakom“? Wyłącznie i jedynie biorą w obronę żydów, litują się nad ich losem, złorzeczą, niemal w każdym numerze, antysemickiemu ruchowi. „Polska szacherka i polski wyzysk muszą się oprzeć na antysemickim caracie, gdy wypadnie mu konkurować ze spekulacyą żydowską... Żydzi wyzyskują nasz lud! krzyczy szlachcic, żyjący z pracy rąk chłopskich... — Żydzi zajmują się lichwą! krzyczy chrześcijański dyrektor banku rujnującego kraj... I doprawdy wybuch śmiechu serdecznego wyrywa się nam z gardła na widok tych nieobrzezanych oszustów, którzy wysuwając na scenę pejsatych lichwiarzy i drobnych, nieśmiałych wyzyskiwaczy, sami się za ich plecami chowają w przekonaniu, że ujdą naszym oczom niespostrzeżeni z workiem ukradzionej pracy ludowej“. Mniejsza o treść tych zdań — a podobne im, i o wiele gwałtowniejsze, przez długie kolumny się ciągną — ale z samego już tylko oryentalnego stylu sądząc, czy przypuścić podobna, aby wyjść one mogły zpod pióra człowieka, który nietylko wyuczył się po polsku, ale rzeczywiście jest Polakiem?

Bądźcobądź, socyalistyczne wyznania Mendelsonów i Bornsteinów w *Przedświcie,* oddają dobrej sprawie rzeczywistą usługę; dają obrońcom społecznego porządku dobrą broń do ręki. Skrajny socyalizm okazuje się tu bez maski, w całej swej wstrętnej nagości, z wyrytym na twa-

---

6) „To i owo“. (Natarczywy chłopiec. — Fabryka i wieś. — Dnie czerwcowe).

Obecnie wychodzi jako dodatek do *Przedświtu:* „Prawdziwa historya Jozuego Dawidsona“, przez E. Lynn-Linton.

rzy kainowskim wyrazem zazdrości i nienawiści do wszystkich i wszystkiego, co nad poziom wyrasta, co społeczeństwu ludzkiemu wyższe wskazuje ideały, do wyższych prowadzi celów. Socyalizm, osłonięty w naukowe i poetyczne formułki, głoszący pozornie szczytne, ale niewykonalne teorye, może zamącić wyobraźnię, obałamucić zbyt młodzieńcze serce; socyalizm, który zasłony te zrzuca i brutalnie depce wszystko, co rozum ceni a serce kocha, wstręt budzić musi, i jedynie chyba z gruntu zepsutych spekulantów na ludzką naiwność, lub do ostateczności naiwnych, zdoła pociągnąć w błotniste swe tonie.

Druk ukończony 27 sierpnia 1891 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronnica.

O Przedświcie Zygmunta Krasińskiego. Przez *Tadeusza Sternala*. 1, 190

Pierwsza rocznica ogłoszenia Konstytucyi Trzeciego Maja w roku 1792. Przez *Rudolfa Ottmanna*. . . 27

Hindowie i ich religia. II. III. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* 44, 232, 373

Podróż do puszcz północy i na stepy Kipczaku. (Ułamki ze wspomnień wygnańca z r. 1861—62). V. VI. (dok.). Przez *Maryana Dubieckiego* 62, 169

Historyczny rozwój nihilizmu w Rosyi. V. VI. Przez *ks. Stanisława Załęskiego T. J.* 83, 341

Napoleon i jego spuścizna we Francyi. Przez *** . 153

Męczennik za świętość małżeństwa. Przez *M.* . . . 217, 325

Bazylianie na Żmudzi. Przez *Wołyniaka* 313

Stanley i Emin Pasza. Przez *Strzemieńczyka* 360

Przegląd piśmiennictwa.

Stronnica.

Z piśmiennictwa krajowego:

De Hominis elevatione per gratiam sanctificantem, Dissertatio. Scripsit dr. Leo Wałęga. *(Ks. Władysław Długołęcki T. J.)* 99

Żytija Światych gr. kat. Cerkwoju poczytajemych na kożdyj deń w hodu, po najłuczszym istocznykam, sobrał Ilarion Gmytryk. Wypusk I., misiać Septemwrij. *(Pl.)* 103

Chrystus w Kościele. Zarys historyi kościelnej z obrazkami. Z niemieckiego przełożył i uzupełnił ks. A. Fridrich T. J. *(B. Jasieńczyk)* 107

Wydawnictwo materyałów do historyi powstania r. 1863-64. T. II. i III. *(A. Szarłowski)* 247

Życie św. Alojzego Gonzagi T. J., według O. Cepari, opracowane przez ks. Fr. Schroedera T. J. *(Ks. M. M.)*. . . . 255

Żywot czcigodnego Brata Franciszka od Dzieciątka Jezus, zakonu Karmelitów Bosych. Napisany przez Zakonnika tegoż Zgromadzenia. Przekład z francuskiego przez A. D. *(H. P.)* 255

Dra G. A. Lindnera tekst do wykładu pedagogiki. Zeszyt I. Ogólne zasady nauki wychowania, dla użytku seminaryów nauczycielskich polskich. Przerobił i zastosował dr. Wład. Seredyński. *(Ks. W. G.)* 257

Ostroróg. Monografia w głównych zarysach. E. Callier. *(Dr. Feliks Koneczny)* 392

Opowiadania historyczne. Dr. Antoni J. Serya VII. *(Czesław Pieniążek)*. 400

Sprawa zamachu na Stanisława Augusta z 3 listopada 1771 r. przed sądem sejmowym. Dr. Władysław Ostrożyński. *(Dr. Feliks Koneczny)* 403

Drobiazgi historyczne. Przez Aleksandra Kraushara. *(W. S. P.)* 406

Kazania na niektóre święta Najświętszej Panny Maryi. Część druga. Napisał ks. Józef Pelczar, dr. św. Teologii, prof. Uniw. Jag. etc. *(A. M. W.)* 409

Słowo o romantyzmie. Gawęda literacka przez Zygmunta Kaczkowskiego. *(B.)* 411

Rozmyślanie o Męce Chrystusa Pana, ułożone podług Pisma św.., Ojców Kościoła i Pisarzy kościelnych. Przez ks. Hieronima Kajsiewicza C. R. Wydanie czwarte. *(H. P.)* 412

Z piśmiennictwa zagranicznego:

La question d'Alsace. Par Jean Heimweh. — Le régime des passeports. Par le même. — La question d'Alsace dans une âme d'Alsacien. Par Ernest Lavisse. *(M.)* 109

Katholische Apologetik für Gymnasial-Prima. Von Dr. P. Hake. *(A. B.)* 112

Handbuch für den katholischen Religionsunterricht in den mittleren Classen der Gymnasien und Realschulen. Von Dr. Arthur König. *(Ks. W. G.)* 114

Stronnica.

Moralphilosophie. Eine wissenschaftliche Darlegung der sittlichen, einschliesslich der rechtlichen Ordnung. Von Victor Cathrein S. J. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 262

Zapiski z bibliografii francuskiej. *(E. P. A. S.)* 269, 426

Apologie des Christenthums vom Standpunkte der Sitten und Cultur. Fr. Albert Maria Weiss O. Pr. II. Band. Humanität und Humanismus. *(B. Jasieńczyk)* 412

Les manieurs d'argent à Rome. Par A. Deloume. *(M.)* . . . 435

Abaelards 1121 zu Soissons verurtheilter Tractatus de unitate et trinitate divina. Aufgefunden und erstmals herausgegeben von Dr. Remigius Stölzle. *(K. C.)* . . . 438

Compendium Theologiae dogmaticae. Auctore Hugone Hurter S. J. Vol. I—III. Editio septima. *(Ks. W. B)* 439

Z pism czasowych:

Czasopisma słowackie: Národní Hlásnik 1891. Katolicke noviny 1891, ze wzmianką o innych. *(Tytus Sopodźko)* . . . 115

Czasopismo słowackie: Slovenské Pohl'ady 1890. *(Tytus Sopodźko)* 273

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Encyklika w sprawie socyalnej. — Projekt prawa o rozwodach we Włoszech. — Objawy zwrotu ku Kościołowi we Francyi. — Nauka języka polskiego w szkołach pruskich. — Wiec katolików w Styryi. — Myśl konkordatu w Serbii. — Uroczystości na cześć św. Alojzego Gonzagi. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.* 122

VIII. Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Przez *dra F. T.* 133

Z kresów Ameryki północnej. List III. Przez *Modesta Maryańskiego* 141

Odezwa a zarazem prośba Rady wyższej Towarzystwa św. Wincentego à Paulo na całą Galicyę, do Przewielebnego i Wielebnego Duchowieństwa Królestwa Galicyi i Lodomeryi 146

Znowu kwestya szkoły wyznaniowej. Przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 148

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Stowarzyszenie chrześcijańskiej Francyi. — Subwencya na szkoły katolickie. — Ustawa obroczna w Niemczech. — Uchwała akademickiego stowarzyszenia „Wingolfbund". — Parlament wobec kongregacyj Maryańskich. — Internat św. Cyryla w Tarnopolu. — Zapowiedź kongresu socyalnego w Mechlinie. — List protestanta do Ojca św. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.* 281

Stronnica.

Pokój św. Stanisława Kostki w Wiedniu. Przez *ks. J. B.* . 291

Statystyka konwersyj i apostazyj w Wiedniu. Przez *Józefa Glinkiewicza* 294

Bractwo Najświętszej Panny, Królowej Korony Polskiej. Przez *W. S. P.* 305

Przyczynek do dziejów Unii kościelnej. Przez *A. Szarłowskiego* 307

Jubileusz „Przeglądu Polskiego". Przez *ks. M. Czermińskiego T. J.* 310

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Zwierzenia Crispiego. — Nowe stronnictwa i nowe programy we Francyi. — Austryackie „Stowarzyszenie Leona XIII.". — Memoryał Cahensly'ego i amerykańskie gniewy. — List kardynała Rampolli do kard. Gibbonsa. — Krwawe prześladowanie w Chinach. Przez *ks. J. Badeniego T. J.* 440

Uwagi duszpasterza w sprawie „Czytelni ludowych" i „Kółek rolniczych". Przez *ks. Franciszka Gołbę* 453

Wyznania polskich socyalistów w Londynie. 458

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.